
Richards Emilie

Burza nad Missisipi

Cykl Powracająca fala 02

PROLOG

Nowy Orlean, 1965

Róże, wonne trawy wetiwerii, śmierć. Te trzy przenikliwe zapachy przesycały odurzającą wonią parne, majowe powietrze. Aurore przebudziła się, jednak woń była tak intensywna, tak dręcząca, że aż strach było głębiej odechnąć. Jeszcze bardziej dręczyła ją świadomość, że znowu śnił jej się Rafe.

Zawsze pojawiał się w najbardziej nieoczekiwanym momencie. Niekiedy i inne widziadła wdzierały się chyłkiem w jej sny, niepokojąc w tych nielicznych chwilach, kiedy w przebłyskach przytomności zdobywała się na odwagę, by liczyć dni, jakie pozostały jej do końca życia. Rafe wyłaniał się znieacka i rozpościerał przed jej oczami zdarzenia z przeszłości, zamknięte niczym w kielichu zawilca na letniej łące.

Zmusiła się, by zacerpnąć tchu. Powietrze wydało się jej niemiłosiernie duszne. Zabroniła służbie włączania klimatyzacji w tej części domu, więc tylko obracające się pod sufitem skrzydła wentylatora mieszały rozgrzane powietrze. Okna w sypialni były zamknięte – zapewne z obawy o to, by natarczywy skrzek przedrzeźniacza na gałęzi magnolii nie zakłócił jej drzemki.

Cóż, służba nie rozumiała, że każde przebudzenie było dla niej niczym nieoczekiwany dar niebios, niczym chwila wytchnienia dla udreżonej duszy starej kobiety.

Tak, była stara. Przez lata zaprzeczała tej prawdzie. Kiedy miała sześćdziesiąt lat, była przekonana, że starość jej nie dosięgnie, jeśli ona będzie aktywna.

W wieku siedemdziesięciu lat doszła do wniosku, że wystarczy ignorować śmierć, tak jak wcześniej ignorowała niewygodne dla niej fakty. Teraz wszakże Aurore miała siedemdziesiąt siedem lat i śmierć nie zamierzała dłużej jej ignorować. Od tygodni czatowała przy brzegu łóżka, gotowa chwycić ją w swoje objęcia przy pierwszej oznace słabości. Lecz Aurore Gerritsen nie była jeszcze gotowa na śmierć, jeszcze nie teraz. Najpierw musiała pozbyć się ciężaru latami skrywanych tajemnic.

Za długo czekała. Już dawno powinna zwołać rodzinę, zawezwać ich jak udzielna władczyni i zmusić do wysłuchania mrocznej opowieści. Nie ośmieliliby się odmówić takiemu wezwaniu.

Za długo zwlekała. Teraz, kiedy śmierć czaiła się u wezglowia, nie mogła dłużej tego odkładać. Otworzyła oczy i spostrzegła, że pokój ogarnia ciemność. Pora zmroku wydaje się tchnieniem Boga, przerwą w przemijaniu.

Lecz nie było już czasu na jakiegokolwiek przerwy. Posłyszała koło łóżka szmer, w którym natychmiast rozpoznała szelest nakrochmalonego białego fartucha.

Obróciła głowę i ujrzała najmilszą z pielęgniarek, które sprawowały pieczę nad jej gasnącym życiem.

Z trudem wydobyła z siebie słowa:

– Czy przyszedł Spencer?

– Tak, pani Gerritsen.

– To dobrze. – Jej własny głos wydał się jej obrazoburczym skrzekiem, który wdarł się w świętą ciszę pokoju, cieszyła się jednak, że był przynajmniej słyszalny.

– Dawno?

– Czeka już prawie godzinę. Mówiłam mu, że pani kazała się obudzić, kiedy nadejdzie, ale nie pozwolił.

– Troszczy się o mnie. – Aurore zwilżyła językiem wyschnięte wargi. – Zawsze się troszczył.

– Może napije się pani wody?

Przytaknęła i po chwili poczuła, jak młoda kobieta unosi lekko wezglowie łóżka.

– Jeden łyk. A potem... proszę poprosić Spencera.

– Czuje się pani na siłachgo przyjąć? Jest pani pewna?

– Jeśli będę czekać na dobre samopoczucie, nigdy się nie doczekam.

Pielęgniarka mruknęła współczująco, nalewając do szklanki wodę z dzbanka. Przytknęła szklankę do ust Aurore. Chora wysączyła kilka kropli, po czym dała znak, że ma dosyć.

– Życzy sobie pani czegoś jeszcze, zanim poproszę pana St. Amanta?

– Tak, okna... Chcę, żeby były otwarte. Zawsze...

– Dobrze. Otworzę drzwi na taras.

Aurore wsłuchiwała się w odgłosy krzątania wokół łóżka. Posłyszała dźwięk otwieranego okna, a zaraz potem donośne granie pierwszych tego roku cykad. Do pokoju wpłynęła ciężka fala parnej, tropikalnej wilgoci.

Przez chwilę Aurore znów miała siedemnaście lat i stała na brzegu Missisipi, otulona całunem rzecznych oparów. Pochylona do przodu, przypatrywała się barkom i parowcom, z mozołem torującym sobie drogę w górę rzeki. Czeakała na przebudzenie nowego życia.

– Aurore...

Odwróciła głowę i spojrzała na człowieka, który niemal przez pół wieku był jej prawnikiem i powiernikiem.

– Jak się masz, moja droga? – zapytał Spencer.

– Czuję się stara.

Spencer przysiadł na krześle, które pielęgniarka postawiła przy łóżku.

– Wciąż pamiętam cię całkiem młodą.
– Za dużo pamiętasz.
– Czasami i mnie się tak wydaje. – Wziął ją za rękę suchą i drżącą dłonią, choć dość jeszcze mocną, by uścisnąć przyjaciółkę.

Jej myśli znowu odleciały, jak to zdarzało się ostatnio nie raz. Przypominał się jej pewien dzień przed laty, w kancelarii Spencera przy Canal Street. Jego biuro nadal się tam mieściło, choć adwokat dawno już przekroczył wiek emerytalny. Nie wiedziała, z jakiego powodu nie przekazał praktyki któremuś z młodszych współpracowników, lecz była zadowolona, że tak się stało.

– Byłeś wtedy taki szarmancki – odezwała się. – Pełen współczucia. Przecież mogłeś odprawić mnie z kwitkiem.

– Wtedy? Mówisz o dniu, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy? – roześmiał się lekko. – A ty byłaś wiotka, blada, smutna. Miałaś kapelusz, który rzucał cię na czoło. Mimo wszystko wydałaś mi się urocza.

– Ale nie spodobało ci się to, co miałam do powiedzenia.

– Nie moją rzeczą było cię osądzać. Obiecałem, że nigdy ani jednym słowem nie zdradzę tego, o czym wtedy mówiliśmy. Bawiłaś się długim naszym nikiem z bursztynów i gagatów.

– Bursztyny i gagaty – uśmiechnęła się. – Nie pamiętam.

– Przesuwałaś w palcach czarne paciorki niczym różaniec. Wyglądałaś jak pokutnica, która błaga Boga o wstawiennictwo.

Aurore uniosła na niego wzrok.

– Po tylu latach wiem, że nikt się za mną nie wstawi.

– A więc wiesz więcej niż większość śmiertelników, moja droga. – Umocnił uścisk na jej dłoni.

– Marna pociecha.

– Chcesz, żebym dał ci lepszą?

– Nie. Chcę, żebyś wypełnił moją wolę zgodnie z nowym testamentem, który razem spisaliśmy. Stary po prostu zniszcz.

Spencer nie odpowiedział od razu. Milczał chwilę, wreszcie zapytał:

– Czy przemyślałaś dokładnie tę decyzję?

– Tak – uśmiechnęła się. – O niczym innym ostatnio nie myślałam.

– Sprawy mogą przybrać inny obrót, niż byś tego sobie życzyła.

– To prawda.

– Może stać się więcej złego niż dobrego.

– Biorę to pod uwagę.

– Zranisz tych, których kochasz.

– Poznają prawdę. Przez całe życie bałam się wyjawić prawdę.

– A teraz się nie boisz?

– Lękam się jeszcze bardziej.

Pochylił się nad nią, ściskając jej dłoń, lecz nie dała mu dojść do słowa.

– Najbardziej obawiam się tego, że prawda nigdy nie wyjdzie na jaw. Niech teraz inni mają okazję wykazać się odwagą, której mnie zawsze brakowało.

– To, co chcesz zrobić, jest aktem odwagi. Jej myśli poszybowały ku dwóm mężczyznom, których kochała – do Rafe’a, który był jej pierwszą miłością, i Hugh, który był pierwszym synem. Ich dwóch stać było na odwagę, ale ją?

– Nie, to nie jest żaden akt odwagi – zaprzeczyła. – To tylko ostatni, desperacki akt tchórzostwa.

– Mam przyjść jutro, upewnić się, czy aby nie zmieniłaś zdania?

– Nie, nie zmienię. Zrobisz to dla mnie, Spencer? Pojedziesz na Grand Isle?

– Cokolwiek sobie życzysz... – zawiesił głos. – Jak zawsze.

– Jesteś najlepszym przyjacielem.

– Tak. Jesteśmy przyjaciółmi. – Podniósł jej dłoń do ust i pocałował. – Mam adres Dawn. Jest w Anglii, robi zdjęcia dla nowojorskiego magazynu. Mogę ją poprosić, żeby wróciła do domu.

Przez moment Aurore kusiała ta propozycja. Zobaczyć Dawn, mieć ją przy sobie, móc jej dotknąć, może ostatni raz. Wyznać wszystko wnuczce, tak jak ona kiedyś zwierzała babce swoje dziecięce sekrety.

Wszystko...

Wszystko?

Aurore nie mogła znieść tej myśli. Doprawdy, słusznie uważała się za tchórzka.

– Nie. Lepiej żeby nie wracała do domu, póki...

– Rozumiem.

– To wszystko, na co mnie stać.

Spencer podniósł się i westchnął, patrząc na jej kruche ciało.

– W takim razie wyślę jej i innym listy... skoro muszę.

– Tak, listy... – Aurore pomyślała o listach, które mu podyktowała. I o losach, które te listy bezpowrotnie odmieniają.

– Jesteś zmęczona. A czeka do ciebie ktoś jeszcze.

Aurore nie zapytała, kim jest ów gość. Z tonu głosu Spencera poznała, że ta wizyta sprawi jej radość. Przymknęła oczy, a Spencer opuścił pokój. Śpiew cykad wzmógł się; te dziwaczne owady w twardych pancerzykach upodobały sobie szczególnie omszałe gałęzie błotnych dębów, które okalały dziedziniec posiadłości w Garden District*¹.

¹ *Garden District – dzielnica Nowego Orleanu zbudowana przez amerykańskich protestantów w rywalizacji z francuskimi kreolskimi katolikami. Nowy Orlean, stolica Luizjany, leżący w ruchliwej delcie Missisipi, był na przełomie wieków tygłem naro-

Przez otwarte okna wieczorne powietrze przynosiło słodki aromat oliwek i pierwszych magnolii, tłumiąc wyziewy starości i czającej się śmierci.

Posłyszała kroki, lecz nie miała sił unieść powiek. Czyjaś mocna, sprężysta dłoń ujęła ją za rękę. Na policzku poczuła czyjeś wargi.

– Phillip? – wyszeptała.

– Nic nie mów, Aurore. Zostanę przy tobie. A ty odpoczywaj.

Tak, ten głos należał do Phillipa, lecz przez mgnienie oka zdawało się jej, że słyszy Rafe'a. Znow była młoda, znow miała przed sobą całe życie, nieobciążone żadnymi postanowieniami. Zanurzona w marzeniach, pośród dźwięcznego cykania, rozpoznała ton znajomy i bliski sercu. Phillip nucił pieśń, którą jego matka uczyniła sławną.

Aurore westchnęła lekko i zapadła w sen.

wolność z końcem wojny domowej pomiędzy Północą a Południem. Ich przodkowie zostali dużo wcześniej wyzwoleni przez bogatych plantatorów i kupców francuskich za szczególne zasługi. Owi Murzyni, zwani też w Nowym Orleanie free Negros – wolni Murzyni – stanowili arystokrację swojej rasy. Przyniesli sobie francuską kulturę, a wielu dorobiło się majątków (przy- p. red.).

ROZDZIAŁ PIERWSZY

dów i ras. Dlatego słowo Kreol może oznaczać wiele rzeczy. Historycznie – francuskojęzycznego białego kolonistę, urodzonego już za oceanem. W tym sensie najdawniejsi Kreole Luizjany byli reliktem dawnej kultury francusko- kolonialnej, gdyż ziemie te należały pierwotnie do Francji. Dopiero cesarz Napoleon sprzedał Luizjanę Amerykanom. Nowy Orlean zasłynął jako kolebka jazzu, który stał się wspaniałym połączeniem stylów muzyki, uprawianych przez wszystkie grupy etniczne. Czarna ludność dzieliła się na Murzynów kreolskich i amerykańskich. Ci pierwsi nie byli, jak inni Murzyni, potomkami niewolników, którzy uzyskali wolność z końcem wojny domowej pomiędzy Północą a Południem. Ich przodkowie zostali dużo wcześniej wyzwoleni przez bogatych plantatorów i kupców francuskich za szczególne zasługi. Owi Murzyni, zwani też w Nowym Orleanie free Negros – wolni Murzyni – stanowili arystokrację swojej rasy. Przyniesli sobie francuską kulturę, a wielu dorobiło się majątków (przy- p. red.).

Wrzesień, 1965

Młody człowiek, którego Dawn Gerritsen zabrała z szosy tuż za Nowym Orleansem, wyglądał jak włóczęga. Nie odbiegał stylem od większości studentów, którzy tego lata wałęsali się autostopem po świecie. Miał zaniedbane, nieumyte włosy, a jego ubiór pasował po trosze bezdomnemu poecie, po trosze cyrkowcowi. Trzeba przyznać, że nie przypominał ani wymoczkowatego fana Beatlesów, ani opalonego na brąz, uprawiającego surfing bubka z kalifornijskiej plaży, słuchającego BeachBoysów. W poprzednim roku, kiedy podróżowała z zespołami rockowymi po Europie, natrzyła się do syta na typki rozmaitego autoramentu, umiała więc rozróżnić poszczególne ich odmiany.

Twarz autostopowicza pokrywały piegi, a jego oczy miały odcień spadzowego miodu. Kiedy pozdrowił ją swojskim „sie masz!”, miała ochotę wywlec go na pozłacaną słonecznymi cętkami groblę i tam kazać powtarzać bez końca ten cudownie brzmiący zwrot, by upewnić się, że oto znowu znalazła się na głębokim Południu.

Nigdzie go jednak nie zaciągnęła. Nie zapamiętała nawet jego imienia. Jej myśli pochłonięte były innymi sprawami niż doraźne przygody czy poważne związki.

Po trzech pouczających latach w Berkeley dała sobie spokój z miłością, patriotyzmem, religią, seksem i wieczną pomyślnością. To, co przeżyła, kazało jej podchodzić do mężczyzn z rezerwą, gdyby zaś nawet nie było w niej w tej chwili żadnych uprzedzeń, powód, dla którego była w drodze, z pewnością nie pozwoliłby jej na jakąkolwiek miłośćkę. Nie teraz.

Na szczęście autostopowicz także nie wydawał się skłonny do poufałości. Wyraźnie bardziej absorbował go schówek na rękawiczki, gdzie trzymała wałówkę, oraz wskazówka szybkościomierza, toteż Dawn wkrótce zapomniała, że w ogóle ktoś obok niej siedzi. Dojeżdżali właśnie do Cut Off, kiedy nachyliła się i sięgnęła ręką, by włączyć radio. Do pełnej godziny brakowało dwudziestu pięciu minut, trafiła więc na

końcówkę nadawanego o wpół do szóstej serwisu informacyjnego.

– A w dalszych wiadomościach ... – zapowiadał ujmującym barytonem spiker – senator Ferris Lee Gerritsen, prezes międzynarodowej korporacji Gulf Coast Shipping z siedzibą w Nowym Orleansie, oświadczył, że konsern postanowił przekazać miastu część terenów położonych wzdłuż rzeki, gdzie powstać ma park upamiętniający rodziców senatora, Henry’ego i Aurore Gerritsenów. Jak już podawaliśmy, pani Gerritsen zmarła w zeszłym tygodniu, a senator Gerritsen jest jedynym żyjącym dzieckiem tej pary. Jego brat, ksiądz Hugh Gerritsen, został zabity podczas zamieszek, jakie wybuchły w obronie praw obywatelskich w Bonne Chance latem ubiegłego roku. Jak się po-

wszechnie przypuszcza, senator będzie ubiegał się o fotel gubernatora w 1968 roku...

Choć słońce chyliło się ku zachodowi, Dawn, zdmuchnąwszy uprzednio spadającą na oczy gęstą grzywkę, nałożyła słoneczne okulary, które wyjęła szybko z przegródki.

Kiedy oparła się znowu o zagłówek, poczuła na gołym udzie ciepło dłoni. Szybkim rzutem oka upewniła się, że pasażer wpatruje się w nią taksującym, nieco poufałym spojrzeniem. Uśmiechnął się i przesunął dłoń wyżej.

– Nazywasz się Gerritsen. To twój krewny?

– Tracisz czas – odparła.

– Nie mam nic lepszego do roboty.

Zjechała na pobocze. Zaczął mżyć deszczyk, zapowiadano ulewę, lecz powzięła już postanowienie.

– Wynocha. Czas poszukać innej okazji.

– Nie wygłupiaj się. Rusz wyobraźnią, moglibyśmy się nieźle zabawić.

– Dech by ci zaparło, gdybyś wiedział, jak bujną mam wyobraźnię.

Klnąc pod nosem, cofnął dłoń, chwycił płócienną torbę i zatrzasnął za sobą drzwiczki, a ona wyjechała z powrotem na szosę.

Została sama. Pechowego intruza nie było już w samochodzie.

Nie było nikogo, kto by jej towarzyszył i nikogo, kto mógłby zagłuszyć natrętne myśli, jakie dręczyły ją od chwili, gdy poznała ostatnią wolę zmarłej babki. Oto Aurore Le Danois Gerritsen zażądała na łożu śmierci, by jej testament ogłoszono podczas rodzinnego zjazdu w letnim domu na Grand Isle. To właśnie z tego powodu Dawn była w drodze.

Kiedy ostatnim razem przemierzała trasę między Nowym Orleanem a Grand Isle, była świeżo upieczoną kierowcą, z rocznym zaledwie prawem jazdy. W tej bagiennej okolicy, gdzie woda i ląd nieprzerwanie stają do walki o to, kto nad kim weźmie górę, przeszła wówczas prawdziwy chrzest bojowy. Siedząca obok niej babka nie uznała za stosowne przestrzec ją wcześniej przed różnymi niebezpieczeństwami czyhającymi na drodze – niezliczoną ilością zmurszałych mostków, z których każdy mógł spuścić auto w mroczną głębię rozlewiska Bayou^{*2} Lafourche, przed nierzadkimi odcinkami, gdzie powierzchnia szosy zalewana była wodą, ani wreszcie przed licznymi pułapkami, zastawianymi na niedoświadczonych kierowców wzdłuż drogi w małych miasteczkach, które zasilają tym sposobem swoje skarbcze. Babka bez troski gawędziła o tym i owym i zachowywała się jak na niedzielnej przejażdżce. Kiedy zaś później kuśtykała z trudem w stronę chaty, podtrzymująca

² *Bayou – w dialekcie z Luizjany – określenie rozlewiska bagiennej, rzecznej delty (przyp. tłum.).

ją Dawn zdała sobie sprawę, że prawa noga zeszywniała jej od ciągłego balansowania między pedałem gazu a hamulcem.

To wspomnienie niespodziewanie ścisnęło jej gardło.

Aurore nie była typem miłej babuleńki, która nie budzi żadnych kontrowersji, jednak Dawn szanowała ją i kochała, toteż nigdy pewnie nie czuła by się w pełni gotowa na jej śmierć. Gdy ta zabrała wreszcie Aurore, Dawn poczuła się tak, jakby zabrano jej część własnej tożsamości. Dopiero teraz, może odrobinę za późno, uświadomiła sobie, że babka trzyma w rękach wszystkie nitki jej losu i pociąga za nie ze zreżnością palców Donatella.

Jakaś część Dawn zniknęła bezpowrotnie już wcześniej – wraz ze śmiercią wuja. Radiowy komunikat jedynie mimochodem napomykał o śmierci Hugh Gerritsena, bowiem wydarzenie dawno już zostało omówione, skomentowane i „wyciśnięte” przez media z dziennikarskiej atrakcyjności. Dawn nie odłożyła jednak tego faktu do archiwum. Ojciec Hugh Gerritsen był w Luizjanie postacią niepospolitą – wytrwałym głosicielem religijnych cnót, które niezłomie wcielał w życie. Dla niej zaś był po prostu wujem

Hugh, człowiekiem, który dostrzegał wszystko to, co było w niej dobre, i uczył ją trudnej sztuki balansowania między stawianiem sobie wymagań a samoakceptacją.

Dwa zgony wciągu dwóch lat. Jedyni Gerritsenowie, którzy byli jej bliscy, odeszli z tego świata. Kto pozostał?

Kto teraz będzie ją kochał, bezinteresownie, bezwarunkowo i szczerze?

Potrząsnęła głową, a potem podkręciła gałkę radia i zmusiła się, by zawrócić Smokey Robinson and Miracles w jakimś wesolutkim refrenie.

Godzinę później przekraczała ostatni most. Grand Isle, poza niewielkimi korektami dokonywanymi przez Matkę Naturę, niewiele zmieniała się z biegiem lat. Przyływy i odpływy pożerały i wypluwały linię brzegową, porywiste wiatry wyrwały raz na parę lat drzewa z korzeniami, a dachom nakazywały wirować w rytm huraganowych podmuchów, lecz ludzie oraz ich obyczaje pozostały niezienne.

Choć wyspy nie wymieniało w katalogach modnych, eleganckich kurortów (zapewne z racji tego, że tutejsze powietrze pozbawione było górskiej świeżości, a piasek nie miał nic z sytkości trzcinowego cukru), Dawn każdego lata przyjeżdżała tu do Aurore. I co roku babcia cierpliwie łątała, sztukowała i nicowała pogmatwaną materię losów rodziny Gerritsenów.

Tego dnia porządnie wiało, lecz wysoka fala nie odstraszyła zagorzałych wędkarzy, przycupniętych rządkiem wzdłuż brzegu. Huragan o wdzięcznym imieniu Betsy hulał gdzieś w okolicach Florydy; gdyby dotarł do tej części Luizjany, obeznani z klęskami mieszkańcy wyspy zabezpieczyliby domy, zapakowali dobytek do samochodów i wycofaliby się stąd, zanim ktokolwiek

ogłosiłby konieczność ewakuacji. Najwyraźniej jednak nikt nie spodziewał się takiego obrotu sprawy.

W połowie szerokości wyspy Dawn skręciła, oddalając się od Zatoki. Na drodze do letniego domu Gerritsenów widać było świeże ślady opon. Chata stała na końcu drogi, tonąc w gąszczu oleandrów, jaśminów i mirtu. Zbudowana w starym kreolskim stylu z drewna cypryśnika, stanowiła niejako nieodłączny element tutejszego krajobrazu, podobnie jak rosochate bagienne dęby, które ją otaczały.

Dawn zastanawiała się, czy jej rodzice dotarli już na miejsce. Nie zadzwoniła do nich ani z Londynu, ani z lotniska w Nowym Orleanie, wiedząc, że bez wątplenia będą ją namawiać do wspólnej podróży na Grand Isle. Woliała tego uniknąć. Potrzebowała czasu, by od nowa przywyknąć do Luizjany. Poza tym miała już dwadzieścia trzy lata i nie pozwalała sobą komenderować, zwłaszcza ojcu i matce. Przede wszystkim jednak musiała mieć te kilka godzin, by zastanowić się nad sobą, wzmocnić i przygotować na trudne – co do tego nie miała wątpliwości – rodzinne rozmowy.

Podjeżdżając do chaty, zauważyła zaparkowany pod drzewem brązowy kabriolet z kalifornijską rejestracją. Zastanawiała się, któż to odbył taki szmat drogi, by wysłuchać ostatniej woli jej babki. Czy to któryś z Gerritsenów, czy też może ktoś z usuwanej w cień rodziny Le Danois?

Zaparkowała wypożyczonego pontiaka obok nieznanego auta, włożyła przeciwdeszczową pelerynę i czapkę à la John Lennon i wysiadła. Dach kabrioletu był opuszczony, zajrzała więc do wnętrza przez zaparowaną od deszczu szybę. Samochód niewątpliwie należał do mężczyzny – rzucone na deskę rozdzielczą słoneczne okulary o zdecydowanej linii przypominały gogle pilota, na teczce na tylnym siedzeniu leżał krawat w duże wzory.

Dawn otuliła się szczelniej peleryną, choć niemal roztapiała się w gęstym i gorącym powietrzu Luizjany pod okryciem zaprojektowanym przez Mary Quant na chłodne, londyńskie mżawki. Jej spojrzenie poszybowało ponad samochodem, oleandrami i krzewami jaśminu, by spocząć na szerokiej, frontowej werandzie.

Mężczyzna, którego nie spodziewała się już nigdy spotkać, przyglądał się jej, wsparty o kwadratową kolumnienkę.

Ben Townsend? W domu jej babki?

Mężczyzna zstąpił z werandy i zbliżył się do niej, nie bacząc na deszcz, który lał się z nieba na głowę. Koszuła z płóciennego oksfordu i ciemne spodnie natychmiast nasiąkły wodą, a jego włosy, przetykane rozjaśnionymi od słońca pasemkami, przybrały barwę

starego mosiądzu. Przemoczone ubranie przylgnęło do sylwetki, która nic nie straciła ze swojej atrakcyjności przez ostatnie lata – szerokie ramiona, mocny zarys klatki piersiowej i bioder, proste, długie nogi.

Dawn poprawiła daszek czapki, by woda nie lała się jej za kołnierz. Nie poruszyła się i zachowała kamienną twarz. Panowanie nad emocjami było sztuką, której nauczyła się z trudem i którą praktykowała sumiennie od czasu ich ostatniego spotkania.

– Nie spodziewałaś się mnie tutaj. – Ben zatrzymał się na wprost niej, zachowując bezpieczną odległość.

– Po mistrzowsku posługujesz się eufemizmami – odparła.

– W porządku, jesteś wściekła, że mnie widzisz.

– Powiedzmy, że niemile zaskoczona.

– Nic na to nie poradzę. – Wzruszył ramionami.

– Dostałem list z prośbą, żebym się tu stawił i wysłuchał ostatniej woli twojej babci.

– Ty?

– Ja. – Ben wsunął ręce do kieszeni i ponownie wzruszył ramionami. Wielokrotnie widziała go w takiej pozie: nieco nonszalancki, lekko przygarbiony, stojący mocno na nogach.

– Dziwi mnie, że zadałeś sobie tyle trudu. Pewnie spodziewasz się natrafić tutaj na jakąś ciekawą historyjkę?

– Nic podobnego. Teraz jestem wydawcą i redaktorem. Nie wymyślam już historyjek, ale oceniam te, które piszą inni. Najlepsze kupuję.

Wciążu poprzedniego roku Ben pracował dla nowego magazynu „Mother Lode”, który zyskał rozgłos i znalazł poklask wśród liberalnie nastawionej kalifornijskiej elity. Dawn czytała tylko jeden numer. Magazyn, z typową dla Zachodniego Wybrzeża bufonadą, propagował intelektualizm, niezależne myślenie i tak zwany „życiowy kreatywizm”.

– Zawsze byłeś dobry w ferowaniu wyroków – oznajmiła.

– Wygląda na to, że ty również nabrałaś wprawy w tej materii.

– Nabrałam wprawy w rozmaitych dziedzinach, lecz najwidoczniej wciąż nie potrafię zrozumieć własnej babki. Zachodzę w głowę, czy zaproszenie ciebie ma być wymuszoną próbą pogodzenia dawnych kochanków, czy też przejawem swoistego poczucia humoru.

– Naprawdę przypuszczasz, że twoja babka zaprosiła mnie tutaj, żeby cię zranić?

– A czy istnieje inne wyjaśnienie?

– Może ma to coś wspólnego z ojcem Hugh?

Dawn odrzuciła włosy do tyłu.

– Nie widzę żadnego związku. Wuj Hugh umarł rok temu.

– Wiem, Dawn, kiedy to się stało. Byłem przy tym.

– To prawda. Ale mnie przy tym nie było. O ile pamiętam, to właśnie było przedmiotem naszej ostatniej rozmowy.

Wspomniana rozmowa odbyła się przed rokiem.

W pamięci Dawn zostało po niej przejmujące wrażenie, że grunt usuwa się spod jej nóg, a ona traci oparcie i spada w głąb ciemnej czeluści. Tą czeluścią było zwątpienie w świat, w ludzkie dobro, w sprawiedliwość i w miłość. Stała owego popołudnia przy szpitalnym łóżku Bena, a on opowiadał jej o śmierci wuja Hugh. Pokłócili się. Pielęgniarka przybiegła na dźwięk podniesionych głosów, lecz szybko wycofała się bez słowa. Tymczasem Ben oskarżył Dawn, że wiedziała o planowanym zamachu na księdza; że wiedziała, a mimo to pozwoliła, by uzbrojona hałastra wdarła się do kościoła i wykonała wyrok.

– Posłuchaj, Dawn, ja tu zostaję – przerwał milczenie Ben. – Nie bardzo wiem, dlaczego mnie zaproszono, ale nie wyjadę, dopóki nie dowiem się kilku rzeczy. Możemy być przynajmniej dla siebie uprzejmi?

– Pochodzisz z Luizjany, więc wiesz, że gościnność należy do tutejszej tradycji. Zdobędę się na ten wysiłek i postaram się jej nie naruszyć.

Dawn przyglądała mu się jeszcze przez chwilę.

Włosy miał dłuższe niż przed rokiem, nosił okulary w drucianej oprawce, które przydawały nieco dętego wyrazu jego twarzy. Już nie wyglądał na młodego chłopaczka, który nie radzi sobie z problemami tego świata. W wieku dwudziestu siedmiu lat wyglądał raczej na mężczyznę, który znalazł swoje miejsce na ziemi i na dobre się w nim umościł. Przeprowadzka z Bostonu, gdzie Ben pracował dla redakcji „Globe”, do San Francisco najwyraźniej dobrze mu zrobiła.

Ojciec Dawn także był mężczyzną, z którego emanowała pewność siebie i świadomość życiowego celu.

Ciekawe, co też się wydarzy, kiedy Ferris Lee Gerritsen dowie się o zaproszeniu Bena Townsenda na Grand Isle.

– Nie mam zamiaru ci się narzucać, Dawn.

– Och, nie przejmuj się. Nikt nie jest w stanie niczego mi narzucić. Zostań, jeśli masz ochotę. Tylko nie spodziewaj się dalszego ciągu naszych rozmów.

– A jeśli pojawiają się nowe tematy, które warto będzie zakończyć?

Wzruszyła ramionami, po czym ostentacyjnie go ignorując, skierowała się w stronę wozu po bagaż.

Niemal wszystko, co posiadała, zostało w Europie. Tutaj przywiozła jedynie najbardziej niezbędne rzeczy. Sięgnęła do bagażnika po futerał z aparatem i podręczną torbę, zaś niedużą walizkę zostawiła w aucie.

Gdzieś w oddali rozległ się burzowy grzmot, tak potężny, że aż ziemia zadrzęła pod jej stopami. Duszne powietrze przesycił znajomy zapach ozonu i zgnilizny; między kamieniami i źdźbłami trawy płynęły po ziemi kręte strumyczki. Wciąż lało. Kiedy Dawn się wyprostowała,

Ben oddalał się aleją, usłaną muszlami ostrzyg.

Odetchnęła z ulgą, że nie musi dłużej silić się na swobodny ton, i wróciła myślami do babki.

Dawn nie była pewna, co też przyciągało w to szczególne miejsce Aurore; ją samą wyspa nieodparcie nęciła i wabiła, choć niewiele miała przybyszom do zaoferowania prócz słońca, które zbyt mocno grzało, i silnych podmuchów wiatru, które nigdy nie dawały wytchnienia. Od najmłodszych lat Dawn co roku spędzała tu letnie miesiące, pławiąc się w miłości swojej babki. Poza tym nie robiła niczego, po prostu dorastała.

Babcia zaś uczyła ją pewności siebie, poczucia dumy i własnej wartości, umiłowania prawdy. Czy wiedziała, że to ona jest osobą odpowiedzialną za to, co w jej wnuczce było najlepsze?

A czy sama zachowała ową dumę do końca swoich dni? Co wiedziała? Czy zdawała sobie sprawę, że Dawn nie przestała jej kochać? I że mimo ucieczki, po śmierci wuja wciąż tęskniła za rodziną? Że zakochując się przed laty w Benie Townsendzie, wcale nie opowiedziała się po wrogiej stronie w wojnie, której nigdy nie potrafiła zrozumieć?

A co najistotniejsze, czy babka wiedziała, że Dawn, choć odgrodziła się oceanem, nigdy nie potrafiła zerwać z kimś, kogo kochała?

Klimat Luizjany przypominał turecką łaźnię, co tłumaczyło po części powód, dla którego jej mieszkańcy zdawali się nie nadążać za osiągnięciami dwudziestego wieku. Trudno bowiem wykrzesać w sobie pęd ku nowościom – czy pęd ku czemukolwiek – kiedy przegrzany mózg pieni się niczym świąteczna legumina, a przesiąknięty wilgocią żar bezustannie zasnuwa mgłą umysł i przyćmiewa ostrość widzenia. Przyczynę, dla której w Luizjanie rzeczy trwają zastygłe w bezruchu, można zaś było poznać najlepiej takiego dnia, jak ów właśnie, kiedy krople deszczu skwierczały niemal w rozpalonym powietrzu.

Ben stał na plaży i obserwował spienione fale, kołyszące pasmami wodorostów. Grand Isle była w jego przekonaniu niczym więcej jak tylko nieforemną kupą piachu, która sterczała jak palec w obscenicznym geście z wody o temperaturze moczu. Od czasu kiedy przed godziną rozstał się z Dawn, Ben zdążył pokonać niemal całą jej długość.

Nie tylko Grand Isle, ale cała Luizjana nie była ulubionym miejscem Bena. Urodził się tutaj, lecz kiedy rok temu omal nie wyzionął ducha w Bonne Chance, stracił sentyment do tego stanu i jego mieszkańców.

Trudno się dziwić, skoro był świadkiem, jak zgraja bigotów strzela do człowieka, przed którym raczej powinna klękać, a potem zostawia go, by się wykrwawił.

Gdzie teraz jest ojciec Hugh Gerritsen? Ben nie wierzył w niebo, jeśli zaś chodzi o piekło, to wątpił, czy może być gorsze od Luizjany. Gdzie więc jest? Co się z nim stało, kiedy już upadł na ziemię, wykrwawił się i przestał oddy-

chać? Może zstąpił znowu na ziemię i teraz przechadza się gdzieś, szykując się, by odplacić ludzkiemu bestialstwu?

Co ojciec Hugh pomyślałby o swojej bratanicy? Pewnie zechciałby ją wypowiedzieć, gdyby tylko ją zobaczył. Z nogami długimi aż po szyję, rudobrazowymi włosami muskającymi koniuszki piersi widocznych pod mokrą bluzką, w podkasanej kwiecistej bluzeczce i modnej minispódniczce wyglądała jak współczesna Ewa-kusicielka, która niejednego już nieszczęśnika sprowadziła na złą drogę.

I to spojrzenie – harde, zuchwałe, prowokujące.

Patrzyła mu prosto w oczy, jak gdyby nigdy nie był jej kochankiem. Jak gdyby nigdy nie oskarżył jej o udział w zamordowaniu wuja.

Zdawał sobie sprawę, że jego widok prawdopodobnie ją zaszokuje, a osłupienie może przemienić się w gniew. Lecz nie oczekiwał tak lodowatej imperywności, tak nieprzejednanej zawziętości. Cokolwiek planowała dla nich Aurore Gerritsen, nie zamierzała chyba jątrzyć zadawnionych raz ani wyrównywać rachunków między parą, która swego czasu darzyła się szacunkiem i miłością.

Przeniósł wzrok z mętnej wody na rybaków mocujących się z siecią, ciężką od połyskliwych, trzepoczących się ryb. Ich łódź chwiała się i kołysała, kiedy wciągali sieć na pokład, a potem opróżniali jej zawartość. Ben skrzywił się, czując nagłą, instynktowną sympatię do tych nieszczęśnych, szamoczących się stworzeń, ostatkiem tchu zmagających się z siłą, której nie były w stanie pojąć.

On czuł się podobnie – jak w sieci. Nie rozumiał Dawn ani przyczyn, dla których jej babka sprowadziła go w to miejsce. Nie rozumiał, jakież to nieubłagane, tajemnicze fatum zawisło nad Gerritsenami. A co gorsza, nie potrafił, podobnie jak owe ryby, walczyć z niewidzialnym wrogiem.

Skryte za burzowymi chmurami słońce przeblyskiwało tuż nad horyzontem, jednak nadzieja na to, że się roz pogodzi, była złudna. Pewnie po krótkiej przerwie zaraz znowu zacznie padać. Cóż, pora wracać do domku Gerritsenów, pomyślał Ben. Zostawił Dawn dostatecznie dużo czasu, by zdążyła przywyknąć do myśli, że znowu pojawił się w jej życiu. Tymczasem zapewne przyjechali już jej rodzice oraz inni zaproszeni goście. Piach chrząścił mu pod stopami, kiedy przedzierał się przez plażę, a potem przez kilkumetrowy pas przybrzeżnych zarośli i morskich traw. Powietrze było wilgotne i pachniało morzem. Zza pleców dobiegał go przenikliwy krzyk mew, biesiadujących nad resztkami porzuconych ryb. Tak jak się spodziewał, zaczęło śiąpić.

Rzęsista ulewa złapała go, gdy był w połowie drogi do chaty. Nie miał ochoty znowu przemoknąć do suchej

nitki, więc postanowił schronić się w jednym ze sklepików, które ustawione wzdłuż szosy dzielącej wyspę na pół, wytrwale czekały przez całe lato na z rzadka pojawiających się klientów.

Do drewnianego budynku, nie większego niż garaż na trzy samochody, prowadziło dziesięć schodków.

Wnętrze zajmowały lady i półki rozstawione tak, by zostawić dwa wąskie przejścia. Jednakże jego uwagę przykuła nie aranżacja wnętrza, lecz obecni w środku mężczyźni.

Sprzedawca niedbale rozparł się na kontuarze. Był łysiejącym, przygarbionym mężczyzną o wydatnym brzuchu i poślódkach tytoniu końskich zębach. Na oko pięćdziesięcioletni, zdawał się pewny swego, a do młodzieńca stojącego po drugiej stronie lady zwracał się tonem protekcyjnej wyższości:

– No cóż, chłopcze. Może wiem, gdzie to jest, a może nie wiem. Zależy, do czego ci ta wiadomość. Nie bardzo kapuję, po kiego diabła jakiś czarnuch miałby szukać domu senatora Gerritsena, chyba że coś brzydkiego chodzi po mu głowie...

Ben obserwował sytuację od progu, czekając na reakcję młodego mężczyzny. Rozpoznał go od razu – znał Phillipa Benedicta i wiele mu zawdzięczał. Ten zaś przechylił się przez kontuar, zmrużył oczy i wycedził, patrząc w twarz sprzedawcy:

– Słuchaj no, ty coon-ass³. Wysł swój rozumek i odpowiedz sobie na pytanie: czy gdybym chciał zabić senatora Gerritsena, pytałbym cię o drogę, żebyś mógł mnie potem rozpoznać?

Sprzedawca dźwignął się z lady i wyprężył na całą swoją wysokość. I tak jednak brakowało mu co najmniej dwudziestu centymetrów, by dorównać mierzącemu jakieś metr dziewięćdziesiąt Phillipowi. Inna sprawa, że brakowało mu czegoś więcej niż tylko tych dwudziestu centymetrów.

– Wynocha z mojego sklepu! – podniósł głos. – I to już! Pilnuj własnej dupy, czarnuchu, żeby ci się coś nie przytrafiło! Jak będziesz taki wygadany, to któregoś dnia będziesz pływał bużką w dół!

Phillip miał piękne dłonie, szerokie, o długich palcach.

³ *Coon-ass – w wolnym tłumaczeniu dupa rakuna – pogardliwe przezwisko używane w stosunku do Akadyjczyków, którzy – wygnani przez Anglików po przejęciu w 1755 roku Akadii, francuskiej kolonii na terytorium kanadyjskiej Nowej Szkocji – osiedlili się m.in. w południowej Luizjanie, w krainie wielkich mokradeł bayou. Kreole nazywali ich Cajoons, uważali za prostaków i odmieńców, posługujących się przedziwną mieszaniną języków europejskich i miejscowych narzeczy. Stanowią największą francuskojęzyczną mniejszość w Stanach Zjednoczonych (przyp. tłum.).

Jedna z nich schwyciła koszulę sprzedawcy i zacisnęła się mocno na jego szyi.

– Tylko ktoś naprawdę przebiegły i sprytny może mnie podejść, a nie taki łajza i głądola jak ty. Rozpuszczasz jadaczkę, że słyhać cię na kilometr. Więc lepiej sam się pilnuj, bo mogę cię dopaść, kiedy będziesz nawijał.

Rozluźnił uchwyt i pchnął sprzedawcę do tyłu.

Potem odwrócił się, a jego wzrok napotkał spojrzenie Bena. Przez moment zamarł bez ruchu.

– Dupa rakuna? – zagadnął Ben.

– Nie ja to wymyśliłem. Choć żałuję...

Ben zerknął na sprzedawcę, który chował się pod ścianą, i oznajmił z udawaną powagą:

– Tak, tak. Ten czarny to prawdziwy skurczybyk. Zjada białasów na śniadanie, obiad i kolację. A na dodatek to kumpel Gerritsenów. Lepiej trzymać się od niego z daleka.

– Obaj się wynoście!

– Chamstwo nie przysporzy ci klientów, dobry człowieku. – Ben wybrał sobie czekoladowy batonik i wyszperał

z kieszeni drobne, które położył na ladzie. – Chcesz coś, Benedict?

– Jasne, głowę jakiegoś białasa podaną na tacy.

– Tutaj nie sprzedają. – Ben objął Phillipa ramieniem. – Chodź, zobaczymy w sklepie obok.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, sarknął zgryźliwie:

– Świetny pomysł – łązić sobie pomiędzy białymi i rozpytywać ich o drogę. Tutaj, w Luizjanie! Nie masz

samochodu, do cholery?

– Przecież nie przyjechałem autostopem.

– No to ruszajmy.

Wsiadli do auta, Phillip wyprowadził je na szosę i zaczęli jechać we wskazanym przez Bena kierunku.

Przez jakiś czas milczeli, póki Phillip, skręciwszy w boczną drogę, nie zaparkował przed katolickim kościołem. Wówczas odezwał się pierwszy.

– Słońce zachodzi, białasie. Lepiej niech żadne luizjańskie czarnuchy, agitatorzy i kto tam jeszcze nie wyściubiają nosa z domu. Dobrze pojąłem twoją lekcję?

– Co tu, do diabła, robisz?

– Ciebie mógłbym zapytać o to samo.

No właśnie, Ben przestawał cokolwiek rozumieć z tego, co dzieje się na tej cholerniej wyspie. Od początku nie miał ochoty tu przyjeżdżać. Popatrzył na przyjaciela i wzruszył ramionami. Phillip Benedict był znanym dziennikarzem, cenionym za wnikliwe komentarze i cięte pióro. Jego pozycja i dokonania

nia były niekwestionowane, przynajmniej na Wschodnim Wybrzeżu, lecz kolor skóry i poglądy na temat podziałów rasowych wykluczały go z towarzystwa oświeconych członków Ivy League*⁴.

Phillip opisywał batalię o prawa obywatelskie z werwą wojennego korespondenta; zarówno wywiady z Martinem Lutherem Kingiem, jak podsumowanie dokonania późnego okresu życia Malcolma X*⁵ nosiły cechy relacji z pola bitwy. Czasami denerwował Bena swoim ideologicznym zapałem, ale najczęściej, niestety, miał rację.

Obaj mężczyźni polubili się przed laty przy pierwszym spotkaniu w Nowym Jorku. Mieli wspólnie pracować nad pewnym tematem. Ben był wtedy początkującym reporterem tuż po studiach, Phillip miał już status doświadczonego publicysty. Całą noc spędzili w barze na Lower East Side z kilkoma innymi dziennikarzami, potem spotykali się wielokrotnie, później zaś, po publikacji, która okazała się wspólnym sukcesem, Phillip wziął Bena pod swoje skrzydła. W następnych latach nie mieli zbyt wiele okazji do dłuższych pogawędek, a przez ostatni rok w ogóle się nie widzieli.

Życie i kariera powiodły ich odmiennymi ścieżkami.

– Nie jestem do końca pewien, w jakim celu tu przyjechałem – zaczął Ben.
– Zaproszono mnie na

odczytanie pewnego testamentu. A ty?

– Mnie chyba też. Aurore Gerritsen była intrygującą staruszką, nie sądzisz?
Ben oparł się plecami o drzwiczki samochodu.

Z konwersacji w sklepie wywnioskował, że obecność Phillipa na Grand Isle wiąże się w jakiś sposób z rodziną Gerritsenów, a tego się nie spodziewał. Już prędzej skłonny był przypuszczać, że Phillip poluje na jakiś temat.

Znów spojrzął na niego podejrzliwie. We włosach Phillipa i w zagłębieniach ciemnych policzków lśniły krople deszczu. Incydent ze sklepikarzem nie wytrącił go z równowagi. Wręcz przeciwnie – Phillip wyglądał jak człowiek, który jest gotów przyjąć nowe wyzwania.

– Dziwna sprawa – znów odezwał się Ben. – Ciekawe, co ty masz z tym wszystkim wspólnego.

⁴ * Ivy League – Liga Bluszczowa, elitarna organizacja amerykańskich uniwersytetów, np. Harvard, Yale (przyp. tłum.).

⁵ * Malcolm X – radykalny działacz amerykańskiego ruchu murzyńskiego w latach 60. (przyp. tłum.).

– Wybacz, stary – uśmiechnął się Phillip – ale na razie ci tego nie powiem. Na razie przyjmijmy, że jestem przyjacielem rodziny.

– Słuchaj, pomogłem ci uratować tylek. Powiedz staremu przyjacielowi, jaki jest prawdziwy powód?

– Bawisz się w snucie teorii? Zzera cię dziennikarska ciekawość?

– Mnie? Prędeż ciebie bym o to posądzał. Zwąchałeś temat, przyjeżdżasz na tę wyspę w dniu rodzinnego zjazdu Gerritsenów, tarmosisz tubylców, żeby wyciągnąć od nich informacje...

Phillip nawet się nie uśmiechnął. Przyglądał się tylko uważnie Benowi, kiedy zaś się odezwał, ani słowem nie nawiązał do wygłoszonej przez przyjaciela wypowiedzi:

– Domyślasz się, po co cię zaproszono?

– Może. Co wiesz o Gerritsenach? – Ben sięgnął do kieszonki koszuli i wyjął baton, który kupił w sklepie.

Zdarł opakowanie, przełamał go na pół i połówkę chciał wręczyć Phillipowi.

Phillip potrząsnął głową.

– Wiem tyle, ile mi powiedziano.

– A co wiesz o ojcu Hugh Gerritsenie? – dopytywał Ben.

– Wiem, że w zeszłym roku został zabity. W Bonne Chance, niedaleko stąd. – Phillip wskazał kciukiem

kierunek przez ramię.

– Taa... Krótka przejażdżka łódką albo cholerny kawał drogi samochodem. Urodziłem się tam. Czasem budzę się w nocy i wydaje mi się, że wróciłem. Czuję żar i piekielną wilgoć, czyli znowu jestem w Bonne Chance.

– Byłeś tam, jak go zabili, prawda?

Bena nie zaskoczył fakt, że Phillip o tym wiedział.

Nigdy na ten temat nie rozmawiali, ale dramatyczne wydarzenia w Bonne Chance szeroko relacjonowano w prasie.

– Tak, byłem – potwierdził. – Ale to nie wszystko.

Jego bratanica i ja... – wzruszył ramionami. – Byliśmy z Dawn dość blisko.

– Doprawdy?

– Mhm. Poza tym nie widzę żadnych innych powodów, dla których mnie zaproszono. Wiem tylko, że tu przyjechałem, jestem i mam zamiar zostać.

– Ja też.

– Ale nie powiesz mi, po co zaproszono ciebie?

– Nie jestem pewien, po co.

– A ja nie jestem pewien, czy to prawda. Chyba masz jakąś hipotezę.

– Poznałem panią Gerritsen pod koniec jej życia. Może to ma coś wspólnego z tym zaproszeniem.

– Ktoś jeszcze ma przyjechać, kogo znasz?

– Tak – Phillip uśmiechnął się przelotnie – moja matka i ojczym.

Ben wydał przeciągły gwizd. Nigdy nie poznał rodziców Phillipa, ale setki razy słyszał nagrania jego matki. Nicky Valentine była słynną śpiewaczką jazzową i bluesową, właścicielką nocnego klubu w Nowym Orleanie.

– Dostali zaproszenie tego samego dnia co ja – dodał Phillip.

– Hm, w takim razie zapowiada się bardzo interesujące spotkanie. Znacznie bardziej interesujące, niż przypuszczałem. Zwłaszcza dla senatora i jego żony. Słuchaj, stary – nachylił się do przyjaciela – założę się, że to co usłyszymy, to będzie bomba. Cokolwiek by to było, na pewno nie będziemy się nudzić.

– Na pewno.

– O rany, szykuje się niezłe przedstawienie. Biali i czarni w jednym koro-
wodzie w takt pieśni staruszki...

Phillip milczał z poważną miną, więc i Ben przestał mówić, czując się nagle głupio z powodu swej ekscytacji.

– To co, jedziemy? – rzucił tylko, a wówczas Phillip uruchomił silnik i wy-
jechali powoli na szosę.

Deszcz niemal ustał, lecz ołowiane chmury wciąż przesłaniały niebo. Do-
bra pogoda na czytanie testamentu, pomyślał Ben i zagłębił się w domysłach,
kogo jeszcze i z jakiego powodu ujrzy w letnim domu Aurora Le Danois Ger-
ritsen. Cokolwiek jednak by się stało, jedna kwestia nie ulegała dlań wątpli-
wości – ta tajemnicza dama z pewnością była osobą, z którą należało się li-
czyć. Nawet po śmierci potrafiła postawić na swoim.

ROZDZIAŁ DRUGI

W wieku siedemdziesięciu czterech lat Spencer St. Amant nie miał zad-
nych poważniejszych zmartwień poza obawą, że burza może zniweczyć mu
plany popołudniowej przechadzki po Esplanade Avenue. Nie cierpiał z powodu
swego wieku. Podczas gdy jego przyjaciele w Pickwick Club bezustannie
rozwprawiali o przeszłości, Spencer zaszywał się w swojej kancelarii na Canal
Street, by rozplanować zajęcia świeżo upieczonym absolwentom prawa, któ-
rzy biegali po mieście, zbierając dla niego informacje.

Swego czasu, jakieś dziesięć lat wcześniej, rozważał ewentualność przej-
ścia na emeryturę. Przemyślał tę decyzję w restauracji u Arnauda, między

musem z krewetek a panierowanym pstrągiem. Kiedy ostatni kęs ryby zniknął z talerza, Spencer pospieszył do biura, by oznajmić swojemu personelowi, że natychmiast należy położyć kres wszelkim zakusom na jego stanowisko.

Póki nie padnie na biurko z głową w tomach kodeksu cywilnego, póty będzie sprawował swoją funkcję.

Spencer wątpił, by ktokolwiek domyślał się prawdziwej przyczyny owej decyzji. Tylko on wiedział, że ani nie zaprzedał duszy prawu, ani nie pociągało go rozstrzygnięcie sporów, ani nie tęsknił za ekspertyzami, poradami i mediacjami. Prawdę mówiąc, wcale nie chciał zostać prawnikiem. W młodości pragnął latać.

Marzył o tym, by wzbijać się ponad chmury, jak bracia Wright, i oglądać z wysokości przestworzy odległe zakątki świata. Zamiast tego pozostał na ziemi, wypełniając rodzinne zobowiązania.

Z obowiązku wobec dawno zmarłych przodków wywiązał się już przed laty. Lecz wciąż poczuwał się do powinności wobec kobiety, którą kochał. Aurore Gerritsen nigdy nie zdawała sobie sprawy, że Spencer kontynuował praktykę prawniczą, aby być blisko niej.

Teraz Aurore już nie żyła, gdyby jednak jej serce wciąż biło, nie wyjawiłby jej tej prawdy. Niczego by to między nimi nie zmieniło, bowiem Aurore mogła być dla Spencera tylko przyjaciółką, nikim więcej.

Teraz spoczywał na nim ostatni obowiązek wobec ukochanej – obowiązek wypełnienia jej ostatniej woli.

Mimo deszczu, do chaty Gerritsenów podązał z wolna.

Przypomniawszy sobie swój pierwszy lot aeroplanem.

Lotniskiem było pole kukurydzy, wiał silny wiatr, słońce właśnie podniosło się nad horyzont. Kiedy kruchy, dwuosobowy samolocik zaczął się unosić, rzucało nim na wszystkie strony. Minęło wiele lat, nazbyt wiele, by je zliczyć, ale Spencerowi głęboko wrył się w pamięć ów moment przerażenia, kiedy uświadomił sobie, że wraz ze startem samolotu zostało puszczone w ruch coś jeszcze, czego nie sposób było zatrzymać, a co mogło odmienić całe jego życie.

Zatrzymał się na ganku i zapukał do frontowych drzwi. Na odgłos zbliżających się kroków skinął ręką kierowcy, który postawił walizkę przy wejściu, uklonił się, a potem wskoczył do auta i odjechał. Spencer starał się trzymać prosto, co przy jego wieku i samopoczuciu zakrawało na bohaterski wyczyn. Kiedy na progu stanęła

Pelichere Landry, odstał krok, jakby czując respekt przed jej tęgą, przysadzistą sylwetką. Pelichere miała ciemne włosy, odziedziczone po akademickich przodkach, czujny wzrok i łagodne serce. Ona, a przedtem jej matka, zajmowały się rodziną Gerritsenów od niepamiętnych czasów.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedział. – Nie byłem pewien, kogo tu zastanę.

– No tak – westchnęła. – Póki co, wciąż tu jestem. – Cofnęła się odrobinę, by lepiej mu się przyjrzeć.

– Czuję się dobrze – powiedział, dostrzegłszy troskę w jej spojrzeniu.

– Ale coś pan za dobrze nie wygląda.

– Powiedz mi lepiej, kto przyjechał. Chciałbym uniknąć niespodzianek.

– Dawn jest już na górze, w pokoju. Dałam jej jeść. Ben Townsend też przyjechał, ale gdzieś sobie poszedł.

– Na pewno wróci.

– Dużo ich jeszcze się najjeżdża?

– Dużo – powiedział Spencer.

– Ano – Pelichere westchnęła z rezygnacją – Aurore zawsze umiała postawić na swoim. Pewnie uznała, że

tak będzie najlepiej. – Schyliła się po walizkę i dodała: – Pokój jest wysprzątany, a jak pan chce kawy, to jest w kuchni.

Spencer uśmiechnął się z wdzięcznością, jednak warkot silnika rozwiął w jednej chwili kuszącą wizję odpoczynku przy parującej filizance. Odwrócili się oboje z Pelichere i patrzyli, jak ciemny lśniący lincoln zatrzymuje się pod jednym z rozłożystych dębów.

– Senator – oznajmił Spencer, choć Pelichere zapewne sama się tego domyśliła.

– No to ja się biorę za ryby.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem i na niego spadł obowiązek powitania Ferrisa i Cappy Gerritsenów.

Ferris Lee Gerritsen nie był przystojnym mężczyzną, w każdym razie nie w klasycznym znaczeniu tego słowa. Szeroki w ramionach, o wypukłej klatce piersiowej, miał wysokie czoło i gęste siwe włosy, wymagające starannego strzyżenia. Jego nos doznał wielokrotnych kontuzji, a impertynencki zarys policzków sprowokował niejedną cios.

Lecz jakież znaczenie miał kształt nosa czy zarys szczęki wobec magnetyzującej osobowości? Oczy senatora pały patriotycznym żarem, a władczy, donośny głos potrafił smagać i powalać. Jego charyzma, w połączeniu z niezwykłym wyczuciem oczekiwań i potrzeb wyborców, mogła zaprowadzić go prosto na fotel gubernatora w 1968 roku.

Jego żona, Cappy Gerritsen, uchodziła za kobietę kapryśną i humorzystą. Z pewnością nie brakowało jej elegancji; teraz na przykład ubrana była w strój odpowiedni bardziej na południową partyjkę brydża lub salonowe płoteczki niż na czytanie rodzinnego testamentu – szykowna, luźna suknia z białego lnu miała stosowną długość tuż nad kolana, pantofelki zwracały uwagę modnymi

noskami, zaś gustowna biżuteria doskonale podkreślała złocisty odcień jej blond włosów.

Ferris nie tracił czasu na uprzejmości. Zaczął mówić, nim dotarł do ganku, wyraźnie niezadowolony z powodu konieczności przyjazdu w tak trudno dostępne miejsce:

– Przystąpmy od razu do interesów, póki nie zmyje nas stąd do samego piekła.

– Wysłuchałem po drodze prognozy – uspokoił go Spencer. – Chyba nie będzie tak źle.

– Kilkakrotnie próbowałem pana złapać w ostatnich dniach.

– Doprawdy? – Spencer wiedział, że „kilkakrotnie” oznacza najwyżej dwa razy.

– Nie rozumiem, w czym rzecz. Miałem być w tym tygodniu w Baton Rouge, musiałem odwołać spotkanie. Nie można było odczytać testamentu w Nowym Orleanie?

– Wytlumaczę to, kiedy wszyscy się zbierzemy.

Serdeczność Ferrisa wyraźnie przygasła.

– Wszyscy? To znaczy kogo mamy się jeszcze spodziewać?

– Może przyjechała nasza córka – wtrąciła cierpko Cappy.

– Tak, Dawn jest tutaj, choć jeszcze jej nie widziałem – potwierdził Spencer.

– Cóż, przypomniała sobie, że ma rodzinę.

– Cappy, na miłość boską – uciszył żonę Ferris, a potem znów przeniósł spojrzenie na Spencera.

– Czy mógłbym się wreszcie dowiedzieć, o co tu chodzi?

– Spełniam życzenie pańskiej matki. To wszystko, co w tej chwili mam do powiedzenia.

– Jak to wszystko? – Ferris zmarszczył brwi. – Chce pan powiedzieć... – nie dokończył, a jego spojrzenie przeniosło się z twarzy Spencera na aleję, skąd nadjeżdżało właśnie niewielkie auto, jeden z tych nowych modeli wyprodukowanych w Detroit.

Spencer miał ochotę usiąść. Usiąść i odpocząć.

Zaprzagnął też szklaneczki musującego ramos^{*6}, choć dawno już wziął rozbrat z podobnymi pokusami.

– A to kto? – zapytał Ferris.

Samochód zatrzymał się i po chwili zza kierownicy wysiadł wysoki, przystojny mężczyzna. Z wyraźną ulgą

⁶ * Ramos – miksowany koktajl z dżinu, białka, cytryny, soku limonki, cukru i pomarańczy; podawany z odrobiną wody sodowej w wysokiej szklance (przyp. tłum.).

rozprostował kości, po czym zatrzasnął drzwi i rozejrzał się z zainteresowaniem wokół siebie.

Jednak Ferris zwrócił najpierw uwagę na jego pasażera.

– Ben Townsend? – zdziwił się na widok młodzieńca, który nosił się z właściwą jego wiekowi bezceremonialną swobodą. Postąpił ku niemu kilka kroków, ten zaś wepchnął ręce do kieszeni i odezwał się, zanim

Ferris zdążył otworzyć usta:

– Dobry wieczór, senatorze.

– Wie pan, że nie jest pan tu mile widziany – wycedził Ferris. – Pański... przyjaciel również.

Spencer zszedł z ganku, uprzedzając odpowiedź Bena. Wyciągnął dłoń do Phillipa Benedicta, potem

podał rękę Benowi Townsendowi.

– Witam panów. Nazywam się Spencer St. Amant i jestem... właściwie byłem... adwokatem Aurore Gerritsen. Dziękuję, że przyjechaliście.

– Dosty tego przedstawienia – zachnął się Ferris. – Chcę wiedzieć, co tu jest grane.

– Powiem panu, co jest grane, senatorze – odezwał się Phillip z ujmującym uśmiechem. – Nazywam się Phillip Benedict. Pańska matka zaprosiła nas, abyśmy wysłuchali jej ostatniej woli. Skoro reprezentuje pan ją na tym łez padole, zapewne zechce pan, byśmy poczuli się jak u siebie w domu.

– W tym domu nie jesteście u siebie.

– Jako prawnik pana matki, witam Bena i Phillipa w jej imieniu. Są jej gośćmi – wtrącił się Spencer i odwrócił się od senatorskiej pary, dając do zrozumienia, że tę kwestię uważa za zamkniętą. – Co prawda przyjechałem dopiero przed chwilą, ale o ile wiem, pokoje dla was są przygotowane.

Warkot kolejnego auta zagłuszył odpowiedź Phillipa.

Obaj z Benem odwrócili się ciekawie, kto przybywa tym razem. Ferris i Cappy również oczekiwali na pojawienie się pasażerów najnowszego modelu luksusowego thunderbirda. Kiedy zaś samochód zatrzymał się wreszcie obok Phillipa i wysiadła z niego kolejna para, spojrzeli po sobie, jakby jedno u drugiego szukało wyjaśnienia dla tak niezwyklej odwiedzin.

Naprzeciw nowym gościom wyszedł Phillip.

– Cześć, Nicky – uśmiechnął się, a Nicky Reynolds zatrzymała się obok syna i objęła go lekko na powitanie. Zaraz jednak przeniosła czujny wzrok na werandę.

– Pan St. Amant? – zapytała.

Spencer skinął głową i wyciągnął ku niej rękę. Nicky przedstawiła mu męża i przeniosła wzrok na małżeństwo Gerritsenów.

– Witaj, Ferris – skłoniła lekko głowę – zapewne nie miałeś przyjemności poznania mojego męża.

Jake nie spieszył się z powitaniem, Ferris nawet nie drgnął. Ben uratował niezręczną sytuację, podając dłoń Nicky.

– Może więc ja się przedstawię. Jestem Ben Townsend.

Spencer patrzył na to wszystko z drżącym sercem.

Przez moment żałował, że Aurore wybrała go, by przeprowadził jej plan. Cóż, sam się na to zgodził, choć przecież wiedział, że jej decyzje często były ryzykowne i zbyt pochopne.

– Właśnie mówiłem, że pokoje są przygotowane – odezwał się rzeczowym tonem. – Zapewne też czeka kolacja, jeśli ktoś z państwa nie zdążył się posiłnić.

– Dziękujemy, ale chcielibyśmy raczej jak najszybciej poznać testament i wyjechać – powiedziała Nicky.

– Być może szlachetnym zamiarem Aurore Gerritsen było urządzenie przyjęcia, w trakcie którego odnotowany zostanie postęp w dziedzinie wzajemnego poszanowania czarnych i białych oraz równego dostępu do praw obywatelskich, lecz prawdę mówiąc, nie przypadł mi do gustu pomysł nocowania w tym domu.

Spencer spodziewał się oporu. Miał przygotowaną odpowiedź.

– Jest o wiele za późno, żeby dzisiaj wracać – zauważył.

– Obawiam się jednak, że ani nam nie w smak odgrywać rolę gości, ani senatorowi Gerritsenowi rolę gospodarza.

– Przykro mi, to nie jest takie proste.

– Dlaczego nie? Niech jadać – zakomenderował Ferris.

Spencer zdał sobie sprawę, że sama uprzejmość i subtelna perswazja nie wystarczą.

– Obawiam się, senatorze – spojrzał na niego nieśmiało – że to niemożliwe. Pańska matka zastrzegła sobie, że wszyscy mają nocować w chacie. Rano zapoznam państwa z warunkami odczytania testamentu.

Ostrzegam jednak, że rozpakowanie bagażu może okazać się konieczne. Spędzimy bowiem tutaj razem aż cztery noce.

– A cóż to znowu za farsa? – zaprotestował Ferris.

– Chyba nie pozamyka nas pan na klucz! Nie zgadzam się!

Spencer przypomniał sobie nagle moment, kiedy staroświecki, dwuosobowy samolot oderwał się od ziemi i potem nic już nie było tak jak dawniej.

– Oczywiście nikogo nie będę zatrzymywał – westchnął. – Muszę jednak uprzedzić, że każdy, kto opuści to miejsce przed ogłoszeniem testamentu, nie otrzyma niczego w spadku.

Ostatnie słowa Spencera dobiegły Dawn, kiedy była w korytarzu. Nim zdążyła pchnąć prowadzące na werandę drzwi, usłyszała jeszcze głos Nicky Reynolds:

– Nie wyobrażam sobie, żeby kobieta, której nie znałam, zostawiła mi w spadku coś istotnego, nie widzę więc powodu, dla którego powinnam postępować wbrew sobie.

Dawn wyszła na werandę, siatkowe drzwi z hałasem zatrzasnęły się za jej plecami. Nicky spojrzała natychmiast w jej stronę, a Ben cofnął się gwałtownie na jej widok, jakby Dawn wymierzyła właśnie w niego pistolet i zamierzała pociągnąć za spust.

– Niech pani zostanie, pani Reynolds – odezwała się, schodząc po schodkach. – Skoro babcia życzyła sobie pani obecności, z pewnością nie chciała narazić pani na szwank.

Celowo skupiła uwagę na Nicky i jej mężu. Musiała to zrobić, skoro wśród zebranych były aż trzy osoby, którym musiałaby stawić czoło – Ben, jej ojciec oraz matka. Bezpieczniej było podejść do Nicky Valentine Reynolds, znanej powszechnie śpiewaczki, która wmieście słynnym z rasowych podziałów nie tolerowała segregacji wśród swojej publiczności. Tym bardziej że zainteresowanie Dawn jej osobą było naturalne i szczere.

– Miło mi państwa poznać, jestem Dawn Gerritsen – wyciągnęła dłoń do Nicky i jej męża. – Z przyjemnością pokażę państwu pokój. Jest duży i przylega do mojego. Mam nadzieję, że nie będzie to państwu przeszkadzało. Przy dobrej pogodzie widać z okna Zatokę. Mam nadzieję, że jednak państwo zostaną.

Nicky ujęła dłoń Dawn z właściwym sobie wdziękiem, choć nie bez rezerwy. Potem przedstawiła dziewczynie męża i Dawn poczuła, jak jej ręka znika w twardej dłoni Jake’a Reynoldsa. Jake był postawnym mężczyzną, wysokim i barczystym, przy którym kobieta mogła czuć się bezpiecznie. Po tym powitaniu Jake odprężył się trochę, lecz nie opuszczał Nicky na krok, niczym dobrze wyszkolony ochroniarz.

Dawn obróciła się nieco, by zerknąć kątem oka na rodziców. Zauważyła, że zmienili się w ciągu ostatnich miesięcy. To znaczy na pewno zmienił się ich wygląd, bowiem postawa wobec córki pozostała, zdaje się, taka sama – matka wpatrywała się w dal nieobecny spojrzeniem, jakby nie zajmowało ją to, co dzieje się wokół niej, ojciec natomiast uporeczywie przyglądał się córce zwięzonymi źrenicami i bez trudu można było odgadnąć, co o niej myśli.

Swoje następne słowa Dawn skierowała zarówno do niego, jak do Nicky:

– Nikt nie robi tu pani krzywdy, daję na to słowo.

– Interesujące – wtrącił się Phillip – zważywszy na fakt, że tak znamienita i wpływowa rodzina dopuściła, by jednego z jej członków ubito jak psa.

Dawn po raz pierwszy spojrzała na Phillipa.

– Proszę wybaczyć. Chyba się nie znamy.

– To mój syn, Phillip Benedict – przedstawiła go Nicky.

Dawn rozpoznała nazwisko, czytała wiele jego artykułów. Chciała się przedstawić, jednak nim zdążyła otworzyć usta, po raz pierwszy odezwał się Jake:

– Dobrze, panno Gerritsen. Zostajemy. Wszyscy. Nicky chciała chyba za protestować, lecz trwało to tylko chwilę i jedynie Dawn dostrzegła cień buntu w jej ciemnych oczach.

Dawn była zachwycona urodą tej śniadoskórej damy. Nawet zagniewana, Nicky była niezwykle piękna. Gdyby urodziła się sto lat wcześniej, zrobiłaby zapewne furorę na balach kwarteronów*⁷ w Dzielnicy Francuskiej. Niejedna piękna niewiasta mieszanej krwi była w dziewiętnastym wieku obiektem westchnień i powodem honorowego pojedynku. Nowoorleańska socjeta wyznaczyła nawet takim kobietom specjalne miejsce wśród lokalnej społeczności – nie przyzwalała jedynie na mieszane śluby.

Posłyszała, że Ben oferuje swoją pomoc przy niesieniu walizek, więc odstąpiła na wszelki wypadek na bok.

Mimo wszystko wołała trzymać się od niego z daleka.

Ben z kolei trzymał się blisko Phillipa, co pozwalało dostrzec pewne podobieństwa między nimi. Obaj zachowywali się tak, jak gdyby byli w posiadaniu jakiejś wielkiej tajemnicy, tak wielkiej, że jej znajomość oddzielała ich od reszty śmiertelników. I choć nie znała Phillipa, miała wrażenie, że obaj marzą o tym samym – żeby skazać jej rodzinę na potępienie.

– Chodźmy na górę, nim panowie wniosą bagaże – zwróciła się do Nicky.
– Obejrzymy pokoje, może spodoba się pani jakiś inny?

Nicky skinęła głową przytakująco. Dopiero wspinając się po schodkach, Dawn zdała sobie sprawę, że jej rodzice usunęli się dyskretnie z werandy. Pewnie mieli dość „bezczelnego” zachowania córki.

W korytarzu przystanęła na chwilę, nie mogąc oprzeć się pokusie, by wykorzystać tak osobliwe okoliczności na pogawędkę z gwiazdą.

– To duży dom, choć z zewnątrz na to nie wygląda – zagadnęła. – Zbudowała go pewna akadyjska rodzina ponad sto lat temu. Kiedym była mała, często nie spałam w nocy i nasłuchiwałam odgłosów duchów.

– I usłyszałaś jakiś?

– A co by pani powiedziała, gdybym przyznała, że tak?

– Powiedziałabym, że masz bujną wyobraźnię.

– Jestem fotografem. Niektórzy twierdzą, że to zajęcie nie wymaga wyobraźni.

– Niektórzy uważają, że śpiewanie też nie wymaga wyobraźni.

⁷ * Kwarteroni – osoby mające jedną czwartą krwi murzyńskiej (przyp. tłum.).

Dawn ucieszyła ta „koleżeńska” uwaga. Instynktownie wyczuwała, że choć nosi nazwisko Gerritsen, Nicky nie odnosi się do niej z niechęcią, która była wyraźna, gdy kobieta patrzyła czy zwracała się do jej rodziców.

Ona też czuła wobec Nicky sympatię. Nie tylko podziw i uznanie dla jej talentu, ale właśnie sympatię.

Obejrzały wspólnie pokoje na parterze, po czym ruszyły w kierunku schodów prowadzących na piętro. Dawn miała nadzieję, że nie spotka po drodze rodziców.

Od chwili kiedy jawnie przeciwstawiła się ojcu, perspektywa ponownego z nim spotkania nie budziła w niej entuzjazmu.

Zaprowadziła Nicky do sypialni na końcu korytarza – przestronnej, przewiewnej, wyposażonej w stare sosnowe meble o prostych, niewyszukanych liniach. Dziewiętnastowieczne łóżko z baldachimem przykrywała ręcznie dziergana, koronkowa narzuta, na podłodze leżała przed nim plecionka z morskich traw.

– To był pokój mojej babki. – Dawn pierwsza weszła do środka. – Myślę, że będzie tu pani wygodnie. Ładny widok, odrębna łazienka...

– Więc to był pokój twojej babki?

– Tak, jeden z największych w tym domu i zdecydowanie przez nią ulubiony. Niech pani tylko wyjrzy... – Podeszła do francuskiego okna, prowadzącego na niewielki balkonik, i otworzyła je na oścież. Do środka wpadł poddmuch świeżego powietrza, wypędzając zastałe wonie. – Wspaniała perspektywa, prawda?

– Dlaczego mi oddajesz ten pokój?

– A dlaczegoż by nie?

– Chyba znasz odpowiedź.

Dawn pokręciła z westchnieniem głową. Rzeczywiście, była córką Ferrisa Lee Gerritsena, polityka, który głosił potrzebę utrzymania segregacji rasowej. Ale przecież tylko córką, a nie samym Ferrisem!

– Mam nadzieję, że nie przypisze mi pani poglądów ojca. Mamy odmienne opinie na wiele spraw.

– Na pewno jesteś zupełnie inna, niż to sobie wyobrażałam.

– Pani też – zrewanżowała się Dawn.

Jako doświadczony fotoreporter potrafiła szybko oceniać twarze, wiedziała już więc, że Nicky należy do rzadkiego gatunku osób, których niepospolita uroda urzeka zarówno na fotograficznej kliszy, jak w naturze.

Ciemne włosy okalały zgrabną głowę krótkimi, miękkimi kędziorami. Oczy miały barwę niezgłębionej zieleni, niczym spokojna powierzchnia ocienionego drzewami rozlewiska. Z regularnych, wyrazistych rysów twarzy wychyłała zmysłowość i w jakiś nieodgadniony sposób – a to fascynowało Dawn chyba najbardziej – mądrość.

Nicky była co najmniej w wieku jej rodziców, lecz wiek zdawał się tylko podkreślać atuty jej urody.

Łapała się na tym, że zbyt długo patrzy w tę klasycznie piękną twarz, i dodała z lekkim zakłopotaniem:

– Moja babcia wszystko o pani wiedziała. Była pani jej wielką faworytką.

– Naprawdę? – Nicky zainteresowała się uprzejmie.

– Tak. A ja dorastałam, słuchając pani głosu. Grandmère miała wszystkie pani płyty, a pani twarz uśmiechała się do mnie z okładek kolejnych albumów, które ustawiała na półce.

– Nie znałam twojej babki.

– Myślę, że by ją pani polubiła.

Nicky przesunęła dłonią po koronkowej narzucie, ale nie skomentowała tej wypowiedzi. Od strony schodów dobiegły kroki. Dawn zrozumiała, że chwila prywatności dobiega końca.

– Zdaję sobie sprawę, że dla pani to dość... niecodzienna sytuacja, pani Reynolds. Proszę mi powiedzieć, co mogę zrobić, żeby nie czuła się pani skrepowana.

– Będziemy się tu czuli skrepowani, mimo wszelkich starań.

– Gdyby jednak... Dobrze – Dawn zaniechała dalszych próśb, widząc pełen zakłopotania uśmiech Nicky.

– Nie poznała pani jeszcze Pelichere Landry – zaczęła innym tonem. – Była przyjaciółką i opiekunką Grandmère.

To ona dba o ten dom, kiedy stoi pusty. Wiem, że przygotowała coś do jedzenia. Kiedy się pani rozgości, proszę zejść na dół. Pelichere panią nakarmi.

Uśmiechnęła się jeszcze i wycofała do drzwi. Jake i Phillip zatrzymali się właśnie na progu, Ben z walizką przystanął za nimi. Dawn przeprosiła ich i minęła bez słowa.

– A jednak zdecydowałaś się przyjechać. – Phillip ucałował matkę w czoło i zajął w jej ciemne oczy.

– Nie wiem, co mnie podkusiło. – Odsunęła go od siebie z westchnieniem. Ten temat wałkowali niemal od miesiąca. Jej syn nastawał, a ona stanowczo odmawiała przyjazdu na wyspę. Wreszcie uległa, posłuszna bardziej jakiemuś dalekiemu głosowi z głębi serca niż synowskim namowom i naleganiom. – Tylko mi nie mów, że nie masz pojęcia, po co to wszystko. – Popatrzyła na niego surowo. – Nigdy nie potrafiłeś przekonywająco kłamać.

– Daj mu na razie spokój – Jake ujął się za pasierbem.

– Jadłeś kolację, Phillipie?

– Nie napotkałem po drodze miejsc, gdzie człowiek o moim kolorze skóry mógłby najeść się do syta i nie stracić przy tym zębów.

Jake roześmiał się ponuro. Obaj nazywali podobne uwagi „czarnym humorem” – ze świadomością dwuznaczności słowa „czarny”.

– Dawn zapewnia, że w kuchni znajdziemy coś do jedzenia – wtrąciła się Nicky.

– Czy chciała przez to powiedzieć, że my mamy jeść w kuchni, a biali w jadalni? – zapytał z przekąsem Jake.

– Nie sędzę, żeby to miała na myśli. To chyba dobra dziewczyna. Próbowała okazać nam serdeczność.

– Jeśli Dawn choć odrobinę przypomina swojego ojca – zauważył Phillip – nawet się nie spostrzeżesz, jak

omami cię i skołuje, kłamiąc w żywe oczy.

– Tak dobrze go znasz?

– Powiedzmy, że wiem o nim co nieco.

– I o Gerritsenach też?

– Też.

– Nietrudno się domyślić.

– No dobra. Mam zejść do kuchni i przynieść coś na górę? – wtrącił się Jake. – Mam wrażenie, że macie ochotę na rozmowę w cztery oczy.

– Byłabym wdzięczna.

– Mnie jest wszystko jedno. – Phillip wzruszył ramionami. – Nie musisz zostawiać nas samych, Jake.

– Tak będzie lepiej.

Jake wyszedł, gdy zaś umilkły na schodach jego kroki, Nicky spojrzała podejrzliwie na syna:

– Czas, żebyś wyjaśnił to i owo – powiedziała.

Phillip stanął obok nocnego stolika i dotknął dłonią rozkwitający wazonie bukiet zawilców. Obok ułożono kilka powieści, których kolorowe okładki zachęcały do czytania.

– Jesteś jedną z niewielu osób, która wie, że Aurore Gerritsen wynajęła mnie, żebym spisał jej wspomnienia. I że dyktowała mi kolejne rozdziały.

– Wiedzieć nie zawsze znaczy rozumieć.

– Nie chciałaś zrozumieć. Jeszcze tydzień temu mówiłaś, że nigdy tu nie przyjedziesz.

– Co mnie może obchodzić testament tej kobiety?

– Ta kobieta chciała, żebyś tu była. Nie interesuje cię, dlaczego?

– Tylko trochę.

– A nie jesteś ciekawa, jak daleko się posunęła w swej opowieści? Ile prawdy wyjawiała o swoim życiu?

Nicky milczała, więc Phillip sam odpowiedział na swoje pytanie:

– Powiedziała mi wszystko, do końca.

– Skąd to możesz wiedzieć? – Podeszła do okna i zapatrzyła się na pomarszczone, powyginane wiatrem dęby.

– Wiem. – Phillip stanął za nią i położył dłoń na jej ramieniu. – Na razie mogę ci tylko powiedzieć, że człowiekiem, którego wiele lat temu poznałem w Maroku pod imieniem Hap, był Hugh Gerritsen.

Zesztywniała i strząsnęła z ramienia jego dłoń.

– I dlatego tu jesteśmy? Bo kiedyś, dawno temu, znaleźmy syna Aurore Gerritsen?

– Sądzę, że częściowo dlatego.

– A co się składa na pozostałe części? – Odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

– Nie mogę wypowiadać się za Aurore. Jeszcze nie teraz. Ale chyba mogę mówić za ciebie. Mam wrażenie, że oczekujesz odpowiedzi na pytania, które dawno przestałaś sobie zadawać. Wkrótce będziesz musiała podzielić się nimi także z Jakiem. Chyba nie uda się dłużej skrzętnie ukrywać prywatnych tajemnic.

– Boże, Phillip – zniecierpliwiła się Nicky – czy ty nie możesz żyć, nie węsząc wszędzie jakichś tajemnic, kłamstw i podtekstów? Wciąż nurtują cię jakieś pytania. Ciągłe drażysz i drażysz, jak język, który bezwiednie maca bolący ząb. Teraz rozumiem, dlaczego wybrałaś sobie taki zawód.

– Jeśli przestajesz drażnić, nie dochodzisz prawdy.

– Myślisz, że to się właśnie tu wydarzy? Że poznamy prawdę?

– Myślę, że mamy to jak w banku.

– Jaką prawdę?

– Zobaczysz.

Nicky poczuła nagły niepokój. Po raz nie wiadomo który zaczęła się zastanawiać, co Phillip wie o jej związku z Hugh Gerritsenem. Co prawda był wówczas małym chłopcem, ale zawsze odznaczał się znakomitą pamięcią.

– W każdym razie powinnaś się strzec – dodał, jakby umiał czytać w jej niespokojnych myślach .

– Strzec się czego? Ujawnienia prawdy czy senatora?

– Na początek senatora.

– Wiem, że powinnam być ostrożna – przyznała. – To dlatego nie chciałam tu przyjeżdżać. Ty też na siebie uważaj.

– Przeworność mam we krwi, mam. Tylko dlatego wciąż jeszcze płynie w moich żyłach.

Ich rozmowę przerwał Jake, który pojawił się w drzwiach z zastawioną tacą.

– Starczyło mi rąk na dwa nakrycia, Phillip. W kuchni rzeczywiście jest mnóstwo jedzenia. Gdybyś zechciał przynieść coś sobie i zjeść razem z nami, będzie nam bardzo miło.

– Potem zjem. Teraz pójdę się rozpakować.

Nicky w milczeniu odprowadziła syna do drzwi.

Cieszyła się, że rozmowa została przerwana, a jednocześnie tego żałowała. Gdy została sama z mężem, wzięła z tacy szklanke mrożonej herbaty i wyznała z westchnieniem:

– Teraz żałuję, że zgodziłam się tu zostać.

– Coś się stało? – Jake spojrział na nią z zatroskaną miną.

– Właściwie to nic. – Odczekała, aż postawi tacę na nocnym stoliku, a potem przytuliła się do niego. – Wydaje

mi się jednak, że powinniśmy stąd wyjechać. Im prędzej, tym lepiej.

Pogłaskała ją po głowie i pocałował w czoło.

– Ej – uśmiechnął się krzepiąco – chcesz im pokazać, że się boisz? Że uważasz siebie za niegodną Gerritsenów? Nie zwracaj na nich uwagi i dowiedz się, o co w tym wszystkim chodzi, skoro już cię tu zaproszono.

Niestety, Nicky bała się, że wie, o co w tym chodzi.

– Jest mi wszystko jedno, co sobie pomyślą – odparła. – Mogą nawet myśleć, że stchórzyłam.

– Chcesz więc zostawić syna na ich pastwę?

– Przynajmniej sobie podje – zażartowała, lecz żart wypadł blade. – To, co przyniosłeś z kuchni, wygląda i pachnie smakowicie.

Jake zignorował jej lekki ton.

– Może się okazać, że niektórych warto było poznać – powiedział, patrząc na nią poważnie. – Z różnych względów.

– Wiem. – Nicky pomyślała o Dawn, a zaraz potem o tym, co powiedział jej Phillip. – Zjemy coś? – zapytała, aby zmienić wreszcie temat.

Jake z ociąganiem ruszył w stronę stolika, na którym wcześniej postawił tacę. Po drodze pogłodził dłonią koronkową kape i uśmiechnął się do żony znacząco.

– Dobrze, zjedzmy. A potem udamy się na spoczynek.

– Spoczynek? Uważasz, że to właściwe słowo?

– Możesz użyć innego. Na przykład: rekompensata za pozostanie w tym przebrzydłym towarzystwie.

Prze chwilę chciała mu wyznać, że bez niego nie byłaby zdolna pozostać pod jednym dachem z Ferrisem Gerritsenem bez względu na jakąkolwiek rekompensatę, jednak zrezygnowała. Uśmiechnęła się tylko nieznacznie i wyciągnęła ramiona, a Jake zamknął ją w nich i osłonił od niebezpieczeństw.

ROZDZIAŁ TRZECI

Cappy Gerritsen wystarczył rzut oka na pokój, w którym mieli nocować, by stwierdzić:

– Mówiłam ci, żebyśmy tu nie przyjeżdżali.

Ferris ani nie wyraził niezadowolenia z powodu tej uwagi, ani nie wypomniał, że żona nie odezwała się ani słowem podczas dwuipółgodzinnej podróży z Nowego Orleanu. Humory Cappy oscylowały przeważnie między nadąsanym milczeniem a kwiecistą elokwencją. Po dwudziestu kilku latach małżeństwa przywykł do jej zmiennych nastrojów.

Zapalił papierosa i przyglądał się, jak obracający się pod sufitem wentylator rozwiewa kółka dymu. Jednym z niewielu podobieństw Cappy do jego matki była nieprzewyciężona niechęć do klimatyzacji. Co roku na wiosnę ich dom w Nowym Orleanie padał ofiarą niemiłosiernego upału i wilgoci, który to stan trwał aż do połowy czerwca. Tutaj było podobnie – przez kaprysy matki w chacie nie sposób było wytrzymać przez całe lato.

– Nie patrz tak na mnie. Na pewno myślisz tak samo

– Cappy sapnęła z niezadowoleniem, po czym przygryzła dolną wargę gestem, który zapewne uchodziłby za cudownie prowokujący u panienki, lecz niezmiernie irytował u czterdziestosiedmioletniej kobiety.

Ferris zgasił papierosa w doniczce z paprotką i zapalił następnego.

– Przyjechałem tu przez wzgląd na moją matkę.

– Rozumiem. Ale czy po to tłukliśmy się taki kawał drogi, żeby spotkać tych wszystkich ludzi?

Ferris nie kwapił się, by ją uspokajać. Cappy znów sapnęła i zaczęła nerwowo przestawiać muszelki, ułożone rzędkiem na komodzie.

– Sam przyznasz, że to nie ma żadnego sensu. Nie wystarczy ci, że twoja matka kazała się skremować? I to natychmiast, jakby nie można było poczeekać, aż rodzina się zbierze i oficjalnie ogłosi datę uroczystego pogrzebu. No a teraz następna fanaberia. Kiedy nasi znajomi się o tym dowiedzą, uznają, że twoja matka dalej wodzi nas za nos, nawet po śmierci.

– Wątpię, czy okażą się aż tak spostrzegawczy.

Cappy spojrzała bez satysfakcji na własne dzieło i postanowiła uszeregować muszle jeszcze raz, tym razem według wielkości.

– Dawn to osobny temat. Wysłałam za nią chyba piętnaście telegramów, żeby ją powiadomić o śmierci babki, ale ona nie raczyła się do nas odezwać.

Ferris nie był zdziwiony złym humorem żony. Dla świętego spokoju próbował załagodzić jej rozdrażnienie, lecz sam zachodził w głowę, co mogło skłonić Aurore do tak niewiarygodnych poczynań. Gdyby jeszcze córka zachowywała się jak należy, byłby jeden kłopot mniej, lecz nic nie wskazywało na to, że Dawn jest skora do pojednania.

– Nie martwi cię, co wyprawia nasza córka? – ponownie odezwała się Cappy. – Dlaczego nic nie mówisz?

– Martwi – przyznał. – Ale Dawn już jakiś czas temu dała nam do zrozumienia, żebyśmy się nie wtrącali w jej

życie. Jest dorosła, cóż możemy zrobić?

– Och, dorosła. Oczywiście, nie będziemy się wtrącać. Możemy w ogóle się z nią nie spotykać.

– Nie przesadzaj.

– Wybacz, Ferris, czy to ja przesadzam? Czy ja nie daję znaku życia przez całe miesiące? Ja zachowuję się tak, jakby śmierć Aurore nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia? Ja prowadzam się z jakimiś dziwadłami, zamiast powitać najpierw własnych rodziców? Nie, nie mam ochoty uczestniczyć w tym cyrku. Moim zdaniem nie ma żadnego powodu, żeby zostać tutaj choćby na jedną noc. I tak nikt nie podważy twojego prawa do spadku.

– Spencer St. Amant jest mimo wieku godnym przeciwnikiem – zauważył Ferris. – Zawsze potrafił dopiąć swego. Jestem pewien, że to dlatego matka wybrała go na reżysera tego, jak powiedziałaś, cyrku.

Cappy przesunęła dużą muszlę na środek i cofnęła się, by obejrzeć rezultat swoich zabiegów.

– Zgodnie z prawem należy ci się jedna trzecia majątku, prawda? Nie istnieje chyba żaden sposób, by cię go pozbawić.

– Zadowolimy się jedną trzecią, czy chcemy zgarnąć wszystko? W grę wchodzi pakiet kontrolny Gulf Coast.

Zauważył, że jej dłonie znieruchomiały. Gulf Coast Shipping był najcenniejszym klejnotem rodu Gerritsenów, multimilionowym imperium finansowym, obejmującym swoim zasięgiem port w Nowym Orleanie i ruch rzeczny na Missisipi. Rodzina Cappy nie należała do ubogich, lecz korporacja i wpływy Ferrisa dawały jej władzę i upragnioną pozycję społeczną w Nowym Orleanie.

Ferriswpełni popierał to pragnienie. Dawno przekonał się, że Cappy jest cennym nabytkiem w pakiecie jego aktywów. Potrafiła, jeśli chciała, okazywać ujmująco wytworne manieri osoby dobrze urodzonej i z nieodpartym czarem podkreślać polityczne zalety męża.

Cappy, z jej dystyngowanym sposobem bycia, jaki wyniosła z plantacji w River Road, umiała brylować na rautach i koktajlach nie gorzej niż Jackie Kennedy.

– Porozmawiam ze Spencerem – odezwał się spokojnym tonem. – Będę nalegał, żeby zakończył to jak najszybciej. Jeśli się nie zgodzi, zawsze możemy zaryzykować i wrócić do miasta. Jeśli jednak wyjedziemy, nie dowiemy się, co się tu wydarzy, prawda?

– Na wszystko masz odpowiedź.

Podszedł do niej i nachylając się, pocałował ją lekko w policzek.

– To co, zostajesz?

– Wygląda na to, że nie mam wyboru.

– Rozpakuj się więc, a ja pójdę się rozejrzeć. Może się czegoś dowiem.

Nim doszedł do drzwi, obejrzał się przez ramię.

Cappy, pochylona nad komodą, kolejny raz z zapamiętaniem przestawiała muszelki.

Wyszedł na korytarz, zaczął schodzić po schodach, które skrzypiały tak samo jak wtedy, gdy przyjeżdżał tu jako dziecko. Letni dom jego matki urządzony był z oryginalną prostotą, lecz każdy, najmniejszy nawet element jego wystroju, był widowym znakiem dostatku i wspaniałej tradycji rodu, którego członkowie rozpierzchli się na zawsze. Ferris spędzał za młodu wszystkie wakacje w tym domu. Teraz miał nadzieję, że widzi go po raz ostatni.

Dawn wypakowała swoje rzeczy i chciała położyć się po podróży, lecz zamiast tego zaczęła chodzić niespokojnie z kąta w kąt, nie mogąc uwolnić się od wspomnień, które nagle ją dopadły. Ze wzruszeniem patrzyła na sprzęty, nietknięte od lat i jakby żywcem wyjęte z jej pamięci. W szafie wisiały ubrania, które nosiła jako nastolatka. W dolnej szufladzie serwantki leżał różowy strój kąpielowy i plisowana spódniczka, a pod nimi gustowne, acz nieco już wypłowiałe ściereczki i haczyki do bielizny. Zatrzymała się przy oknie, przypatrując się mżawce. Zatoka tonęła w szarej mgłę, widać było ledwie jej skrawek. Spienione fale kołysały się i przewalały, woda była ciemna i mętna.

Usłyszała pukanie i odwróciła się.

– Proszę – powiedziała.

Trzech mężczyzn miało wpływ na to, jaką Dawn była kobietą. Ostatnim z nich był Ben. Przed nim swoje piętno na jej osobowości odcisnął wuj Hugh. Pierwszym natomiast, być może najważniejszym, był ten, który stanął właśnie w progu jej pokoju.

– Tata? – uśmiechnęła się ostrożnie.

Ojciec odwzajemnił uśmiech.

– Czyżby to była moja córka? Nikt inny nie nazywa mnie tatą.

– Jeśli masz zamiar zacząć od początku, to pożałuję, że wróciłam.

– Nie mam zamiaru – odparł. – Sama wiesz, że powinnaś zadzwonić do matki, kochanie.

– Wiem. – Dawn przeszła przez pokój, wspięła się na palce i ucałowała go w policzek. – Chciałam być sama, potrzebowałam trochę czasu, żeby to wszystko przemyśleć. Po śmierci Grandmère...

– W tym tkwi twój problem – przerwał jej. – Za dużo myślisz.

– Żyjemy w latach sześćdziesiątych, tato. – Dawn pokręciła głową. – Kobiętom wolno już myśleć. Nie powinieneś o tym zapominać, skoro chcesz zostać gubernatorem.

– No proszę, a więc również czytasz. Jak oceniasz moje szanse?

Dawn uważała, że ojciec ma duże szanse, ale była krytyczna wobec jego kandydatury. Jej zdaniem Luizjana zyskałaby więcej pod rządami bardziej liberalnego polityka niż ultrakonserwatywny Ferris Gerritsen.

– A co ty o tym sądzisz? – odparła wymijająco.

– Sądzę, że powinnaś pokazać się matce. Jest wściekła, że nie dałaś znaku życia i że dotąd się z nią nie przywitałaś.

Pominęła tę uwagę milczeniem. Wiedziała, że matka jest wściekła i że prędzej czy później czeka ją przykra scena.

– Tato, czy wiesz, o co w tym wszystkim chodzi? – zapytała innym tonem.

– Nie, ale mam zamiar się dowiedzieć. Na razie tylko patrzę. Patrzę i nie wierzę własnym oczom. Nie mieści mi się w głowie, że twoja babka zaprosiła tu Nicky Reynolds i jej rodzinę. Po co?

Dawn wolała unikać tego tematu, przynajmniej na razie.

– A wiesz, dlaczego zaproszono Bena? – spytała.

– Nie – odpowiedział ojciec. – Czy wy nadal...

– Skąd! – przerwała mu niecierpliwie. – Nie widziałam go od... od roku.

– Hm, najwidoczniej twoja babka odznaczała się osobliwym poczuciem humoru, którego nie doceniałem.

– Tato... – Dawn odsunęła się na kilka kroków.

– Tylko nie próbuj załatwiać starych porachunków z Benem.

Twarz Ferrisa Gerritsena miała wciąż przyjazny wyraz, ale w jego głosie pojawił się mało przyjazny ton.

– Moim zdaniem obecność Bena Townsena w tym domu to co najmniej nietakt. Nie ma tu nic do roboty i nic mu do ciebie.

Było to zgodne z prawdą, lecz Dawn nie chciała dać ojcu łatwej satysfakcji i przyznać mu racji.

– W każdym razie ja i Ben... to się skończyło.

– Nigdy nie powinno się było zacząć.

– Łatwo powiedzieć – westchnęła. – Gdyby dało się odwrócić bieg historii, prawdopodobnie oboje znaleźlibyśmy więcej spraw, które warto byłoby przeprowadzić w inny sposób, prawda?

Zamiast odpowiedzi Dawn usłyszała odgłos kroków na schodach. Wyrzała zza pleców ojca i zobaczyła zbliżającą się matkę. Do karuzeli przeżyć, jakich doznała w ciągu ostatniej godziny, doszło teraz poczucie winy.

– Witaj, mamo.

Cappy Gerritsen przystanąła na stopniu w wyniosłej pozie. Patrząc na nią, nietrudno było wyobrazić sobie nowoorleańską debutantkę sprzed wojny, sunącą z wdziękiem po rodzinnej posiadłości River Road.

Mimo wieku Cappy zachowała kształtną i pełną powabu sylwetkę, a choć nosiła większy rozmiar niż ten, do którego się przyznawała, ani dodatkowe siedem kilo wagi, ani mniej sprężysta niż kiedyś skóra nie nadwąłły jej posągowej urody. Złocistych loków nie szpecił żaden siwy włos i jedynie dwie lekko zaznaczone linie między doskonale zarysowanymi brwiami świadczyły o niezadowoleniu z życia.

– Tylko jej nie dręcz, Cappy – ostrzegł Ferris. – Ciesz się, że wróciła.

Dawn podeszła do szczytu schodów, lecz matka nie zamierzała ułatwiać jej sytuacji. Tkwiła wciąż na trzecim stopniu od góry i milczała w oczekiwaniu...

No właśnie, co właściwie powinna jej powiedzieć?

– Wyglądasz cudownie – zagadnęła Dawn. – Jak przyjąłś pomysł, żeby tata kandydował na gubernatora? Chyba nie masz nic przeciwko temu, żeby ojciec został następcą Hueya Longa?

Matka nie siliła się na uprzejmości.

– Powinnaś zadzwonić – rzuciła.

– Wiem.

– Twoja babka umiera, a ty nie raczysz odezwać się ani do mnie, ani do ojca? Nie wiesz, że składa się kondolencje?

– Cappy... – Ferris ujął się za córką. – Już omówiliśmy z Dawn tę kwestię.

– No dobrze. – Dawn zdobyła się na krzywy uśmiech. – Skoro zależy ci, żebym sama to przyznała, to proszę bardzo: jestem fatalną córką. Czy teraz możemy porozmawiać o czymś innym?

– Nie bądź bezczelna. Przepadłaś na rok jak kamień w wodę. Nie zadzwoniłaś. Nie napisałaś. Nie odwiedziłaś nas. Czym właściwie dla ciebie jesteśmy?

Uśmiech Dawn zgasł natychmiast.

– W tej chwili jesteście żywym przypomnieniem, dlaczego tak postąpiłam.

– A twoja babcia? Skoro nie znosisz nas, to może jej okazałabyś łaskawe zainteresowanie? Gdzie byłaś, kiedy cię potrzebowała?

– Wiesz dobrze, gdzie byłam. Byłam w Anglii. Próbowalam się przekonać, czy mogę być kimś więcej niż tylko członkiem rodziny Gerritsenów.

– Wcale nie musisz nim być, jeśli tak cię to uwiera!

– Przestańcie – wtrącił się ojciec. – Nie mam zamiaru wysłuchiwać tego dłużej. Wystarczająco dużo się tu dzieje, by znosić jeszcze wasze kłótnie. Obie jesteście zmęczone. To trudny moment dla nas wszystkich.

Najpierw odpocznijcie, a porozmawiacie potem.

– Znalazłam Pelichere – westchnęła Cappy. – Przygotowała dla nas drinki. Idziecie? – spytała i zaczęła powoli schodzić ze schodów.

Dawn przyjęła lekki uścisk ojca, lecz go nie odwzajemniła.

– Zaraz zejść – uśmiechnęła się do niego. – Poprawię tylko włosy.

Odczekała, aż dołączy do matki, po czym zamknęła drzwi i zajęła poprzednią pozycję przy oknie. Przed rokiem wybrała się do Europy, by uciszyć targające nią emocje, odnaleźć siebie, wydorosnąć. Teraz okazało się, że poniosła porażkę. Wciąż tkwiło w niej to samo dziecko, które spędzało wakacje w tym pokoju, pod troskliwą opieki babci. Ta sama nastolatka, która nieustannie tęskniła za miłością rodziców, a której brak próbowała rekompensować jej Aurore. Ta sama młoda kobieta, która oddała ciało i duszę Benowi Townsendarowi, potem go odrzuciła, a teraz błagała o zrozumienie i wybaczenie.

W nikłej poświacie otulonego chmurami księżyca Pelichere starannie wyłaziła ziarenka piasku spomiędzy zwietrzałych desek werandy. Dawn zaproponowała pomoc, ale Pelichere odmówiła.

– I tak nikt się na tym nie pozna, tylko twoja matka.

– Moja matka? – zdziwiła się Dawn.

– O, ona to od razu widzi, jak coś jest nie tak. Od razu zauważyła zacieki w sypialni, w tym miejscu, co to w zeszłym tygodniu gont opadł.

Dawn stała oparta o kolumnkę i patrzyła na pracę starej kobiety. Czuła się bezużyteczna, było jej niezręcznie, ale wcale nie paliła się, żeby wrócić do pokoju.

Dom ucichł, wszyscy rozpięchli się i pochowali niczym kraby w swoich skorupach. Miała nadzieję, że nikt już dzisiaj nie wyściubi nosa, zwłaszcza jej rodzice.

– Miała do ciebie o to pretensje? – zapytała.

– A jakże – odparła Pelichere. – Tylko że skąd niby miałam wiedzieć, że burza pozrywa dachówki, co to od stu lat trzymały się jak należy. Co to niby ja, pięćdziesięciosiedmioletnia, mam włączyć na dach i co deszcz pada, to sprawdzać, czy której nie zmiotło? To bym tam częściej na tym dachu siedziała niż tu na ziemi! I co, jak babka umarła, no to może twoi rodzice się tu sprowadzą, na Grand Isle? Ano tak, wtedy toby pewnie dachówki nie spadały, gdyby pan senator i pani senatorowa tu zamieszkali.

– Sądzisz, że dom ma przypaść moim rodzicom? – zdziwiła się Dawn. – Zdawało mi się, że Grandmère miała zostawić go tobie.

– Ano, tak mówiła. Ale więcej było rzeczy, o których nie mówiła.

Powietrze przeszył przenikliwy gwizd. Pelichere odwróciła się i pomachała ręką na powitanie. Dębową aleją nadjeżdżał rozklekotany pikap z otwartym dachem.

– To Joe i Izzy Means – wyjaśniła Pelichere. – Pamiętasz ich, chere?

– Nie bardzo.

Joe wysiadł i skierował się do tyłu samochodu, pulchna Izzy z trudem wygramoliła się na zewnątrz.

– Gotowałam, gotowałam i gotowałam – zaczęła trajkotać – a końca wciąż nie było widać. Co za mordęga, nagotować jedzenia na cztery dni dla tych twoich gości! Witaj, Dawn, aleś wyrosła!

Dawn nadstawiła policzek na przyjęcie entuzjastycznego całusa Izzy. Po tem przyjrzała się Joe’emu, o połowę chudszeemu od żony, który aż się uginał pod ciężarem paczek pełnych wiktuałów.

– Pamiętasz wuja Joe’ego? – spytała Izzy. – Pokazywał ci, jak łapać kraby.

– A coś ty tu tyle naszykowała, Izzy? – przerwała jej Pelichere. – Co to, całą Zatokę osuszyłaś i wsadziłaś do garnka, co zostało na dnie? Joe niezmordowanie nosił kolejne garnki, słoiki półmiski. Wreszcie opróżnił bagażnik samochodu i oznajmił, że idzie nad wodę, by dołączyć do wędkarzy, którzy mimo późnej pory ślęczeli nad brzegiem.

– Posiedźcie tu sobie – zaproponowała Dawn wyraźnie zadowolonym ze spotkania przyjaciółkom. – Chcecie, przyniosę wam kawę?

Pelichere zaprotestowała, lecz Dawn postawiła na swoim. Po chwili wróciła z dzbankiem kawy i filiżankami.

Kawa była mocna jak szatan, czarna jak smoła, taka, jaką piło się w Luizjanie. Obie panie wsypały do filiżanek po trzy łyżeczki krzepiącego cukru, a Dawn wróciła do kuchni, by mogły porozmawiać bez skrepowania.

Kuchnia należała do najnowocześniejszych pomieszczeń w domu babki. Starą kuchnię zbudowano niegdyś osobno, za domem, by uchronić go przed ogniem i letnim upałem. Do tej pory z ziemi sterczały resztki fundamentów i zachował się fragment ściany, obrośniętej teraz pomarańczowo kwitnącymi pnąciami o trąbkowa tych kielichach, w których aż wrzało od nieustannych szaleństw ruchliwych kolibrów.

Nowa kuchnia była duża i przestronna. Bawelniane zasłonki w niebieską kratkę falowały zgodnie z rytmem podmuchów wiatru i dwóch wentylatorów pod sufitem.

Przez siatkowe drzwi niosły się stęchłe zapachy odległej zatoki i woń kapyfolum.

Dawn poukładała w lodówce przywiezione jedzenie.

Było tego rzeczywiście sporo – ponad siedem litrów gumbo, aż gęstej od małych krabów i strączków okry;

pojemniki z jambalaya*⁸, z plastrami ciemnej kielbasy i zielonym pieprzem; stopy zimnych, pikantnie przyprawionych krewetek, gotowanych langust i świeżo wyłuskanych ostryg. Świeżo złowione łososie zapakowano oddzielnie, by czekały na mistrzowską rękę Pelichere.

– No, nieźle, Grandmère – orzekła Dawn, chowając ostatni pakunek. – Jest piekielny upał, szykuje się niezła szopka, ale za to będziemy opychać się jak na królewskim dworze.

– Może trzeba coś jeszcze przynieść?

Nie odwracając głowy, rozpoznała głos Bena.

– Zżera cię nienasycony apetyt? – Sięgnęła do lodówki i wyjęła słoik gotowanych krewetek, trzymając go za plecami. – Chcesz coś na ząb?

– Z przyjemnością.

Otworzyła słoik. Kiedy Ben poczęstował się, powąchała zawartość.

– Specjalność Peli – orzekła. – Masz szczęście, bo te przysmaki są przeznaczone na później.

– Może się przyłączysz? – zaproponował i spojrzał jej prosto w oczy.

Postanowiła zachować obojętność i pokonać Bena jego własną bronią.

– Raczej nie. – Wytrzymała jego spojrzenie, nie zareagowała na intymną bliskość. – Chcę posprzątać w kuchni, zanim wróci Peli. Nie widzę powodu, żebyśmy mieli się nią wyręczać. Ostatecznie ona też jest gościem Grandmère.

Ben odsunął krzesło od okrągłego, dębowego stołu, ustawionego pod potrójnym oknem.

– To miło, że się tak o nią troszczysz.

– Jestem miłą osobą, nie wiedziałeś?

– Nie powiedziałbym, żeby akurat ten przymiotnik przychodził mi do głowy, kiedy na ciebie patrzę.

Pozbierała brudne naczynia i przetrąła zlew myjką.

Napełniła go ciepłą wodą, dołała płynu i podwinęła rękawy, czekając na ciąg dalszy.

– Dawno, dawno temu po takim wstępie płonęłabyś z ciekawości... – Ben łatwo odgadł jej myśli.

– Dawno temu? To brzmi jak z bajki.

– Bo to było trochę jak z bajki.

– Ale nie miało szczęśliwego zakończenia.

– Dlatego dzisiaj, zamiast „miła”, wołałbym powiedzieć o tobie... czy ja wiem... może „zdeteminowana”?

⁸ * Gumbo, jambalaya – potrawy kreolskie, pierwsza to rodzaj zupy rybnej, wzbogaconej często mięsem i warzywami, druga – gotowana z podobnych składników, lecz gęstsza, z dodatkiem ryżu, a niekiedy także fasoli (przyp. tłum.).

– Trafne określenie. Ani pozytywne, ani negatywne.

Na tyle wieloznaczne, żeby nikogo nie urazić, a dające jednocześnie możliwość dowolnych skojarzeń.

– Uściśnę więc swoją myśl: zdeterminowana, żeby przejść przez próbę ognia. Żeby pozostać uprzejmą. Żeby nie okazywać uczuć. Żeby zademonstrować, jak bardzo się zmieniła.

Dawn włożyła naczynia do zlewu i zaczęła zmywać.

– Zmieniła się tylko cząstka mnie – odparła. – To, co kiedyś skazałeś na potępienie, wciąż we mnie tkwi.

– Potępienie to mocne słowo.

– Jesteś dziennikarzem. Wiesz, że należy precyzyjnie dobierać słowa.

Umyła talerze i szklanki i zabrała się za półmiski.

Uświadomiła sobie, że stanął blisko niej, trzymając w palcach krewetkę.

– Są naprawdę znakomite.

– Być może zapomniałeś, ale w Luizjanie niektóre rzeczy nam się udają.

– Tak. – Przynął dłoń do jej ust. – Na przykład bezkarne łamanie prawa.

Dawn ujęła zębami krewetkę i zaczęła gryźć. Ben miał rację – była wyborna.

– Zastanawiam się, jak możesz znosić fakt, że się tu znalazłeś, u źródeł samego zła – powiedziała. – Chyba zżera cię nieprawdopodobna ciekawość, co kryje się pod zaproszeniem babci, skoro narażasz swoją duszę na takie katusze.

– To prawda. – Ben oparł się o blat i skrzyżował ręce na piersiach. – A ciebie nie?

– Nie za bardzo.

– No tak, miałaś kilka godzin na rozmyślanie. Na pewno masz już jakąś własną teorię na ten temat. Powiesz mi jaką?

– Po co?

– Bo chciałbym ją poznać.

– I to ma być dostateczny powód? – Nie musiała odwracać głowy, by wiedzieć, że Ben wciąż stoi tuż za jej plecami. – Mogę ci powiedzieć co innego. Jeśli chcesz wiedzieć, co się we mnie zmieniło, to na pewno to, że przestałam mięknąć jak masło, kiedy jakiś facet się do mnie przystawia. Teraz, nim cokolwiek zrobię, potrzebuję argumentów. I to mocnych. Sam wdzięk, czar i miłe słówka nie wystarczą, Ben.

– Wcale nie chciałem się wdzięczyc. Czy zauważyłaś, bym czarował cię miłymi słówkami?

– Rzeczywiście – przyznała. – Więc i ty się zmieniłeś?

– I to bardzo.

– Dobrze, powiem ci, co o tym myślę, bo mi na tym nie zależy. – Potrząsnęła głową, odrzucając włosy z ramion. Jedno oporne pasemko przylepiło się

do wilgotnego policzka. – Uważam, że moja babcia miała pociąg do dramatyzowania wydarzeń, o jakim nam się nawet nie śniło. Mam wrażenie, że umierała, zacierając ręce z uciechy na myśl o tym, co się będzie działo w tym domu i w jakie role będziemy musieli się wcielić. My wszyscy, nie tylko ty i ja. Zwołała tu osoby, które nie spotkałyby się w żadnych innych okolicznościach, i tak wyreżyserowała tę farsę, żeby osiągnąć kulminację w ściśle wyznaczonym momencie akcji. Kiedy nastąpi ten moment, nie mam pojęcia, ale staram się być na niego gotowa, cokolwiek miałby przynieść. Wiem natomiast, że Aurore przygląda nam się teraz i bije brawo albo krzywi się jak na widok aktorów na scenie.

Ben odgarnął niesforny kosmyk z jej czoła ruchem tak zręcznym, że nie zdążyła zaprotestować.

– Innymi słowy, masz równie nikłe pojęcie, po co nas tu zaproszono, jak cała reszta.

– Właśnie tak.

– A twój wuj?

Uporała się z ostatnią miską, wytarła ją ściereczką i dopiero wówczas odpowiedziała:

– Wątpię, czy wuj Hugh przyklasnąłby podobnej imprezie.

– Nie wiadomo. Ojciec Hugh mógłby rywalizować z twoją babką na polu dramatyzowania niektórych sytuacji. On też lubił takie widowiska. Im szerszą miał publiczność, tym efektowniej sobie poczynał.

– Zwłaszcza jego śmierć była bardzo efektowna.

Zyskał sobie oddaną publiczność na całym świecie.

– Jeśli słowo efektowna może być synonimem tragicznej...

– Wszystko jedno. Na pewno zyskał nowych wielbicieli. Niektórzy oplakują go bardziej niż niejednego świętego. – Wyciągnęła ze zlewu zatyczkę, żeby woda mogła spłynąć. – Nie jest dla nich człowiekiem, którego można po prostu kochać, ale bohaterem, męczennikiem.

– Wiem.

– Czyżby? – Splukała zlew i wytarła ręce, a na koniec, czyniąc zadość rytuałowi, natarła je kremem.

– A kogo ty w nim kochałeś: człowieka czy świętego? Bo to dwie różne sprawy.

– Może to jeden z powodów, dla których tu jesteśmy.

Żeby przekonać się, w jakim stopniu był człowiekiem, a w jakim świętym.

– A ty? Po co ty tu jesteś?

– Żeby się przekonać, w jakim stopniu dotyczy to mnie.

Unikała do tej pory jego spojrzenia. Teraz wpatrywała się w jego twarz pytająco. Lecz jego twarz niczego nie wyjaśniała, Dawn odwróciła więc wzrok i poleciała praktycznym tonem:

- Bądź tak dobry i schowaj później krewetki do lodówki.
- Oczywiście.
- Do zobaczenia rano.

W jej pokoju na górze stało gorące powietrze. Kiedy miała szesnaście lat, wzbierała się przed spaniem nago, niezależnie od temperatury. Teraz zdjęła z siebie wszystko i wyciągnęła się na chłodnym prześcieradle.

Zasnęła szybciej niż mogła się spodziewać. Śniły jej się oklaski, dłonie bijące brawo.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dawn zdawała sobie sprawę, że nigdy nie była wymarzoną córką własnej matki. W dzieciństwie często płakała. Potem była zahukaną i bojaźliwą dziewczynką, którą nękały nocne koszmary i paraliżujące wprost lęki.

Większość młodych lat spędziła z babką i to cierpliwość Aurore oraz płynące z jej ust ciepłe słowa przywracały Dawn odwagę do życia.

Ogromny dom Aurore przy Prytania Street w Nowym Orleanie pełen był zdumiewających cudów. Pokoje tonęły w ciepłym świetle, ściany pomalowano pastelowymi farbami w morskie motywy, a sufity sięgały tak wysoko, że zdawały się szybować nad jej głową niczym chmury. Z ozdobnych łuków rozdzielających poszczególne pokoje wyzierały gipsowe twarze satyrów, a z lśniących nóg stołów i komód zerkały figlarnie gnomy i elfy.

Pokój Dawn miał podłogę z twardego drewna cypryśnika, wywoskowaną do połysku, tak że mogła ślizgać się po niej w skarpetkach. Ściany, zgodnie ze wskazówkami Aurore, pokryto rozkosznym kolorem lilaróż, a kapę na łóżko i zasłony uszyto z bladeżółtego materiału o gęstym splocie. Dawn chowała się w tym pokoju, kiedy świat zdawał jej się za duży (albo za mały), a wychodziła, kiedy uznawała, że jego rozmiary są w sam raz.

Ten pokój, ten dom i ogród nie byłyby prawdopodobnie niczym niezwykłym, gdyby nie klimat, jaki tworzyła wokół siebie Aurore. Najdawniejszym wspomnieniem Dawn była scena, kiedy siedziała babci na kolanach, na tarasie przyległym do jej sypialni. Świeciło słońce, lekka bryza łaskotała policzki, wokół klombu z różami krzątały się roje brzęczących pszczół, a babka szeptała wnuczce do ucha pszczele tajemnice.

– Wiesz, dlaczego pszczołki bzyczą tak głośno? Żeby cię ostrzec. Widzisz, one muszą się bardzo napracować, żeby zebrać z kwiatów nektar. Uwijają się, krzątają, a przy tym mówią do ciebie: prosimy cię, Dawn, nie przeszkadzaj nam, naprawdę nie chcemy cię ugryźć.

Dawn wsłuchiwała się w brzęk owadów z bezpiecznego schronienia babcinych ramion i już nie bała się pszczół. Niczego się nie bała, kiedy była z nią Aurore.

Ukochana babcia była najmiłszą jej osobą. Pachniała równie pięknie jak kwiaty w jej ogrodzie, uśmiechała się z dobrocią, jej jasne włosy połyskiwały świetlisto w słońcu, a zawsze uważne i trochę tajemnicze oczy miały ten sam odcień bławatkowego błękitu, co oczy Dawn.

Teraz zabrakło Dawn bezpiecznego schronienia.

Grandmère odeszła, zaś puste miejsce wypełniły zagadki i niedomówienia związane z jej życiem, które na pozór toczyło się zwyczajnie. Niezwyčajne okazało się dopiero po śmierci.

Dawn myślała – lub śniła – o tym przez całą noc. Teraz leżała udręczona domysłami i patrzyła, jak poranne światło sączy się do pokoju przez cienkie zasłony.

Gdy usłyszała leciutkie pukanie do drzwi, z początku pomyślała o Benie. Przypomniała sobie wieczorną rozmowę w kuchni i uznała, że Ben postanowił ją dokończyć.

Wstała, włożyła szlafrok, podeszła do drzwi. Za drzwiami nie stał Ben, lecz jej ojciec. Odsunęła się, żeby go wpuścić, on jednak potrząsnął głową i powiedział:

– Idę przejść się po plaży. Pójdziesz ze mną?

Wzruszyła ją ta propozycja. Tak rzadko zdarzały im się chwile prywatności, że te nieliczne Dawn pieczołowicie przechowywała w sercu.

– Pewnie – zgodziła się szybko. – Będę na dole za minutę.

Przed wyjściem ucałował ją w policzek. Ubierała się niezdarne, podekscytowana myślą o spacerze. Złapała się na tym, że mimo dwudziestu trzech lat wciąż jak stęsknione dziecko drży z radości, że choć na kilka minut udało jej się przyciągnąć uwagę Ferrisa Gerritsena. Wychodząc, chwyciła aparat. Chciała uwiecznić podobiznę ojca w tym przełomowym dla niego momencie.

Po drodze wymienili jedynie kilka zdawkowych uwag i dopiero na plaży Ferris poruszył najważniejszy temat, o którym myśleli oboje od kilku godzin.

– Wczorajszy wieczór był okropny. Tyle napięcia...

– Okropny dla wszystkich – dodała, idąc po prawej ręce ojca, od strony łądu. Od dzieciństwa bała się głębokiej wody. Do tej pory zamiast kąpać się w wannie, wołała brać prysznic, a kiedy namawiano ją na plażę, wymawiała się, jak mogła. Dość dziwna fobia jak na dziedzickę okrętowej korporacji.

– Przypuszczam, że mogłaś sobie o mnie nie najlepiej pomyśleć. Nie potraktowałem wczoraj Reynoldsów zbyt uprzejmie.

Dawn kochała ojca za jego głos: wibrujący, głęboki, z tym nieodpartym południowym akcentem. Ten głos kojarzył jej się z wytrawnym bourbonem, z chłodną wodą w upalną, letnią noc. Taki głos potrafił uśmierzyć nawet najostrzejszy konflikt, najbardziej dokuczliwy ból.

– Masz rację. Zachowałeś się jak obrażony książę. Nie uważasz?

– Kryje się za tym coś więcej, niż ci się wydaje.

– Więcej niż niechęć do tych ludzi z powodu koloru ich skóry?

– Ależ Dawn – zachnął się i pokręcił głową. – Zawsze miałem kolorowych przyjaciół, wiesz o tym dobrze. Jadam z nimi, śpię pod jednym dachem, całuję ich dzieci i babcię.

Uniosła aparat i wycelowała w niego obiektyw.

Żałowała, że nie może na kliszy zarejestrować tembru jego głosu – tak szczerego i tak aroganckiego zarazem.

Ferris zamilkł na chwilę, bez wymuszonego uśmiechu, jakby pozowanie stanowiło jego codzienne zajęcie.

– Mimo to nie przejdiesz do historii jako sympatyk ruchu zrównania praw obywatelskich – oznajmiła po zrobieniu fotografii. – Chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

– Nie przejdę do historii jako człowiek popierający idee, w które nie wierzy.

Doceniała jego uczciwość. Senator Ferris Lee Gerritsen zawsze wyznawał konserwatywne poglądy. Reprezentował tysiące podobnie myślących ludzi, ale niewątpliwie był przyzwoitszym i lepszym człowiekiem niż wielu jego kolegów i zwolenników.

Czy był rasistą? Można by tak sądzić po jego zachowaniu poprzedniego wieczora. Dawn nie wierzyła jednak, by jej ojciec był fanatycznym wrogiem czarnej rasy. Roztkliwiał się nad murzyńskimi nianiami, które pielegnowały go w dzieciństwie. Jednej z nich zafundował dom starców, choć rodzina dawno spłaciła wobec

niej wszystkie długi. Czuł się także odpowiedzialny za swoich czarnoskórych wyborców. Zależało mu, by ich dzieci chodziły do dobrych szkół, a ich przedsiębiorstwa prosperowały coraz lepiej. Hasło „równi, ale osobno” zdawało się najlepiej opisywać jego stanowisko, a zawarta w nim wizja porządku społecznego była według Ferrisa wystarczająco sprawiedliwa.

Dawn nie chciała psuć tego ważnego momentu i wdawać się w ideologiczne dyskusje. I tak nie mogła odmienić mentalności kształtowanej przez wiele lat doświadczeń i propagandę, która jej nie trafiała do przekonania.

– Więc co się za tym kryje? – wróciła do wątku, który ojciec najwyraźniej miał ochotę poruszyć.

Ferris zatrzymał się i podniósł wyrzucony na brzeg patyk. Zrobiła mu zdjęcie z wyciągniętą ręką, która sięga po coś, czego nie widać w kadrze. Bardzo złe zdjęcie z punktu widzenia politycznej kampanii.

– Widzisz, Dawn – zaczął mówić, przesuając patyk między palcami – nigdy ci o tym nie mówiłem, ale spotkałem Nicky Valentine wiele lat temu, w czasie wojny. Phillip był wtedy małym chłopcem, a ona śpiewała w klubie w Casablance. Uciekła tam z Paryża przed Niemcami.

– W Casablance? Tam, gdzie zostałeś bohaterem?

– Daruj sobie tę uszczypliwość, moja droga. – Ferris cisnął patyk do morza i ruszył powoli przed siebie.

– A co, to nieprawda?

– Byłem na pokładzie Augusty, kiedy alianci zajęli wybrzeże Maroka, a potem w mieście, kiedy wycofywały się oddziały francuskie.

– Nie opowiadałeś mi o tym dokładnie.

– Nigdy nie lubiłem wywlekać tych wojennych wspomnień. O czym tu opowiadać? Że tysiące ludzi zginęło, tysiące szło na rzeź? To nie są przyjemne historie, wierz mi.

Jego słowa zdziwiły Dawn. Ta niechęć do wdawania się w szczegóły nie pasowała do politycznego wizerunku patrioty i żołnierza, odznaczonego za bohaterstwo i dumnego z sukcesów US Army.

– I tam spotkałeś Nicky?

– Tak. Jak zresztą połowa przebywających w Casablance Amerykanów.

Dawn przystanęła.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nicky była samotną kobietą z dzieckiem. Miała dostatecznie jasną skórę, żeby wrócić do Ameryki i wybrać sobie rasę. Szukała mężczyzny o gołębim sercu oraz inklinacjach do zbawiania świata.

– To niedorzeczne. – Dawn potrząsnęła głową.

– Przecież Nicky ma syna o ciemnej skórze. Chcesz powiedzieć, że miała zamiar go porzucić?

– Istniały w Europie szkoły z internatem. Mogła go posłać do jednej z nich i nikt by się o tym nie dowiedział.

Dawn znowu ruszyła przed siebie.

– Domyślam się, że dzisiaj, niezależnie od tego, czy słusznie oceniłeś wówczas jej intencje, nie ma to już żadnego znaczenia.

– Ale wtedy miało. Nicky zadała się z kimś, kto był mi bardzo bliski, człowiekiem miękkim, którego można było do woli urabiać. Przejrzałem ją na wylot i oznajmiłem, że nie mam zamiaru tego tolerować.

Dawn wyobraziła sobie tę scenę i poczuła się nieswojo.

– Kto to był? – zapytała.

– Tego nie mogę powiedzieć. Chcę chronić jego dobre imię. Ale po tej scyjsji z Nicky on wyjechał, a ona mnie o to obwiniła. Przynęła sobie, że się na mnie odegra.

– No dobrze, ale co to ma wspólnego z testamentem Grandmère?

– Może mieć. Nicky Valentine jest osobą zdolną do zemsty. Może po latach dotarła do twojej babki i naplotła jej rozmaitych kłamstw i bzdur? Nie wiem. Jeszcze do tego nie doszedłem.

– Dlaczego mi to opowiadasz?

– Żebyś nie doznała szoku, kiedy pewne sprawy przy okazji wyjdą na jaw.

Dawn nie dawała mu wiary. Domyślała się, że chodzi o coś więcej. Czy ojciec chciał osłabić jej podziw dla Nicky Valentine? Dlaczego?

Postanowiła jasno postawić sprawę.

– Jestem zaskoczona, że znałeś Nicky w czasie wojny, niezależnie jednak od tego, co się wtedy wydarzyło, nigdy nie uwierzę, że ta kobieta mogłaby ukartować podobną intrygę. Co ci przyszło do głowy, teraz, po dwudziestu latach? Nicky może mieć facetów na pęczki. Jest najbardziej niezwykłą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałam.

– Najbardziej niezwykłą kolorową kobietą.

– Zaślepiea cię uprzedzenie.

– Nie bardziej niż ciebie idealizm – odparł i otoczył ją ramieniem.

Dawn nie spodziewała się tego gestu, więc jej opór nagle osłabł.

– Proszę cię, tato – westchnęła. – Zapomnij na chwilę o swoich... odczuciach, zapomnij o przeszłości. Wznies

się ponad to. Bądź Ferrisem Gerritsenem, zwycięskim politykiem, który potrafi zdobyć każdy urząd. Ściskaj dłonie, rozdawaj uśmiechy.

– Nie warto – uśmiechnął się smętnie. – Nikt z tutaj obecnych nie będzie na mnie głosował. Nawet moja mała córeczka.

– To zależy tylko od ciebie.

Przygarnął ją mocniej, a potem puścił.

– Nie mam pojęcia, co zamierzała twoja babka, ale jestem przekonany, że Spencer dziś rano przeczytał testament.

– Rozmawiałeś z nim?

– Chyba mnie unika.

– Czeka nas jeszcze wiele niespodzianek.

– Co masz na myśli?

– Nie wiem. Takie mam przeczucie. Po co babcia zwoływałaby nas w taki sposób, gdyby nie kryła w zanadrzu czegoś szczególnego? Jak do tej pory, nic się nie wyjaśniło.

– Właśnie. Poczekam do południa, a potem wyjeżdżam.

Dawn pstryknęła ostatnie zdjęcie. Ojciec skrzyżował ramiona z miną człowieka nieugięte przeświadczonego o własnej racji. Rzadko się zdarzało, by ktoś pokonał Ferrisa Gerritsena. Tylko Aurore Gerritsen dorównywała mu nieustępliwością.

Jedynym pomieszczeniem, które mogło pomieścić wszystkich gości, była obudowana weranda, nazywana pokojem śniadaniowym. Wychodziła ona na grządki rumianków, krzewy magnolii i błotne dęby, a ta sielankowa sceneria przydawała szczypty humoru uciążliwie dwuznacznej sytuacji. Ben, z racji dziennikarskich obowiązków, potrafił bez żenady pakować się tam, gdzie go nie chciano, jednakże jeszcze nigdy nie czuł się równie niezręcznie, jak teraz. Gerritsenowie jasno dali mu do zrozumienia, że nie życzą sobie jego towarzysstwa – on nie chciał i nie mógł stąd wyjechać. Skąd mogli przypuszczać, że przybył tu z żądaniem czegoś więcej niż jedynie drobnej pamiątki po Aurore?

Teraz przyglądał się z ustawionego w kącie werandy wiklinowego fotela uczestnikom tego dziwnego korowodu i przyznawał w duchu rację Dawn – Aurore Gerritsen miała upodobanie w reżyserowaniu podobnych widowisk i dbała, by widowiskom tym nie brakowało ani dramaturgii, ani w niebanalny sposób zestawionych aktorów.

Matka Dawn zajęła miejsce w wyścielanym fotelu w przeciwległym rogu werandy. W prostej linii wywodziła się ze starej kreolskiej linii plantatorów trzciny cukrowej, równie szacownej, jak rodzina Gerritsenów.

Cappy była żywym symbolem epoki, która dawno minęła.

Nicky i Jake usadowili się w pobliżu niego, trzymając się od pani senatorowej z daleka. Ben wiedział co nieco o Nicky z opowiadań Phillipa. W dzieciństwie mieszkała na Basin Street, nieopodal domu, w którym dziś mieści się „Club Valentine”. Próbowała swoich sił w Paryżu, potem w Nowym Jorku, ale jej talent rozbłysnął dopiero w Nowym Orleanie. Jej syn, czyli właśnie Phillip, z początku nie znosił Luizjany, w czym przypominał Bena. Przełamał swoją niechęć dopiero niedawno, do czego przyczynić się miało małżeństwo z kobietą z Nowego Orleanu. Sprawa musiała być świeża, bowiem Ben nie słyszał wcześniej o tym ślubie, a Phillip powiedział mu o nim dopiero poprzedniego wieczoru.

Korzenie Jake’a nie sięgały tak egzotycznej gleby.

Ani on, ani jego rodzice nie mieli w swoim życiu epizodów podobnych do tych, które były udziałem Nicky. Jake urodził się w rodzinie ubogich dzierżawców, opuścił Luizjanę i powędrował tam, gdzie liczyły się inne kryteria niż tylko kolor skóry. Po osiągnięciu sukcesu oboje z Nicky wrócili do rodzinnego stanu, z jego głęboko zakorzoną kulturą i gorącym entuzjazmem dla jej talentu.

Pelichere była kajunką, wywodziła się od dzielnych Akadyjczyków, którzy osiedlili się w podmokłej krainie bayou, kultywując bogatą, prastarą tradycję. Ben lubił Pelichere. Była kobietą twardo stąpającą po ziemi.

Sprawiała wrażenie osoby, która – podobnie jak Spencer St. Amant – chętnie posłałaby do diabła całe to szemrane towarzystwo.

Ostatni przybyli Ferris Gerritsen i jego córka. W żyłach senatora płynęła czysta krew kreolska po matce z domu Le Danois, zmieszana z parwenuiszowską krwią Henry’ego Gerritsena. Po pięćdziesięciu latach trudno było orzec, co taki typ jak Henry Gerritsen miał do zaproponowania takiej kobiecie jak Aurore Le Danois.

Jego dziadek pływał barką po Missisipi, sprzedał ją za jakąś rudere w Nowym Orleanie, potem zaczął wynajmować łodzie. Gdzieś po drodze, w jakimś salonie albo burdelu, poderwał babkę Henry’ego i po dziewięciu miesiącach przyszedł na świat jego ojciec.

Tę historię opowiedział Benowi ojciec Hugh. Najwyraźniej Henry czerpał perfidną przyjemność z opowiadania swoim dzieciom podobnych historyjek, wiedząc, jak dotkliwie swoim prostactwem upokarza żonę.

Odkąd Ben poznał te fakty, zobaczył Ferrisa w innym świetle i czasami zdawało mu się, że rozumie jego postawę. Oczywiście jeśli zrozumienie Ferrisa w ogóle było możliwe.

Co do córki senatora...

No tak, o niej nie umiał myśleć w tak chłodny i rzeczowy sposób. Gdy na nią patrzył, gdy widział jej zdawkowy uśmiech, którym go obdarzyła, sadowiąc się na krześle obok niego, czuł, jak krew ścina mu się w żyłach. Dawn miała na sobie prowokacyjnie obcisłe szorty, które wyzywająco obnażały nogi i pępek. Każdy szczegół jej postawy był jawną demonstracją niezależności.

Cholernie jej musiało zależeć na tej niezależności, on zaś nie wiedział, czy to dobrze, że zaczęła myśleć, czy źle.

Och, jakże brakowało mu tej dziewczęcej kruchości, którą widział w Dawn przed laty. Lecz ta nowa kobieta intrygowała go w nie mniejszym stopniu. Próbował doszukać się śladów owej kruchości pod maską wytrenowanej pewności siebie, jednak Dawn nauczyła się dobrze maskować.

Korowód zamykał Spencer, prawnik zmarłej, jej powiernik, a zarazem niedobitek minionej świetności Nowego Orleanu. Do pokoju śniadaniowego przybył w towarzystwie Pelichere, sprawdził, czy wszyscy goście wygodnie się rozlokowali, po czym wstał i odezwał się pewnym głosem, który, jak łatwo było się domyślić, kosztował go niemało wysiłku:

– Dziękuję wam, że zastosowaliście się do życzenia pani Gerritsen i zostaliście tu wszyscy. Postaram się wam wyłuszczyć dalsze postawione przez nią żądania. Tak jak obiecałem Aurore, zamierzam wypełnić je co do joty.

Ben słuchał z podziwem tego dobitnego tonu. Ten stary człowiek, którego najlżejszy powiew wiatru mógłby zmieść jak piórko, zachowywał zimną krew, której Ben mu zazdrościł. Taki spokój wewnętrzny osiąga się chyba z wiekiem, po wielu zwycięskich potyczkach z ludźmi i z losem, myślał. Podobną cechę posiadał ojciec Hugh.

– Nim przystąpię do dalszej części – ciągnął Spencer – muszę podkreślić, że pani Gerritsen jasno postawiła swoje warunki. Wszyscy, bez wyjątku, mają przebywać w rezydencji przez cztery dni. Jeśli ktoś będzie musiał na krótko się oddalić, proszę uzgodnić to ze mną.

Ferris natychmiast zerwał się na równe nogi.

– Nikt z nas nie ma czasu na takie fanaberie! Moja matka i tak nie dowie się, czy jej życzeniom stało się zadość. Niech pan pamięta, panie St. Amant, że można je łatwo podważyć w sądzie. Który sędzia uwierzy, że matka była przy zdrowych zmysłach, wymyślając te brednie?

– Być może ma pan rację, senatorze. Może pan podważyć testament, a nawet próbować tę sprawę wygrać. Proszę jednak pamiętać, że każda z osób, które wytrwały przy pani Gerritsen do końca, zaświadczy o jej poczytalności.

Dawn dotknęła ramienia ojca i Ferris usiadł z ociąganiem.

– Proszę wybaczyć – zwróciła się do Spencera – ale przyzna pan, że okoliczności są dość niezwykle. Proszę nam dać trochę czasu na oswojenie się z sytuacją.

– Oczywiście. Rozumiem państwa sytuację – uśmiechnął się do niej blade.

– Czy możemy przystąpić do pierwszego zapisu?

Dawn rozejrzała się, jakby chciała sprawdzić, czy może mówić w imieniu wszystkich.

– Chyba tak – odparła. – Proszę zaczynać, panie St. Amant.

Spencer opuścił wzrok na dokumenty, które trzymał w dłoni.

– Tak się składa, że pierwszy zapis, moja droga, dotyczy ciebie oraz Bena... – Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął dwa małe pudełeczka. Jedno wręczył Dawn, po czym obszedł pokój, by podać Benowi drugie.

– Jakież wskazania, jak i kiedy je otworzyć? – spytała Dawn.

Spencer wsunął plik papierów do kieszeni.

– Żadnych. To wszystko na dzisiaj. Spotkamy się jutro rano o tej samej porze.

– Co to ma znaczyć? – tym razem zaoponowała Cappy. – Doprawdy, Ferris ma rację. Muszę dopilnować domu, mam liczne zobowiązania. Cóż to za pomysł, żeby trzymać nas tu jak szczury w klatce?

Spencer pochylił głowę, lecz jego głos nie stracił mocy.

– Z czasem wyjaśni się powód takiego postępowania.

– Moja teściowa straciła chyba rozum, a pan ma w tym szaleństwie swój udział! – prychnęła Cappy i wyszła energicznym krokiem. Ferris pochylił się

ku Dawn, po czym potrząsnął głową, omiół pokój taksującym spojrzeniem i podążył za żoną.

Tymczasem Dawn ostrożnie otworzyła nieoznakowane żadnym emblematem pudełeczko. Ben swoje pudełeczko ścisnął w garści i nie spuszczał wzroku z jej twarzy, na której malowały się trudne do odgadnięcia uczucia. Na pewno była mocno przejęta.

– No i co zamierzasz? – Phillip przerwał mu tę kontemplację.

– A co powinienem?

– Otwórz i zobacz, co jest w środku. Ben zdjął pokrywkę. Jego oczom ukazał się stary, zaśniedziały klucz.

– Jak pani Gerritsen na to wpadła, że zawsze o takim marzyłem?

Podeszli do niego Nicky i Jake; Dawn popatrzyła na niego zdumionym wzrokiem. Na jej dłoni też leżał

kluczyk, ale mniejszy.

– Sądzisz, że mają ze sobą coś wspólnego? – zapytał.

– Może tak, a może nie – odparła i podeszła do niego, by porównać oba klucze. – Chcesz zobaczyć mój? Nie odrzuca cię fakt, że trzymam go w ręku?

– Zdziwiłabyś się, ile potrafię wytrzymać.

Dawn upuściła kluczyk na jego dłoń.

– I co? Z czymś ci się kojarzy?

– Absolutnie z niczym. A ten coś ci przypomina?

Dawn wzięła do ręki kluczyk Bena i przyglądała mu się przez chwilę bawczo.

– Klucz jak klucz – orzekła.

– Klucz zazwyczaj służy do otwierania.

– Dla Aurore nie musiało to być takie oczywiste. Mój jest za mały, żeby pasował do jakichkolwiek drzwi.

A twój za stary. Kilka lat temu wymieniono wszystkie zamki na bardziej nowoczesne.

– Wszystkie?

– Tak mi się wydaje. Peli? – Dawn zwróciła się do Pelichere. – Czy klucz Bena pasowałby do któregoś

z tutejszych zamków?

Pelichere zerknęła na klucz i potrząsnęła przecząco głową.

– Może więc te klucze mają znaczenie symboliczne. – Ben zamknął klucz na poduszcze dłoni. – Stary i nowy...

– Mój wcale nie jest nowy. Jest mały, ale tak samo stary, jak twój.

– No więc duży i mały. Coś ci to mówi?

– Nic.

– W takim razie mamy po prostu dwa do niczego nieprzydatne klucze. – Ben wzruszył ramionami i wpuścił

swój do kieszonki koszuli. – Niech będzie, że to amulet. Klucz do szczęścia, albo do bram niebieskich.

– Jestem pewna, że Grandmére miała w tym jakiś zamiysł – upierała się Dawn.

– Może to klucz do przeszłości? Wspólnej przeszłości, która...

– Nic nas nie łączy – przerwała Dawn. – Oprócz tego, że swego czasu nazwałś mnie morderczynią.

– Chyba nie chcesz teraz tego roztrząsać?

Dawn zerknęła na Nicky, która od początku była niemym świadkiem tej wymiany zdań.

– Przepraszam, pani Reynolds. Pewnie wydaje się to pani zupełnie zwariowane. Nie ma to nic wspólnego z panią ani pani rodziną.

– Nic nie szkodzi, Dawn – uśmiechnęła się Nicky.

– Mam wrażenie, że oboje z Benem potrzebujecie nieco czasu na ochłonięcie, prawda? Może warto by było się przejść?

Ben uśmiechnął się tylko bezradnie; Dawn potwierdziła skinieniem głowy, wdzięczna za życzliwą radę.

– Racja. Z pewnością teraz niczego nie wymyślę. Ben – zwróciła się do niego – uprzedź Spencera, że poszłam na spacer. Niech mu nie przyjdzie do głowy, że uciekłam. Mimo wszystko nie chciałabym oddawać swojego kluczyka.

Po dokonanej kilka lat temu renowacji, ze starych pomieszczeń w letniej posiadłości Aurore Gerritsen pozostała jedynie garçonnière. Pochodziła ona z czasów, kiedy dom i ziemia należały jeszcze do brata pradziadka Pelichere. Dawn nie była do końca pewna, czy historia, którą opowiedziała jej kiedyś babka – o tym, jak to przetrwała tu jakiś straszliwy huragan – była autentyczna czy zmyślona. Wiedziała jedynie, że babka nabyła posiadłość w latach dwudziestych i że od początku miała do niej szczególnie sentyment.

Kiedy Dawn była mała, nie wolno jej było bawić się w większości starych zabudowań. Niektóre z nich potem rozebrano. Pozostały resztki kuchni, jakaś szopa, no i garçonnière – niewielkie pomieszczenie, które w rodzinach kajuńskich spełniało kiedyś funkcję prowizorycznego lokum dla przybywających do panny na wydaniu kawalerów. Przeważnie było to poddasze, na które prowadziły schody przy końcu werandy.

Być może konstruktor tego domu był bogatszy niż przeciętni mieszkańcy Grand Isle, a może los obdarzył go liczną gromadką dzieci i żona ubłagała go, żeby owo miejsce znalazło się z dala od domu. Tak czy owak, garçonnière usytuowano w odrębnej chatce, w najdalszym kącie ogrodu. Budynek był wąski, jednopiętrowy, zewnętrzne schody prowadziły do części sypialnej, na dole zaś wchodziło się wprost do obszernego pomieszczenia, którego połowę zajmowała niegdyś prymitywna kuźnia.

Każdego lata Dawn bawiła się w tej chacie z wielkim upodobaniem. Stare szafy pękały od strojów, które dawno wyszły z mody, szuflady pełne były starych fotografii i rodzinnych pamiątek. Dawne zdjęcia babki przedstawiały dziewczynę od sarnich oczach, z kaskadą złocistych włosów i talią wąską niczym u Scarlett O’Hary.

Teraz Dawn przypominała sobie o dzieciennych zabawach, a stało się to po powrocie ze spaceru, kiedy stanęła przy oknie i tak jak poprzedniego dnia zaczęła obserwować wody Zatoki. W swoich wspomnieniach ujrzała zrazu zapłakaną siedmiolatkę, którą wuj postanowił nauczyć pływać, ona zaś szlochała w jego objęciach ze strachu i wstydu. Woda była wówczas tak samo rozkołysana, a niebo równie pochmurne i ponure, jak dzisiaj. Potem odnalazła w pamięci pewien wspaniały poranek, kiedy to matka obudziła ją na piknik i przez kilka błogich chwil nie czuły do siebie niechęci.

Wreszcie pomyślała o swoich samotnych zabawach i wtedy przypominała sobie o ukrytej w głębi ogrodu garçonniére.

Jedynie tam mógł wciąż znajdować się zamek, którego podczas renowacji z braku wyraźnej potrzeby nie wymieniono.

Do czwartej po południu walczyła ze sobą, czy nie poszukać Bena i nie zaproponować mu wspólnej wyprawy do miejsca dawnych zabaw. Nie brakowało jej odwagi, niechętnie jednak myślała o zagłębianiu się w to sentymentalne miejsce w jego towarzystwie. Ciekawość wzięła w końcu górę i Dawn zeszła na werandę, skąd jeszcze przed chwilą słyszała znajomy, dźwięczny głos.

Zamiast Bena znalazła Phillipa, który opierał się o kolumnkę z założonymi na piersi ramionami i patrzył przed siebie, rozmyślając nad czymś, co układało jego usta w nikły uśmiešek. Po raz kolejny zwróciła uwagę na jego zgrabną sylwetkę i szlachetną twarz.

Lubiła go i podziwiała. Jego talent mogła docenić dzięki wujowi, od niego też dowiedziała się, że Phillip Benedict nie trwoni słów na darmo, nie ulega tanim sentymentom i nie goni za poklaskiem.

– Chyba wiem, na co mógłby przydać się klucz Bena – zagadnęła, a gdy Phillip spojrział na nią niezwykłym spojrzeniem swych ciemnych oczu, dodała: –W ogrodzie jest garçonniére, a drzwi na piętrze mają stary zamek.

– A co z twoim kluczem?

– Może mój pasuje do jakiegoś zamka wewnątrz?

– Wygląda na to, że nie obejdiesz się bez Bena.

– Ani on beze mnie. Kto wie, co otworzy mój klucz i kto na tym skorzysta?

– Mam ochotę poddać to próbie – odezwał się od progu Ben. – Pójdiesz z nami? – zwrócił się do Phillipa.

– Raczej nie. Jeśli stary Ferris Lee skuma, że zniknąłem gdzieś z jego jedyną córeczką, jestem trupem, a żaden sąd w Luizjanie nie kiwnie palcem w mojej sprawie.

Dawn nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, choć w tym, co mówił Phillip, nie było właściwie nic zabawnego.

– Niech się pan nie obawia – uspokoiła go lekkim tonem. – Mam zamiar powiedzieć staremu Ferrisowi Lee, dokąd i po co idę. Rodziców znalazła w jadalni. Matka polerowała srebra, ojciec czytał „New Orleans States-Items” i kończył kolejnego z tuzina wypalonych już papierosów.

Przystanęła na progu ze zdziwieniem. Nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała taką idylliczną scenę. W domu widywała rodziców razem jedynie z okazji wydawanych przyjęć.

Lecz mimo tak ewidentnego braku rodzinnej intymności, nie miała podstaw, by ich małżeństwo uważać za nieszczęśliwe. Wręcz przeciwnie, wydawali się świetnie dobraną parą i znakomicie się uzupełniali.

Kariera ojca stała się również ambicją matki.

Życie Cappy – niezależnie od tego, czy byłaby żoną adwokata, czy biznesmena – obracało się bowiem nieustannie wokół zdobywania pozycji społecznej stosownej do jej aspiracji.

Z małżeństwa z Ferrisem Lee mogła być z pewnością zadowolona. Ba, zaostrzyło ono jej apetyt, dając okazję do wzmoczonych starań – najpierw pomagała mężowi zająć miejsce w Kongresie, teraz miała zamiar wnieść swój wkład w zdobycie przez niego stanowiska gubernatora, a przecież przebąkiwano tu i ówdzie, że Cappy marzy o kampanii prezydenckiej i roli Pierwszej Damy.

Cóż, Ferrisowi brakowało wprawdzie zajadłej retoryki George’a Wallace’a, lecz ich poglądy polityczne były właściwie identyczne.

Dawn krótko wyjaśniła rodzicom, dokąd się udaje, co oczywiście wywołało spodziewane komentarze.

– Nie rozumiem, po co ci ta zabawa w detektywa – prychnęła matka.

– Jak chcesz, to idź. – Ferris zgasił papierosa i sięgnął po następnego. – My wyjeżdżamy z matką na kolację.

– A co na to Spencer? – spytała Dawn.

– Nie wiem, nie interesuje mnie to. Zwłaszcza że chyba już nie wrócimy.

– Nie mówisz poważnie, tato.

– Dlaczego nie, kochanie? – Ferris zapalił następnego papierosa.

– Mamo, użyj swojego czaru. Namów go, żeby został.

Cappy po raz pierwszy od chwili spotkania uśmiechnęła się szczerze.

– Zawsze prosisz mnie o rzeczy niemożliwe. Dawn nie przypominała sobie, by kiedykolwiek prosiła matkę o cokolwiek poza miłością. Ale może właśnie to było dla Cappy niemożliwe.

Gdy wróciła na werandę, zastała już na niej tylko Bena.

– Jestem gotowa – oznajmiła.

– No to do roboty.

Ruszyli w milczeniu do ogrodu, przedarli się przez zarośniętą ścieżkę i po chwili ujrzeni obrośniętą dzikimi pnączami, chylącą się ze starości do ziemi chatkę.

– Idę pierwsza. – Dawn wskazała stopnie. – Musimy wejść na górę.

Gdy dotarli do końca schodów, wskazała drzwi i oznajmiła:

– Voila. Teraz twoja kolej.

Ben wyciągnął z kieszeni klucz i wetknął go bez wahania do zamka. Usta-pił natychmiast.

– Zaskoczona? – zapytał.

– I to jak – odparła Dawn, po czym pierwsza weszła do środka. Pokój rozmiarami przypominał bar w Dzielnicy

Francuskiej. Sześć staromodnych, dwuskrzydłowych okien oblepiał brud. Wnętrze było dokładnie takie, jak je zapamiętała, bo też chyba nikt nie zaglądał tu od dziesięciu lat.

– Orany – zdziwił się Ben – ale tu dobytku. Jak ja się z tym wszystkim zabiorę do San Francisco?

Powiedział to tak komicznie, że Dawn nie mogła pohamować śmiechu.

– Najpierw wydasz wszystkie oszczędności na zmycie tego brudu.

– Masz pod ręką swój klucz?

– A czy widzisz coś, co mogłabym nim otworzyć?

Podszedł do okna i rąbkiem wypłowiałej zasłony przetarł szybę. W pokoju zrobiło się jaśniej. Dawn poszła w jego ślady i wytarli po kolei wszystkie okna.

– Od czego by tu zacząć?

– Czy twoja babcia miała zwyczaj wszystko chomikować?

– Najwyraźniej. – Podeszła do zniszczonej komody z popękany marmurowym blatem. Szuflady wciąż łatwo się otwierały. W jednej z nich coś zachrobotało i Dawn wsunęła ją gwałtownie z powrotem. – Mysz!

– Będziemy mieli szczęście, jeśli nie spotkamy czegoś gorszego.

– No proszę... – Otworzyła szafę zapakowaną delikatnymi, zwiewnymi sukniami sprzed pół wieku.

– Z pewnością muzea marzą o takich eksponatach .

– Nie znalazłem niczego zamykanego na klucz.

– Nie skończyliśmy jeszcze.

Zaczęła przetrząsać paczki zakurzonych książek i albumów, podczas gdy Ben poddawał szczegółowym oględzinom meble. Tracili już niemal nadzieję, kiedy wzrok Dawn padł na stary kufer. Ten sam, w którym przechowywano

rodzinne fotografie. Zdjęcia wypełniały teraz połowę wnętrza, drugą zaś połowę zajmowała mała, skórzana walizeczka.

– Spójrz – zawołała i usiadła ze skrzyżowanymi nogami, wpatrzona w złote inicjały na granatowym tle.

Ben kucnął przy niej.

– Zamknięta?

– Mhm. – Dawn sięgnęła do kieszeni po kluczyk.

Zamek odskoczył równie łatwo, jak ten w drzwiach i po chwili trzymała już w dłoniach gruby tom o okładkach z czarnej skóry i pozłaczanych jak w Biblii krawędziach kartek. Na pierwszej stronie widniała wykaligrafowana inskrypcja. Ta sama ręka z dziecinną fantazją zamieniła atramentowy kleks w kształtnego pajęczka. – To dziennik wuja Hugh – powiedziała zdumiona na widok liter, które układały się w znajome imię i nazwisko. – Nie wiedziałam, że coś takiego w ogóle istnieje.

– Boże... – Oczy Bena przykrył cień. – Zachodziłem w głowę, co się z nim stało.

– Wiedziałaś o nim?

– Mieszkałem z ojcem Hugh zeszłego lata. Pamiętam, że wieczorami siadał niekiedy do pisania. Kiedy wyszedłem ze szpitala, szukałem tych zapisków w probostwie, ale ktoś zabrał stamtąd wszystkie jego rzeczy.

Dawn przekartkowała pobieżnie dziennik.

– Zaczyna się, kiedy wuj miał dziesięć lat... Patrz, cały zapełniony i nagle się urywa. Niemal jak...

– Jak jego życie, które też nagle zgasło.

Odłożyła dziennik i sięgnęła do walizeczki po pachnącą lawendą, metalową szkatułkę, ozdobioną malowanymi fiołkami. W środku spoczywał gruby, pożółkły plik listów, przewiązanych czarną wstążką. Z trudem odcyfrowała litery w przyćmionym świetle.

– Ten jest adresowany... do ojca Grimauda. Spójrz, napisano go po francusku.

– Uczyłem się trochę łaciny.

– Znam trochę francuski.

– Phillip zna świetnie, jeśli potrzebny ci będzie tłumacz. Od kogo są te listy?

Rozłożyła pierwszy z brzegu i spojrzała zdumiona na Bena.

– Od Luciena Le Danois. To mój pradziadek!

– No proszę. Tylko co to ma wspólnego ze mną?

– Nie wiem. Masz jakiś pomysł?

Wzruszył ramionami.

Dawn przycisnęła listy do piersi, mocno przejęta dokonany przed chwilą odkryciem.

– Jeśli Grandmère miałyby zamiar dać mi tylko to, zapisałyby mi oba klucze. Albo w ogóle nie zwracałyby sobie nimi głowy i poleciłyby Spencerowi, żeby wręczył mi walizkę. Ona jednak chciała, żebyśmy znaleźli ją razem.

– Nie mam pojęcia, czemu miałbym wścibiać nos w wasze rodzinne sprawy.

– Trudno orzec. Naprawdę nie masz żadnej teorii na ten temat? Ty, dziennikarz?

– Nic mi nie przychodzi do głowy.

– Dziwne.

– Rzeczywiście dziwne. Co robimy z tym dalej?

– Zabiorę listy do domu i je przeczytam... – Napotkała jego wzrok, zamilła, po czym podała mu dziennik wuja. – Ty weź to.

– Dlaczego?

– Pomyśl. Grandmère chciała, żebyśmy wspólnie odnaleźli walizkę, musisz więc mieć jakiś udział w tym wszystkim. Nie mówisz po francusku, ale byłeś z wujem, kiedy zginął. Weź jego pamiętnik.

– Potrzebny ci mój udział?

– Mnie nie. Ale babcia tego chciała. Poczytaj sobie – wcisnęła mu oprawny w skórę w tom – i tak nie masz nic lepszego do roboty. Przynajmniej nie będziesz miał czasu, żeby szwendać się po okolicy i osądzać mnie i moją rodzinę.

Ben wziął książkę, nie ukrywając wdzięczności, ona zaś włożyła z powrotem pustą walizeczkę do kufra i skierowała się do wyjścia.

Gdy wyszli na zewnątrz, zapadał już zmrok.

– Betsy wciąż jest groźna – zagała, żeby podtrzymać rozmowę, choć i on, i ona nie mieli teraz ochoty myśleć ani o huraganie, ani o czymkolwiek innym poza tajemniczą zawartością niewielkiej walizeczki. – Może będziemy musieli się ewakuować? Ciekawe, co wtedy z testamentem...

– Zgodnie z prognozami, Betsy nie dotrze na wyspę.

– Pomyłki się już zdarzały.

Na tym zakończyli swoją rozmowę. Ben zniknął w kuchni, a Dawn zaniósła listy na górę i położyła je koło łóżka. Krótki rzut oka wystarczył, by się przekonać, że dotyczyły okresu kilku lat i że ich przetłumaczenie zajmie jej pół nocy.

Odczuła w sercu niepokój, ale też miłe ciepło na myśl o nowej, niespodziewanej więzi z babką. Wistocie niewiele wiedziała o rodzinie Aurore i o jej młodości.

Kim była ta kobieta, która wyszła za Henry'ego Gerritsena i urodziła mu dwóch synów? Kim była ta, która nauczyła ją odwagi, i ta, która w przeciwieństwie do większości współczesnych sobie kobiet zajęła się nie organizo-

waniem balów dobroczynnych, lecz śmiałym budowaniem wielomilionowej korporacji.

Dawn umyła się szybko i przebrała do kolacji. Nawet niechęć do zasiadania przy wspólnym stole z Benem zesłała na dalszy plan wobec niecierpliwego oczekiwania tego, co kryją w sobie listy. Nie przejęła się też deszczem, który bębnił o dach, ani grzmotem, który odbił się echem o krokwie. Gdy tylko przełknęła ostatni kęs skromnego posiłku, pożegnała wszystkich i pospiesznie wróciła do siebie.

– Chytra z ciebie sztuka, babciu – szepnęła, przyciskając już w łóżku poźółkłe papiery do piersi. – Ciekawe, co w nich jest takiego, czego nie mogłaś mi powiedzieć...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Bonne Chance leżało po drugiej stronie Zatoki Barataria.

Nielatwo było się tam dostać z Grand Isle od czasu, kiedy oba miejsca rozdzieliły bagna, rzeczne rozlewiska i pewien nieokiełznany huragan. Trzeba było cofnąć się trasą do Nowego Orleanu i po drodze skręcić na wschód w kierunku Missisipi. Miastem Bonne Chance rządził po dyktatorsku bliski przyjaciel Ferrisa, Largo Haines. Było też ono ostatnim schronieniem HughGerritsena.

– Nie rozumiem, dlaczego obiad z Largo nie mógł poczekać, aż uporamy się z tą niedorzeczną farsą na wyspie – narzekała Cappy, wpatrując się z niesmakiem w ociekającą strumieniami deszczu przednią szybę.

– Zamiast tłuc się kilka godzin samochodem, mogliśmy zaprosić go w przyszłym tygodniu do Nowego Orleanu.

Dopilnowałabym, żeby wszystko wypadło jak należy.

– Largo ma gdzieś, czy wszystko jest „jak należy”. Chodzi mu tylko o to, żebym zjawiał się na każde jego gwizdnięcie, jak wytresowany labrador.

– Jak widać, nie musi się specjalnie wysilać.

– Nie szkodzi. Będę tak długo udawał jego pieska, jak długo będzie mi przydatny. Potem schrupię go i wypluję kości.

– Uważaj, to tutaj. – Cappy zignorowała tę buńczuczną zapowiedź i wskazała na dyskretnie umieszczoną tablicę, którą wyłapały światła reflektorów.

Skrećili z szosy w aleję dojazdową. Z pośepnej szarości wyłonił się fronton „Bonne Chance Country

Club”, wsparty na korynckich kolumnach, które nie dawały gwarancji, że budynek oprze się huraganowym porywom.

W łukowato sklepionym holu oddali okrycia i zanim przeszli dalej, Ferris zlustrował żonę spojrzeniem od stóp do głów. Wyglądała jak zawsze nieskazitelnie. Spod włożonego nieco na bakier kapelusza nie wymknął się po drodze ani jeden niesforny włos, a harmonizująca z ciemną czerwienią sukni woalka muskała zalotnie jej czoło.

Zawsze podziwiał ją w takich momentach, zaś wraz z podziwem rosło w nim pożądanie. Był ostatnio zbyt zajęty, by zaprztać sobie głowę seksem. Rzadko zresztą spędzał noc w sypialni Cappy, a swoje potrzeby seksualne zaspokajał dorywczo i pobieżnie. Jednakże nieodmiennie pożądał swojej żony, nawet wtedy, kiedy była nieprzystępna. Teraz, patrząc, jak wygląda spódnice, poczuł rosnącą falę namiętności.

– Nigdy nie zrozumiem, dlaczego Largo nie poleci zmienić tego niewybrednego wystroju – wydeła kształtne wargi.

– Może taki mu się podoba.

Cappy wystudiowanym gestem dotknęła diamentowej broszki nad lewą pierśią i strzepnęła z ubrania wyimaginowany pyłek.

– Bambusowe meble i kolory jak z portowej tawerny? Brakuje jeszcze tu bylcza w przepasce na biodrach wachlującego gości.

– Nie każdy ma tak wyrafinowany gust, jak ty. – Ferris ujął żonę pod ramię. – Porozmawiamy o tym później, a teraz pamiętaj: ani słowa krytyki – dodał i ocierając się o Cappy biodrem, zaprowadził ją do Sali jadalnej.

Largo czekał na nich przy stoliku w rogu. Przy sąsiednich stolikach było pusto, on jednak nie był sam: kierownik klubu stał przy nim w ugrzecznionej pozie i cierpliwie przyjmował zamówienie.

– Poleciałem właśnie Charlesowi, żeby podał kraby i martini, zanim zamówimy coś większego – odezwał się Largo na ich widok i odprawił męczyznę niedbałym gestem. Wstał, by przywitać się z Cappy, potem uściśnął dłoń Ferrisa. Ferris odwzajemnił uścisk z szerokim, wyuczonym uśmiechem, po czym podsunął krzesło Cappy.

W wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat Largo był lekko łysiejącym mężczyzną, o włosach tak białych, jak jego garnitur i o rumianej, pospolitej twarzy. Jedyne bystre, żwawe oczka barwy rodzynek dowodziły, że nie jest przeciwnikiem. To w głównej mierze jemu Ferris miał zawdzięczać gubernatorski hotel.

– Mamy tu niezłe kraby – odezwał się na powitanie. – Łapiemy je w Plaquemines. Powiedzieć wam, jak tam trafić?

– Powiedz lepiej, co słychać, Largo – odparł Ferris. – Nie martwi cię Betsy?

– Nie było jeszcze takiej burzy, która by mnie zmogła. Nawet jak zmiecie kilka chałup, to co tam... – Wzruszył ramionami. – Każdy sposób jest dobry, żeby posprzątać całą tę rupieciarnię.

Largo lubił rozmawiać. Wymienił kilka zdań z Ferrisem, a potem zarzucił Cappy gradem pytań, na które odpowiadała z rezerwowym wdziękiem. Ferris wiedział, że jego żona uważa Largo za członka niższej klasy, lecz że zarazem umie hamować swoje snobistyczne zapędy, jeśli odpowiada to politycznym celom jej męża. A emablowanie Largo tym celom jak najbardziej odpowiadało.

Gdy więc przyniesiono kraby, a Largo, nie przestając gawędzić, zaczął wydłubywać mięso z muszli palcami, nie skrzywiła się nawet ani nie przestała się uśmiechać, choć z pewnością raził ją ten prymitywny sposób jedzenia tak wykwintnej potrawy. Napoczęła swoją porcję widelcem i nożem i dalej prowadziła przetykaną wątpliwymi żartami konwersację, podczas gdy Ferris oddał się wspomnieniom. Oto powrócił myślami do pewnej letniej, rozgwieżdżonej nocy, kiedy to wykradli się z Hugh na plażę z tuzinem gotowanych krabów i kilkoma butelkami piwa. Obaj byli młodzi, życie stało przed nimi otworem. Zapomnieli o dzielących ich różnicach i nad ranem, kiedy chwiejnym krokiem wracali do domu, nie mieli przed sobą nic do ukrycia.

– To mówisz, że twoja córka już wróciła? – zagadnął Largo, gdy byli po zupie żółwiowej i pieczonej rybie, a kelner postawił właśnie przed nimi mocną kawę. Cappy chwilę wcześniej przeprosiła obu mężczyzn i wyraźnie zmęczona udała się do toalety.

– Ano wróciła – westchnął Ferris.

– Dobrze mieć rodzinę w kupie, co?

– Bardzo wydorosła. Jest prawdziwą pięknoscią.

– Czemu jej tu nie ma? Powinienesz zabrać ją ze sobą.

– Następnym razem – odparł Ferris, choć obaj wiedzieli, że nie będzie następnego razu.

– Woli ciebie czy matkę?

Dawn wołała ojca, lecz Ferris nie uważał za stosowane tego rozgłaszać.

– Czy ja wiem? Bardzo kochała swoją babkę.

– Przykro mi z powodu pani Gerritsen. Nasz stan poniósł niepowetowaną stratę – Largo przypomniał sobie, że powinien wspomnieć także i o tym. – Gdyby więcej było w Luizjanie jej podobnych... Ech – podniósł się – muszę rozprostować kości. Przejdźmy się nad wodę, Ferris. Chyba się przejaśnia.

Mżyło bezustannie, a ziemia była rozmiękła i błotnista, lecz Ferris posłusznie udał się za Largo do holu i polecił hostessie powiadomić Cappy, dokąd się wybierają.

Nawet nie żałował, że wyszli, bowiem świeże powietrze było o wiele przyjemniejsze niż zatechła atmosfera jadalni.

– Od czasu śmierci Rosie nie przyjeżdżam tu już tak często, jak dawniej – wyznał Largo. – Jem przeważnie w domu. Mam czarnego kucharza, umie piec rogaliki nie gorzej niż ci artyści w klubie.

– Tym bardziej się cieszę, że chciało ci się tu przyjechać – powiedział Ferris, podążając za Largo przez parking.

– Za bardzo to mi się nie chciało. Ale jak interes to interes.

– Interes?

– A co, nie chcesz startować na gubernatora?

– Chcę. Jak się na to zapatrujesz? Largo w milczeniu dotarł nad brzeg wąskiej odnogi rozlewiska. Kopnął patyk do wody, ten zaś zakręcił się, poddał leniwemu prądowi, po czym zniknął w ciemnościach.

– Jako chłopak przychodziłem tu popływać. Teraz nie wetknąłbym nawet palca w to szambo. Nigdy nie wiadomo, co się czai w takiej wodzie.

– Rzeczywiście.

– Wtedy pływałem z małymi smoluchami. Mieszkali tam, dalej, przy drodze. Było fajnie, póki ojciec mnie nie dorwał. Omal mnie nie obdarł ze skóry. Wbijał mi do głowy, że do niczego w życiu nie dojdę, jak nie wykażę się charakterem. Zawsze potem uważałem, z kim się zadaje, rozumiesz?

– Rozumiem, Largo.

– Ty urodziłeś się w czepku, Ferris. No... – cmoknął językiem – twój ojciec był raczej kmiotkiem, ale za to matka była pierwsza klasa. Ja natomiast zaczynałem od zera.

– Liczy się nie to, od czego się zaczyna, ale to, do czego się dochodzi.

– Daruj sobie. Ty i twoja śliczna żonka uważacie mnie za parweniusza. W sumie macie rację. Te czarnuchy, z którymi pływałem, więcej umiały wtedy niż ja. Ale teraz to ja mam więcej szmalu i władzy niż wszystkie te gnojki razem wzięte. I nie mam zamiaru się z nikim dzielić.

– Mnie nie musisz o tym przekonywać, Largo. Proszę cię tylko o poparcie mojej kampanii, choć nie miałbym także nic przeciwko jakiejś subwencji.

– Subwencja, mówisz?

– I poparcie.

– Jasne. Kapuję, dlaczego taki facet, jak ty chce mieć to wszystko. – Largo ruszył powoli wzdłuż brzegu.

– Jak się tak rozglądam, czy nikt nie zachodzi mnie od tyłca, to ty mi się nawet podobasz.

– Jestem po twojej stronie, chyba to wiesz.

– Wiem, że jeszcze bardziej rajcuje cię władza niż mnie. Zanim cię poznałem, wydawało mi się to niemożliwe.

– Chcę tylko zostać gubernatorem. A w przyszłości może prezydentem? Nie przyda ci się przyjaciel w Białym Domu?

– Ciekaw jestem, co twój brat by powiedział na ten twój pęd do władzy. Jak pamiętam, to zawsze powtarzał, że największą władzę ma ten człowiek, który jej nie ma.

– Nie przypominam sobie akurat tej wypowiedzi, ale to do niego podobne. Hugh z zamiłowaniem wygłaszał poglądy, które nie miały nic wspólnego z rzeczywistością.

– Ale brakuje ci go, prawda?

Ferris nie odpowiedział.

– Pytam, bo ojciec Hugh może być kluczowym punktem w twojej kampanii – zauważył Largo.

– Nie widzę związku.

– Czyżby? A mi przychodzi do głowy kilka powodów. Ci, którzy go uwielbiali, będą cię mieli za nic, bo nie jesteś taki jak on. A ci, którzy go nienawidzili, będą w strachu, że jesteś do niego podobny.

– Dlatego potrzebuję ludzi takich jak ty, żeby było jasne, kim jestem i kogo zaliczam do grona swoich przyjaciół.

– Możliwe. Aha, jeszcze jedna sprawa odnośnie twoich związków z bratem: o niektórych szczegółach nikt jeszcze nie wie, ale mogą wyjść na jaw.

Ferrisowi nie umknęła złowieszcza nuta w głosie Largo.

– Mogą, ale nie muszą – odparł szybko. – Teraz interesuje mnie tylko, czy oczekujesz czegoś specjalnego od przyszłego gubernatora.

– Chciałbym, żeby miał na względzie dobrobyt południowych okręgów, no i żeby od czasu do czasu posłuchał dobrej rady.

– Załatwione.

– Może i tak, nie zapominaj tylko, że ja nie jestem ani twój, ani niczyj.

Doszli do zakrętu. Tutaj woda płynęła szybciej, jakby poddała się nieuchronnemu przeznaczeniu. Largo zatrzymał się.

– Spójrz tam. Patyk utknął na zakręcie.

Ferris dostrzegł na przeciwległym brzegu gałązkę schwytaną w płataninę wierzbowych korzeni. Trudno było orzec, czy to ta sama, którą Largo wysłał na wodę kopniakiem.

– Utknął na zakręcie... Można na to spojrzeć w dwojaki sposób – dywagował Largo. – Albo po prostu nie chciało mu się dalej płynąć i wołał tu ugrzęznąć, albo płynął sobie radośnie, pewny swego, aż go nagle coś dopadło. Albo był zbyt oporny, albo zbyt uległy. Musisz, Ferris, dokładnie mi powiedzieć, w jakiej pozycji chcesz się usadowić, a ja ci w tym pomogę.

Deszcz padał przez całą noc, wybijając ponury, jednostajny rytm o dach pokryty gontami z cypryśnika.

Wraz z pierwszymi promieniami poranka Dawn schowała listy pradziadka pod wystrzępiony dywanik pod toaletką. Już w dzieciństwie wszystkie osobiste drobiazgi skrzętnie ukrywała przed wścibskimi spojrzeniami rodziców i służby. Przeważnie żaden z nich nikogo nie interesował, jednakże z listami Luciena Le Danois sprawa się miała inaczej.

Zamiast rad ojca dla córki lub pasjonującej korespondencji miłosnej, na którą w głębi duszy miała nadzieję, Dawn przeczytała o czymś, co nią wstrząsnęło i co nie pozwoliło jej zmrużyć oka przez całą noc. Teraz czuła nieodpartą potrzebę porozmawiania z Benem, zanim zjedzą śniadanie i wezmą udział w odczytaniu następnego punktu testamentu.

Weszła pod prysznic, a potem ubrała się szybko. Na dole zastała Phillipa, który siedział na masce samochodu Bena, karmiąc okruchami chleba trójkę rozświetlonych wróbli.

– Widziałeś Bena? – zapytała krótko.

– Wszyscy jeszcze śpią.

– Och... – westchnęła bezradnie, nie wiedząc, co dalej począć. Nie chciała czekać. Potrzebowała natychmiastowych odpowiedzi. Ale nawet gwałtowna konieczność nie zmusiłaby jej do obudzenia Bena.

Przyszli jej do głowy Pelichere i Spencer. Może któreś z nich potrafiłoby uzupełnić tę niewiarygodną historię, której zaledwie ogólny zarys poznała?

– Miałaś kiepską noc? – Phillip wyrwał ją z zamyślenia.

– Nie, ja tylko... – nie dokończyła i wrzuciła z rezygnacją ramionami.

– Powiedz mi, zastanawiałaś się nad tym, po co ściągnięto tu mnie i moją rodzinę?

– Oczywiście – odparła odruchowo.

– I nasunęły ci się jakieś wnioski?

– Żadne.

– Jeszcze nie? – zdziwił się i popatrzył na nią z tłumioną nieufnością.

– Wiem tylko to, co jest oczywiste.

– Oczywiście? Jak kolor naszej skóry? – zapytał lekko drwiącym tonem.

– Nie. – Wcisnęła ręce do kieszeni. – Oczywiście jak to, że ty zajmujesz się pisaniem, a twoja matka śpiewaniem.

– Ach, tak – pokiwał głową – a poza tym niczym się nie różnimy od błękitno krwistych Gerritsenów.

– Słuchaj, nie jestem w nastroju do takich rozmów. Wszystko mi jedno, jakiego jesteś koloru. I tak nie ma to

ze mną nic wspólnego.

– I tu jesteś w błędzie.

Otworzyła usta, żeby się bronić, lecz zrezygnowała.

Może jednak powinna go wysłuchać? Phillip drażnił ją, ale też wyraźnie prowokował do rozmowy, na której mocno mu chyba zależało. Poruszył się nawet, jakby chciał zrobić dla niej miejsce obok siebie.

Usiadła obok niego na masce i zagadnęła po chwili milczenia:

– Ben opowiedział ci o listach?

– Mhm... – Phillip rzucił wróblom następną garść kruszyn. Na lewej dłoni zamigotała w słońcu złota obrączka.

– Nie wiedziałam, że jesteś żonaty.

– Lada chwila zostanę ojcem. Belinda czeka na mnie w Nowym Orleanie. Mam więc swoje powody, żeby jak najszybciej mieć to za sobą.

– Co cię łączyło z babcią, Phillipie?

– To samo co ciebie.

Westchnęła i zaczęła się zastanawiać, co oznaczają te słowa. Ją z babcią łączyło bardzo wiele. Aurore była jej nauczycielką, przyjaciółką, orędowniczką...

Zerknęła na Phillipa, uchwyciła jego znaczące spojrzenie i wtedy nagle zrozumiała.

– Ona była... – zaczęła nieśmiało, porażona nagle tym niezwyklejnym domysłem.

– Moją babką – dokończył za nią Phillip.

Zapadła cisza, którą Dawn przerwała dopiero po kilkunastu sekundach.

– Nie wierzę – wybąkała.

– To mnie nie dziwi.

– Ale... co usiłujesz mi wmówić, Phillipie? Że twoja matka... że Nicky...

– Nicky jest córką Aurore, choć jeszcze o tym nie wie. – Phillip westchnął ciężko i potarł zbolaty kark.

Zdaje się, że i on nie mógł spać tej nocy. – Wkrótce się jednak dowie – dodał – ode mnie. Nasza babka miała wyjątkowy talent do zmuszania innych, by robili to, czego ona nie chciała zrobić sama.

– Skąd, u licha, o tym wiesz?

Uśmiechnął się.

– Aurore miała sporo czasu, żeby przygotować się na śmierć. Przyznanie się do bliskiego pokrewieństwa z moją osobą stanowiło jeden z elementów planu. Wynajęła mnie do spisania swoich wspomnień. Początkowo myślałem, że to niewinny kaprys starszej pani.

Uległem mu, bo potrzebowałem pretekstu, żeby pozostać w Nowym Orleanie. Wkrótce się jednak okazało, że jestem jednym z bohaterów tej historii.

Dawn przypomniała sobie o przeczytanych listach.

– Nie rozumiem – pokręciła głową. – Zostawiła mi listy pradziadka do jakiegoś księdza. Nie ma w nich nic, co wskazywałoby...

– Nie?

- Opisują pewien huragan na przełomie stuleci...
- No właśnie. Pojęłaś to, co przeczytałaś?
- Chyba tak, ale nie wiem, dlaczego to takie ważne.
- Chcesz wiedzieć więcej?

Dawn starała się rozwiązać tę zawiłą łamigłówkę, ale w głowie czuła jedynie zamęt. Jej babka miała córkę o innym kolorze skóry, której istnienia nikt się nie domyślał. Córka jest tutaj, ale nie zna prawdy. Jest również wnuk, który spisał jej wspomnienia.

- To strasznie zagmatwane – wyznała.
- Owszem, ale kiedy zaczniesz się od początku...
- Od listów pradziadka?

– Albo jeszcze wcześniej. Od ślubu Luciena Le Danois. Żeniąc się z twoją prababką, zyskał coś więcej niż tylko żonę. Pochodził z dobrej, ale biednej rodziny, a Claire Friloux była dziedziczką Gulf Coast Steamship. To małżeństwo było dla niego społecznym awansem.

- Mam wrażenie, że znam podobny scenariusz. Co dalej?

– To nie było szczęśliwe małżeństwo. Claire wielokrotnie zachodziła w ciążę, lecz Aurore była jedynym dzieckiem, które przeżyło. Od urodzenia była słabowita i nikt nie czynił sobie wielkich nadziei. Rodzina Le Danois przyjeżdżała na lato na Grand Isle, żeby uciec od duchoty miasta i chorób. Lucien zostawiał tu żonę i córkę, wracał do pracy, potem odwiedzał je od czasu do czasu. Ale nie tylko do nich wrywał się z miasta. Znalazł sobie przyjaciółkę w pobliskiej wiosce rybackiej, która była silna, zdrowa, zadowolona z życia. Całkiem inna niż Claire.

- Przyjaciółkę?

– No, może więcej niż przyjaciółkę. Lucien ją kochał. Była Akadyjką, nazywała się Marcelite Cantrelle.

Kiedy się poznali, miała już jednego syna, Raphaela.

– Boże, nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy wywlekać jakiś błahy romans sprzed stulecia.

– Zaraz zrozumiesz. – Phillip przechylił się do tyłu, by lepiej widzieć jej twarz. – Czego właściwie dowiedziałaś

się z tych listów?

– Czytałam, że sztorm nawiedził Grand Isle w 1893 roku. Lucien był tu wtedy z rodziną. Huragan złapał go

w łodzi na wodzie, udało mu się dopłynąć do...

– Chénierre Caminada.

– Właśnie. Sztorm przybierał na sile, więc postanowił ukryć się w jednym z domów i przeczekać. Ale potem się przestraszył, że drewniane ściany nie wytrzymają naporu wiatru, i popłynął łodzią pełną obcych ludzi do kościoła. Kościół był częściowo zniszczony, ale ostało się prezbiterium. W pewnym

momencie łódź zaczepiła o wystające z dna szczątki, zaś on wskoczył do wody, żeby ją uwolnić, i wtedy wciągnął go wodny wir. W panice przeciął linę, którą był przywiązany do łodzi. Cudem zdołał przepłynąć kilkanaście metrów, jakie dzieliły go od kościoła, ale łódkę porwała fala i wszyscy jej pasażerowie zginęli.

– Wszyscy pasażerowie – powtórzył Phillip z kwaśnym uśmiechem. – To znaczy trzy osoby, i to wcale nie obce: Marcelite Cantrelle, jej syn Raphael i jej córka Angelle, która była też córką Luciena.

– Nie – wybąkała Dawn, skamieniała z osłupienia.

– Tak. Poza tym Lucien nie przeciął liny po to, żeby się ratować. Świadomie posłał ich na śmierć, bo musiał się ich pozbyć. Teść dowiedział się o „błahym romansie” i zaczął mu grozić.

– Zabił ich?

– Nazwij to, jak chcesz.

Dawn chciała się spierać, perswadować, zaprzeczać tej przerażającej wersji wydarzeń, lecz nie umiała znaleźć argumentów. Czytając listy, sama zastanawiała się przecież, dlaczego pradziadek wciąż tak obciąża się winą, kaja, powraca nieustannie do tamtej strasznej nocy. Otrzymał od ojca Grimauda rozgrzeszenie, a mimo to wciąż rozpamiętywał dawne wydarzenia. Dostrzegła też pewne nielogiczności w opisie wydarzeń, lecz te kładła na karb swojej niedoskonałej francuszczyzny.

– Ojciec Grimaud był proboszczem w Chénierie, to on go wtedy uratował i dlatego Lucien do niego pisał.

– Ponura historia – pokiwała głową Dawn. – Ale co to wszystko ma wspólnego z tobą?

– Raphael był moim dziadkiem.

– Mówiłeś, że zginął.

– Wszyscy tak sądzili, Lucien też. Pochował ciała Marcelite, Angelle i dziecka podobnego do Raphaela. Natomiast prawdziwy Raphael kurczowo uczeplił się szczątków łodzi i przeżył. Znalaziono go dopiero po kilku dniach, nieprzytomnego i kompletnie wyczerpanego.

Jakiś człowiek rozpoznał w chłopcu Etienne’a Lafonta, którego bliscy zginęli podczas huraganu, i tak Raphael zmienił tożsamość. Przygarnęła go pewna rodzina z Bayou Lafourche. Tam się wychował, tam mieszkał, nie zapomniał jednak swojego prawdziwego nazwiska ani postępu Luciena. Poprzyściął sobie, że pewnego dnia go odszuka i wystawi mu rachunek.

– I zrobił to? – Dawn zadrżała mimowolnie.

– Kiedy dorósł, przeniósł się do Nowego Orleanu i podjął pracę w Gulf Coast Steamship, firmie, którą Lucien przejął po śmierci teścia. Szybko zyskał sobie zaufanie szefa. Był bystry, inteligentny, zdolny i pracowity... – Phillip

przerwał na chwilę. – Był mieszzańcem, ale nikt o tym nie wiedział. A przy-
najmniej nie wiedział na pewno.

– Jak to możliwe?

– Nie wyglądał jak inni mieszzańcy. Jego ojciec urodził się w niewoli jako
syn niewolnicy i jej pana.

W Bayou Lafourche powszechnie uważano, że ze sztormu uratował się
chłopiec o imieniu Etienne. Tamtejsi mieszkańcy stanowią istną mieszanke
narodowościową i zazwyczaj mają śniadą cerę i ciemne włosy.

Raphael podejrzewał, że jest mieszzańcem, ale nie to spędzało mu sen z
powiek. Wciąż pamiętał sztorm, straszną scenę przed kościołem, i myślał tyl-
ko o zemście.

Uknuł plan zrujnowania Luciena, doprowadzenia Gulf Coast Steamship do
bankructwa oraz rozkochania w sobie Aurore. Jednego tylko nie przewidział –
że wbrew sobie się w niej zakocha.

– I tak się stało?

– Tak. Aurore zaszła w ciążę, mieli razem uciekać. Wydawało się już, że
plan się powiódł: upadek Luciena, małżeństwo z Aurore. Lecz nagle wszystko
przepadło. Aurore odkryła prawdziwe intencje Raphaela. Lucien zmarł, a ona
zniknęła.

– Zniknęła?

– Dowiedziała się, że ojciec Raphaela był mulatem. Bała się, że urodzi
czarne dziecko. Dlatego ukryła ciążę, a po porodzie chciała je oddać. Raphael
odnalazł ją, zabrał córkę i sam ją wychowywał. To była Nicky.

– Grandmere pozwoliła odebrać sobie córkę?

– Uważała, że nie ma wyboru.

– Trudno mi w to uwierzyć. Zawsze była wspaniałą matką, kochającą, peł-
ną poświęcenia. Dla dobra dzieci oddałaby własne życie.

– A jednak oddała Nicky Raphaelowi, a sama zajęła się odbudową Gulf
Coast Steamship. Niestety, epoka parowców właśnie przemijała i żaden bank
nie chciał udzielić jej kredytu. Firmę przemianowano więc na Gulf Coast
Shipping, a żeby zyskać środki na jej rozwój i dostosowanie do nowych cza-
sów, Aurore wyszła za Henry'ego Gerritsena.

Dawn milczała, nadaremnie próbując poskromić gonitwę myśli. Usiłowała
poskładać w całość odłamki wspomnień i te fragmenty rodzinnej historii, któ-
re знаła wcześniej. Jakaś częśćka w niej krzyczała, że to wszystko nieprawda,
że Phillip jest szaleńcem. Głos rozsądku podpowiadał jednak, że elementy tej
układanki pasują do siebie idealnie – listy pradziadka, których Aurore nie
spaliła, lecz zostawiła, by przekazać wnuczce, obecność na Grand Isle Philli-
pa, Nicky...

– Czy Grandmere spotkała kiedykolwiek Nicky? Wiedziała o niej cokol-
wiek, jak rośnie, jak dojrzewa?

– To, co ci powiedziałem, stanowi zaledwie fragment całej historii. Dlatego Aurore chciała, żebym ją spisał. Dyktowała mi stronę po stronie – uśmiechnął się bez wesołości. – Zdawała sobie sprawę, że trudno będzie dać wiarę tej opowieści.

– Masz ten rękopis przy sobie?

– Nie. Spencer zrobił kopie dla każdego, ale najwyraźniej wręczy je nam dopiero przy końcu.

– Czy Spencer...

– Spencer może wszystko potwierdzić. Od lat zna całą historię. Pelichere też.

Słońce podniosło się nad horyzontem, kładąc na ziemi długie cienie. Dawn długo milczała, patrząc na skaczące u stóp Phillipa wróble, wreszcie wyznała z ciężkim westchnieniem:

– Będę musiała opowiedzieć o tym rodzicom. Nie mogą poznać prawdy od Spencera, to byłby dla nich szok. A ty, powiesz Nicky?

– Powinienem być już dawno to zrobić.

– Czy Aurore nie chciała...

– Zostawiła do mojego uznania, kiedy Nicky się dowie – przerwał jej szybko.

– Dlaczego w takim razie nie wyznałaś jej prawdy przed śmiercią matki? Miałyby szansę się poznać.

– Wątpię, czy z takiego spotkania wynikłoby coś dobrego. – Phillip ześlizgnął się z maski. – To jeszcze nie koniec, Dawn. Będzie więcej rewelacji. Moja rada jest taka: nie osądzaj nikogo, póki nie poznasz całej prawdy.

Poszła w jego ślady, po czym ujęła go pod ramię, jakby wybierała się z nim na spacer.

– Wiesz co? Chyba jestem ci wdzięczna.

– Za co? Za wyjawienie rodzinnych tajemnic, które mogły zostać ci oszczędzone?

– Cały ostatni rok usiłowałam wyrzec się tej rodziny.

– Nie znałaś jej dobrze. Rodzinie, której się wypierasz, przybyła właśnie znacząca liczba nowych członków. I to z pewnością nie takich, o jakich marzyłaś.

Nie zaprzeczyła. Uśmiechnęła się tylko i spytała:

– Obserwowałeś kiedyś, jak mgły opadają nad brzegiem Missisipi?

Phillip podniósł brwi zaskoczony.

– Spróbuj kiedyś. W dzieciństwie stale to robiłam. Mgła gęstnieje, powleka wszystko delikatną, zimną smugą tajemniczości. Ma się świadomość, że gdzieś niedaleko są ludzie, że łodzie pływają na rzece. Dobiegają urywki rozmów, gwizdy, dźwięk dzwonek, śmiechy.

Lecz wszystko jest niewidoczne, zasnuwane, zaćmione, a postępując krok, można wpaść do wody i się utopić.

– No więc?

– Tak mniej więcej wyglądało dorastanie w rodzinie Gerritsenów. I choć nie podoba mi się to, czego dowiedziałam się o babci, jestem ci wdzięczna, że rozproszyłeś mgłę.

Poszukał wzrokiem jej oczu, jakby chciał dopatrzeć się w nich zaprzeczenia tych słów. Potem wzruszył ramionami.

– Kiedy to wszystko się skończy, po mgle zostanie tylko wspomnienie, Dawn. Już nasza babka tego dopilnuje. Mam nadzieję, że jesteś gotowa ujrzeć pełny obraz, w całej jego ostrości. Powiem ci jedno: po czterech dniach spędzonych tutaj być może zatęsknisz całym sercem do gęstej mgły.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Stek kłamstw! – Ferris przeciął powietrze dłonią, jakby chciał wymierzyć cios niewidzialnemu przeciwnikowi. – Cóż to za gierki uprawiasz, Dawn? Po co? Komu chcesz zaszkodzić?

Dawn odczekała, aż rodzice wstaną, a potem zaproponowała im spacer dębową aleją. Spokojnym głosem zrelacjonowała opowieść Phillipa, po czym powtórzyła po raz kolejny:

– To żadne gierki. Przekazuję wam tylko to, czego się dowiedziałam.

– Przekazujesz brednie, które napłótł ci Phillip Benedict!

– Nie tylko. Przeczytałam też listy. Wersja Phillipa zgadza się z ich treścią.

– I ty w to wierzysz? Jesteś aż tak naiwna?

– Grandmere podyktowała mu swoje wspomnienia, a Phillip twierdzi, że Spencer i Pelichere mogą poświadczyć każde jego słowo. Sam ich zapytaj.

– Dawn! – Natarł na nią, lecz choć przeszył ją lęk, jak zawsze, kiedy Ferris wpadał w złość, Dawn nie cofnęła się przed ojcowskim atakiem. – Posłuchaj, Dawn... – dodał łagodniej. – Mówiłem ci wcześniej, że Nicky Valentine coś kombinuje. To na pewno ona wymyśliła tę bajeczkę, a potem opowiedziała ją synalkowi.

Nie wiesz, że tylko czyha, żeby wybuchł skandal?

Dawn poczuła, jak wzbiera w niej gniew.

– To ty pleciesz bzdury, tato! Nie widzisz, że ostatnią rzeczą, o jakiej Nicky mogłaby myśleć, jest pokrewieństwo z tobą i twoją rodziną?

– Przestańcie, proszę. Myślę, że starczy już tych wyznań – wtrąciła się Cappy z niezmaconym spokojem.

– Pelichere przygotowała francuskie grzanki na śniadanie. Może przekąsisz coś, kochana, zanim Spencer znowu zapędzi nas na werandę? – zwróciła się do córki.

Dawn odwróciła się zniechęcona i odeszła, odprowadzana zamyślonym wzrokiem matki, a Ferris wbił ręce w kieszenie i zapatrzył się w niebo.

– To bzdura – warknął, kiedy córka zniknęła w głębi alei. – Wierutne łgarstwo. Nie pozwolę, żeby szkalowano dobre imię mojej matki.

– Jej dobre imię? – parsknęła sarkastycznie Cappy.

– Nie krepuj się, jesteśmy sami i oboje dobrze wiemy, o czyje dobre imię ci chodzi.

– Nie zaczynaj – ostrzegł ją podniesionym tonem.

– Jeśli te brednie wyjdą na jaw, odbije się to także na tobie.

– Och, wiem, przecież wiem... – Cappy ostentacyjnie spojrzała na zegarek.

– Mamy czterdzieści minut. Chcę jeszcze pospacerować po plaży. Tobie zaś radzę, żebyś wykorzystał ten czas na pogodzenie się z faktem, że Nicky Valentine jest twoją siostrą.

– Nie mam pojęcia, co oni kombinują, ale nie widzę powodu, dla którego miałabym zostać tu choćby chwilę dłużej.

Nicky majestatycznym krokiem skierowała się w stronę szafy, obrzucając Phillipa i Jake'a wyniosłym spojrzeniem. Kiedy syn opowiadał historię jej narodzin, zachowała kamienny spokój. Teraz zaczęła demonstracyjnie zdejmować z wieszaków ubrania. Phillip postąpił krok w jej stronę, lecz Jake przytrzymał go za ramię i wskazał głową drzwi.

Phillip zawahał się, ważąc w myślach to, co powinien, z tym, co wołał. Wybrał ostatnie. Nacisnął klamkę i wyszedł na korytarz.

– Co ty wyprawiasz? – spytał Jake, gdy zostali sami.

– Wracam do domu.

– Chcesz sama prowadzić w taką pogodę?

Spojrzała mu prosto w twarz.

– Chyba nie zamierzasz tu zostać?

– Jak najbardziej. Jeśli ty dezertujesz, to przynajmniej ja muszę zostać i dowiedzieć się, w czym rzecz. – Jake przysiadł na łóżku i pociągnął ją za rękę, by siadła obok niego. – Ktoś tu kręci, a ktoś mówi prawdę.

To trzeba wyjaśnić. Nie możemy udawać, że nas to nie dotyczy.

– Aurore Gerritsen nie była moją matką.

– Co pamiętasz o ojcu?

– Niewiele. Był dobrym człowiekiem.

– A co mówił o matce?

– Nic. Nigdy nic nie mówił.

– Czy twoja matka mogła być białą kobietą?

– Skąd mam wiedzieć?

– Bo potrafisz dodać dwa do dwóch, jak każdy bystry, rozgarnięty człowiek.

– Wybacz, Jake, ale naprawdę nie wiem, o czym mamy rozmawiać. Mam dociekać, jakiego koloru skóry była matka? W jaki sposób? Po kolorze skóry ojca czy moim? Co chcesz przyrządzić, koktajl czekoladowy?

Może dodasz trochę syropu Hersheya, żeby był ciemniejszy?

– Powiedziałaś, że ojciec nie mówił nigdy o matce. A ktoś inny?

Milczała dłuższą chwilę, zmagając się z własną pamięcią.

– Tam, gdzie się wychowałam, pełno było kobiet jaśniejszych ode mnie, a wszystkie miały domieszkę ciemnej krwi. Zawsze myślałam, że któraś z nich jest moją matką. Potem powiedziano mi, że ona umarła przy porodzie.

– Ale czy istnieje możliwość, że była biała?

– Nie! Aurore Gerritsen nie była moją matką! Coś tu nie gra.

– Więc zostań i dowiedz się, co.

Podeszła do okna. Tak jak obiecała Dawn, z okna rozciągał się wspaniały widok na Zatokę. Wzburzone fale obijały się o brzeg, a woda przybrała barwę ciemnozielonych wodorostów. Nicky zadumała się nad opowieścią Phillipa o chłopcu i dziewczynce w łupinie miotającej się we wścieklej kipieli, o kobiecie krzyczącej przeraźliwie, kiedy jej kochanek przecinał ostatnią nić, jaka łączyła ją z życiem.

– Nienawidzę tego miejsca! – Zatkąła uszy. – Jak w ogóle mogło ci przyjść do głowy, żeby tu zostać? Kiedy Ferris Gerritsen dowie się, co rozgłasza Phillip, zetrze nas na proch.

– Nie mogę się doczekać, kiedy się dowie.

– Sądzisz, że ktokolwiek stanie po twojej stronie przeciwko wszechwładnemu senatorowi?

– Przez połowę swojego dotychczasowego życia uciekałem przed tym, kim jestem, a drugą połowę spędziłem, usiłując pogodzić się z faktami. Teraz mam zamiar stanąć w obronie tego, co mi się należy. Czy będziesz mi towarzyszyć?

– Nie próbuj mnie wyřęcać, Jake. Mam swój rozum i swoje sumienie.

Sama rozstrzygnę, co jest słuszne.

– Wiem. Proszę cię tylko, żebyś nie podejmowała pochopnych decyzji.

– Dobrze, nie martw się o mnie więcej.

– Chcesz teraz zostać sama? – spytał domyślnie.

– Tak. Muszę się przygotować na spotkanie z Gerritsenem.

Wyszedł bez słowa protestu, a Nicky zaczęła chodzić po przestronnym, przytulnym i na wskroś kobiecym wnętrzu, w którym każdy przedmiot nosił piętno indywidualności Aurore Gerritsen. Teraz Nicky patrzyła na te sprzęty inaczej; teraz ta obca kobieta upominała się zza grobu o nią, swoją córkę. Czy rzeczywiście Nicky nią była? Jeśli tak, to lepiej było w ogóle się nie urodzić.

Kiedy godzinę później Spencer St. Amant oświadczył, że ma do przekazania kolejny przedmiot od autorki testamentu, tym razem dla pani Reynolds, Nicky przyjęła to bez zdziwienia. Nie wygłosiła ani słowa komentarza, nie rozglądała się na boki. Zdecydowanym ruchem wyciągnęła rękę po szkatułkę i skinęła głową, słysząc krótkie wyjaśnienie:

– Aurore wyraziła nadzieję, że ten drobiazg w pewnej mierze zrekompenzuje krzywdę, jaka została wyrządzona.

W pokoju zapadła głucha cisza. Ben i Phillip wymienili spojrzenia, małżeństwo Gerritsenów zdawało się w ogóle niezainteresowane sytuacją. Nicky zacisnęła palce wokół puzderka, wstała i opuściła pokój bez słowa.

– To wszystko na dzisiaj – oznajmił zebrany Spencer. – Spotkamy się jutro o tej samej porze.

Dopiero teraz zrobiło się gwarno i hałaśliwie. Zebrani szurali krzesłami i komentowali między sobą wynik kolejnego spotkania. Ben pragnął pomówić z Dawn, wiedząc, że Phillip odbył z nią rano rozmowę na temat przeszłości Aurore. Dawn się wymykała, jakby nie wiedziała już, z kim powinna trzymać. Stała między Spencerem a rodzicami niczym czujny pies, który gotów jest bronić swego pana.

Rodzice nie czuli się chyba zagrożeni, bowiem nie okazali córce wdzięczności. Cappy ujęła Ferrisa pod ramię i poprowadziła w stronę wyjścia. Wychodząc, rzuciła wymowne spojrzenie Dawn, lecz ta, zniechęcona jej obojętnością, zatopiła się już w pogawędce ze Spencerem.

Ben nie chciał naciskać i postanowił odłożyć rozmowę na później. Wyszedł z pokoju i wrócił do siebie.

Było wczesne popołudnie, kiedy Nicky usłyszała za plecami trzask otwieranych drzwi. Nie odwróciła głowy, wciąż zapatrzona w spienione fale zatoki. Czekala, aż obejmą ją mocne ramiona męża.

– Gdzie byłeś? – zapytała.

– Pelichere poleciła mi pewien bar przy drodze.

– Przykro mi, że kazałam ci się wynosić.

– Nie szkodzi. Ja też musiałem coś przemyśleć.

– Nie jesteś ciekaw, co było w szkatułce?

– Tego nie powiedziałem.

– Dobry z ciebie człowiek, Jake’u Reynoldsie. – Pochyliła lekko głowę i zdjęła zawieszony na łańcuszku

medalion. – Zobacz.

Pokrytą delikatną patyną ozdobę wykonano ze starego złota. Jakiś wytrawny jubiler ozdobił wieczko misternie plecionymi różyczkami, w których osadził maleńkie diamenty.

– W środku jest fotografia, zajrzyj.

Jake przez chwilę mocował się z zameczkiem, wreszcie Nicky zręcznym ruchem nacisnęła krawędź. Wieczko odskoczyło, a medalion przybrał kształt dwóch identycznych serduszek.

– Kto to?

Nicky uśmiechnęła się smutno, zapatrzona w tak znajomy, tak bliski sercu obrazek, którego nie widziała od ponad trzydziestu lat.

– To ja, jako mała dziewczynka.

– Ty?

– Tak, Jake. Ten medalion dała mi przyjaciółka mojej matki w Nowym Orleanie, a w środku, obok mojej, umieściła swoją podobiznę.

– Swoją podobiznę? Nic z tego nie rozumiem.

– Ja też nie.

– Skoro był twój, w jaki sposób trafił do Aurore Gerritsen?

– Nie mam pojęcia.

Jake nie zadawał więcej pytań. Przygarnął żonę do siebie i uściśnął z czułością. Gdy Nicky poczuła, że oczy wzbierają jej tłumionymi łzami, zatrzasnęła szybko medalion i zawiesiła go na szyi.

– Potrzebuję wyjaśnień, Jake. Jeszcze wczoraj było mi to obojętne, ale teraz... Mógłbyś odszukać Dawn i poprosić, żeby tu przyszła?

– Dlaczego ona? Myślisz, że Dawn coś wyjaśni?

– A z kim mam rozmawiać? Z Ferrisem?

Jake kiwnął głową i jeszcze raz mocno ją przytulił.

Zawsze w ten sposób okazywał silne wzruszenie. Po chwili wyszedł i została sama.

Niedługo potem rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Można? – Nicky usłyszała głos Dawn.

– Wejść.

– Jake powiedział...

– Tak, dziękuję, że przyszłaś – przerwała jej Nicky.

– Chciałabym, żebyś przyjrzała się pewnej fotografii.

– Chętnie. – Dawn zbliżyła się powoli. – Dobrze się czujesz?

– Nie. A ty?

– Tak sobie.

– Zdaje się, że wszyscy czujemy się nie najlepiej.

– Nicky przesunęła palcami po naszyjniku i z wahaniem spojrzała na Dawn. – Widziałas już kiedyś ten przedmiot?

– Nie sędzę...

– A poznasz tę kobietę? – Otworzyła medalion.

– To... – Dawn przyglądała się przez chwilę fotografii – to moja babka, kiedy była młoda.

Nicky zatrzasnęła medalion i odwróciła się plecami.

– Mam sobie pójść? – spytała niepewnie Dawn.

– Kiedy byłam mała... siedziałam u niej na kolanach... pamiętam. Twierdziła, że znała moją matkę. Ale nigdy mi nie wyjawiała, kim była naprawdę.

– Ona? – zdumiała się Dawn. – Ale... Mój Boże – zrezygnowała z próby powiedzenia czegokolwiek i po prostu przysiadła obok Nicky na łóżku.

– Spotkałam ją dwa razy... tak, chyba dwa, chociaż nie jestem pewna, bo to było bardzo dawno. Na pewno widziałam ją tuż przed naszą przeprowadzką do Chicago. To wtedy podarowała mi ten medalion.

– Ile miałaś lat?

– Jakieś dwanaście. Widziałam ją wtedy po raz ostatni.

– Ona została w Nowym Orleanie?

– Tak, a ja wróciłam tu dopiero kilka lat temu po długiej, długiej wędrówce przez pół świata. Nie wiedziałam, że wracam... do niej. – Odetchnęła głęboko, podparła czoło dłonią. – Mój ojciec zginął w Chicago. Po jego śmierci zaopiekował się mną pewien stary muzyk, Clarence Valentine. Był świadkiem śmierci mego ojca i troszczył się o mnie jak rodzony dziadek. Grał jazz, świetnie grał. Zaproponowano mu wyjazd do Paryża, gdzie miał występować w jednym z klubów na Montmartrze. Obawiał się o moje życie, więc potajemnie wywiózł mnie z miasta i zabrał ze sobą do Europy.

– Jak zginął twój ojciec? A może... – zawahała się – może nie chcesz o tym mówić?

– Nie chcę. Ale powiem. W Chicago wybuchły zamieszki na tle rasowym. Ojca zastrzelił biały bandyta, widziałam jego twarz... Clarence bał się, że ten człowiek będzie mnie szukał, że będzie chciał pozbyć się świadka. Dlatego właśnie uciekliśmy i zaczęliśmy nowe życie.

– Clarence Valentine... To dlatego nagrywasz płyty jako Nicky Valentine?

Zamiast odpowiedzieć, Nicky sama zadała pytanie:

– Co Phillip powiedział ci o moim ojcu?

Dawn milczała. Woląla nie dzielić się na razie swoją wiedzą i swoimi domysłami.

– Czy wiesz o tym, że Aurore i mój ojciec, już po zrujnowaniu jej rodziny, odebraniu córki, nawet po jej ślubie z Gerritsenem, nigdy o sobie nie zapomnieli?

– Raphael i moja babka?

– Tak, Aurore Le Danois Gerritsen i Raphael Cantrelle. – Nicky uśmiechnęła się smutno na wspomnienie ojca. – Kazał jej mówić do siebie Rafe. Phil-

lip twierdzi, że Aurore dopiero po wielu latach odkryła motywy jego postępowania. Znalazła listy, które wczoraj czytałaś, i poznała prawdę. Ojciec nie wyparł się niczego. Wiedzieli, że nie mogą być razem, że im nie wolno, a jednak mimo wszystkich ran, które sobie zadali, wciąż się kochali... – Przerwała na chwilę, znów westchnęła, jakby chciała nabrać nowych sił przed dalszym ciągiem opowieści. – Oboje wiedzieli, że ich związek jest niemożliwy. Dzieliła ich przepaść. Jednakże, wbrew wszelkim przeciwnościom, nie przestali się kochać. To dlatego ojciec opuścił Nowy Orlean: żeby ta miłość ich nie zgubiła.

– A Aurore? Co na to Aurore?

– Podobno sądziła, że zginęłam w Chicago wraz z ojcem. Podobno nie wiedziała, że wyjechałam do Paryża. Podobno... – Nicky zamilkła gwałtownie i spojrzała na Dawn.

Dziewczyna delikatnie przykryła dłonią jej śniadą rękę.

– Na pewno nie wiedziała – powiedziała z przekonaniem.

– Znałam babcię być może lepiej niż ktokolwiek inny. Wciąż tak mało o niej wiem, ale jednego jestem pewna: nie wierzę, żeby nie kochała swego dziecka. Nie potrafiłaby o nim zapomnieć, przestać je kochać. Teraz już wiem, że dręczyło ją ogromne poczucie winy. Dlatego skrywała wszystko aż do śmierci. Ona... kochała ciebie, Nicky.

– Chodzi mi o to... – Nicky urwała i bezradnie wzruszyła ramionami. – Chyba wiem, dlaczego nic mi nie powiedziała aż do swojej śmierci.

Dawn czekała na dalszy ciąg, lecz Nicky nie była w stanie wydusić z siebie więcej. Być może słowa, które cisnęły się jej na usta, były zbyt przerażające, by wypowiedzieć je na głos.

– Dziękuję ci, Dawn – wyszeptała wreszcie. – Musiałam z kimś porozmawiać.

Dawn zawałała się przez chwilę, a potem nachyliła się i ucałowała Nicky w policzek.

Po jej wyjściu Nicky podeszła do okna i oparła czoło o framugę.

– Wiem, dlaczego nigdy nie wyznałaś mi prawdy – załkała, dotykając rozgrzanego ciepłem jej szyi medalionu.

– Nie mogłaś... Nie po tym, co wydarzyło się później.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Paryż, 1927

Nocny klub „Chez les Américains”⁹ mieścił się przy rue Pigalle na Montmartrze i godził się swojej nazwy – nie silił się na europejską elegancję, a przypominał raczej jeden z wielu podobnych, typowych lokali po drugiej stronie Atlantyku. Zaciągnięte na oknach żaluzje odgradzały go od światła wielkiego miasta, ceglane ściany i drewniana podłoga pomalowane były na czarno, dekorację stanowiły oprawione w ramy fotografie Rudolfa Valentino i Mary Pickford oraz swojskie krajobrazy gór na Dzikim Zachodzie i podobizny dzielnych indiańskich wojowników. Choć poza kłębam dymu i przyprawiającym o ból głowy gwarem niewiele miał do zaoferowania, z reguły panował w nim tłok.

– Jasne, że walą do nas drzwiami i oknami, malutka – tłumaczył Clarence, ssąc koniuszek ogromnego cygara, którego chyba nigdy nie zapalał. – Chcą posłuchać najlepszego jazzu w Paryżu. Prawdziwego jazzu, a nie jakiegoś tam partackiego rzępolenia.

Nicky opierała się o klapę fortepianu i przypatrywała gościom, włączającym się od stolika do stolika. Wiedziała, że słowa dziadka to nie cześć przechwałki – Clarence Valentine i jego band byli najlepsi w mieście.

Nicky uwielbiała Clarence’a od chwili, kiedy po raz pierwszy usłyszała jego grę. Potem jej życie przybrało dramatyczny obrót. Z małej Nicolette Cantrelle przeistoczyła się w Nicky Valentine, z Chicago uciekła do Paryża, a ukochanego ojca, którego śmierć wciąż powracała w nocnych koszmarach, zastąpił Clarence. Niezmienne pozostało w niej jedynie umiłowanie muzyki.

– O czym tak dumasz, dziecino? Coś nietęgą masz minę.

– Nic takiego – uśmiechnęła się do niego czule.

Twarz Clarence’a rozjaśnił szeroki uśmiech. Mimo wieku wciąż był postawnym mężczyzną. Nie miał żadnego wykształcenia, był muzycznym samoukiem, a zanim zaczął zarabiać na życie graniem, pracował jako tragarz w nowoorleańskim porcie. Miał doskonały słuch, potrafił zagrać każdą zasłyszaną melodię i to zazwyczaj w bardziej wzruszającej wersji niż oryginał.

Tego wieczoru ubrany był w błyszczący czarny garnitur, czerwoną kamizelkę i oślepiająco białą koszulę; w krawat wpiął nieodłączną brylantową spinkę.

– Kiedy zaczniecie grać?

– Spokojnie, dziecino. Wszystko w swoim czasie.

⁹ * U Amerykanów (przyp. tłum.).

W nocnych klubach na Montmartrze zabawa rozkręcała się na dobre dopiero po północy. Amerykanie i Anglicy, przyjeżdżając do Paryża, wyzbywali się sztywnych konwenansów, porzucali zbyteczny bagaż obowiązków oraz zwyczajowo unormowany tryb życia. Ci, których ciągnęło do kieliszka, po kolacji w jednej z czarujących restauracyjek zaszywali się w przytulnych barach – na przykład w „Dingi” lub w „Parnasse” – gdzie z barmanami byli po imieniu i mogli pozwolić sobie na swobodne zachowanie. Inni udawali się na Montparnasse, by potańczyć i posłuchać muzyki.

Bywalcy „Chez les Américains” zalegali tu do świtu.

Z upływem nocy atmosfera gęstniała, muzyka brzmiała coraz goręcej, napitki sypały się coraz obficie, a pochwały coraz bardziej żywiołowo. Dlatego właśnie Nicky miała zamiar poprosić Clarence’a, by pozwolił jej śpiewać pod koniec nocy, a nie na początku.

– Potrafię rozgrzać publiczność – przekonywała – tylko nie dajesz mi szansy.

– Ja nie daję ci szansy? Przecież śpiewasz co noc. Tłumy walą, żeby cię posłuchać. Inaczej ludzie nie sterczeliby tu do rana.

– Na pewno nie przychodzą tu, żeby słuchać mnie.

– Więc kogo? – Clarence ułożył palce na klawiaturze i wydobył kilka początkowych akordów.

– Na pewno nie mnie – powtórzyła i odeła wargi, czego, jak wiedziała, Clarence nie znoślił. – Nie przychodzą słuchać mnie, bo nie mam okazji pokazać im, co naprawdę potrafisz. Czy muszę wciąż być tylko tą hostessą, której z łaski daje się czasem wystąpić?

– Lepiej nie marudź, bo pan Yernaux poszuka sobie innej hostessy. Bądź cierpliwa, przyjdzie jeszcze twój czas.

Nicky wykrzywiła twarz w grymasie, który podpatrzyła u Josephine Baker, giętkim ruchem ciała poprawiła błyszczącą suknię i uzbrojona w szeroki uśmiech, ruszyła w stronę pierwszych tego wieczora gości.

Była zła na Clarence’a, ale nie miała do niego żalu. Ten mężczyzna, którego nazywała dziadkiem, od pierwszej chwili na francuskiej ziemi był zdecydowany zapewnić jej wykształcenie i poziom życia, jakiego życzyłby sobie dla niej jej ojciec. Grywał w rozmaitych klubach z jazzowymi orkiestrami, zarabiając dla niej na czesne i wygodny apartament, który oboje nazywali domem.

To dzięki niemu Nicky poznawała literaturę i sztukę, uczyła się języka i dobrych manier. Jej francuski już po kilku miesiącach nauki był nienaganny, na równi z angielskim.

Siostry prowadzące szkołę, do której chodziła, rozbudziły w niej zamiłowanie do książek i odtąd Nicky dosłownie je pochłaniała. Wiedziała, że Ernest

Hemingway czy Scott Fitzgerald, którzy nawiasem mówiąc nierzadko tańczyli i popijali w „Chez Les Américains”, należą do osób, które się liczą.

W grupie nowo przybyłych gości dostrzegła dwie znajome twarze. Dwaj amerykańscy dziennikarze, gdzieś ze Środkowego Zachodu, dostali kilkumiesięczny przydział do Europy i od jakiegoś czasu regularnie odwiedzali swojski klub. Wyglądali niemal identycznie – szczupli, ciemnowłosi, obnosili takie same wełniane garnitury od Searsa i Roebucka i takie same przyjaźnie uśmiechnięte twarze. Ostatnim razem bez końca rozprawiali o Lindberghu i wręczyli jej zamiast napiwku papier wartościowy, który dla niej był bezużyteczny.

Traktowała ich jak braci syjamskich, a w myślach nazywała Bob Pierwszy i Bob Drugi. Zwracała się natomiast do nich „złotko” i „kotku”. Byli zachwyceni.

– Jak miło, że wpadłeś, złotko – ucałowała policzki Boba Pierwszego, po czym zwróciła się do Boba Drugiego:

– Witaj, kotku – i obdarowała go przyjacielskim całusem, niewinnym, lecz pełnym życzliwości, dzięki której bywalcy klubu czuli się zawsze mile widzianymi gośćmi.

Po roku pracy jako hostessa nauczyła się intuicyjnie wyczuwać tych, których należało trzymać na dystans, i tych, którym bez obaw mogła okazywać serdeczność. Nauczyła się też wyważać, którą część siebie może się dzielić, a którą ma skrzętnie skrywać przed obcymi, by zachować poczucie własnej godności.

Sadowiąc obu Bobów oraz ich znajomych, krzątała się wokół nich w paradnej sukni niczym zielony koliber z rubinowym podgardlem. Upewniwszy się, że niczego im nie brakuje, zostawiła ich z napoczętą pierwszą z wielu następnych butelek szampana.

Fortepian grał głośniejsz, wtórowały mu niskie dźwięki basu oraz miękkie jęki klarnetów. Gwar rozmów wzmógł się, przerywany hucznymi salwami śmiechu.

Ruszyła w stronę nowo przybyłej grupy gości, białych i czarnych, co w Paryżu nikogo nie dziwiło i nie szokowało.

Nicky mieszkała w Paryżu od ośmiu lat i widziała niejedno, wciąż jednak nie mogła przywyknąć do widoku czarnej jak węgiel dłoni mężczyzny spoczywającej na białym jak kreda ramieniu kobiety. Swoboda, z jaką biali i czarni obnosili się publicznie, bez uprzedzeń i dyskryminacji, napawała ją bezustannie niekłamanym zdumieniem. Oczywiście, głębokie urazy z dzieciństwa wciąż jeszcze dawały o sobie znać – na przykład kiedy wybierając się na zakupy do paryskich Hal, z trudem pokonywała wewnętrzny opór, by nie stanąć na końcu kolejki. Bywało też, że budziła się z krzykiem na dźwięk samochodowego klaksonu. Mimo to uczyła się powoli nowej roli – roli przedstawi-

cielki równoprawnej rasy, która może być dumna ze swego dziedzictwa – i cieszyła się na myśl o tym, że ojciec byłby szczęśliwy, widząc, jak żyje jego córka.

Przywitała się z trzema muzykami jazzowymi, którzy często grywali w konkurencyjnym klubie, uśmiechnęła się do towarzyszących im kobiet w sukniach prosto z żurnala. Perkusista Tadpole Harris objął ją serdecznie ramieniem. Obok niego rozpoznała Julię St. Cloud, dla przyjaciół Cloudy, niską, krótko ostrzyżoną blondynkę o pociągłej, wąskiej twarzy i modnej figurze o płaskich piersiach. Cloudy odziedziczyła niemalą fortunę i niekiedy patronowała wschodzącym talentom.

– Wpadamy czasem do tej knajpki, ale tylko z powodu Nicky Valentine – poinformował towarzyszkę Tadpole. – Ta dziewczyna tańczy bosko.

– Pamiętaj, że także śpiewam – przypomniała mu Nicky. – A poza tym nie podlizuj mi się. Przychodźcie tu, żeby posłuchać Clarence’a.

– Clarence to jej dziadek – wyjaśnił perkusista. – Pilnuje jej jak stare lwi-sko. Nieźle bębni w klawisze, zasuwa w nowoorleańskim stylu. Radzę wam go posłuchać.

Nicky rozpromieniła się na te słowa, jak zawsze, kiedy chwalono Clarence’a. Paryskiemu jazzowi brakowało świeżości i polotu; oderwani od pierwotnych korzeni i nowych stylów muzycy karmili słuchaczy mieszkanką banalnych, osłuchanych standardów, pozbawionych bogatej rytmiki, indywidualnej artykulacji i spontanicznego frazowania. Clarence był inny. Ten każdego schodzącego na francuski ląd trębacza lub perkusistę drobiazgowo wypytywał o nowinki muzyczne zza oceanu, a potem dbał o to, by paryscy słuchacze mogli się przekonać, czego ostatnio słucha Ameryka.

Nicky uwolniła się z objęć Tadpole’a i właśnie miała poprowadzić jego znajomych do stolika przy fortepianie, kiedy do grupy dołączył jeszcze jeden mężczyzna. Był nieco wyższy od niej, a nie należała do niskich kobiet. Postawny, o szerokich ramionach, masywnej budowie i ciemnej cerze, miał na oko około trzydziestki.

Jego świdrujące oczy przewiercały ją na wylot.

– Nie znacie się – powiedział Tadpole. – Gerard Benedict, przyjaciel Cloudy.

Nicky uśmiechnęła się na powitanie. Nazwisko brzmiało w jej uszach znajomo.

– Gerard Benedict, poeta?

Przedstawiony jej przed chwilą mężczyzna uniósł brwi, jakby nie mógł się nadziwić, że kobieta nie tylko umie czytać, ale też nie wykorzystuje tej umiejętności wyłącznie do odszyfrowywania napisów na proszkach do prania.

– A co, panienko, znasz moje wiersze? – zapytał z silnym akcentem z Południa.

– A czemu by nie, kotku? – odparła, naśladowując zabawnie ten charakterystyczny południowy zaśpiew.

– Dawno, dawno temu był sobie pewien czarny chłoptys z Alabamy. Nagryzmolił sobie kiedyś kilka słów, co to łapią za serce, no a jedna taka czarnuła z Luizjany te bazgroły wydukała. Co to się wyprawia na tym świecie, no nie?

Tadpole ryknął śmiechem. Nicky, pokazawszy Gerardowi plecy, zawinęła się tanecznym, pełnym gracji ruchem, sadowiąc gości przy stoliku. Spotykały ją niekiedy afronty ze strony białych Amerykanów, którzy nawet w tolerancyjnej atmosferze Paryża nie potrafili uwolnić się od uprzedzeń, lecz jeszcze żaden czarny nie potraktował jej tak lekceważąco.

Była pupilką publiczności, nieco zuchwałą i odrobinę kapryśną wnuczką czcigodnego Clarence’a Valentine’a.

Tańczyła i śpiewała dla księcia Walii i księżnej de Polignac. Obracała się w środowisku artystów, pisarzy i poetów, była za pan brat z kelnerami i muzykami.

Niczym nie zasłużyła na tak obelżywą drwinę Gerarda Benedicta. Chciała odejść, lecz poczuła, jak palce Murzyna przytrzymują jej nadgarstek.

– Znasz moje wiersze? – powtórzył.

– Wyobraź sobie, że znam, panie poeto. – Odwróciła nieco głowę w jego stronę. – Co nie znaczy, że mi się podobają.

– Zdziwiłem się, bo sądziłem, że jesteś oderwana od amerykańskich realiów, ślicznotko. Wyglądasz jak biała, nie jak kolorowa.

– Zapewniam cię, że jestem najprawdziwszą kolorową Amerykanką z krwi i kości.

– W porządku.

Napotkała jego spojrzenie i uśmiechnęła się, widząc w nim cień zakłopotania.

– Lepiej w to uwierz – rzuciła, odchodząc w stronę sceny. Nie powiedziała tego jeszcze, ale już postanowiła mu wybaczyć.

Clarence rozpoczął od żywiołowego pasażu, reszta zespołu podchwyciła ton. Klub był zbyt mały, by pomieścić jazzową orkiestrę i nie umywał się pod tym względem do „Theatre des Ambassadeurs” na Avenue Gabriel, gdzie w światłach rampy grał big band sześćdziesięciu trzech muzyków z Cotton Club, który przyjeżdżał tu regularnie z nowojorskiego Harlemu. Jednak zespół Clarence’a wcale nie był gorszy – nadrabiał niedostatek instrumentów temperamentem i niezrównanym talentem do improwizacji.

Nicky zaczęła klaskać w rytm melodii, nabierającej z każdą sekundą tempa i animuszu. Gdy znalazła się po chwili w świetle reflektora, wrzawa na sali nieco przycichła, ona zaś przemówiła tuż po ostatniej, mocno zaakcentowanej przez Clarence’a frazie:

– Dobry wieczór państwu! Witajcie w klubie „Les Américains”! Mam zaszczyt przedstawić Clarence’a Valentine’a i jego przyjaciół... – Postąpiła krok do przodu i wskazała muzyków teatralnym gestem, potem zaś Clarence podał ton i zaczęła śpiewać wzruszającą balladę o zakochanym mężczyźnie, nie pozwalając słuchaczom na choćby chwilę znużenia.

Śpiewała z zaangażowaniem, modulując głos. Nadała mu ciche, smętne brzmienie. Jej pieśń była coraz bardziej żarliwa, coraz bardziej poruszająca, aż wreszcie, przed końcem, Nicky wyciągnęła ostatnią nutę, kładąc na ustach palec w smutnej kontemplacji. Urwała, westchnęła i ucichła.

Clarence natychmiast zmienił nastrój. Teraz, wsparta pod boki, Nicky zakotłosała się, zawirowała w piruecie i puściła się w szalonego charlestona. Dla widzów stała się nagle jednym połyskującym i migoczącym wirem rąk, nóg i ciemnych kędziorów.

Sala przyjęła taniec gorącą owacją, która przerodziła się w aplauz po tym, jak wybrzmiał ostatni akord.

Nicky posłała widowni najbardziej uwodzicielski ze swoich uśmiechów i podziękowała najwdzięczniejszym z ukłonów.

– Jesteś super, malutka – wyszczerzył zęby Clarence, kiedy wróciła do fortepianu.

– Dzięki – rzuciła, czekając, aż jej oddech wyrówna się i uspokoi. – Zarobiłam chyba na wikt i opierunek?

Zachichotał, a ona ucałowała go w szorstki, posiwiały policzek.

– Co to za gość? – zapytał.

– Jaki gość?

– Widziałem, jak przewracałaś do niego oczami.

– Wywijalam nogami, a nie przewracałam oczami.

– Akurat. – Clarence przebiegł palcami po klawiaturze. – Nie będę cię całe życie pilnował, niedługo umrę, ale jeszcze dzisiaj mi powiedz.

– Nie mów tak!

– Pamiętaj, żebyś nie zrobiła jakiegoś głupstwa.

– Mam prawie dwadzieścia lat i wyrosłam już z głupstwa.

– Widzi mi się, że na coś się zanosi. Szkoda, że nie ma twojego ojca, przywołałby cię do porządku. Clarence prawie nigdy nie wspominał Rafe’a, Nicky zdziwiła się więc, słysząc te słowa.

– Ty jesteś dla mnie jak ojciec – wyznała. – Czasami nawet zapominam, że nim nie jesteś.

– Nie wolno ci zapominać. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby żył.

– Panno Valentine?

Płynnym ruchem odwróciła się na pięcie. Przed nią znów stał Gerard Benedict. Fortepian zwolnił tempo, przechodząc do fokstrota, na parkiecie zaroiło się od par.

- Czy mogę prosić panią do tańca?
- Przykro mi, ale tańczę wyłącznie sama, panie Benedict.
- Nie mogłabyś zrobić wyjątku?

Zerknęła w stronę stolika, skąd przyglądała im się Cloudy.

- A co z tamtą damą? Sfinansuje następną książkę, jeśli zatańczymy?

- Nie musi. Sam decyduję o swoim losie.

– Rozumiem – uśmiechnęła się. – Nie mam jednak zwyczaju tańczyć z gośćmi, ani z czarnuchami, ani z białasami. W ten sposób nikt nie czuje się pokrzywdzony.

- Ja tak właśnie się czuję.

Głęboko w sercu Nicky rozjarzyła się migotliwa iskierka. Zazwyczaj trzymała w zanadru bogaty repertuar zabawnych odpowiedzi i ciętych ripost, lecz jak na złość żadna nie przychodziła jej do głowy. A może nie chciała jeszcze go odprawić?

– Dobrze. Przyjdę, jak skończysz pracę – odrzekła, przysuwając się odrobine bliżej.

- Zjemy razem śniadanie.

- Dlaczegoż to?

- A dlaczego by nie?

Twarz Benedicta zaśniła bielą zębów. Rysy tej twarzy były niezwykle – mocne, szerokie, męskie, a jednocześnie egzotyczne i tajemnicze. Gerard Benedict przypominał jej ni to plemiennego wojownika, ni to szamana odprawiającego rytualne misterium w sercu Afryki.

- Rozumiem, taki ma pan kaprys – powiedziała.

– Raczej zamiar, panno Valentine. Poważny zamiar – odparł i na oczach Cloudy pocałował ją w rękę.

On był poetą związanym z tak zwanym Murzyńskim Renesansem i miał w dorobku kilka wydanych tomików, przychylnie przyjętych przez krytykę. Cenił go na równi z Langstonem Hughesem oraz Williamem Du Bois¹⁰.

Ona zabawiała gości w barze, tańcząc charlestona.

¹⁰ * James Langston Hughes (1902–1967) – pisarz amerykański, Murzyn, autor pieśni i wierszy opartych na folklorze murzyńskim, a także opowiadań z życia Harlemu oraz libretta do oper jazzowych i musicali; autobiografia Wielkie morze (1940), wydana w Polsce 1949. William Edward Du Bois (1868–1963) – amerykański pisarz, Murzyn, jeden z przywódców emancypacyjnego ruchu Murzynów amerykańskich, założyciel Narodowego Stowarzyszenia dla Postępu Ludności Kolorowej NAACP (1909); autor studiów historycznych i socjologicznych, powieści oraz poezji (przyp. tłum.).

Razem wypili mocno paloną kawę i zjedli croissanty na tarasie kawiarni „Le Dôme” na Montparnasje, wciśnięci między wysokie donice czerwonego geranium a stolik, przy którym siedziała jakaś ponura, milcząca para. Nicky wpadła do domu tylko na chwilę, wzięła prysznic i przebrała się w wygodne ubranie; Gerard przyjechał tu prosto z klubu.

– Do południa robi się upał – oznajmiła, zdejmując kapelusik w kształcie hełmu i sięgając po następny rogalik.

– Za jakiś miesiąc zamykamy kramik.

– Jak to?

– Ano tak. W sierpniu wszyscy wyjeżdżają z miasta.

Jeśli zostaniesz, przekonasz się, że Paryż latem kompletnie pustoszeje.

– Dokąd się wtedy wybierasz? – zapytał, nie spuszczając z niej oka. Od początku tak na nią patrzył, a ona, nieprzywykła do tych badawczych, gorących spojrzeń, czuła się tym odrobinę zakłopotana.

– Różnie. Czasami do Hiszpanii, czasem na południe Francji. Przyjaciele Clarence’a mają domek w Antibes. Może tym razem tam pojedziemy.

– Mówisz do dziadka po imieniu?

– Dziwne, prawda? – nie spieszyła się z wyjaśnieniami.

– Ja swojego nazywałem Staruszek.

– Opowiedz mi o nim – zaproponowała. Dotychczas to ona mówiła o swoim życiu w Paryżu, przywołała nawet kilka mglistych wspomnień z Nowego Orleanu.

Gerard o sobie nie powiedział zbyt wiele.

– Pomyliłaś się co do Alabamy – uśmiechnął się lekko. – Urodziłem się w Georgii, a potem, kiedy miałem dziesięć lat, przenieśliśmy się z rodziną do Harlemu. Ojcu nie udały się plony przez dwa kolejne lata i pewien biały odebrał mu farmę. Straciliśmy wszystko, z całego dobytku został nam tylko stary muł i rozklekotany wóz. Długo tułaliśmy się, zмирzając na

Północ, a kiedy przekroczyliśmy granicę Mason-Dixon, padł nam muł. W Marylandzie Staruszek zachorował i umarł, a my nie mieliśmy go za co pochować.

Nicky zdążyła się już przekonać, że Gerard nie należy do osób sentymentalnych, które oczekują od rozmówcy współczucia, kiwnęła więc tylko głową i powiedziała:

– Zaczyna się smutno.

– Prawda? – znów się uśmiechnął. – Kilku parafian zlitowało się w końcu i urządziło dziadkowi pogrzeb. Potem kupili nam bilety na pociąg do Nowego Jorku. W tym okresie ojciec przepijał każdy zarobiony grosz, w końcu zapisał się na śmierć. Przygarnęła mnie kuzynka i wychowała, póki nie stanąłem na własnych nogach.

– A co z twoją mamą?

- Zmarła wcześniej, bardzo dawno.
- No i w czym Harlem lepszy jest od Georgii?
- Żadne miejsce nie jest ani lepsze, ani gorsze.
- Rozumiem, że poznałeś kawał świata?
- Coś w tym rodzaju.
- I pewnie z niejednego pieca chleb jadłeś, toteż twarda z ciebie sztuka?
- Lubię ironię – popatrzył na nią – ale nie zawsze.
- Ja też lubię. Ale wolę otwartą rozmowę, a nie aluzje i domysły.
- Mam opowiadać dalej? Nie zrozumiesz, za mało widziałaś.
- Jeśli nie rozumiem, to po co rozmawiamy?
- Coś w sobie masz.

Jego głęboki baryton miał ciepłe, ujmujące brzmienie. Czują, jak przewierca jej skórę, dociera do najszybszych, nietkniętych zakamarków duszy. Starła się zbagatelizować tę iskierkę, która rozbłysła już wczoraj, a do dzisiaj zdążyła rozżarzyć się gwałtownym płomieniem, lecz nie była w stanie.

- Tak, tak, wiem – odparła lekceważącym tonem. – Wspaniałe, długie nogi, oczy zielone jak ocean. Uśmiech, który rozświetla najciemniejsze mroki...
- Zdaje się, że wszystko to już słyszałaś.
- A nawet więcej.
- Ale nie ode mnie.

Zawahała się przez chwilę, świadoma, choć jeszcze niepokodzona z tym, że Gerard szybko zmierza do celu, u którego nie była gotowa stanąć.

- Czy to ma jakieś znaczenie? – zapytała.

Sięgnął po jej dłoń i mocno przytrzymał ją w uścisku swojej – szerokiej, mocnej, ciepłej.

- Będzie miało znaczenie – odpowiedział. – Większe niż ci się zdaje.

Cały sierpień Nicky spędziła z Gerardem na drugim piętrze niewielkiej kamienicy domu przy rue Campagne- Première. Mieszkancko było małe – w jednym pokoiku ledwo mieściło się łóżko i biurko, w drugim urządzono uroczy salonik. W kuchence zamontowano kamienny zlew oraz jeden gazowy palnik, z dwóch łukowatych okien roztaczał się widok na dachy Paryża. Toaleta i wanna były w korytarzu. Wszelkie niedostatki rekompensowała bliskość przepięknego Ogrodu Luksemburskiego, z jego cudownymi posągami i Fontanną Medyceuszy. Nicky i Gerard często przechadzali się późnym popołudniem parkowymi alejami, przystawali w cieniu kasztanów i przyglądali się dzieciom, puszczającym w sadzawce swoje łódki.

Spacerowali też wąskimi uliczkami Montparnasu, zaglądali do narożnej piekarni z chrupiącymi bagietkami, kupowali cierpkie czerwone winogrona w zieleniaku na końcu ulicy. Paryż trwał w uśpieniu, a mieszkańcy i turyści wzdychali do wakacji w innych, chłodniejszych rejonach.

Nicky wdychała jedynie do Gerarda.

Budziła się każdego ranka, otulona jego ramionami, rozgrzana w dusznym pokoju, lecz wciąż nienasycona.

Dorastała w epoce, kiedy jazz wojowniczo trąbił wszem i wobec o seksualnej swobodzie, i w kraju, gdzie słowo „prohibicja” było czystym, nic nie znaczącym frazesem. Mimo to zachowała nieskalaną prostotę – póki nie pojawił się Gerard.

Bywał często markotny i przygnębiony i tylko kiedy spał, na jego twarzy rysował się spokój i ukojenie.

Patrzyła wtedy na człowieka dręczonego koszmarem dyskryminacji i odrzucenia, a kiedy się budził, całowała jego czoło, jakby chciała wygładzić na nim zmarszczki i zetrzeć z twarzy ten przejmujący wyraz ogromnego cierpienia.

Gerard Benedict był silnym mężczyzną. Nie rozkliwiał się nad sobą, choć dla niej miał nieprzebrane, zdawałoby się, pokłady czułości. Potrafił czerpać i dawać cielesną rozkosz, więc ufnie powierzyła swoje dziewictwo jego delikatnym dłoniom, a swoją niewinność oddała jego namiętym porywom.

Zdarzało się jednak, że pił bez umiaru, pogrążony całe dni w posepnych rozmyślaniach; niekiedy dla odmiany ponosiła go nieopanowana furia. W lepszych momentach potrafił rozwiać wszelkie wątpliwości, które ją nękały. Wierzyła wtedy, że razem potrafią przeciwstawić się światu i ułożyć sobie życie w przybranej ojczyźnie, nigdy jednak nie rozmawiali o wspólnej przyszłości.

Clarence niechętnie zaakceptował jej decyzję spędzenia lata z Gerardem. Natychmiast przyjął propozycję występów w nocnym klubie w Nicei, aż do jesieni, tego zaś popołudnia, kiedy przyszedł się pożegnać, bez słowa wcisnął jej do ręki klucz od ich wspólnego apartamentu i pocałował ją w czubek głowy.

Nicky zrozumiała ten gest – miała dokąd pójść, gdyby się jej nie powiodło. Szaleńczo zakochana, a jednocześnie ufna w swój rozsądek, pewna była, że klucz nigdy nie będzie jej potrzebny, toteż uśmiechnęła się promiennie do dziadka i ucałowała go serdecznie na pożegnanie.

– Będę za tobą tęsknić – obiecała.

Gerard od późnego ranka do popołudnia pracował nad wierszami. Niekiedy chciał być sam i wtedy Nicky szła do pobliskiej kawiarenki, by napić się kawy i odpowiedzieć na listy. Innym razem żądał, by została z nim, spragniony jej ożywczej, witalnej energii, łagodzącej zadawnione kompleksy. Nigdy nie pokazywał jej tego, nad czym pracował. Twierdził, że pisze poemat epicki o niewolnictwie i nowych kajdanach rasizmu. Od czasu do czasu czytał jej zaledwie kilka wersów.

Gerard podziwiał bolszewików. Wiele razy opowiadał jej o swojej wyprawie do sowieckiej Rosji, a społeczne eksperymenty i wizje Józefa Stalina przyjmował z wielkim entuzjazmem. On, Murzyn i sympatyk komunizmu, był pewien, że gdyby nie kolor skóry, jego słowa spotkałyby się z większym zrozumieniem i zainteresowaniem.

Gdy Nicky ośmieliła się kiedyś mu przeciwstawić, przypominając, że amerykański prokurator generalny nakazał ostatnio deportować za komunistyczne sympatie zarówno białych, jak czarnych, Gerard wpadł w wściekłość.

– No i co z tego? Czy ty cokolwiek z tego rozumiesz?! – krzyczał. – Nie masz kontaktu z krajem, więc nie masz pojęcia, co się tam dzieje. Masz w nosie tych ludzi! Spójrz tylko na siebie – rozpieszczona smarkuła, pasibrzuch, ukrywa się w obcym kraju jak jakieś nieszczęśliwe, wystraszone Murzyniątko!

Nicky była wstrząśnięta i głęboko zraniona po tej rozmowie. Kiedy Gerard ochłonął, przeproszał ją i przytulał, ale ona przeżyła zbyt wiele podobnych incydentów, by mogła przestać się martwić. Tłumaczyła sobie, że w życiu pisarza to typowe – niemal każdy cierpi z powodu nieustannego napięcia, którego źródłem są lepsze bądź gorsze oceny jego twórczości. Przelotnie poznała takich pisarzy, jak Robert McAlmon czy Scott Fitzgerald w najtrudniejszym dla nich okresie, nie była więc zaskoczona, kiedy musiała raz na jakiś czas wlec nad ranem pijanego Gerarda do domu.

W pewien wieczór pod koniec sierpnia, kiedy wydawało się, że dla Gerarda nastał pomyślniejszy okres, mieli spotkać się z jego przyjaciółmi w „Chez Rosalie”, ulubionej knajpcie emigrantów i okolicznych mieszkańców na tej samej ulicy.

Nicky poznała Trumblesów już wcześniej. Byli nowojorczykami w średnim wieku, którzy chcieli pooddychać paryską atmosferą i łyknąć trochę kultury. Amy Trumbles rzeźbiła, a zadufany w sobie Garth uważał się za konesera sztuki. Był dziedzicem kolosalnej fortuny i mógł zaspokoić każdy kaprys. Kupował wciąż nowe obrazy, a w każdym niemal malarzynie widział wielkiego artystę. Nicky podejrzewała, że „odkryte” przez niego dzieła były zwykłymi kiczami, których nie udało się wcześniej sprzedać, ale nie próbowała psuć mu zabawy swoją opinią.

Na ten wieczór ubrała się wyjątkowo starannie, nie chcąc zepsuć wyśmienitego nastroju Gerarda. Właśnie kończyła układać fryzurę, kiedy stanął za jej plecami i oznajmił:

– Coś ci kupiłem.

Spojrzała na niego w lustrze, zdziwiona i zaskoczona.

Honoraria i darowizna, którą otrzymał przed wyjazdem do Paryża, ledwie starczyły na życie. Ostatnio udało jej się wprawdzie zaoszczędzić kilka fran-

ków z napiwków, lecz nie stać ich było z pewnością na jakiegokolwiek ekstrawagancje.

– Wiem – zażartowała. – Masło na śniadanie.

Nie odpowiedział. Wyciągnął tylko z kieszeni niewielkie pudełeczko, otworzył i podsunął jej pod nos bransoletę z kości słoniowej i sztucznego neofrytu.

– Och, Gerardzie, jaka śliczna! – ucieszyła się szczerze. – Nie powinieć... Nie musisz mi niczego kupować, wystarczy, że mam ciebie.

– Teraz masz to, daj rękę. – Zapiął jej bransoletę wokół nadgarstka, a ona zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Zobaczyłem ją na wystawie i nie mogłem się oprzeć. A wiesz dlaczego? Potrząsnęła głową. Łzy cisnęły jej się do oczu.

– To stara kość słoniowa, ma złocisty odcień twojej skóry. A zieleń to kolor twoich oczu. Wykonano ją we Francji, pochodzi jednak z Afryki. Jakże mógłbym przejść obojętnie obok czegoś takiego?

Nicky przywarła do niego z całych sił. To, że myślał o niej, było najpiękniejszym prezentem. Na swój sposób przeproszał ją za zniewagi i wymówki, obiecywał poprawę. Tak przynajmniej to zrozumiała.

– Będę strzegła jej jak skarbu – wyszeptwała.

– Tak jak medalionu, z którym się nie rozstajesz?

Kiwnęła głową z uśmiechem. Uświadomiła sobie oto, że biżuteria wyznacza kolejne etapy jej życia – najpierw złoty medalion подарowany przez przyjaciółkę jej matki, potem srebrny pierścionek, który ojciec kupił jej po przeprowadzce do Chicago, długi sznur pereł, подарowany przez Clarence'a po pierwszym występie w „Les Américains”, a teraz bransoletka od Gerarda.

– Medalion był podarunkiem od przyjaciółki mojej matki. Samej matki nie znałam i nic o niej nie wiem.

– Zupełnie nic? Clarence nic ci nie powiedział?

– Wie jeszcze mniej niż ja. – Spojrzała mu prosto w oczy. – On nie jest moim dziadkiem. Tylko przyjacielem. Przywiózł mnie do Paryża, bo bał się o moje życie. Dał mi swoje nazwisko, na wypadek gdyby ktoś mnie szukał. I wszystkim wmówił, że jestem jego wnuczką.

– Kto miałby cię szukać?

– Widziałam, jak zamordowali w Chicago mojego ojca. Clarence obawiał się, że mnie też zabiją. Nie mam żadnej rodziny, przynajmniej nic o tym nie wiem. Clarence postanowił, że najlepiej będzie wywieźć mnie w bezpieczne miejsce, kiedy więc przyjaciel zaproponował mu pracę w Paryżu, ukrył mnie na jakiś czas, a potem wystąpił o paszport. Powiedział, że jestem jego wnuczką, że moja metryka spaliła się razem z domem, a oboje rodzice nie żyją. Władze chętnie pozbyły się dwójki kolorowych.

– Ale kto miałby cię zabić?

– Nie wiem, Gerardzie, nawet nie wiem, czy to prawda, czy nie. Wybuchły zamieszki, nadjechało kilku białych. Wywołali ojca po nazwisku, a potem zaczęli do niego strzelać. Strzelali też do mnie, ale ojciec mnie zasłonił. Nie wiem, czy ci ludzie chcieli zlikwidować świadka. W każdym razie Clarence był przekonany, że nie jestem bezpieczna.

Jej dłoń powędrowała do szyi, gdzie pod sukienką jak zawsze spoczywał medalion.

– Nie mam rodziny – powtórzyła. – Dlatego stale go noszę, bo to mój jedyny związek z przeszłością. A także ten pierścionek – wyciągnęła rękę – od ojca. Trochę za ciasny, ale to jedyna pamiątka, jaka mi po nim została.

– Mieszkamy razem tyle czasu i nie opowiedziałaś mi dotąd tej historii?

– Jesteś jedyną osobą, której opowiedziałam.

– Biedna dziewczynka – dotknął jej policzka. – Wcale nie wyglądasz jak kolorowa, a biały człowiek nastaje na twoje życie.

– Jestem kolorowa, tak samo jak ty, choć mam jaśniejszą cerę. Kolorowy zawsze zostanie kolorowym, wiesz o tym dobrze. Nie sądzę jednak, żeby tutaj miało to znaczenie. Mam wielu białych przyjaciół, a ciemna skóra jest w Paryżu w modzie.

– Mylisz się. Każdy biały, nawet Francuz, traktuje cię jak miłą czarnulkę, która podobnie wygląda, ubiera się i mówi jak on, ale jest tylko zabawką, maskotką do pokazywania innym białym. Ciśnie cię w ciemny kąt, kiedy tylko mu się znudzisz. Albo gdy postawisz się i zaczniesz czegoś się domagać.

– Mówisz o mnie czy o sobie? Ja nie jestem niczyją maskotką.

– Jesteś. – Objął ją czule. – Jesteś moją maskotką. Nicky pożałowała nagle, że zawierzyła mu swoją najszybszą tajemnicę. Szarpnęła się gwałtownie i syknęła:

– Zostaw! Pamiętaj, że jestem prawdziwa. Mówisz o tym, że biali traktują nas jak zabawki, a sam traktujesz mnie jak śliczną zabaweczkę. Boisz się, że ktoś mógłby ją popsuć.

– Nieprawda.

– Prawda! Biedna dziewczynka, maskotka – tak powiedziałaś.

Tak powiedział i tak rzeczywiście o niej myślał.

Podczas kolacji najpierw Trumblesom, a potem innym znajomym, którzy dosiedli się do ich stolika, opowiadał o Nicky zabawne historyjki. Na chwilę odszedł pogawędzić z Cloudy, która właśnie wróciła z Anglii, kiedy zaś wrócił, był już mocno wstawiony. Pił dalej, a im więcej pił, tym bardziej stawał się natrętny i skory do niewybrednych żartów.

Pod koniec nocy trafili do nocnego klubu, który bez powodzenia konkurował z „Les Américains”. W obskurnej salce z trudem upchnięto kilka stoli-

ków, a na parkiecie mieściło się zaledwie kilka par. Nicky znała tutejszych muzyków – dwóch zmęczonych starszuchów, którzy wylądowali w tym lokalu z braku lepszych propozycji. Zaproponowali, żeby zatańczyła, a Gerard podchwycił ich pomysł i zaczął natarczywie nalegać:

– No, odśłoń nogi, ślicznotko! Rusz dupcią – bełkotał po pijacku, patrząc na nią pożądliwie. – Pokaż, jak pięknie umiesz fikać. W tym jesteś najlepsza...

Nicky była tak upokorzona, że zastanawiała się, czy go nie zostawić. Obawiała się jednak, że w takim stanie

Gerard nie trafi do domu, jeśli w ogóle będzie chciał tam trafić. Nie bardzo wiedząc, dlaczego to robi, wstała i podeszła do fortepianu.

– Fajnie, że się zgadzasz, złotko – przywitał ją Pancho Smith, stary kumpel Clarence'a. – Może rozruszamy trochę tę smętną budę.

Chwilę z nim konferowała, bowiem nie wydawał się z początku przekonany do piosenki, którą postanowiła zaśpiewać.

– Nie wszystko jedno? – Nicky wzruszyła ramionami. – I tak nikt nas nie będzie słuchał.

– No to jedziemy – westchnął i zaczął leniwą przygrywkę.

Pieśń była bardziej zuchwała niż smutna. Nosила tytuł „Blues dla wszystkich kobiet” i pochodziła z ostatniej płyty Clary Smith, czarnoskórej piosenkarki z Południowej Karoliny. Przesłanie owego bluesa było aż nadto czytelne – mądra kobieta nie polega na jednym tylko mężczyźnie, zawsze trzyma w odwodzie innego, bowiem każdy kolejny prędzej czy później ją zawiedzie.

Mądra kobieta należy tylko do siebie, a mężczyzna jest dla niej zaledwie samcem, z którym można sobie poigrać.

Clarence nigdy nie pozwoliłby jej zaśpiewać tej piosenki – przepojonej namiętnością, nasyconej zuchwalstwem.

Głos Nicky wibrował i pulsował rytmicznie, w pełni zespolony z tym, co czuła. Śpiewała z arogancko uniesionymi brwiami, butna, wyzywająca, bez cienia uśmiechu. Ta chwila należała tylko do niej i do muzyki Clary Smith.

Kilka osób zwabionych jej śpiewem pojawiło się w progu. Uśmiechnęła się leniwie do Pancho Smitha, kiedy kończył ostatnie akordy, a potem przeniosła prowokacyjne spojrzenie na Gerarda.

Wraz z ostatnią nutą podniosła się burza oklasków.

Nicky złożyła wytworny ukłon, podziękowała muzykom i wróciła do stolika. Gerard w milczeniu sączył swojego drinka, pozostali, mocno podpićci, zachłystywali się od komplementów.

– Podobała ci się ta piosenka, Gerardzie? – zapytała. – Zaśpiewałam ją specjalnie dla ciebie.

Nie odpowiedział, smagnął ją tylko przeszywającym spojrzeniem i ściągnął wargi w ponurą linię.

– Nie czuję się najlepiej – oznajmiła. – Chyba wrócę do domu. Idziesz, Gerardzie?

Milczał, więc pożegnała się z pozostałymi uczestnikami wspólnej zabawy i ruszyła do wyjścia, by przywołać taksówkę. Złe samopoczucie nie było wymówką.

Nicky rzeczywiście źle się czuła. Od kilku dni miała mdłości i bolała ją głowa.

Już w drzwiach zastąpił jej drogę mężczyzna o wyglądzie boksera.

– Śpiewasz w „Les Américains”, co? – zapytał.

Miał przyjemny akcent, ale poza tym nie było w nim nic przyjemnego. Policzek szpeciła mu podłużna szrama, małe oczka lypały przebiegle, a blizna na ustach unosiła kącik wargi w stałym grymasie.

– Zgadza się. – Postanowiła go ominąć, lecz przytrzymał ją za ramię.

– Słyszałem cię tam, ale wołę cię tutaj.

– Miło mi.

Nie próbowała więcej się wyrwać, więc puścił ją i dodał:

– Mogłabyś tylko włożyć jakieś seksowne fatalaszki, no, może bardziej ku-se, o, takie... – pokazał, dotykając niemal jej piersi. – Pokręcisz się trochę, pośpiewasz seksowne kawałki, będziesz jak druga Josephine Baker. Co ty na to?

– Jasne, mogę nawet wszystko z siebie zdjąć i zatańczyć w spódniczce z palmowych liści. Kłopot w tym, że nie jestem nią, tylko sobą. – Zmierzyła go śmiałym spojrzeniem. – Czy teraz mogę już odejść?

– Jak zmienisz zdanie, to daj znać. – Wyciągnął z kieszeni świstek papieru, na którym napisał nazwisko i telefon.

– Nie ma sprawy – odparła i wcisnęła kartkę do torebki.

– Wpadnij, dobrze ci radzę. Amerykanie szastają forszą, ale kupa z nimi kłopotu. Daj sobie spokój z tymi dupkami.

– Ja też należę do tych dupków. A nie szastam forszą tylko dlatego, że jej nie mam.

– Lepszą robotę dostaniesz u Francuzów. Dasz im tylko, czego chcą, a cię ozłocą, zobaczysz.

– Dzięki – powiedziała głosem pozbawionym wdzięczności. – Wezmę to sobie do serca.

– Mam nadzieję – wykrzywił się w uśmiechu i skinął głową.

W taksówce pomyślała, żeby podrzeć kartkę, ale po ciemku nie mogła jej wyszperać z torebki.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nicky była już w trzecim miesiącu ciąży, kiedy odważyła się wreszcie pójść do lekarza. Odczekała jeszcze miesiąc, zanim ośmieliła się zakomunikować o tym Gerardowi.

Najpierw przyznała się Clarence'owi. Pewnego szarego, słotnego dnia zjawiła się w apartamencie, który niegdyś dzielili, i poprosiła o rozmowę. Na wszelki wypadek przeniosła wzrok za okno, gdzie odarte z liści drzewa odsłaniały wyniosłą kopułę Sacré-Coeur, i powiedziała po prostu:

- Będę miała dziecko.
- Wiem.
- Wiesz? Zauważyłeś? – spytała, stojąc do niego plecami.
- Zauważyłem.

Od razu zadała sobie pytanie, czy Gerard, który przecież znał tak dobrze jej ciało, też zauważył.

– Wierzyć mi się nie chce, że tak głupio wpadłam – westchnęła, gdy zaś Clarence nie odpowiedział na tę uwagę, mówiła dalej: – Staralam się uważać, ale jak widać nieskutecznie. Chyba na początku nie wiedziałam, jak temu zapobiec, a potem było już za późno. No i stało się..

- Co masz z tym zamiar zrobić, malutka?
- A co mogę zrobić? Urodzę.
- To wiem. Ale gdzie będziesz mieszkać?

Z początku przemknęło jej przez myśl, że może Clarence nie życzy już sobie wspólnego mieszkania, po chwili zdała sobie jednak sprawę, że jego pytanie wynika raczej z troski niż z obawy.

– Pytasz, czy zamieszkam z Gerardem? Nie wiem, nie powiedziałam mu jeszcze – odparła. – Ale wiem, że on nie chce dzieci – przelknęła ślinę, czując gorzki smak tych słów. – Mnie zresztą też już nie chce. Przeważnie sypia poza domem. Ma inną kobietę, Julie St. Cloud.

Odrzuciła się i ujrzała twarz ściętą bólem.

– Ona jest biała. A on nienawidzi białych. Nienawidzi białej cząstki we mnie. Mimo to sypia z Cloudy, bo ona płaci mu nędzne grosze i uważa się za jego opiekunkę. Dzięki jej pieniądzom może pisać.

- A kim ty jesteś, maleńka?

– Ja? Ja jestem głupią gęsią, która go kocha – wyznała i zacisnęła oczy, żeby pohamować płacz. – A wiesz, co w tym wszystkim jest najgorsze? Że on mnie chyba też kocha. Tak jak potrafi, na swój sposób. Jego kłopot polega na tym, że zaplątał się w różne sprawy, o których nie chce mówić.

– To żaden wyjątek. Jest kupa Murzynów, którzy nie chcą mówić o swoich sprawach. Cała masa.

– Tak, ale on opowiada o swoim dzieciństwie przeróżne, sprzeczne wersje. Raz twierdzi, że jest synem dzierżawcy z Georgii. Innym razem, że widział, jak zlinczowali jego ojca w Południowej Karolinie za to, że spojrzął na białą kobietę. Mam wrażenie, że sam nie pamięta, która wersja jest prawdziwa. Przeczytałam wiersz, nad którym pracuje od lata. Znalazłam klucz od biurka i przeczytałam. Jest w nim tyle zajadłości, tyle nienawiści wobec białych, że chyba nikt go nie wyda.

Dziadek podszedł do niej i otoczył ją ramionami.

Pachniał tanim tytoniem i płynem do włosów, tak samo jak kiedyś, kiedy tuliła się do niego jeszcze w Nowym Orleanie.

– Już dobrze – szepnął, by dodać jej otuchy. – Wszystko będzie dobrze.

Nicky odetchnęła głęboko. Dopiero tutaj, w tych kochanych ramionach, po raz pierwszy od miesiąca odczuła ulgę.

– Mogę wrócić do domu? – zapytała nieśmiało.

– Masz klucz, prawda? Pasuje do zamka?

Zaśmiała się nerwowo.

– Możesz więc wrócić, kiedy tylko zechcesz. Dopóki żyję, to jest twój dom, Nicky.

– Boże, tak mi przykro, tak bardzo przykro... – rozpląkała się, lecz łzy nie paliły już tak boleśnie, jak poprzednio. – Zawiodłam was. Ciebie... i ojca...

– Nie płacz, nie trzeba – Clarence pocieszał ją wytrwale. – Będziesz miała dziecko, wychowasz je, jak należy. Tak jak ja próbowałem wychować ciebie, tak jak próbował twój ojciec. Nie ma niczego złego w urodzeniu dziecka. Żle jest tylko wtedy, kiedy dziecka się nie kocha. Swoje dziecko trzeba kochać. Żeby i ono umiało kochać.

Przytuliła się do niego mocno, pokrzepiona nadzieją, że dziecko nie odziedziczy nienawiści po ojcu.

Do oznajmienia nowiny Gerardowi Nicky przygotowała się starannie. Przede wszystkim musiała znaleźć odpowiedni moment, bowiem nastroje Gerarda z nadejściem jesieni przechodziły gwałtowne przemiany, których nie sposób było przewidzieć. Raz zachowywał się jak czuły kochanek, dodawał jej sił i otuchy i był dokładnie taki, jakim go poznała i pokochała. Za chwilę jednak przeobrażał się w jadowitego szydercę, urągał i drwił z jej karnacji;

oskarżał z sarkastycznym uśmiechem i potępiającym spojrzeniem o sprzeniewierzenie się własnej rasie.

Nicky odczekała więc, aż nadejdzie dogodna chwila i pewnego wieczora, kiedy zjedli kolację w domu, a pogodnie usposobiony Gerard prawił jej komplementy, przyniosła mu kawę z kropelką brandy i przysiadła obok niego na kanapie. W kominku palił się węgiel, było ciepło i przytulnie. Za oknem prószył śnieg, który topił się szybko na szybach.

W tej domowej, intymnej scenerii Nicky gotowa była uwierzyć, że wszystko między nimi układa się jak najlepiej. Jednakże życie z Gerardem nauczyło ją nie robić sobie jakichkolwiek złudzeń. Na wszelki wypadek zapakowała wcześniej walizkę.

– Chciałabym z tobą pomówić – odezwała się pewnym głosem.

– Ja też miałem taki zamiar.

– Dobrze, ale ja powiem pierwsza. Będę miała dziecko.

Gerard wciąż sączył swoją kawę. Nawet na nią nie spojrzął.

– Nie planowałam ciąży – ciągnęła Nicky. – Po prostu tak wyszło. Przeprowadzam się z powrotem do Clarence’a. On mi pomoże.

– A ja wyjeżdżam z Paryża – powiedział Gerard, zupełnie nieporuszony perspektywą zostania ojcem.

Nicky postanowiła odpowiedzieć obojętnością na obojętność.

– Doprawdy?

– Tak. W przyszłym tygodniu. Będę podróżował z... przyjaciółmi. W Paryżu nic więcej nie zdziałam. Wszyscy tu sądzą, że to wymarzone miejsce dla poety, wysiadają po zadymionych knajpach i mądrzą się na temat literatury, jakby zjedli wszystkie rozumy. A nie mają o literaturze zielonego pojęcia...

Nicky rozpoznała początek znanej sobie tyrady.

– Rozumiem – przerwała mu. – Zrobisz to, co uznasz za stosowne. Ja też.

– Nie rozumiesz. Nigdy mnie nie rozumiałaś, prawda?

– Nie rozumiałam czego?

– Kim jestem. Co mam do przekazania. Co czuję! – Uderzył się w piersi.

Nicky nie bała się Gerarda. Nawet w najgorszych momentach nie podniósł na nią ręki. Teraz jednak po raz pierwszy przestraszyła się jego gniewu. Nie tego nawet, że ją uderzy, lecz tego, że Gerard zaczyna tracić zmysły.

– Staralam się zrozumieć – nadała swojemu głosowi niskie, kojące brzmienie. – Nikt nigdy do końca nie zrozumie drugiego człowieka, ale ja naprawdę się starałam. Cóż, nie jestem tobą. Jestem zwykłą kobietą, która cię kocha.

– Kocha! – Gerard zerwał się i zaczął chodzić po pokoju. – Miłość nie istnieje! To tylko pusty komunał! Biały pan tak kochał swoich czarnych niewolników, że brał sobie ich żony i robił im dzieci! Abolicjoniści tak kochali kółorowych, że ich uwolnili, by ci harowali od świtu do nocy na cudzej ziemi, tak jałowej, że nie dawała żadnych plonów! A potem wpakowali ich wszystkich

do miast, po dwunastu do jednej nory, by zgnili tam bez środków do życia, pracy i widoków na przyszłość!

– Przepraszam, Gerardzie, nie mówimy o białych panach i niewolnikach. Mówimy o tobie i o mnie.

– Oczywiście, ty nie chcesz o tym rozmawiać! Nie masz o tym pojęcia, bo sama nie jesteś czarna! – Chwycił ją za ramię i potrząsnął. – Spójrz na siebie, no spójrz! Kim jesteś? Nikim! Ani biała, ani czarna!

– Zostaw! – Nicky wyrwała ramię z uścisku. Poczowała nagle wzbierająca falę gniewu i zrozumiała, że zbyt długo znosiła obelgi i upokorzenia. – Twoje dziecko będzie ciemniejsze ode mnie i jaśniejsze od ciebie. Czy przez to też będzie nikim? – spytała. – Jeśli tak, to tylko dlatego, że jego ojciec jest nikim! Ale ja do tego nie dopuszczę. Będzie kimś, bo mam zamiar wychować je tak, żeby było kimś!

– Już, skończyłaś? Mam bić ci brawo?

– Nie musisz. Zejdź mi z drogi. Odchodzę.

Złagodniał nagle i postąpił krok do przodu.

– Poczekaj, możesz wstrzymać się z przeprowadzką.

Zapłaciłem za mieszkanie do końca miesiąca.

– Zejdź mi z drogi, Gerardzie.

Jego ciepły uśmiech przeraził ją bardziej niż uprzednia wściekłość. W ciągu zaledwie kilku sekund z szaleńca przeistoczył się w dawnego Gerarda.

Nicky zrozumiała, że musi uciekać, zanim sama popadnie w szaleństwo.

Odepchnęła go, przeszła do sypialni, chwyciła z szafy walizkę i ruszyła do wyjścia. Gerard wciąż stał w tym samym miejscu, w którym go zostawiła.

– Co powiesz o mnie dziecku?

– Powiem to, co zapamiętam dobrego.

– Powiedz mu, że trzeba być silnym, żeby przetrwać.

– Dowie się tego z pierwszej ręki, widząc przykład matki.

– Wytłumacz mu, że jego ojciec chciał sprawić, by świat zrozumiał naszą krzywdę.

– Mogłabym dodać, że ojciec nie rozumiał, co naprawdę jest ważne. Ale tego nie zrobię.

– Wcale mnie nie znasz.

– Mylisz się, Gerardzie. Poznałam cię aż za dobrze – odparła, otwierając drzwi. Poczowała jeszcze na ramieniu ciepłą, mocną dłoń, pozwoliła Gerardowi na ten pożegnalny gest, po czym wyszła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi.

Phillip Gerard Benedict urodził się wiosną w Paryżu. Był drobnym chłopcem, lecz nie sprawiał żadnych kłopotów. Spał dobrze, przybierał na wadze, płakał w regularnych odstępach, niekiedy zawodząc przeciągle niczym Buddy Bolden w swoim słynnym bluesie „Funky Butt”. Trudno było określić kolor

skóry i oczu noworodka, lecz Nicky była pewna, że będą równie ciemne, jak jego ojca. Kiedy się wokół niego krzątała, wodził za nią wzrokiem, jakby szukał potwierdzenia, że go nie zostawi, i jakby zarazem wyczuwał, że ich wspólne życie nie będzie usłane różami.

I rzeczywiście nie było. Dane im było przeżyć wiele ciężkich chwil, w czasie których jedynie troska o malca pozwalała Nicky przetrwać i żyć dalej mimo wszystko.

Jeszcze przed porodem obawiała się, że żal do Gerarda przeniesie się na dziecko, jednak od pierwszej chwili, kiedy wzięła synka na ręce, wiedziała, jak niemądre były to lęki.

Clarence pomógł jej znaleźć kobietę do opieki nad Phillipem, żeby Nicky mogła wrócić do pracy. Przez ostatnie miesiące ciąży nie pracowała i jej oszczędności szybko się wyczerpały, toteż niecierpliwie oczekiwała dnia, kiedy znów zacznie zarabiać i zwolni dziadka z ciężaru utrzymywania całej trójki.

Wieczór jej powrotu do „Chez les Américains” był wesoły i uroczysty. Clarence był w doskonałej formie, grał z pasją i przejęciem, Nicky zaś tańczyła, śpiewała, rozdawała uśmiechy, choć nie potrafiła już wykrzesać z siebie dawnego entuzjazmu. Po porodzie wciąż była obolała, jej piersi były nabrzmięte od mleka, przede wszystkim jednak z trudem przychodziło jej odgrywanie roli kapryśnej, zuchwałej panienki. Cóż, w końcu niedawno stała się matką.

Przed świtem wpadli Bobowie – Pierwszy i Drugi. Ucieszyła się na ich widok i czyniąc rzadki wyjątek w swej karierze, nie odmówiła wspólnej lampki szampana.

Usiadła z dwoma mężczyznami przy stoliku, leniwie wybijając rytm melodii granej przez dziadka, i włączyła się do zajmującej rozmowy.

Bob Pierwszy nosił teraz cienkie wąsiki, które zabawnie podrygiwały przy każdym uśmiechu, niczym ogonek Myszkki Miki. Dyskutował właśnie z Bobem Drugim o atutach Alana Smitha i Herberta Hoovera w walce o prezydencki fotel. Obaj kandydaci byli zdaniem Bobów podobni, tyle że Hoover był protestantem, a Smith katolikiem.

– Skoro katolik kandyduje w Ameryce na prezydenta – wtrąciła się Nicky – to może kiedyś i Murzyn dostąpi tego zaszczytu?

– O nie, Nicky – odezwał się Bob Pierwszy po chwili pełnej zakłopotania ciszy. – Widać, że dawno nie było cię w kraju.

– Chcesz powiedzieć, że mój syn nie będzie mógł startować na prezydenta?

– Twój syn nie będzie miał najmniejszej szansy, nawet za sto lat.

– Więc przyjdzie mi zostać tu na zawsze. Może będzie dla niego lepiej, żeby mówił po francusku i myślał jak Francuz.

Odpowiedź Boba Drugiego zagłuszył nagły łoskot.

Muzyka zamilkła gwałtownie, a muzycy skupili się wokół fortepianu.

Nicky natychmiast zerwała się z miejsca i pognąła w stronę sceny.

Clarence leżał na podłodze, z trudem łapiąc oddech.

Jeden z muzyków podtrzymywał mu głowę, drugi rozluźniał krawat i rozpinął kołnierzyk.

– Niech ktoś wezwie lekarza! – krzyknęła, klękając przy dziadku.

– Yernaux już to zrobił – usłyszała.

– Co się stało?

– Nie wiem. Nagle upadł.

– Clarence! – Poklepała go po policzku. – Słyszysz mnie? Dziadku!

Nieznacznie odwrócił głowę i leciutki cień uśmiechu przemknął mu po twarzy. Potem jego głowa opadła, oczy zamknęły się, palce zacisnęły krawędź jej sukni. Clarence umarł. Nie widział i nie słyszał już niczego.

Po kilku dniach od śmierci Clarence’a Valentine’a właściciel i kierownik „Chez les Américains”, pan Yernaux, oznajmił z ubolewaniem, że nie widzi w klubie miejsca dla Nicky. Czas odświeżyć atmosferę, tłumaczył, pokazać nowe talenty, nowe twarze. Trzeba raczej nastawić się na Francuzów, zmienić repertuar, zatrudnić kilka atrakcyjnych pańienek. „Wie pani, co mam na myśli?” – zapytał, a ona była w stanie jedynie ponuro skinąć głową.

Zespół Clarence’a rozpadł się, choć nie od razu. Muzycy jeden po drugim wracali do Stanów, zniechęceni tym, że żaden z nowo przesłuchiowanych pianistów nie posiadał talentu Clarence’a i nie mógł zapewnić ani odpowiednio wysokiego poziomu, ani gwarancji zatrudnienia w tym czy innym lokalu.

W ten oto sposób Nicky została sama, bez pracy i bez znajomych, do których mogłaby się zwrócić o pomoc.

W skrzyneczce, w której dziadek trzymał pieniądze, znalazła niemal nieczytelny list (zapisał jej wszystko, co posiadał), a także sumę wystarczającą na przeżycie trzech lub czterech miesięcy. Znalazła też diamentową spinkę do krawata oraz fotografię pięknej ciemnookiej kobiety ze starannie wykaligrafowanym w rogu podpisem:

„Mamie”. Obok zdjęcia leżał pukiel jej włosów, kosmyk Phillipa i trzy ulubione płyty Clarence’a.

Zanim otrząsnęła się z rozpacz i braku nadziei, minął miesiąc. Dopiero gdy wydała niemal połowę z zostawionych przez dziadka oszczędności, zrozumiała, że musi wziąć się w garść, jeśli chce ratować syna.

Z początku rozważała możliwość podróży za ocean. Gdy jednak przypomniała sobie „testament” Clarence’a, zrezygnowała – dziadek ostrzegął ją, że jeśli zdecyduje się kiedykolwiek wrócić do Stanów, ma być niezwykle ostrożna. Ma zatrzymać nazwisko Valentine niezależnie od tego, jak potoczy się jej życie, i nikomu nie wspominać o ojcu.

Nicky nie chciała wracać do Chicago. Poza wszystkim nie miała pieniędzy ani na podróż, ani na urządzenie się w Ameryce. A ponieważ nie posiadała jakiegokolwiek dowodu, że jest córką Rafe'a, dobijanie się o cokolwiek u kogoś ze znajomych ojca byłoby bezużyteczne.

I tak jej domem, choć nie z wyboru, stał się Paryż, a Francuzi przybranymi ziomkami. Musiała tylko znaleźć pracę.

Okazało się to trudniejsze, niż przypuszczała. Właściciele klubów, którzy ją znali, tłumaczyli, że nie potrzebują nowej hostessy. Ci, którzy jej nie znali, nie chcieli nawet podjąć próby, bowiem moda na amerykańskich Murzynów bezpowrotnie minęła. Pieniądze topniały w oczach, mimo że gospodarowała nimi z typową dla Francuzek oszczędnością. Złożyła wiele podań o pracę i w końcu znalazła posadę sprzedawczyni w piekarni. Niewielka suma, jaką zarabiała, ledwo starczała na najpilniejsze potrzeby Phillipa, Nicky przeprowadziła się więc do mansardy, gdzie za wynajem płaciła połowę dotychczasowej ceny.

Pewnego wieczoru, gdy ułożyła już Phillipa do snu, zabrała się do porządkowania starych pudeł, które po przeprowadzce wciąż stały w kącie. W pudle z szalikami i galanterią natknęła się na srebrną wieczorową torebkę, którą miała ze sobą po raz ostatni tej nocy, kiedy śpiewała pieśń-ostrzeżenie dla Gerarda. W środku tkwił zapomniany świstek papieru.

Następnego wieczoru poprosiła wdowę mieszkającą pod nimi o dopilnowanie Phillipa, a sama udała się pod adres, który podano jej przez telefon pod zapisanym kiedyś numerem.

Rano, przed wizytą, nie poszła do pracy. Poprosiła właściciela piekarni o wolny dzień, bowiem chciała przygotować się odpowiednio do wieczornej rozmowy. Jedyne eleganckie strój, jaki miała na własność – czyli suknię ze złotej koronki, którą otrzymała od dziadka na dziewiętnaste urodziny – przerobiła w ten sposób, aby dekolt był głębszy, a spódnica bardziej podkasana.

Włożyła bransoletę i połyskujące kolczyki w kształcie kiści winogron, umalowała wargi szminką w kolorze żywej czerwieni i nałożyła na policzki warstwę różu.

Ostatnie franki wydała na taksówkę, która zawiozła ją w okolice Folies-Bergere. Bruno Brunet nie wydawał się zaskoczony jej przybyciem. Wyszedł do Nicky i zaprosił ją do jednego ze stolików w pobliżu baru.

– Jest lepiej, niż się spodziewałem – zagadnął, odsuwając dla niej krzesło.
– Wyglądasz czarująco.

Nicky rozejrzała się niepewnie po wnętrzu nocnego klubu. Usprawiedliwiała się, że nie miała wyjścia, że musiała tu przyjechać, że tylko widmo głodu pchnęło ją do tego kroku. Klub nie był bowiem eleganckim lokalem, gdzie bogaci Francuzi czy Amerykanie przychodzą się rozerwać i zostawiają kupę

forsy. Było to raczej jedno z tych plugawych miejsc, dokąd nieokrzesani i spragnieni podniet faceci przychodzą, żeby zaspokoić własne, bardzo konkretne, potrzeby.

– Nie mam czasu na cieżką gadaninę, pomówmy więc od razu o pieniądzach– zaczęła Nicky. – Na ile mogę liczyć?

– Zapłacę ci tyle, ile zarabiasz w piekarni... – właściciel klubu zawiesił głos. – Tylko że ja płacę za jedną noc tyle, ile tam masz za cały tydzień.

Nicky podniosła się z wystudiowanym, uwodzicielskim wdziękiem. Nie dziwiła się, że ją sprawdził.

– Wiesz o mnie co nieco. To znaczy, że jesteś zainteresowany.

– Jestem. A co masz do sprzedania? – Bruno Brunet wpiął paluchy w jej ramię.

– Dokładnie to, czego sobie życzysz. – Popatrzyła na niego z góry. – I nie tobie, ale ludziom, którzy przyjdą mnie słuchać. Seks sprzedają tylko w muzyce. Potrafię tak rozgrzać śpiewem, że włosy same zwijają się w loki. Będziesz miał pełną bukę, przyjacielu, tylko nie próbuj mnie tknąć.

Wzruszył niedbale ramionami i puścił jej ramię.

– Szkoda, mógłbym zapłacić więcej.

– I zapłacisz więcej, niech się tylko interes rozkręci. Po sześciu tygodniach zapłacisz tyle, ile zarabiam w piekarni, ale nie za jedną noc, tylko za każdą godzinę. Ponadto dostanę procent od każdej sprzedanej butelki szampana.

– Po sześciu tygodniach? – Brunet uniósł brwi.

– Jeśli zdecyduję się zostać tak długo.

– Nie zostaniesz nawet tygodnia, jeśli nie spodobasz się klientom.

– Spodobam się – odparła pewnym głosem. – Tylko że będę potrzebowała zespołu z prawdziwego zdarzenia. Żaden śpiewak nie wykaże się przy takim jazzocie – skrzywiła się i wskazała głową estradę.

– Wybierzesz sobie własny, jak się na ciebie zdecyduję.

– Czyli kiedy?

– Nie wiem. Muszę to sobie wszystko przemyśleć.

– Pomogę ci – oznajmiła, po czym przeszła na scenę i przedstawiła się muzykom. Nie wykazali cienia zainteresowania i nie ucieszyli się specjalnie, kiedy wytłumaczyła, że chciałaby z nimi odbyć próbę. Niezrażona, zaproponowała im melodię, lecz natychmiast orzekli, że jej nie znają. Dopiero kiedy zanuciła kilka taktów, pianista niemrawo pokiwał głową, zaś pozostali wzięli ospale instrumenty do rąk.

Nicky zajęła miejsce na środku sceny i czekała na wprowadzający akompaniament. Kiedy jednak tylko usłyszała pierwsze dźwięki, przerwała natychmiast i krzyknęła po francusku:

– Dosyć! Albo będziecie grali, jak należy, równo i w odpowiedniej tonacji, albo przysięgam, że zrobię z wami porządek!

Przez sekundę zdawało jej się, że opuszcza estradę.

Pianista burknął coś pod nosem, trębacz zaczął przecierać blachę trąbki. Po chwili zaczęli od początku i tym razem mile ją zaskoczyli.

– Dobrze. Bardzo dobrze – pochwaliła, a potem odwróciła się do sali.

Na razie nikt nie zwracał na nią uwagi. Jedna z par tańczyła wciąż ten sam taniec, ktoś śmiał się głośno przy barze, jakiś tłuścioch od paru minut całował w kącik wydekoltowaną blondynę. Zainteresowanie tym, co dzieje się na estradzie, przejawiało jedynie dwóch mężczyzn – Bruno Brunet oraz odziany w czarny beret facet w średnim wieku, który rozparł się lubieżnie przy najbliższym sceny stoliku i obmacywał z upodobaniem własne krocze.

Nicky przełknęła ze wstrętem ślinę i wzięła głęboki oddech. Zaczęła śpiewać „Someone To Watch Over

Me”, przedłużając nuty, by nadać każdej frazie zniewalającą zmysłowość.

Prowokacyjnie kołysała biodrami, ponętnie wypinała piersi, wprawiała ciało w miarowy, uwodzicielski rytm, podniecająco pocierając dłońmi o biodra.

Facet w berecie wyraźnie się ożywił i masował teraz swoje krocze intensywniej, z wyrazem błogości w oczach.

Pozwoliła sobie tylko raz na myśl o Clarensie Valentine, najlepszym pianicie jazzowym swojego pokolenia, który nigdy nie frymarczył swoim talentem i godził się grać jedynie wtedy, kiedy miał swobodę wyboru muzyki i sposobu jej interpretacji. Potem pomyślała o Phillipie i wypięła piersi jeszcze bardziej prowokacyjnym gestem.

Kiedy skończyła, facet w berecie osiągnął orgazm, kapela prawie zaczęła swingować, a Bruno Brunet dawał jej znaki, żeby poszła za nim do biura.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ben odnalazł Dawn późnym popołudniem. Siedziała na podłodze garçonierre, zajęta przeszukiwaniem zawartości starego kufra, nie zwracając uwagi na panującą w pomieszczeniu duchotę. Była tak pochłonięta poszukiwaniami, że nie spostrzegła nawet, kiedy się pojawił.

– Dawn?

– Skąd wiedziałeś, gdzie jestem? – Podskoczyła na dźwięk jego głosu. – A może sam chciałeś powęszyc?

– Znałem kiedyś kobietę, która chowała się, żeby lizać rany. Nie sędzę, byś się aż tak zmieniała, jak usiłujesz tego dowieść.

– A jakie to niby rany liżę?

– To oczywiste. Rodzina rozpada się na twoich oczach.

– Interesujące. – Rzuciła mu szybkie spojrzenie i powróciła do poprzedniego zajęcia.

– Nie wierzysz w opowieść Phillipa?

– Tego nie powiedziałam.

– Więc?

– Co więc? Nie ma więcej ukrytych informacji. Wyraźnie zatraciłeś dziennikarski instynkt, Ben. Proponuję, żebyś rzucił „Mother Lode” i wrócił do korzeni.

– A w co konkretnie wierzysz? – zapytał, ignorując jej komentarz.

– Wierzę w Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Wierzę, że Nicky jest moją ciotką, na wieki wieków, amen.

– Rozmawiałaś z nią?

– Pokazała mi medalion, który dostała w dzieciństwie od babci. Wtedy nie wiedziała, że to jej matka. Aż do dziś. Choć Dawn starała się zachowywać spokój, Ben wychwycił w jej głosie lekkie napięcie.

– I co ty na to? – zapytał.

– A co chcesz usłyszeć? Że na myśl o ciotce Murzynce robi mi się słabo? Powiem ci coś, a ty zrób z tym, co ci się żywnie podoba: otóż być bratanicą Nicky to dla mnie wielki zaszczyt. Mieć Phillipa za kuzyna to już inna sprawa, to może stanowić wyzwanie.

Jestem gotowa je podjąć.

Podszedł do niej i przykucnął obok.

– Posłuchaj, nie zamierzam nikogo osądzać. Ciebie też nie. Przyszedłem, bo myślałem, że może masz ochotę z kimś porozmawiać.

– Na jakiej podstawie przypuszczasz, że tym kimś jesteś ty?

– Lista kandydatów nie jest zbyt długa. Poza tym kiedyś byliśmy przyjaciółmi.

– Nie sędzę, by to było właściwe słowo.

– Tak czy inaczej – podniósł się, ale nie odchodził – nie masz wielkiego wyboru, jeśli chodzi o kandydatów do rozmowy.

– Dobrze, porozmawiajmy. Znalazłeś coś w dzienniku wuja? – spytała, przeglądając fotografie.

– Żadnych rewelacji. Pismo wyblakło i trudno je odczytać. Dotychczas dowiedziałem się sporo o katolickim systemie edukacyjnym i o tym, jak ojciec Hugh zawsze starał się być najlepszy.

– Był najlepszy. We wszystkim, co robił.

– Ale musiał na to ciężko pracować i, jak widać, ten cel przyświecał mu już w szkole. Był fanatycznie przywiązany do rodziny; chciał, żeby była z niego dumna. Myślę, że bardzo kochał swoją matkę. Wyraża się o niej niemal ze czcią.

– A o innych? O swoim ojcu? O moim?

– Zdaje się, że ojca się bał. A swojego brata uważał za szkodnika. Nie wiem nic więcej. Nie doszedłem nawet do okresu dojrzewania.

– Moja historia jest chyba ciekawsza. Kto by się spodziewał, że te listy zaprowadzą nas tak daleko?

– Co teraz sądzisz o babce?

– Sama nie wiem. Staram się ją zrozumieć. Zupełnie sama, śmiertelnie wystraszona, stała się ofiarą swoich czasów. Domyślałam się, że wtedy związek z kolorowym mężczyzną był dla ludzi z jej środowiska czymś niepojętym. Przecież jeszcze teraz, zwłaszcza tutaj, w Luizjanie...

– No a Nicky? – przerwał jej Ben.

– Nicky... – pokiwała głową Dawn. – Nicky przypominała jej człowieka, który ją zdradził.

– Z drugiej strony nie potrafisz pojąć, jak kobieta może oddać komuś własne dziecko.

– Tak. Zwłaszcza mężczyźnie, którym gardzi. Może podświadomie zdawała sobie sprawę, że ojciec dobrze się nim zaopiekuje. Chyba nie sądzisz, że w porywie szaleństwa pozbyła się córki jak worka kartofli?

– A co ty sądzisz?

– Nie wiem i bardzo mnie to trapi. Zawsze ufałam Aurore.

– Podejrzewasz, że czekają nas kolejne rewelacje?

– Poczekajmy na kolejne zapisy.

Ben usiadł w niedbałej pozycji na zakurzonej podłodze i wziął do ręki jedno ze zdjęć.

– Czego właściwie szukasz w tych fotografiach ?

– Odpowiedzi.

– Posegregowałaś je na dwie kupki.

– Mhm. W tej są ludzie, których znam, a tutaj ci, których nie znam.

– A to kto?

– Pokaż. – Zerknęła na wyblakłą fotografię i parsknęła śmiechem. – Nie poznajesz?

Ten śmiech przypomniał mu odległe lata, kiedy był z kobietą o wiele bardziej uległą niż dziś.

– Ojciec Hugh? – zapytał z niedowierzaniem. – Ile miał lat, piętnaście? A ten tutaj, to twój ojciec?

– Ojciec to ten z dużą rybą. Nic dziwnego.

– Jesteś zaskakująco podobna do wuja.

– Do tej pory skupiałeś się na wyszukiwaniu różnic między nami.

– Nie darujesz mi tego, co?

– Fakt, jestem pamiętliwa. To talent odziedziczony po ojcu, królu drapieżników. – Wręczyła mu zdjęcie starszego wiekiem Hugh. Rzeczywiście była do niego podobna jak dwie krople wody. – A to jest mój dziadek, Henry Gerritsen, z babcią – powiedziała, prezentując następną fotografię.

Ben zmrugał oczy, patrząc na uroczyście i sztywno upozowaną parę. Aurore Gerritsen miała smukłą talię i wąskie biodra kobiety, która nie rodziła. Teraz wiedział, że to tylko złudzenie. W czasie, gdy pozowała do tego zdjęcia, gdzieś, hen, daleko, mała dziewczynka dorastała bez matki.

– Na żadnym zdjęciu babcia się nie uśmiecha – zauważyła Dawn. – Zwróć uwagę, jakim gestem dziadek opiera dłoń na jej ramieniu. Jakby przytrzymał ją siłą.

– Kiedy je zrobiono?

– Chyba tuż po ślubie. Widzisz? Babcia ma długie włosy. Mówiła mi, że obcięła je dopiero po urodzeniu pierwszego syna. Ośmieliła się obciąć włosy jako pierwsza kobieta z nowoorleańskiej socjety, a dziadek zamknął ją za karę w pokoju na kilka tygodni.

– Przyjemniaczek.

– Niestety – westchnęła. – Docierały do mnie tylko strzępy plotek, ale i to wystarczy. Podobno pił i uprawiał hazard. Należał do tej kategorii biznesmenów, do których nie należało odwracać się plecami. Ubzdurał sobie, że robi polityczną karierę i szturmem zdobędzie Luizjanę... – Wzruszyła ramionami. – To pewnie stąd te polityczne inklinacje mojego ojca.

– Zdziałał coś?

– Niewiele. Dziadek był dość... hm, toporny. Zawsze działał za kulisami, nie umiał przemawiać. Zdaje się, że mianowano go do jakiegoś ważnego komitetu za czasów Hueya Longa, ale to wszystko. Phillip twierdzi, że babcia wyszła za Henry'ego Gerritsena, bo potrzebowała pomocy w postawieniu na nogi Gulf Coast. Jeśli tak, to pewnie żałowała potem tej decyzji.

– Pamiętasz go trochę?

– Jak przez mgłę. Umarł, kiedy byłam mała. Czasami tylko... – Potrząsnęła głową, jakby chciała unieważnić rozpoczęte zdanie.

– Co czasami?

– Nie wiem. Na pewno odziedziczyłam po nim jakieś cechy. Mam nadzieję, że wychowanie skorygowało niektóre skłonności.

– Na pewno. Wychowanie ukształtowało kobietę, jaką jesteś.

– Wychowanie miało swoje ważne momenty.

– Opowiedz mi o tym.

– Po co?

- Bo nigdy tego nie robiłaś. Skoro porwał mnie rozszalały wir rodzinnych spraw Gerritsenów, chciałbym je zrozumieć.
- Jeśli nie opowiadałam o swoim dzieciństwie, to dlatego że nie chciałaś słuchać.
- Sama mówisz, że ludzie się zmieniają. – Pokazał jej następną fotografię.
- To ty z matką?
- Nie znoszę tego zdjęcia.
- Dlaczego?
- Bo jest kłamliwe. Spójrz na nas – odebrała mu fotografię i wyciągnęła ją przed siebie – idealna mamusia z grzeczną córeczką w marynarskim ubranku. Cudowna harmonia. Aż mnie mdli od tej słodkości.
- Przesadzasz. Po prostu matka z córką.
- Może. – Wrzuciła fotografię do kufra. – Tata zrobił je na użytek któregoś ze swoich kampanii.
- Obserwowałem dziś twoją matkę, kiedy wyprowadzała ojca z pokoju. Miałem wrażenie, że oczekuje od ciebie wsparcia.
- Ona?
- Jesteś jej potrzebna.
- Jak cholera.
- Za co jej tak nienawidzisz?
- To nie to słowo. Ona po prostu dla mnie nie istnieje, nic nie znaczy.
- Twój gniew coś jednak znaczy.
- Wiesz co – spojrzała na niego dłużej – w twoich ustach brzmi to dość dziwnie.
- Co?
- Wszystko. Cała ta rozmowa. Nigdy nie rozmawialiśmy w ten sposób, na pewno nie o uczuciach. Pewnie znajdowałeś inne chętnie do takiej rozmowy?
- Ani my nie rozmawialiśmy, ani ja nie rozmawiałem, z nikim. – Zmienił pozycję i wyprostował nogi. – W mojej rodzinie rozmowa o uczuciach była rzeczą tak naganną i kompromitującą, jak picie czy tańczenie; rzeczą, która przystoi jedynie prymitywnym barbarzyńcom.
- Ale w końcu się na to zdobyłeś i teraz robisz to, co chcesz?
- Pewna kobieta sprawiła, że przejrzałem na oczy.
- Oho, proszę!
- Nie ty, Dawn.
- Oczywiście, że nie. – Uśmiechnęła się kwaśno. – Nie miałam takiej szansy, a ty nie widziałeś dalej niż czubek własnego nosa.
- Żałuję, że nie zostałam, żeby to zmienić.
- To nie należało do moich obowiązków – odparła i uciekła wzrokiem.

– I dlatego odeszłaś? Bo nie czułaś się za nas odpowiedzialna?

– Nie. To było o wiele prostsze. Uciekłam, żeby nie myśleć o tym, co przydarzyło się wujowi; żeby nie dręczyć się wątpliwościami, czy mogłam temu zapobiec. Kochałam go...

Miał ochotę jej dotknąć. Z trudem opanował wzruszenie w głosie.

– Wiem o tym – wyznał.

– Od śmierci wuja starałam się wniknąć w swoje serce. Czy ty kiedykolwiek zadałeś sobie taki trud? Czy kiedykolwiek postawiłeś sobie pytanie, co wyniosłeś z nauk, które zaszczerpił ci ojciec Hugh Gerritsen?

– Nie darujesz sobie, żeby mi nie dopiec.

Zgarnęła zdjęcia członków rodziny, których rozpoznała, i włożyła z powrotem do kufra. Poruszała się gorączkowo i nieskładnie, jak gdyby rozum nie panował nad jej ciałem. Kiedy pozbierała drugą kupkę i podniosła się, Ben poszedł w jej ślady.

– Koniec. Mam to, po co przyszedłam.

– A ja mam zaledwie odrobinę tego, po co przyszedłem.

W jej oczach zapalił się gniewny ogień.

– To znaczy po co?

– Po odpowiedzi.

– Następnym razem bądź tak łaskaw i zadaj najpierw pytania.

Nie chciał zakończyć rozmowy w ten sposób. Dotknął jej gładkiego jak płatek kwiatu policzka, zroszonego potem od upału.

– Przyjechałem, żeby się dowiedzieć, czy coś nas jeszcze łączy.

– Być może łączy, ale to coś brzydko się nazywa.

Wsunął palce w jej wilgotne włosy nad uchem. Nie poruszyła się, choć zdawała się nieco spłoszona. Przebiegł wzrokiem krągłe piersi sterzące pod cienką, bawełnianą, rozpiętą od góry bluzką i kropelki potu wtulone w zagłębienie między nimi.

– Czy kiedykolwiek wspominałaś chwile, kiedy się kochaliśmy?

Jej oczy zwięzły się ostrzegawczo.

– O, tak, nieustannie. Aż do upadłego. O niczym innym nie myślałam.

– Tak przypuszczałem. – Uśmiechnął się. – Ja często o tym myślę.

– No pewnie. Moja matka zwykła mawiać, że mężczyzna to organ płciowy na dwóch nogach.

Ben wplótł dłoń głębiej w jej włosy.

– Przynajmniej przypada nam zaszczyt posiadania także dwóch nóg.

– Okazują się niezmiernie przydatne, żeby wziąć je za pas, kiedy jest po wszystkim.

– To ty uciekłaś.

– A ty wypchnąłeś mnie za drzwi.

– Tak. I to był mój największy błąd – westchnął i powoli przyciągnął ją do siebie. Dawn próbowała odwrócić głowę, lecz on ogarnął ją ramionami i przytulił. Pragnął pocałować jej usta od pierwszej chwili, kiedy ujrzał ją w jaskrawej, winylowej pelerynie, ociekającą strugami deszczu pod mokrym błotnym dębem. – Powinienem być cię zatrzymać, nie dopuścić do tego, co się stało.

Wyszarpnęła się gwałtownie z jego ramion.

– Jeśli po przyjechalesz, tracisz tylko czas. A odpowiedzi poszukaj gdzie indziej, choć nie sądzę, byś znalazł w Luizjanie takie, które cię zadowolą.

– Może jednak znajdę. Na przykład w testamencie twojej babki.

– Może. – Odwróciła się, jakby nie mogła znieść dłużej jego widoku. –

Miejmy nadzieję, że zaprowadzą cię one prosto do Kalifornii.

Kiedy zamykał za sobą drzwi chatki, Dawn wciąż stała odwrócona tyłem. W powietrzu wisiała zastygła, stęchła duchota. Ruszył ścieżką w stronę plaży, a potem stanął na wydmie i patrzył na fale uderzające z hukiem o brzeg.

Wrócił do domu po dobrej godzinie, nie napotkawszy po drodze żywej duszy. Słońce chyliło się ku zachodowi. W kuchni nałożył sobie na talerz solidną porcję z podgrzewanego na piecu garnka i udał się na górę, by pogрузić się w lekturze dziennika ojca Hugh. Nie był do końca szczery wobec Dawn. Zataił przed nią fakt, jak bardzo nieswojo czuł się przy lekturze chłopięcych sekretów mężczyzny, którego niemal nabożnie czczył. Zastanawiał się, dlaczego Aurore zapisała dziennik właśnie jemu i Dawn. Czyżby chciała, żeby w uwielbianym księdzu dostrzegli zwykłego człowieka?

Dlaczego miałoby jej zależeć, by wizerunek świętego i męczennika stracił swą wyrazistość?

Jeśli taki był jej zamiar, poniosła porażkę. Ben zdawał sobie sprawę, że ojciec Hugh nie był nieomylny i że nieobce mu były ludzkie sprzeczności i lęki.

W niczym to jednak nie umniejszało podziwu, jaki miał dla człowieka tak prawego i tak szczerego. Hugh Gerritsen potrafił dzielić się słabościami równie otwarcie, jak obdarowywać innych swoim męstwem i szlachetnością.

To właśnie to, że nie był postacią jednowymiarową, neodparcie Bena pociągało, a Hugh czyniło jeszcze bardziej godnym uznania i zaufania.

Usadowił się przy oknie i zapalił lampę. Odnalazł miejsce, w którym prze-rwał czytać, i ponownie zagłębił się w lekturze.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Grand Isle, 1928

Z werandy dobiegały przytłumione odgłosy kłótni.

Kłócili się jego rodzice, a Hugh nasłuchiwał z drżącym sercem urywków zdań, ostrych słów, podniesionych głosów. Matka mówiła ciszej, lecz dobitnie. Ojciec wybuchał gniewem, a jego język siekł i smagał niczym wiatr w czasie burzy.

– Po co przyjechałeś na Grand Isle, Henry? Nie masz już nad kim się pałstwić w Nowym Orleanie?

– Sądzisz, że zostawiłbym cię samą z chłopcami na całe lato?

– Tak właśnie sądziłam. Ludzie gubernatora Longa więcej dla ciebie znaczą niż cokolwiek i ktokolwiek.

– Trzymam sztamę z tymi, którzy potrafią się ustawić, Rory. Co, chcesz, żebyś został na lodzie?

– Nie. Chciałabym, żebyś trzymał z kimś dlatego, że wierzysz w to, co głosisi, a nie dlatego, że chcesz od niego coś wyciągnąć.

– Polityka jest jak wyścigi konne. Wystartowałem na długi dystans i teraz płacą mi jak pięćdziesiąt do jednego.

– Oszczędź mi swoich metafor.

– Zapomniałem, że madame żyje przeszłością i aktualia ma głęboko w nosie.

Z werandy weszli do pokoju i odgłosy rozmowy ucichły. Hugh rozumiał co nieco z tego, o czym mówili rodzice. Ojca całkowicie pochłonęła ostatnio kampania gubernatorska. Zżerała go ambicja, nie wystarczała mu poślednia pozycja w nowoorleańskiej strukturze władzy.

Do tej pory obracał się jedynie w politycznych przedpokojach i nie miał wstępu na salony. Teraz zwietrzył taką szansę i robił wszystko, by wspiąć się jak najwyżej.

Oczywiście, Gerritsenowie nie byli w Nowym Orleanie nikim. Dzięki rodzinnemu koncernowi Gulf Coast Shipping, któremu matka poświęcała cały swój czas, prestiż rodziców w mieście znacząco się umocnił.

Obracali się w najbardziej wpływowych kręgach, zapraszano ich na ekskluzywne przyjęcia, a jemu, ich synowi, przedstawiano dziewczęta z najznakomitszych rodów.

Hugh jednak oddałby to wszystko za odrobinę szacunku, okazaną mu przez własnego ojca.

Ze wszystkich sił starał się zasłużyć na pochwałę Henry'ego Gerritsena. Był szkolnym prymusem, a nawet, wbrew własnym skłonnościom, osiągał doskonałe wyniki w sporcie. Prowadził kółko dyskusyjne, w następnym roku

miał zostać przewodniczącym klasy, lecz mimo to w żaden sposób nie potrafił sprostać wymaganiom ojca. Prawdę mówiąc, nikt z rodziny nie był w stanie zadowolić Henry'ego prócz młodszego o pięć lat brata, Ferrisa Lee. Ferris był z nim tak blisko, jak Hugh z matką. A rozłam w rodzinie był tak głęboki i rozległy, jak mokradła, które co roku musieli pokonać w drodze na Grand Isle.

Na szczęście Henry rzadko bywał w domu i nie miał zbyt wielu okazji, by pastwić się nad starszym synem.

Z biegiem lat, gdy jego apetyt na władzę urósł i stał się głównym motywem jego działań, Henry zarządzanie rodzinnym przedsiębiorstwem przekazał żonie, sam zaś poważnie zajął się polityką. Ku powszechnemu zdziwieniu, wdał się w układy z Hueyem Longiem, upatrując w tym sojuszu ostatnią szansę na zrobienie kariery.

Zainwestował nawet spore sumy w kampanię Longa i otwarcie go popierał, nie bacząc na to, że inni przedstawiciele wyższych sfer okrzyknęli tego kandydata radykałem i komunistą.

Poglądy Longa na temat poprawy bytu ubogich warstw społecznych niewiele Henry'ego obchodziły, jednakże sam Long, człowiek obdarzony ogromnym darem przekonywania i politycznym nerwem, wywierał na nim niezatarte wrażenie. Rzecz jasna, Henry spodziewał się pewnych profitów za swoją lojalność. A potrafił być niebywale wprost lojalny, dopóki było mu to na rękę.

Hugh wstał z łóżka i podszedł do okna. Wyteżał słuch, lecz z pokoju rodziców nie dolatywał teraz żaden szmer. Kiedyś, a był wtedy mały, pobiegł bronić matki przed wściekłością ojca. Ojciec uderzył go wówczas tak mocno, że chłopiec aż się zatoczył. Potem matka wymogła na synu obietnicę, że już nigdy nie będzie się wtrącał w domowe kłótnie, a on uroczyście sobie przyrzekł, że zawsze będzie przykrywać głowę poduszką, żeby nie słyszeć i nie być świadkiem jej upokorzenia.

Zazwyczaj nie udawało mu się dotrzymać tej obietnicy.

Należał do natur wiedzionych instynktem, ulegających impulsom. Niekiedy, wbrew woli, głos łamał mu się ze wzruszenia. Niekiedy, choć potem było mu wstyd, ciało zdradzało go we śnie. Łapał się na tym, że klęcząc podczas mszy, rozgląda się w poszukiwaniu dziewczęcych piersi i bioder, zamiast rozmyślać o boskich wyrokach. Chciał zostać księdzem, toteż bał się, czy sprosta wymogom tego stanu. Najbardziej wszakże bał się tego, że jest podobny do ojca.

Zapatrzył się w pełną, jaśniejącą tarczę księżycą.

Noc dyszała czarnym, zapierającym dech upałem. Leciutka bryza przynosiła posmak soli znad zatoki i woń ogrodowych jaśminów. Gdy zgasła sącząca się spod drzwi rodziców smużka światła, Hugh zacisnął pięści.

Starał się nie myśleć o tym, co się dzieje po ciemku w ich sypialni. Wiedział, co mężczyzna robi kobiecie, i był pewien, że ojciec robi to mamie, jak często się da.

Nie rozumiał tylko, dlaczego matka pozwala mu się dotykać.

Wrócił do łóżka i starał się zająć myśli czym innym. Raz jeszcze odmówił pacierz, a tak bardzo zapamiętał się w gorliwej modlitwie, że w pierwszej chwili nie usłyszał kamyków obijających się o siatkę jego oknie.

Dopiero po chwili zerwał się, nie kończąc pacierza, i podbiegł do okna.

– Sie masz, Hap – usłyszał miękki głos. – Viens ici, chodź!

Nadawanie przydomków stanowiło nieodłączną część nowoorleańskiej kultury i wszyscy oprócz matki, także Val Guilbeau, najmłodszy syn Ti'Boo, nazywali go Hap.

– Val?

– A kto by inny, głupolu! Złaż na dół.

– Ciszej, bo cię usłyszą!

Hugh pospiesznie wciągnął spodnie i sweter, a spod łóżka wyłowił parę butów. Zręcznie ześlizgnął się po rynnie i stanął obok przyjaciela. Val miał piętnaście lat i był już prawie mężczyzną. Co prawda Hugh przewyższał go o głowę, lecz w porównaniu z jego muskularną, postawną sylwetką wyglądał mizernie, niczym skóra i kości. To do Vala, zgrabnego chłopaka o roziskrzonym ciemnym spojrzeniu i leniwym uśmiechu, dziewczyny robiły słodkie oczy, nie do niego.

– Śmigasz po tej rynnie jak une jeune fille.

– Jest prawie północ. Co tu robisz o tej porze?

– Co tam północ. – Val odciągnął Hugh'a w głąb ogrodu. – Masz ochotę się przewietrzyć, Hap?

– Pewnie, że tak.

– To popłyniemy łajbą.

– Odbiło ci? Teraz, w nocy?

– Jak masz pietra...

– Nie mam! – oburzył się Hugh, wymierzając przyjacielowi szturchańca. Val, gdyby zechciał, pokonałby go jednym palcem, lecz chłopcy przyjaźnili się od zawsze i nigdy nie dochodziło między nimi do waśni.

– Dokąd płyniemy?

– Na wysepkę, do dawnej osady, „Chénierre Caminada.

– Zwariowałeś?

Val wzruszył ramionami i nie powiedział ani słowa, jakby ten jeden gest miał wyrażać wszystko. Odwrócił się na pięcie, żeby odejść, lecz Hugh natychmiast go zatrzymał.

– Dlaczego akurat tam?

– Przekonasz się.

Hugh ważył w sercu powinność posłusznego dziecka z podniecającą, zakazaną przyjemnością popłynięcia o północy do miejsca nawiedzanego rzekomo przez duchy.

– Dobrze, ale musimy wrócić przed świtem. Jak ojciec się dowie, że mnie nie ma w domu, strasznie się wkurzy.

– Wrócimy, nie bój się. Zobaczysz coś, czego w życiu nie widziałeś.

– Co takiego?

– Jak ci powiem, to nie będzie niespodzianki – odparł Val tajemniczo, po czym ruszył ścieżką w kierunku plaży. – Idziesz czy nie? Nie będę czekał do rana.

– Dobra, już idę.

– Hap, gdzie idziesz?

Obaj przyjaciele odwrócili się jednocześnie. Z cienia wychynał mały chłopiec i podbiegł do dwójki starszych kolegów.

– O rany – jęknął Hugh. – Widzisz, Val? Mówiłem ci, że wszystkich pobudzisz.

– Chodu, prędko!

– Stój! – Hugh złapał go za ramię. – Nie wyglupiaj się! Jak zwiejemy, to on zacznie ryczeć i zaraz zjawi się ojciec.

Val nie bał się ojca Hugh'a – nikogo się nie bał. Wolał jednak nie pchać się z gówniarzem na wyspę.

– Zmykaj stąd, Ferris – powiedział. – Jesteś srajdek. Wracaj do łóżka!

– Nie jestem srajdek! A ty jesteś głupi kajun!

– No i dobrze, jestem głupi Cadien. Wszędzie naokoło mieszkają głupi Cadiens, mają jednak na tyle rozumu, żeby nie zadawać się z takimi srajdkami jak ty, kapujesz?

Ferris wyprostował się i wypiął dumnie pierś. Jak na dziewięciolatka był stosunkowo wysoki i silny. Miał ciemniejsze od brata włosy i oczy zielone jak wody zatoki.

– Myślisz, że się ciebie boję?

– Zwisa mi to.

– Ferris, to niebezpiecznie łązić po nocy – powiedział ostrzegawczo Hugh.

– Właśnie, małolacie. Wracaj do łóżka.

– Nigdzie nie pójde. Najpierw powiedzcie, gdzie idziecie.

– Na plażę. Ale bez ciebie.

– Macie tam dziewczyny?

Val roześmiał się.

– No jasne, że mamy dziewczyny, całą kupę. Zwiewaj, bo je zawołamy, żeby dały ci buzi.

– Kłamiecie. Będziecie robić coś fajnego.

- Niekoniecznie. Idziemy po prostu na spacer.
- To ja też.
- Nie!
- Wszystko powiem tacie.

Hugh wiedział, że nie jest to czcza pogroźka. Henry zachęcał swojego beniaminka, by o wszystkim mu donosił, a kiedy mały nabroił, zazwyczaj uchodziło mu to płazem.

– Dobra, niech idzie – odezwał się Val. – Może mu się wreszcie odechce wszędzie za nami się włóczyć. Jak wypłyniemy, to nakarmimy nim rekiny.

– Wypłyniemy? – Oczy Ferrisa zaświeciły się z podniecenia. – Twoją łódką?

– Nie ma wiatru, będziesz całą drogę wiosłował.

– Jestem silny! Mogę wiosłować nawet do Grand Terre!

– Eh bien, może się przydasz. – Val zwichrzył malcowi czuprynę. Nie miał powodu, by lubić utrapionego Ferrisa, lecz zgodnie ze swoją naturą lubił wszystkich. Poszli gęsiego w stronę plaży. Ferris, trzeba przyznać, dotrzymywał im dzielnie kroku i nie marudził. Na brzegu odnaleźli łódkę Vala, w której z trudem mieściły się trzy osoby.

Starsi chłopcy zawinęli nogawki spodni i zepchnęli łódkę na wodę. Wskoczyli na pokład, a Val postawił żagiel. Leciutki powiew musnął płótno i lupina wolno zaczęła sunąć po mrocznej toni, na której migotliwie tańczyły odbłaski nie licznych o tej porze, przybrzeżnych świateł. Hugh zapamiętałe odganiał komary, póki nie znaleźli się daleko od brzegu.

– Co powie twoja mama, jak zobaczy, że nie ma cię w domu? – zapytał Vala.

– Mama śpi jak zabita, taka jest zmordowana.

Hugh poczuł się winny. Jak daleko sięgał pamięcią wstecz, Ti'Boo zajmowała się domem i rodziną Gerritsenów. Matka Hugh знаła ją od dzieciństwa. Dwunastoletnia Ti'Boo dotrzymywała podobno jej towarzystwa tego lata, kiedy nad Grand Isle szalał huragan. Obie przeczekały nawałnicę w chacie, która teraz służyła Gerritsenom za letni dom. Mimo dzielących je różnic, stały się bliskimi przyjaciółkami.

Ojciec Vala zmarł przed laty podczas epidemii grypy. Po pogrzebie Aurore zaproponowała Ti'Boo pracę u siebie i teraz Ti'Boo, wdzięczna za pomoc, harowała ciężiej, niż było trzeba. Nawet Henry nie mógł jej nic zarzucić.

Val, jego bracia i siostra spędzali część roku w Bayou Lafourche z siostrą Ti'Boo, Minette, i jej licznym potomstwem.

Aurore namawiała matkę Vala, by przeniosła się z dziećmi na stałe do Nowego Orleanu, ale Ti'Boo uparła się, żeby dzieci, które hojnie obdzielała matczyną miłością, wychowywały się tak jak ona, w tradycji kultury katolickiej i francuskojęzycznej, czego w mieście nie mogłaby im zapewnić.

To dzięki rodzinie Ti'Boo przez całe lato na Grand Isle było gwarno i rojno. Jej dzieci oraz dzieci Aurore bawiły się razem, a Hugh miał wrażenie, że to przede wszystkim dlatego matce tak bardzo zależy, by spędzać wakacje na wyspie. Tego roku z Ti'Boo przyjechał jednak tylko Val. Jego bracia pożenili się, a córka, Pelichere, wyszła za mąż.

Val skrzył i zapalił papierosa, potem splunął do wody i powiedział:

– Jak tam będziemy, to gęba na kłódkę. Siedzisz cicho, Ferris, i ani mru-mru, żeby nie wiem co, jasne?

Hugh podejrzewał, że Ferrisowi nie wystarczy jedno upomnienie. Ten dziewięciolatek, w przeciwieństwie do brata, niczego się nie bał i nie dawał łatwo zbić się z tropu. Ślepo podporządkowywał się woli ojca, a jeśli nawet kiedykolwiek zaświtała mu myśl, że świat wygląda nie tak, jak tłumaczy to Henry Gerritsen, lojalność nakazywała mu całkowicie podzielać ojcowskie zapatrywania.

– A dlaczego mamy być cicho? – zapytał z wrodzoną sobie przekorą.

– Val chce nam coś pokazać – wyjaśnił Hugh. – Jak nie będziemy cicho, to nic nie zobaczymy.

– Nie o to chodzi – sprostował Val. – Jak narobicie hałasu, to długo nie pożyjecie i nie zdążycie ich zobaczyć. C'est tout.

– Ich? To znaczy kogo? – dopytywał się Ferris.

– Piratów.

Oczy Ferrisa przybrały kształt czaplich jaj, które chłopcy niedawno znaleźli na bagnach.

– Jak to? Przecież piratów nie ma.

– No i tu się mylisz.

– Co ty wygadujesz, Val? – zniecierpliwił się Hugh. – Chcesz go nastraszyć?

– Sami zobaczycie. A teraz zamknijcie się – polecił Val i wmanewrował łódkę w wąski przesmyk między wysepkami. Od lat mówiło się o planach poprowadzenia przez mokradła drogi, łączącej ląd z Grand Isle, lecz nikt jak dotychczas nie kwapił się, by owe plany zrealizować.

– Nie wysiadam z łódki, dopóki nie powiesz mi, o co chodzi – zaszantażował przyjaciela Hugh.

– No to nie. Zjedzą cię komary i tyle będziesz miał.

– Daj spokój, Val. Powiedz.

Val milczał przez dłuższą chwilę. Odezwał się dopiero wtedy, kiedy podpływali do brzegu wysepki.

– Jak myślisz, Hap, za co ludzie gotowi są płacić kupę szmalu?

Hugh nie odpowiadał, nieco zdezorientowany tym pytaniem.

– No, na co wydają forszę?

– Na alkohol?

– Trafieś.

– A co mają do tego piraci? – Ferris przechylił się gwałtownie, aż łódź zakotyła się niebezpiecznie.

– To przemytnicy – domyślił się Hugh. – Tutaj?

– A co myślałeś, Hap, że skąd się bierze cały ten zajzajer w Nowym Orleanie? Z Kanady? Mais non.

Stąd, bracie, z tych bagien. Hugh słyszał o prohibicji, z której w Nowym Orleanie kpiono sobie w żywe oczy. Agentom federalnym, lustrującym amerykańskie miasta, zwykle zabierało aż dwie godziny, by odnaleźć alkohol w Waszyngtonie, a kilka minut w innych miastach. W Nowym Orleanie zaś znajdowali podobno nielegalne trunki w trzydzieści pięć sekund. Niektórzy tubylcy żartowali, że trwałoby to nawet krócej, gdyby federalni okazali odrobinę więcej uprzejmości.

– Jak oni przemycają ten alkohol? – spytał zdumiony Hugh.

– Najpierw statkami na Kube, potem w różne miejsca w Zachodnich Indiach. No, a potem mniejsze statki wiozą go na Wyspy Chendeleur.

– A jak się dostaje tutaj?

– No, pogłówkuj trochę. Niby jak?

– Na dużych statkach nie, boby ich nakryli. Na lugrach?

– T'es bien. Bystry jesteś!

– Ale kto go przemyca? Ludzie z Grand Isle?

– Jasne. Za kurs dostają po pięć setek.

Hugh aż gwizdnął ze zdziwienia. Taka suma stanowiła dla wyspiarzy prawdziwy majątek.

– I chowają go tu, na tej wysepce?

– Wyobrazasz sobie lepsze miejsce na kontrabandę? Nikt tu nie mieszka, bo straszy. Przedtem mieszkało w osadzie jakieś tysiąc ludzi, może więcej, ale teraz tylko duchy łążą po nocach. Jakiś facet w zeszłym roku zjechał tu z rodziną, chciał się osiedlić. Zmyli się po miesiącu.

Hugh słyszał o duchach. Wiedział, że niegdyś stała tu rybacka osada, lecz straszliwy huragan – ten sam, przed którym chowała się jego matka i Ti'Boo na Grand Isle – zniszczył wioskę i pozabijał większość mieszkańców.

Mówiono, że od tamtej pory to miejsce jest nawiedzone.

– A przemytnicy nie boją się duchów?

– Co im tam duchy, jak mogą nabić sobie kabzę.

– Duchów nie ma! – Ferris popatrzył na nich z politowaniem.

– Jasne, że są.

– Aha – pokiwał z niedowierzaniem głową – duchy, piraci, statki-widma...

Ciekawe, co jeszcze?

– Nie gadaj tyle, bo cię tu zostawię na pastwę piratów i duchów, a wtedy przekonasz się, czy ich nie ma.

Do brzegu dobili w kompletnej ciszy. Wciągnęli łupinę w zarośla jakieś dziesięć metrów od wody. Ferris aż podrygiwał z podniecenia, za to Hugh czuł się nieswojo. A jeśli przemytnicy noszą broń? Czy życie trzech chłopców jest dla nich więcej warte niż skrzynka przedniego rumu z Jamajki?

Zaczęli skradać się w głąb wyspy. Minęli kilka niemiłosiernie starganych wichurą, na wpół powalonych drzew, później fundamenty dawnych rybackich domów, od dawna zarośnięte chaszczami. Posuwali się zygzakiem, unikając otwartej przestrzeni. Kroki stawiali ostrożnie, żeby nie poślizgnąć się na błotnistej ziemi i nie narobić hałasu. Zewsząd osaczały ich dziwaczne, spotęgowane w ciemności odgłosy – złowrogo bliski ryk kajmana, pohukiwanie sowy, jakieś trzepotanie się w gałęziach.

Wierzby i błotne dęby przed nimi wskazywały, że niebawem osiągną twardszy grunt. Hugh nie mógł się jednak oprzeć przerażającemu wrażeniu, że z każdym następnym nieopatrzonym krokiem ryzykuje; że lepka, grząska maź chlupocząca pod nogami wciągnie go i pochłonie.

Nadaremnie usiłował odpędzić stada namolnych komarów. Zastanawiał się, jak wytłumaczy mamie tak liczne ukąszenia na twarzy.

Nagle Val zatrzymał się raptownie. Hugh o mało na niego nie wpadł. Wyciągnął rękę, by powstrzymać Ferrisa, który przedzierał się za nimi przez grzędawisko bez jakichkolwiek kłopotów. Val dał im ręką znak, by przykucnęli, wskazał na stary dąb i dzielące ich od niego dziesięć, może piętnaście metrów. Objął na migi, że woda sięga w tym miejscu prawie do bioder, a potem bezgłośnie spytał, czy się nie boją.

Hugh bał się okropnie, ale nie miał wyboru. Słyszał zza pleców niecierpliwie chlupotanie Ferrisa i wiedział, że gdyby teraz postanowił się wycofać, mały narobiłby piekielnego jazgotu. Nie pozostało mu więc nic innego, jak skinąć Valowi głową na znak zgody.

Val zanurzył się w wodę tak swobodnie, jak gdyby był jednym z żyjących tu stworzeń. Hugh podążył za nim, zaciskając zęby. Usłyszał cichy plusk za plecami

– Ferrisowi woda sięgała zapewne znacznie powyżej pasa.

Zatrzymali się pod kępą drzew i wyleli wodę z butów.

Idąc za przykładem Vala, wysmarowali policzki i ramiona błotem dla ochrony przed komarami, po czym znowu zagłębili się w grzędawisko.

Gdy w pobliżu usłyszeli wyraźny dźwięk motoru,

Val zatrzymał się nagle i szepnął:

– Nie wiedziałem, że będą tak wcześnie.

– Jak to nie wiedziałeś? Mogliśmy na nich wpaść!

– Ciii...

Znad wody wyłoniły się światła łodzi i po chwili, jakby na umówiony sygnał, tuż obok nich rozbrzmiały trzy kołyszące się na powierzchni latarnie. Warokot motoru przybliżał się, zagłuszając gniewne pomruki aligatora.

Chłopcy poczuli uderzenie fali. Silnik ucichł i w ciszy, która zapadła, dobiegł ich męski głos z brzegu pobliskiej kępy:

– Tutaj!

– Nie mogłeś wybrać lepszego miejsca? – Mężczyzna na łodzi wybuchnął potokiem niezrozumiałej francuszczyzny.

Francuski Hugh był nieskazitelny. Wiele miesięcy spędzili z Ferrisem u dalekich krewnych matki, by poszerzyć słownictwo i wyszlifować akcent. Lecz tu, na południu Luizjany, posługiwano się akadyjską odmianą tego języka, pomieszaną z angielskimi i nie tylko angielskimi wpływami, toteż wielu słów nie rozumiał.

Trudno się było jednak nie domyślić, że mężczyzna klnie na czym świat stoi.

Val cichutko zachichotał, lecz Hugh wcale nie było do śmiechu. Być może w innych okolicznościach ta litania wyzwisk wydałaby mu się zabawna, ale na pewno nie teraz. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że nie powinien narażać Ferrisa i ciągnąć go ze sobą.

– Gadaj zdrów! – ryknął mężczyzna na brzegu.

– Niby co, mamy ci zanieść towar do domu, w biały dzień, pod nosem fe-dziów?*¹¹ Czemu nie, można i tak. Tylko następnym razem nas uprzedź, Cotton. Mężczyzna nazwany Cotonem wyrzucił z siebie kolejną lawinę słów, tym razem z bliższej odległości.

Hugh dostrzegł łódź o płaskim dnie. Sternik musiał dobrze znać okolice, skoro dobrnął taką łupiną aż tutaj.

– No dobra, ładuj, co masz, na tę pieprzoną łajbę – głos Ctona wrócił do normy. – Chłopaki, do pełna, ile się da!

– Wpierw dawaj forę. Najpierw forsa, a potem ładujemy.

– Co znowu? – Cotton był wyraźnie zaskoczony. – Co znaczy najpierw forsa? Od kiedy?

– Od kiedy cena poszła w górę. Quoi y'a? Kumasz? Upłynniamy teraz towar Galbertowi Perrinowi. A ten ma forsy jak lodu.

– Kumam. Pokaż no, co masz, nie będę kupował kota w worku.

– No to złaź i chono tu. Mamy towar pierwsza klasa. Tyle tego, że nie dasz rady się zabrać. Łódź podpłynęła jeszcze bliżej i teraz Hugh dostrzegł ciemną sylwetkę rysującą się na tle nieba.

¹¹ * Potoczna nazwa funkcjonariuszy FBI (przyp.tłum.).

Coton był prawdziwym olbrzymem. Rozpoznał w nim właściciela rybackiego obozowiska na Grand Isle. Na chwilę zniknął z pola widzenia, po czym wyłonił się tuż obok ludzi z latarniami. Po ciemku trudno było kogokolwiek zidentyfikować, lecz jeden z mężczyzn wydał się Hughowi znajomy.

– Co oni robią? – wyszeptał Ferris.

– Cicho!

– Chcę wiedzieć, co oni robią!

– Jak się nie zamkniesz, to ci poderzną to głupie gardło!

Tymczasem Coton nachylił się, podniósł butelkę i pociągnął kilka łyków.

– Pijesz swoją działkę, Coton.

– Dobra jest, ładuj.

– Najpierw forsa.

Zapadło milczenie. Hugh domyślał się, że przemytnicy liczą pieniądze. Od kucania zdrętwiały mu nogi, a błoto nie ochroniło przed komarami. Pomyślał cierpko, że o wiele bardziej interesujące transakcje widział w biurze Gulf Coast.

– Mało. Mówiłem ci, Coton, ile to będzie kosztowało.

– Resztę dam, jak wrócę z miasta.

– Fout ton con d'ici! Nie pieprz!

– Słowo, jak rany! I coś jeszcze wam odpalę. Nie wiedziałem, że podróżowało, dopiero wczoraj dałeś znać. Potrzebuję czasu, żeby zebrać cały szmal.

Ponownie zapadła cisza.

– Dobra. Ale tylko ten jeden raz – zawyrokował wreszcie mężczyzna z latarnią.

Hugh odetchnął z ulgą. Mężczyźni załadują skrzynki,

Coton odpłynie, a oni będą mogli wrócić do domu.

– Merci bien – powiedział Coton.

– Do roboty, chłopaki. Ładujcie! – rozkazał negocjator. Znów zapadła cisza, lecz tę przerwał wkrótce raptowny chłupot. Hugh odwrócił się, by uspokoić brata, i ujrzał, że Ferris gorączkowo usiłuje wspiąć się na drzewo, a z brzegu zmierza w ich stronę ogromny kajman.

– O, Jezu! – Hugh szarpnął Vala za koszulę. – Jezu, Val, aligator!

Gad maszerował dostojnie i powoli, najwyraźniej pewny łatwej zdobyczy. Val porwał się na nogi i chwycił gałąź. Zaczął wymachiwać nią zapamiętale, posykując przy tym odstraszająco. Hugh złapał Ferrisa za koszulę i odciągnął go za siebie. Val wciąż rozpaczliwie wywijał patykiem, lecz gad, ani trochę niespłoszony, podchodził coraz bliżej.

Ferris kurczowo chwycił się brata. Hugh odmawiał niemą modlitwę. Był przerażony, a jednocześnie czuł się winny. Nie wolno mu było się zgodzić, by Ferris wziął udział w tak niebezpiecznej eskapadzie.

– Ej, słyszałeś coś?

– Słyszałem.

Tę wymianę zdań zanotował jedynie na krawędzi świadomości. Domyślał się, że przemytnicy ich usłyszeli, ale teraz było mu wszystko jedno. Najważniejszym celem było dlań uratować siebie i brata przed zębami aligatora.

Val wciąż się cofał, wymachując zawzięcie patykiem.

Hugh rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu broni, a gdy dostrzegł zwisającą z drzewa suchą gałąź, przechylił się i wyciągnął ku niej jedną rękę, drugą przytrzymując Ferrisa. W tym samym momencie rozległ się huk wystrzału i kula świsnęła mu tuż koło ucha.

Zmartwił. Gdyby zostali w poprzedniej pozycji, byłoby po nich.

– Nie ruszać się, bo was rozwalimy! – rozległ się krzyk jednego z przemytników.

Val rzucił w jego kierunku soczystą wiązaną akadyjskich przekleństw.

Wystraszony strzałem kajman dał nura pod wodę, a Hugh pchnięciem oparł Ferrisa o drzewo i zasłonił go własnym ciałem.

– Czy oni nas zabijają, Hap?

– Nie, Ferris. Nie pozwolę, by coś ci się stało.

– Boję się...

– Nie trzeba. Jestem z tobą, uratuję cię. – Hugh nie miał pojęcia, jak mógłby spełnić tę obietnicę, wiedział wszakże, że dla ocalenia brata poświęci życie, jak jeden z owych świętych, którzy zginęli męczeńską śmiercią w pierwszych wiekach chrześcijaństwa.

– Nie ruszajcie się – odezwał się Val. – Ja z nimi pogadam. Powiem im, że gapiliśmy się dla hecy. Dit pas

rien. Gęba na kłódkę, jasne?

Jeden z mężczyzn mozolnie brnął przez błoto w ich stronę. Najpierw pokazała się lufa pistoletu, potem wysoka, muskularna sylwetka.

– Co wy tu, do diabła, robicie?

– Przyszliśmy popatrzeć.

– Skąd wiedzieliście, gdzie nas szukać?

– Słyszałem, jak ktoś coś tam paplał na jednej werandzie. Zanośliem właśnie zakupy jednej kobiecie i usłyszałem...

– Co jest grane? – Dwaj pozostali mężczyźni dołączyli do grupy.

– Gnojki przyszły popatrzeć. Jak tu trafiliście?

– Znam te moczary jak własną kieszeń. Łaziłem tu nie raz z moim kuzynem, nazywa się Coo. Znacnie Coo

Boudreaux?

– A ten drugi i ten pętaś za tobą to kto? – Lufa wymierzyła teraz prosto w Ferrisa.

Wprawdzie Val polecił, by zachować milczenie, lecz Hugh uznał, że należy odpowiedzieć.

– To mój brat, proszę pana – odezwał się mocnym głosem. – Jest małym chłopcem. Nie chciał tu przychodzić, ale myśmy go zmusili. Wszystko mi jedno, czy mnie zabijecie, czy nie, ale proszę, nie róbcie mu krzywdy.

– Daj no go tu.

– Nie. Nie zgadzam się! – Hugh wyprężył się odważnie. – Jest pod moją opieką.

Mężczyzna podszedł bliżej.

– Un bon frère, kochany braciszek, co? – Pozostali zaczęli mamrotać gniewnie pod nosem, lecz mężczyzna z pistoletem kazał im się zamknąć, po czym ponownie zwrócił się do Hugh: – Jesteście stąd?

– Nie, proszę pana.

– Z miasta?

– Tak. Mieszkamy na Grand Isle tylko latem.

– Co znaczy my? – zapytał przemytnik i przycisnął Hughowi lufę pistoletu do brzucha.

Hugh zamknął oczy. Umrę, pomyślał, a kula przesyje też Ferrisa.

– Proszę, puśćcie mojego brata, zanim mnie zabijecie – wyjąkał ze ściśniętym gardłem, a do oczu napłynęły mu łzy. Nie był pewien, czy najpierw zwymiotuje, czy się rozplacze.

– Najpierw powiedz, jak się nazywasz.

– Hugh.

– Hugh? To francuskie imię?

– Nie wiem.

– Hugh jaki?

– Gerritsen, proszę pana.

– Gerritsen?

– Tak, proszę pana.

Pistolet przestał dziurawić mu brzuch.

– Znasz Henry’ego Gerritsena?

Hugh wiedział, że jego ojciec ma mnóstwo wrogów, więc wystraszył się jeszcze bardziej. Wiedział też jednak, że każde kłamstwo w tych okolicznościach może mieć fatalne skutki.

– To mój ojciec, proszę pana – odpowiedział.

– Cholera! Jesteś synem Henry’ego Gerritsena?

– Tak. – Hugh odważył się otworzyć oczy. Mężczyzna szczyrzył zęby, uśmiechając się niezdarnie od ucha do ucha.

– Ty! – Wskazał bronią Vala. – Jesteś ich kumplem?

– Jasne. I to najlepszym.

– To zabieraj swoich koleżków i pryskajcie. A następnym razem znajdziecie sobie lepsze miejsce do zabawy, bo jak was tu jeszcze spotkam, to kropnę każdego z osobna. Kapujesz?

Val kiwnął na kolegów. Hugh, wciąż osłaniając brata sobą jak tarczą, podążył za przyjacielem. Pożegnał ich rubaszny śmiech i francuskie przekleństwa, których nie rozumiał.

Gdy bez żadnych już przygód przebrnęli z powrotem przez bagno, Hugh wypchnął Ferrisa na twardy grunt i zwymiotował.

– W porządku? – spytał Val, kiedy przyjaciel doszedł do siebie.

– Mhm... Zwiewajmy stąd.

Pomknęli do łódki jak zbite psy. Nawet Ferris stracił cały kontenans.

Do domu wracali w milczeniu. Hugh bał się trochę, że nie zdążą wrócić przed świtem, ale nawet gniew ojca wydawał się teraz pestką w porównaniu z tym, co przeszli.

– Dlaczego nas puścili? – zapytał wreszcie, poprawiając sweter na plecach Ferrisa, który spał z głową opartą na jego kolanach.

– Bo byłeś dzielny jak diabli – odparł Val.

– E, tam. Naprawdę myślałem, że nas zabiją.

– Ale nie zabili.

– No właśnie. Przecież możemy wypaplać, co widzieliśmy. Na pewno bym ich rozpoznał.

– Wiedzą, że nic nie powiesz, nie ma obawy.

– Dlaczego?

– Bo jesteś synem Henry’ego Gerritsena.

– No to co?

– Naprawdę nie kapujesz?

– Nie! No powiedz wreszcie!

Val błysnął rzędem białych zębów w szerokim uśmiechu.

– A jak ci się zdaje, do kogo należą te łajby, co to szmuglują rum z Zachodnich Indii?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Grand Isle, 1937

Aurore o mały włos nie straciła życia, kiedy huragan zniszczył Chénierę Caminada. Ja, jej matkę oraz Ti'Boo przygarnął wuj przyjaciółki, nonc Clebert. Przeczekwały sztorm w jego solidnej chacie pośrodku Grand Isle, choć i ta pewnie by padła pod naporem wiatru i fal, gdyby nie osłaniały jej potężne drzewa, które oparły się szalonym podmuchom.

Wiele lat później, kiedy Rafe i Nicolette zniknęli z jej życia, Aurore kupiła dom Cleberta. Wiedziała, że prędzej czy później musi go kupić – w końcu z tym miejscem wiązały ją niezatarte wspomnienia. To tutaj, po latach wrogości, odnalazła Rafe'a i tutaj dowiedziała się prawdy o losie, jaki jej ojciec zgutował matce i siostrze ukochanego. Teraz, kiedy odszedł ten jedyny mężczyzna, którego kochała, i jedyna córka, której nie dane jej było wychować, została zupełnie sama. Na Grand Isle czuła się bliżej nich.

Niezamieszkanie przez blisko dziesięć lat dom wymagał gruntownego remontu, jednak Aurore nie przeszkadzał stan budynku. Cieszyła się, że znów tu jest, a niewygody nie miały dla niej większego znaczenia.

Któregoś dnia zgłosiła się do Bractwa Najświętszej Panienki z Wyspy i zaproponowała swoją pomoc w kościelnych pracach. Chciała choćby w ten sposób odkupić swoje winy – układać w wazonach kwiaty, polerować srebra, czyścić podłogi, a przede wszystkim modlić się przed ołtarzem w intencji córki, której nie dane jej było nazwać swoją.

Członkowie Bractwa nie mogli pojąć tak osobliwej zachcianki nowoorleańskiej damy, ale przyjęli tę propozycję, a nawet sprawiło im ulgę, że ołtarzem opiekować się będzie ktoś o białych, wypielęgowanych dłoniach, a nie oni, których zniszczone nieustanną pracą dłonie śmierdziały rybami i tanim mydłem.

W drugą sobotę lipca Roku Pańskiego 1937. Aurore przyniosła do kościoła ogromny bukiet. Środek upalnego lata nie był sezonem na kwiaty, skomponowała więc bukiet z szerokolistnych pałek i bagiennych traw.

Podczas porannego spaceru zauważyła też kępkę niebieskawych czarnookich astrów i je również wplotła w tę oryginalną kompozycję.

Klęknęła przed ołtarzem i przeżegnała się. Potem starła kurz z wazonów, wyczyściła tabernakulum i lichtarze.

Na koniec przykryła ołtarz świeżo wykrochmalonym i uprasowanym, Inianym obrusem.

Układając kwiaty w wazonie, dostrzegła Hugh.

Widok syna za każdym razem napełniał ją bezmierną czułością. Hugh był wysokim, smukłym, dwudziestodwuletnim mężczyzną, opalonym na brąz podczas lata spędzonego na holowniku pod flagą Gulf Coast. W ogorzałej twarzy niebieskie oczy iskrzyły się niczym szlachetne diamenty, a rozjarzone

spojrzenie Hugh zdawało się niekiedy przenikać najgłębsze zakamarki jej duszy.

– Hugh! – zawołała radośnie i wyszła mu na powitanie. – Kiedy przyjechałeś? – Objęła syna ramionami, a on odwzajemnił tę serdeczność.

– Przed chwilą. Tak myślałem, że cię tu zastanę, Mamere.

Od dzieciństwa nazywał ją w ten sposób. Słyszac to pieśczożliwe zdrobienie, Aurore za każdym razem promieniała.

– Sam przyjechałeś?

– Tak. Król Henry jest zbyt zajęty.

Uśmiechnęła się i potargala jego czuprynę. Hugh od lat nazywał ojca w ten sposób, lecz nigdy w jego obecności. Henry, zatwardziały zwolennik Hueya Longa, zachłannie łowił korzyści, jakie płynęły z protekcji gubernatora. Mianowany członkiem szacownego Komitetu Budowy Autostrady, rozkoszował się teraz zaszczytami i pawił w urokach władzy, która – jak twierdził – bezspornie mu się należała. Wprawdzie gubernatora zabito w zamachu już ponad dwa lata temu, jednak Henry wciąż był jednym z trybików w politycznej machinie skonstruowanej przez Longa. Ba, dopiero jego następcą, niejaki Richard Lech, człowiek o podejrzanym powonieniu i niejasnych powiązaniach, otworzył przed Henrym na oścież wrota do sanktuarium władzy.

Miało to swoje złe, ale i dobre strony. Aurore nieustannie dręczyły obawy i niedobre przeczucia, lecz jednocześnie cieszyła się, że podejrzaną machinację trzymają męża z dala od domu.

– Ferris Lee zjawił się dwa dni temu. Mogliście przyjechać razem – powiedziała..

– Miałem coś jeszcze do załatwienia, a Ferris nie chciał czekać.

No tak, Ferris nigdy na nikogo nie czekał. Nawet urodził się o dwa tygodnie za wcześnie, jak gdyby już w łonie matki zadecydował, że nie warto mi trężyć.

W wieku osiemnastu lat gnał przez życie z prędkością, która napawała Aurore trwogą. Pędził przed siebie bez opamiętania, od przygody do przygody, najczęściej swoim sportowym, dwuosobowym fordem z ośmiocylindrowym silnikiem, który dostał od ojca w prezencie na piętnaste urodziny. Życie traktował jak nieustający bankiet, który miał zaspokoić niespożyty wprost apetyt łasego na wciąż nowe doznania młodzieńca.

– Jak długo zostaniesz, synku?

– Wyjeżdżam w poniedziałek. Wpadłem tylko się pożegnać.

– Przyjąłeś więc propozycję ojca?

– Nic tu po mnie – westchnął Hugh. – Biskup twierdzi, że nie jestem jeszcze gotów do przyjęcia święceń, ruszam więc zobaczyć kawałek świata. Na poszukiwanie przygód – dodał z kwaśnym uśmiechem.

– A nie mógłbyś poszukać przygód w Luizjanie?

– Nie – pokręcił głową – muszę stąd wyjechać.

Aurore rozumiała syna. Z biegiem lat Henry stawał się coraz bardziej krytyczny wobec Hugh, ona zaś próbowała wprawdzie hamować matczyną zaborczość, ale wobec nieustannych przykrości, jakie jej ukochane dziecko spotykały ze strony ojca, stawała się coraz bardziej nadopiekuńcza.

Cóż, rodzice zawiedli, więc syn postanowił odejść.

Wróciła do ołtarza, by dokończyć układanie bukietu. Hugh podążył za nią, ścisząc z uszanowaniem głos.

– Już dawno marzyłem o zwiedzeniu Europy, ale nie miałem dotychczas okazji. Będę tam sobie żył jako przedstawiciel Gulf Coast. Cóż może być lepszego? Przynajmniej raz Król będzie ze mnie zadowolony. A ja będę miał się z czego spowiadać, przystępując następnym razem do święceń. Może biskup dlatego zalecił mi wyjazd, że chce posłuchać, co traci?

– Hugh! – zganiła go matka, lecz nie udało jej się powstrzymać uśmiechu.

– Raczej chce, żebyś był absolutnie pewny, z czego rezygnujesz.

– W takim razie spróbuję wszystkiego po troszku.

– Nie mów tak – ściszyła głos – przynajmniej tutaj. – Ucałowała go w policzek i dodała: – Idź do domu, niedługo wrócę. Przywitaj się z bratem.

– A co, braciszek w domciu, nie podrywa panienek?

– Idź już.

Wiedziała, że syn przeżył największe w swoim krótkim życiu rozczarowanie i że nie ma zamiaru się poddać. Powołanie kapłańskie było dla niego sprawą równie ważną, jak dla Ferrisa miłosne podboje i hulaszczy tryb życia.

– A więc któregoś dnia odbierzesz mi, Panie, następne dziecko? – spytała szeptem, zwracając twarz do ołtarza.

Bolało ją to, ale nie miałyby serca, przekonując Hugh, by zrezygnował ze święceń. Bała się, że Kościół wezwie go do pracy w innych miastach, może w innych krajach, a ona znów zostanie sama. Cierpiała, lecz była pogodzona z losem. I to przeżyje, skoro przeżyła rozstanie z Rafe'em, pożegnanie z Nicolette, śmierć ich obojga przed osiemnastu laty...

Tę przejmującą wieść przyniósł jej Henry. Leżała właśnie w szpitalu z nowo narodzonym synkiem, kiedy mąż wszedł do jej pokoju z nietajoną, złośliwą satysfakcją człowieka, który lubuje się w zadawaniu bólu, i oznajmił, że rano, w klubie, zobaczył nazwisko Rafe'a na liście osób zabitych podczas zamieszek w Chicago.

Henry od początku znał prawdę o Rafe i Nicolette.

Z upodobaniem grzebał się w cudzych sekretach, wyciągał je na światło dzienne, a potem z prawdziwą rozkoszą smakował zdobytą w ten sposób przewagę.

Z Aurore ożenił się przecież nie tylko dla jej nazwiska, ale także ze względu na rodzinne tajemnice, które znał i dzięki którym mógł ją szantażować. Już w noc poślubną ostrzegł ją, że ma robić to, co on każe, bowiem każde nieposłuszeństwo skrupi się na niej i na córce, której się wyrzekła. Wiedział o niej wszystko, jeszcze zanim zaproponował jej małżeństwo, które jemu, nuworyszowi, miało utorować drogę do nowoorleańskich salonów.

I tak życie upływało im na bezustannej grze pozorów.

Aurore unikała męża, a on nie omijał żadnej okazji, by zranić ją i upokorzyć. Najgłębszą ranę zadał jej właśnie wtedy – w dniu, kiedy Aurore urodziła Ferrisa.

Zanim powiedział jej o śmierci Nicolette i jej ojca, zadzwonił do Chicago, by poznać więcej szczegółów, których relacjonowanie dawało mu później okrutną rozkosz. Aurore nie miała złudzeń, jakie motywy kierują jej mężem, była mu jednak w pewien sposób wdzięczna za to, że o ostatnich chwilach najbliższych jej osób dowiedziała się tak wiele.

A dowiedziała się, że Rafe'a zastrzelił podczas zamieszek na chicagowskiej ulicy jakiś biały fanatyk.

Ich córka zginęła tego samego dnia w pożarze, który strawił kompleks domów. Kilku spalonych zwłok nie udało się zidentyfikować, wszystko wskazywało jednak na to, że wśród nieszczęśników była właśnie ona. Nikt w każdym razie nie widział więcej Nicolette Cantrelle i nie dawał żadnej nadziei, że dziecko mogło przeżyć.

Po wyjściu ze szpitala Aurore ubłagała Spencera St. Amanta, żeby przeprowadził własne śledztwo. Po dwóch tygodniach adwokat potwierdził prasową wersję

– Nicolette widziano w mieszkaniu, które stanęło płomieniach; stary człowiek, który też tam mieszkał, uciekł. Dziewczynka uciec nie zdążyła i spłonęła.

Od tej pory, co roku w lipcu, Aurore układała na ołtarzu świeże kwiaty, polerowała srebra, naprawiała i prała lniane obrusy. Na znak pamięci o dziecku, którego nie miała, ale które kochała. I o jej ojcu, o którym nigdy nie potrafiła zapomnieć.

Teraz Aurore dobiegała pięćdziesiątki. Ciemne, wijące się na karku włosy przyprószyła siwizna, aksamitną niegdyś skórę porysowały zmarszczki. Niekiedy, w głębi serca, czuła się tak, jak gdyby znowu miała osiemnaście lat i biegła z rozwartymi ramionami na spotkanie jedynej mężczyzny, którego kochała, niepomna na nic prócz szczęścia, jakiego oboje zaznają.

Takie chwile trwały jednak krótko, zaraz potem przychodziła bowiem smutna refleksja – oto biegnie tak, biegnie i biegnie, lecz przecież już nigdy nie padnie mu w ramiona, nie poczuje jego gorącego uścisku, nie zazna spokoju duszy.

– Ach, to tak sobie radziłeś. – Ferris uśmiechnął się na widok zjeżdżającego po rynnę brata. – Chyba nie doceniałem cię, braciszku. Kto by przypuszczał, że w takim chucherku kryje się duch wojownika.

Hugh podskoczył do brata i powalił go na ziemię, a potem tarzali się ze śmiechem, walcząc ze sobą jak kilkuletni chłopcy. Hugh był o pół głowy wyższy od Ferrisa, za to Ferris o wiele od niego masywniejszy.

Pasowali do siebie, choć różnili się tak bardzo. Wreszcie Hugh udało się rozłożyć brata na łopatki

– No, od teraz mów mi wuju – rozkazał, dysząc z wysiłku. – Słyszysz?

– A tam, wuju. Ciotka! Ciocia Hap!

Hugh przyszpilił Ferrisa mocniej do ziemi.

– Wuj! Żadnego Hap ani Happy, zrozumiano?

– Tak jest, wuju!

– Starczy. – Hugh stoczył się z Ferrisa i położył się obok niego, wpatrzony w gwiazdy. – Pamiętasz, jak gapiliśmy się w niebo jako małe dzieciaki?

– Pewnie. – Ferris podłożył rękę pod głowę. – Jak ci się zdaje, co teraz robi Val?

– Nie wiem. Pewnie robi następne dziecko swojej kobiecie.

– Myślisz jak facet, a chcesz zostać księdzem.

– Księża to też faceci.

– Może. Ja tam nie mam zamiaru ani być księdzem, ani się żenić, ani płodzić bachorów. Mało to panienek czeka, aż kiwnę palcem?

– Jurny z ciebie kogut, co?

– Nie krytykuj, póki sam nie spróbujesz! Ej – przysunął się bliżej do brata – powiedz... Próbowałaś kiedy, Hap? Przyprawdają was panienki do seminarium, żebyście posmakowali, jak to jest?

– Zamknij się. – Hugh wymierzył bratu szturchańca. – Chodźmy lepiej na plażę.

– Mam piwo, a Ti'Boo ugotowała na jutro kraby. Bierzemy?

– Po co pytasz? I tak zrobisz, co zechcesz.

– Ale... – Ferris urwał i zaczął naśladować stylistykę ojca, który w ten sposób rozmawiał ze swymi protektorami. – Ale jestem spadkobiercą starego nowoorleańskiego rodu. Zwykłem uprzejmie zapytywać, zanim zrobię tak, jak zechcę.

– Dobra, przynieś to piwo. Ja też się mogę napić.

– Jak nie chcesz, to nie musisz, przecież się nie obrażę. Wiesz, na czym polega twój problem, Hugh? Ty za bardzo chcesz wszystkim dogodzić. Chcesz się napić? To się napij. A jak nie – to nie. Co komu do tego?

– Myślałem o matce. Wiesz, że ojciec pije za dużo i za często. Po co przysparzać jej dodatkowych zmartwień?

– E, tam, przesadzasz. Za bardzo się wszystkim przejmujesz. – Ferris usiadł i strząsnął z koszuli suche liście. – No dobra. Lecę po piwo, a potem ścigamy się na plażę, okay?

– Mam dłuższe nogi.

– A ja silniejsze!

Wyścig po piaszczystej ścieżce zakończył się remisem.

Na plaży Hugh leniwie wyciągnął się na piasku i spojrzał z uśmiechem w twarz brata.

– I co?

– Nic. Dałem ci wygrać.

Już jako dziecko Ferris miał dorosłą twarz, na której nigdy nie malowało się zażenowanie czy niepewność.

W przeciwieństwie do Hugh'a, którego kobiety uważały za przystojniaka i wszelkimi sposobami usiłowały zniechęcić do służby bożej – Ferris nie był przystojny. Miał grube, nieregularne, nieco prostackie rysy twarzy. Posiadał za to swoistą charyzmę, ów szczególnie dar, którym zwabiał łatwowierne kobiety w sieci, rozkochał je w sobie, a potem porzucał, nie łamiąc im jednak serc, a sprawiając, że były żywiej na samą myśl o nim.

– To co, wybierasz się do Francji? – zagadnął. – Będziesz mieszkał w Marsylii z bandą brudnych żabojadów?

– Będę powszechnie szanowanym przedstawicielem Gulf Coast na całą Europę – odparł Hugh, znów naśladując ton ojca. – Pamiętasz jeszcze o Gulf Coast, braciszku? O firmie, którą masz z czasem przejąć?

– Ja? W życiu, to nie dla mnie. Ochajtnę się z jakąś bogatą spryciulą. Jak zdudzi ci się służenie do mszy, sam możesz przejąć interes. Mnie starczy, jak dostanę swoją działkę.

– Na razie nie możesz liczyć na wiele. Był kryzys, teraz idzie wojna...

– E, nie będzie tak źle. Już ten gość w Białym Domu się o to postara.

Hugh pomyślał o ostatnich latach, kiedy nowoorleańskie nabrzeże świeciło pustkami. Korporacja Gulf Coast nie miała jakichkolwiek zamówień na transport ładunków do obcych portów, a obce statki nie zawijały niemal w ogóle do Nowego Orleanu. Na szczęście matce udało się uratować firmę, a nawet odzyskać pozycję na rynku, podczas gdy ojciec wdawał się w tym samym czasie w polityczne kamaryle z Longiem w Baton Rouge. Hugh nie negocjował korzyści, jakie przynosiły przedsiębiorstwu polityczne wpływy ojca, lecz wiedział, że tylko niezłomny upór matki pozwolił przetrwać Gulf Coast w czasach, gdy nawet wielkie i potężne firmy bankrutowały w Ameryce jedna po drugiej.

– Nie jestem pewien, czy cokolwiek z tych starań wyniknie – westchnął. – Świat kompletnie zwariował.

– Co ty pleciesz? Gospodarka ma się coraz lepiej – prychnął Ferris, wpatrzony w gwiazdy. – Nie czytasz gazet? Nie słyszałeś o Hitlerze i Mussolinim?

– Ta, i o jeszcze jednym, Stalinie. Mam ich gdzieś.

Jak któremu odbije i zanadto się wychyli, przyciśniemy go do muru i damy mu wycisk. Czym się przejmować?

– Nie żartuj. Kiedy tyłu ludzi przekonanych jest o własnych racjach, zwykle wybucha wojna.

– No to co? – Ferris wzruszył ramionami. – Niech sobie wybuchnie. Wojny nakręcają koniunkturę, nie wiesz o tym? Inni się mordują, a tobie pęcznieje portfel. Kto by się przejmował bandą kmiotków, co to nawet nie znają angielskiego?

– Czasami się zastanawiam, jak matka mogła wydać cię na świat.

– Tak? A ja zastanawiam się, dlaczego tata nie utopił cię od razu po urodzeniu.

Nie powiedzieli nic więcej na ten temat, bo też wcale nie mieli ochoty na rozdrapywanie rodzinnych podziałów. Henry wciąż ganił Hugh i czepiał się go nieustannie. Ferrisa natomiast niemal nie spuszczał z oka i chwalił nawet za najdrobniejszą zasługę, toteż chłopcy, przez większość roku rozdzieleni, niewiele mieli okazji, by się do siebie zbliżyć – oprócz krótkich wakacji, które latem spędzali na wyspie.

Hugh wstał. Pienisty przybój gniewnie załamywał się na piasku w szumiących bryzgach. Podmuchy wiatru były zapowiedzią nadciągającego sztormu, jednego z tych niepohamowanych, gwałtownych porywów, od których aż ziemia dygoce, rażona gradem ciskanych z łoskotem piorunów.

Ściągnął bluzkę i delektował się przez chwilę ciepłym wiatrem owiewającym mu nagi tors.

– Co ty, do licha, wyprawiasz? – zdziwił się Ferris.

– Chodź, popływamy trochę.

– Spadaj. Wolę się napić. – Ferris sięgnął po butelkę piwa i pociągnął kilka długich, obfitych łyków. Hugh wyrwał mu ją i całą zawartość wylał bratu na głowę. Podczas gdy Ferris parskał, prychnął i przecierał oczy,

Hugh zdążył dać nura do wody. Wynurzył się kilka metrów od brzegu. Woda była tu odrobinę chłodniejsza od powietrza – dawała wytchnienie, lecz nie orzeźwiała.

Nagle coś plasnęło tuż za nim, potem znowu. Ferris doganiał go, dysząc ciężko:

– Poczekaj... Idiota! Zaraz cię...

Hugh zanurkował i skierował się na głębszą wodę.

Miał wrażenie, że czas się zatrzymał, a on znalazł się we wnętrzu miękkiego kokonu, który otulał go ochronną powłoką; że powrócił nagle w przedziw-

ny sposób do źródeł istnienia. Po raz pierwszy od chwili, kiedy rektor seminarium odmówił mu wyświęcenia, poczuł, że żyje.

Odpychając wodę zamaszczystymi ruchami, przecinał głębię, wstrzymując oddech. Brakowało mu tchu, płuca bolały tak, jakby miały za chwilę eksplodować. Kiedy zaś w końcu się wynurzył, był daleko od brzegu, a brat przepadł gdzieś bez śladu.

Hugh zamrugał powiekami, by uwolnić oczy od strumieni słonej wody. Omiótł taksującym spojrzeniem powierzchnię zatoki – na próżno. Zawołał, jednak odpowiedziała mu tylko skrzekliwie mewa i szum fal.

– Ferris!

Coś otarło mu się lekko o nogę. Instynktownie zaczął płynąć do pobliskiego brzegu, rozglądając się czujnie na boki. Zdarzało się niekiedy, że spotykano w tych rejonach rekiny, należało zatem zachować ostrożność. Oczami wyobraźni ujrzał bezlitosnego drapieżnika i w tym samym momencie znowu coś dotknęło jego nogi. Mocniej zaczął bić wodę, rozbryzgując wokół siebie pianiste bryzgi.

– Ferris! Dość tego! Wiem, że to ty!

Wcale nie wiedział. I wcale nie był pewien, czy Ferrisowi wystarczyłoby wytrzymałości i determinacji, by tak długo wstrzymywać oddech. Kiedy więc poczuł kolejne muśnięcie, rzucił się do brzegu jak oszalały.

Nagle coś chwyciło go za palce – to coś bardziej jednak przypominało ludzką rękę niż ostre niczym brzytwa zęby morskiego drapieżnika. Hugh wierzgnął raptownie, zrobił zwrot i zanurkował. W głębinie było zbyt ciemno, by cokolwiek dostrzec, lecz w objęciach poczuł coś żywego, cielesnego. Szarpnął śliskie ciało do góry i po chwili obaj bracia wychynęli ponad fale.

– Mam cię! – zaśmiał się Ferris.

– To ja cię mam!

– Myślałeś, że to rekin!

Hugh złapał brata za włosy i wcisnął mu głowę pod wodę. Wtem poślizgnął się na piaszczystym dnie zatoki i Ferris zdołał się wyswobodzić. Przytąpiali się nawzajem, wierzgali, okładali się i ochlapywali, aż wreszcie, kompletnie wyczerpani, zwalili się obok siebie na brzegu.

– Myślałeś, że to rekin – wysapał Ferris, z trudem łapiąc oddech. – No, przyznaj się, że myślałeś...

Hughowi zabrakło tchu, by się rozeźmiać.

– Może...

– Ja cię kręcę, ale ci napędziłem stracha. Prułeś do brzegu jak motorówka.

– Chciałem cię odszukać i powiedzieć, żebyś uciekał.

– Upadłeś na głowę? Ja tam bym zwał i na nikogo się nie oglądał.

– Kłamca. Wcale byś tak nie zrobił, musiałbyś ratować brata.

– Niby tak.

– Przecież jesteśmy braćmi, jesteśmy do siebie podobni...

– Zapomnij. Wcale nie jesteśmy podobni. Ty jesteś dużo lepszy, Hugh. Suttanna pasuje do ciebie jak ulał. Szczerzysz się do ludzi, świecisz do nich tymi swoimi niebieskimi gałami, a oni co? Robią to, co im powiesz. Cholera, Hap, czasem mi się wydaje, że z ciebie jakiś święty.

– Podaj mi lepiej piwo – roześmiał się Hugh, a potem czekał, aż Ferris przyniesie butelki i kraby. Wyciągnął rękę, poczuł pod palcami chłodne szkło.

– Naprawdę masz mnie za świętego? – zapytał.

– A co, może nieprawda? Jesteś w wodzie, wydaje ci się, że płynie za tobą rekin, więc zamiast martwić się o własny tyłek, główkujesz, gdzie się podział twój brat i czy aby nie powinienes go uratować. Albo wariat, albo święty.

– Raczej główkowałem, jak daleko do gruntu.

– Nie gadaj. Wiem, że poświęciłbyś się bez zastanowienia. Pamiętasz tamtą noc na wyspie, w Chéniere Caminada? Ja byłem wtedy szczeniakiem, ale mam w głowie każde słowo, każdą sekundę.

– Jak chcesz wiedzieć, to właśnie tamtej nocy po raz pierwszy pomyślałem, że mógłbym zostać księdzem.

– Jasne. To robota w sam raz dla ciebie.

– Chyba jednak nie. – Hugh pociągnął z butelki długi łyk piwa. – Biskup ma rację, kiedy mówi, że nie jest pewny mojego powołania.

– Biskup to raczej jest łasy na szmal.

Minęła dobra chwila, nim do Hugh w pełni dotarły słowa brata.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś go przekupił?

– Niekoniecznie jego. Ale pomyśl, Hap. Jesteś gwiazdą w seminarium, ale tylko ciebie biskup odprawia z kwitkiem. Dziwne, nie?

– Ponieważ nie był pewien mojego powołania!

– Ta, akurat, przestań chrzanić. Zdecydował o tym nie żaden biskup, ale ci sami faceci, którzy podbierają chłopaczków z gimnazjum, nim wąż im się puści, zamykają ich w seminarium i przez okrągłą dobę włączają do głów kit o Bogu i służbie bożej. Takie pranie mózgu...

– Nic podobnego.

– Nie? Bez jaj, zanim te chłoptasie połapią się, co jest grane, robią z nich sztywniaków w koloratkach i wysyłają ciupasem do jakiejś zapadłej dziury na końcu świata, gdzie roi się od parszywych komarów, żeby odprawiali msze dla dzikich bawołów. Niby co, mówi im ktoś o jakimś powołaniu? Akurat, wciskają im ciemnotę i robią z nich ciemniaków, bo tylko tacy będą posłuszni. Ty nie masz powołania? W morde, przecież ty patykami i szyszkami odprawiałeś mszę, jak miałeś osiem lat! Dobrze pamiętam!

– To wcale nie znaczy, że ktoś dał łapówkę – przekonywał Hugh, lecz w żołądku poczuł nagły, bolesny skurcz.

– Jasne, dowodów nie ma. Ale patrz: ojciec nie ma żadnego interesu trzymać z Kościołem, inna opcja, kumasz? Matka to najbardziej by chciała zastrzymać cię przy sobie na zawsze, swojego małego synalka. Dodaj do tego recesję, która nawet Kościołowi tak dała popalić, że goni za byle groszem, i jaki masz wynik?

– Spekulujesz czy wiesz coś na ten temat?

– Znam po prostu naszego staruszka. Wiem, że chce cię wysłać jak najdalej od seminarium. Chce dla ciebie innego życia. Chce, żebyśmy obaj objęli po nim Gulf Coast. Nawet lepiej – chce, żebym ja został gubernatorem, może nawet prezydentem, a ty żebyś prowadził firmę.

– Nie wierzę – zaprzeczył Hugh, lecz ziarnko zwątpienia już zakiełkowało na dnie jego duszy.

– To uwierz, będziesz mądrzejszy. Kilka słów komu trzeba, i po ptakach. Ojciec troszczy się o najstarszego synalka, trochę gotówki na poparcie tej troski nie zaszkodzi. Nikt sobie nie utyłał rączek, kapujesz? Wszyscy uważają, że to w słusznej sprawie. W polityce zawsze tak się robi. A co, Kościół miałby być gorszy?

Hugh nie wiedział, co zaskoczyło go bardziej: ewentualność, że ojciec przekupił kościelne władze, czy inteligencja i spostrzegawczość Ferrisa. Ferris był przeciętnym uczniem, więcej czasu spędzał na obijaniu się w szemranym towarzystwie i podkręcaniu silnika sportowego samochodu niż na lekcjach. Sprawiał wrażenie osoby bez jakichkolwiek ambicji i zainteresowań – wystarczyło mu, że bezmyślnie łykał papkę, którą karmił go ojciec. Tymczasem jego przenikliwość okazała się dużo większa niż przenikliwość Hugh, który do dziś nie mógł sobie wytłumaczyć, dlaczego w seminarium nie pozwolono mu na święcenia. Oczywiście, o ile to wszystko, co wymyślił Ferris, jest prawdą.

– Kiedy ci to przyszło do głowy? – zapytał, opróżniwszy butelkę.

– Od razu, jak się dowiedziałem, że cię obcięli. – Ferris wręczył bratu kolejne piwo.

– Chcesz powiedzieć, że natychmiast zacząłeś węszyć jakiś szwindel?

– Zgadza się. – Ferris rozłupał skorupkę kraba i wyssał mięsistą zawartość.

– Taki jest świat, braciszku. Nic na to nie poradzisz. Bez szwindli ani rusz.

Hugh potrząsnął z niedowierzaniem głową.

– Bardzo się jednak różnimy.

– A dopiero co mi wmawiałeś, że jesteśmy tacy sami.

– Może szkoda, że tak nie jest. Może przydałaby mi się odrobina twojego cynizmu.

– Może? Chłopie, trzymając sztame, zawojowalibyśmy cały świat!

– Nie chcę. Za dużo dziś ludzi czuje podobną pokusę. Obejdą się bez nas. – Pociągnął długi łyk, otarł usta wierzchem dłoni. – Nie chce mi się w to wszystko wierzyć.

– W łapówkę od ojca? W to, że jakiś klecha napchał nią sobie kieszeń?

Hugh milczał, lecz wsączona wduszę trucizna zrobiła swoje. Jeśli Ferris miał rację, to on, Hugh, nikogo nie zawiodł. Ani Boga, ani rodziców, ani samego siebie.

Hierarchia kościelna, której widocznie nie są obce ludzkie ułomności, odmówiła wyświęcenia go na księdza tylko dlatego, że tak chciał ojciec, a może nawet i matka. Kościół być może nigdy nie był doskonały, lecz od tej chwili znacząco stracił w oczach niedoszłego kapłana.

– Ja to bym się wkurzył, odegrałbym się – orzekł Ferris.

– A co byś zrobił?

– Coś, czego by się nie spodziewali. Wykombinowałbym coś takiego, żeby im zdrowo przysolić. Uderzyłbym w słaby punkt, a ten ich słaby punkt to, jak widać, szmal. Nie wiem – wzruszył ramionami – coś bym nałgał albo coś zwinął. Coś w ten deseń...

– Nie, nie – uciszył go Hugh. – Tak postąpiłby raczej Król Henry, ale ciebie, braciszku, stać na więcej finezji. Zapewne byś się przyczaił, a po dokonaniu zemsty wyznałbyś im prawdę. Ale dopiero wtedy, kiedy byś się upewnił, że nie dobiorą ci się do skóry.

– Brzmi nieźle.

– Szybko się uczę.

Ferris uśmiechnął się i milczał dłuższą chwilę.

– Potraktuj to jak prezent na pożegnanie – odezwał się wreszcie.

– Tylko dlatego mi to powiedziałeś? Czyżbyś nie oczekiwał niczego w zamian?

– Szybko chwytasz, Hap.nW tym jesteśmy do siebie podobni. Ja też łapię w lot, co i jak. Tyle że się tak nie cackam, jak ty.

– No więc dłaczego chciałeś, żebym poznał prawdę?

– Bo widzę, że cię to gryzie. Nikt mi niczego za to nie da, jeśli już o to chodzi, ale niech ci będzie, że to transakcja.

– Bezinteresowna transakcja?

– Coś w tym stylu. Myślisz czasem o tamtej nocy na wyspie?

– Czasami.

– Myślałem, że już po mnie.

– Gdyby nie to, że alkohol szmuglowano na statkach Gulf Coast, prawdopodobnie byłoby po nas.

– Zasłoniłeś mnie.

– To oczywiste. Byłem większy.

– Zawsze będziesz ode mnie większy, Hap, niezależnie od wzrostu. Teraz więc... choć raz chciałem ci

dorównać.

Noc była czarna jak atrament. Przytłaczała i gnioła swoją duszną ciemnością, wibrowała tajemniczą, niepokojącą muzyką z bagien. Aurore posłyszała zamykane drzwi galeryjki. Ponieważ w domu została tylko Ti'Boo, domyśliła się, kto przyszedł dotrzymać jej towarzystwa.

– Nie mogłaś zasnąć, Ti'Boo? – spytała. – Chłopcy też. Słyszałam, jak wymykają się na plażę.

– Źle ostatnio sypiam – przyznała przyjaciółka. – Śnią mi się jakieś okropne rzeczy, a rano nie mogę wstać, taką mam ciężką głowę.

– Okropne rzeczy?

– Koszmary – przytaknęła Ti'Boo. – Nie zasłużyłam chyba na nie, ale one przychodzą. A ja niczego złego nie zrobiłam. Młodo wyszłam za męża, urodziłam dzieci, które zaplanował dla mnie le bon Dieu, teraz one się pożeniły. Co takiego uczyniłam, że prześladują mnie złe sny?

Ti'Boo miała na sobie kwiecisty zwój jedwabiu, który dostała od Aurore na urodziny, a rozpuszczone włosy opadały jej w nieładzie siwymi pasmami na ramiona. Była niską, grubokościstą kobietą o pulchnej sylwetce, lecz przydające jej zazwyczaj jowialnej dobroduszości krągłe ciało oklapło teraz zwiśniętymi fałdami.

Aurore sięgnęła po dłoń przyjaciółki.

– Też miewam złe sny, lecz już nie tak często jak dawniej.

– Śni mi się często tamten huragan. A tobie?

– Tak – Aurore potwierdziła skinieniem głowy – czasami. Miałam wtedy pięć lat, ale do dziś wszystko pamiętam.

– Zawsze śni mi się huragan, kiedy ma się zdarzyć coś strasznego.

– Nic strasznego się nie wydarzy. Twoje dzieci założyły własne rodziny, masz już wnuki, przetrwaliśmy kryzys i recesję. Moje dzieci wchodzą w dorosłe życie i są szczęśliwe, no, przynajmniej Ferris. Ale

Hugh też z czasem będzie szczęśliwy. Mam wrażenie, że się zaprzyjaźnili, więc tym bardziej jestem spokojna.

– Wiem – westchnęła Ti'Boo – wiem, a jednak się boję. Ciągłe śni mi się, jak porywają mnie wezbrane fale.

Aurore ścisnęła mocno jej dłoń.

– Od tak dawna jesteśmy razem. Obie straciłyśmy bliskich, ale jakoś nam się wiodło. Teraz też nic się nie stanie, jeśli będziemy trzymać się razem. Chcę tego, Ti'Boo. Nie mówiłam ci zbyt często, ile dla mnie znaczysz, ale chyba tylko dzięki tobie przetrwałam najtrudniejsze chwile.

– W tym śnie porywa mnie fala, a ty chwytasz się wystającej nad wodę gałęzi. Nie możemy sobie pomóc. Myślę wówczas, że mimo wszystko woda jest lepszym miejscem niż ziemia, zamykam oczy – i wtedy sen się urywa. Jak to wyjaśnić?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Wiem tylko, że teraz układa się nam po-
myślnie. Zostawmy to tak, jak jest. Cieszymy się tym.

Ti'Boo zapatrzyła się w ciemność.

– Kiedy byłaś une petite jeune fille, małą panienką, przyjechałam na Grand
Isle, żeby się tobą opiekować. To miał być tylko jeden sezon, Aurore, lecz
wygląda na to, że opiekuję się tobą przez całe życie. Dlatego teraz musiałam
ci o tym powiedzieć. O śnie, o sztormie, o burzy. Musiałam... Wyglądaj
sztormu, Aurore. Zobaczysz, że nadejdzie w najmniej spodziewanym momen-
cie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wybrzeże Zatoki Meksykańskiej, 1965

Phillip zdał sobie sprawę, że drżą mu ręce, wcisnął je więc w kieszenie dre-
lichowych spodni. Przed nim, na skraju wody i piasku, wyłoniła się niespo-
dziewanie sylwetka Nicky, przyspieszył więc kroku, by ją dogonić.

Matka zniknęła bez słowa przed świtem, zostawiając puste miejsce obok
pograżonego we śnie Jake'a. Dopiero teraz, gdy ją odnalazł, Phillip zdał sobie
sprawę, że bał się najgorszego.

Szukali jej długo. On łąził po wydmach i po plaży, a Jake przemierzał sa-
mochodem wyspę wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu
żony. Tymczasem

Nicky po prostu szła. Samotnie pokonała szmat drogi, nie bacząc na
okropną tego dnia pogodę. Od świtu siąpiła drobna mżawka i zarówno ona,
jak Phillip byli teraz przemoczeni do suchej nitki.

Oprócz nich na plaży nie było żywej duszy, co korzystnie świadczyło o
zdrowym rozsądku tubylców, którzy zamiast włóczyć się po dworze, woleli
przez okna oglądać zbliżającą się burzę.

– Wystraszyłaś Jake'a na śmierć – zrugął matkę na powitanie. – Nie rób
mu tego więcej. On czuje się za ciebie odpowiedzialny.

– Potrafiłam o siebie zadbać, zanim go poznałam.

– Zapominasz chyba, jak bardzo cię kocha.

– Czasami dostrzegam w tobie niektóre cechy ojca – Nicky uśmiechnęła się do syna. – Gerard był taki sam. Wiedział, co jest dobre dla innych, ale nie miał pojęcia, co jest dobre dla niego.

– Cóż, to akurat odziedziczyłem po tobie. Staram się chronić tych, których kocham, jeśli pakują się w tarapaty.

– Nie jest tak, że nagle wpakowałam się w tarapaty. Po prostu coś, od czego usiłowałam uciekać przez całe dorosłe życie, wreszcie mnie dopadło.

Ujął jej dłoń i splótł palce z jej palcami.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– A czy muszę?

Nie odpowiedział.

– Och, wiem, chyba powinnam. Masz prawo poznać prawdę. Jake także.

– Chodzi o ojca Gerritsena, prawda?

Uszli jakieś sto metrów, nim wreszcie odpowiedziała.

– Nie poznałam nigdy ojca Gerritsena. Znałam męż- czyznę o imieniu Hap. Hapa Gerritsena. Ty też go znałeś.

– Nie sądzę, żebym dowiedział się od ciebie czegoś więcej ponad to, co już wiem.

– Nie sądzę, żebyś zdołał wiele zapamiętać, byłeś wtedy mały.

– To, czego nie zapamiętałem, uzupełniła Aurore.

– Ach, tak...

– Jake wcale nie musi wiedzieć więcej, niż chcesz powiedzieć mnie.

– Czy w tej historii, którą opowiedziała ci Aurore, tej, którą dla niej spisywałeś, było...

– W tej historii zapisałem jedynie fakt, że spotkałaś Hugh Gerritsena w Maroku – odpowiedział, zanim zdążyła zapytać. – I że dzięki temu Aurore dowiedziała się, że nie zginęłaś w Chicago wraz z ojcem.

– Wiesz, że to nie wszystko?

– Domyślam się. Aurore Gerritsen miała wiele tajemnic.

– I niektóre z nich skrywała przez całe życie, tak jak ja. Pewnie dręczyły ją w równym stopniu, jak mnie dręczą do dzisiaj.

– Nadarza się właśnie sposobność ich wyjawienia – oznajmił Phillip, wskazując nadchodzącego brzegiem Jake’a.

– To potrwa. Dasz nam trochę czasu?

Phillip uściśnął dłoń matki, odwrócił się i odszedł, kierując się w stronę chaty. Obejrzał się po chwili i ujrzał, jak Jake otula żonę ramionami.

Uśmiechnął się do siebie. Nie bał się reakcji Jake’a.

Nic, nawet skrzętnie strzeżona tajemnica, nie mogło zniszczyć tego, co łączyło go z Nicky. Spotkanie Jake’a Reynoldsa było najlepszą rzeczą, jaka zdarzyła się w życiu matki Phillipa.

Znajomość z Hapem Gerritsenem była najgorszą.

– Ten wiatr budzi we mnie dziwny niepokój – powiedział Jake. – Mam ochotę wsiąść w samochód i jechać prosto do domu.

Nicky pomyślała o domu, który razem zbudowali w Nowym Orleanie. Był obszerny, wygodny, lecz nie kłuł w oczy nadmiernym przepychem. Jake nie należał bowiem do osób, które czują nieodpartą potrzebę udowodniania światu, kim są, i ostentacyjnego podkreślenia swojego bogactwa. Daleki od pozostawstwa, sztuczności i snobistycznych zapędów, nigdy nie przywiązywał wagi do rzeczy materialnych ani nie rościł sobie pretensji do bywania w wielkim świecie.

– W naszym domu zawsze będziemy bezpieczni, nawet w czasie huraganu, prawda? – zapytała.

– Przy pierwszej oznace burzy zamykamy się na cztery spusty i nie wyściubiamy nosa za próg – zapewnił ją Jake.

– Na razie jesteśmy tutaj.

– Niestety. Jeszcze dwa dni...

– Powiedz, Jake, co myślisz o Dawn, o Benie? O Gerritsenach?

– Lubię Bena. O Dawn niczego nie mogę powiedzieć, nie potrafię rozgryźć jej podobieństwa do ojca. A senator? – Jake uśmiechnął się kwaśno – O, nie, ten kandydat nigdy nie zdobędzie mojego głosu.

– Żałujesz, że tu przyjechaliśmy?

– Bezustannie. Ale gdybym skrewił, pewnie żałowałbym jeszcze bardziej. To wciąga, dobrze o tym wiesz. To miejsce, ta rodzina, ten dom, testament... Jest w tym wszystkim coś niezwykłego.

– O, tak...

– Jesteś pewna, że nie chcesz wrócić do domu? – zadał praktyczne pytanie.

– Jesteś cała przemoczona. Potrzebujesz...

– Jestem pewna.

– W porządku, chciałem tylko wiedzieć.

– Nie chcę wracać – zapewniła go ponownie. – Chcę zobaczyć jeszcze jedno miejsce w okolicy. Masz w pobliżu samochód?

Dopiero kiedy wsiadła do auta, poczuła, jak bardzo przemokła i zmarzła. Skuliła się w fotelu i patrzyła na przesuwany się za szybą krajobraz Grand Isle. Niewiele tu było do oglądania. Jej matka nie zaszywała się na wyspie każdego lata z powodu jej tropikalnych uroków, soczystej zieleni ani balsamicznego klimatu.

Mimo to ten wyczyny z atrakcji pejzaż przyciągał z jakąś nieodpartą, nieodgadnioną siłą. Ciekawe, jak wyglądała wyspa, kiedy Aurore przyjeżdżała tu jako dziecko, pomyślała.

I kiedy dzieckiem był jej ojciec.

Kiedy przejeżdżali mostem, łączącym wyspę z kontynentem, Nicky zapatrzyła się w dół, w pienistą, skłębioną wodę pod nimi. Wyobrażała sobie, jak

fale rosną, wzbierają, podnoszą się coraz wyżej i wyżej, jak zachłannie pożerają łąd aż do ostatniej piędzi ziemi.

Próbowała przywołać obraz ojca, jego matki i siostry w miotanej wichurą maleńkiej łupinie, ciągniętej przez człowieka, który wydał na nich wyrok i zgotował im śmierć.

– Dokąd właściwie jedziemy? – spytał Jake.

– Do dawnej osady – odparła. – Już niedaleko.

Po kilku dziesięcioleciach opuszczenia, Chénier Caminada przestała być odludnym skrawkiem łądu. Na brzegu pojawiły się małe domki, tu i ówdzie porozstawiane były namioty wędkarzy. Nigdy jednak nie odbudowano kwitnącej niegdyś wioski rybackiej, zniszczonej owej tragicznej nocy w 1893. roku. Po z górą siedemdziesięciu latach ci, co nie bali się duchów, wciąż drżeli ze strachu przed wiatrami, które bywały gorsze niż najstraszniejsze upiory.

– Nie znam dokładnej topografii tego terenu – Nicky odezwała się do męża. – Phillip w każdym razie twierdzi, że gdzieś tutaj powstał prowizoryczny cmentarz.

– Prawdopodobnie ciała chowano w miejscu, gdzie je znajdowano. Być może w masowych grobach .

– Wszystko jedno – Nicky wzruszyła ramionami – chciałam po prostu tu przyjechać. Sama nie rozumiem, dlaczego.

Jake rozumiał.

– Przestaje padać – powiedział. – Może pospacerujemy trochę, jeśli masz ochotę? I tak jesteś cała mokra.

– Skoro do tej pory się nie rozpuściłam, to chyba nic mi nie będzie.

– To co, stajemy? Powiedz tylko, w którym miejscu.

– Czy ja wiem? Na przykład tutaj. Jake wybrał odcinek w miarę twardego pobocza i zatrzymał samochód. Deszcz niemal ustał, co nie oznaczało wcale, że nie rozpada się od nowa.

– Nie będziemy oddalać się zbyt daleko, dobrze? Na wypadek gdyby znów lunęło.

– Dobrze – odparła zgodnie. – I tak nie spodziewałam się zobaczyć więcej niż piasek, drzewa i jakieś krzaki... Wystarczy mi, że jestem w miejscu, w którym urodził się mój ojciec. – Otworzyła drzwiczki i wysiadła. Owionęło ją przesycone zgniłą wilgocią powietrze.

– Tutaj spoczywają moja babka i ciotka. A ja tu jestem obca.

– Nie jesteś. Czujesz się tu obco.

– Za dużo na świecie tych miejsc, gdzie czuję się obco, Jake.

Okrażył auto i ujął jej dłoń.

– Zejdźmy nad wodę – zaproponował i poprowadził ją w stronę kępy drzew, jeszcze bardziej skarłałych niż te na Grand Isle.

– Ciekawe, gdzie stała chata mojej babki. Phillip mówił, że to była zwykła lepianka, z kawałków drewna wyrzuconego na ląd i palmowych liści. Pewnie drżeli za każdym razem, kiedy zaczynało padać.

– Twoja babka była samotną kobietą, nie miała rodziny ani majątku. Na pewno dziękowała Bogu i za to schronienie.

– I za bogatego kochanka też.

– Powiedz, Nicky, co cię wyгнаło na plażę tak wcześnie rano? – Jake zmienił nagle temat.

– Pytasz, która z tak nieoczekiwanie odkrytych tajemnic?

– Tak. – Jake oparł się o drzewo i przyciągnął żonę do siebie, jak gdyby obawiał się, czy znowu mu się nie wymknie. – No więc która?

– Widzisz, Jake – odwróciła wzrok – od wczoraj staram się ogarnąć to wszystko myślą, zrozumieć... Zastanawiałam się, ile prawdy mogę powierzyć tobie.

– Mnie?

– Tak, tobie.

– A czy ja czegoś nie wiem? – Uniósł brwi. – Pewna biała kobieta najpierw cię urodziła, potem się ciebie pozbyła, a potem pożałowała swojej decyzji – zaczął wylizywać. – Teraz spowiada się z za grobu, bo dopuściła się wielkiego grzechu, a nigdy nie miała odwagi wyznać ci prawdy prosto w oczy.

– To nie wszystko. – Nicky spojrzała niepewnie na męża.

– Nie wiem więc, czy zdołam znieść więcej, zważywszy na to, jak bardzo cię rani rozdrapywanie dawnych ran. Uśmiechnęła się smutno. Podobne zdanie usłyszała od niego przed laty, niedługo po tym, jak go poznała. Była wówczas w kompletnym dołku, rozbita i załamana.

Wojnę przetrwała wraz z synem w Maroku, lecz potem, mimo że pozornie świat znowu stanął przed nią otworem i mogła wyjechać dokądkolwiek chciała, nie kusił jej żaden kraj.

Ostatecznie znalazła świetną szkołę w Szwajcarii, gdzie Phillip mógł pobierać nauki i rozwijać swoje liczne talenty, a sama wróciła do Francji, by być jak najbliżej niego. Znalazła posadę śpiewaczki w niewielkiej orkiestrze w Paryżu, którą prowadził właśnie Jake Reynolds. Niemal wszystkie zarobione pieniądze przeznaczala na niemałe czesne w szkole jej syna.

Nie żałowała jednak ani franka, wiedziała bowiem, że tak zdolnemu dziecku musi zapewnić jak najlepszą edukację.

– Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie, Jake? – zapytała.

Jake uśmiechnął się ciepło. Jego uśmiech za każdym razem ją zniewalał, tyle miał w sobie męskiego uroku i tak wiele wyrażał – czułość, rozwagę, dyskrecję, troskę.

– Pamiętam – powiedział. – Jakby to było wczoraj.

– Przyszłam na pierwszą próbę – Nicky zaczęła opowiadać tak dobrze zachowaną w pamięci historię – a ty wszystkimi dyrygowałeś. Mówiłeś, co mają robić, lecz nikt oprócz mnie nie potrafił się w tym połapać.

– Zawsze byłaś wyjątkowa.

Nicky nie zakochała się w Jake’u od pierwszego wejrzenia. Po rozstaniu z Gerardem wystrzegła się miłości i kontaktów z mężczyznami, zwłaszcza przystojnymi i pociągającymi. Jake był jej szefem i wszystkie swoje siły i zdolności inwestował w orkiestrę, a ona, widząc jego zaangażowanie, robiła, co mogła, by go nie zawieść. Nigdy nie widziała, żeby ktoś tak ciężko pracował. Jake wykorzystywał wszelkie możliwe kontakty, nie przepuszczał żadnej okazji do wypromowania zespołu w mieście, wyciskał każdego jak cytrynę.

Tylko ją oszczędzał i to ostatecznie zdecydowało, że go pokochała.

– Kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz – powiedział, przytulając ją do siebie – od razu zacząłem kombinować, co by tu zrobić, żeby włożyć obrączkę na twój palec. Obiecałem sobie, że dokonam tego w ciągu sześciu miesięcy.

– Straciłeś masę czasu. Zabrało ci to lata.

– Niczego nie straciłem. Nosisz moją obrączkę i tylko to się liczy.

– Masz rację. To nie były stracone lata, Jake.

Po roku spędzonym w Paryżu Jake wynegocjował dla orkiestry kontrakt na nagranie płyty w USA. Kariera Nicky raptownie rozkwitła. Podczas gdy Phillip studiował w Yale, ona dzieliła czas między Amerykę i Europę. Przekonała się, że Jake nigdy jej nie zrani, że przy nim może czuć się bezpieczna, że go-tów jest troszczyć się o nią i kochać ją do końca życia.

To dzięki niemu na powrót odkryła smak miłości i to on przywrócił jej zaufanie do ludzi. Nigdy później nie żałowała decyzji o małżeństwie, a odkąd została jego żoną, nie tęskniła już za jakimkolwiek innym mężczyzną.

Ale przecież nie zawsze tak było.

Wsparła dłonie na ramionach Jake’a i popatrzyła mu prosto w oczy.

– Chcę ci opowiedzieć o tym, co wydarzyło się w Maroku.

– W Maroku? – Spojrzał na nią zaskoczony.

– Chcę, żebyś wiedział. To ważne.

– No dobrze. Ale czy musimy rozmawiać właśnie tutaj?

– Zdarzenia, o których chcę opowiedzieć, tutaj miały swój początek.

– Hm, chyba rozumiem...

– Nie mogę dłużej milczeć, Jake. – Nicky potrząsnęła bezradnie głową. – Życie nie może toczyć się normalnie, kiedy w sercu ciąży niewyjawiona tajemnica.

– Może o to właśnie chodziło Aurore – żeby nie dopuścić do drugiego aktu dramatu.

– Na pewno o to – uśmiechnęła się Nicky. Do tej pory wzbraniała się przed uczuciem bliskości z matką, jednak teraz wyraźnie czuła ową bliskość. Chyba nikt spośród zebranego na prośbę Aurore towarzystwa nie wiedział lepiej niż one, jak bardzo potrafią zatruć życie skrywane głęboko sekrety.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Casablanca, 1941

Nicky położyła dłonie na ramionach Phillipa i pokierowała nim w stronę niskiego wejścia do sklepu z wyrobami skórzanymi, pachnącego świeżo garbowaną skórą. Na półkach rozłożono bogaty asortyment plecaków i babouches, miękkich pantofli, jakie zwykli oboje nosić. Po roku pobytu w Casablance przywykli do wygody tutejszych strojów, chętnie wkładając je na przechadzki po mieście. Nicky wzbraniała się tylko przed noszeniem kwefu, bezwzględnie wymaganego od muzułmanek.

– Alla-ah akba-ar... – ze smukłej wieżyczki Wielkiego Meczetu muezin zwoływał wiernych na modlitwę.

Jego przenikliwy, zawodzący głos wdarł się przeciągłą kadencją w zgiełkliwy jazgot kupców, sprzedających i zwykłych gapiów. Bazar trząsł się od beku kóz, gdakania kur w drewnianych kłatkach oraz okrzyków mężczyzn, przepychających się między straganami, z koszami i wózkami pełnymi najróżniejszych towarów.

Nicky lubiła ten nieustający rozgardiasz, Phillip uwielbiał wyprawy na bazar. Mógł się przyglądać handlarzom, straganom, pobożnym mężczyznom – choć było też kilka kobiet – którzy rozkładali swoje dywaniki i klękali twarzą zwróconą do Mekki, by odmówić zwyczajową modlitwę. Ten ostatni obrazek nie był dla Nicky tylko ciekawostką – sama dawno zaniechała codziennych modlitw i teraz, w obliczu jawnie manifestowanej pobożności, odczuwała wyrzuty sumienia. Nie powinna była rezygnować ze swojej wiary tak łatwo.

– Mustafa mówi, że ci, którzy wierzą w Boga i czynią, co On każe, nawet żydzi i chrześcijanie, nie muszą się niczego obawiać – oznajmił Phillip.

Mustafa był najlepszym przyjacielem jej syna. Miał w sobie coś z Maura i coś z Europejczyka. Jak wiele dzieci w tym mieście tkwił okrakiem między Wschodem a Zachodem – biegle władał zarówno francuskim, jak arabskim,

umiał też posługiwać się berberyjskim dialektem ludu, z którego pochodziła jego matka. Swoją wiedzę chętnie przekazywał Phillipowi.

– Być może Mustafa zostanie kiedyś politykiem – odparła Nicky, głaszcząc ramiona syna. – Któregoś dnia ludzie tacy jak on wyzwolą Maroko. Potrafią myśleć jak Francuzi, a walczyć jak Arabowie.

Phillip wbił w matkę baczne spojrzenie.

– A co się wtedy stanie z nami?

– Kiedy to się stanie, nas już tu nie będzie – uspokajała Nicky.

– Jak to nie będzie? – zapytał, patrząc na nią buntowniczo swymi wyrazistymi, brązowymi oczami. W dniu, w którym opuszczali Francję, Phillip skończył dwanaście lat. Oczywiście nie chciał jechać do Maroka.

Teraz miał lat trzynaście i nie chciał stąd wyjeżdżać.

Rozumiała jego potrzebę stabilizacji, lecz niestety nie była w stanie jej zapokoić – świat ogarnęło dzikie szaleństwo i nie sposób było przewidzieć, co wydarzy się za rok albo dwa.

– Robi się późno – zmieniła temat. – Muszę się jeszcze przebrać. Obaj pomocnicy Adele zachorowali i obiecałam jej pomóc.

– Kupiłaś wszystko, co chciałaś?

– Tak. – Nicky uniosła niewielki koszyk. – Mam już kminek, miętę, świece... I popołudnie spędzone z własnym synem. Niczego mi więcej nie trzeba.

Uśmiechnął się powściągliwie, a jej serce zabiło mocniej na ten widok. Z dnia na dzień Phillip coraz bardziej upodabniał się do ojca. Miał te same ciemne oczy, taki sam ujmujący uśmiech i tę samą skłonność do wyrażania dezaprobaty lekkim uniesieniem brwi. Równie łatwo jak ojciec ulegał też emocjom, lecz – dzięki Bogu – w przeciwieństwie do Gerarda potrafił dostrzegać dobre strony życia i pozytywne cechy bliźnich.

Opuścili bazar i zaczęli przedzierać się przez wąskie, zatłoczone uliczki medyny, starej dzielnicy miasta. Pachniało tu ziołami, których odurzający aromat mieszał się z odorem niemytych ciał, biedy i zgnilizny. Bogacze mieszkali w domach osłoniętych od ulicznego zgiełku wysokimi murami z białego wapienia lub z wypalanej na słońcu cegły, wśród dziedzińców i ogrodów, rozsiewających woń jaśminów, kwitnących pomarańczy, goździków i geranium.

Gdy wyszli za główną bramę medyny, znaleźli się nagle w zupełnie innym świecie, w innej kulturze, w innych czasach. Białe budowle w mauryjskim stylu, wkomponowane we współczesną architekturę, wyznaczały trasy szerokich, czystych alei, obrośniętych szpalerem pierzastych, kołysanych podmuchami wiatru palm.

– Co macz na dzisiaj do odrobienia? – spytała Nicky, kiedy dotarli do „Palm Court”, klubu, w którym co noc śpiewała i bawiła gości. – Algebrę, łacinę czy historię?

– O rany, mam, muszę dziś kuć? Jutro nie ma szkoły. Nie mogę zrobić sobie przerwy?

– Cóż, możesz. Jeśli wolisz spędzić nad książkami niedzielę, zamiast odwiedzić ze mną Raszidę... Może pouczysz się razem z Mustafą? Chociaż wątpię, on podobno uczy się tylko w sobotnie wieczory.

Phillip mruknął coś pod nosem, wyraźnie niezadowolony z matczynego komentarza, nim jednak doszli do Boulevard de Paris, obiecał, że usiądzie do nauki przy kuchennym stole w klubie, który ustawiono tam kiedyś specjalnie dla niego. Chłopak wchłaniał wiedzę wraz z zapachami kurkumy i smażonego na oleju czosnku.

„Palm Court” wyłonił się za następnym zakretem. Usytuowany przy wysadzonym palmami bulwarze, piętrowy budynek klubu lśnił w słońcu jaskrawą bielą. Niewielki ogródek pełen nagietków i lilii oddzielał go od ulicy i prowadził do szerokiej drewnianej bramy, pomalowanej na jaskrawozielony kolor i obwiedzionej szlaczkiem z błękitnych kafli. Na pierwszy rzut oka nie różnił się od typowych budynków w mauretańskim stylu, lecz z bliska można było dostrzec niejedno odstępstwo od architektonicznej tradycji. Zaskakiwał zwłaszcza ilością okien, które przyglądały się ulicznemu ruchowi niczym stado ciekawskich małp.

Wewnątrz panowała o wiele niższa temperatura niż na ulicy. Wirujące pod sufitem skrzydła wentylatorów mieszały popołudniowe powietrze i dawały przyjemne wrażenie chłodu. Bar kuśił niezliczoną ilością najprzeróżniejszych trunków, w ozdobnych kłatkach skrzeczały na powitanie mieniące się orgią kolorów papugi.

Phillip podszedł do swojego ulubionego ptaka o czerwono-niebieskich piórach i dumnym imieniu Pasza Aleksander i wyciągnął z kieszeni ziarna słonecznika.

– Nicky? – usłyszała za plecami głos Roberta Gascona.

– Witaj, Robby. – Odwróciła się. – Już jesteś? Czemu tak wcześniej?

– Lubię patrzeć, jak kręci się ta moja maszynka do robienia pieniędzy.

Robert Gascon miał pulchną, zaokrągloną posturę człowieka, który zamiłowanie do jedzenia przedkłada ponad wymogi mody. Stale ubierał się na biało – myślał zapewne, że w bieli wygląda szczuplej – a łysinę przykrywał purpurowym fezem. Objadał się bez opamiętania i żarliwie oddawał się wszelkim kulinarnym namiętnościom, co było o tyle łatwe, że potrawy z „Palm Court” sływały w całym mieście.

– Przyszłam pomóc Adele – wyjaśniła Nicky. – Nic ci nie mówiła?

Odeszli w głąb sali, gdzie stali bywalcy sączyli kawę lub miętową herbatę, przegrzając miodowymi ciasteczkami wypieku Adele.

– Mówiła. Ale wcześniej znalazłem jej pomocnice na dzisiejszy wieczór i jakoś sobie radzą – odparł Robby.

– W takim razie nie muszę się spieszyć.

– Nie, choć to dobrze, że przyszłaś wcześniej. Jest kilku nowych gości. Chcę, żebyś ich poznała. To Amerykanie.

– Znacomiecie, kochani krajanie – uśmiechnęła się ironicznie. – Strasznie się stęskniłam za Amerykanami.

– Proszę cię, Nicky – dłoń Robby’ego spoczęła na jej ramieniu – nie bądź złośliwa w ich obecności. Nie sądzę, żeby to byli akurat ci, przez których nie mogłaś wrócić do kraju.

– Z pewnością masz rację. Poza tym wcale mnie tam nie ciągnie.

– I dobrze. Gdybyś wsiadła na statek do Stanów, nie śpiewałabyś w moim klubie.

– I nie siekałabym cebuli, nie zamiatałabym podłóg...

– Och, Nicky, masz wiele talentów.

– Jak dobrze, że ktoś wreszcie się na nich poznał – odcięła się i zrobiła słodką minkę. – Kiedyś myślałam, że przede wszystkim umiem śpiewać. Często przekomarzała się z nim w ten sposób, lecz nigdy nie zapomniała, że ona i Phillip zawdzięczają mu życie. Tuż przed wkroczeniem Niemców do Paryża Robby przekupił urzędników i przesmugłował Nicky z synem przez granicę; porzucił prosperujący nocny klub w Paryżu i wywiózł ich do Maroka, gdzie otworzył po jakimś czasie „Palm Court”. Robby widział wprawdzie przyszłość dla siebie i Adele – jeśli Francuzi nie pakowali się w ruch oporu, mogli w miarę spokojnie żyć w rządzonej z Vichy Francji. Nie widział jednak jakiegokolwiek przyszłości dla Phillipa i Nicky – Hitler i jego sojusznicy nie byli najlepszego zdania o Żydach, Cyganach i Murzynach i nie zanosilo się na to, że zostawią ich w spokoju.

– No dobrze – westchnęła Nicky – zaprowadź mnie do nich. Obiecuję, że będę uprzejma. Nawet nie zapytam, dlaczego nie wcisnęli w mundury swoich tłustych tyłków.

– Nie spiesz się z ocenami. Walka rozgrywa się nie tylko na pierwszej linii frontu.

– To znaczy?

– My również mamy w niej swój udział, tutaj, w „Palm Court”.

– Masz na myśli te tabuny agentów i dyplomatów? – Potrząsnęła z dezaprobatą głową. – O, nie, dziękuję bardzo za tę bandę szkopów, makaroniarzy i napuszonych fagasów z Vichy, którzy paradują w mundurach jak groteskowe kukły. Tych zresztą byłabym w stanie zrozumieć. Ale co tu robią Amerykanie? Nie biorą przecież udziału w wojnie.

– Jeszcze nie, ale sytuacja może się zmienić.

– Szczerze mówiąc, wątpię. Póki wojna nie zapuka im do drzwi, nie kiwną nawet palcem.

– W jakimś celu tu jednak przyszli.

- Prawdopodobnie dopilnować własnych interesów.
- Mimo to są naszymi gośćmi.
- Jasne – westchnęła – gość to gość. Postaram się ich oczarować.
- Postaraj się. Mają kupę forsy – powiedział Robby i puścił do niej oko.

Trzej mężczyźni siedzieli w najdalszym kącie sali, przy stoliku ukrytym za pierzastą koroną palmy. Tak byli pochłonięci przyciszoną rozmową, że nie zwrócili uwagi ani na właściciela sali, ani na towarzyszącą mu kobietę. Dopiero gdy Robby się odezwał, podnieśli wzrok.

– Panowie, pragnę wam przedstawić Nicky Valentine, naszą śpiewaczkę – odezwał się do nich nieskazitelną angielszczyzną. – Jeśli zaszczycicie nas swoją obecnością dziś wieczorem, będziecie mieli okazję jej posłuchać.

Na pierwszy rzut oka wyglądali niemal identycznie – trzykrotnie powielona istota prosto z Ameryki. Nicky z zalem pomyślała o Bobach, którzy z racji dłuższego pobytu w Europie wykazywali więcej fantazji, jeśli chodzi o strój. Niestety, Bob Pierwszy zginął podczas nalotu na Londyn – a pisał właśnie najlepszy materiał w swojej karierze – Bob Drugi zaś dziennikarski notatnik zamienił na karabin i zaciągnął się do oddziałów kanadyjskich, skoro jego ojczyźnie walczyć nie było pilno.

– Miło was poznać, panowie – zagadnęła Nicky. – Jak wam się podoba Casablanka?

Wstali jednocześnie, jak na komendę. Potrafiła docenić ten dowód kurtuazji, bowiem nie zdarzało się często, aby biały Amerykanin witał w ten sposób kolorową kobietę. Nie są teraz u siebie, być może stąd ta różnica, pomyślała. A może zwiódł ich orientalny niebieski zawój, w który była ubrana, i nie rozpoznali jej prawdziwej rasy.

Podala dłoń każdemu z nich, a oni kolejno się przedstawili. Zapamiętała tylko ostatnie nazwisko, Hugh Gerritsen, a to dlatego, że noszący je mężczyzna pochodził z Nowego Orleanu.

– Ja też tam się urodziłam – powiedziała – choć nie przypuszczam, że w tej samej dzielnicy, co pan – dodała, obdarzając gościa odrobinę wyzywającym uśmiechem.

– Pochodzi pani z Nowego Orleanu?

Wbrew sobie od razu polubiła jego głos – łagodny, aksamitny i głęboki. Charakterystyczny akcent z południowej Luizjany przywołał odległe wspomnienia, toteż Nicky chętnie się wdała w rozmowę.

– Tak, pamiętam miasto dość dobrze. Widocznie jednak nie wystarczy urodzić się w Ameryce, żeby dostać powrotny paszport do domu. Właśnie mi go odmówiono. A co panów tu sprowadza?

Jeden z mężczyzn usłużnie przysunął jej krzesło, a ona usiadła z lekkim ociąganiem. Robby mruknął coś pod nosem i ulotnił się szybko, musiała więc dawać sobie radę sama.

– Wysłał nas Departament Stanu – odparł Hugh Gerritsen. – Mamy dopilnować, by amerykańskie towary nie dostały się z powodu wojny w niepowołane ręce.

– Jak to miło ze strony amerykańskiego rządu, że tak bardzo się angażuje w wojenne sprawy. A co na to Francuzi? Wiedzą, że tu jesteście? Chyba nie wypełniacie jakiejś tajnej misji.

– Zawarliśmy z nimi umowę.

– Sądzi pan, że umowy z rządem w Vichy są coś warte? – spytała i na wszelki wypadek zerknęła na Abdula, klubowego wykidajkę, który pod pretekstem roznoszenia drinków miał czujne oko na klientów.

Wiedziała, że nie powinna sobie pozwalać na krytyczne uwagi wobec francuskiego rządu, mieszkając i pracując w czasie wojny w jednej z francuskich kolonii, ale nie mogła się powstrzymać od złośliwości.

– Widzę, że nie jest pani zwolenniczką marszałka Petaina i kolaboracji Francuzów z Niemcami – odezwał się Hugh Gerritsen.

– Och, zapewne nie w takim stopniu, jak prezydent Roosevelt. Byłam we Francji, kiedy Niemcy wkraczali do Paryża, wiem, czym to pachnie. Nawet na południu, na terenach nie podlegających teoretycznie Niemcom, byłabym uznana za osobę co najmniej niepożądaną. Nie znam dobrze ideologii naziistów, ale, o ile mi wiadomo, ma to pewien związek z kolorem mojej skóry. Hitler i jego zwolennicy nie lubią różnorodności, preferują jeden kolor, biały. – Spostrzegła błysk zrozumienia w oczach Hughiego natychmiast dodała: – Zgadza się, nie jestem biała, jeśli o to chciał pan spytać.

– A tutaj czuje się pani bezpiecznie? – Gerritsen nie skomentował jej uwagi.

– Nigdzie nie czuję się bezpiecznie. Tylko głupiec lub fanatyk może przymykać oczy na to, co dzieje się na świecie.

Teraz do rozmowy włączył się mężczyzna siedzący obok Hugh.

– Jeśli tu nie jest bezpiecznie, dlaczego nie wróci pani do Ameryki?

– Mówiłam już, odmówiono mi paszportu. Przyjechałam do Francji, kiedy byłam małą dziewczynką, na paszport dziadka. Dziadek umarł, a ja nie mam żadnego dowodu tożsamości, który potwierdzałby amerykańskie obywatelstwo. W bałaganie ewakuacyjnym zagięły moje dokumenty, więc teraz albo ktoś uwierzy w moją wersję, albo nie. Jak na razie nie dano mi wiary.

– Ale rozumiem, że pani nie rezygnuje? – spytał Hugh.

– Na razie jestem tutaj. Po wojnie mapa świata prawdopodobnie się zmieni i wtedy zdecyduję, co robić dalej.

– Uważa więc pani, że Hitler zwycięży?

Nawet nie spostrzegła, kiedy rozmowa przemieniła się w dialog z Hugh Gerritsenem. Chyba zresztą od początku to Hugh był niemal wyłącznym jej rozmówcą. Z początku nastroszona, Nicky złagodniała po kilku zdaniach,

słyszając jego rzeczowy, spokojny i chyba pozbawiony uprzedzeń ton. Dopiero wtedy zwróciła uwagę na jego urodę.

Hugh Gerritsen miał poważną twarz i przypominał nieco młodego Gary'ego Coopera. Jego włosy były bujne, orzechowobrazowe, a oczy niebieskie i pełne blasku. Był o kilka lat młodszy od swoich towarzyszy i jedynym, który inteligentnie ubrał się na marokański klimat. Miał na sobie kremowy garnitur z tropiku, a niebieską koszulę rozpiął pod szyją.

– Czy Hitler zwycięży? – powtórzyła pytanie, wracając do rozmowy. – Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że jeśli Niemcy będą próbowali wysadzić tu desant, stanę na plaży i będę ciskała w nich kamieniami. Ktoś musi wreszcie ich powstrzymać.

Wychylił się do przodu i popatrzył na nią prowokacyjnie.

– Ale zabawia pani Niemców w tutejszym klubie.

– Oczywiście. Wyciągam od nich pieniądze i cieszę się każdym zarobionym frankiem. Nawet z nimi popijam. – Wytrzymała jego spojrzenie i sama nachyliła się do przodu. – Niemieckiego narodu nie obciążam winą za zbrodnie, panie Gerritsen. To faszyci nie tolerują ludzi o innym kolorze skóry. W naszym kraju są tacy sami, prawda?

Milczał, lecz wydawało się, że podziela jej opinię. Kątem oka spostrzegła zbliżającego się do ich stolika Phillipa ze szklanką wody, którą wcześniej napełnił Abdul. Objęła syna dumnym gestem i oznajmiła:

– Pozwólcie, panowie, to mój syn.

Hugh zareagował pierwszy. Podniósł się i wyciągnął do chłopca rękę.

– Sie masz. Przyjaciele mówią mi Hap. Widziałem, że karmisz papugi. Ja bym się nie odważył.

Mężczyźni chętnie wdali się w pogawędkę z Phillipem.

Dopytywali o szkołę i o to, jak spędza wolny czas. Odpowiadał swobodnie, bez zażenowania, co ją zdziwiło, bowiem chłopiec nieczęsto przebywał w męskim towarzystwie. To zresztą było kolejną rzeczą, którą sobie wyrzucała – w wieku trzynastu lat jej syn był złakniony męskich wzorców, a ona nie postarała się dotąd o to, by Phillip poznał mężczyznę, który mógłby być dla niego przykładem i autorytetem.

Zerknęła na Hugh. Mimo uderzająco młodego wieku, w głębi jego spojrzenia czaił się cień smutnej dojrzałości. Uśmiechnął się do niej nieznacznie, a wówczas poczuła delikatne ukłucie, jak gdyby w jej sercu budziło się ze snu odległe, uśpione, zapomniane niemal pragnienie.

– Mam nadzieję, że zaszczycą mnie panowie swoją obecnością podczas wieczornego występu. – Wstała, dając znak Phillipowi, żeby udał się za nią. – Teraz ruch jest niewielki, ale koło dziewiątej robi się tłoczno.

Stolik będzie na panów czekał. – Posłała im jeszcze uprzejmy uśmiech na pożegnanie, a potem ruszyła w stronę kuchni. Phillip podążył za nią. Czuła na

plecach spojrzenie niebieskich oczu, lecz nie obejrzała się, by sprawdzić, czy to nie złudzenie.

– Czy ona nie jest aby zbyt szczerą?

Hugh starannie zaczesał włosy przed włożeniem kapelusza.

– Nie wydaje mi się.

– A ja nie dałbym za nią głowy. Dłużej mieszkała w Paryżu niż w Stanach. Francuzi uważają kolorowych za egzotyczne istoty, traktują ich trochę jak domowe zwierzątka. W ten sposób ich psują.

Hugh odwrócił się na te słowa. Jego kumpel, wicekonsul Arthur Flynn, z którym dzielił teraz apartament, był z natury dobrym człowiekiem. Lecz w jego pojęciu świat był dokładnie dwuwymiarowy i dzielił się na tych, którzy byli tacy sami jak on, czyli biali, oraz tych, którzy urodzili się inni.

– Uważasz, że jest zepsuta, bo mówi to, co myśli? – zapytał Hugh. – Sądziłem, że każdy ma do tego prawo.

– Nazywaj to sobie, jak chcesz, ale nie sądzę, by się nam do czegoś przydała.

– Nawet jeśli równie śmiało poczyna sobie w obecności Niemców i ma mnóstwo okazji, by wyciągnąć z nich masę informacji?

Arthur zaczął obgryzać wskazujący palec, co niezmiennie irytowało Hugh.

– Fakt. Akurat w tym może być dobra.

– Tak myślę. I dlatego nie zamierzam się wycofać.

– Przyznaj się, że prostu chcesz posłuchać, jak śpiewa.

– A ty nie?

– Wszystko mi jedno. – Arthur wzruszył ramionami.

– Nawet jak ma białą skórę, to w środku jest czarna do szpiku kości. Ojciec nauczył mnie ufać tylko swoim. Hugh nie wydawał się zadowolony z podobnej opinii.

– Uważaj, Art, żeby nie zaślepiły cię uprzedzenia. W Casablance ludzie o podobnych poglądach noszą mundury Trzeciej Rzeszy.

Hugh i Art różnili się w poglądach, lecz współpraca układała im się poprawnie. Jakiś czas temu mianowano ich wicekonsulami w Casablance i przykazano dokładnie przeczesać miasto. Mieli zjawiać się w dziwnych miejscach o dziwnych porach, przemierzać aleje, zaglądać w zaułki, przeszukiwać dalekie peryferie; mieli węszyć, wnikać i zbierać wszelkie informacje. Im szerszy teren uda się spenetrować, tłumaczono im, tym lepiej dla sprawy.

Hugh od początku wiedział, że Nicky można zaufać.

Była otwarta, prostolinijna, szczerą. Dlatego właśnie postanowił skorzystać z zaproszenia i wrócić wieczorem do „Palm Court”. No, może nie tylko dlatego.

Do klubu postanowił pójść na piechotę. Cały dzień wysiadywał na spotkaniach, a od „Palm Court” dzieliło go raptem dwadzieścia minut spaceru. Poza

wszystkim lubił łązić po ulicach i uliczkach Casablanki. Wypływając do Europy, nie sądził, że trafi do Północnej Afryki i że dane mu będzie zobaczyć tyle egzotycznych miejsc. Teraz cieszył się, że tak się stało i że może przysłużyć się krajowi. Trafiła mu się okazja, by wreszcie się sprawdzić, zahartować, wzmocnić duszę i ciało.

Tu, w Maroku, robił coś znaczącego. Nie był zwykłym urzędasem, jak wcześniej w biurze Gulf Coast.

Kiedy w Europie wybuchła wojna, odmówił stawienia się w Nowym Orleanie na wezwanie rodziców. Biegle władając francuskim i niemieckim, a trochę też portugalskim, przyjął posadę urzędnika w amerykańskim konsulacie w Paryżu. Po upadku Paryża wyjechał do Lizbony, gdzie zajmował się załatwianiem formalności dla uchodźców udających się za ocean. Przez pewien czas rozważał możliwość zaciągnięcia się do oddziałów brytyjskich lub wstąpienia w szeregi francuskiego ruchu oporu, lecz nim zdążył się zdecydować, wysłano go z misją do Maroka. W ten oto sposób w skomplikowanej sylwetce Hugh „Hapa” Gerritsena pojawił się nowy rys – rys szpiega.

Dotarł do „Palm Court” i podał swoje nazwisko.

Gospodarz powitał go wylewnie i zapewnił, że następnym razem szanowny gość nie będzie musiał się przedstawiać, bowiem zaliczony został w poczet stałych klientów.

Jakby domyślając się, co – a raczej kto – go najbardziej interesuje, zarezerwowano mu stolik nieopodal estrady, na której stał fortepian oraz krzesła dla orkiestry.

Już wcześniej, podczas popołudniowej wizyty w klubie, Hugh dowiedział się, że Nicky jest utalentowaną piosenkarką o wyrobionej marce w paryskich klubach i ugruntowanej pozycji, na którą sobie ciężko zapracowała. Robert Gascon twierdził, że wspięła się po kolejnych szczeblach kariery, startując od zera, a kończąc na lokalu samego Gascona, który przed rokiem 1940. miał w Paryżu znakomitą reputację. Gascon cenił ją i wyróżniał za rzadką umiejętność interpretacji, łączącej francuską finezję z amerykańskim wyczuciem swingu oraz wrodzoną zmysłowością. Po wszystkich tych komplementach Hugh niecierpliwie oczekiwał chwili, kiedy podda ową opinię własnej ocenie.

Zamówił drinka i obiad. Uwielbiał marokańskie dania, z bogatym zestawem smaków i przypraw, i choć w karcie widniały potrawy francuskie, wybrał wołowinę tajin. Kelner przyniósł glinianą misę nakrytą stożkowatą, plecioną przykrywką. Gulasz był kruchy, soczysty i smakowity; Hugh wylizał resztki kawałkami chleba. Potem zaś, po drinku, z pełnym żołądkiem, poczuł się tak ociężały i tak przyjemnie nasycony, że mimowolnie pomyślał o domu. O innych krajobrazach, smakach i zapachach.

Podczas gdy on wypełniał w Maroku misję amerykańskiego rządu, Ferris Lee skończył dwadzieścia dwa lata i był na drugim roku prawa. Hugh znał

dorośle wcielenie brata jedynie z fotografii. Matka w listach – nie wszystkie do niego dotarły – obszernie i drobiazgowo opisywała rozmaite sprawy, lecz ani słowem nie wspominała o tym, co Hugh naprawdę interesowało: czy była choć odrobinę szczęśliwsza niż wtedy, kiedy opuszczał Nowy Orlean. Dorastając, wyczuwał intymną więź, jaka ich łączyła, duchową bliskość, której nawet gruboskórny Ferris nie próbował zakłócać. Matka i syn rozumieli się bez słów, przeżywali podobne emocje, wyznawali te same wartości, dlatego też Hugh zastanawiał się często, jak silnie ją zranił swoją decyzją pozostania w Europie, a obok zadowolenia z powodu tego, że wreszcie zajmuje się czymś ważnym i ciekawym, nierzadko czuł wyrzuty sumienia.

Zachodził też w głowę, co porabia ojciec. Gardził Henrym Gerritsenem. Regularnie spowiadał się z tego grzechu, wiedząc zarazem, że tak już zapewne zostanie do końca jego dni. Mógł tylko żywić nadzieję, że wieloletnie rozstanie z synem zmiękczyło ojcowskie serce, że Król Henry wyciągnął wnioski z przykrych doświadczeń i że swoje wrodzone zdolności wykorzystuje teraz w jakimś zbożnym celu.

Pierwsze dźwięki muzyki wytrąciły Hugh z rozmyślań.

Zerknął na scenę, gdzie przy fortepianie zasiadł właśnie wysoki, szczupły mężczyzna i zagrał z nonszalancją kilka akordów. Po chwili popłynęła wiązanka melodii Cole'a Portera. Dopiero teraz Hugh spostrzegł, że sala wypełniona jest już po brzegi. Przebiegł spojrzeniem pobliskie stoliki, uważnie obserwując gości – niezależnie od tego, kim byli i po co tak naprawdę tu przyszli, wszyscy zdawali się czekać na występ gwiazdy wieczoru, Nicky Valentine.

Kto by przypuszczał, że skończę jako szpieg, pomyślał z rozbawieniem. Ani on, ani jego koledzy-wicekonsulowie nie mieli odpowiedniego przygotowania do nowej profesji. Niektórych wywabiono wprost z uczelnianych ław, innych ściągnięto ze świata biznesu. Łączyła ich jedynie biegle znajomość francuskiego. Oczywiście, mieszkając wiele lat w Europie, Hugh dość dobrze orientował się w sytuacji politycznej, lecz ze szpiegowskim rzemiosłem nie miał nigdy do czynienia.

Czy podobnie było z innymi gośćmi „Palm Court”? Jakim to zrzędzeniem losu trafili do Casablanki? Rozpoznał kilku niemieckich i włoskich urzędników wojskowych. Niektóre osoby wyglądały na uchodźców. Spora grupa zaś – w mundurach lub po cywilnemu – należała bez wątpienia do francuskich służb specjalnych. Cóż, to właśnie był cały smak „Palm Court”.

W klubie aż buzowało od polityki. W jednej sali, często wręcz przy jednym stoliku, jedli i popijali zagorzali sojusznicy i zawzięci wrogowie, którzy w innych okolicznościach zapewne skoczyliby sobie do gardeł. Każdy nadstawił uszu, każdy węszył, czatował na czyjeś mimowolne przejęzyczenie, nieopatrnie rzucone słowo, komentarz, z którego dałoby się coś wyczytać.

Hugh, na szczęście, nie musiał wykazywać aż takiej czujności. Jego kraj nie angażował się oficjalnie w tę wojnę i nie potrzebował wiadomości zasłyszanych w nocnym klubie. Przezorność nakazywała jednak, by na wszelki wypadek być w miejscu, gdzie można usłyszeć coś ciekawego, i – jak to mówią politycy – trzymać rękę na pulsie.

Gorący aplauz publiczności zapowiedział wreszcie wejście na estradę Nicky. W pierwszej chwili Hugh jej nie poznał. Miała na sobie długą, obcisłą, szkarłatną suknię, podkreślającą każdy szczegół pysznej figury.

Skupione w pęki cekiny połyskiwały wabiąco na biodrach i piersiach, rozpuszczone włosy opadały wijącymi się kędziorami na ramiona. Pochyliła się ku pianście, wyprostowała z czarującym uśmiechem i zaczęła śpiewać.

Hugh słuchał jak w transie. Była to nieznaną mu – mimo lat spędzonych w Marsylii – francuska pieśń, tęskna i przejmująca. Głęboki, wibrujący głos niósł aromat marokańskich przypraw i aksamitne tchnienie Atlantyku. Przywodził wspomnienia domu. Brzmiał echem nowoorleańskich podwórek Dzielnicy Francuskiej, zmysłowych szeptów z Basin Street i obskurnych, zadymionych barów. Wzbijał się i rozlewał złowieszczą niczym grzmiący szum spienionej Missisipi, po czym cichł, zamierał niczym pożarta przez nieobliczalną rzekę grobla. Hugh zamknął oczy i dał się ponieść fali wzruszeń.

Został w „Palm Court” do rana. Nicky śpiewała po francusku, po niemiecku i po angielsku, z nowoorleańskim, bliskim sercu akcentem. Zachwycała go interpretacja „Basin Street Blues”, lecz najbardziej przypadł mu do gustu fakt, że ową pieśń Nicky zadedykowała właśnie jemu.

W przerwach między piosenkami krążyła po sali, przysiadła się do stolików, swobodnie gawędziła i uśmiechała się, do niektórych odrobinę zalotnie. Była tu niekoronowaną królową, całkowicie świadomą swojej nieograniczonej władzy. Rzeczy sprawowała łaskawie i sprawiedliwie. Niestosowne uwagi bagatelizowała pełnym wyższości lekceważeniem. Kiedy pewien człowiek w mundurze francuskiego żołnierza posunął się za daleko, Nicky dała znak wysokiemu Marokańczykowi, który kręcił się w pobliżu wejścia, a barczysty cerber wyrósł jak spod ziemi i w ciągu niespełna minuty niepoprawny uwdziiciel znalazł się na ulicy.

W trakcie jednej z takich przerw podeszła do Hugh.

Wprawdzie nie domagał się jej towarzystwa, jak inni goście, jednak kilkakrotnie złowiła jego żarliwe, zachwycone spojrzenie i postanowiła odpowiedzieć na zawarte w tym spojrzeniu wyzwanie. Usiadła przy jego stoliku, zamówiła kieliszek szampana i zagadnęła z leniwym uśmiechem:

– Jak tam, Hap? Dobrze się bawisz?

– Gdy śpiewałaś, miałem wrażenie, że znów jestem w Nowym Orleanie.

– Naprawdę? Minęło sporo czasu, od kiedy byłam tam ostatni raz.

Wiedział, ile minęło czasu. Dokładnie wiedział, kiedy wyjechała i dokąd.

– Masz rodzinę w Luizjanie? – zapytał, bowiem tego nie udało mu się do tej pory ustalić.

– Nie. Mam tylko Phillipa.

– A jego ojciec? – zapytał i podświadomie wstrzymał oddech.

– Nie żyje. Walczył przeciwko faszystom w Hiszpanii, w Brygadzie Lincoln. – Z wdzięcznym uśmiechem przyjęła od kelnera napełniony szampa-
nem kieliszek, po czym wróciła do rozmowy. – Wiesz, że w Hiszpanii po raz
pierwszy biali i kolorowi walczyli ramię w ramię? Zazwyczaj podlegają se-
gregacji nawet w chwili śmierci.

– Dużo w tobie goryczy.

– Raczej realizmu.

– Zdobyłaś sobie renomę w Paryżu...

– Sprawdzałaś mnie?

– To taki nawyk. Przez moje ręce przewija się masa dokumentów, trudno
czasami oprzeć się ciekawości i nie zajrzeć w papiery, które cię interesują.

Nie dała po sobie poznać, czy ostatni passus zwrócił jej uwagę.

– Skoro mnie sprawdzałaś, to pewnie wiesz, dlaczego uciekłam.

– Sama o tym dzisiaj mówiłaś.

– Pewien człowiek o imieniu Adolf postanowił mi przypomnieć o wyższo-
ści białej rasy. Nie chciałam, by sprawdzał na mnie, jak ta wyższość się prze-
jawia. Zdaje się, że miałam rację – z tego co wiem, w Europie trwa wielka
łapanka.

– Do czasu.

Pochyliła się do przodu, przypadkiem ocierając się o jego udo.

– Wiesz, Hap, wstydę się, że jestem Amerykanką. Siedzą sobie spokojnie
za oceanem i udają, że to nie ich
interes. A wiesz, dlaczego? Bo ich wcale nie obchodzi to, co wygaduje Hitler.

– Mylisz się. Przystąpimy do wojny. Nie możemy stać z boku.

– Zobaczymy. Na razie Hitler pastwi się nad Żydami i komunistami. Tylko
patrzeć, jak dobierze się do Murzynów. Pomyśl, jak wielu Amerykanów mu
przykłaśnie. Swoją pogląd wygłosiła tym samym co zawsze tonem niedbałej
nonszalancji, tuszującym smutek i frustrację.

Hugh położył jej rękę na ramieniu i popatrzył poważnie w oczy.

– Od lat mieszkam w Europie i rozumiem twoją gorycz. Jednak nie wszy-
scy Amerykanie orientują się w sytuacji. Nie każdy chce poświęcać własne
dzieci w imię obcej, dalekiej sprawy. W ludziach głęboko tkwi pamięć po-
przedniej wojny.

– Nie rozumiem tego. Czy ta sprawa może być komukolwiek daleka i ob-
ca? Czy wiesz, że tylko we Francji, i to na terenie nieokupowanym przez
Niemców, założono ponad trzydzieści obozów? Więzione są tam tysiące osób,
także kobiet i dzieci, których jedyną zbrodnią jest wyznanie mojąszowe albo

ucieczka przed represjami Franco. Jeszcze więcej obozów założono w Algierii. A co się dzieje we wschodniej Europie, gdzie mieszka najwięcej Żydów?

– Te informacje zaczynają do nas powoli docierać.

– Właśnie, powoli! Phillip i ja pewnie już byśmy tkwili w jakimś lagrze, gdyby nie Robby. Ta groźba wciąż zresztą nad nami wisi. – Odsunęła się, ręka Hugh opadła z jej ramienia. – Jeśli ja wiem już o tych obozach, to nasze władze z pewnością wiedziały wcześniej.

– A co masz zamiar zrobić z tą wiedzą?

– Nic. – Zielone oczy Nicky pociemniały, zastygły. – Mam zamiar utrzymać się przy życiu.

– Możesz dokonać czegoś więcej.

– Mianowicie?

– Wolisz narzekać i lamentować?

– Tak sądzisz?

– Nie. Dlatego z tobą rozmawiam.

– Wybieram się jutro rano do Rabatu. Może pojedziecie ze mną, ty i Phillip?

Nie odpowiedziała od razu. Siedzieli w milczeniu, słuchali pulsujących, bluesowych fraz fortepianu i kiedy wreszcie instrument umilkł, Nicky zapytała:

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Mam wrażenie, że wiesz, czego.

– Że zostanę twoją kochanką? Czy czegoś innego?

– Wezmę to, co mi dasz.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nazywała się Catherine Robillard, zaś dla tych, którzy dostąpili zaszczytu bycia z nią po imieniu – po prostu Cappy. Z chmurą złocistych jasnych włosów, okalających kędziorem drobnią, owalną twarz, i niebieskimi, odrobinę nieobecnymi oczami wyglądała krucho i zwodniczo. Ferris od razu odgadł, że owa pozorna delikatność jest jedynie ułudą – w sprawach, które go naprawdę interesowały, nie zadowalał się zaledwie pobieżnym oglądem. A właśnie Cappy znalazła się w kręgu jego szczególnych zainteresowań.

W dzień Wigilii te nieobecne oczy w ciemnej oprawie błdziły po udekorowanej jemiolą sali balowej w Saint Charles, rezydencji Carol Bennett. Wodziły, jakby od niechcienia, po obecnych z precyzją wojskowego, który szacuje na polu bitwy możliwe straty i przewagi. Ferris dałby głowę, że ta niby delikatna, wręcz eteryczna panna, umie myśleć trzeźwo i praktycznie, a tego wieczoru miał się przekonać, czy intuicja go nie zawiodła.

Uchodził za dobrą partię dla tegorocznych debiutantek.

W jego żyłach płynęła krew, która – dzięki matce – pomyślnie przeszła skrupulatne badania nowoorleańskiej socjety. Był dostatecznie katolicki, by pasować do panny z kreolskiego rodu, lecz wykazywał wystarczająco mało religijnego zapału, by nie klucć nim w oczy protestanckiej większości. Jego ojciec należał do jednej z elitarnych organizacji w mieście, do której syn – za jego poręczeniem – właśnie kandydował. Poza tym Ferris studiował prawo na drugim roku w Uniwersytecie Tulane i jak na razie zanosilo się na to, że zdobędzie kwalifikacje uprawniające go do wykonywania tego dobrze płatnego zawodu.

Lecz nawet gdyby ukończył studia z miernymi wynikami, albo nawet ich nie ukończył, i tak miał przed sobą znakomite perspektywy. Z chwilą kiedy władze zarządziły gromadzenie zapasów surowcowych na czas spodziewanej wojny, Gulf Coast, dzięki rządowym zamówieniom, weszła w okres wyjątkowej prosperity.

Po nalocie Japończyków na Pearl Harbour obroty wzrosły i interes prosperował jak nigdy.

Większość panien zebranych owego wieczora w Sali balowej w Saints Charles marzyła, by zwrócić na siebie uwagę Ferrisa. Pragnienie to było tym większe, że Ferris, z racji funkcji, jakie miały mu przypaść w kluczowym dla gospodarki narodowej przedsiębiorstwie, znajdował się pod ochroną i żadna komisja poborowa nie ośmieliłaby się przesłać mu karty powołania ani wysłać na ten czy inny front. W ten sposób majątny młody człowiek miał pewność, że ocaleje z wojennej pożogi, a dla ewentualnych kandydatek na żonę owego młodzieńca taka pewność nie była w owych niepewnych czasach błahostką.

Cappy była dziedziczką tysiącakrowej plantacji trzciny cukrowej River Road – panną rozpieszczoną i hołubioną przez rodziców na równi z majątkiem.

Korzeniami wrosła w żyzną glebę Luizjany równie głęboko, jak rodzinny dom na plantacji. Żaden przybłęda ani biedak nie miał prawa zaplatać się pod dach Robillardów z River Road. Uważali się za spadkobierców francuskiej rodziny królewskiej i fanatycznie strzegli czystości rodu podczas wojny secesyjnej, kiedy tak wielu przedstawicieli ich klasy zmuszono do kompromisów. W wyobrażeniu Robillardów idealny kandydat na męża dla Cappy powinien

posiadać nie tylko odpowiednie przymioty charakteru, lecz także nieposzlakowaną opinię i godne nazwisko, które nie zostało skalane jakkolwiek wzmianką w szukającym sensacji brukowcu ani nie stało się tematem klubowych ploteczek. Ferris zdawał sobie sprawę, że nie spełnia tak wygórowanych wymagań. Jego ojciec był człowiekiem podejrzanego autoramentu, ponadto dał się poznać jako nieprzebiegający w środkach lawirant zarówno w sferze polityki, jak biznesu. Henry Gerritsen płaszczył się przed Hueyem Longiem, prostakiem, który obrażał i publicznie postponował nowoorleańską arystokrację.

Po śmierci Hueya zaś, pod rządami nowej administracji, bez skrupułów korzystał z przywilejów władzy. To prawda, odniósł sukces. Parweniuszowskie zagrywki puszczone by mu nawet w nie pamięć, gdyby nie seria skandali, jakie wstrząsnęły Luizjaną w 1939 roku. Przeżarta korupcją administracja Leche'a runęła niczym domek z kart, a bez pomocy Earla Longa, któremu cudem udało się wyjść z afery obronną ręką, Henry trafiłby zapewne do więzienia. Po tym wszystkim towarzyska elita tolerowała obecność Henry'ego na bankietach i spotkaniach, lecz nie dopuszczała go do wąskiego kręgu wtajemniczonych.

Ferris miał w nosie owe elitarne kręgi wtajemniczonych i nic sobie nie robił z pretensjonalnych manier socjety. Zależało mu jedynie na tym, by zwabić Cappy Robillard na tylne siedzenie swojego samochodu, nim wyruszy na bój ze Szwabami i Japońcami.

Gapił się na nią od początku balu. Skoro założył, że jest konkretna – jego komunikat musiał być prosty i czytelny. „Podobasz mi się, bardzo mi się podobasz, chciałbym się z tobą kochać, och, nawet teraz...”

Cappy stała w kółku panien, które z udanym zachwytem podziwiała pierścionek zaręczynowy Carol Bennett. Początkowo stwarzała pozory, jakby go nie dostrzegała. Z kokieteryjnie przybieranych póz wywnioskował jednak, że świetnie wyczuwa jego zainteresowanie.

Nieprzypadkowo wystawiała na pokaz swój nieskazitelną profil (niewielki pieprzyk nad kącikiem ust przydawał jej urodzie zmysłowej nuty) i ustawiała się tak, by móc zerknąć na niego od czasu do czasu ponad plecami koleżanek. Kiedy zaś grupa dziewcząt odpłynęła w głąb sali, śmiało podniosła wzrok i natychmiast podchwyciła jego spojrzenie.

– Nie wiedziałam, że tu jesteś, Ferrisie Lee. – Zbliżyła się nieco, lecz na stosowną odległość. – Chwila wytchnienia od nauki?

Orkiestra – dziesięciu jazzmanów, jeden bielszy od drugiego – zagrała pierwsze takty melodii. Ferris zapraszająco wyciągnął ramiona, a ona, obdarzywszy partnera łaskawym uśmiechem, przysunęła się i złożyła dłoń w rękawicze na jego ramieniu.

– Nie miałem dzisiaj zajęć na uczelni – rzekł Ferris.

- Nie? Zdaje się, że nie jesteś przykładnym studentem.
- Nie jestem przykładny w niczym. – Przyciągnął ją bliżej do siebie, a ona nie stawiała oporu.
- Czy wiesz, co o tobie mówią? Że jesteś bardzo, bardzo złym chłopcem.
- To dlatego, że nie mam zamiaru spędzić życia na tych kretyńskich przyjęciach.
- Tak? A co masz zamiar robić?
- Na początek zabić z tysiąc szkopów.
- Stała i odepchnęła go z udanym oburzeniem.
- Ferrisie Lee! Jak możesz!
- Klawo, no nie? Zaciągnąłem się do woja. Od dzisiaj jestem chorąży Geritsen. W marynarce nie jest źle – wyszczerzył zęby. – Poza tym znam się nieco na statkach.
- Nie wierzę własnym uszom. Kiedy wyjeżdżasz?
- Dlaczego nie wierzysz?
- Bo masz znakomitą wymówkę, żeby nie brać udziału w wojnie.
- Dlaczego uważasz, że chcę się wymigać?
- Jej oczy zwęziły się do szparek.
- Nigdy bym cię nie podejrzewała o wojownicze skłonności – odparła tonem, który zdradzał, że byłaby zawiedziona, gdyby było odwrotnie.
- Nie? – Przyciągnął ją znowu. – Więc co, żałujesz, że wyjeżdżam?
- Żal mi wszystkich chłopców, którzy jadą się bić.
- Czy żałujesz, że ja wyjeżdżam?
- Oczywiście. Będę za tobą tęskniła tak jak za innymi.
- Ale ja nie jestem taki jak inni, Cappy. – Otoczył ramieniem jej talię i docisnął Cappy do bioder. – Mam nad nimi ogromną przewagę i za mną powinnaś tęsknić o wiele bardziej.
- Ach, tak? A jakąż to masz niby przewagę?
- Nie cofnęła się, co nie umknęło jego uwagi.
- To proste. Chcę cię bardziej niż inni.
- Nie odezwała się ani słowem do końca tańca. Dała mu się prowadzić bardzo blisko, wręcz na granicy przyzwoitości, a taniec zakończyła obiecującym uśmiechem.

Kiedy Aurore przekraczała próg własnego domu, zawsze wiedziała, czy Henry wrócił – skoro nie witaly jej przyjazne odgłosy codziennej krzątania, skoro z kuchni nie dochodziły zrzędlawe pomruki ani swojski brzęk naczyń, był to nieomylny znak, że pan zjawił się w domu.

Dom zastygał wówczas w grobowej ciszy, bo każdy z jego mieszkańców doświadczył już, że Henry’emu lepiej się nie narażać. Od czasu sromotnej porażki politycznej mąż Aurore przeistoczył się w domowego tyрана. Z wy-

jątkiem niezastąpionej Ti'Boo, nikt ze służby nie był w stanie zagrozić miejsca u Gerritsenów dłużej niż miesiąc. Henry zmieniał służących jak rękawiczki, zależnie od humoru, żeby Aurore nie mogła się z nimi zżyć i zaprzyjaźnić, a później liczyć na ich lojalność. Służba musiała być lojalna wobec niego.

Teraz z pokoju na górze dochodziły przytłumione dźwięki orkiestry Glenna Millera, a w jadalni, gdzie nakrywano do kolacji, cichutko pobrzękiwały srebrne sztućce. Henry najwyraźniej nie udał się tego wieczoru na żadne spotkanie ani nie poszedł z kumplami na drinka. Ostatnio coraz częściej zdarzało mu się doznawać towarzyskiej niełaski. Skandal poważnie uszczuplił jego polityczne wpływy i Henry nie był już wszędzie mile widziany, czy choćby tolerowany.

Kto jednak raz posmakuje polityki, nie może się bez niej obyć. Aurore była więc pewna, że choć jej mąż nie ma już chyba szans na wielką polityczną karierę, to wciąż będzie czynił zabiegi o lokalne wpływy. Tak właśnie się działo. Henry robił wszystko, by podtrzymać znajomości i zachować kontakty, ona zaś – jak zwykle – do późna przesiadywała w firmie, by przypadkiem się na niego nie natknąć.

Teraz było jej szczególnie ciężko – tęskniła za pogawędką z Ti'Boo, lecz przyjaciółka wybrała się tydzień temu na wakacje do rodziny. Miesiąc wcześniej powołano do wojska jej najstarszego syna, ostatnio zaś Val i dwaj synowie Julesa z pierwszego małżeństwa sami się zaciągnęli. W bayou zabrakło silnych mężczyzn z rodzin Boudreaux i Gilbeau, więc Ti'Boo nie mogła odmówić pomocy.

Aurore przeszła do salonu i naląła sobie szklaneczkę sherry. Przejrzała pocztę – listu od Hugh nie było.

Chętnie zerknęłaby do ulubionego ogrodu, lecz obowiązywało zaciemnienie i okna szczelnie zasłonięto ciężkimi storami. Nawet najmniejszy promyk światła nie mógł naprowadzić wroga na dom Gerritsenów.

Przystąpienie Ameryki do wojny wiązało się oczywiście nie tylko z obowiązkowym zaciemnianiem okien. Nałożyło także na Aurore więcej obowiązków w Gulf Coast, przyniosło rozstanie z Ti'Boo, a przede wszystkim bezustanny lęk i troskę o Hugh. Jej syn był teraz w Maroku, wypełniał podobno jakąś misję, której nie pojmowała. Pisywał do niej, ale nie wszystkie listy dochodziły, a te, które dane jej było przeczytać, niewiele wyjaśniały.

Zdawała sobie sprawę, że kochała go zbyt zachłannie i że nazbyt usilnie starała się zatrzymać go przy sobie.

Nie żałowała jednak żadnej chwili, żadnego uścisku, żadnego pocałunku. Owszem, nie zawsze była konsekwentna.

Chciała go chronić przed Henrym, ba, izolować od ojca, lecz gdy Henry zaczął manipulować przyszłością syna, przyglądała się tylko temu w milczeniu. Wmawiała sobie wytrwale i właściwie wbrew sobie, że Hugh powinien

wyjechać, poznać świat i życie, nim zdecyduje się na rzecz tak nieodwołalną, jak kapłaństwo.

Po wybuchu wojny w Europie Henry zażądał, by syn natychmiast stawił się w Nowym Orleanie, lecz ten odmówił. Aurore z trudem powstrzymała się przed błaganiami Hugh o powrót, wiedziała bowiem, że nie może wystąpić z ojcem przeciw niemu. Zapobiegła zatem wybuchowi matczynej troskliwości, a los wynagrodził ją w zamian nieopuszczającym ani na moment lękiem. Bała się, że ukochany syn zginie w wojennej zawierusze i że straci go na zawsze.

Poprawiła fotografię Hugh przed bożonarodzeniowym stroikiem uplecionym z błyszczących liści magnolii.

Usłyszała, że na gorze głośniejszemu zabrzmiały absurdalnie radosne tony „Chattanooga Choo-choo”, i przypomniała sobie o drugim synu. Może jeszcze nie jest za późno, by ingerować w jego życie, pomyślała.

Zapukała do drzwi Ferrisa, otworzyła je i stanęła w progu. Mimo codziennych starań służącej, w pokoju młodszego syna wiecznie panował bałagan. Ferris nie dbał o porządek i nie szanował pracy tych, którzy po nim musieli sprzątać. Dom traktował jak stację kolejową, na której przesiadał się podczas dalekiej podróży.

Błysnął zębami w uśmiechu na widok matki. Zdjął z oparcia krzesła niebieską marynarkę i narzucił ją na ramiona. Aurore domyślała się, że szykuje się na randkę z córką Robillardów. Znała od lat rodziców Cappy, lecz ją samą spotkała po raz pierwszy dopiero tydzień wcześniej. Modliła się, by Ferris znalazł kobietę, która przytępi jego ostre kany, kogoś, kto natchnie go iskierką człowieczeństwa i nada jego życiu głębszy sens.

Cappy nie była jej wymarzoną kandydatką.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała.

– Nie mam sprecyzowanych planów. – Ferris dwukrotnie poprawił krawat, póki węzeł nie spoczął równiutko między rogami kołnierzyka. Chwycił kapelusz o płaskim rondzie i strzepnął z niego niewidoczny pyłek.

– Czy Cappy przebywa u wujostwa?

– Jeszcze przez dwa tygodnie.

– Zanim wróci do domu, będziesz już w koszarach.

– Nie martw się, mamo. Wszystko będzie dobrze. Na wieść o wojennych planach syna Aurore wpadła w rozpacz. Powtarzała sobie, że akurat o Ferrisa nie musi się zadrećzać i że Ferris na pewno wywinie się z każdej opresji. Nie należał do osób, które bezwzględnie kierują się honorem i marzą o tym, by wykazać się męstwem. Podobnie jak ojciec, potrafił asekurować się na dwie strony. Lecz nie tylko bezpieczeństwo syna spędzało sen z jej powiek.

– Wielu młodych ludzi podejmuje dziś pochopne decyzje – westchnęła.

– To aluzja do mnie? Że wstąpiłem do marynarki? Nadeszły ciężkie czasy. Ktoś musi.

– Miałam na myśli Cappy. Sporo młodzieńców pośpiesznie się żeni. Boją się, że jak wyjadą, narzeczona nie będzie czekać...

– O co chodzi, mamó? Nie chcesz, żebym się ożenił? – Ferris poprawił przed lustrem kapelusz, przekrzywiając go zawiadacko. – Od Hugh nie doczekasz się przecież wnuków. Jestem twoją jedyną szansą.

– Nie chcę, żebyś popełnił błąd.

– Uważasz, że Cappy to błąd?

– Nie Cappy, lecz małżeństwo zawarte pod presją.

– Nie odczuwam jakiegokolwiek presji. I potrafię rozpoznać to, co dobre.

– Więc naprawdę masz zamiar się z nią ożenić?

– Początkowo nie miałem. Lecz nie widzę powodu, dla którego nie miałbym tego zrobić. Znasz kogoś, kto bardziej niż Cappy Robillard pasowałby na żonę polityka?

– Polityka?

– Co cię tak dziwi?

– Nigdy nie wspominałeś o politycznej karierze.

– Bo nie pytałaś.

Zabolały ją te słowa, lecz nie dała tego po sobie poznać.

– Do głowy by mi nie przyszło, że zechcesz angażować się w politykę.

Spójrz, jak polityka zniszczyła ojca. Myślę, że to wystarczające ostrzeżenie.

– Ty myślisz... – Spojrzał jej zuchwale prosto w twarz. – Myślisz, ale nie zadałaś sobie trudu, żeby o tym ze mną porozmawiać.

– Przypuszczałam...

– Tak, wiem. Myślisz, przypuszczasz, wydaje ci się. W tym jesteś niezła, mamó – skrzywił się cierpko.

– W przeciwieństwie do ciebie, staruszek nie bawi się w przypuszczenia. Zawsze pyta mnie o zdanie.

– Ależ Ferris, jak możesz porównywać mnie z ojcem?

– Rzeczywiście – uśmiech Ferrisa zgasł. – To żadne porównanie. Wiem, kim jest on i kim jesteś ty. Wiem też, dla kogo się liczę, a dla kogo nie.

– Mylisz się, Ferris. Jesteś moim synem. Kocham cię. – Twój syn jest w Maroku. – Zerknął wymownie na zegarek. – A co do moich planów, to będę służył w marynarce i wrócę jako bohater. Ale zanim wyjadę, ożenię się z Cappy Robillard i postaram się, żeby jak najszybciej zaszła w ciążę. Rozumiesz, chodzi o to, żeby nie miała odwrotu. Po powrocie skończę studia i odbędę roczną lub dwuletnią praktykę prawniczą. Kiedy wyrobię sobie markę w odpowiednich kręgach, poszukam partyjnego poparcia. A kiedy nadejdzie odpowiedni moment, będę się ubiegał o urząd. A potem? Któż to wie? Może któregoś dnia nadejdzie pora, żeby w Owalnym Gabinetecie zasiadł ktoś z Lu-izjany?

– Ktoś, zgoda, ale nie ktoś taki, kto ma na uwadze jedynie własne korzyści. Czy porażka ojca niczego cię nie nauczyła? – Wyciągniętą dłonią musnęła jego rękaw.

– Wiem, że popełniłam wiele błędów. Ojciec zagarnął cię dla siebie, a ja nie potrafiłam się temu przeciwstawić. Ale nie dlatego, że cię nie kochałam. Zawsze kochałam cię równie mocno, jak Hugh. Po prostu... nie umiałam do ciebie trafić. Uważałam, że będzie jeszcze gorzej, jeśli będziemy walczyli z Henrym o ciebie, jakbyś był dzieckiem tylko jednego z nas. Chyba wiesz, że próbowałam pokazać ci, jak jesteś dla mnie ważny.

– Jasne. Jestem ogromnie wdzięczny. – Usunął się spod jej dotyku. – Ale teraz to i tak bez znaczenia. Nauczyłem się już wszystkiego, co potrzebne. Umieję torować sobie drogę i przeć do przodu. Do przodu, mamó, do przodu!

Aurore jeszcze nigdy nie odczuwała tak dotkliwie dzielącej ich przepaści.

– Ferris – odezwała się w ostatniej próbie dotarcia do jego serca – tylko nie żeń się z wyrachowania. Ożeń się z Cappy lub kimkolwiek innym, lecz z miłości. Proszę, nadaj swojemu życiu jakieś znaczenie. Chłodna kalkulacja to za mało, żeby być szczęśliwym.

– Rany boskie, jeszcze ci mało? Ożenię się z panną z najlepszej rodziny w Luizjanie. Będę ryzykował życie w obronie ojczyzny. Jeśli uda mi się powrócić cało, zajmę się służbą publiczną. Czy to nie wystarczy? Czy to mało, żeby moje życie miało jakieś znaczenie?

– Ale kierujesz się fałszywymi motywami.

– Posłuchaj, scedowałaś moje wychowanie na ojca. Jeśli teraz nie jesteś zadowolona z rezultatów, bo za bardzo przypominam ci Króla Henry’ego, wiń za to samą siebie.

Obrócił się na pięcie i wyszedł. Aurore została sama, z echem jego słów, które wciąż brzmiały w jej uszach niczym dręczący wyrzut.

Ferris początkowo nie planował małżeństwa z Cappy.

Chciał ją poślubić po powrocie z Europy, a posiąść – jak Bóg przykazał – dopiero po ślubie. Jej dziewictwo mógłby zabrać na wojnę w charakterze talizmanu.

Jednakże owej nocy, po balu na cześć Carol Bennnett, wszystko poszło tak gładko, że byłby frajerem, gdyby nie skorzystał z okazji. Kiedy obściskował jęczącą z rozkoszy Cappy na tylnym siedzeniu swojego sportowego wozu, zdał sobie sprawę, że zwycięstwo da się osiągnąć niewielkim kosztem. Wystarczy delikatny przymus, a Cappy będzie jego. I bez jakiegokolwiek przymusu zostanie z nim na zawsze, póki śmierć ichnie rozłączy. Amen.

Zapewne był za młody na małżeństwo, lecz sytuacja wymagała pośpiechu. Kiedy wróci z wojny, dojrzeje, okay. Ale co wtedy? Kolesie stacjonujący bli-

żej domu zagarną kobiety pokroju Cappy. Nie miał zamiaru zadowalać się podlotkiem lub ochłapami po innych.

Zasługiwał na towar najlepszej marki – a Cappy niewątpliwie nim była.

Korzyści płynące z poślubienia Cappy właśnie teraz, objawiły mu się nagle nader klarownie. Ożeni się z nią, zaklepie ją sobie, a potem, przez długie miesiące, a może nawet lata, będzie żył sobie jak wolny człowiek.

W końcu jest wojna, nikt nie oczekuje od żołnierza dochowania wierności. Kiedy wróci, być może zechce się ustatkować, a swój popęd skieruje w dziedzinę bardziej produktywną niż seks.

Na razie zostało mu dziesięć wspaniałych dni. Oczywiście, jeśli Cappy się zgodzi.

Zgodzi się, nie może być inaczej. Po pierwsze ciągnęło ją do niego, po drugie była miękka i wystarczyło ją tylko lekko nacisnąć, no a po trzecie oboje przekornie pragnęli zmącić zastoje, spokojne bajorko nowoorleańskiej socjety. Trwała wojna, karnawał odwołano, a wraz z nim przeniesiono na lepsze czasy wybór królowej karnawału, w którym Cappy miała zamiar wziąć udział i wygrać. Od urodzenia szykowała się do tej roli, teraz więc chodziła zła i markotna. Skoro straciła szansę na koronację, to dlaczego nie miałyby zostać żoną Ferrisa? Jej rodzice z pewnością uznają to za zniewagę, co tylko doda pikanterii całej sprawie.

Dzięki temu Cappy znajdzie się na ustach całego miasta – wydarzenie równie ekscytujące, jak jednodniowe panowanie. Jadąc do niej, powtórzył w myśli wcześniej przygotowane argumenty. Był jednak niemal pewien, że obejdzie się bez nich. Jak do tej pory Cappy nie opierała się niczemu, co proponował. Całował ją – a ona go jeszcze mocniej, wkładał ręce pod jej suknię – aż jęczała z radości. A gdyby postanowił wziąć ją tam, na kanapie samochodu, nawet by nie pisnęła. Ostatecznie nie posunął się tak daleko, ale to, że Cappy gotowa była mu się oddać, było równie ekscytujące, jak sam orgazm. Teraz też nie miał wątpliwości, że mu się nie oprze.

Wuj i ciotka Cappy mieszkali kilka przecznic od niego, w piętrowym domu utrzymanym we włoskim stylu, z długimi galeryjkami wzdłuż frontowych ścian, zwieńczonym imponującym szczytem. Czarna kobieta w białym fartuszkowi wprowadziła go do środka. Kiedy czekał na Cappy, służący i służące co chwila wślizgiwali się i wymykali z holu, jakby mieli akurat tutaj mnóstwo niecierpiących zwłoki spraw do załatwienia.

Wiedział, że został poddany wnikliwej ocenie. Nie poproszono go do salonu, co wiele mówiło o sposobie, w jaki Robillardowie z Nowego Orleanu traktują jego zaloty – prawdopodobnie rodzice Cappy też.

Cappy warta była czekania. Jej jasne włosy, misternie upięte szpilkami, lśniły w świetle żyrandola niczym złoto. Miała na sobie białą suknię, której rękawy skrywały, ale nie za bardzo, krągłe ramiona. Ferris nie po raz pierwszy

doszedł do wniosku, że Cappy należy do kobiet, które równie czarująco wyglądają w wieku dwudziestu, jak pięćdziesięciu lat i że będzie ozdobą u boku męża senatora czy prezydenta.

– Od dawna czekasz? – zapytała na powitanie. – Thelma dopiero teraz mi powiedziała.

– Thelma uznała, że nie jestem dla ciebie dobrą partią.

– Nie pozwolę, żeby Thelma mówiła mi, co jest dobre, a co nie.

– Mam wrażenie, że inni domownicy dzielą jej opinię.

– Liczy się tylko moja opinia, nie uważasz?

– Oczywiście.

– Cóż, cieszę się, że jesteśmy co do tego zgodni – sapnęła poirytowana i ruszyła w jego kierunku. Sunęła z dostojnie uniesioną głową, prowokacyjnie kołysząc biodrami. Wyciągnęła do niego dłoń wystudiowanym gestem, a on zamknął ją w uścisku.

– Wyglądasz oszalamiająco. Chodźmy gdzieś, gdzie mógłbym cię pokazać.

– O wiele bardziej atrakcyjna wydaje mi możliwość pokazania się tobie.

– No, no... – Uniósł lekko brew. – Brzmi nieźle.

Thelma przyniosła Cappy płaszcz, a Ferris leniwym ruchem, jakby od niechcenia, pogładził kark narzeczonej, pomagając jej włożyć okrycie.

– Nie jesteś już potrzebna, Thelmo – odprawiła służącą Cappy. – Powiedz cioci, że wrócę późno. Bardzo późno.

Przeszli pod rękę do auta. Za kieszonkowe, które dostawał od ojca, Ferris kupił nowy komplet opon, mógł więc teraz śmiało poszpanować. Dzięki temu, że miał własny samochód, dwa dni wcześniej wybrali się na cudowną przejażdżkę za miasto, żeby się trochę popieścić – tej przyjemności większość ich znajomych była pozbawiona.

– Dokąd jedziemy? – spytała Cappy, kiedy wolno dojeżdżali do skrzyżowania.

– To zależy od ciebie. Możemy coś zjeść albo potańczyć w „Terrace Club”. Albo się pobrać.

Nie wyglądała na zaskoczoną, choć odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

– A jakim będziesz mężem, Ferrisie Lee?

– Najlepszym pod słońcem. Dam ci wszystko, czego zapragniesz.

– Sama nie wiem, czego pragnę.

Było to dość osobliwie wyznanie jak na Cappy. Nie spodziewał się po niej tak głębokiej refleksji.

– Nie tego, czego chcą wszystkie kobiety? – podsunął.

– Żeby ktoś się o ciebie troszczył, zapewnił ci poziom życia, do jakiego przywykłaś, z kogo mogłabyś być dumna?

– Nie dajesz mi wiele czasu do namysłu.

– Pomyślałem już o wszystkim, za nas oboje. Znam takie miejsce, gdzie możemy wziąć ślub choćby dzisiaj. W ten sposób zyskamy kilka dni przed moim wyjazdem.

– No właśnie, wyjedziesz...

– Może uda mi się wpaść kilka razy do domu, zanim wypłyniemy za ocean. Do diabła, może nawet będę stacjonował gdzieś w pobliżu przez całą wojnę. – Przemilczał fakt, że uczyni wszystko, co w jego mocy, by stacjonować jak najdalej.

– Dlaczego wybrałeś mnie, Ferrisie Lee?

Uznał, że należy się jej przynajmniej drobna częśćka prawdy. Nie spodziewał się po niej szczerości i sam nie zamierzał postępować uczciwie, ale to jedno mógł jej powiedzieć.

– Bo pasujemy do siebie – oznajmił.

– Ale ukrywamy przed sobą to, co w nas najlepsze.

– Co masz na myśli? – Zmarszczył brwi.

– Czy nie masz czasem wrażenia, że gdzieś głęboko drzemie w tobie lepsza wersja Ferrisa Lee Gerritsena, lecz nie masz z nią jakiegokolwiek kontaktu?

– Nic podobnego.

– A ja tak. Mam wrażenie, że w środku jesteśmy lepsi.

Zjechał na pobocze i zatrzymał samochód.

– Miłość wszystko zmienia, Cappy. Większość kobiet w to wierzy. Ty nie?

– Miłość? Kochasz mnie, Ferrisie Lee?

Przez moment zawahał się, niepewny, czy wybór Cappy był jedynie wynikiem przebiegłych kalkulacji, czy też ta kobieta rzeczywiście budzi w nim doznania, jakich dotychczas nie odczuwał. Pochylił się i pocałował ją, nie do końca przekonany o motywach, które nim kierują. Cappy była wiotka i delikatna, w jakiś nieuchwytny sposób podatna na zranienie.

Taka cecha zazwyczaj budziłaby w nim perwersyjną satysfakcję z przewagi, jaką dzięki niej zyskiwał. Był przecież nieodrodnym synem swojego ojca i perfekcyjnie nauczył się zadawać ból. Lecz jakoś dziwnie myśl o ranieniu Cappy nie sprawiała mu spodziewanej przyjemności.

Odsunął się nieco i wypowiedział słowa, na które czekała.

– Kocham cię i nie wyjadę, póki nie zostaniesz moją.

– Wszystko byłoby takie proste, gdyby nie ta głupia wojna, prawda?

Odetchnął z ulgą. Tak mówiła ta Cappy, którą znał.

– Och, wojna nie potrwa długo. Skończy się i wszystko stanie się proste. Ale teraz wyjdź za mnie. Wróć i zaczniemy wspólne życie. Będziemy dla siebie dobrzy. Jestem pewien.

– Chyba nie mam wyboru.

To brzmiało równie dobrze jak zgoda. Ferris pocałował narzeczoną, przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył z piskiem opon – do przodu.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Niektóre kobiety w ciąży rozkwitają. Ale nie Cappy.

Jej cera nabrała ziemistego odcienia, włosy zmatowiały, a drobna figura rozděła się do groteskowych rozmiarów. Przyszła matka miotła się jak szalona po domu Aurore, ze zgrozą przeglądając się w każdym lustrze, czy aby przypadkiem w drodze z jednego pokoju do drugiego nie przytrafiło się jej kolejne nieszczęście.

Pewnego skwarne go popołudnia Aurore postanowiła pomóc synowej.

– Daj spokój, Cappy – odezwała się do niej z krzepiącym uśmiechem. – Cięża nie jest tragedią. Spróbuj spojrzeć na to inaczej, jak na cud natury.

– Cud natury! – zachnęła się Cappy. – Mówiłam Ferrisowi, że nie chcę dziecka. Nie mam pojęcia, jak do tego doszło.

– Moja droga, sądzę, że kiedy poszperasz w pamięci, na pewno sobie przypomnisz.

Rozzalone Cappy przysiadła obok teściowej na kanapie.

Od ślubu z Ferrisem mieszkała tutaj, bowiem jej rodzice wciąż nie mogli pogodzić się z szalonym wyczynem jedynej córki i w przyływie gniewu wypowiedzieli kilka niepotrzebnych słów. Cappy uniosła się honorem, a Ferris podsycił jej bunt. Potem zaś przyprowadził nowo poślubioną żonę do rodzinnego domu i oznajmił matce, że na razie zamieszkają tutaj. To znaczy Cappy zamieszka, bo on jedzie na wojnę.

– Mam tak obrzmiałe nogi, że ledwie chodzę – żaliła się teraz.

– Wiem, że niełatwo znosić ciężę w taki upał. Ale zapewniam cię, że to nie najgorsze nieszczęścia, jakie zdarzają się w życiu.

– Doprawdy? – Cappy uniosła brwi z wyniosłą miną. Nawet bosa i ciężarna, była jednak nieodrodną córką Robillardów z River Road.

– Sama pomyśl. A gdybyś tak musiała teraz płynąć statkiem na wojnę?

– Przynajmniej wiatr by mnie ochłodził.

Aurore podała synowej szklankę wody.

– Proszę, to sprawi ci ulgę.

– Niedobrze mi się już robi od tych wojennych doniesień! Wiem, że chłopcom w mundurach jest trudniej, ale nam przecież też nie jest łatwo!

Aurore poczuła, że traci resztki cierpliwości. Sama była kompletnie wyczerpana. Od dobrych kilku lat harowała ciężko, by po najgorszym okresie recesji przywrócić Gulf Coast dawną świetność. Żmudny trud opłacił się i teraz rządowa Komisja Morska wykorzystywała całą jej flotę na potrzeby wojennych dostaw. To oznaczało dodatkowe zyski, ale też dodatkową pracę; pracę od świtu do nocy, kiedy trzeba było koordynować przeładunki, nadzorować liczny personel, obmyślać najbezpieczniejsze marszruty rejsów. Padała ze zmęczenia, synowie byli w Europie, synowa w ciąży, a mąż nie kwapił się do pomocy.

Pohamowała jednak rozdrażnienie. Powinna jakoś osłodzić synowej ten trudny okres. Dobrze chociaż, że Cappy, która przez pierwsze miesiące w domu Gerritsenów prawie do nikogo się nie odzywała, teraz postanowiła nawiązać z teściową bliższy kontakt. A że w ten sposób...

– Może pójdziesz na spacer? Od razu poczujesz się lepiej.

– Niby dokąd? Rodzice nie chcą ze mną rozmawiać. Zadzwoiłam dziś do mamy, a ona odłożyła słuchawkę!

– Przykro mi, dziecko. Próbowалам z nimi pomówić, ale na próżno. Są na was wściekli za ucieczkę i cichy ślub.

– Od tego czasu minęło już prawie osiem miesięcy!

Mam urodzić ich wnuka! Czy nic to dla nich nie znaczy?

– Kiedy dziecko przyjdzie na świat, na pewno ci przebaczą – pocieszała ją Aurore, lecz prywatnie miała co do tego wątpliwości. Robillardowie chowali córkę na królową, a ona wydała się za zwykłego szlachcica. Być może kiedy uznają, że za swój wybryk poniosła dostatecznie dotkliwą karę, przyjmą ją z powrotem na łono rodziny. Na razie kłopotem obarczyli Aurore.

– Najgorsze jest to, że od tygodni nie miałam wiadomości o Ferrisie – ciągnęła swoją żalosną litanię młoda żona.

– Też bym chciała dostać jakiś list. Niestety, w czasie wojny poczta nie zawsze dochodzi regularnie. Prawdopodobnie Ferris wciąż jest na pokładzie okrętu. Z pewnością wkrótce napisze.

– Boże – westchnęła Cappy – czasami mam wrażenie, że specjalnie nas opuścił. Nie chciał być przy narodzinach dziecka.

– Nie sądzę, by mógł dyktować przełożonym własne warunki. Jest żołnierzem, musi słuchać rozkazów.

– E, tam. Gdyby chciał, to teraz byłby tu ze mną.

Ferris Lee zawsze stawia na swoim.

– To prawda. A ty, jeśli chcesz być szczęśliwa, nie możesz mu na to pozwolić. Ale nie myśl teraz o tym, jak sobie ułatwić życie, lecz o dziecku.

– Miałabym unieważnić małżeństwo? – spytała Cappy i zaraz położyła dłoń na ustach. Przez chwilę zaległa cisza i tylko z ogrodu dochodził śpiewny

skrzek przedrzeźniacza. – Przepraszam – westchnęła po chwili – nie to miałam na myśli.

Aurore ujęła dłoń synowej. Nie lubiła jej, co więcej, nie darzyła szacunkiem, lecz współczuła w kłopotliwej sytuacji.

– Wiem, że nie jest ci łatwo. Pewnie nachodzi cię niekiedy ochota, żeby cofnąć czas. Ale to niemożliwe. Pomyśl więc o przyszłości.

– Moja przyszłość to wrzeszczący bachor bez odpowiedniej niańki. Co lepsi kolorowi poszli pracować w fabrykach. Będę musiała sama zajmować się dzieckiem.

Aurore odsunęła rękę. Przypomniała sobie swoje dziecko, małą Nicolette, której się rzekła ze strachu o to, że nie zdoła zapewnić jej miłości i opieki.

– To błogosławieństwo, a nie kara – orzekła. – Kobiety od wieków zajmują się swoimi dziećmi. Znajdziemy ci jakąś pomoc, lecz większość obowiązków spadnie istotnie na ciebie. Może czas zacząć się uczyć, jak pielęgnować niemowlę.

– Niby jak, od kogo?

– Nie masz przyjaciółek, które mają dzieci?

– Niewiele.

– Zadzwoń więc do tych, które mają, i zapytaj, czy możesz je odwiedzić.

– Mam się pokazać w takim stanie?

– Nikt nie oczekuje królowej karnawału. Przyda ci się pogawędka z jakąś młodą matką. Zobaczysz, jak ona sobie radzi. Pobaw się z dziećmi, poproś o wzory dziecięcych sweterków. Zajmij się czymś. Zobaczysz, że czas szybciej zleci.

Na usta Cappy wypłynął blady cień uśmiechu, jej twarz dopiero teraz odrobinę złagodniała.

– Sweterki? – powtórzyła. – Przecież nie umiem robić na drutach.

– Nauczę cię.

– Ty? Nie wierzę, że potrafisz. To nie w twoim stylu.

– Zgoda, ja też nie umiem. Będziemy uczyć się razem, chcesz?

Kiedy w Nowym Orleanie zaczęły krążyć pogłoski, że niemieckie łodzie podwodne wślizgnęły się w deltę Missisipi i atakują cywilne okręty, Aurore dokonała pospiesznych kalkulacji, by przekonać się, czy to możliwe.

Biorąc pod uwagę prądy rzeczne, prędkość łodzi i czas, jaki można pozostać w zanurzeniu, wydawało się mało prawdopodobne, by łódź podwodna zdołała niepostrzeżenie przebyć stumilowy odcinek od ujścia rzeki do Nowego Orleanu bez wynurzenia. Plotka była więc tylko plotką, opierała się wszakże na jednym niekwestionowanym fakcie – U-Booty operowały w Zatoce.

Pewnego mglistego sierpniowego wieczoru Aurore podeszła do okna w biurze Gulf Coast i zapatrzyła się w rzekę. Ostatnio na Missisipi panował tłok nie do opisania. O tym zawsze marzyła. To była jej rzeka, a teraz – jej wojna. Podczas gdy inne gospodynie domowe wylegiwały się przy radioodbiorniku lub podejmowały niedzielną kolację któregoś z samotnych żołnierzy obsługujących wojskowe urzędnictwo – ona i jej współpracownicy obmyślali bezpieczną strategię dla amerykańskiej floty.

Wiele statków zatoneło ostatnio w Zatoce Meksykańskiej, choć nie podawano tych przypadków do wiadomości publicznej. Jeden z U-Bootów zatopił przy ujściu Missisipi okręt, który uratował rozbitków z innych jednostek pochłoniętych przez wody Zatoki.

W efekcie nowoorleańskie szpitale zapełniły się rannymi. Podczas gdy rząd usiłował odnaleźć i zniszczyć bazy zaopatrzeniowe U-Bootów oraz udoskonalić metody ich wykrywania, Aurore starała się chronić swoją flotę i cenny ładunek, który oddano pod jej opiekę na czas rejsu. Zadanie to wypełniała samotnie, bowiem Henry zaangażował się znowu w jakieś polityczne machinacje – nawiasem mówiąc, znowu bez powodzenia – i nie mogła na niego liczyć.

Nigdy zresztą nie liczyła na jego pomoc i starała się trzymać od niego jak najdalej. Tęsknie wspominała lata, kiedy Henry mieszkał z dala od domu, zajęty politycznymi knowaniami w Baton Rouge. To były najlepsze lata jej małżeństwa. Miała czas na refleksję, poznawała siebie, porządkowała bezładne okrucy wspomnień, nie drżała ze strachu na każdy odgłos kroków.

A potem Henry wrócił w niesławie. Początkowo wydawało się, że spokojnie, że wyciągnął wnioski z własnych błędów. Lecz z biegiem czasu powrócił do dawnych nawyków i stał się jeszcze gorszy. Nie dalej jak miesiąc wcześniej Spencer St. Amant ostrzegwał Aurore, by miała się na baczności – podejrzewał, że Henry zdolny jest nawet ją zabić.

Aurore nie uciekła. Zdecydowana była wytrwać i podtrzymywać iluzję zgodnego związku ze względu na synów i opinię socjety. Nie zniosłaby upokorzenia, gdyby wyszło na jaw, czym naprawdę było jej małżeństwo.

Teraz musiała zaopiekować się synową i wnukiem.

Szybkość, z jaką Ferris zrealizował swój plan, wprawiła ją w konsternację, jednak z upływem czasu myśl o wnuku napawała ją radością. Nowe życie niosło ze sobą nowe możliwości, nowe nadzieje, nowe szanse. Postanowiła oddać nowemu pokoleniu to, co była mu winna – i to postanowienie dodawało jej sił w najtrudniejszych momentach.

Za oknem przepłynęła długa flotylla połączonych ze sobą barek. Aurore miała mnóstwo spraw do załatwienia, lecz rzeka przyciągała jej wzrok z jakąś magiczną siłą.

– I czegoż to tak wypatrujesz, Rory?

Nie poruszyła się ani nie przełęka, słysząc głos męża. Znała go dobrze i przywykła już, że Henry niespodziewanie zjawia się jak spod ziemi, by ją nastraszyć i wzbudzić w niej poczucie winy.

– Pieniędzy i roboty. – Odwróciła się do niego. – Z każdym dniem na rzece jest coraz więcej statków.

– Dlatego pracujesz codziennie po nocach?

– Ktoś musi.

– Biedactwo. Chciałabyś, żebym też trochę potywał?

– Jeśli polityka sprawia ci przyjemność, cieszę się razem z tobą.

– Ale nie popierasz tego, co robię. – Podeszedł bliżej. Miał koszulę rozpiętą pod szyją i poplamioną kieszeń marynarki. Plamista żółtawa cera była zapewne efektem nadużywania alkoholu. Pałace słońce Luizjany wysuszyło ją i porało, nadając zwiedłym rysom wyraz gniewnego grymasu.

– Czy moje poparcie ma jakieś znaczenie? I tak zrobisz to, co zechcesz. Ciesz się, że nie ujawniłam twoich machlojek, kiedy okradaliście z Leche'em stanowy budżet.

– Dobrana z nas para, nie sądzisz? – zarechotał. – Oboje trzymamy się w szachu. Ty trzymasz dla siebie moje tajemnice, a ja twoje.

Poczula od niego świeży odór whisky i teraz dopiero się przełęka. Pod wpływem alkoholu wyłaziła z niego prawdziwa natura. Kiedy był trzeźwy, bił ją jedynie wtedy, kiedy dostrzegał w tym jakąś korzyść. Kiedy pił, czerpał satysfakcję wyłącznie z zadawania bólu.

– Pamiętaj, że ja też mam przyjaciół w kręgach władzy – warknęła ostrzegawczo. – Sylvian Winslow już dawno cię nie słucha, ale mnie tak. Gdyby się dowiedział, że mnie bijesz, twoje dni w tym mieście byłyby policzone.

– Gdyby się dowiedział... – powtórzył z okrutnym uśmiechem. – Niby jak?

– Którego dnia przebierzesz miarkę.

– Grozisz mi?

– Nie, jestem tobą znudzona. Idź do domu i zostaw mnie w spokoju. Mam jeszcze sporo pracy.

– Uważaj! – Chwyił ją raptownie i wpił palce w jej ramiona. – Mógłbym cię zabić – wycedził. – Żaden problem...

– Puść! – Szarpnęła się gwałtownie. – Jeśli zabijesz mnie, zgładzisz też siebie. Niedługo przyjdzie na świat nasz wnuk. Mamy dwóch synów. Zastanów się...

– Nie wnuk, tylko wnuczka. Już przysłała na świat.

Z początku Aurore nie zrozumiała sensu tych słów.

Dopiero po chwili otworzyła szeroko oczy i zapytała:

– Cappy? Czy ona...

– Została matką.

– O miesiąc za wcześnie! Kiedy wychodziłam rano z domu, nic się jeszcze nie działo!

– Widzisz, Rory. Niektóre sprawy nie mogą czekać, nawet na ciebie.

Nie słuchała jego zjadliwego głosu. Wybiegła z biura jak szalona i popędziła do samochodu. Dlaczego nikt mnie nie zawiadomił, myślała. Dlaczego Cappy mnie nie wezwała? Dlaczego...

Drogę do szpitala przebyła w pięć minut. Pchnęła szerokie drzwi i bez namysłu pomknęła prosto na oddział położniczy. Nie bacząc na uwagi pielęgniarki, że nie przestrzega pory odwiedzin, wtargnęła do Sali i zatrzymała się na widok tego, co ujrzała.

Cappy spała, równie blada, jak szpitalne prześcieradło.

Wyglądała tak mizernie, że Aurore podeszła do jej łóżka w asyście wciąż pomrukującej gniewnie pielęgniarki i ujęła synową za chudy przegub.

– Zostanę tutaj, póki się nie obudzi – oznajmiła stanowczo. – Gdyby miała pani ochotę narobić szumu, proszę przyjąć do wiadomości, że jestem członkiem zarządu tego szpitala.

Pielęgniarka natychmiast się ulotniła, natomiast Cappy, jakby wyczuła obecność Aurore, zamrugwała powiekami i otworzyła oczy.

– To ja, Cappy. – Aurore ścisnęła mocniej jej rękę. – Przed chwilą się dowiedziałam i od razu do ciebie przybiegłam. Gdybym wiedziała, nie zostawiłabym cię samej.

Cappy odwróciła głowę.

– Wszystko stało się tak szybko... – wydusiła z siebie. – Pamiętam tylko, że pan Gerritsen wsadził mnie do samochodu, potem znalazłam się w szpitalu, a potem... chyba zasnęłam.

– Żałuję, że mnie przy tym nie było.

– Co urodziłam?

– Tak się martwiłam, że nie zdążyłam zapytać. – Aurore uniosła głowę i napotkała wzrok pielęgniarki, teraz bardzo miłej, która trzymała na rękach niewielkie zawiniątko. – Chyba się zaraz dowiemy.

Pielęgniarka podeszła do łóżka i złożyła zawiniątko u boku Cappy. Ta spojrzała niechętnie na małą twarzyczkę.

– Chłopiec czy dziewczynka?

– Dziewczynka – oznajmiła siostra. – Waży niecałe trzy kilo. Mogę ją tu zostawić tylko na kilka minut.

Aurore pochyliła się na łóżkiem synowej i zajrzała w twarz małego.

– Jaka śliczna! Spójrz, Cappy, to twoje dziecko. Naprawdę śliczne.

– Dziecko jak dziecko.

– Nieprawda. Ona jest wspaniała. Masz córkę, kochanie. A ja wnuczkę.

– Chyba wolę dziewczynkę... Ferris chciał chłopca.

– To nie ma znaczenia. Na pewno będzie ją kochał.

– Wybrałam już dla niej imię.

– Tak prędko? Dopiero ją zobaczyłaś.

Dziecko otworzyło oczy, skrzywiło buzię i rozplakało się żałośnie.

– Możesz się odrobinę podnieść? Podam ci ją.

– Nie, sama ją weź.

Aurore ostrożnie uniosła małą i przytuliła do piersi.

– Jak więc ją nazwiesz? – zapytała, gdy dziewczynka przestała kwilić.

– Chciałam, żeby nosiła imię po tobie. Ale Aurore to takie staromodne...

Aurore poczuła, jak ze wzruszenia ściska ją gardle. Nie wiedziała, czy ma okazać wdzięczność, czy przeproszać.

Roześmiała się przez łzy.

– I co postanowiłaś? – zapytała.

– Nazwę ją Dawn. Aurore to znaczy jutrzienka, prawda?

Aurore skinęła głową.

– No więc niech będzie Dawn. Wten sposób będzie nosiła imię po tobie, ale oryginalne*¹².

– Dawn... Śliczne. Doskonałe. Dziękuję, kochanie.

To dla mnie prawdziwy zaszczyt.

– Chce mi się spać. – Cappy przymknęła oczy.

– Mam nadzieję, że któregoś dnia Dawn zostanie królową karnawału.

Aurore milczała. Tuliła w ramionach przyszłą królową, póki nie zabrała jej pielegniarka.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Obserwując zakwefione muzułmańskie kobiety, Nicky nie raz zastanawiała się, jak też wygląda świat zza tak wąskiej szparki. Teraz sama miała okazję się o tym przekonać. Zawężone pole widzenia czyniło przedmioty wyrazistszymi, łatwiej było na nich skupić uwagę.

Poza tym jednak tradycyjny arabski strój był dla niej dość uciążliwy.

¹² * Dawn (ang.) – świt, jutrzienka (przyp. red.).

Nie bacząc na niewygody, z trudem torowała sobie drogę w ożywionym, różnobarwnym, zgietkliwym tłumie medyny. Szukała ulicy, która miała ją zaprowadzić do apartamentu Hugh, żeby zaś nie budzić żadnych podejrzeń, przebrała się za muzułmankę powracającą z bazaru. Galabiję i czarczaf pożyczła od Raszidy, z domu wzięła dwa koszyki, które teraz wyładowane były bochnami chleba, plackami, przyprawami i innymi wiktuałami. Starła się poruszać i zachowywać jak jedna z rodowitych mieszkanek tego niezwyklego, różnobarwnego miasta.

Rzadko odwiedzała Hughw domu. Zazwyczaj spotykali się na mieście, zmieniając miejsca spotkań.

Niekiedy umawiali się też w „Palm Court”, na oczach wszystkich, bowiem unikanie siebie mogłoby wydać się równie podejrzane, jak zbyt częste kontakty. Od chwili kiedy zaczęła zbierać dla niego informacje, musiała nauczyć się niełatwej sztuki konspiracji.

Minęła bramy medyny, potem dwóch Niemców, stałych bywalców klubu. Na szczęście nie zwrócili na nią uwagi. Szpiegowanie tak weszło jej w krew, że w pierwszym odruchu chciała pójść za nimi i podsłuchać, o czym rozmawiają, szybko jednak zrezygnowała.

Spotkanie z Hugh było ważniejsze.

Skromny, jednopiętrowy dom Hugh sąsiedował z trzema innymi budynkami ściśniętymi wokół małego placu. Chłopcy w zabawnych wełnianych czapczkach grali w piłkę na wewnętrznym dziedzińcu, podczas gdy ich siostry szykowały wieczorny posiłek. Na schodach nie spotkała nikogo, lecz i tak rozejrzała się uważnie, nim zapukała do właściwych drzwi.

– Sprzedaję chleb – powiedziała, kiedy Hugh stanął w progu.

Z początku był zdezorientowany, lecz kiedy ją poznał, uśmiechnął się i natychmiast wpuścił do środka. Nicky z ulgą zsunęła kwef, nim zdążył zamknąć za nią drzwi.

– Nie masz pojęcia, jak w tym cholerstwie gorąco. – Powachlowała się dłonią. – Jak Raszida może w czymś takim wytrzymać?

– Co tu robisz w tym stroju?

– Tak mnie witasz?

Przyciągnął ją do siebie, przytulił żarliwie i czule.

Nicky poczuła przyspieszone bicie jego serca.

– Hasim przyniósł kilka nowin, chciałam ci je przekazać.

– Nie przychodź tutaj, narażasz się na niebezpieczeństwo.

– Daj spokój. – Uśmiechnęła się. – Nie w tym przebraniu. Poza tym Niemcy i tak nic z was sobie nie robią. Po co mieliby zwracać sobie głowę jakimiś Amerykańcami?

– Nie przepuścisz żadnej okazji, żeby wsadzić szpilę ojczyźnie-matce, co?

– Roześmiał się i ścisnął jej dłoń.

– Żadnej – przytaknęła i posłała mu filuterny uśmiezek. Rzeczywiście, nie mogła się powstrzymać, by przy

byłe okazji nie dokuczyć Hugh i jego towarzyszom. O ile jednak wcześniej czuła gorycz, żal i wstyd, kiedy myślała o kraju, z którego musiała uciekać z powodu rasistowskich prześladowań i który odmówił jej schronienia, gdy znalazła się w potrzebie, tak teraz bawiło ją raczej docinanie tym nibyszpiegom z Ameryki, którzy starali się, jak mogli, lecz z racji braku doświadczenia, niewiele mogli zdziałać w szpiegowskiej rywalizacji.

Tajna grupa, w której działaniach uczestniczył Hugh Gerritsen i do której ją zwerbował, przybrała nazwę Dwunastu Apostołów. Niemcy lekceważąco określali ich mianem Dwunastu Idiotów. Zdaje się, że dobrze wiedzieli, że stanowiska wicekonsulów stanowiły jedynie przykrywkę dla szpiegowskiej działalności na rzecz Biura Studiów Strategicznych, nowej agencji wywiadowczej, na której czele stanął bliski przyjaciel Roosevelta, Wild Bill Donovan. Taki to jednak był urok Casablanki – wszyscy wiedzieli tu wszystko o wszystkich, a nawet starali się, by przeciwnik rozpoznał ich plany i działania.

Oczywiście pozorowane plany i pozorowane działania. A jednak nawet w tak szczególnym środowisku Dwunastu Apostołów nie umiało się konspirować.

W ciągu pierwszych kilku miesięcy popełnili oni wiele fatalnych, karygodnych wręcz błędów – jeden zakochał się we Francuzce, która prowadziła się z Niemcami i Włochami; drugi zbierał jedynie ploteczki z wyższych sfer, dogłębnie infiltrowanych przez szalejące wywiady obu stron; trzeci skłócił miejscowych urzędników, zamiast zyskać ich przychyłność.

Teraz działali już sprawniej i mimo żartobliwej uszczypliwości, na którą czasami sobie pozwalała, Nicky doceniała znaczenie ich wysiłków. Zwłaszcza że coraz częściej słychać było głosy, jakoby alianci mieli niebawem dokonać inwazji na Afrykę Północną. W tej sytuacji jakikolwiek okrucieństwo, plotka czy nawet skrawek mapy wzmacniał szansę na zwycięstwo.

Hugh zsunął jej kaptur, Nicky z ulgą potrząsnęła lokami. Wsunął dłoń między rozpuszczone kędziory i powiedział miękko:

– Minęły dwa tygodnie, odkąd byliśmy sam na sam. Przyszło ci to do głowy, kiedy usłyszałaś wieść Hasima?

– Owszem. Przebiegło mi to przez myśl.

– Stęskniłem się za tobą.

– A Phillip stęsknił się za tobą.

– A ty?

– Ja? – Odsunęła się lekko. – Próbowałam się z tobą skontaktować w zeszłym tygodniu – rzekła wymijająco – lecz zamiast ciebie, na spotkanie przyszedł Arthur.

– Tak, mówił mi o jakichś mapach nawigacyjnych, które dostałaś od Hasima.

– Dzielicie się informacjami?

– Mhm. Te mapy mają bezcenną wartość, oczywiście jeśli są prawdziwe.

– Nikomu nie wierzysz, prawda?

Apartament Hugh był niemal sterylny w swojej prostocie. Nicky mimowolnie wzięła do ręki jedyną w owym ascetycznym wnętrzu ozdobę – drucianą rzeźbę z drzewa argan*¹³, którą Phillip wykonał w szkole. Cztery kozy na najgrubszej gałęzi drzewa pożywiały się listkami.

– A mnie ufasz? – spytała po chwili namysłu.

– Nie ufam nawet samemu sobie. Podniosła wzrok. Napotkała żarliwe spojrzenie jego niebieskich oczu.

– W takim razie naprawdę mamy wiele wspólnego.

– Co nowego miał do powiedzenia Hasim? – Hugh zmienił temat.

– A na cóż ci to, skoro mu nie ufasz? Czy i ty uważasz go za kłamliwego, przebiegłego Araba?

– Nicky, nie zaczynaj. Nawet najlepsze źródło miewa czasem wpadki. Jeśli ktokolwiek odkryje, że Hasim

nam pomaga, będzie mu celowo podrzucał fałszywki.

Nie wiadomo, czy już tak nie jest.

– Jasne. Ty karmisz kłamstwami ich, oni ciebie. Wszyscy nawzajem karmimy się kłamstwami. Ciekawe tylko, czy jeśli to kiedyś wreszcie się skończy, będziemy jeszcze umieli mówić prawdę?

– Zobaczymy. Co ci powiedział Hasim?

– Dostał cynk, podobno z pewnego źródła, że alianci wylądują w północnej Francji. Jego informator twierdzi, że zaobserwowano wzmożony ruch samolotów zwiadowczych nad tym rejonem. Hasim obawia się, że puszczono tę plotkę dla zamydlenia oczu, ale nalegał, żeby ci ją przekazać.

– Dlaczego sądzi, że to plotka?

– Bo jest pewien, że alianci wylądują w Afryce Północnej. A ty?

– Co ja?

– Co ty o tym sądzisz?

– Może wylądują, a może nie. – Hugh wzruszył ramionami. – Niektórzy twierdzą, że desant będzie w Norwegii. Tak czy inaczej, byłoby wspaniale, Nicky, gdyby Niemcy uwierzyli, że inwazja nastąpi w Dakarze.

– Rozumiem. Mam to puścić w miasto. Coś jeszcze?

¹³ * Argan – marokańskie drzewo, rodzące owoce podobne do oliwek, przeznaczane na paszę dla bydła i kóz (przyp. tłum.).

– Nasz rząd zwrócił się do władz Haiti o zgodę na przeprowadzenie manewrów wojsk desantowych na ich plażach. Ćwiczenia takie sugerują, że operacja zostanie przeprowadzona w tropikalnym klimacie.

– A skąd ja to wiem?

– Wymyśl coś. Jakiś kuzyn z Haiti? Amerykański oficer, z którym spałaś?

– I który szeptał mi w miłosnym uniesieniu o planach inwazji? A może po prostu podejdę do jakiegoś szkopa i oznajmię mu, że niejaki Hap Gerritsen, tutejszy wicekonsul i szpieg od siedmiu boleści, życzy sobie, żeby tamten myślał, że alianci wylądują w Dakarze, choć tak naprawdę mają zupełnie inne plany?

Hugh roześmiał się, ubawiony jej słowami.

– Na pewno coś wymyślisz. Wierzę w ciebie. Masz dar przekonywania.

– Wybrałaś mnie, bo jestem taka przekonująca?

– Wybrałem ciebie, bo cię uwielbiam – odparł i ujął w dłonie jej twarz.

Nicky przymknęła powieki, rozchyliła wargi i poddała się bez słowa pieszczocie jego ust.

Od pierwszego spotkania przed rokiem jej uczucie do Hugh Gerritsena rozwijało się powoli, acz nieuchronnie.

Z początku oboje wzbreniali się przed tym – nie chcieli dopuścić myśli, że mogliby się w sobie zakochać. Życie było zbyt niepewne, by wikłać się w bliskie związki, toteż oboje dbali, by ich kontakty miały charakter czysto służbowy. Nicky przysłuchiwała się rozmowom w „Palm Court”, a zasłyszane wieści po prostu powtarzała Hugh, nie mając przy tym przekonania, czy ich wysiłki mają jakikolwiek sens.

Po ataku Japonii na Pearl Harbour i przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny, nabrała większego entuzjazmu. Teraz musiała bardziej się starać, bowiem wylewni i życzliwi dotychczas Francuzi stali się mniej skorzy do jawnego okazywania lojalności i pilnowali tego, co mówią. To właśnie wtedy Nicky zwróciła się za zgodą Hugh o pomoc do Hasima, urzędnika portowego, który miał dostęp do wielu cennych informacji. Kolejne wieści zaczęły płynąć obficie, a kontakty Nicky z Hugh stały się o wiele częstsze.

Wtedy właśnie zrozumiała, że jest zakochana.

Nie spotkała dotychczas mężczyzny takiego jak on.

Był młodszy od niej i nie tak boleśnie doświadczony przez życie, lecz jednocześnie sprawiał wrażenie człowieka wewnątrznie dojrzałego, o nieprzeciętnej inteligencji równoważonej łagodnością charakteru. Potrafił wczuć się w przeżycia i doznania innych osób, postawić się w ich sytuacji. Jego wrażliwość nie była przy tym powodem jego słabości, ale przeciwnie – dawała mu szczególną siłę. Ta jego harmonijnie ukształtowana osobowość przyciągała

Nicky i fascynowała. Przy nim czuła się dobrze, bezpiecznie, wygodnie. Nie musiała niczego udawać i niczego się bać.

Po każdym spotkaniu byli sobie bliżsi. Dzielili ich wprawdzie bezdenna przepaść – ona była kolorową piosenkarką z nocnego klubu, on był biały i miał zostać katolickim księdzem – ale jednocześnie jakaś nieodparta siła przyciągała ich ku sobie z coraz większą mocą.

Czasami Nicky zastanawiała się, czy to czasem nie próba, którą Bóg postanowił poddać ich oboje.

W chwilach takich jak ta, kiedy Hugh trzymał ją w ramionach, a ona wsłuchiwała się milcząco w pulsującą w nim namiętność, nie myślała jednak o niczym. Nie chciała myśleć, wolała skupić się na odczuwaniu, na rejestrowaniu świata dotykem, smakiem, powonieniem.

Pragnęła stopić się z ukochanym i nie wracać już do dawnej formy, nie przeżywać udręki wątpliwości i niepewności.

Hugh musiał mieć podobne pragnienia, skoro nie mógł się zdobyć na to, by powiedzieć dość. To ona częściej przerywała ich pieszczoty i to ona przy każdym kolejnym spotkaniu dawała znak do rozstania. Czasami widziała wdzięczność w jego oczach; wdzięczność za to, że nigdy nie posunęli się za daleko, a jedynym sposobem, w jaki okazywali sobie miłość, były właściwie tylko pocałunki. Tak, była gotowa mu się oddać, lecz nigdy tego nie zaproponowała. Przecież Hugh miał o wiele więcej do stracenia niż ona.

– Hap... – szepnęła i łagodnie wysunęła się z jego objęć. – Muszę już iść.

– Będę teraz częściej podróżował – westchnął i popatrzył na nią smutno.

– Wiem.

– Co wiesz?

– Wiem, że masz coraz mniej czasu. Wiem, że jeśli alianci nie odniosą szybko jakiegoś zwycięstwa, morale żołnierzy spadnie do zera. I wiem, że nie jesteśmy dostatecznie mocni, by pobić Niemców w Europie.

– Będziemy walczyć w Afryce.

– Oczywiście. Dlatego brak ci czasu, a chwile takie jak ta...

– Dla takich chwil mam po co żyć – przerwał i ujął palcami jej podbródek.

– Powiedz, Hap – zapytała, bowiem wyraz jego oczu dodał nagle jej odwagi – co się z nami stanie? Czy myślałeś o tym, o przyszłości?

– Kocham cię, Nicky, ale na razie trwa wojna.

Choć powiedział to tak otwarcie chyba po raz pierwszy, Nicky nie umiała się cieszyć tym wyznaniem.

– A po wojnie? – zapytała. – Ja jestem kolorowa, ty miałeś poświęcić się służbie bożej...

– Przestań, Nicky. – Potrząsnął bezradnie głową. – Mam udawać, że to proste? Na razie wiem tylko jedno: że nie chcę cię opuścić. Już raz opuścił cię mężczyzna, którego kochałaś.

– Nie mamy przed sobą przyszłości, Hap. Nie istnieje takie miejsce w Ameryce, gdzie moglibyśmy się ukryć przed ludzką nienawiścią. Ja od biedy mogę jeszcze uchodzić za białą, ale mój syn na pewno nie.

– Po wojnie moglibyśmy zamieszkać choćby tu, w Maroku.

– Chciałbyś wychowywać własne dzieci w kraju, gdzie wciąż toleruje się niewolnictwo?

– Nie.

– A co z twoim powołaniem?

– Napisałem już o tym do matki.

– Co napisałeś?

– Że cię kocham i że po wojnie chcę spędzić z tobą resztę życia.

– Opisałeś jej sytuację ze szczegółami?

– Najdrobniejszymi.

Uśmiechnęła się. Wierzyła mu. Szczerłość, odpowiedzialność, odwaga – to właśnie były cechy Hapa Gerritsena.

Niewiele wiedziała o jego rodzinie, mówił jej jednak kiedyś, że w przyszłości ma odziedziczyć duże przedsiębiorstwo, że jego rodzice należą do elity Nowego Orleanu, że matka bardzo go kocha, a ojciec nienawidzi.

I oto teraz napisał do tejże matki, zapewne eleganckiej nowoorleańskiej damy o ustalonych poglądach, że chce poślubić Murzynkę i spędzić z nią resztę życia.

– I co ona na to? – zapytała.

– Nie wiem. Twoim zdaniem ma to jakieś znaczenie?

– Dopiero teraz pytasz o moje zdanie? Dlaczego nie rozmówiłeś się ze mną wcześniej, przed napisaniem listu?

– Nie wiem.

– Nie wiedziałeś nawet, czy cię kocham.

– Wiedziałem.

– Aż tak byłeś pewien swego?

– Posłuchaj, Nicky, niczego nie jestem już pewien. Wiem, że muszę wybrać – między tobą a Bogiem albo między tobą a rodziną. Jakkolwiek bym wybrał, kogoś zranię. Wszyscy nie mogą być szczęśliwi.

– Nie chciałabym, żebyś tym nieszczęśliwym okazał się ty – odparła Nicky i widząc jego pełne bólu i obawy spojrzenie, uciekła wzrokiem i przycisnęła twarz do jego torsu.

Tydzień później Hugh słuchał śpiewu Nicky tuż przed końcem nocnego programu. Wcześniej w klubie doszło do szarpaniny między polskim Żydem a agentem Abwehry.

Żyda wyprowadził francuski policjant, a Hugh mógł się tylko bezsilnie przyglądać tej brutalnej scenie.

Między innymi z tego powodu był w wyjątkowo podłym nastroju. Irytowały go powłóczyście spojrzenia, które Nicky przesyłała gościom; kiedy zaś wędrując po sali, przystanąła na chwilę przy jego stoliku, uśmiechnął się tylko blado i szepnął, żeby czekała na niego po występach w swoim pokoju nad klubem.

Kiedy muzyka ucichła, a „Palm Court” opustoszał, Hugh wymknął się na zewnątrz. Kluczył kilka minut alejkami, po czym wślizgnął się tylnym wejściem, które zostawiła otwarte.

Czekała na niego, paląc gauloise’a przy otwartym oknie. Miała na sobie wciąż tę samą, niezmiennie kuszącą czarną suknię, która wabiła i prowokowała do pieszczot. Na jego widok zgasiła papierosa i spytała:

- Co cię sprowadza, tęsknota czy interesy?
- Przede wszystkim tęsknota.

Przytulił ją i pocałował, z lubością smakując niepowtarzalną soczystość jej warg i skóry. Spragnionymi dłońmi pogładził ponętne wypukłości bioder, uwodzicielsko wiotką linię talii, miękki zarys piersi. Marzył o niej co noc, a teraz jego ciało wezbrało pożądaniem tak wielkim, że gotów był zatonać w niej na zawsze.

– Coś jesteś dzisiaj nie w sosie – odezwała się, odpychając go lekko od siebie.

- To z powodu interesów.
- Ach, tak – uśmiechnęła się smutno.

Odstąpił o krok, nie wypuszczając jej jednak z ramion. Wiedział, że musiała się zmusić, by go odsunąć. Czuł, że i ją dręczy ból nienasycenia. Któregoś dnia wyznała mu sama, że ograniczając się tylko do pieszczot, świadomie skazują się na tortury.

Nie rozumieli oboje, dlaczego właściwie nie chcą posunąć się do końca. Może podświadomie pragnęli, by zjednoczenie i spełnienie dokonało się w innym czasie i innym miejscu, ale nie tutaj i nie teraz?

– Jakżeby inaczej. – Strząsnęła z ramion jego dłonie.

– Interesy są najważniejsze. Otóż nie mam nic nowego do powiedzenia. Zasiałam kilka ziarenek, ale na plony trzeba poczekać. Tylko po to przyszedłeś?

Zdawał sobie sprawę, że jest rozczarowana, lecz nic nie mógł na to poradzić.

– Nie, Nicky – rzekł miękko, jak gdyby samym głosem mógł złagodzić jej ból – przyszedłem, żeby prosić cię o szczególną pomoc. Chodzi o Phillipa.

– O Phillipa? – Spojrzała na niego niespokojnie

– Tak, chłopak zna świetnie tutejsze języki. Mówi po arabsku niczym rodowity Marokańczyk.

– Mustafa go nauczył.

- Wiem. Nauczył go też dialektów berberyjskich.
- Mówi trochę dialektem tuareskim i kabylskim, ale nie płynnie.
- No właśnie. Może się okazać, że będzie nam potrzebny.
- Gdzie i kiedy? – spytała.
- W przeddzień święta id es-seghir*. ¹⁴
- W medynie?

– Tak. Wszyscy wtedy wylegną na ulice. Chciałbym prosić Phillipa, żeby śledził pewnych ludzi. Jemu będzie

łatwiej się do nich zbliżyć. Nie będą podejrzewać, że chłopak mówi po angielsku.

- Co to za ludzie? Czy grozi mu niebezpieczeństwo?
 - Uważasz, że pozwoliłbym go skrzywdzić?
 - Pamiętaj, że on jest wszystkim, co mam, Hap.
- Hugh przytulił ją z bezmierną czułością.
- Już nie – powiedział.

Dwaj wspomniani mężczyźni byli Berberami z gór Rif. Dotychczas przekazywali oficerom wywiadu w Tangerze informacje na temat ruchów hiszpańskich oddziałów i wojskowych umocnień. Potem raptownie zniknęli i niespodziewanie pojawili się w Casablance, a widywano ich głównie w pobliżu niemieckiego konsulatu.

Podejrzewano, że zmienili mocodawców, a zadaniem Hugh było to ustalić.

Plan był prosty – Nicky z Phillipem mieli wmieszać się w świąteczny tłum, Hugh miał ich obserwować z daleka, by nikt nie nabrał jakichkolwiek podejrzeń. Phillip miał podążyć za wskazanymi mu Berberami, śledzić ich i zapamiętać miejsce, do którego się udadzą.

Gdyby zaś coś udało mu się podsłuchać, powtórzy to dokładnie Hughowi.

Gworny wieczór na rozbawionych uliczkach medyny przypominał Nicky nowoorleański Mardi Gras*¹⁵. Muzułmański post kończył się co prawda dopiero następnego dnia, lecz uroczystości obchodzono już w przeddzień.

Tutejsze kostiumy różniły się od tych, które pamiętała z dzieciństwa, lecz wbrew pozorom wcale nie były bardziej egzotyczne. Kobiety włożyły swoje najelegantsze, świeżo uprane stroje, kunsztownie obramowały oczy ozdobnym, wschodnim barwidłem, a włosy ubarwiły lśniąca henna. Mężczyźni w

¹⁴ * Święto obchodzone na koniec ramadanu, islamskiego miesiąca ścisłego postu. Huczne uroczystości trwają zazwyczaj trzy dni (przyp. .red.).

¹⁵ * Mardi Gras – tłusty wtorek, hucznie obchodzony w Nowym Orleanie karnawał ostatkowy (przyp. tłum.).

śnieżnobiałych, misternie zwiniętych turbanach spacerowali grupkami i żartowali głośno. Uliczni sprzedawcy zachęcali do skosztowania pasztetu z kurczaka, przecieranego grochu i ostrych kiełbasek prosto z rusztu.

Poprzedniego dnia Hugh przyprowadził Phillipa do medyny i wskazał podejrzanych osobników w zatłoczonej kawiarni. Wyróżniali się z tłumu znacznym wzrostem i cerą o kilka tonów jaśniejszą od większości Marokańczyków. Jeden z nich miał niespotykane wśród Arabów rude włosy i niebieskie oczy, drugi zaś haczykowany nos, nastroszone brwi nad ciemnymi oczami i rzadkie, obwisłe wąsy.

Nicky bała się o syna, lecz Hugh zapewniał, że wszystko dokładnie zaplanował i że mężczyźni niczego się nie domyślą. Mimo to nie mogła pozbyć się niepokoju – w bezładnym, hałaśliwym tłumie łatwo było się zgubić. W pewnym momencie straciła syna z oczu i przez kilkadziesiąt sekund, w trakcie których usiłowała go odnaleźć w stłoczonej ciżbie, przeżyła prawdziwy koszmar. Serce niemal stanęło jej z przerażenia i dopiero gdy spostrzegła Phillipa przy jednym ze straganów, odetchnęła z ulgą.

Tymczasem chłopiec z wrodzoną sobie inteligencją i zapałem wczuł się znakomicie w swoją rolę. Z udawaną beztroską włóczył się to tu, to tam, wdając się po drodze w pogawędki i pojadając smakowite kąski od ulicznych sprzedawców. Zatrzymywał się co jakiś czas, jak gdyby zainteresował go ten czy inny szczegół, a jednocześnie czujnym wzrokiem omiatał tłum. Gerard byłby dumny ze swojego syna, pomyślała Nicky.

- Chyba ich widziałem – szepnął Phillip, chwytając matkę za rękę.
- Jesteś pewien? Przyjrzyj się uważnie.
- Widziałeś tego wysokiego, który przygląda się tancerkom?

Tancerki w berberyjskich szatach kołysały się na skrzyżowaniu ulic w zamkniętym kręgu, ciągnąc monotonną pieśń i przestępując z nogi na nogę w rytm bębnów. Wskazani mężczyźni stali w tłumie gapiów, byli jednak zbyt pochłonięci rozmową z trzecim osobnikiem, by zwracać uwagę na wdzięczne ruchy kolorowo ubranych kobiet.

- To oni – oznajmił Phillip. – Podejdę bliżej.

Odruchowo wyciągnęła rękę, by go powstrzymać, on jednak dał już nura w tłum i zniknął jej z oczu. Zdjęta nagłą paniką rzuciła się za synem, wołając go po imieniu. I znów przeżyła grozę przez kolejnych kilkadziesiąt sekund. Zdało się jej, że Phillip przepadł na dobre i że nigdy go już nie znajdzie, lecz na szczęście i tym razem wyłonił się nagle spomiędzy stłoczonych przechodniów i uśmiechnął się do niej porozumiewawczo, wskazując wzrokiem na podejrzaną trójkę.

Mężczyźni byli tuż przed nim. Nicky zaniepokoiła się, że Phillip stoi zbyt blisko i przywołała go do siebie. Postanowiła udawać, że sztorcuje nieposłusznego dzieciaka, który wyrwał się spod matczynej kurateli.

W gruncie rzeczy tak przecież było.

– Mówiłam ci, żebyś nie podchodził tak blisko – zrugła go, odciągając na bok. – Zgubisz się, to niebezpieczne.

– O rany, mamó, przecież nic się nie stało.

– Nie podchodź bliżej, bo cię podepczą.

Kiwnął głową, lecz gdy znów wszedł między gapiów obserwujących berberyjski taniec, przysunął się tak blisko zagłębionych w konwersacji mężczyzn, że na pewno słyszał każde ich słowo. Nie patrzył na nich, miarowo kołysał się w takt rytmicznych uderzeń bębnow.

Taniec nabrał teraz tempa, a tancerki rozdzieliły się w dwa szeregi i zataczając krąg, stanęły twarzami do siebie.

Rudy mężczyzna odwrócił się i zerknął na chłopca.

Phillip zagadał coś do niego z szerokim uśmiechem. Ten zmarszczył brwi, a jednocześnie unióś powieki i ramiona gestem charakterystycznym dla wszystkich Marokańczyków. Potem spokojnie powrócił do rozmowy.

Taniec wydawał się nie mieć końca. Rozkołysany, falujący tłum napierał na Nicky, przytupując i klaszcząc w dłonie, popychał ją i ciągnął do tyłu. Po raz kolejny straciła na moment syna z oczu. Kiedy zaś z powrotem przedarła się przez skłębioną cizbę, Phillipa i trzech mężczyzn już nie było.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Nicky od godziny szukała syna, miotając się między placem targowym, a odleglejszymi uliczkami medyny.

Tancerki od dawna odpoczywały, bębniarze pozbierali monety. Na arenę wyszli teraz kuglarze w białych galabijach, zonglując pomarańczami i owocami granatu przy dźwiękach muzyki, a ona biegła w panice, roztrzucając przechodniów i powtarzając imię jej jedyne dziecko. Niestety, choć kilkakrotnie przemierzyła wszelkie szlaki i wszystkie możliwe miejsca, w których mogłaby go zastać, Phillip przepadł jak kamień w wodę.

Był dzieckiem roztropnym i rozsądnym, odważnym, lecz niepozbawionym rozwagi. Wiedziała, że sam nie oddaliłby się poza medinę. Jeśli zaś nie oddalił się sam, to został porwany.

Dławiący strach ścisnął jej gardło. Radosne i bez troskie dźwięki ulicznej zabawy brzmiały teraz w jej uszach złowrogo, złowieszczo, przerażająco.

Poczuła nagle niepohamowaną nienawiść do obcych zapachów i bełkotliwej mieszaniny języków. Phillip mógł zostać schwytany i uwięziony w którejkolwiek z tych szkaradnych lepianek, plugawych nor i mrocznych nyży w starej części miasta.

Przepychając się w panice przez zwartą cizbę, dostrzegła w pewnej chwili twarz Hugh. Rzuciła się w jego stronę, lecz gdy wpadła do bocznego, spokojnego zaułka, gdzie Hugh, jak jej się zdawało, skręcił, nie zastała żywej duszy. Uliczka była pusta, a ustawione wzdłuż niej sklepiki – pozamykane.

Zawróciła gwałtownie, oszołomiona rozpaczą i przytłoczona poczuciem bezsilności, wtedy jednak czyjaś dłoń chwyciła ją za ramię i wciągnęła do jednej z bram.

Nicky krzyknęła przerażona.

– Ciii... – uspokoił ją znajomy głos.

– Hap? – Z płaczem padła mu w ramiona. – Boże, Hap... Gdzie Phillip?

Nie mogę go nigdzie znaleźć!

– Ja też...

– Nie! – jęknęła i zaczęła okładać go pięściami. – Nie! – powtórzyła, zanosząc się spazmatycznym łkaniem. – Przecież obiecałeś, że będzie bezpieczny! Obiecałeś...

– Uspokój się, Nicky, proszę... – Próbował ją przytulić, lecz wyrwała się z jego objęć. – Przestań i powiedz mi, co się stało!

– Miałeś na niego uważać!

– Musiałem się wycofać. Rozpoznali mnie. Kiedy wróciłem, już was nie było.

– Nie miałeś prawa odejść! Zapewniałeś, że nie spuścisz go z oka!

– Przestań! – powtórzył. – Mów szybko, co widziałaś.

– Phillip ich podsłuchiwał. Ci dwaj rozmawiali z jakimś mężczyzną.

– Pamiętasz, jak wyglądał?

– Jak Arab! Taki sam jak wszyscy!

– Zastanów się – poprosił spokojnie – może zauważyłaś jakiś szczegół.

– Tak – Nicky wzięła głęboki oddech – miał na sobie gładką szatę... Nie, była przetykana srebrną nitką. Pamiętam, bo połyskiwała w świetle.

– A na głowie?

– Na głowie miał fez. Dwaj pozostali nosili turbany. Zdaje się, że widziałam ciemne włosy i jasną cerę. Na

pewno miał gładko ogolone policzki, to pamiętam.

– Co jeszcze?

– Palił papierosa. Wyjął gauloise'a z nowej paczki. Ja też palę galuoise'y.

– Czy pod galabiją miał garnitur? Zauważyłaś może kołnierzyk albo krawat?

– Nie zwróciłam uwagi.

– Szkoda. Jeśli to ten, o którym myślę...

– Poczekaj – przerwała Nicky i przymknęła powieki, próbując uspokoić się i skoncentrować. Przypomniała sobie długie, smukłe palce owego mężczyzny i powiedziała:

– To na pewno nie był robotnik ani handlarz. Miał zadbane, wypięlegnowane dłonie. Jak urzędnik.

– Słyszałaś, o czym mówili?

– Nie. Bębny zagłuszały rozmowę. Phillip podszedł bliżej, ja zostałam. Boże, jak mogli go porwać na oczach wszystkich? – znów wpadła w żalony ton. – Przecież wokół było mnóstwo ludzi!

– Nie porwali go na siłę. Prawdopodobnie odeszli, a Phillip poszedł za nimi. Zorientowali się, że ich śledzi, kiedy byli już z dala od tłumu. Cholera, nie powinienem był odchodzić... Spojrzała na niego, napotkała udreńczony, pełen poczucia winy wzrok. Zrozumiała, że i Hugh przeżywa udrekę, a wtedy ogarnęło ją jeszcze większe przerażenie.

– Powiedz, Hap, co oni z nim zrobią?

– Nie zdążą nic zrobić – Hugh zacisnął zęby ze złości.

– Czy możliwe, że wiedzą, że ich podsłuchiwał?

– Niemożliwe. Chyba że wcześniej widzieli nas razem i skojarzyli te dwa fakty. Mówiłem ci, że zostałem rozpoznany. Dwaj agenci Abwehry odnaleźli mnie w tłumie i mieli na mnie oko. Dlatego musiałem odejść. Myślałem, że w ten sposób nie będę narażał was, a tymczasem... Cholera jasna! – zaklął ponownie, z jeszcze większą złością – ten trzeci, z którym rozmawiali ci w turbanach, mógł być jednym z tych agentów. Poszedł ich ostrzec i powiedział, że ten dzieciak współpracuje ze mną. Cholera!

– Nie wiesz tego na pewno. To tylko przypuszczenia.

– Ale wszystko się zgadza. Człowiek, którego opisałaś, był Europejczykiem, skoro nie palił marokańskich papierosów, ale galuise'y. Był ogolony, miał jasną cerę...

– Na co to wszystko, Hap? – przerwała mu Nicky i pokręciła z rozpaczą głową. – Może to Niemiec, a może Włoch albo Francuz. Co za różnica? I tak nie wiemy, gdzie szukać Phillipa.

– Możemy to ustalić.

– Jak?

– Jeśli ten w fezie był jednym z tych, którzy mnie rozpoznali...

– Dosyć – Nicky nie pozwoliła mu dokończyć i zasłoniła dłońmi uszy. – Nie mam siły na te dociekania. Odsunęła się od Hugh z wyrazem nienawiści. Tak naprawdę miała jednak żal przede wszystkim do siebie – powinna słuchać głosu rozsądku i nie pozwolić angażować chłopca w szpiegowskie przedsięwzięcia.

Co z niej za matka, skoro głupia idea jest dla niej ważniejsza od bezpieczeństwa własnego dziecka. Co jej teraz po takiej idei? Co z tego, że alianci wygrają wojnę, jeśli ona straci Phillipa?

– Nie wiem, kim był ten w fezie, a kim są ci w turbanach– powiedziała dobitnym tonem. – Wiem jedno, Hap – masz znaleźć moje dziecko. Nawet jeśli miałbyś w tym celu postawić na nogi wszystkich agentów, szpicli i informatorów, nawet jeśli miałbyś zaglądać do każdej nory, jamy i pod każdą skałę Maroka. Znajdź go, a wtedy będę w stanie myśleć o tym, jak wygrać wojnę z Hitlerem.

– Dobrze, Nicky – odparł cicho. – Idź do domu.

– Zwariowałaś!? Czy sądzisz, że mogłabym spokojnie wrócić i...

– Idź i zadzwoń pod numer, który ci zapiszę – nakazał jej twardym tonem, po czym wygrzebał z kieszeni świstek papieru i pospiesznie nabazgrał dwa rządki cyfr. – Powiedz człowiekowi, który się zgłosi, żeby za dwie godziny przyszedł do meczetu Sidi Allah Karaouani. Nie przedstawiaj się i niczego nie wyjaśniaj. Będą wiedzieli, co robić.

– Zostanę tutaj. Pomogę ci szukać.

– Rób, co mówię, i nie dyskutuj! Taka pomoc najbardziej mi się przyda. I pamiętaj – przytrzymał ją za rękę – znajdę Phillipa. Choćbyśmy mieli zawalić wszystko i przegrać z Hitlerem – Phillip musi się znaleźć.

Nicky skinęła głową. Nie miała wyboru, musiała mu zaufać. Tym razem nie poradziłaby sobie sama.

Gorące sierpniowe dni ramadanu dłużyły się muzułmanom w nieskończoność. Życie rozkwitało dopiero po zachodzie słońca, kiedy wszystkie koty stawały się czarne, a wyposzczeni w dzień wyznawcy islamu objadali się, wypijali morze miętowej herbaty, biesiadowali i bawili się do świtu. Nawet złowrogie pomruki zbliżającej się wojny nie zakłóciły tego odwiecznego obycaju.

W wigilię święta id es-seghir na ulice starej medyny wyległy nieprzebrane rzesze. Hugh był wśród nich.

Ubrany w galabiję, siedział w brudnym kącie smrodliwej kafejki i sącył tutejszy napój. Znał zaledwie kilka arabskich słów i rozumiał jedynie ogólny sens najprostszych wypowiedzi, dlatego też po złożeniu zamówienia zignorował właściciela, który próbował nawiązać konwersację, i z miną człowieka, który jest ponad marność tego świata, zapatrzył się tępo na zatłoczoną ulicę.

Nędzny i wyświechtany strój, który Hugh zwędził z przypadkowej stajni, śmierdział małpimi odchodami.

Pozostali klienci kawiarenki, w czystych, odświętnych szatach, omijali milczącego dziwaka z daleka, ten zaś niby przyglądał się paradzie, lecz fak-

tycznie lustrował bacznym wzrokiem niskie budynki po drugiej stronie ulicy, na rogu mrocznego, złowrogo wtapiającego się w ciemność zaułka.

Rudy Berber, jeden z dwóch, których miał śledzić Phillip, zatrzymał się podobno w Casablance właśnie tutaj – w jednej z osiemnastowiecznych lepiarek, które pokracznie obsiadły długim, krętym rządkiem zaniedbaną uliczkę. Większość z tych bieda-chałup składała się z jednej lub dwóch ciasnych izdebek, rozdzielonych wiszącymi derkami. Wzdłuż ulicy płynął cuchnący rynsztok, nad którym unosiły się roje bzyzcących much.

Sklecone naprędce lepiarki należały do miejskiej biedoty, dawały schronienie żebrakom, prostytutkom i rozmaitym typom spod ciemnej gwiazdy. W takim miejscu nietrudno za parę groszy znaleźć dogodną kryjówkę, a grożąc sztyletem, zapewnić sobie na dodatek dyskrecję ze strony gospodarza.

Hugh siedział nieruchomo niczym nawiedzony albo myśliciel, co kosztowało go niemało wysiłku. Szansa na ocalenie Phillipa malała z każdą minutą. Najchętniej od razu by wstał i pobiegł ratować chłopca, ale... Właśnie. Dokąd miał pójść? Przed kim uratować? Gdyby chciał spenetrować całą dzielnicę slumsów, zajęłoby mu to kilka wieczorów, o ile wcześniej nie przypląciłby swej śmiałości życiem. Postanowił więc zaryzykować i założył, że człowiek widziany z Berberami będzie się z nimi chciał zobaczyć i że zaprowadzi go do ich kryjówki. Hugh zajął najdogodniejsze stanowisko do obserwacji i czekał, bo tylko to mu pozostało prócz żarliwej modlitwy.

Dreczyły go wyrzuty sumienia. Żał mu było chłopca, żał było Nicky. Nie wyznał jej wcześniej, jak wiele zależy od powodzenia misji Phillipa. Amerykański wywiad doniósł ostatnio, że tej właśnie nocy ma się odbyć tajne spotkanie zakonspirowanej grupy, do której należeli Berberowie, a którą dowodził człowiek znany Hugh pod pseudonimem Tassels. Berberowie byli zaprawieni w konspiracji oraz w walce partyzanckiej, toteż do tej pory spełniali nieocenione usługi dla alianckiego wywiadu. Niestety, alianci lawirowali między uszanowaniem niepodległościowych dążeń Marokańczyków a względami wojennego pragmatyzmu, ten zaś wymagał poprawnych stosunków z rządem w Vichy, który był zagorzałym przeciwnikiem dekolonizacji. Otwarte poparcie arabskich aspiracji zaostriżyłoby stosunki z Francuzami i postawiłoby pod znakiem zapytania powodzenie alianckiej inwazji w Europie.

Berberowie byli rozczarowani podwójną grą aliantów, zaczęli więc rozważać możliwość odwrócenia sojuszy. Gotowi byli targować się z każdym, kto przystałby w negocjacjach na najważniejszy dla nich warunek – wyzwolenie spod francuskiej administracji i niepodległość.

Jeśli do spotkania ma dojść tej nocy, kalkulował Hugh, to jest szansa, że odbędzie się ono w kryjówce jednego z Berberów. Jeśli nie – wciąż istnieje możliwość, że któryś z nich, a może obaj, będą tędy przechodzić.

Kalkulacja ta była niepewna, ale cóż mu pozostało, jak tylko modlić się i liczyć na szczęśliwy traf?

Gdy po godzinie spędzonej przy kawiarnianym stoliku mignęła mu sylwetka mężczyzny w fezie, wyłowiona z mroku przydymionym światłem ulicznej latarni, Hugh uwierzył, że Bóg słucha jego modlitw. Podniósł się powoli i nie spuszczać oczu z mężczyzny, rzucił kilka banknotów na stół.

Tymczasem człowiek w fezie przystanął, obejrzał się, a potem ruszył w mroczną czeluść uliczki. Hugh ruszył za nim w bezpiecznej odległości, pewien tego, że znalazł właściwy trop – mężczyzna miał na sobie galabiję przetykaną srebrną nitką.

Nieznajomy szedł różnym krokiem, jakby dobrze wiedział, że ciemny zaułek to nie jest odpowiednie miejsce na spacer. Z progów nędznych bud odprowadzały go puste, przygasłe spojrzenia wynędzniałych dzieci w lichych łachmanach. Stary człowiek z owrzodzonymi nogami leżał bezwładnie na pościu łysej ziemi, którą jedynie miłosierne serce mogłoby nazwać ogródkiem.

Hugh rejestrował to wszystko mimochodem, kątem oka, cała jego uwaga skupiona była bowiem na tym, by nie stracić z oczu spieszącego się wyraźnie mężczyzny.

Duża odległość i nikłe światło nie pozwalały mu dostrzec jego twarzy, ale sam strój świadczył o tym, że nie ma do czynienia z mieszkańcem tego obokurnego kwartału.

Za przetykaną srebrną nitką galabiję można by z pewnością wynajść kwartę w znacznie lepszej dzielnicy. Gdy mężczyzna doszedł do rozwidlenia uliczki, bez wahania skręcił w prawo, a potem znów skręcił i... zniknął.

Hugh przywarł do ściany domu, przy którym widział obcego po raz ostatni, lecz nie usłyszał żadnego dźwięku.

Tylko w lepiance po przeciwnej stronie uliczki kwiliły dzieci. Może gdzieś obok, pomyślał. Lśniące w świetle księżycy galabija zniknęła tak nagle, że mężczyzna nie mógł ujść daleko.

Hugh ostrożnie zajrzał do wnętrza kolejnej chałupy.

Było pogrążone w mroku i puste, więc przesunął. Tutaj także panowała nieprzenikniona ciemność, jednak z głębi dało się słyszeć przytłumiony dźwięk, jakby miauczenie kota dochodzące z pierwszego piętra.

Spojrzał w górę. W dachu znajdowało się niewielkie okienko, zwieńczone żalozną pozostałością po wyrzeźbionym niegdyś w kamieniu ornamentcie. Drewniane, lekko uchylone drzwi w kamiennym murze prowadziły na niewielki dziedziniec, skąd dobiegał cichy szmer fontanny. Zarówno okno – niezwykle rzadkość w tej części miasta – jak piętro i podwórko tej podupadłej rezydencji przywodziły na myśl lepsze czasy, kiedy to lepiej zapewne sytuowany od innych właściciel pokusił się o utrwalenie swojego bogactwa i pysznił się nim przed tymi, których nie stać było na taki „przepych”.

Rozejrzał się ostrożnie – na ulicy nie było żywego ducha, wspiał więc się szybko po kamiennym murku, usiadł na nim okrakiem i zeskoczył na drugą stronę.

Wokół nieszczęsnej fontanny utworzyło się błotniste bajorko, zaś na wilgotnej ziemi widniały wyraźne, świeże ślady, które prowadziły w stronę bocznego wejścia i dalej, w górę, po wewnętrznych schodach.

Hugh rozważał właśnie, czy powinien podążyć za nimi, kiedy usłyszał urywane, przytłumione dźwięki i cofnął się momentalnie za postrzępioną osłonę zdziczałych krzewów.

Po chwili rozpoznał głosy dwójki mężczyzn, a w wąskiej szparze między liśćmi dojrzał dwa blade cienie przechodzące przez ogród. Wyteżył słuch, lecz z tej odległości mógł rozróżnić jedynie pojedyncze słowa, wypowiedane łamaną francuszczyzną.

Jeden z mężczyzn zniknął z pola widzenia, drugi przystanął nieopodal kępy krzaków i zapalił papierosa. Hugh zaryzykował i wychylił głowę – rozpoznał srebrną galabiję i fez. Gdy wrócił drugi mężczyzna, rozmowa potoczyła się głośniejsze. Teraz Hugh zdołał zrozumieć, że człowieka w galabiji gdzieś oczekiwano i że ten drugi miał go tam zaprowadzić. Dokąd i po co – Hugh się nie dowiedział. Przewodnik również zapalił papierosa, a kiedy skończyli i zdeptali w błocie niedopałki, przeszli do furtki w murze i wyszli na ulicę.

Hugh nie wiedział, czy powinien dalej ich śledzić.

Jeśli nie pójdzie za nimi, może już ichnie znaleźć. Jeśli nie zajrzy do domu, nie będzie wiedział, czy Phillip nie jest przetrzymywany właśnie tutaj. Jeśli wkroczy, ale napotka na strażnika, zdemaskuje się, a wtedy chłopiec – gdziekolwiek by był – z pewnością zginie.

Głosy mężczyzn cichły już w zaułku, więc Hugh podjął szybko decyzję – rozejrzy się pobieżnie po domu, a potem spróbuje ich dogonić.

Wychynął zza krzaków i podbiegł do schodów.

Zaskrzyphiały niemilosiernie pod nogami, lecz nie zrezygnował i starając się stapać jak najciszej, dotarł do drzwi na pierwszym piętrze, które zamknięte były na nowo wstawiony zamek. Na szczęście zaprzyjaźniony agent dał mu niedawno cenną lekcję i Hugh umiał poradzić sobie z takim zamknięciem. Podważył wprawdzie zamek ostrzem sprężynowego noża i po chwili droga do środka była wolna.

Postąpił kilka kroków w głąb mrocznego, pustego pokoju. Pod nogami zachrząściła mu słoma, w nozdrza uderzył stęchły zaduch. Nikła smużka ulicznego światła sączyła się przez niedomknięte drzwi. Z ciemności wyłonił się zarys stołka i lampy naftowej, w której najwyraźniej zabrakło paliwa.

Coś zaszurało za jego plecami, więc odwrócił się raptownie, trzymając przed sobą wyciągnięte ostrze. Gdy na słomie dostrzegł wychudzonego kota, odetchnął z ulgą i uśmiechnął się nawet, lecz nie opuścił noża.

Rozejrzał się po pomieszczeniu raz jeszcze, ale wiedział już, że musi szukać dalej, bowiem tutaj Phillipa nie było.

W połowie schodów przypomniał sobie nagle wąskie okienko, które spostrzegł z ulicy. Skoro pokój na piętrze miał okno, dlaczego panowała w nim ciemność?

Zawrócił, ponownie wyjął nóż i wodząc ręką po ścianie, zaczął posuwać się po omacku w głąb pokoju.

Nagle wyczuł pod palcami fragment mniej chropowatej powierzchni. Macał krawędzie każdego kamienia, aż tuż przy podłodze natrafił na niewielki kamyk, który ustąpił pod palcami. Wyjął go ze ściany, potem sąsiedni i jeszcze następny. W murze powstał wylom wielkości dużego arbuza.

Położył się na podłodze i zajrzał do środka. Zobaczył pokój mniej więcej wielkości pierwszego. Połowę pomieszczenia okrywał głęboki cień, drugą oświetlało dochodzące z ulicy światło. Właśnie miał zamiar wczołgać się w wydrążony otwór, gdy znów posłyszał za plecami szelest. Pomyślał, że to ten sam kot, kiedy jednak cofnął głowę, ujrzał masywną ciemną postać, przeczącą się właśnie do skoku. Usunął się w ostatniej chwili i przeturlał w bok. Rąbnął skronią o jakiś kamienny kant, lecz na szczęście uniknął ciosu.

Nim zdążył się poderwać, napastnik natarł na niego ponownie i przygniótł szybko do ziemi. Uniósł do góry rękę, w której błysnął nóż. Hugh chwycił go za nadgarstek i przytrzymał, mocując się ze wszystkich sił. Po chwili szarpnął się i uderzył obcego kolaniem w krocze. Ten jęknął, ale nie pozwolił Hugh przejąć inicjatywy.

Usunął się na bok, a kiedy Hugh chciał wymierzyć mu kolejny cios, natrafił na kontrę, od której pociemniało mu w oczach.

Napastnik był pewny swego. Doskoczył do Hugh, schwycił go za włosy i grzmotnął jego głową o podłogę.

Hugh próbował się wywinąć, jednak drab był silniejszy – runął na niego, jeszcze raz zdzielił pięścią i przyparł okraciem do ziemi.

Zginę, pomyślał Hugh. Zginę tutaj, w Casablance, w jakimś ciemnym zaułku... Jezu Chryste, zginę... Kolejny cios trafił go w gardło. Tuż nad nim załśniło ostrze noża. Napastnik uniósł je do góry, lecz Hugh w jakimś rozpaczliwym odruchu namacał dłonią spory kamień i zanim ostrze opadło na jego pierś, desperackim ciosem uderzył przeciwnika na oślep.

Efekt był natychmiastowy – mężczyzna zeszytywniał, zwiotczał i bezwładnie zwałił się na niego. Podejrzewając, że to podstęp, Hugh przytrzymał jego szyję i powtórzył zamaszysty gest, tym razem trafiając kamieniem w tył głowy.

Napastnik wciąż leżał bez ruchu, więc Hugh rozluźnił uścisk i wydobył się spod ciężkiego, bezwładnego ciała. Próbował po omacku odnaleźć puls na szyi ofiary, lecz wówczas palce oblepiła mu śliska, lepka maź.

Sięgnął do głowy i poczuł ciepłą krew, która płynęła obficie z głębokiej rany. Usiłował jeszcze wymacać tętno na przegubie, ale wiedział już, że niczego nie wyczuje. Mężczyzna był martwy.

Drżącymi rękami zaciągnął stężałe ciało na środek pokoju i odwrócił, by zobaczyć twarz. Niebieskie oczy patrzyły gdzieś nieruchomo. Policzki porastała ruda broda.

Hug powłókł się na czworakach do drzwi i tam zwymiotował. Potem okrążył trupa i odnalazł wyrwę w ścianie. Położył się i przeczołgał do tajemnego pokoju, w którym odnalazł związanego i zakneblowanego w najdalszym kącie Phillipa. Obok chłopca piętrzył się stos skrzyń z materiałami wybuchowymi.

Odkąd dotarł domieszkania Nicky i padł po pospiesznym umyciu rąk i twarzy na kanapę, nie poruszył się ani na moment. Leżał otepiały z zamkniętymi oczami i milczał, rozmyślając o tym, co właśnie się stało.

– Zasnął – oznajmiła Nicky, wchodząc do salonu.

Wcześniej długo uspakajała i tuliła rozdygotanego chłopca, który wciąż nie mógł uwierzyć, że żyje i jest zdrow.

– Myślisz, że będzie spał do rana? – Hugh odezwał się pustym głosem.

– Jest kompletnie wyczerpany. Przypuszczam, że nawet koszmary go nie obudzą.

– Wiesz, co mi powiedział, kiedy go rozwiązałem? – Hugh uśmiechnął się blade. – Był pewien, że go odnajdę.

– No proszę, jesteś dla niego bohaterem – odparła z sarkazmem. – Nie będę wprowadzać go z błędu.

Niech myśli, że to nie twoja wina, że leżał tam parę godzin związany jak pies i że nie uratował go cud, ale dzielny i odważny wujek Hap. Wiesz, kim jesteś dla mnie? – zapytała. – Niedowarzoną dyplomacina, który odstawia wielkiego szpiega, pakując się w sprawy, o których nie ma zielonego pojęcia.

– To prawda. Tylko ślepy los sprawił, że poszedłem za tym człowiekiem. Równie dobrze mógłbym pójść za innym.

– A mój syn byłby już martwy.

– Jak tamten człowiek. Zabiłem go, Nicky – westchnął i znów zamknął oczy. – Dwa ciosy i było po nim. Boże, jakie to proste...

– Lepiej, że zabiłeś jego, niż gdyby miał zginać dzieciak.

– Krew ściekała mi po palcach, a ja się cieszyłem. Byłem dumny, że go pokonałem. W ogóle nie zastanawiałem się, kim on był. Może gospodarzem, który bronił własnego domu?

– Przestań, Hap. Wiesz dobrze, że ten człowiek więził moje dziecko. Był porywaczem. Sama bym go zabiła, gdybym miała okazję.

– Wiem. Jesteś silniejsza ode mnie, Nicky. – Spojrzał na nią poważnie, a w spojrzeniu tym było tyle bólu, tyle prawdy, tyle pokory, że nie była w stanie dłużej na niego się gniewać. – Jestem słabym człowiekiem – westchnął po-

nownie Hugh. – Zabiłem drania, który zasłużył na śmierć, a potrafię jedynie myśleć o jego ciepłej krwi i zastygłym, martwym wzroku. Kocham kobietę, która zasługuje, by dać jej wszystko, lecz odmawiam jej i sobie doczesnych przyjemności. Czego ja właściwie chcę? Kim jestem? Co robię na ziemi, między ludźmi? To żalosne...

– Hap... – Postąpiła w jego kierunku. – Dlaczego nie pójdziesz do domu? Powinieneś się przebrać, przespać. Zapomnij już o tym, co było. Najważniejsze, że znalazłeś moje dziecko. Obiecałeś, że znajdziesz i znalazłeś – uśmiechnęła się słabo.

– Czy ty mi wierzysz, Nicky? Czy rozumiesz, że nigdy nie ryzykowałbym świadomie jego życia? Setki razy rozważałem możliwe niebezpieczeństwa, nim poprosiłem cię o pomoc. Nie przyszło mi do głowy, że ktoś mógłby skrzyżnić go ze mną.

– Teraz już wiesz.

– Tak. Wiem wszystko. Jestem pewien, że ten trzeci był agentem niemieckiego wywiadu. Berberowie grają na dwa fronty, chcą się przekonać, która strona zaproponuje im lepsze warunki. Dziś w nocy prowadzili negocjacje z Niemcami, ale być może wkrótce zgłoszą się do nas. Owszem, odkrywają, że Phillip zniknął. Będą wiedzieli, kto go uwolnił i kto zabił jednego z nich, ale nie będą próbować się mścić. Zdają sobie sprawę, że w sojuszu z aliantami mają większe szanse na uzyskanie niepodległości. To, co obiecują Niemcy, na miłą cuchnie łgarstwem, a całe to spotkanie nie miało większego znaczenia.

– Chcesz powiedzieć, że to wszystko było niepotrzebne?

– Tak. Niepotrzebnie zabiłem człowieka. Niepotrzebnie wystawiłem Phillipa na śmiertelne niebezpieczeństwo. Niepotrzebnie martwiłem ciebie.

– Nie wiedziałeś...

– I co z tego? – przerwał jej z gorzkim uśmiechem. – Jakie znaczenie ma to, że teraz wiem, a kilka godzin wcześniej nie wiedziałem, że ten epizod, jak wiele innych w tej cholernej wojnie, nic nie znaczy dla jej przebiegu, choć znaczy wiele dla ludzi, których dotyka? Nic nie zmieni tego, że Phillip przeżył koszmar, że odarłem go z niewinności i że już nigdy nie spojrzy na świat tymi samymi oczami.

– Idź do domu, Hap – powtórzyła Nicky. – Porozmawiamy jutro.

Mimo gniewu, który jeszcze niedawno ją przepelniał, nie chciała, żeby odchodził. Ten bezmierny, przejmujący ból, który widziała w jego oczach, był także jej bólem, zbliżał ją do Hugh i z nim jednoczył. Nie знаła nikogo, kto by patrzył na świat z taką wrażliwością, takim współczuciem, taką miłością. Ona również miała wrażliwe serce, choć odkąd zmuszono ją do walki o przetrwanie, postanowiła je znieczulić i zobojętnieć na niektóre sprawy.

Nagle przypomniał jej się ojciec i jego wrażliwość, jego miłość, jego zapach, z jakim starał się zmienić niesprawiedliwy świat. W oczach Hapa nie raz widziała ten sam żar – i ten sam smutek.

Zapragnęła nagle zatonać w jego ramionach. Kochała go. Kochała także za to, że miał odwagę tak mówić i tak myśleć o sobie. Nicky była ostatnią osobą, dla której wrażliwość mogła być równoważna ze słabością.

– Nie chcę iść do domu, Nicky – powiedział Hap, najwyraźniej czytając w jej myślach. – Wolę zostać.

– Chcesz przysporzyć sobie kolejnych rozterek?

– Pozwól mi zostać – poprosił, po czym wstał i wyciągnął dłoń.

Nicky podeszła bliżej. Wsunęła swoją dłoń wyciągniętą dłoń Hugh i uniosła ją do ust. Ucałowała kolejno wszystkie palce, a potem powiodła go do sypialni.

O świcie, kiedy w poranną ciszę wdarł się przeciągły, daleki głos muezina, zwołującego wiernych na modlitwę, Nicky opowiadała Hughowi historię medalionu.

– To mój talizman – mówiła, leżąc w ramionach kochanka – jedyna rzecz, jaka mi pozostała z dzieciństwa w Nowym Orleanie.

Hugh uniósł ozdobę z miękkiego zagłębienia między jej piersiami.

– Niewiele pamiętasz z tamtych czasów, prawda?

– Zaledwie migawki. Ten medalion podarowała mi pewna kobieta, przyjaciółka mojej matki. W środku umieściła swoją fotografię, którą chciałam ostatnio zamienić na zdjęcie Phillipa, ale zrobiło mi się nieswojo.

Ostatecznie była ze mną przez tyle lat... Zobacz – nacisnęła zatrzask i otworzyła medalion w kształcie serduszka – to ona.

Hugh długo wpatrywał się w fotografię, potem zaś wyjął medalion z palców Nicky i ostrożnie go zamknął.

– Jeszcze wcześniej, Phillip na pewno pości parę godzin – uśmiechnęła się leniwie. – Zostaniesz?

Przyciągnął ją do siebie w milczeniu i opasał ramieniem.

Po kilku minutach zasnęła, przytulona do jego piersi.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Flagowy krążownik kontradmirała Kenta Hewitta o dźwięcznej nazwie „Augusta” wypłynął z Hampton Roads w stanie Virginia dwudziestego czwartego października.

Pod eskortą dwóch imponujących sterowców wywiadowczych i kilku innych okrętów obrał kurs na Wielką Brytanię, a dwa dni później dołączyła do niego cała flotylla, kierująca się na południowy-wschód, rzekomo do Zatoki Leogane na Haiti. Faktycznym przeznaczeniem tych trzydziestu czterech jednostek wojennych była oczywiście Afryka Północna.

Chorąży Ferris Gerritsen zajmował niewielką, lecz stosunkowo wygodną kabinę na pokładzie „Augusty”.

Wyróżnił się w trakcie przeszkolenia i nawiązał przyjacielskie stosunki z właściwymi osobami, a kiedy rozeszły się pogłoski o planowanej operacji o kryptonimie „Torch”^{*16}, zaczął czynić starania, by otrzymać przydział na ten właśnie okręt. Zabiegi owe przyniosły pożądany efekt, a sam Ferris cieszył się, że będzie płynął przez Atlantyk nie tylko z konradmirałem Hewitem, lecz również z samym generałem Pattonem^{*17}, dzięki czemu nie znajdzie się na pierwszej lepszej jednostce, lecz w samym centrum dowodzenia. Ferris zawsze chciał być w samym centrum zdarzeń i oto po raz kolejny dopiął swego.

Morskie życie mu odpowiadało, apetyt dopisywał, codzienne obowiązki nie dokuczały zanadto. Nawet słuchanie rozkazów nie sprawiało nadmiernej przykrości od kiedy i on mógł wydawać rozkazy. Umiał radzić sobie i z przełożonymi, i z podwładnymi, umiał się ustawić, trafnie ocenić sytuację i obrócić ją na swoją korzyść. Nie miał wprawdzie zbyt wielu przyjaciół, ale zażytych wrogów – też nie.

Przez pierwsze kilka dni po wypłynięciu z portu cierpiał na chorobę morską, lecz po tygodniach spędzonych na statkach Gulf Coast wiedział, że taką niedyspozycję należy po prostu przeczekać. Kiedy wrócił do formy, wypełniał rozmaite obowiązki odrobinę szybciej i ciut sprawniej niż inni, co zwróciło uwagę kapitana Gordona

Hutchinsa. Po sześciu dniach na morzu kapitan mianował Ferrisa swoim pomocnikiem, a po kolejnych sześciu był jego przyjacielem i nie omieszkął

¹⁶ * Torch (ang.) – głównia, żagiew – kryptonim wojskowej operacji, kończącej aliancką kampanię w Afryce Północnej w 1942 r. (przyp. tłum.).

¹⁷ * George Smith Patton (1885-1945) – najpopularniejszy i najbardziej waleczny amerykański generał; słynął ze śmiałych decyzji, temperamentu i niewyparzonego języka, jeden z czołowych dowódców alianckich w II wojnie światowej; zginął w wypadku samochodowym (przyp. tłum.).

wyrazić podziwu dla Dawn, kiedy Ferris pokazał mu przy szklaneczce whisky rozczulającą fotografię swojej małej córeczki.

Ferris widział dziewczynkę tylko raz, na przepustce, którą dostał miesiąc po narodzinach, i nie doszukał się w małej niczego nadzwyczajnego. Ot, pomarszczony niemowlak, który częściej płacze, niż śpi. Z Cappy, przygnębioną zbliżającym się rozstaniem, w ogóle nie mógł się dogadać – wciąż biadoliła, a jak nie biadoliła, to spała. Zanim wyjechał, przeniosła się do rezydencji wujostwa, gdzie liczna służba wyřęcała ją w pielęgnacyjnych zabiegach i gdzie na Ferrisa patrzono jak na gwałciiciela i oszusta. Rzecz jasna, dobrze życzył swojej rodzinie, jednak z prawdziwą ulgą wyruszył w morze.

Wiedział, że płyną po zwycięstwo. Dokąd jednak płyną, nie miał pojęcia. Tymczasem dowództwo za cel obrało trzy miasta w Afryce Północnej: Algier, Casablankę i Oran. Strategiczny plan przewidywał oskrzydłające lądowanie w tych właśnie portach i przejęcie kontroli nad terytorium Algierii, francuskiej części Maroka oraz Tunezji, skąd można by rozwinąć operacje taktyczne przeciw państwom Osi i zepchnąć ich oddziały w głąb pustyni.

Kiedy Ferris dowiedział się wreszcie, że celem jest Afryka, a generał Patton dowodził będzie operacją zdobycia Casablanki, uznał, że trafił w to właśnie miejsce prawdziwym zrzędzeniem opatrności. To właśnie w Casablance przebywał Hugh, jego rodzony brat, którego od lat nie widział na oczy. Oczywiście miał zamiar go odszukać, gdy będzie już po wszystkim. Choć bowiem obce były mu takie uczucia, jak szacunek czy miłość, swojego brata szanował, a jeśli kogokolwiek kochał, to właśnie jego.

Siódmego listopada, po trzech dniach gwałtownego sztormu, wiatr ustał, a powierzchnia wody się wygładziła.

Tego dnia grupy północna i południowa rozdzieliły się, idąc każda ku wyznaczonym celom. Około północy Ferris wpatrywał się w czarny czteromilowy pas wody dzielący Augustę od Casablanki. Następnego dnia miał osłaniać ogniem jeden z odcinków w trakcie desantu, znał więc już linię brzegową na pamięć i wiedział, jak niebezpieczne zadanie czeka amerykańskich żołnierzy. Skały, wąskie plaże, zbita zabudowa miasta – wszystko to mogło przesądzić o niepowodzeniu akcji, gdyby ten czy inny jej element nie został zrealizowany.

– Co, znowu się opieprzasz, Gerritsen? – usłyszał za plecami. – Może byś tak wziął się do jakiejś roboty? Wyczyściłeś lufy działek, naoliwiłeś dźwigi do szalup?

Ferris posłał kwaśny uśmiech chorążemu George'owi Reavisowi. Ten absolwent Yale to dopiero się opieprzał – najwyraźniej miał zamiar dochrapać się wysokiej rangi w marynarce dzięki nieskazitelnemu akcentowi i talentowi do gry w karty.

– Niech mnie pocałują w dupę, już się naharowałem.

– Co tam widzisz?

– Sam nie wiem. Coś mi to przypomina.

– Co?

– Chyba pewną noc z dzieciństwa. Morze, noc, gwiazdy...

– Coś ty, byłeś kiedyś dzieckiem?

– Aha, dawno temu. Wybraliśmy się z bratem na plażę. Mamy letni dom na wyspie, u wybrzeży Luizjany. Patrzyliśmy, jak nadciąga burza.

Ferris przypomniał sobie tę niesamowitą ciszę, kiedy tak stali na brzegu, on i Hugh, wsłuchując się w dalekie, złowieszcze pomruki. Pamiętał, że bał się odetchnąć, by nie ściągnąć na siebie nawałnicy. Długo jednak nie wytrzymał, był wtedy jeszcze dzieckiem. A kiedy się poruszył, niebo otworzyło się raptownie, a na ziemię lunęły strugi deszczu. Hugh zataaszczył go do domu, połowę drogi ciągnąc, a połowę niosąc na barana.

– Dzisiaj nie zanosi się na burzę – powiedział, trochę do siebie, a trochę do swojego rozmówcy.

– Ano nie – przytaknął Reavis. – Jutro wstanie słońeczko, spuścimy łódki i popłynie na plażę cała ta chmara patałachów i lewusów, co to znają się na wojaczce jak kura na pieprzu. W panterkach wyglądają jak komandosi, kurwa ich mać, ale ni cholery nie kapują, w czym sęk. Mówię ci, będzie jatka.

– Może tak, stary, ale lepiej trzymaj gębę na kłódkę. Chyba że chcesz podpaść kapitanowi – poradził Ferris i zszedł z pokładu do swojej kabiny.

Po kilku miesiącach spędzonych w Casablance Hugh Gerritsen i Arthur Flynn znali jej ulice i zaułki nie gorzej niż zakamarki swoich miast. Dla Hasima „Casa” była miastem rodzinnym, więc trafiłyby wszędzie nawet po omacku. Ta wiedza miała się właśnie im przydać, bowiem na peryferiach miasta noc była czarna i gęsta niczym smoła. Hasim jako przewodnik okazał się jednak bezbłędny.

– Już niedaleko – oznajmił swoją śpiewną angielszczyznę, kiedy przekradali się bocznymi uliczkami, gonieni szczekaniem jakichś wygłodniałych kundli.

– Na Boga, dlaczego to miasto tak śmierdzi? – poskarżył się Flynn.

Hugh popatrzył na niego z wyrzutem, choć Arthur i tak pewnie tego nie widział. Zaklinał go wcześniej, by w obecności Hasima zachował choć odrobinę taktu, w końcu Hasim nie miał obowiązku służyć im za przewodnika. Cóż, Arthur najwyraźniej nie doceniał jego lojalności. Za nic miał wykształcenie Hasima, jego szlachetność i mądrość. Hasim był inny, miał ciemną skórę, więc nie zasługiwał zdaniem Flynnna na szacunek.

– Lubię zapachy Casablanki – powiedział Hugh, by złagodzić popełniony przez partnera nietakt. – Przypominają mi Nowy Orlean.

– Masz dziwne upodobania, Gerritsen.

– Inne.

– Niech ci będzie, że inne. Ja tam wolę swoje.

– Cisza, panowie – wtrącił się Hasim. – Skręcimy za chwilę w prawo, to tam – wskazał nieoświetlony dom na rogu ulicy.

– Kto zostaje na warcie?

– To zależy od was.

– To nasza wojna – orzekł Hugh. – Idziemy z Flynnem, ty zostań.

– Załatwione. – Hasim błysnął białymi zębami. – Tylko uważajcie.

Hugh i Arthur podbiegli skuleni do żywopłotu i przecisnęli się przez krzaki do pogrążonego w ciemności ogrodu. Okna willi również były ciemne, jakby nikt w niej nie mieszkał.

– Cwane skurczybyki – mruknął Arthur – wiedzą, jak się kamuflować.

– Żadnych anten. Ale to stąd nadają.

– Ciekawe, ilu ich jest. Nie miałbym nic przeciwko paru komandosom do pomocy.

Hugh też nie czuł się zbyt pewnie, lecz otrzymał rozkaz i wiedział, że musi go wykonać.

– Gotów? – spytał krótko Flynn.

– Gotów.

Ruszyli ostrożnie do schodków prowadzących do wejścia. Arthur przywarł do ściany po lewej stronie drzwi, Hugh nachylił się nad zamkiem. Po chwili przekręcił obrotową klamkę i dał znak partnerowi.

Pchnął drzwi, a te otwarły się bezgłośnie. Z odbezpieczonymi pistoletami wślizgnęli się do środka i zaczęli czujnie posuwać się w głąb holu.

Nagle nad ich głowami rozległ się głuchy łoskot.

Arthur gestem głowy wskazał schody, Hugh potwierdził.

Po chwili znów coś gruchnęło i zaraz potem posypał się grad niemieckich przekleństw.

Hugh i Arthur zamarli w bezruchu. Hałas na piętrze wzmógł się, trzasnęły drzwi, a zaraz potem dobiegły ich wyraźne męskie głosy.

– Ja mam ciężej – mówił po niemiecku pierwszy.

– Co ty gadasz, ja mam ciężej – odpowiadał drugi.

– Nie marudź, tylko dźwigaj.

– Nie damy rady. To cholera jest za ciężkie.

Hugh bez trudu dopasował twarz do głosów. Znał tych mężczyzn – byli agentami Abwehry, którzy od dawna kręcili się po mieście. Kiedy alianci dowiedzieli się, że w domu na przedmieściach działa zakonspirowany nadajnik radiowy, polecili swoim ludziom sprawdzić, kto wysyła zaszyfrowane meldunki. Teraz Hugh otrzymał potwierdzenie swoich przypuszczeń – nadawali Niemcy, którzy w obliczu inwazji próbowali nadać ostatni raport i zabezpieczyć szpiegowski sprzęt.

To, że robili to w ostatniej chwili, potwierdzało sukces misji Dwunastu Apostołów – Niemcy byli zaskoczeni desantem, skoro ewakuowali radiostację tak pospiesznie.

– Uważaj, łamago, zaraz to upuścisz! – znów zirytował się jeden z agentów.

– Masz dłuższe ręce, to ci łatwiej.

– Przymknij się i dawaj dalej...

Hugh od wielu miesięcy czekał na początek operacji „Torch”. Bał się, żeby nie nawalić, nie spartaczyć swojego drobnego wkładu w to historyczne wydarzenie.

Najpierw starał się zmylić przeciwnika i rozpowszechniał różnymi kanałami fałszywe informacje, teraz miał dokończyć dzieła i zakończyć misję przechwyceniem wrogiej radiostacji. Gdy pomyślał o tym, że to być może ostatnie zadanie, przed jakim staje w Casablance, poczuł nagły przypływ sił i odwagi.

Skinął głową partnerowi, obaj wyciągnęli przed siebie lufy pistoletów i z uśmiechem przysłuchiwali się odgłosom na piętrze, które nabrały swobodnego rytmu: krok-łomot- stuk-bluzg. Kiedy zaś na stopniach pojawił się pierwszy z Niemców, taszcząc tyłem wielki jak szafa nadajnik,

Hugh odezwał się głośno nieskazitelną niemczyzną:

– Dobry wieczór panom. Przykro mi, że zadaliśmy sobie tyle niepotrzebnego trudu, ale o czymś chyba zapomnieliście. Umowa wyraźnie precyzuje, że wynajmujemy ten dom z pełnym wyposażeniem.

Po północy zaczęto ładować na łodzie pierwsze oddziały desantowe. Akcja przebiegała sprawnie i bez zakłóceń, lecz Ferrisowi oraz pozostałym oficerom na krążowniku „Augusta” czas włócił się w nieskończoność. Co gorsza, radiostację powierzono niedoświadczonemu operatorowi, przez co informacje z Casablanki napływały z opóźnieniem i nie wszystkie dawało się odszyfrować, toteż nie mieli pewności, jak wygląda sytuacja w mieście.

Kiedy pierwszą grupę szturmową wyprawiono w czteromilową trasę, dzielącą okręty od Przylądka Fedala i Pont Blondin, było już niedaleko do świtu.

– Ja pierniczę, patrz, co te żabojady wyprawiają! – Reavis wskazał Ferrisowi brzeg, skąd reflektory zawzięcie przeczesywały niebo.

Ferris wiedział, że generał Eisenhower przekazał Francuzom prośbę, by reflektorami skierowanymi w niebo zasygnalizowali gotowość współpracy, jednak sposób, w jaki smugi reflektorów sunęły po niebie, a przede wszystkim ich wielka ilość, wydała mu się podejrzana.

– Może szukają samolotów – skwitował.

– Tak, cholera, to nie znaki, a obrona przed desantem! Te słowa okazały się prorocze. Świetlne smugi zaczęły nagle wyławiać z ciemności kolejne

łodzie i po chwili nad wodą uniósł się szczekliwy jazgot karabinów maszynowych.

– Psia mać! – zaklął Reavis. – Połowę z nich od razu załatwią!

I tak właśnie się stało. Z ponad stu łodzi, które popłynęły w stronę wybrzeża, do świtu ponad pięćdziesiąt zatoneło albo roztrzaskało się o skaliste wybrzeże.

Ferrisa nosiło ze złości. Nie po to zaciągnął się do marynarki, żeby oglądać wojnę jak w kinie z pokładu

„Augusty”. Pewnie, nie miał zamiaru wystawiać tyłka na pewny postrzał jak ci biedacy w desantowych łódkach, ale też nie uśmiechało mu się gapienie przez lornetkę, czekanie na opóźnione depesze albo patrzanie na pomarszczone czoła zafrasowanych oficerów. Kiedy więc nadszedł w końcu rozkaz włączenia się okrętów do bitwy, zacierał ręce z radości.

Siostrzany krążownik „Brooklyn” już wdał się w wymianę ognia z przybrzeżną artylerią, „Augusta” szykowała się do pierwszej salwy. Ferris odszukał kapitana Hutchinsa i zapytał:

– To co, walimy, kapitanie?

– Mieliliśmy czekać na meldunki, czy można, ale Patton się wkurzył jak diabli – odparł kapitan. – Ma po dziurki w nosie tego bardaka od depeszy i kodów. Wybiera się sam na brzeg, z grupą oficerów.

– Rozumiem. Trzeba przygotować łódź.

– Dokładnie. Mają zamiar pozabierać wszystkie swoje manele. Chyba nie wrócą na pokład. Zajmiesz się tym, Gerritsen?

– Tak jest, kapitanie.

– Tylko pamiętaj, nie waż mi się pokazywać na oczy, jeśli nie wysadzisz Pattona cało na brzeg.

Ferris poczuł przyływ radosnego podniecenia. Nie umiał cierpliwie czekać. Nie lubił czekać na cokolwiek.

Nadeszła wiadomość, że niszczyciel „Murphy” dostał w prawą burtę, ale nie wymieniono strat. Z brzegu dochodziły odgłosy wybuchów, lecz nikt nie miał pojęcia, kto strzela i do kogo. Trudno było połapać się w całym tym rozgardiaszu, ale w końcu lepiej robić coś niż nic. Zwłaszcza że to „coś” było bardzo, bardzo dalekie od „nic” – został w końcu odpowiedzialny za wysadzenie na afrykańskim brzegu samego George’a Pattona. Wydał odpowiednie rozkazy i zaczęto szykować szalupę dla generała. W korytarzu natknął się na zagonionego porucznika z otoczenia Pattona i poinformował, że lada chwila będzie gotowa do spuszczenia na wodę.

– Przynieście już wszystkie graty – powiedział – żeby generał nie musiał czekać ani sekundy.

Młody oficer wyglądał, jakby nie spał od tygodni. Ferris słyszał, że Patton wyciska swoich podwładnych jak cytryny.

– W porządku, wszystko będzie gotowe – obiecał porucznik. – Generał zwykle zabiera ze sobą tylko trochę papierów, książek i ubrań. Ostrzegam jednak, że nie rozstaje się z pistoletami.

– Z pistoletami?

– Ma dwie stare pukawki z kolbami z kości słoniowej.

Wszędzie je ze sobą wozi.

– Okay, znajdziemy na nie specjalne miejsce.

Porucznik zniknął, a Ferris poszedł sprawdzić, czy łódź jest już na żurawikach. Przy lewej burcie natknął się na Reavisa, który nadzorował ładowanie pocisków do baterii dział.

– Francuskie statki! – rzucił do Ferrisa i wskazał w stronę Casablanki. – Płyną prosto na nas!

– Będziemy strzelać?

– Tak – odparł Reavis i po chwili z tuby rozległy się chrapliwe rozkazy.

– Ognia!

Ferris poczuł drżenie kadłuba. „Augusta” aż zadygotała od potężnej salwy, a potem gwałtownie zmieniła kierunek. Tuż obok wpadł do wody pocisk wystrzelony przez przeciwnika i na pokład spadły bryzgi słonej wody. Dwa najbliższe niszczyciele, „Wilkes” i „Swanson”, pomknęły w stronę francuskich kanonierek, a „Augusta” puściła się za nimi, prując dziobem spienione fale i raz po raz wałąc w stronę Francuzów ze swoich dwustumilimetrowych dział.

– Chryste Panie... – szepnął Ferris, kiedy zdążył zorientować się w sytuacji. – To naprawdę jest wojna. Najbardziej bał się tego, że niespodziewane spotkanie z flotą przeciwnika pokrzyżuje generalskie plany i że Patton zrezygnuje z desantu na plaży. Kiedy jednak po godzinie udało się przegonić Francuzów, a on mógł osobiście nadzorować załadunek generalskiego ekwipunku, od razu poczuł się lepiej.

W żyłach Ferrisa aż się gotowało z podniecenia.

Wreszcie coś się dzieje. Wygrali pierwszą potyczkę, i to bez ofiar. Patton ze swoją świtą już nadchodzi, podobno jest w dobrym humorze. Młody porucznik podaje Ferrisowi drewnianą skrzynkę z cennymi pistoletami, a on bierze ją ostrożnie w ręce i staje na baczność na widok generała. Generał kroczy sprężysto, kierując się do łodzi zawieszanej już na żurawikach, żuje koniuszek cygara. Przedstawiają mu Ferrisa, a on kiwa wówczas głową i rzuca krótko:

– Wszystko gotowe, Gerritsen?

– Tak jest, generale!

– To w drogę.

Ferris nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Oto zabiera na ląd samego George’a Pattona! Wyróżni się, kapitan Hutchins powierzy mu nowe obowiązki. W bliższych okolicznościach rodziły się bohaterskie kariery.

Kiedy jednak Patton miał właśnie przerzucić nogę przez burłę, stało się coś, czego nikt się nie spodziewał.

Potężny grzmot wstrząsnął nagle statkiem, generał upadł na pokład, a Ferris, który zdążył już wejść do szalupy, wyleciał jak z procy głową do przodu. Ogłuszony, usiłował się pozbierać, z trudem chwytając powietrze. Jedną ręką chwycił się przedniej ławki, drugą podparł się o podłogę. Następny wstrząs rzucił go znowu do przodu. Upadł na twarz, jego palce natrafiły na gładkie drewniane wieko. Schwycił odruchowo skrzynkę, niemal cudem zeskoczył na pokład „Augusty” i w tym momencie łódź z hukiem rąbnęła o burłę krążownika, roztrzaskując się na tysiąc kawałków.

– Co jest, do jasnej cholery! – ryknął Patton, podnosząc się na nogi. – Co się tu dzieje!?

Oficerowie rzucili się generałowi na pomoc. Ferris, wciąż oszołomiony, dźwignął się na kolana.

– Otworzyliśmy ogień, generale – wyjaśnił porucznik.

– A kto rozwalił szalupę, do kroćset!?

– Chyba my, generale. Walimy z lewej burty. Francuzi znowu ścigają nasze transportowce.

Patton nie odpowiedział. Stał w milczeniu obok burty, gdzie jeszcze przed chwilą zawieszona była na żurawikach łódź, którą miał płynąć, i wpatrywał się w pobrzękujące jękliwie łańcuchy.

– Moje pistolety... – odezwał się wreszcie złowieszczym głosem.

– Do stu diabłów! Moje wspaniałe pistolety!

Ferris bezmyślnie spojrzął na skrzynkę, którą wciąż kurczowo przyciskał do piersi.

– Ja je mam, sir – wykrztusił. – Ja je mam, generale

Patton. Są całe. Ocalałem je.

Patton odwrócił się i przyjrzał badawczo Ferrisowi.

Ten ze zdumieniem odkrył, że odzyskał władzę w członkach.

– Proszę, generale, oto one.

Generał bez mrugnięcia okiem sięgnął po skrzynkę i uchylił wieko. Z wyrazem zadowolenia na twarzy zatrzasnął pokrywę, a potem ponownie zmierzył Ferrisa od stóp do głów i zapytał:

– Co oni mówili, jak się, chorąży, nazywacie?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNA- STY

Następnego dnia po kapitulacji Casablanki w apartamencie Hugh rozległo się pukanie. Zwłókł się z łóżka, by otworzyć drzwi, i zmarszczył brwi na widok krótko ostrzyżonego młodzieńca w amerykańskim mundurze, który stał na progu w zawadiackiej pozie. Dopiero gdy żołnierz się uśmiechnął, Hugh go rozpoznał – trudno byłoby znaleźć drugiego mężczyznę o tak pyszałkowatym i tak bezceremonialnym uśmiechu.

– Pamiętasz mnie jeszcze, Hap? – zapytał przybysz, a Hugh natychmiast rozpostarł ramiona i omal nie udusił brata w gorącym uścisku.

– Ferris! Nie wierzę własnym oczom! Skąd się tu wziąłeś?

– Ej, uważaj na mundur. Odprasowała mi go właśnie jedna cizia.

– Nie miałem pojęcia, że jesteś w Maroku. – Hugh odsunął Ferrisa na długość wyciągniętych ramion. – Do głowy by mi nie przyszło, że mogłeś przypląć na którymś z tych statków.

– Na „Auguście” – sprecyzował Ferris. – Z sir Pattonem na pokładzie.

– Mój Boże, może i lepiej, że nie wiedziałem. Bałbym się o ciebie.

– To do ciebie podobne – skomentował Ferris. – Ale spokojna głowa, Ferris nie da sobie zrobić kuku jakimś szopom albo żabojadom. A ty, braciszku, co porabiałeś, kiedy ja ratowałem twój tyłek?

– Zlecono mi pewną drobną robótkę.

– Niby kto?

– Ojczyzna, ma się rozumieć.

– Jaką robótkę? – Ferris spojrział na brata z zainteresowaniem.

– A taką, żebyś mógł spokojnie wpląć do portu.

– Ładne mi spokojnie – Ferris przejechał dłonią po ogolonym karku – mało brakowało, a przeniósłbym się na tamten świat. – Uśmiechnął się na wspomnienie incydentu na statku i opowiedział bratu o szalupie, którą miał przewieźć Pattona na ląd. – Generał mnie sobie zapamiętał – pochwalił się na koniec.

– Rozmawiał już z kontradmirałem Hewittem.

Mam nominację do generalskiego sztabu. Jestem szycha, Hap.

– Jak cię znam, to o to ci chodziło – roześmiał się Hugh.

– Cóż, przynajmniej nie muszę wracać do domu. Co, nie spodziewałeś się tego po mnie? Zrobiłem szmat drogi, żeby cię zobaczyć, braciszku, a ty się krzywisz.

Docień lepiej braterską miłość.

Hugh otoczył Ferrisa ramieniem i powiódł do niewielkiej sypialni. Zdjął gazety z ulubionego fotela, robiąc bratu miejsce do siedzenia.

– Doceniam – powiedział. – Nie wiem tylko, co masz na myśli, kiedy mówisz z taką ulgą, że nie musisz

wracać do domu. Coś nie w porządku? Coś z Cappy? A może z Dawn?

– Dawn ma się dobrze – odpowiedział Ferris, rozpięrając się w fotelu i przyjmując z ręki brata szklaneczkę francuskiego burgunda z prywatnej piwniczki Roberta Gascona. – Tylko że straszne z niej brzydactwo. Wiedziałaś, że wszystkie bachory są wstrętne? Podobno tak już jest, nie ma wyjątków. Znamomi Cappy mają tego drobiazgu bez liku, większe i mniejsze. Wszystkie brzydkie jak noc.

– Założę się, że Dawn jest śliczna.

– Tak? – Ferris wyciągnął z kieszeni wymiętą fotografię i wręczył ją bratu.

– To zobacz. Szkoda, że nie było cię na chrzcinach. Kurde mol, ty sam byś ją ochrzcił.

– Nie jestem księdzem.

– Dobra, dobra. Dla mnie jesteś więcej niż ksiądz. Ja tam bym poczekał, aż wrócisz, ale teściowa pilila. Bała

się, że dzieciak kipnie i pójdzie na tamten świat bez sakramentu.

Hugh zwrócił bratu zdjęcie.

– Jest prześliczna. Żałuję, że nie byłem na chrzcinach.

– Aha, całego by cię obsikała. Ona jak sika, to beczy. A jak ta się przestaje mazać, to zaczyna Cappy.

Ale ty lubisz te sprawy, to by ci się podobało.

– A ty nie?

– Jak by ci tu powiedzieć...

– Co, nie jesteś szczęśliwy z ojcostwa?

– Okay, ujdzie, byle z daleka.

– A jak się miewa Mamere? – Hugh zmienił temat. – Napisałem do niej, ale od kilku miesięcy nie mam z domu żadnych wieści.

– Przypuszczam, że nie najgorzej. Tyra dzień i noc. Ale się trzyma. Jak na razie cała ta wojna nikomu nie szkodzi.

– Z wyjątkiem tych, którzy giną.

– Co tam. Może Hitler ma rację? Może lepiej, jak paru gości zniknie z tego świata?

– Dużo z ciebie chłopak, a pleciesz jak dziecko.

– No to już, cisza, zmieniamy temat. Chcesz posłuchać o Królu? – Ferris uniósł kieliszek do ust z drwiącym półuśmiechem. – Cały czas tankuje, ciągle chodzi narąbany. Co tam, trzeźwy czy zalany – wścieka się tak samo. Teraz wymyślił, że będzie burmistrzem. Tolerują go, bo ma forszę.

– A Ti’Boo?

– Synowie wyjechali, to pilnuje spraw w Lafourche.

Hugh wyczerpał zasób pytań i teraz czekał, aż Ferris zagadnie go o Nicky. Spodziewał się, że matka podzieliła się z młodszym synem swoimi rozterkami. Nie rozumiał, dlaczego Ferris ani razu nie zapytał do tej pory o kobietę w życiu brata. W końcu „te sprawy” zawsze go interesowały.

– No to co robiłeś przez te ostatnie lata? Jakaś historia z gatunku płaszczą i szpady?

– Coś w tym rodzaju.

– Nie myślałeś, żeby wrócić i znowu spróbować załapać się na księdza?

Hugh odwrócił wzrok.

– Sytuacja się nieco skomplikowała.

– No, no – Ferris odstawił kieliszek i spojrzał na niego wyczekująco. – Nie mów, że zarwałeś jakąś kobitkę?

– Rozmawiałeś o mnie z Mamere?

– Nie. Niby o czym? Nie wiedziała, że tu będę.

– Więc nie mówiła ci nic o Nicky?

– Nicky? Co znowu za Nicky? Nic nie mówiła.

Może nic nie wiedziała? Kiedy wyjeżdżałem, skarżyła się, że od dawna nie przychodzą do niej od ciebie żadne listy.

Hugh dwukrotnie napisał do domu w ciągu ostatnich miesięcy. W pierwszym liście wyznawał matce miłość do Nicky Valentine, w drugim prosił o wyjaśnienie zagadkowego pochodzenia złotego medalionu z jej podobizną. Sam gubił się domysłach. Przypuszczał, że matka Nicky była służącą lub może przyjaciółką jego matki. Jakkolwiek by było – chciał znać prawdę. Nie przyznał się ukochanej, że rozpoznał na umieszczonej w medalionie fotografii swoją matkę ani że napisał drugi list. Postanowił wstrzymać się z tym do czasu, aż Aurore wszystko mu wyjaśni.

Jednak Aurore albo rzeczywiście nie dostała jego listów i o niczym nie mogła wiedzieć, albo wiedziała, lecz z jakiegoś powodu wolała nie wtajemniczać Ferrisa w tę sprawę. Na wszelki wypadek i on postanowił nie podejmować więcej tego tematu.

– Wydoroślałeś – odezwał się, mierząc brata pełnym uznania spojrzeniem.

– Ale czy zmądrzałeś, braciszku?

– Jeszcze jak! – uśmiechnął się Ferris. – Wojsko to szkoła życia, nie?

– Pytam, bo opowiadasz jakieś bzdury o tym, że Hitler ma rację...

– Pogadać sobie nie wolno?

– Więc w co naprawdę wierzysz? Pozbyłeś się fałszywych uprzedzeń, nauczyłeś się choć trochę tolerancji?

– Nie zasuwasz mi tu kazań, dobra? Jestem dorosły, sam o sobie umiem decydować. Mam w końcu dziecko, nie? – zapytał niby żartem. – Nie ucz ojca dzieci robić... Znasz to, Hap?

– Nie chcesz o tym rozmawiać?

– O czym? O robieniu dzieci czy o tolerancji wobec czarnuchów? A może będziesz mnie przekonywał, że Arabusy to też ludzie?

– Uważasz, że jest inaczej?

– O rany, Hap, zaraz mi zaczniesz gadać, że nikogo nie wolno potępiać z racji pochodzenia, że istnieją inni ludzie, o innym sposobie myślenia, innych obyczajach. Zlituj się. Jasne, że to ludzie. Jasne, że mają inne obyczaje. Jasne, że myślą inaczej. Ale źle myślą.

– Rozumiem – westchnął Hugh. – Nowy Orlean wciąż jest dla ciebie pepekami świata, a ten powinien być urządzone tak, jak biali urządzili życie w Luizjanie. Nie, Ferris – pokręcił głową – świat jest większy i o wiele bogatszy, niż ci się wydaje, a każdy ma prawo żyć po swojemu. Ludzie powinni umieć żyć zgodnie obok siebie, czerpać korzyści z tego, co ich różni, uczyć się od siebie nawzajem.

Ferris skrzywił się wymownie.

– Wiesz co, Hap? Zaraz się porzygam. Skończ wreszcie to swoje kazanie i pogadaj ze mną po ludzku. Chyba że chcesz mi dać do zrozumienia, że kręcisz z jakąś zafajdaną Marokanką. Jak tak, to odpuść sobie. Co, nie ma tu Amerykanek? Francuzki też są niczego sobie. Byle nie jakaś czarna zdzira.

– Ona nie jest Marokanką, skoro już o to pytasz. Jest Amerykanką i pochodzi z Nowego Orleanu. Śpiewa w klubie „Palm Court”.

– A widzisz – Ferris pochylił się ku niemu – więc to jest ta Nicky, dobrze się domyślam?

– Tak – odparł Hugh w tym samym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju, jakby przywołana przez braci, wpadła Nicky.

– Hap! – Dobięła do niego, a on zerwał się z fotela i wziął ją w ramiona. – Hap, tak się bałam...

– Już dobrze – pogładził ją pieścizotliwie po włosach – już wszystko dobrze. Nic mi nie jest, przeżyłem.

– Nikt mi nie potrafił powiedzieć, jak ci poszło.

Próbowałam się dodzwonić, ale telefony nie działają.

– Udało się, Nicky. Już po wszystkim. Teraz nie musimy się bać. – Ucałował ją czule, po czym zerknął na Ferrisa. – Chciałbym ci kogoś przedstawić.

Odwrociła głowę.

– Przepraszam, wpadłam jak bomba...

– To mój brat, Ferris Gerritsen – oznajmił Hugh, nie wypuszczając jej z objęcia. – Ferris... – spojrzał na brata, który podniósł się z fotela – poznaj, proszę, Nicky Valentine, kobietę, którą kocham.

Nicky wyciągnęła rękę na powitanie.

– Jak się masz, Ferris.

Jednak Ferris był tak zdumiony, że wpatrywał się w nią w milczeniu, a na jego twarzy malowało się niedowierzanie, potem niesmak, a wreszcie zgroza.

– Jezu, Hap...

Nicky cofnęła wyciągniętą dłoń. Hugh wzmocnił uścisk wokół jej talii.

– Jezu, Hap, ona jest... kolorowa.

– Będziesz później w domu? – spytała Nicky, która od razu się domyśliła, że lepiej będzie zostawić braci samych. Nawet nie czekała na odpowiedź i od razu wyszła, zamykając za sobą starannie drzwi.

– Ona jest kolorowa! – wysapał powtórnie Ferris, kiedy kroki Nicky umilkły na schodach. – Na mózg ci padło? Za długo mieszkasz tu z tymi brudasami? Zapomniałeś, jak odróżnić smolucha od białego? Co z tego, że ma jasną skórę? To czarnucha, od razu widać! Nie wiedziałeś tego?

Hugh powściągnął gniew. To przecież mój brat, pomyślał, a potem odparł, ostrożnie dobierając słowa:

– Posłuchaj, Ferris, nie dbam o to, czy jest biała, czy czarna. To dobra kobieta, szlachetna i mądra. Kocham ją i mam zamiar się z nią ożenić.

– Ożenić się? Oszalałeś?

– Ja oszalałem? Szaleństwem jest raczej to, żeby przekreślać miłość w imię przynależności do tej czy innej rasy. Ona jest człowiekiem, Ferris, tak samo jak ja i ty.

– Nie dali ci święceń, ale ciągle układasz te swoje umoralniające gadki. Kogo usiłujesz nawracać? Co to, ja nie wiem, że czarnuchy to też ludzie? Kurde mol, jednym ludzi lubię, a innych nie znoszę. Zabroni mi ktoś?

– Nikogo nie usiłuję nawracać. Kocham Nicky. Koniec, kropka. Chcę się z nią ożenić, a jej kolor skóry nie ma tu nic do rzeczy. Jednym nie znoszę, innych lubię, a ją kocham. Zabroni mi ktoś?

– Zależy, kogo zapytasz o zdanie.

– Znajdziemy miejsce, gdzie nas zaakceptują. I będziemy szczęśliwi.

– Czyżby? Łudzisz się, że jest takie miejsce na naszej kochanej planecie? Wszystko jedno zresztą, czy jest, czy nie ma. Czy ty wiesz, człowieku, na co się piszesz? Codziennie będziesz się budził w łóżku obok czarnuchy?

– I co z tego?

– Codziennie! Nic tego nie zmieni! Nic! Codziennie obok czarnuchy!

– Uważaj na słowa, Ferris.

– Bo co? Przywalisz każdemu, kto powie o niej „czarnucha”? Dosuniesz każdemu bez wyjątku? Życia ci nie starczy, tylu ich będzie.

– Ty możesz być pierwszy.

– Dzięki, ale ja nie piszę się na mordobicie. Nie z tobą. Jestem twoim bratem i coś dla mnie znaczysz, dlatego cię oszczędzę.

– No właśnie, jesteś moim bratem, synem tych samych rodziców. Zapomnij o tym fałszu, Ferris, o tej nienawiści, którą wpoił ci ojciec. Zrozum mnie. Zaakceptuj Nicky jako kobietę.

– W życiu, Hap. Co ty w niej widzisz? Lubisz ją dymać? No to rznij ją, do cholery, po to one są. Ale wybij sobie z głowy małżeństwo. Pieprz się z nią, ile wlezie, a potem wydaj ją za jakiegoś śmierdzącego bambusa, tylko się z nią nie żeń!

Pięść Hugh'a zdzieliła Ferrisa prosto w szczękę. Ten zachwiał się, otrząsnął i wściekle zaatakował głową.

Hugh upadł, ale padając, chwycił poję jego munduru i pociągnął brata za sobą. Poniosła go furia. Takiej

zaciekłości nie czuł nawet wtedy, gdy walczył o życie z Berberem.

– Ty sukinsynu! – sapał chrapliwie, dusząc Ferrisa za gardło. – Jesteś takim samym draniem, jak ojciec! Szarpali się, tłukli i przygniatali, aż wreszcie Hugh dosiadł okrakiem brata i zaczął okładać pięściami gdzie popadnie. Gdy Ferris nagle zwiotczał, Hugh zdał sobie sprawę, że go znokautował. Własnego brata!

Opadł na podłogę i leżał nieruchomo obok niego, dopóki Ferris nie poruszył się i nie jęknął.

– Kurde mol, naprawdę zwariowałeś...

– Nic ci nie jest?

– Gównu ci do tego.

– Więc wynoś się stąd i nigdy nie wracaj.

– Pójdę. – Ferris podniósł się z wysiłkiem. – Powiem ci tylko na pożegnanie, że zawiodłeś mnie, Hap. Kiedyś myślałem, że z ciebie to jest gość – mimo stłuczonych warg zdobył się na uśmiech – ale teraz już wiem, że żaden gość tylko pętał, zwykły gnojek...

– Powiedziałem ci, żebyś się wynosił.

– Pójdę – powtórzył. – I mam nadzieję, że kiedy wrócę do Stanów, nie zobaczę cię więcej. Miałem pewne plany co do nas dwóch, ale nic z tego. Nie będę zadawał się z gnojkiem, który robi za psa jakiejś kolorowej suki.

– Wiesz co, Ferris? Walczysz w tej wojnie po złej stronie. Bardziej by ci pasowała swastyka na rękawie.

– Myślisz, że w tej wojnie chodzi o czyjaś rację? Chodzi o to, kto kogo wykiwa i zgarnie dla siebie więcej forsy.

– W tej wojnie chodzi o wybawienie ludzi przed szaleńcem, który chce wywyżżyć jedną rasę kosztem innych.

– No to sie masz, zbawco. – Ferris poprawił mundur i schował do kieszeni oberwany guzik. – Pieprz ją sobie i módl się za zbawienie świata. Mam nadzieję, że przynajmniej niezła z niej dupa.

Hugh zamknął oczy. Poczul młodości. Słyszał, jak brat wychodzi, wiedział, że na zawsze, lecz nawet nie drgnął, by go zatrzymać.

Casablanka przypominała Ferrisowi wielkie koszary. Po ulicach jeździły czołgi i wozy pancerne, w ogródkach stał ciężki sprzęt, co większe sklepy zamieniono na składy amunicji. Na wszystkich skrzyżowaniach stały grupki żołnierzy, którzy pytali o drogę jeden drugiego, nie mogąc się rozeznać w płataninie uliczek i zaułków.

Mimo tego bałaganu Ferris bez trudu odnalazł drogę do „Palm Court”. Budynek był inny od pozostałych, w listopadowym słońcu lśnił nieskazitelną bielą, wydawał się spokojną oazą w morzu wojennego zamieszania.

To tu się poznali, pomyślał. Ciekawe, czy namiętność zrodziła się przy dźwiękach jakiegoś czarnego bluesa. Czy niedoszły księżulo wyrzekł się swojej wstrzeźliwości w przerwie między jednym a drugim występem tej seksownej lamparcicy.

Ferris nie miał żalu do brata, że dał się omamić tej śniadoskórej piękności o ciemnozielonych oczach. Nie mógł mu jednak darować, że dał się ponieść emocjom, że pozwolił, by czarnucha zdobyła jego serce. Nie po to ojciec wpa-jał im od urodzenia pewne zasady, żeby teraz jeden z jego synów miał się tym naukom sprzeniewierzyć.

Ale Hugh zawsze był słaby. Łatwo było go podejść, oszukać, zwieść. Lamparctica upatrzyła sobie takiego naiwniaka i użyła wszystkich swoich sztuczek, by stał się jej psem. Zatopiła swoje długie pazury w jego sercu, za-hipnotyzowała swoim kocim mručeniem., zaczarowała jak jakaś murzyńska szamanka. Jeśli on, Ferris, nie pomoże bratu natychmiast, ta czarnucha go pożre.

Z zaplecza klubu wyszedł ciemnoskóry chłopiec. W odróżnieniu od swoich rówieśników, którzy pętali się po ulicach tego brudnego miasta, ten był zad-bany i ubrany jak dzieci w Ameryce. Bawił się jo-jo i machał radośnie do przejeżdżających żołnierzy. Ferris odczekał, aż przejedzie kolejna kolumna czołgów, a potem przeszedł na drugą stronę ulicy i podszedł do niego.

W chłopcu było jakieś podobieństwo do Nicky – mimo ciemniejszej cery i bardziej afrykańskich rysów miał ten sam kształtny zarys twarzy i poruszał się z podobną godnością.

– Miałem taką zabawkę, kiedy byłem mały – zagadnął Ferris. – A umiesz tak zrobić, żeby chodziło?

Chłopiec pokręcił głową i przyjrzał się nieznanemu z zainteresowaniem, ale bez skrępowania.

– Pokazać ci?

– Tak – chłopak wręczył jo-jo Ferrisowi – proszę.

– Gdzie nauczyłeś się angielskiego?

– Moja mama jest Amerykanką, ojciec też był.

– No to w takim razie ty też jesteś Amerykaninem.

– Chyba tak. Ale mieszkam tutaj.

– Niezłe fajerwerki były w tym tygodniu, co?

– Był pan na którymś z tych okrętów? – zapalił się chłopiec.

– Jasne, że byłem. – Ferris spuścił jo-jo na ziemię i próbował tak nim kierować, by ślizgało się po powierzchni chodnika. Prawie mu się udało.

– Musiało być super. My z mamą uciekliśmy na czas inwazji za miasto.

– Kiedy wróciliście? – Ferris jeszcze raz spróbował sztuczki z jo-jo. Tym razem kółko zrobiło kilka kroków.

– Po południu. Ale klawo! Ja też chcę.

– Masz. – Ferris oddał mu zabawkę. – Mieszkasz tutaj?

– Tam – dzieciak wskazał na pierwsze piętro „Palm Court”.

– A czy twoja mama ma na imię Nicky?

– Tak, a skąd pan wie?

– Mam dla niej wiadomość.

– Jest na gorze. Zaprowadzę pana.

– Nie trzeba. Pewnie chcesz popatrzeć na czołgi. Sam pójde. Powiedz mi tylko, gdzie jest wejście.

Po chwili Ferris okrążył budynek i odnalazł boczne schody. Wspiął się szybko na piętro i zapukał do drzwi.

Nicky otworzyła niemal natychmiast – musiała płakać, bowiem oczy miała zaczerwienione i spuchnięte. Dostrzegła obrzmiałą szczękę Ferrisa, spuściła wzrok i odsunęła się, by go przepuścić.

– Jestem zajęta, więc mów szybko, co masz do powiedzenia, i znikaj.

– Przyszedłem ci powiedzieć, że jest mi bardzo przykro.

Przez moment w zielonych oczach zamigotała iskierka nadziei, kiedy jednak Ferris powiedział kolejne zdanie, od razu zgasła.

– Jest mi przykro, że rozdzieliłaś mnie z bratem.

– To twoje uprzedzenia cię rozdzieliły.

– No proszę. Jeden rzut oka i wszystko o mnie wiesz, co? – Zaśmiał się drwiąco. – Chyba cię nie doceniłem.

– Po co przyszedłeś?

– Chcę, żebyś zostawiła Hapa w spokoju. Powiedz mu, że za niego nie wyjdiesz.

– Niby dlaczego miałabym to zrobić?

– Bo podobno go kochasz. Jeśli go kochasz, to odejdiesz. Dobrze wiesz, że małżeństwo z tobą zrujnuje mu życie.

Podeszła do okna i sięgnęła po papierosa z nocnego stolika.

– Nie uwierzysz, ale mówiłam mu to tysiące razy.

Ferris zamilkł. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

Tymczasem Nicky wypuściła z ust smużkę dymu i dodała:

– Przekonywałam go. Prosiłam, żeby się zastanowił. Słyszał ode mnie to, co zapewne usłyszał od ciebie: że jeśli ożeni się z kolorową kobietą, wszyscy się od niego odwrócą; że nie będą w nim widzieli człowieka o prawym charakterze i światłym umyśle, ale zdracę własnej rasy; że nie przedłużą mu po wojnie rządowego kontraktu i że nikt w Stanach nie będzie chciał go zatrudnić do żadnej poważnej pracy. Jeśli za mnie wyjdzie, niczego nie osiągnie, choć w pełni na to zasługuje.

– Skoro zdajesz sobie z tego sprawę, dlaczego się nie odczepisz?

– Oboje zdajemy sobie z tego sprawę. Rozmawialiśmy o tym wiele razy.

– Brak ci odwagi, co? – Popatrzył na nią z potępieniem.

– Brak – przyznała. – Czuję się udręczona i rozdarta. Nie umiem kazać mu odejść.

– Kazać mu odejść? A dlaczego sama nie odejdiesz? Jesteś czarna, nic tego nie zmieni. Uważasz, że masz prawo ciągnąć za sobą biednego Hapa?

– Kocham go.

– Czyżby? A może kochasz to, co da ci to małżeństwo? Trudno, pożegna się z karierą, ale wciąż zostaje firma, rodzinny majątek. Na to liczysz? Prawo stanowe w Luizjanie nie pozwala rodzicom wydziedziczyć syna, pewnie już to sprawdziłaś. Trafia ci się niezła gratka – biały facet, i do tego nadziany.

– Chyba nie warto dłużej z tobą rozmawiać.

– Nie zamierzam zostawać na kawę. – Spojrzał na nią z pogardą. – Powiem ci krótko, tak jak chciałaś:

masz się od niego odwalić, jasne? Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale Hapa zostaw w spokoju. Czego chcesz w zamian? Forsy? Ile?

– Ludzie o twoich poglądach mają inne środki perswazji – pałkę, bat i płonący krzyż*¹⁸.

– Ja mam pieniądze. – Zbliżył się do niej i obrzucił ją ciężkim spojrzeniem. Z bliska wydała mu się niezwykle atrakcyjna. Pomyślał mimochodem, że nie powinien się dziwić bratu, że stracił głowę dla takiej cizi.

– No, ile? – powtórzył łagodniej.

– Nie chcę pieniędzy.

¹⁸ * Aluzja do metod działania rasistowskiej organizacji amerykańskiej Ku-Klux-Klan (przyp.red.).

– Tak? – Przesunął powoli palcem po jej policzku. – To czego chcesz? Mnie niczego nie brakuje.

– Z wyjątkiem uczciwości.

– Uwważaj – Ferris cofnął dłoń. – Myślisz, że nie znam takich jak ty? Ilu białych frajerów zbajerowałaś swoją dupcią i cyckami?

– Nie pytasz, ilu mam zamiar jeszcze skołować?

Pchnął ją mocno w stronę okna, niezapalony papieros wypadł jej z dłoni.

– Gównu mnie to obchodzi! – krzyknął. – Mnie interesuje tylko jedno: masz odchrzanić się od mojego brata! I to już! Wynos się z Casablanki, jedź gdzie chcesz, ale nie pokazuj się mi więcej na oczy, jasne?

Podniosła papieros, wyprostowała się dumnie i spojrzała na niego zimnym wzrokiem.

– To ty nie pokazuj mi się więcej na oczy.

Szturchnął ją mocniej i chciał złapać za włosy, lecz Nicky rąbnęła go kolaniem między nogi. Ferris zaskowyczał, zatoczył się i cofnął, trzymając obolałe krocze.

Postąpiła za nim. Chwyliła go za rękaw i zaczęła ciągnąć do drzwi, jednak wówczas wyrwał się jej gwałtownie i silnym pchnięciem powalił ją na podłogę.

– Spierdalaj z życia mojego brata! I to już! Zabiję cię, jak będziesz się do niego lepić, ty kurwo! Zabiję, kapujesz?

– Zostaw moją mamę! – usłyszał nagle dziecięcy głos i po chwili poczuł, jak dzieciak Nicky rzuca mu się desperacko na plecy i zaczyna okładać drobnymi pięściami.

Zrzucił go na ziemię i zdzielił Nicky w twarz.

Próbowała się bronić, machała rękami, zdołał jednak przytrzymać jej nadgarstki i już miał uderzyć ponownie, kiedy nagle poczuł przeszywający ból z tyłu głowy i natychmiast pociemniało mu w oczach.

– Zostaw moją mamę!

– Uderzyłeś mnie... – Ferris popatrzył z niedowierzaniem na chłopca, który stał nad nim z mosiężną lampą w dłoni. – Uderzyłeś, ty murzyński gnojku...

Nicky odepchnęła syna na bok i zerwała się z podłogi.

– Phillip, szybko, biegnij po Abdula! Powiedz, że mamy tu... śmiecia, którego trzeba sprzątnąć.

– A ty? – Phillip zawahał się, patrząc na nią bezradnie.

– Biegnij!

Chłopiec cisnął lampę i zniknął. Nicky otarła krew z rozbitego nosa i powiedziała, patrząc na znokautowanego Ferrisa:

– Masz minutę. Albo wyjdiesz o własnych siłach, albo wylecisz na zbity pysk. Wybieraj.

Podniósł się na kolana, miotając przekleństwa pod nosem.

– Zrzuńujesz mu życie – jęknął. – Hap jest przegrany.

– Hap jest szczęśliwy, ze mną.

Ferris stanął na wprost niej i popatrzył z nienawiścią w jej oczy. Potem schylił się wolno, podniósł kapelusz i otrzepał pogniecione ubranie.

Przed drzwiami czekał na niego muskularny mężczyzna w arabskim stroju, zza pleców siłacza wyglądał chłopiec.

– Za takie coś czarne wypierdki dyndają u nas na gałęzi – Ferris rzucił w jego stronę.

– Jeszcze raz ją dotkniesz, a cię zabiję! – odciął się Phillip i choć w jego oczach więcej było strachu niż śmiałości, to Ferris dostrzegł w nich także coś jeszcze – błysk determinacji i jakąś dzikość, od której poczuł na plecach dreszcz niepewności.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Aurore bujała się na ławeczce na szerokim tarasie domu Ti'Boo w Côte Boudreaux. Nie tknęła fasolki, którą podała jej Pelichere, nie wypila zaparzonej specjalnie dla niej kawy, a samotna filiżanka wciąż stała na ogrodowym stoliku.

Tydzień temu dotarł do niej wreszcie spóźniony list od Hugh i od tej chwili sumienie Aurore nie mogło się uspokoić. Czy to jakieś fatum zawisło nad naszą rodziną, pytała siebie bezradnie.

Oto jedyną miłością jej ojca była Marcelite Cantrelle. Nie mógł z nią być, a jakby tego było mało, posłał ją przez własne tchórzostwo na śmierć. Marcelite była matką Rafe'a, jedyne go mężczyzny, którego kochała Aurore. Ta miłość również nie miała szans na spełnienie, bowiem tym razem stchórzyła Aurore, zaślepiona szeregiem społecznych uprzedzeń. Teraz zaś jej ukochany syn zakochał się w kobiecie, której wedle wyznawanych w Luizjanie przekonań nie miał prawa poślubić.

W przeciwieństwie do swych przodków Hugh nie stchórzył. Zdobył się na krok, na który nie stać było ani jej, ani jej ojca. Sięgał odważnie po własne szczęście, nie zważając na żadne przeciwności. Aurore знаła Hugh i za tę odwagę nie raz go podziwiała. Wiedziała jednak, że jeśli ożeni się z Nicky Valentine, nie będzie mógł spokojnie wrócić do Luizjany, bowiem tu nikt nie uzna jego małżeństwa.

Czy miała prawo go przekonywać, by zerwał z kolorową kobietą? Czy wolno jej było mieć żal do najdroższego syna? Przecież ona kochała Rafe'a, знаła cenę, jaką się płaci za odrzucenie miłości pod presją społecznych praw i przyzwyczajzeń.

Do nieznaney jej Nicky Valentine też nie czuła żalu.

Starła się nie myśleć o niej jak o kobiecie, która odebrała jej syna. Nie mogła wszakże się pozbyć dręczącego niepokoju o przyszłość tej pary. Już słyszała kpiące głosy, drwiące komentarze, już widziała nienawistne spojrzenia. A co powie Henry, kiedy się dowie?

– Napij się kawy – usłyszała za sobą troskliwy głos Ti'Boo. – Od rana nic nie jadłaś ani nie piłaś. Zmarniejesz mi tu, Ro-Ro.

Aurore sięgnęła po filiżankę i upiła łyk zimnej kawy.

– Nie martw się o mnie – powiedziała ze słabym uśmiechem. – Nie po to przyjechałam do Bayou Lafourche, żebyś się mną zajmowała. To ja miałam opiekować się tobą, nie pamiętasz?

– Kiedy mi nic nie jest! Czuję się świetnie. Le bon Dieu uznał widocznie, że na coś się jeszcze przydam na tym świecie.

Pelichere wezwała Aurore do Côte Boudreaux, kiedy Ti'Boo zachorowała i odmówiła wizyty u lekarza.

Zamiast tego poprosiła syna sąsiadów, żeby zawiózł ją na bagna do chaty znachora. Ten odczynił złe uroki, dał zioła do picia i magiczny pęk ziół pod materac. Teraz Ti'Boo wyglądała jak szkielet, policzki jej się zapadły, a włosy zrzedły i zmatowiały. Tylko oczy wciąż były te same.

– Nie wyglądasz, jakbyś czuła się świetnie – pokręciła głową Aurore. –

Naprawdę powinnaś odwiedzić lekarza. Nie wyjadę, dopóki tego nie zrobisz.

– A ty wyglądasz, jakbyś miała umierać. Myślałaś o Hugh?

– Teraz myślę o tobie.

– Daj spokój, Ro-Ro. – Ti'Boo przysiadła obok przyjaciółki na bujanej ławeczce. – Lekarz nie powie mi nic, czego sama bym nie wiedziała.

– Cóż to ma znaczyć?

– Ech, już ja wiem – westchnęła, a potem dodała zmienionym tonem: – Ale nie mówmy o mnie. Jeśli chcesz znać moje zdanie na temat Hugh, to ja ci radzę się nie wtrącać.

– Wiem.

– I nie napiszesz, że nie wolno białemu chłopakowi żenić się z kolorową?

– Nie.

– Zmądrzałaś, Ro-Ro. – Ti'Boo uśmiechnęła się z zadowoleniem. Pogmerała przez chwilę w przepaścistej kieszeni fartucha, a potem dodała: – W nagrodę mam dla ciebie następny list – wręczyła jej kopertę oklejoną kolorowymi znaczkami – przyszedł trzy dni temu do Nowego Orleanu, ale odesłali go tutaj. Masz, czytaj.

– To od Hugh! – Aurore natychmiast rozpoznała znajome pismo.

– To ja nie przeszkadzam, czytaj sobie spokojnie.

– Nie – przytrzymała przyjaciółkę za ramię – zostań, proszę.

Ti'Boo usiadła, a ona rozdarła niecierpliwie kopertę i przebiegła szybko wzrokiem pierwszy akapit.

– Pisz, że miewa się dobrze... – zaczęła, lecz zaraz potem umilkła. Ręce zaczęły jej drżeć, zmarszczyła brwi i pochyliła się bardziej nad kartką. Skończyła czytać, zaczęła jeszcze raz od początku, jednak słowa za każdym razem układały się w ten sam komunikat.

– Ro-Ro? Coś się stało? – zaniepokoiła się Ti'Boo.

Aurore nie była w stanie wydusić odpowiedzi.

Zbladła, zasłoniła twarz dłońmi, a potem wybuchła bezgłośnym płaczem, zaś Ti'Boo jak za dawnych czasów przygarnęła do siebie znąkaną przyjaciółkę.

Hugh wezwano do Waszyngtonu bez podania jakiegokolwiek przyczyny. Nieoczekiwany rozkaz wydany na kilka dni przed Bożym Narodzeniem wydał mu się dość tajemniczy, tym bardziej że nie podano powodu tego nagłego wezwania. Wiedział tylko, że ma się stawić na pilną naradę z przełożonymi, zabierając ze sobą „wszystko, co dla niego ważne”.

To, co było naprawdę ważne, musiał niestety zostawić. Nicky i Phillip nie mogli z nim pojechać, a przynajmniej nie w takim trybie i nie tak szybko. Hugh przyrzekł im jednak wcześniej, że jeśli nowa misja związana będzie z niemożnością bycia razem – odmówi albo spróbuje przekonać przełożonych, że jego kwalifikacje wciąż można z pożytkiem wykorzystywać w Maroku.

Nicky starała się nadrabiać miną, lecz nic nie było w stanie zetrzeć tego przejmującego smutku, który malował się w jej oczach, kiedy Hugh powiedział, że wezwano go do Ameryki. Zapewniał ją solennie, że nie wpadnie w zasadzkę łodzi podwodnych, że szybko załatwi sprawy w ojczyźnie i że wróci w ciągu miesiąca, jednak ona kiwała tylko głową i milczała, jakby bała się, że padnie jakieś niepotrzebne słowo.

W przeddzień wyjazdu wymienili świąteczne prezenty.

On подарował jej piękny dywan z czystej marokańskiej wełny, który przykazał rozłożyć w takim miejscu, by chodząc, nie dało się go ominąć. Przy każdym kroku Nicky miała myśleć o Hugh, a wełna, zgodnie z berberyjskim wierzeniem, miała im przynieść szczęście.

Nicky podarowała mu skórzane krzesło i haftowaną poduszkę. Już w porcie wsunęła mu do kieszeni niewielką paczuszkę, gdy zaś Hugh otworzył ją na pokładzie, ujrzał w środku złoty medalion, który jego ukochana przez tyle lat nosiła na sercu.

Wzruszył go ten niezwykły gest i ta niezwykła sytuacja – oto miał teraz przy sobie podobizny dwóch kobiet, które najbardziej kochał w całym swoim życiu, portrety przyszłej żony i matki zamknięte niepojętym zrządzeniem losu w jednym wnętrzu. Przyczepił medalion do łańcuszka z zegarkiem i w czasie podróży często bezwiednie wodził palcami po wypukłym ornamencie w kształcie różyczek.

Był szczęśliwy, odurzony miłością i pełen wiary w szybki powrót do ukochanej, lecz kiedy patrzył na zdjęcie Aurore w złotym medalionie, ogarniał go niepokój.

Oczywiście planował się z nią spotkać, jednak nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi na dwa ostatnie listy, które do niej posłał, nie wiedział, czego się może spodziewać. Nie wierzył, by ta dobra kobieta mogła mieć jakiegokolwiek zastrzeżenia do jego życiowych planów. Ufał jej i nie wątpił, że go zrozumie. Gdy jednak przypominał sobie spotkanie z Ferrisem i jego reakcję na widok Nicky, to dziwne milczenie matki wzmagало niepokój i podkopywało wiarę w jej szlachetność.

Biuro, w którym miał się stawić w Waszyngtonie, mieściło się w masywnym budynku nieopodal Kapitolu.

Wszedł i zameldował swoje przybycie, recepcjonistka obrzuciła go obojętnym spojrzeniem i poprosiła, żeby usiadł. Kilka minut później wprowadziła go do niewielkiego pokoju na końcu korytarza.

Przy oknie stała... matka. Odwróciła się od okna na dźwięk otwieranych drzwi, lecz nie wyszła mu na powitanie. Po jej policzkach toczyły się łzy.

– Mamere? – Hugh stanął jak wryty. – Ty tutaj?

– Witaj, Hugh – odezwała się zdławionym głosem. Zauważył, że postarzała się przez te lata, kiedy się nie widzieli. Serce krajało mu się z bólu, gdy patrzył na łzy płynące po zmarszczonej twarzy, lecz nie był w stanie ruszyć się z miejsca.

– Chwała Bogu, dopłynąłeś bezpiecznie. Tak się bałam...

– Mieliśmy eskortę. Co to wszystko znaczy? Co tu robisz?

– Wiele tygodni rozmyślałam, jak ci o tym powiedzieć. Do dziś nie wiem.

Pokój był ciasny i zavalony paczkami. Wrogu stały dwa krzesła, zaproponował więc, żeby usiadła. Obawiał się, że Aurore za chwilę zemdleje, tak była blada i wyczerpana.

Usiedli. Nie wyciągnęła ręki, nie podała nawet policzka do pocałunku.

Wpatrywała się tylko w syna w napiętym milczeniu.

– Mamo, opowiedz mi, co się stało – zaczął miękko.

– Znienawidzisz mnie za to.

– Ależ mamo, nie mów tak!

– I będziesz miał rację. Zasłużyłam sobie na twoją nienawiść.

– Poczekaj, wyjaśnijmy najpierw to wszystko. Na pewno doszło do jakiegoś nieporozumienia.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo pragnę, żeby tak było – uśmiechnęła się słabo, a potem rozplakała się na dobre. Gdy chciał ją objąć i pocieszyć, odsunęła się i wyznała: – Zniszczyłam ci życie, synku.

– Chodzi o Nicky? – domyślił się szybko. – Ferris coś ci napisał?

– Ferris? – wydawała się zaskoczona.

– No to powiedz wreszcie, o co chodzi!

– Dostałam list...

Hugh poczuł zawód tak silny, że aż zemdliło go z poczucia bezsilności.

– Więc po to ciągnęłaś mnie taki szmat drogi, żeby wybić mi z głowy małżeństwo? Nic z tego – orzekł

stanowczo i zacisnął wargi – już jest za późno.

– Boże, czyżbyście wzięli ślub? – spytała z przerażeniem matka.

– Straszne, prawda? – uśmiechnął się z gorzką pogardą. – Uspokoję cię, mamo, jeszcze nie. Ale nie z tych powodów, o których myślisz.

– Ona się nie zgadza czy ty?

– Oboje się zgadzamy, ale Nicky chce poczekać.

Następnego dnia po wizycie Ferrisa Hugh zaproponował Nicky małżeństwo, lecz odmówiła, z niejasnych dla niego pobudek. Nagabywał ją później, czy istnieje jakaś szczególna przyczyna, dla której zaczęła się wahać, jednak wy dobył z niej tylko tyle, że „powinni poczekać i się upewnić”. Teraz Hugh był bardziej pewny niż kiedykolwiek, że chce być mężem Nicky Valentine i przybranym ojcem jej syna.

– W każdym razie na pewno powiadomię cię o dacie ślubu.

– Nie możesz się z nią ożenić.

– Mogę i zamierzam to zrobić – odparł, po czym wstał zagniewany. Mimo wszystko nie spodziewał się tego, czuł się rozczarowany i zdradzony. – Myślałem, że przynajmniej ty okażesz więcej tolerancji – wyznał. – Że

Ferris przejął szowinistyczne skłonności tylko po ojcu.

– Poczekaj, usiądź...

– Po co? I pomyśleć, że ściągałaś mnie aż z Maroka! Jak ci się w ogóle udało? Namówiłaś jakiegoś urzędnika? Powiedziałaś mu, w czym rzecz?

– Nic mu nie powiedziałam, a ty nie dajesz mi dojść do słowa! – zaszlochala rozpaczliwie.

Póki Hugh nie poznał Nicky, kochał jedynie dwie osoby: matkę i Ferrisa. Brata stracił bezpowrotnie, a teraz był bliski utraty matki. A wszystko dlatego, że zakochał się w kobiecie, która dla tępaków takich jak jego ojciec była gorsza.

– Mamo, jak mogłaś? – odezwał się do niej łagodniejszym tonem. – Przecież to ty mnie uczyłaś, że wszyscy ludzie zasługują na szacunek.

– To nie ma nic wspólnego z szacunkiem. – Wytrzeła oczy chusteczką. – Zanim ci to wyjaśnię, najpierw

powiedz, bo to jest tu najważniejsze, czy ta twoja Nicky to Nicolette Cantrelle?

– A więc to jednak twoją podobiznę nosiła w medalionie – uśmiechnął się mimowolnie. – Znałaś ją jako dziecko? Przyjaźniłaś się z jej matką?

– Poczekaj, synku, poczekaj... – Podniosła rękę, jakby chciała obronić się przed tymi pytaniami. – Jak ona znalazła się we Francji? Wiesz, z kim tam wyjechała? Ile teraz ma lat?

– Wyjechała z przyjacielem swojego ojca. Nazywał się Clarence Valentine i był muzykiem jazzowym.

Ojciec Nicky zginął w Chicago.

Aurore kurczowo zaciskała chusteczkę przy ustach.

Pobladła jeszcze bardziej, zgarbiła się i skuliła. Niepojęty, zimny strach zakradł się do duszy Hugh, wypierając z niej bunt i gniew. W głębi umysłu zaczęła kiełkować mu przerażająca, niewiarygodna myśl, bronił się jednak przed nią i nie pozwalał jej się skryzalizować.

– Mów – powiedział krótko. – Cokolwiek chcesz powiedzieć, powiedz i dłużej nie zwlekaj.

– Nie wolno ci się więcej z nią zobaczyć – szepnęła. – Uwierz mi, synku. Błagam cię, uwierz i nie pytaj o nic więcej. Uwierz mi na słowo. Przecież wiesz, że nigdy nie zawiodłam twojego zaufania.

Teraz Hugh już był pewien – prawda osłepiła go jak błyskawica. Jeśli jednak miał zmagać się z tym koszmarem do końca życia, musiał usłyszeć ową prawdę z ust matki. Powoli pokręcił głową i powtórzył:

– Powiedz.

– Nicky jest twoją siostrą... moim pierwszym dzieckiem. – Spojrzała na niego, jakby chciała prosić go o przebaczenie. – Teraz wiesz, dlaczego nigdy nie możesz wrócić do Casablanki.

Aurore bezmyślnie gapiła się w okno, kiedy pociąg przemierzał bezkresne rozlewiska wokół Nowego Orleanu.

Bolały ją nogi, a serce cierpiało katusze. Celowo nie wybrała sypialnego wagonu. Widoki za oknem chroniły ją przed popadnięciem w obłąd. Liczyła drzewa, krowy, a po zmroku światła domów – wszystko nadaremnie.

Wciąż nie opuszczało jej wspomnienie twarzy Hugh, który poznał właśnie tę być może najgorszą ze wszystkich możliwych prawdę – był bratem Nicky. Nie mógł zostać jej mężem.

Gdy usłyszał te porażające słowa, długo stał odrętwiały, zdruzgotany i zdjęty zgrozą. Wyglądał tak, jakby w jednej chwili przybyło mu sto lat.

– Nie wiedziałeś. Nie mogłeś wiedzieć – próbowała go pocieszać. – Pokochałeś własną siostrę, ale Bóg ci wybaczy.

– Sądzisz, że chodzi tylko o Boga? A czy przez moment pomyślałaś, czy wybaczy mi twoja córka? Czy tobie wybaczy? Boże, co się z nią stanie?

Thumaczyła mu, że przez dwadzieścia trzy lata żyła w przekonaniu, że Nicolette zginęła. Próbowała go przekonać, jak bardzo kocha to swoje pierwsze dziecko.

Powierzała mu swoje najskrytsze tajemnice i niemal spowiadała się na jego ramieniu z tego, jak to ugięła się pod ciężarem wielopokoleniowej nienawiści i odrzuciła zarówno miłość Rafe'a, jak i owoc tej miłości, swoją własną córkę.

Pytał o medalion, więc opowiedziała mu, jak dwa razy widziała się z Nicolette i ile bólu kosztowało ją rozstanie. Znów płakała, przeżywając powtórnie śmierć Rafe'a w Chicago i śmierć – jak się okazało pozorną – Nicky. Zwierzała się ze swojego bólu po śmierci dwójki najbliższych sobie osób, ze strachu przed Henrym i z nadziei, która budziła się w niej powoli, kiedy patrzyła, jak rośnie i rozwija się on, Hugh, jej najdroższy syn, jej pocieszyciel i prawdziwy dar niebios.

Hugh słuchał cierpliwie, lecz pozostał nieporuszony do końca rozmowy. Był otępiały, zmartwiały, daleki.

Zapadł się w sobie, jakby wiedział, że będzie odtąd niósł w duszy rozognioną, broczącą ranę, tak głęboką, że nic nie zdoła jej uleczyć.

– Oddałaś ją. – Potrzęsnał wreszcie głową z niedowierzaniem. – Rozumiem wszystko oprócz tego. Jak mogłaś wyprzeć się własnego dziecka?

– Nie mogłam jej zatrzymać. Dokąd bym ją zabrała?

– A teraz? Co czujesz teraz? Cieszysz się, że żyje?

– Już sama nie wiem. Ona żyje, ale ty ją kochasz. Zniszczyłam życie wam obojgu.

– To prawda.

– Wiesz, Hugh, że nie możesz jej tego wyznać.

– Dlaczego? Wciąż chcesz się jej wypierać?

– Na Boga, nie! Ale pomyśl tylko... Co będzie dla niej większą katorgą, jeśli znikniesz czy jeśli dowie się,

że... – urwała, bowiem głos odmówił jej posłuszeństwa. – A przecież to nie wszystko – ciągnęła innym tonem.

– Twój ojciec jest coraz bardziej niezrównoważony. Czy wyobrażasz sobie, co robi, kiedy dowie się, że Nicolette żyje? Wiesz przecież, że jest nieobliczalny.

– A więc boisz się o własną skórę.

– Ze mną może robić, co chce, ale boję się o nią! To niepoczytalny człowiek. Może zrobić jej krzywdę. Błagam, uwierz mi, Hugh, tu nie chodzi o mnie, bo moje życie dobiega kresu. Ale o was, o ciebie i Nicolette. Muszę was chronić.

– Chronić? – zaśmiał się drwiąco.

– Wiem, sądzisz, że niczego nie rozumiem. Ale to nieprawda.

Potrząsnął tylko głową i w milczeniu wyszedł z pokoju.

Przyjaciel, który pomógł Aurore zaaranżować spotkanie z synem, zadzwonił wieczorem do hotelu, żeby donieść, co wydarzyło się potem. Hugh po spotkaniu z matką zażądał podobno widzenia z najwyższym rangą oficerem wywiadu i domagał się wysłania go do Europy. „Najlepiej w sam środek piekła” – tak podobno się wyraził. Co podwładny i przełożony ustalili, nie było wiadomo – przyjaciel Aurore nie znał szczegółów.

Na peronie panował nieopisany tłok. Nie zawiadomiła nikogo, że wraca, nikt więc jej nie oczekiwał.

Z niewielką walizką w dłoni, Aurore wsiadła do tramwaju i pojechała w stronę domu. Gdy była już na Prytania Street, zmroziła ją nagle myśl o ponownym spotkaniu z Henrym, zawróciła więc szybko i skierowała swoje kroki w stronę rezydencji Robillardów. Tutaj mieszkała z córką jej synowa, odkąd rodzina wybaczyła jej pospieszne małżeństwo z Ferrisem Gerritsenem.

Straciłam dzieci, lecz na szczęście mam wnuczkę, pomyślała Aurore i wiedzona nieodpartą potrzebą sprawdzenia, czy Dawn aby na pewno miewa się dobrze, przyspieszyła kroku.

Dom Robillardów ginął w splątanej gęstwinie nieprzycinanych krzewów. Rodzina korzystała od pokoleń z całej armii wysoko wykwalifikowanych służących, lecz w trudnych czasach wojny zdana była na służbę pośledniego sortu, mniej sprawną i gorzej wykształconą.

W trakcie ostatniej wizyty u Cappy Aurore ze zgrozą stwierdziła, że od kilku dni maleństwa nie miał kto wykapać. Zaproponowała nawet, by Cappy z powrotem przeniosła się do niej, lecz Cappy odmówiła. U Robillardów było mimo wszystko więcej służby, a dziewczyna nie zawsze dawała sobie radę z dzieckiem.

Zadzwoniła do wejściowych drzwi i po długim wyczekiwaniu otworzyła jej stara, niechlujnie ubrana kobiecina. Nie bardzo umiała powiedzieć, gdzie jest Dawn, choć twierdziła, że to właśnie ją najęto do opieki nad dzieckiem. W końcu Aurore zaprowadzono na piętro, do pokoju na końcu korytarza, gdzie stało w kącie składane dziecinne łóżeczko.

Dawn wyglądała żałośnie. Była samotna, opuszczona, nie miała przy sobie nawet misia, do którego mogłaby się przytulić. W pokoju panował zaduch i śmierdziało od moczu, więc Aurore spytała:

– Kiedy ostatni raz była przewijana?

Staruszka zamruczała coś niewyraźnie po nosem.

– Gdzie matka?

– Wyszła.

Aurore wyjęła niemowlę z łóżeczka. Było przemoczone na wylot.

– Gdzie pieluchy?

– Pani zaczeka, ja to zrobię.

– Nie! Nie dotkniesz się więcej do dziecka. Przebrała dziewczynkę, później zaś umyła, przebrała, nakarmiła i utuliła do snu. Gdy Dawn usnęła, pojawiła się Cappy.

– O! Nie wiedziałam, że tu jesteś – bąknęła. Z potarganymi, przemoczonymi włosami i bez makijażu wyglądała równie żałośnie, jak jej córeczka. Nawet nie próbowała się uśmiechnąć.

– Gdzie byłeś?

– Wyszłam.

– Mała była mokra i głodna. Nie płakała, bo pewnie uznała, że i tak nie ma po co.

– Staram się, jak mogę.

– Słabo się starasz – rzuciła bezlitośnie Aurore. – Zabieram Dawn do siebie. Możesz iść z nami, ale będziesz musiała zajmować się córką sumiennie niż dotychczas. Nie pozwolę, by tak karygodnie zaniedbywano moją wnuczkę.

– Staram się... – powtórzyła bezradnie Cappy i wówczas gniew Aurore nieco zelżał. Mieszkała z Cappy pod jednym dachem i wiedziała, że ta dziewczyna miewa ludzkie odruchy, a potrzebuje jedynie zachęty i wsparcia.

– Nauczysz się – powiedziała życzliwiej. – Chętnie ci pomogę.

– Dziękuję, nie zależy mi na tym – odcięła się Cappy, najwyraźniej wciąż dotknięta poprzednią uwagą. Błysk sympatii natychmiast zgasł w sercu Aurore.

– Dobrze, rób, jak uważasz. Jeśli kiedyś wydoroslejesz i zaczniesz się po-czuwać do matczynych obowiązków, wiesz, gdzie szukać córki.

Cappy wyszła bez słowa z pokoju, a Aurore wzięła dziecko na ręce i popatrzyła na małą twarzyczkę.

Uderzyło ją niezwykle podobieństwo Dawn do Hugh.

ROZDZIAŁ DWUDZIE- STY PIERWSZY

– Chcę, żebyś rzuciła tę robotę i zaczęła wreszcie pracować dla mnie.

Ferris Gerritsen pochylił się nad barowym stolikiem, wbijając w córkę przenikliwe, władcze spojrzenie. Siedzieli właśnie nad jajkami na bekonie i mocną, aromatyczną kawą w barze nieopodal chaty Aurore, gdzie pajęczyny oplatały gęsto krokwie, a pociemniała, poplamiona alkoholem podłogę porzyskrywano byle jak arkuszami dykty.

– Potrzebuję fotografa na własny użytek – mówił – kogoś, kto będzie ze mną jeździł na spotkania przedwyborcze i robił odpowiednie ujęcia. Kogoś takiego jak ty, moja droga.

Dawn wielokrotnie widziała ojca w akcji i podziwiała jego dar zdobywania sobie sympatii publiczności.

Ona też nieodmiennie ulegała urokowi niezwyklej osobowości senatora Gerritsena.

– Chyba nie spodobałyby ci się moje ujęcia – uśmiechnęła się smutno.

– To znaczy?

– Utrwalam na kliszy takie szczegóły, których nie chciałbyś raczej pokazywać publicznie.

Ferris rozparł się w krześle. Jej przekora i pewność siebie zawsze go irytowały. Najbardziej kochał córkę wtedy, kiedy siedziała cicho jak trusia i robiła to, co się jej każe.

– Na przykład jakie szczegóły? – zapytał.

– Mogłabym na przykład uchwycić twój wyraz twarzy przy spotkaniu z Murzynem. Albo moment, kiedy z premedytacją omijasz wyciągniętą czarną dłoń i demonstracyjnie ściskasz białą.

– Oho, widzę, że nie tylko z wyglądu jesteś podobna do mojego brata.

– Traktuję to jako komplement, nie jako przytyk.

– Dobrze, dobrze, Dawn. Znam swoich wyborców i wiem, co chcą oglądać. Jeśli nie chcesz mi pomóc, to nie. Nie zamierzam tracić czasu.

– To nie trać czasu. Nie zajmuj się wyborami, które odbędą się za dwa lata, i nie ignoruj tego, co dzieje się tu i teraz.

– A co niby się dzieje?

– Uciekasz przed prawdą. Jemy śniadanie w tej obskurnej budzie tylko dlatego, że nie w smak ci zasiadanie przy wspólnym stole z własną siostrą.

– Ona nie jest moją siostrą – wycedził Ferris, dobitnie podkreślając każde słowo. – Nie wiem, co twoja babka zamierzała osiągnąć, aranżując tę maskaradę, ale cel jest chybiony. Nie przedstawiła jakichkolwiek dowodów na potwierdzenie tej absurdalnej hipotezy.

– To nie ma sensu, tato. Tracisz czas, uparcie zaprzeczając prawdzie. Czy nie możesz pogodzić się z faktem, że świat urządzony jest nieco inaczej, niż to sobie wymyśliłeś? Spencer potwierdza, że Nicky należy do rodziny.

– Ja nie mam z nią nic wspólnego.

– Nie wiedziałam, że tak łatwo można zaprzeczyć rzeczywistości – Dawn roześmiała się gorzko. – Może ja też powinnam spróbować. Nie mam nic wspólnego z tobą ani z mamą. Skoro tak twierdzą, to tak jest. Cieszysz się?

– Dość tego, Dawn! Byłem wyrozumiałym ojcem, ale przebrałaś miarę. Zamiast mi przygadywać, spójrz lepiej na siebie. Żyjesz jak wycieruch. Włóczysz się Bóg wie gdzie i pstrykasz Bóg wie jakie fotki. Nawet nie raczysz się pojawić w domu na pogrzebie babki i jesteś rozpuszczona jak dziadowski bicz! I ty uważasz, że masz prawo mnie osądzać?

– Mam prawo troszczyć się o własnego ojca!

Mierzyli się wzrokiem przez chwilę.

– W porządku, przepraszam – powiedział w końcu Ferris. – Zagalopowałem się.

– Przynajmniej byłeś szczerzy.

– Niezupełnie. Zapomniałem dodać, że jestem z ciebie dumny. Dawniej bałaś się własnego cienia, a dziś nie boisz się niczego. Chyba tylko tej wody, ale to masz od dziecka.

Mylił się. Dawn czuła natrętny, nieodgadniony lęk.

Oto rodzina rozpadała się na jej oczach. Zawsze tęskniła za miłością ojca, lecz oto nadszedł czas, kiedy nie mogła dłużej zachować neutralności.

Wyciągnęła do niego dłoń, a on zatrzymał ją w swojej.

– Musisz być taki nieugięty? – zapytała. – Nie możesz zaakceptować tego, co nieuniknione? Powiedz sobie, tato, tak: trudno, stało się, trzeba się z tym pogodzić i ułożyć wszystko od nowa...

– Poczekaj, córciu – przerwał jej zniecierpliwiony. – Czy ty nie widzisz, co tu jest grane? Twoja babka za wszelką cenę starała się odwieść mnie od polityki. Zawsze. Nie cierpiała tego, bo polityką zajmował się mój ojciec. Namawiała mnie, żebym zrezygnował z kandydowania na gubernatora i przejął zarząd Gulf Coast. Firma zawsze była jej oczkiem w głowie. Dbała tylko o firmę.

– To nieprawda.

– A czy wiesz, że użyła swoich wpływów, żeby Kościół odmówił Hugh święceń? Początkowo jej się udało, ale nie na długo. Po wojnie wyświęcono Hugh, a na mnie spadł cały ten kram z Gulf Coast.

– I wszystko po to, żeby odciągnąć cię od polityki? – zapytała z niedowierzaniem.

– Dokładnie tak.

– Daj spokój, tato. To byłoby zbyt grubymi nićmi szyte.

– A jednak twierdzą, że ona i Spencer uknuli tę intrygę, żeby odciąć mi drogę do publicznej kariery.

A Nicky Valentine zawzięła się, żeby mi podstawić nogę, i teraz pojawia się, by im pomóc. Mówiłem ci już, dlaczego mnie nie znosi. Kiedyś odebrałem jej bilet do łatwego życia.

Dawn nie wierzyła w tę spiskową teorię. Nie była nawet pewna, czy sam ojciec w nią wierzy, i to napawało ją troską.

– A gdyby ta historia przedostała się do prasy, zaprzeczyłbyś wszystkiemu publicznie?

– Nie wiem. Jedni uznaliby, że nie będą głosować na faceta z nieczystym kontem, ale zyskałbym za to sympatię tych, którzy widzieliby we mnie ofiarę niecnej mistyfikacji. Kto wie? Może nie straciłbym aż tak wiele.

– Przestań, tato. – Dawn cofnęła rękę. – Dlaczego uważasz, że możesz wyłącznie stracić? Dlaczego nie zdobędziesz się na odwagę i nie przyznasz, że być może jesteś spokrewniony z Nicky Valentine? Ogłoś to i zaznacz, że jesteś z tego dumny, bowiem Nicky Valentine jest dzielną kobietą i wspaniałym człowiekiem.

– Mam popełnić polityczne samobójstwo?

– Tato, masz władzę, wiele rzeczy możesz zmienić! Twój przykład mógłby ruszyć niektóre zatwardziałe serca!

– Nie mam zamiaru niczego ruszać. Ten stan nie potrzebuje rewolucji.

Do ich stolika podeszła kelnerka.

– Mogę przyjąć należność?

– A co, kochanie, spieszysz się? – Na twarzy Ferrisa wykwitł jeden z czarujących uśmiechów, które chował w zanadrzu na użytek kampanii wyborczej.

– Aha, dziś wyjeżdżam. Widziałam już różne burze, żadna mi się nie podobala.

– Prognozy nie przewidują zagrożenia.

– A tam, prognozy. Zbliża się jak nic, ja to mówię. Mam siostrzenicę, też ma na imię Betsy. Jest taka jak ten huragan. Ciągłe ją gdzieś nosi, tylko nie tam gdzie trzeba. Nigdy nie usiedzi na miejscu. Myślisz, że jest tu, a ona jest całkiem gdzie indziej. – Kelnerka wyrwała rachunek z bloczku, położyła go na stoliku i odeszła pochować szklanki do szafek.

– A niech już raz przyjdzie ta przeklęta burza! – sarknął Ferris. – Może narzeczcie skończy się cała ta farsa.

– Łatwiej by nam było przez to przebrnąć, gdybyś okazał więcej tolerancji.

– Nam, to znaczy komu? – Ferris wstał, a szeroki uśmiech zgasł na jego twarzy. – Zastanów się, po czyjej chcesz być stronie, moja droga. Kiedy ta impreza się skończy, przejmę cały majątek po twojej babce i znajdę sposób, żeby nie dopuścić do skandalu. Obiecuję ci to.

– Co sugerujesz? Że moja przyszłość jest zagrożona, jeśli nie będę grzeczną dziewczynką?

– Nie podoba mi się, że obcych przedkładasz nad rodzinę.

– Oni nie są obcy.

Sięgnął po portfel i cisnął na stolik kilka banknotów. Odczekał chwilę, ale widząc, że córka wciąż siedzi, pijąc spokojnie kawę, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Kiedy Dawn opuszczała bar, wiatr się nasilił. Chłostał gałęzie, gnał tumany piasku, podrywał kłęby śmieci i wirował nimi zawzięcie. Spłoszone mewy gromadnie szukały schronienia tuż przy ziemi. Niedaleki ryk rozhuśtanych fal przyprowadził Dawn o mdłości.

Przewiązała włosy chustką, żeby nie wpadały jej do oczu, i ruszyła w kierunku chaty, starając się nie patrzeć w stronę morza. Ojciec tylko częściowo miał rację co do jej odwagi. Wciąż bała się wielu rzeczy, nauczyła się jedynie nie pokazywać tego po sobie. Potrafiła przeciwstawić się ojcu, ale zamęt, jaki potem przeżywała w duszy, przypominał sztorm.

Czy Aurore też się bała? To prawda, że postąpiła jak tchórz, ale jak ona, jej wnuczka, zachowałaby się w podobnej sytuacji? Czy uległaby tej dyktaturze lęku i mrocznych tajemnic? Czy zdobyłaby się na ujawnienie prawdy przed śmiercią?

Znów spojrzała na rozszalałe fale, a wówczas dostrzegła nad brzegiem znajomą sylwetkę. Rozpoznałaby ją nawet po ciemku.

Ben też ją dostrzegł i pomachał do niej na powitanie.

– Podobno nadciąga burza – oznajmił, kiedy się do niej zbliżył.

– Jak widać – odparła, przytrzymując szarpane przez wiatr fałdy spódnicy.

– Może zmieciecie nas do Krainy Oz? Wolałabym chyba znaleźć się wśród czarownic i czarnoksiężników, niż przebywać pod jednym dachem z własną rodziną.

– Rodzina ci się powiększa z każdym dniem.

– Założę się, że ogromnie cię to bawi.

– Nieprawda.

Zabrzmiało to szczerze, udała więc skruchę.

– Och, przepraszam. Jakże mógłbyś bawić się cudzym kosztem. Przecież jesteś uosobieniem prawości. Pewnie raczej cierpisz, kiedy na to wszystko patrzysz.

– A ty nie?

– Dlaczego miałabym cierpieć? Nie wierzysz, że zaakceptowałam Nicky?

– Nie o to chodzi. Widzisz teraz całe swoje szczęśliwe dzieciństwo w innym świetle. Nie trzeba geniusza, żeby domyślić się, jak ci jest ciężko.

– W jakim świetle?

– Gorszym. Wychodzą na światło dzienne jakieś dziwne sprawy, a ty nie możesz liczyć na matkę, nie mówiąc już o ojcu, który zgłasza nie mniej dziwne żądania.

– Co za przenikliwość – uśmiechnęła się cierpko.

– Nie wierzysz, że jestem wystarczająco dorosła, żeby sama dać sobie radę, bez pomocy rodziców? A może ty chciałbyś pomóc biednej dziewczynie?

Ben nie podjął tego tonu. Pochylił się, podniósł rozłupaną muszelkę, ukrytą przed porywami wichru w płytkim zagłębieniu, i bawił się nią w zamyśleniu.

Kiedy wycofali się z plaży i przekroczyli szosę, zostawiając morze za plecami, powiedział niespodziewanie:

– Nie opowiadałem ci nigdy o swojej rodzinie. Nie poznałaś moich rodziców.

– Mam żałować czy się cieszyć?

– Czy ja wiem? Ja tam nie mam najlepszych wspomnień. Mój ojciec był pastorem. Od urodzenia kładł mi do głowy, że nie jestem dostatecznie dobry, by zasługiwać na jego względy i na łaskę Pana. Domyślasz się, jak może czuć się dzieciak, któremu się powtarza dzień w dzień, że jest grzesznikiem?

– A matka?

– Dobrali się z ojcem. Matka na wszystko miała gotowe cytaty z Biblii.

Ben tak rzadko dzielił się z kimkolwiek swoimi uczuciami, że Dawn nie wiedziała, jak powinna zareagować.

Milczała zatem, a Ben ciągnął swą opowieść:

– Szanowny pastor uparł się, by traktować mnie raczej kijem niż marchewką. Czasami mówił mi wprost, że nic nie znaczę, czasami tylko dawał do zrozumienia. Zawsze był surowy. Na przykład kiedy graliśmy w piłkę, celowo rzucał tak, żebym nie mógł jej złapać. Kiedy rzeczywiście mi się nie udało, kręcił głową z dezaprobatą. Rzadko mnie chwalił. Jak przyniosłem ze szkoły dobry stopień, to od razu zadawał mi pytanie, na które nie umiałem odpowiedzieć. „Mnie nie zwiedziesz, synu” – powtarzał – wiem, jaki jesteś naprawdę. Rzeczywiście byłem bowiem w jego przekonaniu krnąbrny, leniwy i grzeszny.

– Po co mi to opowiadasz?

– Nie wiem – wzruszył ramionami. – Może brak mi ojca Hugh i ciebie wybrałem za słuchacza swoich zwierzeń?

– Ja nie jestem ojcem Hugh. Nie dam ci duchowej pociechy.

– Nie oczekuję jej, Dawn. Uporałem się już dawno z kompleksami, które zaszczerpił mi wielbny pastor i mam poczucie własnej wartości. Ale kiedy wspominam czasem ojca, zaczynam w to wątpić. Łapię się na tym, że chociaż on od lat już nie żyje, staram się za wszelką cenę go zadowolić. A kiedy słyszę wewnętrzny głos, który mówi mi, że jakkolwiek bym się starał, i tak jestem tylko żalonym człowieczkiem, muszę pamiętać, do kogo ten głos należy.

– Teraz wiem, do kogo należał głos, który wyrzucał mi, że nie jestem dostatecznie dobra. Nie do Bena Townsenda, lecz do jego ojca.

– No i co z tego? To żadne usprawiedliwienie.

– Żadne – przyznała i szli przez chwilę w milczeniu.

Dawn zatrzymała się przy cmentarzu. Białe marmurowe nagrobki lśniły za ledwie kilka metrów od szosy. – Dalej nie bardzo wiem, po co o tym mi mówisz.

– Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że rozumiem cię, Dawn. Jesteś silną kobietą, ale dostajesz cięgi z każdej strony. Znalazłaś się między młotem a kowadłem. Rozumiem to. Rozumiem i współczuję.

– Hm, to zasadniczy zwrot w naszych stosunkach. Rozumiesz mnie, współczujesz. Na pewno bezinteresownie?

– Daj spokój, Dawn, wiem, że popełniłem masę błędów, i bardzo ich wszystkich żałuję. Nie jestem doskonały – rozłożył bezradnie ręce – nawet nie próbuję. Mogę cię przeprosić i ofiarować ci wsparcie, tylko tyle.

– Jeśli chcesz odpokutować za stare grzechy, wybrałaś niewłaściwą osobę. Jedyny Gerritsen, który miał prawo udzielać rozgrzeszenia, zginął w Bonne Chance.

– Och, Boże – zniecierpliwził się – naprawdę mam dosyć tego przerwania się słówkami. Czy nie możemy porozmawiać jak ludzie, skończyć wreszcie te głupie gierki?

Dopiero teraz dostrzegła, jak bardzo zależy mu na szczerości i jak bardzo go dotknęła swoją podejrzliwością i brakiem zaufania. Nie spodziewała się tego. Wezbrała w niej nagle satysfakcja z powodu zdobytej przewagi, jednak zaraz potem poczuła wstyd.

Zachowała się podle. On zdobył się na gest pojednania, a ona prześcigała się w docinkach i złośliwostkach.

Tak bardzo chciała udowodnić światu swoją dojrzałość i samodzielność, a przy Benie zachowywała się jak obrażone dziecko.

– Jutro wreszcie skończy się to wszystko i będziemy mogli wrócić do normalnego życia – westchnęła.

– To jest nasze realne życie. Nie rozumiesz tego? To, co się tu rozgrywa, stanowi o naszych przyszłych losach. Twoja babka chciała nam to uświadomić.

– Zgoda, dotyczy to mojego losu...

– Mojego też – przerwał jej. – Gdyby było inaczej, Aurore nie zaprosiłaby mnie na Grand Isle.

– Żadna z dotychczasowych rewelacji nie ma z tobą nic wspólnego.

– Poczekajmy. Zostały nam jeszcze dwa dni, dziś i jutro.

– Sądzisz, że jeszcze nie raz się zdziwimy?

– Prawie skończyłem czytać dziennik ojca Hugh. Chcesz wiedzieć, co napisał?

Nie była pewna, czy ma ochotę na kolejne sensacyjne odkrycia, a takich należało się spodziewać, sądząc po tonie Bena i znaczącym spojrzeniu jego oczu. Mimo to zamknęła oczy i odparła:

– Chcę. Powiedz, czego się dowiedziałeś.

– Wiesz coś na temat wojennych lat wuja?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Był kapelanem?

– Nie. Nie był jeszcze wtedy księdzem. Oboje z Nicky pracowali w Maroku dla amerykańskiego wywiadu.

– No proszę. Nigdy mi o tym nie wspominał.

Ben zrelacjonował pokrótce historię Hapa i Nicky. W ogólnych zarysach zgadzała się z wersją ojca, jednak w szczegółach różniła się zasadniczo – Hugh wyjechał z Casablanki nie dlatego, że Ferris na niego wpłynął, ale dlatego, że Aurore ujawniła mu swój straszliwy sekret.

– Jestem pewien, że ojciec Hugh chciał wtedy zginąć – powiedział Ben milczącej i wstrząśniętej Dawn. – To tłumaczy, dlaczego zgłosił się na ochotnika do niebezpiecznej misji w Europie. Przerzucono go do Francji, gdzie zakonspirował się we francuskim ruchu oporu. Podobno robił wszystko, żeby umrzeć, nie pociągając samemu za spust. Niestety – Ben uśmiechnął się smutno – wojna się skończyła, a on dalej żył. Zwrócił się więc do biskupa, który przed wojną odmówił mu święceń, a ten zgodził się namaścić go na kapłana.

Oczy Dawn wypełniły się łzami. Trudno było jej sobie wyobrazić, co przeżywał wuj.

– A Nicky? Co z nią się stało?

– Wiem tyle, ile opowiedział mi Phillip. Po wojnie wróciła do Francji, chociaż w uznaniu swoich zasług otrzymała amerykański paszport. Występowała, nagrywała płyty, dbała o edukację syna...

– I nie wiedziała, dlaczego wuj ją porzucił?

– Aż do teraz. Nigdy w każdym razie już go nie zobaczyła, nawet po powrocie do Nowego Orleanu.

Szczęśliwie wyszła za mąż, unikała wspomnień. Phillipowi oczywiście nie wyjawiała, że ojciec Hugh Gerritsen i Hap, który uratował mu życie w Casablanca, to ta sama osoba.

– To niepojęte. Jak można było ukrywać to wszystko przez tyle lat?

– Wszystko? Mam wrażenie, że to nie koniec. Chyba teraz czas na nas, Dawn. Zobaczymy, co nas jeszcze czeka.

– Zobaczymy – przytaknęła. – Cokolwiek by jednak to było... – zawahała się – dziękuję za tę rozmowę, Ben.

– To coś nowego. Nie przypominam sobie, byś kiedykolwiek wyrażała mi wdzięczność. Nie mam jednak nic przeciwko temu – dodał, kiedy Dawn nie odcięła się kąśliwą uwagą, jak dotychczas miała w zwyczaju.

– Chodźmy – wziął ją za rękę swoją silną, ciepłą dłonią i poprowadził w stronę chaty.

W pokoju śniadaniowym byli już wszyscy oprócz nich. Cappy, która piła w skupieniu paznokcie, uniosła głowę i zmierzyła nieobecny spojrzeniem najpierw córkę, a potem Bena. Dawn uśmiechnęła się zdawkowo i zajęła miejsce obok Pelichere, natomiast Ben oparł się o ścianę. Nicky, Jake i Phillip siedzieli tuż przy drzwiach, jakby zamierzali czmychnąć przy pierwszej nadarzającej się sposobności.

Tym razem Spencer nie czynił żadnych wstępów.

Wręczył po prostu Pelichere niewielkie pudełko i powiedział:

– Aurore twierdziła, że będziesz zachwycona.

– Wiem, co to jest. – Pelichere potrząsnęła pudełkiem. – I wiem, dlaczego ja to dostałam.

– Co to? – zapytała niecierpliwie Dawn.

– Srebrny dzwoneczek.

– Ten, który trzymała na nocnym stoliku?

– Ten sam.

– Dlaczego ci go daje? Bo dzwoniła nim, żeby cię przywołać?

– Nie tylko dlatego. To dzwon, który zwiastuje burzę.

– Jak to?

– Tak jak ten w naszym kościele. I tak jak dzwon z „Chénierre Caminada”, który dzwonił w czasie tamtego huraganu.

– A więc i ty znasz tę historię?

– O, tak. Znam ją bardzo dobrze. Ale teraz widzę, że Aurore chciała poprowadzić ją dalej. Ja mam dzwonić. Ja mam opowiedzieć o wszystkim, co wiem. – Pelichere otworzyła paczuszkę i leciutko zadzwoniła. Ostry dźwięk wypełnił pokój, a stara kobieta zerknęła ostrożnie na Ferrisa. – Przede wszystkim pan powinien tego posłuchać.

Ferris, który chwilę wcześniej wstał, kierując się w stronę wyjścia, zatrzymał się, lecz nie usiadł z powrotem.

– Ja?

– Wszyscy, ale pan przede wszystkim. To długa historia – westchnęła Pelichere. – Mieście wyrozumiałość, kiedy się zapłaczę. Otóż jak była wojna, to pojechałam do Nowego Orleanu. Ty, dziecko – zwróciła się do Dawn – byłaś wtedy malutka i okropnie uciążliwa. Bez przerwy kazałaś nosić się na rękach.

Twoja Grandmère poprosiła mnie, żebym przyjechała i tobą się zajęła. Ti'Boo już nie żyła, a że ja byłam do niej podobna, Aurore chciała mieć mnie blisko siebie. Mój mąż był w wojsku, nie miałam nic do roboty w Lafourche, to pojechałam. A jak pojechałam, to zostałam. Potem mój mąż wrócił z wojny. Nie mógł sobie znaleźć miejsca. Ech, Ambroży nigdy miał zacięcia na rybaka. Lubił pomajstrować, podłubać w maszynach, kiedy więc trafiła mu się robota u jakiegoś mechanika w mieście, to do mnie dołączył. Wiecie, ile wtedy zarabiał?

– Peli – przerwał jej Ferris. – Do rzeczy.

– Dużo widziałam i dużo słyszałam – znów westchnęła Pelichere. – Ale chyba najgorsze było to, co Aurore mi opowiedziała o śmierci pana Gerritse-na.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Malutkie stopki Dawn stapały ostrożnie z jednej deski na drugą. Taras był rozgrzany od słońca, wiatr grał łagodnie w wachlarzowatych liściach palm i strzępiastych koronach bananowców. Za miesiąc ocienione zakątki ogrodu miały rozkwitnąć azaliami i kameliami.

Aurore uwielbiała ogród, podobnie jak uwielbiała spędzać w nim czas ze swoją ukochaną wnuczką.

– Zaraz zejdzie po schodach, pójdzie między grządki i utytła się w ziemi – ostrzegła Pelichere.

– Dokąd idziesz, kochanie? – zawołała do dziewczynki Aurore. – Będziesz sadzić roślinki?

– Nie. Ja ulepię z błotka taki placuszek.

Aurore dogoniła małą, wyciągnęła ramiona i przytuliła dziewczynkę, nie zważając na błotne plamy na sztruksowych spodenkach .

– Dla kogo chciałaś lepić ten placuszek?

– Dla babci – odparła Dawn i poklepała Aurore po policzku oblepioną błotem rączką.

– A spróbowałaś go wcześniej?

– Tak maciupko.

– I co, dobry?

– Nie! – roześmiała się dziewczynka.

– A widzisz! – Aurore znów przytuliła wnuczkę, śmiejąc się wesoło. – Biegniemy szybcitko do wanny. Musisz być czyściutka, wieczorem idziemy do biura.

– Do babci? – Dawn zaklaskała w dłonie. Ta drobna, niewielkiego wzrostu trzylatka była dzieckiem nad wiek rozwiniętym. Miała ogromny zasób słów i nieraz zaskakiwała dorosłych swoimi „dojrzałymi” wypowiedziami.

Aurore robiła sobie nawet wymówki, że nadmiernie pobudza rozwój dziewczynki.

Od tych wymówek i wątpliwości trudno było zresztą uciec. Raz wyrzucała sobie, że oderwała Dawn od matki za wcześnie, innym razem, że za późno. Jako matka była wobec swoich synów znacznie mniej uważ- na i zapobiegliwa niż teraz, kiedy jako babcia opiekowała się ukochaną wnuczką.

Najważniejsze, że Dawn dobrze się chowa, powtarzała sobie w chwilach zwątpienia, zwłaszcza wówczas gdy bolała nad chłodnymi stosunkami, jakie łączyły Dawn z Cappy. Aurore liczyła, że synowa znajdzie wreszcie przyjemność w przebywaniu z własnym dzieckiem, ale na razie nadzieje te były płonne. Na szczęście odkąd Ferris wrócił z wojny, dziewczynka spędzała połowę czasu z rodzicami, a połowę z Aurore. Dawn ubóstwiała ojca, ale i tak chętniej przebywała z rozumiejącą, kochającą babcią.

– Pójdziemy oglądać statki? – dopytywała się teraz w drodze do łazienki.

– Tak, maleńka.

– I rzekę? – Missisipi nieodmiennie fascynowała małą. Mówiła, że zostanie kapitanem i że będzie sypiać na pokładzie własnego statku. Z dumą paradowała w niebiesko-biało-czerwonej czapeczce, którą dopasował jej jeden z inżynierów zatrudnionych w Gulf Coast.

– A przejedziemy się statkiem?

– Nie, kochanie, dzisiaj nie. Ale niedługo. Obiecuję.

– A będę mogła sterować?

– Teraz idziesz się kąpać – odparła Aurore i stanowczym gestem przekazała małą w ręce uśmiechniętej Pelichere.

– Jak się pospieszysz, to znajdziesz w wannie niespodziankę – zachęciła ją Peli.

Dawn podreptała szybko wprost w wyciągnięte ramiona opiekunki.

– Jaką niespodziankę?

– Nowiutki kawałek mydła.

– Nie lubię mydła!

– Nawet takiego ślicznego?

Drzwi łazienki zamknęły się za nimi i Aurore przysłuchiwała się jeszcze przez chwilę pociesznej rozmowie. Wreszcie przeszła do jadalni i zaczęła przygotowywać nakrycia do obiadu.

Dom pachniał czosnkiem i ziołami. Aurore poleciła kucharce przyrządzić gumbo z kurczakiem, nie za ostre ze względu na Dawn, oraz gotowane langusty. Dawn umiała już wydłubywać mięso z pancerza skorupiaka i sprawiało jej to niesłychaną frajdę. Więcej wprawdzie przy tym dłuwała i brudziła, ale zabawę miała przednią.

Kiedy nie było Henry'ego, asystowała im Pelichere.

Kiedy Henry był w domu, Pelichere nie miała prawa wstępu do jadalni, a Dawn jadła osobno w pokoju dzieciennym. Król Henry nie przepadał za małą, mimo że była dzieckiem Ferrisa. Nie dbał o nią zupełnie, a kiedy znikala mu z oczu, zapominał o jej istnieniu.

Aurore uznała, że jej to odpowiada, i nie próbowała zainteresować męża sprawami Dawn. Ostatnio Henry wychodził z domu niemal co wieczór. Burmistrz Maestri został wybrany na drugą kadencję, a Henry natychmiast został jego popiecznikiem. Co prawda Maestri nie darzył go wielkim poważaniem, potrzebował jednak jego poparcia, bowiem po obcięciu subwencji przez rząd federalny, na mieszkańców, a zwłaszcza urzędników Nowego Orleanu przyszły ciężkie czasy. Maestri dał ciche przyzwolenie na działalność zorganizowanej przestępczości, za jego rządów rozplenilo się też łapówkarstwo, przekupstwo i kumoterstwo.

W takim środowisku Henry Gerritsen czuł się jak ryba w wodzie.

Oczywiście znowu uwikłał się w jakieś brudne interesy, a Aurore mogła się temu tylko przyglądać i błagać Boga, by mężowskie poczynania nie przyniosły uszczerbku Gulf Coast. Perswazji zaniechała już dawno, Henry pił bowiem coraz więcej i stawał się coraz bardziej nieobliczalny. Pewnego razu uderzył ją przy świadkach, gdy wracali ulicami Dzielnicy Francuskiej z jakiegoś przyjęcia. Nieopatrznie rzuciła krytyczną uwagę na temat ostatniego przemówienia burmistrza, a Henry tak się rozsierdził, że wyrzucił ją z całej siły w twarz i popchnął na latarnię. Wskoczył potem do samochodu i odjechał, ona zaś, pobita i upokorzona, podziękowała przechodniom, którzy ofiarowali jej pomoc, i poszła do najbliższego hotelu, by zadzwonić po Pelichere.

Wiedziała, jakie jest podłoże jego gniewu. To nie Maestri go obchodził, ale własny syn, który ośmielił mu się przeciwstawić. Gdyby rzecz dotyczyła Hugh, Henry machnąłby tylko ręką. Zdrady jednak dopuścił się Ferris, a tego Henry przeboleć już nie mógł.

Po zakończeniu pełnej walecznych czynów służby Ferris przeszedł do cywila, zajął się polityką i był na dobrej drodze do realizacji własnych zamierzeń. Ojciec oczekiwał, że syn, ambitnie prący do władzy, opowie się w najbliższych wyborachpo stronie Maestriego i jego frakcji, stało się jednak dokładnie odwrotnie – ku powszechnemu zdziwieniu Ferris poparł innego kandydata, pułkownika „Chepa” Morrisona, wojennego weterana, zasłużonego podczas wojny w Europie. Tego samego Morrisona, który zapowiedział ukrócenie korupcji i krucjatę przeciwko wszelkim nadużyciom.

Aurore nie dopatrywała się w synowskiej decyzji szczególnego idealizmu. Znała syna i wiedziała, że Ferris, wiedziony politycznym instynktem, zaoferoował po prostu swoją pomoc temu ugrupowaniu, które miało większą popularność i większe szanse na wyborcze zwycięstwo.

Odstępstwo Ferrisa rozwścieczyło ojca. Zawsze wkładał synowi do głowy, że w życiu trzeba dbać o swój interes i podejmować takie decyzje, które przyniosą osobistą korzyść. Nie przypuszczał jednak, że pewnego dnia te nauki obrócą się przeciw niemu. Porażka Maestriego oznaczała osobistą klęskę Henry’ego. Ferris natomiast w zwycięstwie Morrisona upatrywał możliwości dla własnej kariery. Mając do wyboru interes swój i ojca – nie wahał się ani przez chwilę.

Wybory miały się odbyć właśnie dzisiaj, więc Henry wyszedł z domu z samego rana i do tej pory nie wracał.

Aurore przewidywała klęskę Maestriego, dlatego też postanowiła na wszelki wypadek ukryć się z wnuczką w biurze, żeby uchronić się przed ewentualnym gniewem swego męża.

O siódmej wieczorem wkroczyły do obszernego gabinetu w siedzibie Gulf Coast Shipping.

– Patrz, babciu, na rzece jest dym – oznajmiła od razu Dawn.

– To mgła – sprostowała Aurore z uśmiechem.

– Mogę ją narysować?

– Tak, kochanie. – Dawn przejawiała niezwykłą skłonność do rysowania. Jak na trzyletnie dziecko miała sporo wytrwałości i niemal dorosłe wyczucie proporcji.

Potrafiła przez wiele minut ślęczyć z kredką w ręku i przenosić na papier swoje pomysły.

– O, łódka! To bargownica.

Aurore uśmiechem skwitowała dziecinne przejęzyczenie.

Podeszła do okna. Wnuczka miała rację – w górę rzeki płynęła bagrownica, udając się prawdopodobnie na nocny odpoczynek przy nabrzeżu nieopodal Burdette Street.

– Narysuję mgłę i bargownicę – postanowiła Dawn, po czym podreptała do biureczka, które Aurore wstawiła kiedyś dla niej do swego gabinetu.

Aurore usiadła przy swoim biurku i oddała się rozmyśleniom. Po zakończeniu wojny nie musiała już tak harować. Nie musiała też modlić się, wysyłając statki w morze, o ich bezpieczny powrót. Gospodarka powoli dźwigała się z upadku i teraz flotyła Gulf Coast – liczniejsza niż kiedykolwiek Aurore marzyła – wozila materiały do odbudowy zniszczonych wojną krajów.

Tak, interesy zawsze układały jej się znakomicie.

Co innego życie prywatne. Dawn była teraz jedyną jej radością. Z Ferrisem nie była w bliskich stosunkach, Hap przysłał jej tylko króciutki liścik, w którym informował o dacie święceń i o niewielkiej parafii, do której go skierowano. Nicolette żyła, ale przecież nie mogła się z nią skontaktować, natomiast Ti'Boo od roku leżała w grobie. O Henrym wołała nawet nie myśleć.

Niestety, Henry postanowił przypomnieć o sobie.

Kiedy siedziały w ciszy w przytulnym gabinecie, drzwi rozwarły się nagle z trzaskiem i na progu stanął on – Król Henry w nieskazitelnie odprasowanym garniturze, lecz z przekrzywionym węzłem krawata.

– Co za sielanka – rzucił ze skwaszoną miną.

Aurore wstała. Miała nadzieję, że nie będzie robił scen przy wnuczce i oczeka, aż wróci do domu, żeby wyładować złość, jeśli wybory zakończyły się klęską.

Niespokojnie zerknęła na Dawn. Dziewczynka spojrzała na dziadka i powróciła do rysowania.

– Ogłoszono już wyniki? – spytała Aurore z udanym zainteresowaniem.

Zignorował jej pytanie. Zdjął kapelusz i cisnął go na wieszak.

– Po co zabrałaś Dawn?

– Ferris i Cappy... – Miała zamiar wyjaśnić, że Ferris i Cappy czekają na wyniki w sztabie wyborczym Morrisona, ale w porę ugryzła się w język. – ...poprosili mnie, żebym zabrała ją dziś do siebie – wyjąkała.

– Do siebie, czyli do biura – skomentował złośliwie

Henry, po czym podszedł do biureczka Dawn i zapytał:

– Co robisz?

– Rysuję – odparła dziewczynka, nie podnosząc głowy.

Wyjął jej z ręki arkusz papieru i przyjrzał się rysunkowi, po czym upuścił go z powrotem.

– Nie wiem, gdzie ty widzisz ten talent.

– Henry! – Aurore podeszła do drzwi i otworzyła je znacząco. – Wyjdźmy, jeśli chcesz w ten sposób rozmawiać.

– Co, ją też chcesz przekabacić?
– Proszę cię, Henry, porozmawiamy w domu.
– Wiem, dlaczego się wykręcasz. Nie jestem głupi.
– Nie wykręcam się, ale nie chcę kłócić się przy dziecku. – Zerknęła znowu na Dawn. Mała wyglądała na zdezorientowaną.

Henry skrzywił się w uśmiechu, który przeszył Aurore dreszczem.

– Skoro nie chcesz rozmawiać tutaj, to idziemy na spacer. – Spojrzała na Dawn. – Chcesz popatrzeć z bliska na rzekę?

Nęcący pomysł dziadka wprowadził Dawn w jeszcze większe zakłopotanie. Proponował jej ulubioną atrakcję, lecz chyba czuła, że coś jest nie tak.

– Chcę zostać tutaj – odparła.

– Nie chcesz obejrzeć statków? Może jakiś duży okręt zacumował do nabrzeża?

– Henry – wtrąciła Aurore – może sam pójdziesz na spacer, skoro taką masz ochotę. Peli zabierze Dawn do rodziców i spotkamy się w domu.

– Co ty na to, Dawn? – nalegał Henry, nie zwracając uwagi na żonę.

Dawn ostrożnie i z ociąganiem podeszła do dziadka, nie mogąc oprzeć się pokusie. Podniósł ją i umieścił sobie na biodrze.

– Idziesz z nami, babciu? – zapytał Aurore.

Za oknem zawyła złowieszczo syrena, wskazująca we mgle drogę do portu. Aurore znów poczuła, jak ogarnia ją trudny do wytłumaczenia niepokój.

– To nie jest najlepszy pomysł.

– Dlaczego? Czy dziadek nie może zabrać wnuczki na spacer?

– Tak, babciu, idziemy! Chcę zobaczyć statki! – przekonywała ją Dawn.

Nie miała wyjścia, musiała się zgodzić. Henry był od niej silniejszy, w budynku nie było żywej duszy, nie

miała też do kogo zadzwonić po pomoc.

– Poczekajcie, wezmę płaszcz – rzuciła. – Dawn też musi coś włożyć. Postaw ją, to ją ubiorę.

Henry zignorował jej prośbę. Zdjął płaszczyk Dawn z oparcia krzesła, zarzucił go byle jak na jej ramiona i wyszedł.

Wieczne powietrze było wilgotne i chłodne. Smugi gęstej mgły zasnuwały pobliskie budynki i ciągnące się wzdłuż rzeki nabrzeże. Gdzieś z oddali dochodził skrzyp portowych dźwigów, lecz wokół magazynów i składów Gulf Coast było kompletnie pusto.

– Chcę obejrzeć statek – przypomniała Dawn.

– Właśnie idziemy – odparł Henry.

– Ale tu nie ma żadnych statków – protestowała Aurore. – Nabrzeża są pozamykane, jest zimno. Poczekajmy do jutra, kiedy wzejdzie słońce.

Henry nie słuchał jej przekonywań. Przeszedł przez skrzyżowanie i ruszył w stronę rzeki. Ulica, w dzień tętniąca życiem, wyglądała o tej porze jak wymarła, podobnie jak nieczynne rampy załadownicze i bocznicą kolejowa.

– Słyszałaś o statku „Luizjana”? – Henry zagadnął wnuczkę. – Należał do Morgan Line.

– Nie słyszałam.

– To był wielki, wspaniały statek. Zatonął gdzieś tutaj. – Henry wskazał dłonią rzekę, a Aurore zadrżała, słysząc jego głos. Brzmiał słodko i jedwabście, lecz ona w każdym słowie wyczuwała złe zamiary.

– Zatonął?

– Tak, poszedł na dno. Podobno jest tu bardzo głęboko, niektórzy twierdzą, że ponad dziesięć metrów. To więcej niż ma budynek, w którym mieści się biuro babci.

– Och! – Wiadomość wywarła na Dawn duże wrażenie.

– Próbowali go potem wydobyć, prawie już go mieli, ale w ostatniej chwili pękła lina i wrak zsunął się do kanału. Tak to jest, Dawn, jak rzeka wciągnie ofiarę, już nigdy jej nie odda.

– Henry! – Aurore złapała go za rękaw. – Nikt wtedy nie utonął, Dawn – pocieszyła przestraszone dziecko.

– Bywa, że ludzie przepadają w rzece na zawsze.

– Przestań, straszysz tylko małą!

– Nie miałem zamiaru.

– Daj mi ją, zaprowadzę ją do domu. Jest okropnie zimno, jeszcze się przeziębii.

– Chcę zobaczyć, gdzie zatonął ten statek! – upierała się Dawn.

– Widzisz? Dzieciak ma więcej odwagi od ciebie – zadrwił Henry. Nie zwolnił kroku, choć ciężko stapał z wysiłku. Dziewczynka nie była wprawdzie ciężka, lecz niósł ją na rękach dobry kawałek drogi, a miał przecież swoje siedemdziesiąt lat.

– Może ja ją trochę poniosę – zaproponowała Aurore. – Zmęczylesz się.

– Nie trzeba. Zaraz będziemy na miejscu.

Henry lawirował między stertami skrzyń, beczkami i urządzeniami portowymi niczym wytrawny znawca terenu. Modliła się, by zatrzymał ich strażnik, lecz i tutaj nie było żywej duszy. Wreszcie Henry przystanął na samej krawędzi rampy, tuż nad wodą, i oparł się o słupek. Serce Aurore zamarło. Bała się zbliżyć, żeby nie wypuścił małej.

– Nic tu nie ma ciekawego – powiedziała. – Lepiej chodźmy, zanim nas złapie strażnik.

– Gdzie utonąła ta „Luizjana”? – zapytała ciekawie Dawn.

Henry zignorował pytanie wnuczki.

– Wiesz, po co ją tu przyniosłem? – zwrócił się do żony.

– Proszę cię, postaw ją na ziemi. Boję się, że ci wypadnie.
– Naprawdę? Czego jeszcze się boisz, Rory? A łąć? Nie boisz się łąć?
– Nie wiem, o czym mówisz. – Aurore przysunęła się bliżej.
– Mówię o łągarstwach, o kłamaniu mężowi w żywe oczy!
– Nie kłamię. – Zbliżyła się kolejne pół metra.
– Powinniśmy częściej ze sobą rozmawiać, to nie byłoby nieporozumień.
– Tak, moglibyśmy na przykład wyjaśnić, kto jest ojcem Ferrisa, prawda?
– Znowu piłeś. Ty jesteś ojcem Ferrisa.
– Czyżby? Masz mnie za kompletnego durnia?
– Jak możesz tak mówić! Ferris zawsze wpatrzony był w ciebie jak w tę-
czę. Ma takiego samego koloru oczy. Posiada takie same upodobania...
– Ale nie jest moim synem!
– Oczywiście, że jest! Od dnia jego narodzin byłeś z niego dumny. Bar-
dziej nawet jest twoim synem niż moim. Cóż z tego, że poparł Morrisona?
Pewnie chciał ci udowodnić, że sam potrafi podejmować decyzje. Sam go tego
uczyleś. Jeśli nawet Maestri przegra...
– Już przegrał.
– Skąd wiesz? – odparła po chwili. – Nie za wcześniej na ostateczne wyni-
ki?
– Nie. Morrison zwyciężył. Ferris też.
– Posłuchaj, Henry, polityka to nie wszystko. – Aurore postąpiła następny
krok w jego kierunku. – Ferris jest twoim synem. A Dawn jest twoją wnuczką
– dodała, widząc jego zaciętą minę, która przyprawiała ją o strach przed naj-
gorszym. – Oddaj mi ją, Henry. Nie wiem, co sobie wymyśliłeś i nie musisz
mi tego mówić.
Jeśli jednak musisz się na kogoś złościć, złość się na mnie, ale nie karz
dziecka. Przecież nie jesteś aż tak okrutny. Jestem pewna, że żadnemu dziecku
nie wyrządziłbyś krzywdy.
Dawn zaczęła się wrywać. Nie rozumiała sensu rozmowy, wyczuła jednak
z jej tonu, że coś jej grozi.
Henry oderwał się od słupka i przechylił dziewczynkę nad wodę.
– Nie? – Roześmiał się szyderczo. – Mylisz się, Rory. Już jeden raz to zro-
biłem. Jeśli chcesz wiedzieć, to ja zabiłem twoją córkę.
Aurore zabrakło nagle tchu. Dawn wrywała się.
Henry jej nie puszczał, więc zaczęła płakać.
– Chyba nie wiesz, co mówisz. Puść ją, potem porozmawiamy.
– Nie zastanawiałas się, jak to się stało, że akurat twój bękart i twój kocha-
nek zginęli w zamieszkach
w Chicago? Właśnie oni spośród tysięcy parszywych czarnuchów? Myślałaś
o tym?

Bała się poruszyć. Bała się powiedzieć choćby jedno słowo. Tak. Zastanawiała się. Wielokrotnie. Bez końca.

Henry wychylił się jeszcze bardziej nad wodę, nie bacząc na rozpacz dziewczynki, która teraz zanosiła się wręcz od płaczu, nie mogąc wyrwać się z żelaznego uścisku dziadka.

– Chłopcy, którzy dla mnie pracowali, mieli rozliczne talenty – mówił tymczasem Henry. – Jeden z nich kropnął tego twojego pętaka, a potem przyglądał się, jak zdycha. Przy okazji załatwili czarnego bękarta.

– Nie...

– Tak, Rory. Nie było mnie przy tym, ale uciechy miałem co niemiara. Po tem urodziłaś następnego dzieciaka.

Mój, nie mój, kombinowałem sobie. Byłaś na Grand Isle, jak poświęćali kościół, ten twój gach też był. Nie byłem pewien, czy chłopak jest mój. Niby podobny, ale kto go tam wie. No więc teraz pomyślałem sobie...

– Nie! – Dzikie, obłądne przerażenie chwyciło Aurore za gardło. – Puść ją, Henry – załkała – proszę cię, puść ją i postaw na ziemi!

– Puść ją... – powtórzył, przedrzeźniając jej głos. – Niby dlaczego? Ferris zrobił mnie w konia. Nie jest moim synem, a ten dzieciak nie jest moją wnuczką.

– Babcu! – Dawn szarpnęła się rozpaczliwie.

– Dawn!

– Stój, co za...!

– Jezu Chryste!

Dziewczynka znów się szarpnęła i wywinęła z objęć dziadka. Aurore chciała ją wyrwać, lecz Henry pociągnął małą do siebie. Nagle stracił równowagę, próbował jeszcze przytrzymać się słupka, a wtedy wypuścił krzyczące dziecko, które Aurore złapała w locie i przycisnęła do piersi, sam zaś zachwiał się, potknął i osunął dowody.

Aurore trzymała Dawn tak kurczowo, że dziewczynka zaczęła się krztusić.

– Rory! – Woda w portowym basenie zabulgotała i głowa Henry'ego wychynęła na powierzchnię. – Ro...!

Aurore przymknęła powieki.

– Cicho, maleńka, cichutko – zaczęła szlochać wraz z Dawn.

– Rory!

Zmusiła się do otwarcia oczu. Zobaczyła dłoń zaciśniętą na krawędzi narbrzeża. Podeszła bliżej, choć Dawn rozpaczliwie protestowała, a wówczas ujrzała, że Henry zdołał przytrzymać się rampy i teraz miota się, walcząc resztkami sił z rwącym nurtem. Po chwili udało mu się złapać za krawędź obiema rękami. Zawisł na palcach, ale nie był już w stanie podciągnąć się do góry.

– Rory...

Aurore stanął przed oczami przesyty zdradzieckimi kulami Rafe. Podeszła jeszcze bliżej. Zajrzała woszałale ze strachu oczy swojego prześladowcy. Uniosła stopę i wbiła ostry obcas w dłoń męża.

Henry zawył z bólu, po chwili rozległ się plusk, a potem nastąpiła cisza. Woda zawirowała leciutko, zakłębiła się i wygładziła. Nawet Dawn przestała płakać i teraz drżała tylko, wtulona w pierś babci.

– Cicho, maleńka, nie płacz. Już po wszystkim, kochanie. Odtąd wszystko będzie dobrze...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Dawn poczuła, jak czyjeś ręce opasują ją w pól.

Z trudem łapała oddech, miała wrażenie, że za chwilę się udusi. Pod powiekami pulsowały jaskrawe, świetliste plamy, gdzieś w dali przenikliwie zawodziła syrena.

– Włóż głowę między nogi. – Poczuela, że ktoś pcha jej głowę pomiędzy fałdy spódnicy. – Weź głęboki oddech! Szybko! Niech ktoś przyniesie szklankę wody!

Syrena powoli cichła, światło wolniutko gasło. Przez chwilę Dawn walczyła z mdłościami, wreszcie przelknęła ślinę i wzięła głębszy oddech.

– Tak, dobrze. Oddychaj głęboko – rozpoznała głos Bena. Coś zimnego przytknięto jej do karku. Próbowwała otworzyć oczy, lecz pod powiekami znów zamigotały różnobarwne plamy. – Poczekaj, nie wstawaj. Na razie po prostu leż, leż spokojnie...

Rozpłakała się cichutko. Gdy pojęła, kto ją obejmuje i tuli, chciała uwolnić się z tych troskliwych objęć, zaraz jednak poddała się bezpiecznemu, dającemu schronienie ciepłu. Miękka dłoń gładziła ją po kolanie, a kojący głos mruzczał słowa pocieszenia. Przez chwilę myślała, że to Peli, potem zorientowała się, że to jej matka.

– Moje biedne maleństwo – mówiła Cappy – moje kochanie... Mój Boże, czyż mogłam przypuszczać...

– To kłamstwo!

– Niech pan się zamknie, senatorze! – Dawn rozpoznała głos Phillipa.

– Stara kłamie jak najęta! Ciało mojego ojca znaleziono kilka mil od siedziby Gulf Coast. Został napadnięty, obrabowany i pobity, a potem wrzucony do rzeki.

– Taka była wersja policji – wtrąciła Cappy – ale pamiętaj, że nie znaleziono jakichkolwiek dowodów.

Woda mogła wypłukać portfel z kieszeni.

Dawn próbowała usiąść, lecz Ben łagodnie ją powstrzymał.

– To prawda... – wyjąkała ochryple. – To prawda – powtórzyła i rozplakała się w głos. Zrobiła jeszcze jeden wysiłek, żeby się podnieść, po czym bezradnie opadła na pierś matki.

– Spokojnie, Dawn – wyszeptał Ben. – Wszystko będzie dobrze.

– Pamiętam, pamiętam... – Zamknęła oczy i ujrzała rzekę czarną jak piekielna czeluść; rzekę, która chciała ją wchłonać, wessać i zagać.

– Co pamiętasz?

– Było ciemno. Ktoś trzymał mnie nad wodą. Chciałam dosięgnąć Grandmére, ale nie mogłam. Potem znalazłam się w jej ramionach. Ktoś... dziadek przeraźliwie krzyczał. Odwróciłam się i zobaczyłam głowę, która zanurza się coraz głębiej i głębiej...

– To Peli naplotła ci tych bzdu! – zirytował się Ferris. – Wygodny pretekst, prawda? Boisz się wody, więc zmyśliła tę idiotyczną historyjkę z utonięciem ojca. Po prostu próbuje...

– No, dokończ, co próbuje? – spytała zimno Cappy. – Dlaczego Peli miała by zmyślać? Dlaczego twoja matka miałaby kłamać? Twój ojciec był kanalią. Chciał się rozprawić nawet z tobą.

– Mój ojciec mnie kochał – warknął Ferris. – A to wszystko są kłamstwa. Był na mnie zły, że poparłem Morrisona, ale z czasem by się oswoił. Byłem jego ukochanym synem. Nie odwróciłby się ode mnie.

– Ale się odwrócił – powiedziała Peli.

– Kłamiesz! – ryknął Ferris.

– Nie kłamie. – Pelichere podniosła dzwonek, który znów cichutko zadzwieczał. – Widzi pan, senatorze, pańska matka nie wiedziała, kto jest pana prawdziwym ojcem. Być może Henry słusznie ją podejrzewał. Wtedy, gdy Aurore przyjechała na Grand Isle na poświęcenie kościelnego dzwonu, spotkała się z Rafe'em. Potem nie była pewna, aż do śmierci, czy to on, czy Henry dał panu życie. Bardzo pan przypominał Henry'ego, ale jak było naprawdę? Pozwoliła, żeby Henry pana wychował, bo bała się, że jest pan dzieckiem Rafe'a i że Henry zacznie coś podejrzewać...

– Nie będę więcej słuchał tych bredni! – Ferris zerwał się z miejsca i chwycił Cappy za łokieć. – Wyjeżdżamy, i to natychmiast! Mam gdzieś ten

cholerny testament! Z panem, Spencer, zobaczymy się w sądzie, jeśli będzie pan utrudniał przejęcie należnego mi spadku.

Cappy strząsnęła jego dłoń.

– Ja zostaję. Możesz jechać, ale ja zostaję z moją córką.

Dawn wyprostowała się. Czuła ciepło matczynej dłoni, a w jej oczach widziała tkliwość i troskę.

– Nie musisz, mamó – szepnęła.

– Ale chcę. Nie wyjadę stąd bez ciebie.

Ferris sztywnym krokiem opuścił pokój, po kilku sekundach Spencer poszedł w jego ślady. Potem wyszła z jadalni reszta towarzystwa i zostały tylko we dwie – Dawn i jej matka.

– Nie wiedziałam, córeczko, naprawdę nie miałam pojęcia... – Cappy pokręciła głową. – Zauważyłam, że zmieniłaś się po śmierci dziadka. Możesz nie wierzyć, ale interesowałam się tobą, choć nie rozumiałam ani ciebie, ani innych dzieci. Widziałam jednak, widziałam, że masz dziwne lęki, koszmary... Radziłam się nawet lekarza, ale uspokoił mnie, że wszystkie dzieci przechodzą przez fazę lęków.

– Tak, prześladowały mnie koszmary. – Dawn przyknęła oczy. – Ale babcia potrafiła mnie pocieszyć. Ona rozumiała...

– Wiem, ona rozumiała cię najlepiej. Ale nigdy nie pisnęła słówkiem na temat tego, co się wtedy zdarzyło, i pozwoliła, żebym brnęła dalej w swoje matczyne, nieudolne starania.

– Staralaś się być dobrą matką?

Cappy zapaliła papierosa i zaciągnęła się nerwowo.

– Tak, a im bardziej się starałam, tym gorzej mi to wychodziło. Twoja babka wciąż miała mi coś za złe, stale krytykowała, wytykała potknięcia. Zawsze wszystko wiedziała najlepiej. Widziałam, że do niej Igniesz, lecz nic nie mogłam na to poradzić.

– Ale to ty byłaś moją matką.

– Jestem twoją matką, choć kiedy się urodziłaś, byłam głupią, rozpieszczoną dziewczyną. Nie umiałam być ani żoną, ani matką. I nie miał mnie kto nauczyć.

Moja mama obraziła się na mnie, kiedy wyszłam za twojego ojca. Wydawało mi się wtedy, że dziecko jest kulą u nogi, karą Bożą. Kiedy płakałaś, nie wiedziałam, co robić. Byłam przerażona i nieszczęśliwa, więc uciekałam w apatię i sen. Dziś wiem, że to była depresja poporodowa.

– Chcesz zrzucić odpowiedzialność na babcie i na depresję?

– Nie, choć wtedy było mi wygodnie obciążać winą Aurore. Byłam zbyt dziecinna, żeby przyznać się do swojej. Tymczasem Aurore uważała, że ze mną stanie ci się krzywda. A ja naprawdę się starałam... Wynajęłam kobietę, miała znakomite referencje, ale okazała się leniwa i niedbała. Wyrzuciłam ją

tego dnia, kiedy przyszła Aurore i zabrała cię do siebie. Spałaś, więc zostawiłam cię pod opieką służącej i poszłam do przyjaciółki poradzić się, co robić dalej z tym wszystkim. Gdy wróciłam, twoja babka urządziła mi awanturę i oznajmiła, że cię zabiera. Zgodziłam się. Wiedziałam, że zajmie się tobą lepiej niż ja. Ale to był największy błąd w moim życiu.

– Ubierano mnie odświętnie, kiedy miałaś przyjść do nas z wizytą.

– Bo byłam gościem w domu mojej córki. Aurore była świadkiem, jak stawiasz pierwsze kroki, a ja dowiadywałam się o tym po czasie.

– Mogłaś mnie w każdej chwili zabrać.

– Kiedy dorosłam do swojej roli i poczułam się silniejsza, nie chciałaś już do mnie wrócić. Poza tym krytyka Aurore sprawiła, że straciłam wiarę w siebie i uwierzyłam, że nie nadaję się na matkę.

– Zastępowałam jej Nicky, może też wujka Hugh.

– Niezupełnie. Kochała cię nad życie.

Dawn drżącą ręką sięgnęła po szklanke wody.

– A co było po wojnie, kiedy wrócił tata?

– Tata z pogardą przyglądał się moim żalonym zmaganiom, aż w końcu uznał, że powinnam raczej poświęcić się jego politycznej karierze. Poddałam się, mimo że traciłam cię w ten sposób nieodwołalnie. Ale robiłam przynajmniej coś, co umiałam robić.

– Czy tata...

– Och, nie mam cienia wątpliwości, że twój ojciec jest synem Henry'ego Gerritsena. Jest kropka w kropkę jak on. Moim zdaniem Aurore celowo zasiała w jego głowie ziarno niepewności. Zawsze próbowała mu uzmysłowić absurdalność jego rasowych uprzedzeń. To jej ostatnia próba przemówienia mu do rozsądku.

– Mogła mu to wyznać wcześniej.

– Wyznaje to w jedyny sposób, jaki wydawał jej się możliwy. Prawdopodobnie żadne z nas nie zdobyłoby się nawet na to.

– Zrobiła ze swojego życia kompletny bałagan i zostawiła nas z tym paszтетem.

– Ale była dobrą kobietą, szlachetną, choć nie pozbawioną wad, jak my wszyscy.

– Zraniła cię, a mimo to jej bronisz?

– Przez długie lata nie miałam czasu albo nie chciałam zastanawiać się nad własnym życiem. Teraz Aurore zmusza mnie do wysiłku. Dowiaduję się wielu rzeczy o sobie, no i o tobie.

– I czego się dowiedziałaś?

– Że potrafię być matką, wbrew opinii Ferrisa.

– Jeśli to wszystko dostanie się na łamy gazet, kariera taty będzie zrujnowana.

– Z pożytkiem dla wszystkich.
– On tak nie uważa.
– Nie zmusisz go, żeby zrozumiał coś, czego nie przyjmuje do wiadomości. Nie znasz go?
– Znam – uśmiechnęła się Dawn.
– Zanim zaczniesz go ratować, zatroszcz się o siebie, córeczko.
– A kto zatroszczy się o ciebie?
Cappy uśmiechnęła się przelotnie.
– Już od dawna nie jestem rozpieszczoną księżniczką. Wierz mi lub nie, ale jestem gotowa nie tylko zadbać o swój los, ale także otoczyć opieką swoją córkę. Kochaną córkę...

Od pierwszego dnia na Grand Isle garçonnière stała się dla Dawn zacisznym schronieniem. Zасыwała się tam popołudniami, pokonując gęstwinę dziczyńskich krzaków i splątanych pnączy, i zagłębiała się w przeszłość, która odcisnęła swoje piętno na zgromadzonych tu rekwizytach. Pierwszego dnia wietrzyła, sprzątała, czyściła i odkurzała. Zmyła nawet ściany i porządnie wytrzepała stary dywan. Chatka zrobiła się całkiem przytulna, a przede wszystkim zapewniała zbawienną samotność.

Po targających jej sercem rozmowach najszybciej dochodziła do siebie właśnie tutaj, aranżując w Garonnie rodzajowe scenki z udziałem babcinych manekinów, przebranych w stare stroje wyszperane w szafie, i uwieczniając te niezwykle kompozycje na fotograficznej kliszy. Upinała szale, zmieniała suknie i kapelusze; ustawiała kukły w rozmaitych pozach w zasnutym mgiełką świetle, pragnąc uchwycić niepowtarzalną, magiczną aurę, jaka panowała w tym starym wnętrzu i na tej wyspie.

Jednakże tego dnia nie miała ochoty na robienie zdjęć. Zbyt wiele wydarzyło się tego ranka, zbyt wiele pytań wciąż domagało się odpowiedzi. Przed laty była świadkiem śmierci, można by rzec – morderstwa. Fakt ten wycisnął na jej życiu trwałe piętno, a zepchnięty w podświadomość ujawnił się nagle z całą wyrazistością.

Co dziwniejsze, jedynymi ludźmi, który zdołali ukoić jej ból, okazali się Ben oraz jej matka.

– Podoba mi się tutaj.

Odwróciła się, słysząc znajomy głos, i uśmiechnęła się w duchu. Czekwała na niego. Zatopiona w myślach nie słyszała jego kroków, choć jakąś cząstką duszy chyba się spodziewała, że ją tu znajdzie.

Cóż, z matką już się rozmówiła – teraz pora na Bena.

– Posprzątałam trochę – odparła zdawkowo.

– Mam na myśli tę dekorację. Wyglądałabyś wspaniale w takim starym kapeluszu. To babci?

- Nie wiem. Może.
- Niepostrzeżenie znalazł się obok niej.
- Dobrze się czujesz?
- Jakoś się trzymam.
- Chcesz, żebym sobie poszedł? – Zajrzał jej w oczy.
- Najpierw powiedz, po co przyszedłeś.
- Martwiłem się o ciebie.
- Tylko nie to!

Od pierwszej chwili, kiedy ponownie go zobaczyła, dzielnie się trzymała. Była dla Bena zimna, zjadliwa, odpychająca. Teraz poczuła, jak spada z niej ta maska pretensji i złości, obnażając prawdziwe, skrzętnie skrywane uczucia.

– Po co tu przyjechałeś? – zapytała, podejmując ostatnią próbę niedopuszczenia do siebie uczuć, które wprawiały ją w zakłopotanie. – Nie należysz przecież do rodziny. Jakim prawem bierzesz udział w rozgrzebywaniu tych wszystkich spraw?

- Nie wiem. Może twoja babcia rozumiała, ile dla siebie znaczymy.
- Chyba nie. Powiedzieć ci, ile dla mnie znaczy nasza dawna znajomość?
- Nie musisz.
- Zadałeś mi ból. Zdradziłeś mnie tak dotkliwie, że musiałam uciekać za ocean, żeby otrząsnąć się z koszmaru.
- Udało ci się?
- Nie – odparła szczerze. – Dlatego uważam, że nie powinieneś tu przyjeżdżać.

– Więc chcesz wymazać mnie z pamięci?

– Tak.

– Nie wierzę. Nawet ten moment, kiedy ojciec Hugh poznał nas ze sobą?

Pamiętała ten dzień tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. Może nawet wyraźniej. Bowiem teraz była świadoma nieuchronnej klęski, która już wówczas nad nimi wisiała.

– Nie mogę wymazać cię z pamięci. Musiałabym usunąć z pamięci także Hugh, a to jest niemożliwe.

– Uwielbiał cię.

– Ja też go uwielbiałam. Nie wierzysz w to, prawda? – Spojrzała na niego uważnie.

– Może uda ci się mnie przekonać.

– Może nie mam ochoty niepotrzebnie tracić czasu.

– Nie szarp się, kochana. – Poglaskał ją po policzku. – Opowiedz mi, co się zdarzyło tej nocy, kiedy zginął

Hugh. Uwierzę w każde twoje słowo.

Zatoka szumiała równie gniewnie, jak wtedy, kiedy stryj Hugh cierpliwie uczył ją pływać. Przesycone solą powietrze było równie gorące, jak tego lata,

kiedy pojechała z nim do Bonne Chance. A wstyd palił równie mocno, jak tej nocy, kiedy stryj zginął.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Dawn zachowała z dzieciństwa jedynie strzępy wspomnień, w których dominował dławiący, śmiertelny strach. Z czasem to obezwładniające uczucie stępiało, a nocne koszmary nawiedzały ją coraz rzadziej. Lecz lęk czaił się gdzieś na krawędzi świadomości, gotów pochwycić znienacka w swoje drapieżne szpony.

Brak ciepłych relacji z rodzicami z nawiązką rekompensowała serdeczna bliskość z babką i stryjem. Hugh był wysokim, chudym mężczyzną o powściągliwym, nacechowanym godnością sposobie bycia. Jego spojrzenie było głębokie i niezmacone, a dłonie, które podczas mszy majestatycznie wznosił do Boga – delikatne i czułe. Rzadko się śmiał, lecz kiedy już się roześmiał, jego śmiech nappełniał serca otuchą i wiarą, że świat, o którym mówił w niedzielnych kazaniach, naprawdę istnieje.

W życiu bratanicy pojawił się stosunkowo późno.

Dawn słyszała o stryju-proboszczu z parafii w Plaquemines, lecz jakoś nie miała okazji go bliżej poznać. Już jako dziecko wyczuwała chłód i pełną napięcia rezerwę, z jakim odnosili się do siebie Aurore i jej syn. Natomiast między jej ojcem, a ojcem Hugh nie tylko nie było zażyłości, ale wręcz ostentacyjna obcość – bracia rzadko się spotykali i wymieniali uwagi tylko w razie najwyższej konieczności. Jedynie matce Dawn, no i jej samej, Hugh okazywał ciepłą serdeczność, której próżno byłoby szukać w jego relacjach z pozostałymi członkami rodziny. Dawn przeczuwała, że w tym dziwnym postępowaniu kryje się jakaś tajemnica, ale nie umiała dociec, o co chodzi.

W domu jej rodziców Hugh zaczął regularnie bywać, kiedy skończyła czternaście lat i na dobre wyprowadziła się od babci. Była wówczas wątłym dzieckiem o szpotawych stopach i niemodnej fryzurze. Matka zabrała ją do siebie, przygotowała dla niej duży, wygodnie urządzony pokój i starała się okazywać dużo zrozumienia, jednak Dawn wcale nie czuła się przez to szczę-

śliwsza. Hugh w jakiś niepojęty sposób domyślił się tego i postanowił odmienić stan ducha niepewnej siebie bratanicy.

Przy pierwszej wizycie zapowiedział powtórna i kazał jej włożyć z tej okazji najładniejszą sukienkę. Potem zaś zabrał ją do restauracji w Dzielnicy Francuskiej, gdzie byli sami dorośli, potrawy podawano na delikatnej porcelanie, a mężczyzna w galowym stroju grał w rogu sali na gitarze.

Rozmawiał z nią też jak z dorosłą. Nie prawił morałów, nie pouczał, nie okazywał swojej wyższości.

Nie paplali o szkole i głupotach, lecz dyskutowali o książkach, muzyce i sztuce. Dawn była oczarowana.

Stryj traktował ją jak przyjaciela, którego obecność sprawia przyjemność, a na pożegnanie pocałował nawet w policzek. Tego wieczora kładła się spać z uczuciem radosnego uniesienia – poza Aurore zyskała nowego partnera do rozmów.

Od tej pory często razem wychodzili na miasto.

Hugh zapraszał ją niekiedy do jednej z restauracyjek, niekiedy zaś kupowali po prostu sandwicze w barze na rogu, siadali na ławce na Jackson Square i przyglądali się ulicznym portrecistom oraz dzieciom karmiącym gołębie. Czasem szli do parku Pontchartrain lub zapuszczali się na drugą stronę rzeki, w Aleję Dębów lub do osady San Francisco.

Hugh szybko zyskał jej zaufanie. Dawn zaczęła traktować go jak drugiego ojca, wypełniającego te powinności, na które rodzonemu ojcu stale brakowało czasu.

Oczywiście nie wszystkie ich spotkania przebiegały tak idyllicznie. Bywało, że Hugh opowiadał jej o swoich kłopotach czy raczej kłopotach swoich parafian, a wtedy Dawn wracała do domu pełna żalu do niesprawiedliwego świata, lecz z jeszcze mocniejszym przekonaniem, że należy go zmienić.

Hugh doglądał stadka parafian w okolicach Bonne Chance, małego miasteczka przytulonego do wschodniego brzegu Missisipi. Okolicę zamieszkiwali klepiący wieczną biedę farmerzy, rybacy i traperzy, którzy z goryczą przyglądali się, jak wielkie koncerny naftowe ograbiają ich ziemię, wysysają z niej naturalne bogactwa i nie dają nic w zamian. Tutejsza społeczność była mieszana, lecz do kościoła Najświętszej Panny Pocieszycielki przychodzili przeważnie biali. Nieliczni wierni o czarnej skórze siadali w tylnych ławkach.

Swego czasu mieszkańcy leżącego na uboczu Plaquemines żyli w zgodzie i pojednaniu, z dala od cywilizacji i rasowych przesądów. Dopiero ropa naftowa zmieniła wszystko. Morderczy wyścig o miejsca pracy i nieprzejednany rasizm napływowych robotników rozerwały dotychczasowe więzi i podzieliły zgodną dotąd społeczność. Czasy, kiedy w miasteczku bardziej dbano o dobrosąsiedzkie stosunki niż o kolor skóry, minęły bezpowrotnie. W Bonne Chance rozpanoszyła się segregacja. Mimo to Hugh nie zaniechał starań o

poprawę warunków bytu murzyńskich rodzin, które z dzierzawy pól naftowych nie czerpały jakichkolwiek korzyści.

Zyskał sobie reputację człowieka sprawiedliwego i bezstronnego, szybko też oczyszczono go z podejrzeń o fałszywą świętoszkowatość lub wręcz o szpiegowanie na rzecz lokalnych władz. Swoją otwartą, pozbawioną uprzedzeń postawą zdobył sympatię czarnych mieszkańców, ci zaś ufali mu, kiedy obiecywał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby im pomóc.

Pewnej soboty, tuż przed Świętem Dziękczynienia, Dawn zetknęła się z rzeczywistością, o której istnieniu nie miała dotąd pojęcia. Hugh przyjechał po nią z samego rana, lecz zamiast zabrać ją na piknik lub na rejs statkiem po rzece, skrzył na szosę prowadzącą do Bonne Chance. Po drodze mijali wydłużone bagna w rozlewisku rzeki, soczyste zielone pastwiska i chylące się ze starości chatynki, które zapraszały na świeżo gotowane kraby i zimne piwo. Hugh nakreślił pobieżnie obraz tego, co ją czeka u celu wyprawy.

– Nie wszyscy żyją w takich warunkach jak ty, Jutrzenko – wyjaśniał, nazywając ją dziwną nieco wersją jej imienia, której tylko on używał. – Jeśli kiedyś będziesz chciała zmienić świat, musisz go najpierw dobrze poznać. Niektórzy ludzie są tak biedni, że nie mają gdzie spać. Możesz to sobie wyobrazić?

– I nie dlatego, że nie chce im się pracować?

– Nie – uśmiechnął się Hugh. – Znam tę teorię i rzeczywiście jest w niej trochę racji. Bywa bieda, która chce pozostać biedą. Najczęściej jednak jest tak, że podobne uzasadnienia są jedynie prymitywnym usprawiedliwieniem dla tych, którzy ze swej obojętności na ludzką krzywdę czynią cnotę.

Zaczął jej opowiadać o tym, jak trudno niektórym zrezygnować z wygodnego życia i jakich to wymyślnych argumentów używają, by obronić własną pozycję i ukryć zwykły egoizm. Dawn słuchała go w skupieniu, a każde kolejne zdanie utwierdzało ją w przekonaniu, że oto stryj krok po kroku obala teorie wyznawane przez ojca, jego przyjaciół i znajomych.

– Jak to możliwe, że ty i tata macie tak różne punkty widzenia? – zapytała.

Zamiast odpowiedzieć, sam zadał pytanie:

– Rozmawiałaś z babcią o jej zapatrywaniach?

– Nie raz.

– I co mówiła?

– Że Bóg stworzył świat ludzi równych, a szatan usiłuje nas przekonać, że jest inaczej.

– Dobrze powiedziane. Lecz same słowa już dziś nie wystarczą. Trzeba czegoś więcej.

Pod koniec dnia zaczęła rozumieć, co miał na myśli.

Z każdego zakątka Bonne Chance wydzierało ubóstwo, smutek i bez nadzieja, jakich nigdy jeszcze nie widziała. Parafianie stryja gnieździli się w

lichych, rozwalających się domach bez wodociągów ani ogrzewania. Z braku lodówek zapasy zjadano od razu prosto z nieosłoniętych niczym półek, odganiając przedtem roje tłustych, obrzydliwych much. Upstrzone czarnymi odwołkami lepy powiewały odrażająco w oknach sklepów.

Dawn przysłuchiwała się onieśmielona, jak Hugh zagaduje brudne dzieci o starych twarzach bez uśmiechu i apatyczne staruszki o niewidzących, pustych oczach, zapatrzonych w odległą przeszłość, której nikt nie pamiętał. Jak rozmawia z ludźmi, którzy kurczowo czepiając się skrawka nadziei, przebąkaliwali coś o lepszych szkołach, o prawie do pracy i głosowania. Patrzyła, jak niesie pocieszenie, okazuje współczucie, rozdziela żywność oraz obietnice, że dołoży starań, by ulżyć ich doli.

To ten świat mogła uczynić lepszym, jeśli kiedyś będzie chciała.

– Może inni po prostu nie wiedzą, w jakich okropnych warunkach żyją ci biedacy – mówiła, chwytając się resztek naiwnej wiary, że wszyscy ludzie są szlachetni i mają dobre serca. – Może gdyby wiedzieli, nie odmówiliby pomocy.

– Niestety, Dawn. Taki to już jest ten nasz świat, że większość ludzi ani nie chce wiedzieć, ani nawet patrzeć czy słuchać o nędzy bliźnich. I nie ma co ich osądzać, bo to jest naprawdę trudne i mało przyjemne. Sama powiedz, podobają ci się w Bonne Chance?

– No dobrze, ale może ciebie posłuchają? Jesteś księdzem...

– Był kiedyś człowiek o wiele lepszy i potężniejszy ode mnie, który próbował przekonywać i nawracać.

Przybili go do krzyża. – Hugh uśmiechnął się smutno.

– Ale teraz już się tym nie martw. Dostyc smutków na dzisiaj.

Wielokrotnie zabierał ją potem do swojej parafii.

Powoli to przedmiotowe zbiorowisko bezimiennych nędzarzy przekształcało się w jej świadomości w podmiotową grupę konkretnych, znanych z nazwiska osób.

Osób inteligentnych i odważnych, jednakowo wytrwałych i nieugiętych, których niesprawiedliwie pozbawiono praw do równego traktowania i do wolności. Jej rówieśnice miały podobne do niej marzenia, lecz o wiele więcej wiedziały o życiu niż ona. Podczas gdy Dawn łamała sobie z koleżankami głowę nad zagadką poczęcia, jej rówieśnice w Bonne Chance rodziły dzieci i walczyły o ich utrzymanie.

Z biegiem czasu wyprawy do parafii stryja nabierały coraz większego znaczenia. Aż nagle urwały się.

Pewnego słonecznego majowego popołudnia Hugh i Dawn wracali po dniu spędzonym u rodziny, którą dziewczyna darzyła szczególną sympatią. Lester i Beulah Narrowsowie przypadli jej do gustu, podobnie jak wszystkie spośród

ich ośmiorga dzieci, gdyż z niezwykłą pogodą ducha znosili swój niełatwy los. Lester z trzema najstarszymi synami zarabiał marne grosze koszeniem łąk wzdłuż brzegów Missisipi, zaś Beulah z młodszymi dziećmi doglądała stadka kur i uprawiała ogród warzywny. Było im ciężko, ale nie umierali z głodu – i to wystarczało do tego, by mieć dobry humor i ochotę do żartów.

Tego popołudnia odwiedzili ich też sąsiedzi. Beulah podała na obiad kurczaka oraz gotowane warzywa, które Dawn pomagała jej zbierać. Wspólnie oskubały też drób, a potem zmywały po posiłku, co scementowało nową zażyłość. Dawn była szczęśliwa, że ją zaakceptowano i uznano za swoją, i cieszyła się z tego, że nikt już nie milknie na jej widok i nie patrzy na nią z nieufnością.

Kiedy wracali do Nowego Orleanu, postanowiła zapytać stryja, w jaki sposób mogłaby się przyczynić do poprawy losu ludzi takich jak Narrowsowie, zanim jednak zdążyła się odezwać, samochód zwolnił i stanął niespodziewanie na poboczu.

– Mamy towarzystwo – oznajmił Hugh, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Zostań w wozie.

Dawn spojrzała przed siebie i spostrzegła, że w poprzek pasa, którym jechali, stanęły dwa duże samochody.

I że jeden z trzech barczystych białych mężczyzn, którzy tkwili przy swoich autach, jest uzbrojony.

– To myśliwi? – zapytała.

– W pewnym sensie – posłał jej uspokajający uśmiech.

– Może lepiej nie wysiadaj?

– Spokojnie – otworzył drzwiczki – nie martw się. Znam tych ludzi.

– Może nas puszcza, kiedy dowiedzą się, kim jesteś.

– Dobrze wiedzą, kim jestem.

Zatrzasnął za sobą drzwi i teraz mogła tylko obserwować, jak pewnym, acz niespiesznym krokiem zbliża się do trzech osiłków. Przystanął kilka stóp od nich, a wówczas Dawn otworzyła okno, by słyszeć wymianę zdań.

– Na mnie czekacie, panowie?

– Znowu coś kombinujesz z czarnuchami, księżulku.

– Gościłem u państwa Narrows, jeśli o to wam chodzi.

– I zabrałeś ze sobą w to zakazane miejsce białą dziewczynę? – Mężczyzna z karabinem splunął pod nogi. – Za karę czy jak?

– Dziewczyna jest moją bratanicą, a owo miejsce porządnym katolickim domem. W czym więc problem?

– Ty jesteś problemem, księżulku. – Mężczyzna szturchnął Hugh'a w pierś kolbą karabinu. – Nie potrzebujemy tu wicherzycieli. Ludzie żyli sobie spokojnie, póki tu nie zjechałeś i nie zacząłeś mącić. Gdybyś się nie wtrącał i nie wypychał nosa, gdzie nie trzeba, dalej by tak było.

– Sądzę, że znaleźliby się tacy, którzy nie podzieliliby tej opinii.

– Każdy kto się liczy, powie ci to samo.

– Liczy się każdy.

– A ty będziesz liczył trupy, kiedy przez ciebie będziemy zmuszeni zaprowadzić tu porządek – odparł mężczyzna i na podkreślenie swoich słów wymownie potrząsnął karabinem. – Zapamiętaj sobie, Gerritsen.

Spluwę można trzymać tak... – tu oparł kolbę na udzie,

skierował lufę w powietrze i nacisnął spust. – Albo tak... – podrzucił broń lekko do góry i lufę wymierzył prosto w pierś Hugh'a. – To jest prawidłowa pozycja. Nie zmuszaj mnie, żebym ją wypróbował na białym, szczególnie na braciszku Ferrisa Lee Gerritsena.

– A zrobiłbyś to?

– To zależy od ciebie.

– Chcesz się przekonać, jak bardzo? – zapytał Hugh, po czym błyskawicznym wymachem stopy wytrącił karabin z rąk mężczyzny. Nim osiłek się zorientował, rąbnął go łokciem w brzuch, ten zaś jęknął i skulił się z bólu. Hugh porwał karabin z ziemi, odsunął się kilka kroków i odbezpieczył broń. – Co mówiłeś, która pozycja jest prawidłowa?

Napastnik zgięty wpół ruszył w jego kierunku, lecz wówczas Hugh wycełował lufę między jego nogi i położył palec na cynglu.

– Taka?

Mężczyzna zatrzymał się, lecz nie odpowiadał.

– Odlóż broń, księżulku. Chyba nie wiesz, co robisz – odezwał się po chwili.

– Oczywiście że wiem.

– Co z ciebie za ksiądz, do cholery!

– Taki ze mnie ksiądz, że nie nadstawiam drugiego policzka.

– Nie strzelisz.

– Nie, jeśli spokojnie wróćcie tam, skąd przyjechaliście.

– Oddaj mi broń.

– Masz mnie za durnia?

Trzej mężczyźni popatrzyli po sobie z wahaniem, lecz po chwili odwrócili się powoli do swoich samochodów.

– Przykro mi, panowie, chyba nie wyraziłem się jasno. Wasze auta zostaną tutaj, a wy zrobicie sobie spacer. Może to ostudzi nieco wasz zapał. – Hugh wymownym gestem poprawił celność lufy, a wówczas napastnicy czmychnęli w pole.

Kiedy zniknęli za kępą krzaków, wrócił do samochodu.

Dawn, która patrzyła na to wszystko z ogromnym napięciem, nie wytrzymała i wybuchnęła płaczem.

Hugh otoczył ją serdecznie ramieniem, a kiedy uspokoiła się wreszcie, wytarł jej oczy chusteczką, którą wydobyl z kieszeni na piersi. Usiadł za kierow-

nicą, włączył stacyjkę i odjechali, zostawiając w rowie ciepły jeszcze od wystrzału karabin.

Przerwał milczenie, dopiero kiedy dojeżdżali do Nowego Orleanu.

– Przykro mi, Jutrzenko. Nie przypuszczałem, że to się zacznie tak szybko.

– Co?

– Wojna.

– Wojna? Dlaczego oni cię nienawidzą?

– Boją się, że stracą na znaczeniu, kiedy przyzna się Murzynom należne im prawa. Nikogo nie nęci perspektywa upadku.

– To nie powód, żeby sięgać po broń! To... to bandyci! Oni już upadli!

– Możliwe, ale bandyci też są ludźmi.

– Będą smażyć się w piekle!

– Oby nie – uśmiechnął się, ale natychmiast spowaźniał. – Już nigdy cię tam nie zabiorę, Jutrzenko. Nie przyszło mi do głowy, że mogę narazić cię na niebezpieczeństwo. Przepraszam.

– A co sobie o mnie pomyślą państwo Narrows?

– Obawiam się, że czekają ich większe zmartwienia. Znosi się na ostre starcie.

Dawn ogarnęło złe przeczucie.

– Stryjku, dlaczego nie przeniesiesz się do innej parafii? Ci źli ludzie ci nie popuszczą.

– Nie mogę tego zrobić, Jutrzenko. Ale obiecuję, że będę na siebie uważać.

Na zawsze zapamiętała te ostatnie słowa – jedyne kłamstwo, jakie jej kiedykolwiek powiedział.

– Obiecuję – powtórzył z uśmiechem.

Upłynęły trzy lata. Dawn nie zmieniła poglądów, ustaliła jedynie nową listę priorytetów. Na początku roku 1960 była smukłą, długonogą osiemnastolatką z załążkiem urody, która miała w pełni rozkwitnąć pięć lat później. Na amerykańskich estradach niepodzielnie królował Elvis Presley, a w telewizji Fred Flintston i Jaskiniowcy wyparli kreskówki z Howdy Doody.

Dawn czuła się już dorosła i wraz z koleżankami z jej rocznika z protekcyjną wyższością odnosiła się do młodszych dziewcząt z żeńskiej szkoły katolickiej pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusowego przy Saint Charles Avenue, do której uczęszczała od przedszkola.

Nie przepadała za szkołą. Nudziły ją fakty i daty, interesowały zaś idee i polityka, co nieodmiennie spotykało się z dezaprobatą ciała pedagogicznego. Mimo to bez wysiłku osiągała średnią ocen wymaganą przy staraniu się o miejsce w którymś z ekskluzywnych żeńskich college'ów na Północnym Wschodzie, dokąd zazwyczaj udawały się przed debiutem nowoorleańskie dziewczęta. Jak przystało na pannę z dobrego domu, rok lub dwa miała spę-

dzień na Północy, potem wrócić do Luizjany na debiut i kształcić się dalej w starannie wybranej uczelni na Południu.

Nie różniła się od tysięcy nastolatków, pozornie zuchwałych i pyskatek, lecz w głębi duszy wrażliwych i samotnych. Większość czasu spędzała teraz z przyjaciółmi, a całkiem przypadkowo spostrzegła, że zwraca na siebie uwagę chłopców i że sprawia to jej przyjemność.

Dopiero teraz zbliżyła się nieco do matki, która niestrudzenie odkrywała przed nią tajniki wiedzy niezbędnej pannie jej pokroju. Uczyła córkę salonowych manier i obycia oraz sztuki ubierania się stosownie do sytuacji. Sama nadzorowała dobór odpowiedniej fryzury i sugerowała taki czy inny makijaż przed ważniejszymi okazjami.

Tych okazji było zresztą coraz więcej, bowiem Ferris prowadził córkę po przyjęciach i salonach, skrzętnie zabiegając, by stworzyć jej jak najlepszą szansę, kiedy przyjdzie czas na debiut. Nie tylko Cappy, lecz także córka miała błyszczeć i ozdabiać jego karierę.

Tymczasem z różnych stron dochodziły niewesołe wieści. W lutym czarni studenci w Greensboro zajęli miejsca w studenckiej stołówce w części zarezerwowanej dla białych i zażądali obsługi. W Little Rock przed domem czarnego studenta, który ośmielił się naruszyć święte zasady segregacji rasowej, wybuchła bomba.

W Atlancie aresztowano Martina Luthera Kinga pod pretekstem krzywoprzysięstwa.

Dawn pilnie śledziła bieg wydarzeń. Wykorzystywała rzadkie okazje, by podzielić się spostrzeżeniami ze stryjem, potem zaś konfrontowała jego opinie z całkowicie odmiennym punktem widzenia ojca oraz jego sprzymierzeńców. Kiedy we wrześniu czarni i biali studenci urządzili siedzące demonstracje w domach towarowych Woolworth a i McCrory'ego na Canal Street, żądając zniesienia segregacji w szkołach, skrycie sprzyjała ich działaniom. Pod koniec roku problem szkolnej integracji nie schodził z porządku dnia, spędzając sen z powiek zwłaszcza tym, którzy – jak Ferris – mieli w tej batalii wiele do stracenia.

Pewnego październikowego dnia, kiedy letni upał zelżał, a rozgrzane miasto odetchnęło z ulgą, do domu Gerritsenów zawitał Hugh. Dawn wróciła właśnie z matką z zakupów. Ucieszyła się na widok stryja i uściśliła go serdecznie. W jego mocnych ramionach zdała sobie sprawę, jak bardzo się za nim stęskniła.

– Chciałbym, żebyś kogoś poznała, czeka w samochodzie – oznajmił zaraz po powitaniu.

– Super. Wybierzemy się gdzieś?

– A jakie masz plany? Nie miała żadnych planów. Czekwała wprawdzie na telefon od Alana Murphy'ego, chłopaka z jezuickiego gimnazjum i potencjal-

nego kandydata na narzeczonego, lecz towarzystwo stryja przedkładała nad wszystko, zostawiła więc wiadomość służącej i podążyła za Hugh do auta.

Na tylnym siedzeniu czekał na nich przystojny młody człowiek. Hugh otworzył jej przednie drzwiczki, sam okrążył wóz, usiadł za kierownicą i dokonał prezentacji:

– Dawn, to jest Ben Townsend.

Obdarzyła młodzieńca kokieteryjnym uśmiechem i wyciągnęła dłoń na powitanie. Ben przytrzymał ją dłużej, niż nakazywała uprzejmość i odwzajemnił się uśmiechem, od którego zrobiło jej się ciepło mimo październikowego chłodu. Był przystojnym blondynem, szczupłym, jeśli nie wręcz chudym, w wieku przekraczającym niebezpieczną – jak uznałaby Cappy – granicę dwudziestu dwóch lat. Kiedy się uśmiechał, kąciaki oczu zabawnie mu się marszczyły. Nie spuszczał z Dawn zaciekawionego spojrzenia, ale zachowywał się swobodnie, bez tej napuszonej sztuczności cechującej Alana i innych jej kolegów. Mówił z ledwie uchwytnym południowym akcentem z terenów w dolnej delcie Missisipi.

– To wspaniały dom – orzekł, wypuszczając wreszcie jej dłoń. – Kiedy go zbudowano, przed wojną secesyjną?

– Coś koło tego – odparła. Znała każdy zakamarek i każdą kryjówkę tej utrzymanej w stylu włoskim rezydencji, zaczęła więc objaśniać Benowi architektoniczne szczegóły ze swadą zawodowego przewodnika.

– Wygląda na to, że robisz to nie pierwszy raz.

– Muszę asystować mamie, kiedy przyjmuje gości. Mama oprowadza po domu każdego, kto mógłby pomóc ojcu w jego karierze. Dobre wychowanie nie pozwala mi wypowiedzieć na głos swojej opinii o tym domu.

– A jaka jest ta opinia?

– Przypomina mi on kostnicę.

Ben i Hugh roześmieli się, a potem Hugh powiedział kilka słów na temat swego przyjaciela.

– Ben pochodzi z Bonne Chance, ale teraz studiuje w Oberlin College. Sam ci tego nie powie, więc powiem ja: to zdolny chłopak o dobrym sercu. Raczej cię nie skrzywdzi. Przyjechał na kilka miesięcy napisać pracę dyplomową o rodzinnym mieście. Ma zamiar ją opublikować, podobno już jest wydawca.

Dawn skrzywiła się kwaśno.

– O Bonne Chance? Tam nigdy nic się nie działo, nic się nie dzieje i nie będzie się działo.

– Uważaj, Dawn, nadchodzą zmiany. To się czuje w powietrzu.

– Nie bez udziału człowieka, który płaci za to ogromną cenę. Byłam świadkiem, jak jacyś podli faceci grozili mu bronią – zwróciła się w stronę Bena.

– Jesteś za segregacją? – zapytał.

Speszyla się nieco, słysząc tak konkretne pytanie.

– Nie mówię teraz o swoich poglądach, ale o bezpieczeństwie stryja. A przy okazji o twoim – dodała.

– Nie było cię tu dłuższy czas, więc może nie wiesz, że sytuacja jest bardzo napięta.

– Wiem. O tym piszę.

– W każdym razie to chyba nie jest najlepszy moment, żeby narażać mieszkańców Bonne Chance na ryzyko, pisząc o ich krzywdzie.

– W napiętej sytuacji najlepiej nic nie robić – odparł z lekką drwiną.

– Jasne, najlepiej dać się zabić.

Hugh zażegnał ten spór, kładąc dłoń na ramieniu bratanicy i patrząc wymownie na Bena.

– Dajcie spokój. Wierz mi, Dawn, że postępujemy rozważnie, nikogo nie będziemy narażać na niepotrzebne ryzyko.

– Ale znasz Leandra Pereza i wiesz, co myśli na temat integracji – nie dawała za wygraną. – Jego zdaniem czarni powinni znać swoje miejsce i nie zawracać sobie głowy gadaniem o wspólnych szkołach z białymi czy o prawie do głosowania.

– Sporo wiesz o sytuacji – wtrącił się Ben.

– Może wyda ci się to dziwne, ale interesuję się polityką. Poza tym Leander Perez słynie na całym Południu z wojującego rasizmu. Trudno by ktoś o nim nie słyszał.

– Nie zmienimy takich facetów, jak Perez i jego poplecznicy, ale możemy stworzyć takie warunki, by do władzy dochodzili nowi ludzie z otwartą głową. Przynajmniej powinniśmy spróbować. – Ton Hugh zabrzmiał nadzwyczaj poważnie. – Pomówmy o czymś innym. Potrzebujemy dziś fotografa, Ben i ja. Pomyślałem o tobie.

– O mnie? – zdumiała się Dawn. Miała jedynie prostego kodaka, którym pstrykała amatorskie zdjęcia znajomym na szkolnych wycieczkach.

– Widziałem twoje zdjęcia. Są dobre. Masz intuicję.

– Ja? – powtórzyła z niedowierzaniem.

– Ty, ty. Od dziecka miałaś artystyczne zdolności. Nie było tylko okazji, by je rozwijać.

To prawda, lubiła rysować. Dawni jednak zaniechała malarskich ambicji, oglądając prace uczniów o wiele bardziej, jej zdaniem, utalentowanych.

– Lubię robić zdjęcia, ale...

– Pożyczę ci swój aparat. Nowa leica, istne cacko. Ben ci pokaże, jak ją obsługiwać. Prosimy cię tylko, żebyś z nami pojechała i fotografowała wszystko, co uznasz za godne uwagi.

Dawn wyobraziła sobie scenę, kiedy oboje z Benem pochylają głowy na aparatem, dotykając się niemal włosami, a Ben wyjaśnia, jak ustawić przesłone i odpowiedni kadr. Pokusa była nie do odparcia.

– Czy ktoś będzie do mnie strzelał?

– Nie jedziemy do Bonne Chance – roześmiał się cicho Hugh. – Wybieramy się na spotkanie tu, w mieście, w sprawie integracji w szkołach.

– A czy mój ojciec nie będzie czasem tam przemawiał?

– To się okaże. Sam jestem ciekaw.

Zrozumiała odpowiedź wuja, kiedy zaparkowali na ulicy w pobliżu Dwieńskiego Nabrzeża. Na rogu wznosił się nowoczesny kościół z czerwonej cegły, do którego ze wszystkich stron napływały odświętnie ubrane tłumy przeważnie ciemnoskórych mieszkańców.

Gdzieniedzie dały się zauważyć sylwetki białych mężczyzn i kobiet, podążających stanowczym krokiem z wyrazem determinacji na twarzach.

– Nie zmieniłaś zdania? – zagadnął Ben, kiedy Hugh poszedł wyjąć aparat z bagażnika.

– Masz mnie za tchórza?

– Zapominasz, że to moje rodzinne strony. Wiem, za czym twój ojciec głósuje w senacie.

Dawn poczuła się w obowiązku bronić ojca.

– Skoro stąd pochodzisz, rozumiesz chyba, że ojciec musi iść na kompromisy.

– Doprawdy?

– Jest o wiele bardziej postępowy od swoich kolegów. Robi, co może dla Murzynów w swoim okręgu.

– Rozmawiałaś o poglądach swojego ojca ze stryjem?

– Nie – skłamała. Gdyby wdała się w dyskusję na temat różnic światopoglądowych dzielących obu braci, musiałyby zdeklarować się po którejś ze stron, a tego za wszelką cenę pragnęła uniknąć.

– A czy wiesz, że parlament usiłował odebrać władzę okręgowej radzie szkolnej*¹⁹ i ustanowić nad szkołami zwierzchnictwo gubernatora? Chodziło o wspólną pierwszą klasę dla czarnych i białych dzieci. Tylko o pierwszą klasę, nic ponadto. Twój ojciec głosował przeciwko. W imię racji stanu.

– Ale ojciec naprawdę szczerze kieruje się racją stanu. Uważa, że władze okręgowe mają prawo wyboru takiego rozwiązania, jakie jest najkorzystniej-

¹⁹ * Ciało społeczne pochodzące z wyboru, wybierane na szczeblu samorządowym, odpowiedzialne za politykę oświatową w danym okręgu; polski odpowiednik nie istnieje (przyp. tłum.).

sze dla danego regionu Luizjany. Mówi, że centralizm jest wrogiem demokracji.

- A co ty uważasz?
- Sądzę, że tu akurat jest w błędzie, ale...
- Czy segregację uważasz za błąd?

Zaczęła dochodzić do wniosku, że błędem była z jej strony zgoda na tę wycieczkę i tę rozmowę.

– Mam wrażenie, że usiłujesz wprawić mnie w zakłopotanie – oznajmiła, patrząc na niego z rezerwą.

– A co w tym kłopotliwego? Albo jesteś za segregacją, albo przeciw.

– To bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje. Skoro jednak wolisz sprawy upraszczać, niż komplikować, dobrze, powiem ci: całym sercem i duszą jestem przeciwko segregacji.

Hugh przysłuchiwał się tej wymianie zdań od kilku chwil, teraz zaś uznał, że powinien się włączyć.

– Musisz wiedzieć, Dawn, że Ben jest także obiecującym dziennikarzem. Specjalizuje się w zadawaniu kłopotliwych pytań. Lubi stawiać rozmówców w niezręcznej sytuacji.

Ben skwitował tę opinię zabójczym, leniwym uśmiechem, który przyprawił Dawn o zawrót głowy.

– Uzgodniłszy z organizatorami robienie zdjęć – Hugh przeszedł do konkretów. – Ben pokaże ci, jak obsługiwać aparat, ale lepiej zróbcie to tutaj.

Dawn przesiadła się na tylną kanapę i usadowiła się przy nim tak blisko, że fałdy spódniczki ocierały się o nogawkę jego ciemnych spodni. Świadomość tej bliskości poraziła jej zmysły, wzbogacając ją o nowe, absolutnie dotychczas nieznanne przeżycie. Zazwyczaj nie traciła rezonu w obecności chłopców, lecz Ben nie był już chłopcem, ani trochę.

– Używałaś kiedykolwiek tej wersji? To trzydziestka piątka.

– Nie – odparła i ujrzała, jak cień rezygnacji przebiega przez jego twarz. – Ale szybko się uczę – dodała natychmiast. – Pokaż mi tylko podstawowe funkcje. Im bardziej starała się jednak skupić, tym fotograficzne rzemiosło wydawało się bardziej skomplikowane.

To już nie była niewinna, dziecinna zabawa, lecz prawdziwa praca, a szanse na poprawne ustawienie wszystkich parametrów w skomplikowanym aparacie – światła, odległości, ostrości, przewijania – bliskie zeru. To, co mówił Ben, płątało się jej w głowie, na dodatek nie mogła nie zwracać uwagi na jego dłonie, palce, równo przycięte paznokcie. Czy mogła jednak powiedzieć Benowi, że nie da rady?

– Mam nadzieję, że sobie poradzisz – westchnął Ben, wręczając jej aparat po kilku minutach objaśnień.

– Wyluzuj się i nie pękaj.

– Ważne są te zdjęcia? – zapytała cicho, wiedząc, że Hugh jej nie słyszy.

– Zdaje się, że stryj po prostu chciał cię tu ściągnąć.

Poczuła ukłucie rozczarowania – a więc jej obecność nie ma tak naprawdę istotnego znaczenia.

– A jeśli uda mi się parę ujęć?

– Wykorzystam je oczywiście. Piszę artykuł na temat integracji w Luizjanie. Pewna redakcja zamówiła u mnie ten temat. Jeśli zdjęcia będą dobre, dołączę je do tekstu.

– Zgoda. Szykuj dla nich miejsce.

Spojrzał na nią, pokręcił głową i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Masz coś w sobie ze stryja Hugh’a.

– Nieprawda. Jestem, jaka jestem. Przemogła się i spojrzała mu prosto w oczy. Wyjęła mu z rąk aparat i przycisnęła go do piersi. – To co, idziemy?

– W porządku, Dawn. Chodźmy – odpowiedział i oboje wmieszali się w zdążający do kościoła tłum.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Z ponad dwudziestu fotografii, które Dawn zrobiła podczas wiecu, większość było prześwietlonych lub nieostrych. Jednak pięć wyszło całkiem przyzwoicie.

Dawn najbardziej spodobało się to, które przedstawiało kobietę pochyloną nad niemowlęciem smacznie śpiącym w jej ramionach. Złote kółko w uchu matki delikatnie muskało pulchne policzki pogrążonej w dziecinnych marzeniach dziewczynki. Na drugim planie, na tle kościoła, ubrany odświętnie chór śpiewał pieśń o niespełnionych marzeniach dorosłych.

Ben odrzucił tę fotografię, uznał ją bowiem za ckliwą i sentymentalną. Zaprobował natomiast inną, na której ksiądz Hugh wymieniał serdeczny uścisk dłoni z czarnym pastorem. Na twarzach obu malował się wyraz podniosłej troski, stosowny do powagi sytuacji.

Ben dwukrotnie odwiedził Dawn. Raz przyniósł jej zdjęcia do pokazania, kilka dni później wpadł na chwilę, by podrzucić słoik jeżynowego dżemu od Beulah Narrows.

Dawn wróciła właśnie wtedy ze szkoły, zastał ją więc w szkolnym mundurku. Poczula się speszona tym ubiorem, który zdawał się pogłębiać dzielący ich dystans.

Ben spieszył się i nie wszedł do środka. Oparł się o kolumnienkę frontowej werandy i tam rozmawiał z Dawn.

– Pamiętam szkolne lata – odezwał się z nostalgią właściwą bardziej czterdziesto- niż dwudziestolatkom.

– Nie przesadzaj, przecież nie jesteś jeszcze taki stary.

– Ale czasami tak się czuję. Zwłaszcza wtedy, kiedy widzę, co się wyprawia w moim rodzinnym mieście.

– W Bonne Chance? Jakie było, takie jest. Nic się tam specjalnie nie zmieniło.

– Być może, za to ja się zmieniłem. „Byłem ślepy, spadła mi zasłona z oczu” – zanucił z uśmiechem, a widząc jej zaskoczoną minę, wyjaśnił: – To ze starej południowej pieśni. Wy, katolicy, jej nie znacie.

– Nie jesteś katolikiem?

– W żadnym wypadku. Jestem baptystą, w każdym calu. Tata był pastorem, głosił bezwzględny autorytet Biblii. Mama co niedziela grała w kościele na organach.

– I współpracujesz z katolickim księdzem?

– Dzięki temu poznaję prawdziwą religię.

– Mój stryjek jest najlepszym człowiekiem na świecie.

– Jasne. Ale rozejrzyj się wokół, przekonasz się, że nie jest osamotniony. – Zasalutował i zbiegł z werandy po dwa stopnie naraz.

– Dlaczego jesteś inny? Co cię odmieniło? – zawołała za nim.

Rzucił jej niedbały, protekcyjnalny uśmiech.

– Dorosłem! – odkrzyknął.

Wielokrotnie zastanawiała się później nad ukrytym znaczeniem jego słów. Czyżby chciał przekazać jej coś ważnego? Im bardziej się nad tym głowiła, tym mocniej utwierdzała się w przekonaniu, że Ben traktuje ją jak małe dziecko. Rozdrażniona i niespokojna, całe popołudnie szamotała się po swoim pokoju w głębokiej rozterce.

Czuła się coraz silniej rozdarta wewnątrz. Dwa przeciwstawne światy – jeden bezpieczny, lecz zamknięty w ograniczonym kręgu pojęć i konwencji, drugi pełen nieoczekiwanych wyzwania i nieodgadnionych możliwości – walczyły między sobą o prymat.

Gdyby nie Hugh, spokojnie dryfowałyby po wygładzonej powierzchni salonowej błahości. Jej koleżanki bez oporu przyjmowały narzucone im przez

rodziców plany na przyszłość. Dawn też czasami miała ochotę biernie podporządkować się woli rodziców, lecz bywały chwile, kiedy ta z góry wyznaczona rola doskwierała jej i ciążyła niczym niewygodny, krępujący ruchy pancerz.

Czuła się wówczas jak przysłowiowy kanarek w złotej klatce.

Dzięki stryjowi uświadomiła sobie, że poza wąskim obrębem ciasnego myślenia i przywilejów wyizolowanej kasty – mieniającej się społeczną elitą i pilnie strzegącej swoich praw do zachowania szczególnej pozycji – istnieje świat o wiele bardziej złożony i zróżnicowany, niekiedy wręcz przerażający. Na razie zatrzymywała te refleksje tylko dla siebie i bacznie śledziła bieg wydarzeń.

Tymczasem po wiecu w kościele wyczuwało się na mieście rosnące napięcie. Okręgowa rada szkolna wytypowała na pierwszy rzut dwie szkoły w okolicy Dziewiątego Nabrzeża, do której zgodnie z ideą integracji miały uczęszczać razem białe i czarne dzieci. Decyzja ta wywołała głośne protesty i falę oburzenia białej społeczności. W miarę zbliżania się wyznaczonego terminu pierwszych zajęć atmosfera gęstniała, a napięcie rosło.

Hugh odwiedził dom rodziców Dawn tego dnia, kiedy senat, głosami zartwardziałych zwolenników ścisłych podziałów rasowych, przeforsował aż dwadzieścia dziewięć ustaw blokujących integracyjne zamierzenia.

Dawn jeszcze nigdy nie widziała stryja w tak wojowniczym nastroju. Przywitał się z nią w przelocie i od razu pospieszył do Cappy. Był tak rozszerdzony, że jego podniesiony, pulsujący gniewem głos dudnił echem po całym domu i ogrodzie.

– O, nie, Cappy, tylko nie staraj się mi wmówić, że zgadzasz się z Ferrisem. Nie musisz łykać wszystkiego, co ci podaje na tacy, to nie pudełko walentynkowych czekoladek!

Z pokoju doszło stłumione grzechotanie. Pewnie mama spokojnie przyrządza sobie drinka, pomyślała Dawn. Spokój jednak okazał się zwodniczy, bowiem kiedy Cappy udało się w końcu przebić przez wzburzony potok słów szwagra, w jej głosie zabrzmiała owa zimna, złowroga nuta, na dźwięk której Dawn najchętniej schowałaby się w mysią dziurę.

– Jeśli nie opieram się Ferrisowi, to znaczy, że się z nim zgadzam. A łykam nie walentynkowe czekoladki, lecz dobrą szkocką whisky, do czego mnie zmusiłeś, robiąc ten straszliwy raban.

– Na frasunek dobry trunek? Wolisz mieć święty spokój, co? Bardzo wygodna postawa.

– Nie ma zamiaru wysłuchiwać twoich inwektyw.

– Zrozum, ktoś musi powstrzymać Ferrisa. Jeśli ty tego nie zrobisz, to kto? Wiesz, co on dziś powiedział? Że gdyby czarni chłopcy mieli chodzić do jednej klasy z białymi dziewczętami, wszyscy ojcowie białych dziewcząt w No-

wym Orleanie musieliby pilnować klas z karabinami! Jak ci się wydaje, czy Ferrisowi leży na sercu dobro tych dzieci? Skąd! To zwykły oportunizm. Nic go nie obchodzi, kto z kim będzie chodził do publicznej szkoły, przynajmniej póki jego córka jest bezpieczna w ekskluzywnej oranżerii dla białych panienek.

– I kto to mówi? Katolicki ksiądz po katolickiej szkole.

– Ferris obnosi się publicznie ze swoją bigoterią, bo widzi w tym doraźny interes. Zaledwie krok dzieli go od tej bandy reakcyjnych troglodytów z Rady Obywatelskiej*²⁰, musi więc wkupić się w ich łaski. Żeby się im przypodobać, zgodził się nawet przemawiać w przyszłym tygodniu na ich rasistowskim wiecu, wyobrażasz sobie?

– Ferrisowi zależy na utrzymaniu swojego stanowiska.

– A czegoż to dokonał na tym stanowisku? Walczył z ciemnotą, z przesądami, z biedą?

– Nie każdy musi od razu ścisnąć się z Murzynami, Hugh. Ani uganiać się za mrzonkami. Jeden męczennik w rodzinie chyba wystarczy.

Po tych słowach zaległa cisza. Dawn zaczęła się zastanawiać, czy Hugh nie obraził się i nie opuścił domu drzwiami prowadzącymi na taras i do ogrodu, lecz po chwili stryj przemówił. Odezwał się tonem znacznie bardziej opanowanym, co wskazywało na to, że wziął sobie do serca słowa Cappy.

– Czy nie próbujesz przypadkiem zaskarbić sobie miłości Ferrisa ślepym posłuszeństwem? Czy nie dotarła do ciebie ta oczywista prawda, że ten człowiek nie jest zdolny do miłości i choćbyś stawiała na głowie, nie pokocha cię tak, jak tego pragniesz? Zastanów się, dlaczego nie chcesz opowiedzieć się po słusznej stronie, nie oglądając się na to, w co on każe ci wierzyć?

– Słuszne jest to, że bym nie wdawała się w sprawy, o których nie mam pojęcia.

– Nieprawda, masz pojęcie i czujesz podobnie do mnie. Posłuchaj, sprawa integracji jest przesądzona, niezależnie od tego, co zrobią faceci pokroju Ferrisa. Przyłącz się do nas. Jak wiele białych kobiet, takich samych jak ty, które zaoferowały swoją pomoc. Pomogłabyś odprowadzać do szkoły te białe dzieci, których rodzice nie mają nic przeciwko mieszanym klasom.

Cappy, przecież to nic trudnego. W głębi ducha przyznajesz mi rację.

– Mylisz się, jeśli sądzisz, że tego typu równouprawnienie uważam za słuszne.

– A dlaczego nie? Pomyśl tylko, te Bogu ducha winne dzieciaki otacza niezасłużona nienawiść, której nie rozumiem. Ja też jej nie rozumiem. I ty też.

²⁰ * Organizacja rasistowska grupująca białych zwolenników segregacji rasowej, przeciwstawiająca się równouprawnieniu Murzynów (przyp. tłum.).

- Nie jestem Joanną d’Arc.
- Jesteś matką Dawn, wrażliwą i wyrozumiałą kobietą o czułym sercu.
- Lecz nie chcę angażować się w sprawy, które mnie nie dotyczą.
- Więc przynajmniej zostań w domu. Jeśli nie chcesz przyłączyć się do nas, nie idź z Ferrisem na ten wiec bigotów.

Znowu zapanowało milczenie. Dawn dużo by dała, żeby ujrzeć w tym momencie twarz matki. Jej głos wyraźnie przycichał, słabł, łamał się, a łagodna miękkość, której córka nie знаła, wyparła lodowatą oschłość.

Zastanawiała się przez chwilę nad słowami stryja – czyżby naprawdę dostrzegął w Cappy cechy, z którymi matka nigdy nie odkrywała się przed rodziną?

- Nie pójdę na wiec – oznajmiła w końcu Cappy.
- Dzięki i za to.
- Ale nie życzę sobie, żebyś ciągał dokądkolwiek Dawn. Wpatrzona jest w ciebie jak w obraz, wydaje się jej, że potrafisz czynić cuda. Nie chcę, żeby stała się jej krzywda.
- Ja też nie chcę.

Dawn zezłościła ta umowa zawarta za jej plecami. Postanowiła natychmiast dać temu wyraz i złożyć kategoryczny protest na ręce stryja. Wyszła przed dom, żeby poczekać na niego w samochodzie i tam powiedzieć mu, co myśli o takim traktowaniu, lecz kiedy znalazła się obok znajomego auta, spostrzegła, że na przednim fotelu pasażera siedzi Ben.

Już miała odwrócić się na pięcie, by uniknąć krępującego spotkania, gdy dobiegło ją nieco poirytowane:

- Cześć, Dawn.
- Ben nie wyglądał na zachwyconego, więc zirytowała się jeszcze bardziej.
- Czekam na stryja – rzuciła krótko. – Nie rób takiej zbolalej miny, bo nie interesuje mnie rozmowa z tobą.
- Hola! A ciebie co ugryzło?
- Nie życzę sobie, żeby traktowano mnie jak małe dziecko. Jestem inteligentna i wykształcona, niezależnie od tego, co stryjek Hugh sądzi o mojej szkole i edukacji. Mam własne poglądy i sama potrafię podejmować decyzje.
- Jej oczy zwężyły się, kiedy patrzyła, jak Ben wysiada z samochodu. – Nie mam też ochoty wysłuchiwać twoich lekceważących uwag. Nie zasługuję na lekceważenie, choć może nie mam jeszcze tych twoich dwudziestu trzech czy ile tam masz lat.
- Dwadzieścia dwa.
- Nieistotne.
- Uśmiechnął się pobłażliwym uśmiechem dorosłego.
- Nie wątpię, że ktoś się na tobie poznał.

– Nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi. Taki z ciebie staruszek, że zapomniałeś, jak to było, kiedy byłeś w moim wieku?

– Masz rację – powiedział, tym razem bez cienia drwiny. – Wybacz.

– Macie mnie za małąlatę, która ma pstro w głowie – mówiła tymczasem Dawn z coraz większym zapamiętaniem.

– Takie fiu bzdziu, której jedynym zmartwieniem jest nowy ciuszek albo szóstka z trygonometrii, co? Nie jestem taka! Głęboko przeżywam to, co się dzieje w mieście. Z całego serca współczuję dzieciom, które będą musiały przejść gehennę nie ze swojej winy. Chciałabym im pomóc i nie życzę sobie, żeby ktokolwiek mi dyktował, co wolno, a czego nie wolno mi robić.

– A czy ktoś ci dyktuje? – Ben wzruszył ramionami.

– Słyszałeś, że mój ojciec ma przemawiać na wiecu Rady Obywatelskiej? Ben wykrzywił tylko usta w pogardliwym grymasie.

– Dlaczego nie pofatygowaliście się, żeby mi o tym powiedzieć? Ani ty, ani Hugh, ani moja matka, ani sam ojciec!

– I jak się z tym czujesz?

– Jestem wściekła.

– Mówię o wiecu Rady Obywatelskiej.

– Zażenowana – przyznała niechętnie. – Jak on może tak postępować?

Większość polityków opowiada się za segregacją, ale żaden z nich nie pcha się na rasistowski wiec.

– Założę się, że czujesz się rozdarta między stryjem a ojcem.

– Oczywiście, że tak. Obu ich kocham.

– A teraz jesteś zmuszona dokonać wyboru.

– Nie, to nie o to chodzi. Nie będę wybierała między miłością do ojca a miłością do stryja. Tu chodzi o mnie, nie o nich, o moje uczucia. O to, kim jestem ja, Dawn Gerritsen.

– To całkiem dorosły problem.

Uchwyciła w jego spojrzeniu cień podziwu, lecz teraz naprawdę chodziło jej nie o jego podziw, lecz jedynie o nią samą, o jej światopogląd, jej wartości i jej widzenie świata.

– Porozmawiam z ojcem – postanowiła nagle. – Ublągam go, żeby nie uczestniczył w tym paskudnym zgromadzeniu.

– Twój ojciec wyjechał do Baton Rouge – usłyszała zza pleców. Odwróciła się i ujrzała znekana, posepna, nagle postarzałą twarz Hugh.

– Wiem. Ale jutro wraca – odparła i uściśniła go serdecznie. – Stryjku, nie masz prawa obiecywać mamie, że nie weźmiesz mnie ze sobą na otwarcie pierwszej zintegrowanej szkoły. Nie chcę, żebyście za mnie podejmowali decyzje.

– Mama cię kocha i martwi się o ciebie.

- Przypuszczam, że matki tych dzieci, które pierwszy raz mają przestąpić próg szkoły dla białych, też mają powody, żeby się zamartwiać.
- Czasem zapominam, że jesteś prawie dorosła.
- Czasem sama to ułatwiam – przyznała ze skrucą.
- Musimy iść. – Położył dłoń na jej ramieniu. – Jak chcesz, to porozmawiaj z ojcem, ale nie obiecuj sobie za wiele.
- Tata nie jest złym człowiekiem.

Hugh skwitował milczeniem tę opinię i rzucił z pokrzepiającym uśmiechem:

– Powodzenia! I nie zapominaj, że chodzi o ciebie. Rano Dawn była jednym kłębkim nerwów. Jeszcze nigdy nie ośmieliła się jawnie stawić oporu rodzicom.

Drżała na samą myśl, że narazi się na ich dezaprobatę lub może nawet gniew. Jej stosunki z matką były zawsze chłodne i napięte. Relacje z ojcem miały wprawdzie nieco solidniejszą podbudowę, ale jedynie dlatego, że nigdy nie wyłamała się z roli, jaką jej narzucił – grzecznej, potulnej panienci z dobrego domu. Przecistawiając się mu otwarcie, mogła się spodziewać, że wzbudzi jego niechęć i irytację.

Do szkoły wyszła godzinę wcześniej niż zazwyczaj.

Służącej zakomunikowała, że przed lekcjami zamierza wpaść do babci, i tak rzeczywiście zrobiła.

Aurore znalazła w ogrodzie, wśród chryzantem i herbacianych róż. Babcia krążyła w powodzi kwiatów z ostrym sekatorem.

– Co robisz? – zapytała Dawn.

– O Boże, ale mnie wystraszyłaś! – Babcia rozwarła szeroko ramiona, w których wnuczka ochoczo zatonęła. Tuląc się do niej, zdała sobie sprawę, jak bardzo ta energiczna i rzutka kobieta posunęła się ostatnio w latach.

Choć jednak Aurore przekroczyła już siedemdziesiątkę, codziennie rano niestrudzenie spieszyła do biura swojej firmy. Mało tego, w ciągu ostatnich trzech lat flotylla Gulf Coast powiększyła się o kolejne kilkanaście statków handlowych, a planowano zakupić nowe, jeszcze szybsze i nowocześniejsze od pozostałych.

Aurore realizowała się także na innych polach .

Z zapalem oddała się nowej pasji, jaką było zarządzanie wydawnictwem o nazwie Gulf Coast Publishing. Na razie wydawało ono kwartalnik poświęcony żegludze rzecznej, a sama Aurore spędzała pod pretekstem redakcyjnych obowiązków długie godziny w zaadaptowanych na nowe potrzeby pomieszczeniach na pierwszym piętrze siedziby rodzinnej firmy. Zwierzyła się kiedyś Dawn, że musi mieć coraz to nowe powody, by codziennie przychodzić nad

rzekę i patrzeć na jej bieg, bo to Missisipi przypomina jej nieodmiennie, kim jest naprawdę. Dawn wydało się to bardzo niejasne i tajemnicze.

– Jak się czujesz, Grandmère? – zapytała.

– Dobrze, kochanie. Dlaczego pytasz?

– Sama nie wiem – odpowiedziała Dawn zgodnie z prawdą. Nie potrafiła sprecyzować, jakiego typu zmiana zaszła w kobiecie, która przez osiemnaście lat była dla niej jedyną ostoją. Cień rezygnacji? Być może.

– Nie powiedziałaś mi, co robisz.

– Muszę poprzycinać uschnięte łądyżki, żeby na wiosnę mogły rozwinąć się młode listki. Róże nie lubią wilgotnego klimatu, dlatego trzeba o nie bardzo dbać.

– Twoje róże są najpiękniejsze na świecie! Zawsze troskliwie o nie dbałaś.

– Tak, choć stale zaprzętały mnie troski – odparła Aurore ze smutnym uśmiechem, który kazał się domyślać, że to nie róże przysporzyły babci owych nieustannych trosk.

– W każdym razie z całego ogrodu najbardziej kocham róże – dodała zmienionym tonem.

– To tak jak Hugh – westchnęła Dawn. – Wiesz, babciu, stryjek jest wściekły na tatę. Uważa, że tata utrudnia proces integracji. Podobno zgodził się przemawiać na rasistowskim wiecu w przyszłym tygodniu.

– Twój ojciec i stryj dawno się poróżnili.

– Czy jesteś zła na stryja, babciu?

– Dlaczego akurat na niego?

– Zawsze byliście dla siebie tacy...

– Nie jestem zła – ucięła Aurore. – Jak mogłabym być zła na kogoś, kto ma tak dobre i szlachetne serce?

– A na tatę?

– Obu ich kocham, moje dziecko. Jeśli zaś chodzi o twego ojca... – westchnęła. – Cóż, nie ma dymu bez ognia. Ferris wdał się w Henry'ego i powtarza to, czego się od niego nauczył. Nie mam prawa złościć się na niego, skoro sama zaniedbałam swoje obowiązki i nie wytłumaczyłam mu, co jest dobre, a co złe.

– Ja mu chcę wytłumaczyć. – Dawn popatrzyła ufnie w oczy babci. – Chcę go poprosić, żeby nie występował na tym wiecu. Ale się boję.

Aurore popatrzyła na nią w milczeniu.

– Boisz się, że go rozzłościysz? – zapytała po chwili. – Ź e odwróci się od ciebie i przestanie akceptować?

– Ty zawsze najlepiej mnie rozumiałaś.

– Tym razem nie trzeba szczególnej intuicji. – Aurore znów zamilkła. Patrzyła na nią przez chwilę, jakby ważyła myślach kolejne słowa, wreszcie odezwała się poważnym tonem: – Każdy, kochanie, odczuwałby na twoim

miejscu podobne obawy. Zwłaszcza że ojciec nie należy do ludzi łatwych. Jeśli jednak chcesz żyć w zgodzie z własnym sumieniem, powinnaś z nim porozmawiać. Tylko nie spodziewaj się cudów, Dawn. To tak jak z moimi różami. Żeby osiągnąć dobre efekty, trzeba dołożyć wielu starań. Trzeba umieć czekać, aż zakwitną. I trzeba wiedzieć, że nie obejdzie się bez poklętych palców.

– Albo że się utnie niepotrzebnie żywy pęd. Zdarzyło ci się kiedyś uśmiercić różę?

– Tak, dziecko, zdarzyło.

– To właśnie mnie przeraża.

– Nic dziwnego. Lecz jeśli nie przełamiesz lęku i nie podejmiesz próby, niczego nie osiągniesz.

– Zazdroszczę ci odwagi, Grandmère.

Odpowiedź Aurore wprawiła Dawn w zdumienie.

– Jestem najędźniejszym tchórzem po słońcem. Modłę się codziennie, żeby Bóg dodał ci odwagi, której mnie całe życie brakowało.

Resztę dnia Dawn spędziła na układaniu w myślach listy przekonywających argumentów, które powinna przedstawić ojcu. Zaś o dziesiątej wieczorem, kiedy Cappy położyła się spać i w domu zapanowała cisza, Dawn siadła przy stole w jadalni, udając, że kończy pilną pracę semestralną, i czekała na ojca.

Kiedy wrócił, dochodziła już jedenasta.

– Co tu robisz o tej porze, moja droga? – Zmarszczył brwi na jej widok.

– Czekam na ciebie.

– Nie pora iść do łóżka? Co to, nie ma jutro szkoły?

– Muszę z tobą porozmawiać, tato. Uśmiech Ferrisa zgasł. Zmierzył córkę badawczym wzrokiem, jakby usiłował odnaleźć w jej rysach jakąkolwiek oznakę buntu.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy najpierw zrobił sobie drinka?

Po pięciu minutach wrócił z kuchni ze szklaneczką whisky.

– No dobrze, jestem gotów. Co się stało?

– Wiesz, tato... – zaczęła niepewnie – może się będziesz złościł, ale muszę ci to powiedzieć. Nie podobała mi się twoja przemowa w senacie przeciwko integracji. To nieprawda, że biali będą musieli ochraniać swoje córki, kiedy będą chodziły do jednej klasy z Murzynami.

– Nieprawda? – Kostki lodu zagrzecotały w jego szklance. – Jesteś pewna?

– Nie wierzę, że naprawdę tak uważasz. Przecież zatrudniasz Murzynów w naszym domu.

– To była figura retoryczna, moja droga. Chociaż tak się składa, że rzeczywiście nie popieram wspólnych klas dla białych i czarnych. Niedługo doj-

dzie do tego, że wszyscy zapomną, gdzie ich miejsce. Obecna struktura społeczna zdawała egzamin przez setki lat. Nikt nie zaprzecza, że Murzyni w jakimś stopniu powinni brać udział w życiu społecznym, ale...

– To jest niesprawiedliwe! – przerwała Dawn zapalczywie, zdumiona, że zdobyła się na taką zuchwałość.

– Murzyni mają prawo korzystać z tych samych przywilejów co my. Posłuchaj, tato. Nie czekałam na ciebie po to, żeby wymawiać ci to, co już zrobiłeś. Co się stało, to się nie odstanie. Ale chciałam cię prosić, żebyś nie zrobił następnej okropnej rzeczy. Tato, zrozum, ten wiec Rady Obywatelskiej tylko zaogni sytuację. Nie powstrzymasz integracji. Czy nie lepiej włączyć się w ten proces i dopilnować, żeby przebiegał pokojowo?

Przecież po to cię wybrali na senatora.

Ferris przez mgnienie oka wyglądał na zbitego z tropu, lecz momentalnie odzyskał kontenans. Znowu zmierzył córkę przenikliwym spojrzeniem i zło-wieszczo zagrzechotał kostkami lodu.

– Nie rozumiesz tego – odparł krótko

– Może faktycznie nie wszystko rozumiem, ale wiem na pewno, że nie wolno krzywdzić ludzi. A upierając się przy dyskryminacji, wyrządzamy ludziom krzywdę.

– Cóż mogę poradzić? – Podniósł szklanekę jak do toastu, po czym wychylił jej zawartość jednym haustem.

– Masz rację, ci maniacy z Rady bredzą czasem od rzeczy. Ale widzisz, kochanie, wielu z nich oddało na mnie swoje głosy. W następnych wyborach też na mnie zagłosują, jeśli mój program wyda im się zgodny z ich oczekiwaniami.

– Ależ tato...

Władczo uniesioną dłonią nakazał jej milczenie, więc zamilkła.

– Nie dramatyzuj, Dawn. Ja też miałem kiedyś osiemnaście lat i wiem, że wszystko wydaje się wówczas takie proste, czarno-białe. Ale życie wcale nie jest proste. Jestem właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, mogę dużo dobrego zdziałać dla obywateli Luizjany, także czarnych, jeśli pozwolą mi działać.

Mam do wyboru dwa warianty: albo kontynuować tę działalność i dalej dbać o dobro wyborców, miasta i naszego stanu, albo jednym błyskotliwym wprawdzie, ale nierozważnym postępkim wszystko zaprzepaścić.

Którą opcję, twoim zdaniem, powinienem wybrać?

Mam poświęcić się w imię sprawy, która ani nie jest bliska memu sercu, ani niczego pozytywnego nie przyniesie miastu i stanowi?

Dawn nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Zgadzam się, że ten wiec to może nie najlepszy pomysł – ciągnął tymczasem Ferris z kamiennym spokojem. – Może przysporzyć nam niepotrzeb-

nych kłopotów. Próbowałem to uświadomić członkom Rady, ale mnie zakrzyzczyli. Jeśli więc odmówię teraz udziału w tym wiecu, stracę ich na zawsze, tracąc zarazem szansę zaapelowania im do rozsądku. Jeśli natomiast wezmę w nim udział, postaram się dopilnować, by nie doszło do prowokacji. Co byś zrobiła na moim miejscu?

Miała zamęt w głowie. Z Hugh i Benem wszystko wydawało się oczywiste i jednoznaczne.

– Mimo wszystko ten wiec to błąd – powiedziała. – To wiem na pewno.

– Dlaczego? Ludzie będą mieli okazję wyrzucić z siebie, co im leży na wątrobie, odreagować. Temu też służy nasza rozmowa, prawda? – Obdarzył ją łaskawym uśmiechem. – Nie musisz się ze mną zgadzać, córeczko, ale chciałbym, żebyś zrozumiała przynajmniej motywy mojego postępowania.

Dawn rozumiała, choć jednocześnie nie mogła się oprzeć niejasnemu wrażeniu, że daje tym samym przyzwolenie na zdradę wobec stryja i wobec tego, o co walczył.

14. listopada do dwóch szkół na Dziewiątym Nabrzeżu przyjęto tylko czworo czarnych dzieci. Niemal wszyscy biali rodzice w popłochu zabrali stamtąd swoje pociechy.

15. listopada podczas wiecu, na który Cappy – zgodnie z obietnicą – nie poszła, fanatyczni podżegacze rozpalili pięćotysięczny tłum do szaleństwa. Dawn słuchała fragmentów transmisji radiowej, wiedziała więc, że Ferris Lee Gerritsen wypadł na tle innych zaślepionych nienawiścią mówców dość umiarkowanie. Jednak sama myśl, że jej ojciec bierze udział w tym zbiorowym szaleństwie, przyprawiała ją o mdłości.

16. listopada rozjuszony biały tłum pomaszzerował na siedzibę okręgowej rady szkolnej, zaczepiając każdego napotkanego po drodze Murzyna. Kilkanaście osób zostało rannych.

Następnego dnia w mieście znowu wybuchły zamieszki.

Dawn z przerażeniem oglądała w telewizyjnych wiadomościach wykrzywione nienawiścią twarze tych, którzy idące do szkoły niewinne dzieci obrzucali stekiem plugawych epitetów.

Wiedziona nieodpartym impulsem, nie pytając o pozwolenie, zabrała samochód matki i pojechała do Bonne Chance. Plebania kościoła pod wezwaniem Najświętszej Panny Pocieszycielki mieściła się w niewielkiej wiejskiej chałupie obrośniętej gąszczem niestrzyżonych krzaków, z krzywym gankiem i spróchniałym gontem z drewna cypryśnika. Najwyraźniej parafianie nie zadali sobie trudu, by swojemu pasterzowi stworzyć komfortowe warunki pracy.

Dawn nie zastanawiała się wcześniej nad celem tej podróży, teraz więc poczuła się kompletnie zagubiona i bezradna. Zapukała do drzwi, lecz nikt nie odpowiadał.

Zastukała mocniej. Trzeba było najpierw zatelefonować, pomyślała, kiedy opadły emocje i wrócił rozsądek, po raz pierwszy od wyjazdu z miasta.

Usiadła na stopniach i oparła głowę na łokciach. Gdy usłyszała jednak otwierane za plecami drzwi, odwróciła głowę. W progu stał Ben. Jego twarz była posiniaczona i opuchnięta.

Przeraził ją jego widok.

– Och, Ben... – wybąkała tylko, bowiem nie była w stanie powiedzieć nic więcej.

– No i masz te swoje przesady, w typowo kreolskim stylu.

– Co się stało? – Ruszyła w jego stronę z wyciągniętą ręką. – Byłeś w jednej z tych szkół? – Delikatnie dotknęła poranionego policzka, zanim zdała sobie sprawę, jak intymne znaczenie ma taki gest. – Tak mi przykro.

– Starłem się z facetem, który chciał opluć jedną z małych Murzynek.

– To straszne. – Opuściła dłoń, lecz nie ruszyła się z miejsca.

– Hugh poszedł do Narrowsów. Omawiają sytuację.

– Nie zrezygnował, prawda?

– Nie. Sercem i duszą poświęcił się sprawie.

– Białym parafianom się to nie podoba?

– Nie.

Ben nie spuszczał z niej wzroku. Miała wrażenie, że cieszy się, że ją widzi, i że chciałby ją zatrzymać.

– Przyjechałam z nim porozmawiać, ale nie będę mu w takim razie zawracać głowy.

– Nie wróci prędko. Spotkanie pewnie przeciągnie się do nocy. Zebrali się w parę osób i rozmyślają nad rozpoczęciem kampanii propagującej masowe rejestrowanie się na listach wyborczych. Pewnie nic z tego nie wyjdzie, bo prawo w tym stanie na to nie zezwala. Cholera, w życiu nie widziałem tak odważnych ludzi. Ale wątpię, czy cokolwiek wskórają. Przyjdzie nam jeszcze długo poczekać na zmiany.

– Powiedz, Ben – popatrzyła na niego poważnie – boisz się czasem? Czy dzisiaj, kiedy stanąłeś w obronie tej dziewczynki, miałeś stracha?

Zawahał się przez moment, lecz zaraz odparł:

– Pewnie.

– Więc po co tu wróciłeś?

– Do cholery, to jest moje miasto i mój stan! Przez całe dzieciństwo zajmowały się mną Murzynki, bo mama pracowała. Za marne grosze gotowały mi, prały i pocieszały, kiedy stłukłem kolano. A ja im nigdy nie poświęciłem nawet jednej myśli. Jestem im chyba coś winien, no nie?

Usiadł na najwyższym stopniu i oparł się o kolumnkę.

Dawn poszła w jego ślady i spoczęła na schodku po drugiej stronie ganku. Wilgotne powietrze przesycił specyficzny, słodki aromat, ów niepodobny do żadnego innego zapach południowej Luizjany.

– To Oberlin mnie zmienił – wyznał Ben po chwili milczenia. – Poznałem nowych ludzi, spojrzałem na wszystko z innej perspektywy. Mama napisała mi o katolickim księdzu, który przyjechał tutaj i włożył kij w mrowisko. Postanowiłem zobaczyć, czy na coś mu się nie przydam.

– A jak ona to przyjęła?

– Nie żyje. Umarła latem. Poszła do nieba w błogiej nieświadomości. Może to i lepiej. – Wzruszył ramionami.

– Chcę walczyć razem z tobą.

– Ty? Zbyt wiele masz do stracenia. Jesteś młoda, potrzebujesz wsparcia rodziców. Za wcześnie na takie wybory.

– Jeśli rzucą nam wyzwanie i dojdzie do próby sił, a my będziemy na to przygotowani, to moim zdaniem mamy szansę wygrać – powiedziała z zapałem, zupełnie ignorując jego ostrzeżenia. – Mam nawet pewien plan – dodała, bowiem zaświtał jej nagle w głowie plan śmiałej i spektakularnej akcji.

– Mówiłaś, że ile masz lat? – Ben przygarbił się nieco i oparł ręce na kolanach. Ich stopy zetknęły się czubkami butów.

Dawn wyrosła już ze szczenięcego wieku, kiedy męski dotyk wprawiał ją w stan nieprzytomnego dygotu.

Tym razem jednak bliskość Bena – mimowolna, choć nie bezpośrednia pieśczoła stóp – przeniknęła jej osiemnastoletnie ciało urzekającym, rozkosznym dreszczykiem podniecenia. Lecz nade wszystko napawała się niewiarygodnym wprost faktem, że Ben – mimo różnicy wieku i doświadczeń – rozmawia z nią jak z równą sobie. Ta okoliczność budziła w niej o wiele silniejsze emocje niż kuszący widok szerokich ramion i wąskich bioder.

– Powinnam już być w college’u, ale straciłam rok – odparła z wstydliwym uśmiechem. – Poszłam do szkoły rok później. Byłam chorobliwie nieśmiała i babcia obawiała się, że zaszyję się gdzieś w kącie i będę płakać.

– Chyba masz to już za sobą.

– O, nie, to tylko pozory. Dalej się wszystkiego boję. Ale nie mogę pozwolić, żeby kierował mną strach.

– Chciałbym cię spotkać, kiedy będziesz zupełnie dorosła – oznajmił Ben, a kąciki jego oczu zabawnie się zmarszczyły.

Dawn naprędce szukała w myśli jakiejś błyskotliwej odpowiedzi, lecz pod bezceremonialnie natarczywym spojrzeniem Bena jej twarde postanowienie, by za wszelką ceną nie pozwolić mu na ostanie słowo, topniało niczym masło.

– Już późno. – Spojrzała na zegarek. – Muszę wracać.

– Przykro mi, że nie zastałaś stryja.

– Nie szkodzi. Chyba wiem, co mam zrobić.

– Bądź ostrożna. Może być niebezpiecznie. Zastanów się dwa razy, zanim coś postanowisz. I uważaj na siebie.

Pragnienie uprzedziło rozagę. Stał zaledwie pół metra od niej i wyraźnie czuła ciepło bijące od jego ciała. Wspięła się na palce i ucałowała jego posiniaczony policzek.

– Dzięki za radę. Będę ostrożna.

Odwróciła się, żeby odejść, lecz Ben przytrzymał jej ramię i wprawnym ruchem obrócił ją ku sobie.

– Wcale nie jestem pewien, czy zdajesz sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

– Czyżbyś ty był taki niebezpieczny? Co powinnam w takiej sytuacji zrobić? Zastanowić się dwa razy?

– Teraz już za późno – powiedział i przyciągnął ją do siebie. Dawn nie stawiała oporu. Wsunął pieszczotliwie palce między włosy na jej karku i szepnął do ucha:

– Wytlumaczę ci, na czym polega to niebezpieczeństwo.

Jesteś na tyle duża, żeby zdawać sobie sprawę z własnej atrakcyjności, ale zbyt młoda, żeby przewidzieć konsekwencje.

– Oszczędź mi, proszę, tych bajeczek o ptaszkach i motylkach. Nianie zaudzały mnie takimi opowiastkami przez całe lata.

– Masz cięty język.

– Ale słodkie usta. Chcesz się przekonać? – zapytała, zdumiona własną śmiałością. Jeszcze nigdy nie zdobyła się na tak uwodzicielską zalotność.

Roześmiał się cicho, zniewalająco, a potem przyciągnął ją do siebie, ogarnął ramionami i przytulił. Dawn przymknęła powieki, czując, jak jej pobudzone ciało wypełnia gwałtowna, odurzająca słodycz. Ciepłe, miękkie wargi musnęły jej usta delikatnie i zwodniczo i po chwili ich usta zatraciły się w żarliwym pocałunku. Ben rozchylił językiem jej wargi, a ona poddała się jak urzeczona tej pożądliwej, nieokiełznanej pieszczocie.

Nagle odsunął ją od siebie.

– Nie powinno było do tego dojść – stwierdził tonem, w którym nie było już śladu dawnej bez troski.

Dawn była zbyt oszołomiona, by się nad tym zastanawiać, więc odwróciła się bez słowa i ruszyła w stronę samochodu. Kiedy odjeżdżała, szczupła sylwetka Bena wciąż tkwiła nieruchomo na ganku.

Do domu dotarła bez przygód i natychmiast udała się do swojej sypialni. Nie mogła zasnąć. Wierciła się i kręciła niespokojnie z boku na bok, rozpałmięta wydarzeniami dnia. Pocałunek podzielał niczym chemiczny katalizator. Jednym zuchwałym susem z niewinnego świata dziecinnych marzeń przeskoczyła w dorosłość.

Dorosłość zobowiązuje zaś do działania, pomyślała, a mglisty pomysł, który zakiełkował w jej głowie, kiedy rozmawiała z Benem przed domem stryja, przybrał teraz konkretny kształt i wymiar. Do rana uporowała się z wątpliwościami.

Wstała o wiele wcześniej, niż to miała w zwyczaju i włożyła szkolny mundur. Cichutko, żeby nie obudzić domowników, zeszła do salonu i wykonała kilka telefonów. Nim służąca zaczęła nakrywać do śniadania, Dawn była już w drodze.

W lekkiej kurtce trzęsła się z zimna, a pewnie też i ze strachu. Szła jednak zdecydowanym krokiem, a stada gołębi ze swarliwym gruchaniem podfruwały z krawężników, ustępując jej z drogi. Mijały ją autobusy wiozące czarne służące do białych domów, by tam cały dzień sprzątały, gotowały i opiekowały się dziećmi tych, którzy dzieciom służących odmawiali prawa do uczenia się z ich dziećmi w tej samej szkole.

Po dwudziestu minutach marszu była już bliska celu.

Znała tę część miasta jedynie zza szyb samochodu, więc spłoszyła się, gdy spostrzegła, że wytworknym mundurkiem i białą skórą nieuchronnie zwraca uwagę przechodniów.

Mijający ją ludzie, przeważnie czarnoskórzy, przyglądali się jej z pełnym podejrzliwością niedowierzaniem, spodziewając się zapewne, że tak bezprzekładna zuchwałość białej dziewczyny ściągnie na nich kłopoty. Dawn modliła się, żeby tak się nie stało. Kiedy wtopiła się w falę uczniów zmierzających w kierunku jednego z niewielu miejskich gimnazjów dla Murzynów na Jackson Avenue, poczuła zmęczenie i rosnące napięcie. Powitały ją nieprzyjazne twarze.

Była tu obca, biała, nie pasowała do otoczenia. Wyprawy ze stryjem nauczyły ją jednak pokory. Szykowała się na odebranie kolejnej lekcji.

Poranne telefony odniosły zamierzony skutek. Przed wejściem do szkoły zaparkował wóz jednej z lokalnych stacji telewizyjnych, a grupka białych dziennikarzy obległa schody prowadzące do budynku. Milczący chłód, który otaczał Dawn, stopniowo przemieniał się w głuchy pomruk wrogości. Uczniowie popychali ją niby przypadkowo, wymieniając między sobą obraźliwe komentarze. Nie straciła jednak panowania i z determinacją podążała do wyznaczonego celu.

Weszła po schodach, minęła drzwi i dała się unieść zgiełkowej fali uczniów. Widziała kątem oka, jak dziennikarze podążają za nią. Jakaś dziewczyna potrafiła ją niechcący, odwróciła się, żeby przeprosić, i stanęła jak wryta.

- Co ty tutaj robisz?
- Chcę się zapisać do waszej szkoły.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Odbiło ci?

Rzeczywistość poraziła nagle Dawn z całą ostrością.

– Wcale mi nie odbiło. Chcę chodzić do szkoły razem z wami.

– Naprawdę chcesz się zapisać do tej szkoły?

– Spróbuję.

Fala porwała dziewczynę, nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, a Dawn zaczęła przeciskać się pospiesznie do sekretariatu w końcu korytarza. Chciała dotrzeć tam, nim dopadną ją złąknieni sensacji reporterzy. Nie przysłała tu w końcu po to, żeby udzielać wywiadów.

A przynajmniej nie od tego zamierzała zacząć.

Sekretariat mieścił się w obszernym, lecz słabo oświetlonym i od dawna nieodnawianym pokoju. Przy kontuarze klębiła się hałaśliwa gromadka uczniów, obsługiwana przez dwie zapracowane kobiety. Na jej widok gwar momentalnie ucichł, a uczniowie, poszturchując się łokciami, rozstąpili się, robiąc jej przejście.

– Mogę poczekać w kolejce – oznajmiła Dawn.

– Czego chcesz? – zapytała kobieta za kontuarem obojętnym tonem, z ledwie uchwytną nutką rezygnacji.

– Chciałabym się zapisać do tej szkoły. Mieszkam niedaleko.

– Dlaczego akurat do tej?

– Wydaje mi się równie dobra, jak inne.

– Chyba wiesz, że to niemożliwe.

– Dlaczego? Moi rodzice płacą regularnie podatki.

– Nie w tym rzecz.

– Jestem dobrą uczennicą. Nie sprawiam kłopotów wychowawczych.

Kobieta obrzuciła Dawn powątpiewającym spojrzeniem.

– Naprawdę nie wiesz, o co chodzi?

– Moim ojcem jest senator Ferris Gerritsen – brnęła dalej Dawn. – Na pewno wystawi mi dobre świadectwo.

Mój stryjek, ksiądz Hugh Gerritsen, też może to poświadczyć, tyle że jest teraz bardzo zajęty, bo pilnuje, żeby integracja w szkole na Dziewiątym Nabrzeżu przebiegała bez zakłóceń.

W sekretariacie zrobiło się cicho jak makiem zasiał, natomiast wyraz twarzy kobiety za kontuarem nagle złagodniał.

– Zaczekaj tutaj. Pójdę po dyrektora.

– Dziękuję. – Dawn spojrzała do tyłu i natychmiast odwróciła się, oslepiona błyskami fleszów. Po dwóch minutach do pokoju wszedł mężczyzna w starszym wieku. Miał minę nieszczęśnika, który popadł w nie lada opał.

– Co cię tu sprowadza? – zapytał.

– Proszę zrobić mi tę uprzejmość i wciągnąć mnie na listę uczniów tej szkoły.

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Nie mogę tego zrobić. – Ponad jej ramieniem zerknął na stadko dziennikarzy. – Nie dlatego, że nie chcę. Ale to wbrew przepisom. Muszę ich przestrzegać, czy mi się to podoba, czy nie. Gdyby to zależało ode mnie, każde dziecko mogłoby chodzić do tej szkoły, którą by sobie wybrało.

– Gdyby to zależało ode mnie, wybrałabym tę szkołę – odparła Dawn. Przez jakiś czas formułowała jeszcze w myślach dodatkowe argumenty, lecz w końcu zrezygnowała z dalszych negocjacji i tylko wyciągnęła do dyrektora rękę.

Mężczyzna uściśnął jej wyciągniętą dłoń. Przyjrzał się jej badawczo, a w oczach zamigotały mu wesołe iskierki.

– Być może twoje dzieci doczekają pomyślniejszych czasów, panienko.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby miały taką możliwość – oznajmiła, tym razem nie odwracając uśmiechniętej twarzy od rozbłyskujących światel fleszów.

Następnego dnia poranne gazety zamieściły na pierwszych stronach zdjęcie białej dziewczyny wymieniającej serdeczny uścisk dłoni z czarnym dyrektorem gimnazjum dla Murzynów.

Tydzień później notatka zamieszczona drobnym

drukiem na ostatnich stronach tych samych gazet informowała, że Dawn Gerritsen, uczennica maturalnej klasy katolickiej szkoły, która ostatnio próbowała zapisać się do gimnazjum dla czarnych, uczęszcza obecnie do prywatnej szkoły z internatem w Wirginii. Ojciec Dawn, senator Ferris Lee Gerritsen, zapytany o szczegóły oświadczył, że rodzina uznała konieczność zapewnienia tegorocznej maturzystce odpowiednich warunków do nauki, z dala od pożałowania godnych konfliktów, jakie trapią Nowy Orlean.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Dawn przewidywała, że młodzieńczy wybryk nie ujdzie jej płazem. Nie spodziewała się jednak tak surowej kary, jak zesłanie do Wirginii. Zamiast ostrej reprimendy czy wymówek, od ojca usłyszała jedynie wydane lodowatym tonem polecenie, by natychmiast pakować swoje rzeczy. Cappy wyszukała „krnąbrnej córce” szkołę z internatem na Północy, podobno najodpowiedniejszą dla takich niepoprawnych buntowniczek, jak jej córka.

Mimo konserwatywnej atmosfery szkoły, Dawn znalazła wśród koleżanek bratnie dusze. Pod koniec roku szkolnego zapomniała o swojej niedoli przy musowego zesłańca. Wyjeżdżała na wakacje z tuzinem adresów i paczką prezerwatyw w kieszeni, postanowiły bowiem ze swoją współlokatorką, że maturę uczczą utratą dziewictwa.

Nie odwiedziła domu na Boże Narodzenie ani podczas wiosennych ferii. Sporadyczne wizyty rodziców wypadały sztywno i oficjalnie. Ferris kategorycznie odmawiał jakiegokolwiek dyskusji na temat jej karygodnego postępu, Cappy zaś usiłowała wypełnić krępującą ciszę pytaniami, w których nieodmiennie kryła się zawołowana dezaprobata dla nowych przyjaciółek córki.

Aurore tylko raz odwiedziła wnuczkę. Daleka podróż wyczerpała ją jednak, obiecała więc Dawn, że więcej nie będzie się narażać na podobne trudy. Stryj Hugh pisał do niej regularnie, a Dawn po lekturze jego listów rozpierała dumą. Lecz prawdziwą podniętą było oczekiwanie na wiadomość od Bena.

W pierwszym liście przysłał jej kartkę wyrwaną z komiksu. Przy rysunkach postaci nakleił nowe dymki, w które wstawił własne dialogi. Dawn uosabiała superbohaterkę, która bez trwogi w sercu walczy z ignorancją, ciemnotą i przesądami, Ben natomiast wcielił się w postać podszytego tchórzem sługusa, który – biorąc przykład z nieulekłej wojowniczkii i natchniony bojowym duchem – uczył się od niej, jak przezwycięzać nikczemne tchórzostwo. Tak skomponowany kolaż Ben zatytułował jednym wymownym słowem: „Miłość”.

Nocami, kiedy współlokatorka spała, Dawn oddawała się rozkosznym wspomnieniom jedyne go pocałunku, jakiego dane jej było zakosztować. Każdy list od Bena poddawała drobiazgowej analizie – nauczyła się ich w końcu na pamięć – starając się wyłowić ukryte między wierszami aluzje, na podstawie których mogłaby wysnuć wnioski, że jest dla niego kimś więcej niż tylko godnym pożałowania biedactwem. Za namową przyjaciółek zaprosiła Bena na uroczystość rozdania matur, jednak nie przyjechał, wytłumaczywszy wcześniej, że żałuje, ale dokładnie tego samego dnia ma się odbyć rozdanie dyplomów w Oberlin College.

Ta odmowa ostudziła nieco jej zapalę. Trudno, to nie koniec świata, pomyślała. Ich drogi ewidentnie się rozchodzą, ale przecież jeszcze całe życie przed nimi.

On będzie starał się o posadę na Północy, w bostońskiej gazecie „Globe”. Ona została przyjęta w poczet studentów kalifornijskiego Uniwersytetu Berkeley. I tak trudno by było się im spotykać.

Wysłała Benowi gratulacje z okazji dyplomu i wiadomość o swoich planach na przyszłość, po czym spakowała rzeczy i wyruszyła na krótkie wakacje na Grand Isle.

Ferris był zbyt zajęty interesami w Baton Rouge, by spotkać się z córką, więc na lotnisko w Nowym Orleanie wyszła po nią Cappy. Nie wstąpiły do domu nawet na chwilę – z lotniska pojechały prosto na południe, do letniej chaty Aurore na wyspie.

I w drodze, i później zachowywały się wobec siebie z udawaną, sztuczną uprzejmością. Cieniutka nitka zrozumienia, jaka je przedtem łączyła, została, jak się zdawało, zerwana na dobre. Pewnego wieczoru, gdy odpoczywały na werandzie, a kłopotliwą, wymuszoną ciszę mąciły jedynie głośne pląśnięcia dłoni odganiające dokuczliwe moskity, Cappy niespodziewanie zdobyła się na szczerłość.

– Tyle miałam wobec ciebie planów – westchnęła.

– Wojna pozbawiła mnie szansy na karnawałowe atrakcje i honory, pragnęłam więc, żeby przynajmniej tobie przypadły one w udziale. Chciałam służyć ci radą, pomagać w doborze stroju czy biżuterii, a potem razem z tobą celebrować koronację na królową.

– Istnieją ważniejsze sprawy niż paradowanie w koronie i wymachiwanie berłem.

Cappy zapaliła papierosa i zapatrzyła się w poskręcane konary błotnych dębów.

– Moim zdaniem zaprzepaciłaś swoje szanse.

Dawn przeniknęło ostre ukłucie żalu. Tylko na pozór odnosiła się z pogardą do karnawałowej tradycji, nieodłącznie wpisanej w społeczną strukturę miasta. Na dnie serca kryło się wyssane z krwią matki pragnienie dostąpienia zaszczytu, o jakim marzyły wszystkie nowoorleańskie panny.

– Może masz rację, mam – wyznała. – W każdym razie na pewno nie chciałam cię urazić ani zranić.

– Chyba wiedziałas, jakie będą konsekwencje.

– Oczywiście. Spodziewałam się, że nie ujdzie mi to na sucho. Nie miałam jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

– A gdybyś miała czas, postąpiłabyś inaczej?

– Chyba nie.

– Ale nie jesteś pewna w stu procentach?

– Nie jestem pewna, czy mój postępek na cokolwiek się przydał i cokolwiek zmienił.

– Twój postępek sprawił, że wszyscy biali rodzice na Południu wpadli w popłoch. Oglądając twoje zdjęcia w gazetach, umierali z trwogi, że ta cała integracyjna propaganda mogłaby otumanić także ich dzieci i mógłby im strzelić do głowy równie niedorzeczny pomysł.

– Mamo, daj spokój. Jakbym dała otumanić się propagandzie, to bym teraz paliła krzyże przed domami Murzynów.

Cappy roześmiała się dziecinnym, perlistym śmiechem, jakiego Dawn nie znała.

– Stęskniłam się za tobą, kochanie. Szkoda, że popełniłaś takie głupstwo i nie możesz zostać z nami w domu. Brakuje mi ciebie.

Dawn nie wiedziała, co powiedzieć.

Rozmowy z Aurore były mniej kłepujące. Rozmawiała z babcią o Grand Isle, o wspólnie spędzanych tu kiedyś wakacjach. Spacerowały po plaży, trzymając się za ręce, zatrzymywały się przy szczątkach muszli oraz drewnianych szczapach wyrzuconych na brzeg. Aurore wspominała dzieciństwo Ferrisa i Hugh. Czuli się nie najgorzej, czasami jedynie brakowało jej tchu, a jej poobiednie drzemki przeciągały się niekiedy do wieczora.

Korporacja Gulf Coast nadal znakomicie prosperowała, lecz Aurore przekazała już niemal wszystkie obowiązki w ręce zarządu i rzadko pojawiała się w biurze.

Po raz pierwszy w swoim życiu Dawn uświadomiła sobie, że babcia jest istotą śmiertelną.

W czasie pierwszego roku na studiach w Berkeley odpędzała od siebie złe myśli. Zresztą nowe środowisko oraz atmosfera całkowitej swobody i tolerancji pochłonęły ją bez reszty. Tu, w Kalifornii, czuło się ożywczy podmuch wolności, równie silny, jak niesiony wiatrem zapach eukaliptusów porastających wzgórza w Berkeley. Konglomerat różnych ras, kultur i ścierających się poglądów zrobił na Dawn piorunujące wrażenie.

Nikogo nie oburzały jej zapatrywania, śmiało wdawała się w zażarte dyskusje na temat konfliktu kubańskiego czy odległego zakątka na mapie zwanego Wietnamem. Chłopaków zmieniała jak rękawiczki. Oddała się trzeciemu z nich, przygodnemu Teksaszczykowi o szerokim, zaraźliwym uśmiechu.

Iskierka zaciekawienia fotografią, rozżarzona po kilku minutach spędzonych z leicą stryja, rozpalila się teraz żywym płomieniem nowej pasji. W pierwszym semestrze Dawn wybrała seminarium ze sztuk pięknych i z zapalem studiowała prace słynnych fotografików.

W drugim semestrze, po feriach zimowych spędzonych w Arizonie z koleżanką z akademika, zapisała się na wszystkie możliwe zajęcia z fotografii.

Na pierwsze studenckie wakacje pojechała z grupą przyjaciół do Meksyku. Z zapamiętaniem fotografowała niezwykle krajobrazy i scenki swoim nowym pentaksem, który dostała od babci pod choinkę, a pod koniec sierpnia odwołała wizytę na Grand Isle, by zaszyć się na dwa tygodnie w swoim niewielkim mieszkanku i w łazience przekształconej na ciemnię wywołać czterdzieści siedem wypstrykanych filmów.

Pod koniec drugiego roku studiów fotografia całkowicie usunęła w cień seks, politykę i nocne atrakcje studenckiego życia. Plejada cierpliwych ochotników pozowała jej do zdjęć, kiedy wytrwale zgłębiała tajniki sztuki portretowania. Eksperymentowała z kolejnymi obiektami, oświetleniem i statywami. Przerzuciła się na szpanerskiego hasselblata, potem pożyczyła od jednego z profesorów profesjonalny aparat reporterski, przygotowując się do współpracy z pewnym tygodnikiem.

Nim upłynęło lato, Dawn wiedziała już, czym chce zajmować się w życiu.

Ani razu przez ten czas nie zajrzała do Nowego Orleanu. Rodzice odwiedzili ją w Kalifornii podczas pierwszych ferii na Boże Narodzenie, a rok później wybrali się razem z nią na narty do Kolorado. Poza tym nie miała z nimi kontaktu, choć często dzwoniła do Aurore i regularnie korespondowała ze stryjem. Do Luizjany wracać nie chciała i nikt nie kwestionował tej decyzji.

Po trzech latach poczuła się wreszcie gotowa na spotkanie z rodzinnymi stronami. W czerwcu poleciała do Luizjany i gdy tylko owionęło ją przesycone solą, wilgotne powietrze, wspomnienia odżyły w jej pamięci.

W drodze do domu przyglądała się nowym okiem pomalowanym na pastelowe kolory domom, powodzi letnich kwiatów, palmom, bananowcom i rozsiewającym słodki zapach krzewom mimozy. Podziękowała szoferowi, serdecznie przywitała się ze służącą, a potem długo błąkała się po pokojach, wodząc palcami po gładkich blatach komód i wyściełanych powierzchniach kanap.

– Jak ty wyrosłaś! – usłyszała w pewnym momencie znajomy głos i odwróciła się zaskoczona. Nie spodziewała się zastać ojca w domu. Matka uprzedzała, że spotkają się dopiero przy kolacji.

– Witaj, tato – uśmiechnęła się, nie wiedziała jednak, co więcej mogłaby powiedzieć. Od czasu niefortunnego pomysłu z zapisaniem się do szkoły w czarnej dzielnicy ani razu nie była z ojcem sam na sam.

– Co prawda mam umówione spotkanie, ale zadzwonię i powiem, że muszę obejść się dziś beze mnie, bo przyjechała moja kochana córeczka.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo za nim tęskniła. Jego gniew wydrążył w jej sercu pustkę, której ani przyjaciele, ani kochankowie nie potrafili wypełnić.

– Świetnie wyglądasz – znów się uśmiechnęła, choć prawdę mówiąc, zbierało się jej na płacz. – Polityk w każdym calu.

Wyciągnął ramiona, w których momentalnie zatoneła.

– Tęskniłem za tobą, wiesz? – wyznał, głaszcząc ją po włosach. – Setki razy miałem ochotę wziąć słuchawkę i zadzwonić do ciebie, ale za każdym razem się strofowałem. Stary głupiec, a zbiera mu się na sentymenty.

– Nie jesteś stary – zaśmiała się przez łzy, które nie chciały dłużej czekać.

– Zostaniesz, Dawn? Zostaniesz na całe lato? – pytał, tuląc ją w ramionach.

Nie miała sprecyzowanych planów, lecz w tym momencie podjęła decyzję.

– Zostanę – powiedziała.

Później z radością przyjęła zaproszenie na lunch do hotelu „Roosevelt” – miejsca, gdzie bywali ci, którzy wcześniej potępiali jej lekkomyślny postępek – a jeszcze później, przed wieczorem, dotarła na Prytania Street.

Aurore zaniechała tego lata podróży na Grand Isle, bowiem nawet krótkie wyprawy męczyły ją bardzo, a niemiłosierny upał przyprawiał o zadyszkę. Ferris zmusił ją wprawdzie do zainstalowania klimatyzacji, lecz rzadko ją włączała. Całymi dniami przesiadywała za to nad stawem w kącie ogrodu, wsłuchana w odgłosy Garden District i zapatrzona w złote rybki, leniwie płąsające między liliami.

Tam ją znalazła Dawn. Przykucnęła, ściskając dłonie babci i rozpląkała się na jej widok. Tylu leż co tego dnia nie wylała w ciągu trzech lat rozłąki.

– Nie płacz, maleńka – pocieszała ją Aurore, otulając dłonie wnuczki swoimi. – Nie trzeba płakać.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam – łkała Dawn, wtulając głowę w babciny podódek. – Za tym domem, za ogrodem, za wszystkim... Nawet nie wiedziałam, jak bardzo.

– Ja też za tobą tęskniłam. Ale teraz jesteś w domu. Na długo przyjechałaś?

– Na całe, całutkie lato – zapewniła Dawn.

– To dobrze. Opowiesz mi wszystko. – Aurore pogładziła włosy wnuczki takim samym ruchem jak Ferris. – No, może nie wszystko – zaśmiała się lekko, cichym, powściągliwym śmiechem starej kobiety.

– Oprócz tego, co nie jest przeznaczone dla babcinych uszu.

W ciągu następnych tygodni Dawn zrobiła Aurore ponad setkę zdjęć w ogrodzie. Grandmère z żywym zainteresowaniem słuchała opowieści o Kalifornii i o Meksyku, szczęśliwa, jak twierdziła, że może oglądać świat oczami wnuczki. Wnuczka natomiast obiecała spenetrować dalekie zakątki miasta i utrwalić je na kliszy, by babcia mogła się przekonać, co się zmieniło w Nowym Orleanie.

Próby sportretowania rodziców zakończyły się fiaskiem.

Cappy ani razu nie odsłoniła się, pozostała nieuchwytna i sztuczna, a Ferris, przywykły do oficjalnego pozowania, wypadał nienaturalnie i przybierał zawsze te same zmanierowane pozy.

Tak jak nie udało się ich sportretować, tak też fiaskiem zakończyła się próba nawiązania z nimi bliższego kontaktu – rozmowy zamieniały się albo w banalną wymianę zdań, albo w niepotrzebną sprzeczkę.

Cappy krytycznie przyjęła nowy wizerunek córki – osoby nowoczesnej i niezależnej. Ferris niby okazywał sympatię, lecz zachowywał dystans, choć niepoprawny wybryk Dawn dawno przestał być tematem salonowych plotek, a jego wspomnienie zbywano pobłażliwym uśmiechem. Co więcej, Dawn ze zdziwieniem stwierdziła, że bez oporów przyjęto ją z powrotem do towarzystwa.

Cóż, mimo godnych potępienia, młodzieńczych wyskoków należała przecież do grupy wybrańców, a tym darowano zazwyczaj gorszące przewinienia.

Poza tym integracja w szkołach stała się faktem i elita Nowego Orleanu starała się wymazać z pamięci niechlubną rolę, jaką w tym procesie odegrała.

Stryj Hugh bawił za granicą, lecz zaraz po powrocie zaprosił bratanicę do Bonne Chance. Cappy zgodziła się na tę wycieczkę, acz niechętnie.

– Sprawy przybrały tam niekorzystny obrót – ostrzegała, jak zwykle używając eufemizmów.

– Jakie sprawy? – spytała Dawn.

– Wplątali się w niezłą kabałę.

– Kto i w jaką kabałę?

– Hugh ci o tym nie pisał? – Cappy poprawiła nerwowo koronkową narzutę na łóżku. – Jakiś czas temu archidiecezja ogłosiła odstąpienie od segregacji w szkołach parafialnych. Parafia Plaquemines przyjęła tę wiadomość z wrogością.

– Stryjowi nic się nie stało?

– Nie, ale mogło się stać. Pomagał w organizowaniu wspólnych klas w szkole w Buras. Doszło do rozruchów. Ktoś oblał szkołę benzyną i puścił budynek z dymem. Okna wyleciały z futryn, a ogień uszkodził ściany i dach. Szkołę zamknięto do odwołania.

– Nikt nie został ranny?

– Chyba spaliło się kilka sąsiednich domów. Leander Perez nie krył zadowolonia, za co arcybiskup Rummel obłożył go klątwą.

– Stryjek nie pisał mi o tym ani słowa. Nie chciał mnie pewnie martwić.

– Mówię ci więc, że Plaquemines wygląda jak warowny obóz. Błokady drogowe nie należą do rzadkości, a uzbrojeni biali mężczyźni sprawdzają wszystkich pasażerów schodzących z promu. Zabroniono wieców i publicznych zgromadzeń.

– Hej, myślałam, że żyję w Ameryce, wolnym kraju!

– W Plaquemines obowiązują inne prawa.

– A co się dzieje w Bonne Chance?

– Nie wiem, Hugh nie wtajemnicza mnie w swoje sprawy.

– A co na to wszystko tata?

– Nie komentuje tego, jeśli nie musi. – Cappy przykryła ręką dłoń córki. Miał to być z pewnością uspokajający gest, lecz Dawn odebrała go inaczej, jakby matka chciała zamknąć ją w pułapce. – Leander przeszedł na emeryturę, przynajmniej oficjalnie, a władzę przejęli jego synowie. Lecz prawdziwym następcą tronu jest Largo. Kiedy Leander umrze, na dobre rozpęta się walka o władzę. Ojciec twierdzi, że Largo to bardzo wpływowy człowiek i że niezależnie od tego, o jaki urząd Ferris będzie się ubiegał w przyszłości, nie obędzie się bez współpracy z Largo.

Dawn prawidłowo odczytała ukrytą w tych słowach intencję: miała trzymać się z dala od polityki.

– Przyjechałam odpocząć i cieszyć się słońcem, mamó. Ale nie oczekuj ode mnie, że będę przymykała oczy na to, co się dzieje. Nie wierzę, że naprawdę tego chcesz.

– Wiedziałam – westchnęła Cappy. – Dlaczego oboje z Hugh usiłujecie mi mówić, że jestem zwolenniczką równouprawnienia i integracji?

– Bo podejrzewamy, że w tej kwestii masz inne zdanie niż ojciec.

– Ty chyba w to nie wierzysz.

Dawn powstrzymała się z odpowiedzią.

Bonne Chance nie zmieniło się ani trochę. Gdyby nie ostrzeżenie matki, nie zauważyłaby jakichkolwiek zmian. Nie natrafiła ani na drogową blokadę, ani na uzbrojone patrole sprawdzające dowody rejestracyjne samochodów.

Zarośnięta chwastami i wysoką trawą plebania przedstawiała teraz opłakany widok. Deski spróchniały, ganek przekrzywił się niczym przygarbiony starzec, a dach coraz żałośniej pleśniał i kruszał. Podobnie opłakany widok przedstawiał sobą ceglany kościół po drugiej stronie podwórza.

Samochodu stryja nie było. Czyżby otrzymał jakieś nagłe wezwanie? Dawn zapukała, szykując się na długie czekanie, i właśnie miała spocząć na rozlatującej się ławeczce pod błotnym dębem, kiedy drzwi otworzyły się nagle. Obróciła się, gotowa paść stryjowi w objęcia i... stanęła jak wryta.

– To ty? – zapytała. – Ben Townsend?

Ben, ubrany w białą bawełnianą koszulkę i krótkie spodenki, oparł się non-szalancko o framugę drzwi i uśmiechnął.

– No proszę, Dawn Gerritsen we własnej osobie. Znowu spotykamy się w podobnych okolicznościach.

– Nie spodziewałam się ciebie. Hugh nie powiedział mi, że tu jesteś.

– Bo go o to prosiłem. Chciałem zrobić ci niespodziankę.

– Udało ci się.

Zmierzył ją szybko od stóp do głów i wyraz zaciekawienia ustąpił miejsca nieukrywanej aprobacji.

– Co cię tu sprowadza? – zapytała. – Wciąż pracujesz dla „Globe”?

– Nie. Przeprowadzam się do San Francisco. Dostałem posadę w nowym magazynie.

– Będziemy więc sąsiadami.

– Wiem. Myślałem o tym.

Nie miała wiadomości od Bena od ukończenia college’u.

Rozdzieliły ich trzy długie lata odmiennych doświadczeń. Niekiedy wspominała go, a nawet porównywała z nim chłopaków, z którymi się spotykała, a jeszcze bardziej tych kilku, z którymi spała. Teraz trudno jej było sformułować jakiś wniosek na podstawie tych porównań. Nie знаła nowego Bena, dawnego zresztą też niezbyt dobrze.

– Twój stryj zaraz wróci. Wejdz. – Przytrzymał drzwi i wpuścił ją do środka. Przechodząc, przelotnie otarła się o jego smukłe biodra, a potem rozejrzała się ciekawie po wnętrzu. Było przytulne, lecz okropnie zaniedbane, jakby nikt nie troszczył się o nie przez te wszystkie lata.

– Jak długo zostaniesz? – spytała, kiedy znaleźli się w ciasnym saloniku.

– Przyjechałem na całe lato.

– Ja też. Tylko że ja mam tutaj rodzinę. Co ciebie przyгнаło do Luizjany? Latem wszyscy stąd uciekają.

– Pewnie nie wiesz, co się tu dzieje?

– Nie bardzo.

– Murzyni potrzebują pomocy. Najwyższy czas im jej udzielić. Słyszałaś, że Perez wybudował obóz na bagnach dla ewentualnych podżegaczy? Tłumacząc to na nasz język, należałoby powiedzieć: dla obrońców praw człowieka.

– Obóz? – spytała, zdjęta zgrozą.

– Dokładnie. Ujawnił to kilka tygodni temu.

– To szaleństwo!

– Wszystko tu zakrawa na szaleństwo.

– Daj spokój, Ben. Wszędzie można spotkać ludzi dobrych i złych. To nie jest wyłączna przypadłość Luizjany.

– A wiesz, że Kongres uchwalił ustawę o równych prawach wyborczych?

Dawn poczuła lekką irytację.

– Jeśli chcesz wiedzieć, Kalifornia nie jest zapadłą dziurą i dociera tam prasa i telewizja. Zdziwiłbyś się, ile wiadomości nadchodzi z Waszyngtonu.

– Wiem – posłał jej przeproszający uśmiech. – Rozumiesz więc, że nadeszła pora, by Murzyni z tej parafii zarejestrowali się na listach wyborczych. Jeśli ktoś im to uniemożliwi, można będzie poprosić o interwencję władze federalne. Musimy tylko zebrać dowody.

– A spisy wyborców nie wystarczą za dowód? Ilu Murzynom udało się zarejestrować?

– Dziewięćdziesięciu siedmiu z ponad sześciu tysięcy czarnych mieszkańców. Potrzebujemy dowodów, że inni też próbowali, ale im to uniemożliwiono.

– Wiesz, że będę się o ciebie bała – powiedziała, a wtedy Ben popatrzył na jej twarz, jakby znalazł w niej coś, czego nie widział wcześniej.

Obawy Dawn były uzasadnione. Rzeczywiście interesowała się sytuacją polityczną w Luizjanie i wiedziała, że kiedy ona oddawała się przyjemnościom studenckiego życia w bogatej, słonecznej Kalifornii, Południe przechodziło swój największy w powojennych dziejach kryzys. Niemal codziennie prasa donosiła o nowych zamieszkach. W Missisipi dopuszczono się mordów na tle rasowym, w kościele w Birmingham zginęły cztery czarne dziewczynki. Biali i kolorowi zgromadzili się tłumnie w Waszyngtonie, by wysłuchać Martina Luthera Kinga. Wszystkie te doniosłe fakty Dawn obserwowała z bezpiecznej odległości, teraz jednak znów była w samym centrum wydarzeń.

– A co ze stryjem Hugh? – zapytała.

– Współpracuje z przywódcami czarnej społeczności. Organizują kursy dla Murzynów, na których uczą ich Konstytucji i instruuja, jak się wpisać na listę wyborców. Nie jest to takie łatwe, bowiem komitet wyborczy codziennie zmienia siedzibę, żeby trudniej było ją znaleźć, i codziennie zmienia formularze rejestracyjne.

Urzednicy wynajdują setki przeszkód i piętrzą formalności, które rzekomo uniemożliwiają rejestrację.

Trzeba więc przygotować czarną społeczność na rozmaite niespodzianki. Stryj pracuje nad tym, a ja mu pomagam.

– Czy któremuś z was grożono?

– Jesteśmy ostrożni, nikomu nie rzucamy się w oczy.

Nie odpowiedział wprost na jej pytanie, więc Dawn uświadomiła sobie, że nie bez przyczyny odbywają tę rozmowę pod nieobecność stryja. Hugh starałby się ją chronić przed złymi nowinami, Ben nie miał takich zahamowań. Niedwuznacznie dawał jej do zrozumienia, że oczekuje od niej zaangażowania i gestu solidarności.

– Co twoim zdaniem powinnam zrobić? – zapytała wprost.

– Nie jestem pewien. Ale jako córka Ferrisa Gerritsena posiadasz coś w rodzaju immunitetu. Może się okazać, że bardzo nam się to przyda.

Tak, była córką Ferrisa Gerritsena. Lecz jednocześnie była bratanicą Hugh Gerritsena. Po raz kolejny znalazła się między młotem a kowadłem i po raz kolejny sytuacja wymagała dokonania wyboru.

– Nigdy nie odmawiałam nikomu, kto jest w potrzebie.

Ben przysunął się bliżej.

– Czy dotyczy to także mężczyzn w twoim życiu?

– A czy polityka ma cokolwiek wspólnego z moimi kochankami?

- Trochę ma. I tu, i tu ryzykujesz. Dokonujesz najlepszego, twoim zdaniem, wyboru z nadzieją, że nie będziesz go nigdy żałować.
- Powiedzmy, że nie znalazłam nikogo, kto by mnie naprawdę potrzebował
- odparła. – Lub też nikogo, kogo ja uznałabym za osobę niezbędną do życia.
- Wiesz, Dawn – zmienił nagle ton – ucieszyłem się na wiadomość, że przyjeżdżasz.
- Nie myślałam, że cię jeszcze kiedykolwiek zobaczę.
- I co? Jesteś rozczarowana?
- To się okaże – odparła z cierpkim uśmiechem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Ben unikał spotkań z Dawn sam na sam. Nie po to przybył do Bonne Chance, by wikać się w romanse, zwłaszcza z bratanicą księdza Hugh. Jego myśli zaprzętała misja, którą miał wypełnić, choć teraz nie był już tak bardzo przekonany o jej powodzeniu, jak wówczas, gdy tu przyjeżdżał. Wkraczał do Bonne Chance dumny z siebie i przekonany o swej szlachetności. Oto dzielny biały chłopiec, pełen wiary i gotów do poświęceń, niezłomny rycerz, który wjeżdża na białym koniu do prowincjonalnego miasteczka o nazwie, jak na ironię, zwiastującej sukces^{*21}, by odmienić niepomysłny los jego mieszkańców. Po kilku dniach wiedział już, że niewiele ma tym mieszkańcom do zaoferowania.

Choć wychował się w tym mieście, nie doznał nigdy prawdziwego uczucia grozy, jakie nieodmiennie towarzyszyło lokalnej murzyńskiej społeczności. Przed trzema laty jednym uchem słuchał opowieści o białych zabójcach najeżdżających samochodami na czarne dzieci i o podpalanych nocami domach. Teraz własna ignorancja uczyła go pokory. Zrozumiał, że nie ma tym ludziom przewodzić, lecz oddać się do ich dyspozycji.

²¹ * Bonne Chance (fr.) – powodzenie, pomyślność (przyp. tłum.).

Z tą chwilą stał się autentycznym obrońcą praw człowieka.

Lecz nawet szesnastogodzinny dzień pracy nie pozwolił zapomnieć mu o Dawn. Widywał ją dość często.

Mimo ostrzeżeń Hugh postanowiła aktywnie wesprzeć wysiłki czarnych kobiet, skupionych wokół Beulah Narrows, która propagowała masową rejestrację Murzynów na listach wyborczych. Opracowywały wspólnie taktykę wypełniania formularzy*²², uczyły właściwej interpretacji poszczególnych paragrafów, śledziły zmieniające się z dnia na dzień wymogi rejestracyjne.

Ben walczył ze sobą zaciekle, lecz co wieczór ponosił sromotną klęskę. Obrazy dziewczyny przewijały się w jego pamięci niczym puszczone w zwolnionym tempie film – Dawn jako długonoga studentka o tajemniczym uśmiechu, który wskazywał, że nie spędziła owych trzech lat w Berkeley jedynie na studiowaniu podręczników; Dawn jako anioł zemsty w malinowych szortach podwiniętych aż do pachwin, pastwiąca się sekatorem nad splątanym gąszczem zdziczałych krzewów wokół plebanii; Dawn w czapce drużyny Dodgersów grająca w piłkę z dziećmi Narrowsów; Dawn jako bosonoga nimfa, wynurzająca się z Missisipi; i w końcu Dawn z naręczem polnych kwiatów – leśna bogini.

Od chwili spotkania na ganku plebanii wiedział, że dał się jej zauroczyć i że nie ma odwrotu od tego szaleństwa, które ogarniało go coraz bardziej. Zachwycał się nią, podziwiał ją, wielbił. Nowy wyraz w oczach

Dawn nie miał nic z uprzedniej bezradnej naiwności licealistki. To nowe, nieodparcie prowokujące, impertynenckie niemal spojrzenie poraziło go niczym prąd elektryczny. Spłoszona licealistka zniknęła bez śladu, ustępując miejsca kobiecie, której usta poznały już smak pocałunków, a biodra i piersi wiedziały, co to pieszczoty i rozkosze. Myśl o mężczyznach pieszczących owe piersi i biodra nie dawała Benowi spokoju.

Och, nie zamierzał wcale czynić jej wyrzutów. Sam spędził ostatnie trzy lata w Bostonie na niekończących się przygodach. Poznał wiele kobiet i z wieloma się przespał. Dawn budziła w nim jednak nieznanne dotychczas, opiekuńcze uczucia, zazdrość i niepohamowane wręcz pragnienie posiadania jej na wyłączność. Przede wszystkim jednak budziła w nim pożądanie.

²² * Głównym wymogiem amerykańskiego prawa wyborczego jest znajomość Konstytucji. Jedynie pomyślnie zdany egzamin uprawnia do zarejestrowania obywatela na liście osób uprawnionych do głosowania (przyp. tłum.).

Czwartego lipca, kiedy letni żar sięgnął zenitu, a krople wody wisiały niemal w przesyconym wilgocią upalnym powietrzu – i Ben osiągnął punkt wrzenia.

Tego dnia Dawn pojawiła się z samego rana, zarumieniona i beztrocka, z koszykiem pełnym piknikowych wiktuałów. Ben nadaremnie usiłował pokusić miłosne zapędy, przywołując na pamięć postać ojca Hugh, a nawet karcący wzrok surowego ojca-pastora w niebiesiech.

Na widok smagłych ud, zuchwale krągłych piersi i kusząco wypukłych bioder spodnie Bena niemal natychmiast nabrzmiały wstydliwą wypukłością.

– Jest stryj? – zapytała Dawn z rozbrajającym uśmiechem.

Ben wielokrotnie próbował poddać analizie jej stosunek do niego. Ich nieoczekiwane spotkanie po trzech latach sprawiło jej nieklamana przyjemność. Od czasu do czasu pozwalała sobie wobec niego na zalotną, niewinną kokieteryę, lecz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że dojrzewając, nabrała doń świadomego dystansu.

– Przykro mi, ale stryja nie ma – odpowiedział.

– Wezwano go wcześniej rano do chorego. Może jednak wejdiesz?

– Szkoda, że nie zadzwoniłam. Umówiliśmy się w zeszłym tygodniu na piknik. Nie mówił ci?

– Mieliśmy sądny tydzień. Pewnie wyleciało mu z głowy. Na dodatek ma jeszcze jechać do Buras, zobaczyć się z tamtejszym księdzem.

– Sądny tydzień? – Dawn oparła się o blat kuchennego stołu, na którym postawiła koszyk. – Coś nie tak, Ben?

Rzeczywiście, niemal wszystko było nie tak. W poniedziałek Lesterowi Narrowsowi wymówiono pracę przy koszeniu trawy. W środę jednemu z murzyńskich działaczy podwojono raptem i tak już wygórowany czynsz za mieszkanie. W piątek Ben poszedł odwiedzić nowego pastora, następcę jego ojca, i musiał wysłuchać gromkiej tyrady o knowaniach szatana, którego to integracja szkół jest dziełem.

Przymknął powieki. Milczał.

I wtedy poczuł na policzku łagodny dotyk. Chłodne palce Dawn działały ożywczo, głaszały go i... nie, wcale nie kołysły.

Nakrył je swoją dłonią i przytrzymał. Potem przycisnął do ust i ucałował.

– Jesteś wyczerpany – usłyszał jej słodki głos. – Za dużo pracujesz i za bardzo się martwisz.

– E, tam. Trapią mnie tylko dwie rzeczy. To, co się dzieje w Bonne Chance, i ty.

– Ja?

Otworzył oczy, ale nie dostrzegł w niej zakłopotania. Raczej obawę, czy jego słowa nie zaprowadzą jej tam, dokąd lękała się udać.

– Wygląda na to, że nie mam jakiegokolwiek wpływu na te okropności w Bonne Chance. Czy ciebie, Dawn, też mam zaliczyć do beznadziejnych przypadków?

– Osobliwe postawienie sprawy.

– Pragnę cię, ale jesteś bratanicą ojca Hugh. To zakrawa na kazirodztwo. Jeśli odczuwasz podobnie, jeśli... ci to nie pasuje, udam, że tej rozmowy w ogóle nie było.

– Wiesz, Ben, przeżyłam rozmaite przygody – odparła, patrząc mu w oczy.

– Każda prowadziła donikąd. Poza doraźną przyjemnością nic z nich nie wynikało. Nie bawią mnie już takie powierzchowne związki. Nie chcę być wykorzystana. Nie chcę, żebyś stąd wyjechał, zacierając ręce, że chociaż nie udało ci się zarejestrować ani jednego wyborcy, to przynajmniej mnie możesz wpisać na listę swoich sukcesów.

Mówiła to ze śmiertelną powagą, która wydała mu się odrobinę zabawna. Przyciągnął ją lekko do siebie. Uległa, choć niechętnie.

– Mam wrażenie, jakbym zanurzył się w głęboką wodę. I to od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem. Chyba czekałem, aż dorośniesz.

Jej źrenice pociemniały, a usta rozchyliły się nieznacznie.

Zamknął te miękkie, ciepłe wargi gorącym pocałunkiem, który smakował niczym letni deszcz, zwiastujący nieprzewidziane zdarzenia i rozkoszne niespodzianki. Zamiast ostrożnej czułości, jaką obiecywał sobie w duchu jej okazać, przywarł więc zachłannie do jej warg i pił z nich łapczywie niczym spragniony wędrowiec.

Zaskoczyła go jej namiętność. Dawn oplótła mu ramionami szyję, przylgnęła do niego biodrami. Czuł gładkość jej ud i wtulony w jego krocze miękkie wzgórek.

Choć seks przyjmował z niegasnącym entuzjazmem, zazwyczaj potrafił powściągać swój wybujały temperament. Nie przy niej.

– Nie tutaj. – Odsunęła go delikatnie.

Żalony jęk wyrwał się gdzieś z głębi jego trzewi.

Miała rację. Nie tutaj i na pewno nie teraz.

– Przepraszam – wydusił, tuląc ją w ramionach.

– Za co? Za to, że mnie pragniesz? To najwspanialszy prezent, jaki mogłam dostać. – Jej oczy jaśniały teraz mocnym blaskiem. – Ale rzeczywiście będzie lepiej, jeśli w tej chwili zajmiemy się piknikiem.

– Może będzie lepiej, jeśli w ogóle nie posuniemy się dalej. Prześladowuje mnie koszmarna wizja: z jednej strony twój ojciec z karabinem, z drugiej twój stryj z różańcem.

Parsknęła śmiechem.

– Ojciec ma domek kempingowy, jakąś godzinę drogi stąd na południe. Lubi polować i łowić ryby, ale nigdy nie ma na to czasu. Byłam tam z nim kiedyś, tylko raz. Chyba trafię po raz drugi.

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

– Bycie sam na sam do niczego nas jeszcze nie zobowiązuje, prawda?

Podróż zajęła im dłużej niż godzinę. Przepłynęli promem na drugą stronę rzeki, zatrzymali się na lody i coca-cole, a potem jeszcze raz, bo Dawn chciała koniecznie zrobić zdjęcia brązowym pelikanom*,²³ dostojnie brodzącym nad brzegiem.

Niewielki domek z drewna cypryśnika stał na wbitych grząski grunt pa-lach. Letnie ulewy rozmyły ścieżkę, przedierali się więc przez wysoką, pod-mokłą, soczyście zieloną trawę.

– Nie przepadam za tym miejscem – przyznała, kiedy znaleźli schowany klucz i weszli do środka. – Tylko raz tu nocowałam. Bałam się zasnąć, bo zdawało mi się, że bagno nas wciągnie i obudzę się pochowana pod grubą warstwą mułu.

– Ludzie z delty mają muł we krwi.

– Zdaje się, że za domem jest generator. Bądź tak dobry i włącz go, a ja tymczasem trochę tu przewietrzę i zmiotę pajęczyny.

Generator zaskoczył natychmiast. Senator Gerritsen być może nie miał czasu korzystać z biwakowych przyjemności, lecz zadbał o to, by niczego mu nie brakowało.

Kiedy Ben wrócił do pokoju, pajęczyny z kątów zniknęły, a świeże powie-trze wypędziło z pokoju ciężki zaduch.

– Jesteś głodny?

Przyglądał się łakomym wzrokiem, jak Dawn otwiera szafki i wyjmuje z nich naczynia. Sięgnęła ręką do najwyższej półki, a wówczas skąpa biała blu-zeczka, zawiązana w pasie, podwinęła się wyzywająco, odsłaniając gładką, gotową na pieszczoty talię.

– Tak, umieram z głodu – odparł.

– Stale jesteś głodny. Nic nie jest w stanie zaspokoić twojego apetytu.

– Jest coś takiego. – Podeszedł do blatu, przy którym szykowała jedzenie. – Mówisz, że byłaś tu tylko raz? Kiedy?

– Na rok przed tym, jak przyniosłam wstyd rodzinie. Przyjechałam tu z oj-cem. Weekend spędzony z Ferrisem Lee Gerritsenem był dla mnie wydarze-niem tak wyjątkowym, że pamiętam niemal każdy szczegół.

– Nie przyniosłaś wstydu rodzinie.

²³ * Ptaki te są symbolem Luizjany, nazywanej często Pelican State (przyp. tłum.).

– Chyba jesteś jedynym obywatelem Luizjany, który tak uważa.

– Po co tu przyjechaliście?

– Żeby się oderwać od codziennych spraw. Zdaje się, że zmęczyła go polityka i chciał trochę odetchnąć. Spakowaliśmy manatki i przyjechaliśmy. Miałam nadzieję, że będę miała okazję lepiej go poznać.

– I co, poznałaś?

– Jest bardzo zamknięty. Trudno go rozgryźć.

– A czego się o nim dowiedziałaś?

– Dłaczego cię to tak interesuje?

– Cóż, twój ojciec i stryj diametralnie się różnią. Ty jesteś bardziej podobna do Hugh niż do Ferrisa. Ciekaw jestem, czy udało ci się ustalić, czym się wżyciu kieruje ten ostatni.

– Wiem, Ben, że nie lubisz swojego ojca.

– Nie znam go. – Wzruszył ramionami.

– Ale nie pasują ci jego poglądy.

– To prawda, tobie też nie.

Dawn milczała, pieczołowicie wycierając szklankę.

– Widzisz – odezwała się po chwili – on potrafi być niezwykle czarujący, zwłaszcza jeśli uzna, że ktoś jest godny jego uwagi. A kiedy patrzy ci prosto w oczy, aż cię skreca, żeby zasłużyć na jego aprobatę. Rozumiesz?

– Rozumiem. Ja też kochałem swojego ojca i też starałem się go za wszelką cenę zadowolić.

– Wiesz więc, jak musiałam się czuć, kiedy po tamtej aferze tata przestał się do mnie odzywać. Nie robił awantur, nie groził, że wyrzuci mnie z domu na bruk. Po prostu oznajmił, że mam się pakować, bo jadę do szkoły winnym stanie. A potem przez trzy lata pilnie się strzegł, żeby nie zostać ze mną sam na sam.

– Wiem – westchnął Ben, który być może po raz pierwszy, odkąd się poznali, skłonny był uznać, że jednoznaczne opowiedzenie się po stronie ojca lub stryja wcale nie było dla tej wrażliwej dziewczyny takie proste. – Być może łatwiej byłoby ci to znieść, gdyby się pieklił i wymyślał.

– Na szczęście mi przebaczył, dał jeszcze jedną szansę. Chyba jako jedyna dostąpiłam tej łaski. Ojciec wszystko bardzo silnie przeżywa, a lojalność ceni sobie ponad wszystko. Jeśli jeszcze raz okażę się niełojalna, wykreśli mnie ze swojego życia na zawsze.

– A tobie ogromnie na nim zależy.

Postawiła szklankę na blacie i odwróciła się, patrząc Benowi prosto w oczy.

– Tak – odparła. – Rozstanie z ojcem pomogło mi uzmysłwić sobie, kim naprawdę jestem, ale drugiego rozstania już bym nie zniosła. To oznaczałoby ostateczne zerwanie. Wiesz, że czasami myślałam o mojej rodzinie jak o flo-

tylli okrętów, które płyną do tego samego portu, tyle że każdy inną trasą i z inną szybkością?

– Co masz na myśli?

– Jesteśmy ze sobą związani, lecz te więzi są kruche i ogromnie pogmatwane. Stryj kocha mnie i, o dziwo, lubi moją matkę. Ale jak ognia unika brata i swojej matki. Grandmère kocha nas wszystkich i bardzo cierpi, że nie potrafi nas pojednać i zbliżyć do siebie. A tata? Jeśli w ogóle kogokolwiek kocha, to właśnie mnie. Ben oparł ręce na jej ramionach

– Dlaczego mi to wszystko mówisz?

– Zanim się ze mną zwiążesz, musisz zrozumieć moje rozterki. Czuję się niekiedy we własnej rodzinie jak w pułapce. Jestem rozdarta.

– Czy ojciec wie, czym zajmujesz się w Bonne Chance?

– Nie jestem pewna. Nie rozmawialiśmy o tym. Ojciec hołubi Largo Hainesa, okropnie mu nadskakuje. Twierdzi, że Largo jest teraz kluczową postacią w Plaquemines.

– Leander Perez wciąż nieźle się trzyma.

– Zgoda, ale nikt nie trwa wiecznie. Largo jest sprytniejszy, nie wychyla się publicznie ze swoimi poglądami, robi mniej hałasu. Kiedy Perez umrze, Largo bez wątpienia sięgnie po władzę, tyle że będzie miał o wiele lepszą prasę. I wtedy ojciec będzie potrzebował jego poparcia. Są w ścisłym kontakcie.

– A co zrobisz, jeśli zażąda, żebyś dała sobie spokój z Bonne Chance?

– Nie wiem. Muszę wszystko dokładnie przemyśleć, zanim podejmę jakąkolwiek decyzję.

– Asekurujesz się.

– Usiłuję ci wyjaśnić, że świat jest cholernie skomplikowany.

– Ufam ci, wiem, że postąpisz zgodnie z własnym sumieniem – powiedział i pogłaskał ją czule po karku. – Wierzę w twoje sumienie, Dawn.

Przymknęła oczy, poddała twarz do pocałunku.

Wsparała się na nim, zaplatając mu ręce wokół talii. Czuł na szyi jej ciepły oddech, pasmo jej włosów pieszczotliwie muskało mu brodę.

– Muszę to zrobić – westchnęła.

– To znaczy co?

– Właśnie to. Z tobą... Teraz.

Zawirowało mu w głowie, oddech uwiązał mu w piersi.

Jego męskość stwardniała na kamień, a serce zmiękło niczym wosk.

– Jesteś pewna? – zapytał.

– Tak. – Przez chwilę bawiła się guzikiem jego koszuli, potem podniosła na niego oczy, w których dostrzegł pożądanie i lęk zarazem. – Proszę cię, Ben, obiecaj mi, że nie będziesz mnie zmuszał, żebym dokonała wyboru.

– Wybierz mnie. Tylko o to proszę.

– Dobrze, Ben...

Guzik bez oporu poddał się smukłym, zwinnym palcom, potem drugi i następny. Wąskie, spragnione kobiece biodra przywarły zapamiętałe do twardej wypukłości w jego spodniach.

Ben westchnął z rozkoszą. Odurzył go zachwycający zapach Dawn. Gładka skóra na jedwabistym brzuchu drżała pod jego palcami, jej ciepłe palce poczuł na swoim torsie, żebrach i biodrach. Ekscytująco i zuchwale sięgnęła po suwak rozporka, a wówczas on jeszcze mocniej do niej przywarł i całował żarliwie rozchylone usta, przygniatając miękkie, kształtne piersi całym ciężarem ciała.

Nie spieszył się ze spełnieniem marzenia, które nosił w sobie od tak dawna. Z namaszczeniem celebrował każdy gest, każdy ruch, każdą najdrobniejszą pieszczotę.

Biała bluzeczka Dawn opadła na podłogę, pobudzone nagie piersi sterczały bezwstydnie, gotowe przyjąć nienasycone dłonie i usta. Tulił je i całował w uniesieniu, a kiedy byli już całkiem nadzy, ztratili się w stęsknionym, nieprzytomnym, rozpalonym porywie wzajemnej eksploracji.

Potem splekli się na łóżku i połączyli ze sobą, oboje spragnieni spełnienia. Jednak i teraz stać ich było na przedłużanie rozkoszy. Odwlekali ostatni, kulminacyjny moment, by nasycić się nawzajem bez reszty, by zapomnieć o wszystkim, by poczuć wieczność i nieśmiertelność.

Kiedy zaś wreszcie ostatecznie pochłonęła ich fala zachwytu, radości i uniesienia, kiedy uwolnili spocone ciała od dręczącego napięcia, Ben roztopił się ze szczęścia w jej ramionach i powtarzał w myślach tę jedną myśl, która czyniła go naprawdę szczęśliwym – Dawn go wybrała, przyjęła, zaakceptowała. Zawładnęła nim całkowicie, a on nie żądał niczego więcej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Podczas wakacji Dawn zaprzyjaźniła się z najstarszą córką Narrowsów, osiemnastoletnią Annie, dziewczyną silną i zdecydowaną. Przyznano jej od jesieni stypendium w szkole pielęgniarskiej w Georgii, lecz kiedy Lester i

trzej bracia stracili pracę, musiała zrezygnować z nauki i nająć się jako pomoc domowa. Zarabiała siedemdziesiąt pięć centów za godzinę, odrobinę więcej niż Beulah, która za posługi w domu miejscowych arystokratów dostawała cztery dolary dziennie. Ze swoich zarobków Annie i Beulah utrzymywały całą rodzinę.

Dawn ze smutkiem obserwowała, jak z dnia na dzień oczy Annie tracą ożywiony blask, a żal po rozwianych marzeniach nieodwołalnie wypiera radość życia. Dumna Annie nie skarżyła się, choć dobrze wiedziała, że powodem niepowodzeń Narrowsów jest ich zaangażowanie w obronę praw obywatelskich.

Annie i jej matka też straciłyby posady, gdyby rodziny, dla których pracowały, uległy ogólnej antymurzyńskiej hysterii. Annie nie wyrzucono tylko dlatego, że nikt inny nie zgodziłby się harować za tak marne wynagrodzenie, natomiast pracodawcy Beulahnie zlekli się pogroźek i zatrzymali służącą, którą traktowali jak członka rodziny.

– Postanowiłaś już, co będziesz dalej robić? – spytała Dawn pewnego sierpniowego popołudnia, kiedy odpoczywały z Annie na frontowej werandzie domu Narrowsów.

– Szkoła będzie musiała poczekać – odparła twardo Annie.

– A nie myślałaś, żeby jednak wyjechać i przysyłać do domu pieniądze?

– Stypendium ledwo starczyłoby na podstawowe potrzeby. Wiesz, co jednak jest w tym wszystkim najgorsze? Że nawet jeśli zostanę, i tak mamy przechlapane.

Potrzebuję lepiej płatnej pracy, a to jest marzenie ściętej głowy.

– Lepiej płatnej pracy... A może zaczepisz się w Nowym Orleanie? – zapytała Dawn, bowiem nagle zaświtał jej w głowie pomysł, dzięki któremu los Annie mógłby nieznacznie się poprawić. – Tam płacą więcej.

– Sądzisz, że tak po prostu znajdę pracę w Nowym Orleanie? – Annie spojrzała na nią niechętnie swymi aksamitnymi, pochmurnymi oczami.

– Nie złość się. Pomyślałam tylko, że moja babcia albo mama mogłyby pomóc. Może słyszały o kimś, kto szuka kogoś do roboty. Czy coś w tym złego, że chcę ci załatwić pracę? Ty byś mi nie pomogła, gdybym została na lodzie?

– Jak ja bym ci znalazła robotę, to byś wymiękła po jednym dniu! – wypaliła Annie.

– Myślisz, że taka ze mnie mimoza?

– Myślę, co myślę. – Annie podniosła się i starannie wygładziła swój „służbowy” strój, czyli wykrochmalony fartuszek i czarną spódniczkę. – Wiem, że masz dobre chęci, ale niepotrzebnie się kłopotcesz – dodała łagodniejszym głosem, a potem przeszła przez podwórze i znikła w ogrodzie.

– Annie potrzebuje twojej przyjaźni, a nie współczucia. – Za plecami Dawn trzasnęły siatkowe drzwi i na werandzie pojawił się Hugh. Spojrzała na niego z uśmiechem, po raz kolejny nie mogąc oprzeć się myśli, że ten przystojny mężczyzna o rozjarzonym spojrzeniu, przenikającym w najgłębsze zakamarki duszy, nie ma w sobie nic z księdza. Jedynie biała koloratka wskazywała na duchowny stan, któremu się poświęcił.

– Sądziłam, że się przyjaźnimy – westchnęła Dawn, podnosząc się z miejsca. – Przecież nie ma w tym nic uwłaczającego, że chcę załatwić jej pracę. Tak się składa, że mam trochę znajomości i mogę je wykorzystać.

– Okaż jej zaufanie i pozwól, by sama uporała się z problemami. Proponując pomoc, stawiasz się o szczebel wyżej od niej. Wiem, że to może wydać się nienormalne, ale ludzie, którzy zaznali krzywdy, a nie stracili własnej godności, są... hm, jak by to powiedzieć... nieco przewrażliwieni.

Dawn nie odpowiedziała, lecz zrozumiała w lot intencje stryja.

Przygarnął ją do siebie i czule uściśnął.

– A jak ty się miewasz, Jutrzenko?

– Świetnie. Miałam nadzieję, że cię tu spotkam.

– Nie przegapiłbym takiej okazji jak gumbo u Beulah. Może do na dołączysz?

Dawn miała inne plany na wieczór. Zaprosiła na obiad Bena, żeby poznał jej rodziców. Chciała też zaprosić Aurore, ale babcia leczyła już drugie tego lata przeziębienie i wymówiła się przed wizytą.

– Widzę, że musisz się zastanowić – Hugh odgadł jej myśli. – Powiedz mi więc, jak ci dzisiaj poszło?

– Znakomicie. Te kobiety potrafią cytować Konstytucję na wrywki i lepiej się orientują w strukturze władzy niż niejeden kongresmen. Ale kiedy pójdą się zarejestrować, każą im prawdopodobnie recytować deklarację lojalności*²⁴ po arabsku i znowu odprawiają je z kwitkiem.

– Kiedyś to się skończy.

– Pewnie.

– Widzę, że nie jesteś zniechęcona.

– Mnie nikt nie grozi.

Hugh nie odpowiedział – aluzja była zbyt wyraźna.

²⁴ * Chodzi tu o patriotyczne ślubowanie – Pledge of Allegiance – składane w szkołach lub na publicznych zgromadzeniach podczas wciągania amerykańskiej flagi. Wygłaszane tradycyjnie w święto Columbus Day, obchodzone od 1892 r. w drugi poniedziałek października, upamiętniające rocznicę odkrycia Nowego Świata przez Krzysztofa Kolumba (przyp. tłum.).

– A tobie, stryju? Czy tobie ktoś grozi?

– Dlaczego pytasz?

– Usłyszałam dzisiaj niepokojącą plotkę.

– Co takiego?

– Podobno biali w okolicy przebakują, że nie będą się dłużej z tobą patyczkować. Mówią, że trzeba cię wreszcie usadzić. Pamiętam tych facetów, którzy zatrzymali nas na drodze. Obiecałeś wtedy...

– Nie martw się o mnie – nie pozwolił jej dokończyć, co tylko utwierdziło ją w niedobrych przecuciach.

– Mam na plecach drugą parę oczu. Byłbym głupcem, gdybym się nie pilnował. Za to Ben niepotrzebnie ich prowokuje.

– Właśnie. Niepokoję się o niego.

– Zależy ci na nim?

Dostatecznie, by wiedzieć, że inni mężczyźni się nie liczą, odpowiedziała w duchu. Zawadiacki uśmiech Bena Townsenda, jego żywa inteligencja i bezinteresowność doskonale pasowały do ideału mężczyzny, jaki kiedyś stworzyła w swoich marzeniach.

– Sama nie wiem – odparła, patrząc gdzieś w dal.

– Chciałbym ci coś poradzić – powiedział z namysłem Hugh – ale nie wiem, jak mam mówić: jak ksiądz czy jak stryj?

– Jak przyjaciel.

– Nie spotkasz bardziej oddanego sprawie idealisty i bardziej bezinteresownego człowieka niż Ben Townsend. Ale potrafi też być apodyktyczny i nieprzejednany. Strzeż się, żeby nie złamał ci serca.

Dawn odniosła wrażenie, że stryj wie o ich miłosnym związku i zdaje sobie sprawę, że wpadła po uszy. Na jej policzki wypłynął rumieniec zakłopotania.

– Zaprosiłam go dziś do domu na obiad.

W oczach Hugh zamigotały diamentowe iskierki.

– Świetnie. Oczekuję wyczerpującej relacji.

– Kocham cię, stryju – westchnęła i zarzuciła mu ręce na szyję. – Jeśli Ben choć w części podobny jest do ciebie, chyba dobrze wybrałam.

– Nawet w połowie nie jestem człowiekiem takim, jak sobie wyobrażasz – uśmiechnął się, przytulając ją serdecznie. – Nie rób ze mnie świętego, dziewczyno. Jestem zwyczajnym człowiekiem, mam swoje wady i swoje grzechy. Cieszę się jednak, że mnie kochasz.

Ben żałował, że nie pojedzie do Nowego Orleanu razem z Dawn. Lubił siedzieć obok niej i patrzeć, jak Dawn prowadzi, jak trzyma jedną rękę na kierownicy, a drugą nonszalancko opiera łokciem o otwarte okno; jak wiatr rozwiewa jej wspaniałe, niesforne włosy niczym grzywę szlachetnego rumaka,

a ona wystawia twarz na ciepłe podmuchy. Niestety, Dawn wyjechała z Bonne Chance wcześniej i miała czekać na niego w domu jej rodziców.

Dla pani Gerritsen kupił pół tuzina długich śnieżno białych róż. Uznał, że kwiaty pozwolą przełamać pierwsze lody. Dawn postanowił podarować przepiękną białą gardenię, żeby mogła wpiąć ją sobie we włosy.

Pamiętał z dzieciństwa krzew gardenii rosnący pod oknami jego sypialni. Co roku, późną wiosną, odurzający zapachnie pozwalał mu zasnąć. Kiedy więc ujrzał w kwaciarni kwiaty, które darzył szczególnym sentymentem, nie mógł oprzeć się pokusie.

Około piątej po południu ułożył bukiet na przednim siedzeniu dla pasażera, sprawdził wskaźnik benzyny, po czym przekręcił kluczyk w stacyjce, wykręcił na parkingu przed plebanią i wyjechał na szosę w stronę Nowego Orleanu.

Był trochę spóźniony, więc dodał gazu. Co chwila zerkał we wsteczne lusterko, obawiając się, czy nadmierna prędkość nie przysporzy mu kłopotów z policją, lecz zamiast z tyłu kłopoty pojawiły się nieoczekiwanie przed nim. Oto szosę przegradzał zaparkowany w poprzek radiowóz, a stojący obok policjant dawał znaki, by Ben zjechał na pobocze.

Gwałtownie wcisnął hamulec i zatrzymał się z piskiem opon, o włos unikając kolizji. Dotychczas ani razu nie natrafił na blokadę drogową, choć wiele o nich słyszał. Należały do bogatego repertuaru wymyślonych środków, jakimi nękano czarną ludność Plaquemines.

Spodziewał się drobiazgowej kontroli i dociekliwego wypytywania o cel podróży, nie przypuszczał jednak, by ktoś zamierzał zrobić mu krzywdę.

Po chwili z radiowozu wygramolił się zastępca szeryfa – spocony, zwalisty mięśniak o świńskich oczkach, w którym Ben rozpoznał szkolnego kolegę, Daveya Martinezę. Nigdy nie byli ze sobą blisko, ale nazwisko i twarz zapamiętał.

– Jak leci, Davey? – zagadnął beztrąsko, sięgając do wewnętrznej kieszeni marynarki po prawo jazdy.

W tym momencie poczuł na skroni ucisk zimnej stali.

– Wsiadaj z wozu i ręce na kark!

– Co jest? Sięgałem po prawo jazdy...

– No to jazda!

– Dobra, położę ręce na kark, a ty otwórz drzwi.

Słoneczny żar buchnął Benowi w nozdrza. Davey wyciągnął go beczere-monialnie z samochodu, zrewidował, po czym wykręcił ręce do tyłu i założył kajdanki.

Zza radiowozu dobiegł Bena szmer męskich głosów.

Nie zdążył przyjrzeć się zaczajonym tam osobnikom, bowiem zastępca szeryfa brutalnie cisnął nim o maskę twarzą do przodu.

Cholera, to nie przelewki, pomyślał. Nie odważył się podnieść wzroku, wiedział już bowiem, że jeden nieopatrny gest może doprowadzić do tragedii.

– Jest czysty! – krzyknął Davey do kumpli.

– To mi się podoba. Co, Ben, zadajesz się z tymi gnojkami od praw człowieka? Agitacji ci się zachciało?

Ben rozpoznał ten głos. Każdy w Bonne Chance znał Largo Hainesa.

– Ja nie agituję, panie Haines – odezwał się spokojnie, próbując zachować zimną krew. – Jadę do Nowego Orleanu na proszony obiad.

Davey kolejnym brutalnym szarpnięciem przekreślił Bena przodem do zbliżającego się głosu. Largo, ubrany w jasnoniebieski garnitur, w panamie o szerokim rondzie na głowie, nadchodził w towarzystwie dwóch uzbrojonych osiłków w mundurach. Jego rumiana

zazwyczaj twarz poczerwieniała jeszcze bardziej od upału.

– Widzicie, chłopaki? Wygląda na to, że nawet agitatorzy muszą czasem wrzucić coś na ruszt. No, co tam kombinujesz, synu?

– O ile wiem, nie istnieje prawo, które nakazuje amerykańskiemu obywatelowi opowiadanie się, dokąd i po co jedzie.

– Długo cię tu nie było, to i zapomniałeś. Mamy na oku tę drogę, jakbyś nie wiedział. Życie nas nie rozpieszcza.

Pilnujemy, żeby nie płątały się tu jakieś śmieci. Lubimy, kiedy w mieście jest czysto

– Więc spokojnie możecie mnie puścić. Należę do kategorii osób, których to miasto chętnie by się pozbyło.

Largo ryknął śmiechem, wyraźnie ubawiony.

– Też mi się tak wydaje. – Skinął głową Daveyowi, a ten wyrznął Bena pięścią w brzuch.

– No co? Wyprostuj się, jak prawdziwy mężczyzna! – warknął Largo.

Benowi zbierało się na mdłości. Brakowało mu tchu, świat wirował mu przed oczami.

– Nie słyszysz? Wstawaj!

Z trudem rozprostował kości, a z jeszcze większym trudem zapytał:

– O co mnie pan oskarża?

– To tylko ostrzeżenie, synu.

– Nie jestem pańskim synem.

– Ani swoim tatusiem. Ten to był równy gość. Kapował, że świat jest urządzony tak, a nie inaczej, i że nie należy przy nim majstrować. A ty majstrujesz i odstawiasz waźniaka. Wiemy, że robisz sobie z nas jaja. Chcesz przerobić świat na swoje kopyto, a nam się podoba taki, jaki jest.

– Jadę do Nowego Orleanu na obiad. To wszystko.

– Przeszukaj wóz – rzucił Largo jednemu z uzbrojonych mężczyzn.

– Tu nic nie ma, tylko bukiet kwiatów – zameldował po chwili osilek, wracając na swoje miejsce. W rękę trzymał różę i białą gardenię zapakowaną w delikatny celofan.

– Co my tu mamy? – Largo sięgnął po różę. – Co to, wybierasz się dymać jakąś czekoladkę w Nowym Orleanie? Pewnie tak. Wiemy, jak kochasz czar-nuchów.

Osilek stojący obok niego zarechotał.

Ben skwitował plugawy żart milczeniem. Na jego oczach Largo zaczął obdzierać z róż płatki, jeden po drugim, aż zostały mu w rękę żalosne, nagie lodygi.

Delikatne płatki zasłały asfalt białym kobiercem. Davey wyszarpnął z celofanu gardenię, cisnął ją na ziemię i rozgniółł ze złością obcasem. W powietrzu uniosła się aromatyczna woń.

– Czy to wszystko? – spytał Ben.

– Ostrzegam cię, przez wzgląd na twojego ojca. Nie jesteś tu mile widziany. Dość mamy tych przewalanek. Jak już wrócisz od tej swojej cizi, powiedz księdzu Gerritsenowi, że się stąd wynosisz na dobre. Potem pakuj manatki i znikaj z Plaquemines. Kumaszu, synu, co do ciebie mówię?

– Kumam, panie Haines.

– No i co, będziesz się stawiał?

Ben przeszył mężczyznę w panamie jadowitym spojrzeniem.

I choć psychicznie przygotował się na kolejny cios, pięść Daveya o mało nie zwała go z nóg. Zastępca szeryfa cisnął nim ponownie o maskę i zdjął kajdanki.

– Czekaj tu, aż odjedziemy, jasne? Bo jak nie, to pożałujesz, że żyjesz.

Ben oparł się twarzą o szybę, dusząc w sobie wściekłość. Usłyszał warkot silnika i pisk opon wykręcającego radiowozu, odczekał jeszcze chwilę, po czym spróbował się wyprostować. Otworzył drzwi i z trudem wśliznął się na siedzenie kierowcy.

– Na pewno spodoba ci się Ben – przekonywała Dawn ojca, dokonując kosmetycznych poprawek w aranżacji stołu. Pomarańczowe tygrysy lilie chyliły dostojnie kielichy ku wianuszkom ze stokrotek i bladeżółtych lwich paszczy. Dawn nadrabiała miną, lecz obawiała się, że mimo pysznej dekoracji stołu, osoby, które przy nim tego wieczora zasiądą, nie przypadną sobie do gustu.

– Spóźnia się – sarknął Ferris.

– Może ugrzązł w korku.

– To co, on mieszka z Hugh?

– Mówiłam ci, tylko na lato. Na jesieni jedzie do San Francisco. Będzie pracował w nowym czasopiśmie, które mają tam wydawać.

- Co w takim razie robi w Bonne Chance?
- Pochodzi stamtąd. Przecież ci mówiłam.
- Ale nie mówiłaś, czym się tam zajmuje.
- Pomaga stryjowi w obowiązkach duszpasterskich .
- Studiuje w seminarium?
- O Boże, nie! Pomyśl, tato, czy zaprosiłabym go tutaj, gdyby szykował się na księdza?
- Chyba nie masz poważnych zamiarów wobec tego młodzieńca?
- Nie wiem, co rozumiesz pod pojęciem „poważne zamiary”. Bardzo go lubię. Mam nadzieję, że ty też polubisz. W tym momencie zadzwijał dzwonek do frontowych drzwi.

Ben był spóźniony o pół godziny. Dawn rzuciła się otworzyć, machnięciem dłoni zaganiając służącą z powrotem do kuchni, kiedy zaś otworzyła, w jednej chwili zrozumiała, że uroczysty wieczór skończy się kłapą – Ben był błydy, wystraszony, miał poszarpaną i wymiętą koszulę. Zdobył się na wymuszony uśmiech, który wyraźnie sprawił mu ból.

– Na Boga, co się stało? – spytała zatrwożona, odsuwając się, by zrobić mu przejście. – Miałeś wypadek?

– W pewnym sensie. Jeden z koleśi Largo Hainesa dopadł mnie za miastem.

– Ben... – Ostrożnie dotknęła jego policzka. – Może zawiozę cię na pogotowie?

– Nie. Nic mi nie jest.

– Powinien obejrzeć cię lekarz. Poza tym musisz złożyć skargę, potrzebna będzie obdukcja. – Spojrzała mu w oczy i poczuła, jak robi jej się zimno ze strachu.

– Nie złożysz? Czy to byli...

– Ich było czterech, a ja jeden – przerwał jej w pół słowa. – Znasz takiego sędziego w południowej Luizjanie, który da wiarę mojemu zeznaniu? Jeśli złożę skargę, zaświadczą, że przekroczyłem prędkość, a kiedy mnie zatrzymali, wdałem się w bójkę.

Łzy bezsilności napłynęły jej do oczu.

– Jesteś pewien, że to byli ludzie Hainesa?

– On też tam był, we własnej osobie.

Dawn nie pytała o więcej. Wiedziała, dlaczego pobito Bena. Właściwie to powinna się dziwić, dlaczego doszło do tego tak późno.

– I co masz zamiar teraz zrobić?

– Zadzwonię do Hugh, żeby go ostrzec. Potem zjemy obiad z twoimi rodzicami, a później wrócę do Bonne Chance.

– Stryjek twierdzi, że za bardzo ryzykujesz, że prowokujesz ludzi. Nie uważasz, że powinieneś trochę przystopować?

– Nie ma odwrotu, Dawn. Na tym spotkaniu, na które ojciec Hughdzisiaj poszedł, mają podjąć decyzję o manifestacji w przyszłym tygodniu. Ludzie mają dosyć czekania. Chcą zaprosić paru gości z CORE*²⁵ z Nowego Orleanu, żeby im pomogli się zorganizować. Largo wie, że sprawa jest poważna. To było ostrzeżenie.

Ujęła jego twarz w dłonie i przyciągnęła ją do swojej.

– Ben, boję się o ciebie. Proszę, nie wracaj tam dzisiaj. Możesz zostać u nas. Mamy mnóstwo pokoi.

– Dzisiaj nic się nie wydarzy. Ale wkrótce rozpęta się piekło.

– Czujesz się na siłach iść do obiadu? Może przeproszę rodziców...

– Nie. Skoro przyjechałem, to chodźmy.

Pożałowała nagle, że w ogóle go zaprosiła. Jak mógł udać się uroczysty obiad, skoro Ben kipiał nienawiścią do człowieka, z którym przyjaźnił się jej ojciec?

Z drżącym sercem poprowadziła go do holu, gdzie oczekiwali gościa senator z małżonką. Dawn wodziła niespokojnym wzrokiem od matki do ojca, usiłując przewidzieć z ich uprzejmie zdawkowych uśmiechów i sondujących spojrzeń nadchodzącą katastrofę. I wiedziała, że któregoś dnia, już wkrótce, przyjdzie jej opowiedzieć się po jednej lub po drugiej stronie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Najmniejszy podmuch wiatru nie mącił ciszy, która zapadła w garçonnière. Nawet burza uspokoiła się i przyczaiła, jakby z zапartym tchem oczekiwała ostatecznych wyjaśnień.

²⁵ * CORE – Congress of Racial Equality, Kongres Równości Rasowej, założona przez Jamesa Farmera w 1942 r. w Chicago organizacja walcząca „bez przemocy” o pełne prawa obywatelskie dla Murzynów (przyp. tłum.).

Dawn tak bardzo zatopiła się we wspomnieniach, że nawet nie zwróciła uwagi na pot, który ściekał jej strużkami po plecach i oblepiał spódnicę wokół ud.

– Tego wieczoru, kiedy nas odwiedziłeś, zdałam sobie sprawę, że rodzice każą mi wybierać między tobą a nimi.

– Pamiętam tamten wieczór. Twoi rodzice przyjęli mnie niechętnie, a ojciec nawet nie siłił się na uprzejmość.

– Ty też nie byłeś zbyt uprzejmy. Zachowywałeś się prowokująco, jakbyś szukał zaczepki. Chciałeś odegrać się na nim za to, że Largo Haines sprawił ci manto.

– Bądź co bądź to jego najlepszy kumpel.

– Ale ojciec nie miał z tym nic wspólnego!

– Co sugerujesz? Że senator gotów był otworzyć przede mną serce i duszę?

– Nie dałeś mu najmniejszej szansy.

– Za to dałem szansę tobie. Prosiłem, żebyś przyjechała na zebranie do kaplicy baptystów.

– Nieprawda, nie dałeś mi szansy, tylko kazałeś wybierać! Czyżbyś nie dostrzegął różnicy? Jadłeś z nami obiad, po czym wyszedłeś i zmieszałeś nas z błotem! To wtedy przestałeś mi ufać.

– Przeraziłem się, widząc ciebie z rodzicami.

– I teraz nadal mi nie ufasz. Po co mam ci cokolwiek opowiadać, skoro i tak nie uwierzysz?

Twarz Bena przybrała zawzięty, nieubłagany wyraz.

– Jest tylko jeden sposób, żebym uwierzył.

– Dobrze, powiem ci. Nie dlatego, żebym mógł przetestować moją prawdomówność, ale żeby raz na zawsze z tym skończyć.

Odwróciła się na pięcie i podeszła do okna. Słońce chyliło się ku zachodowi, a nad wodą zbierały się ołowiane, burzowe chmury. Wkrótce zapadnie zmrok, zerwie się wiatr i lunie deszcz, pomyślała. Przypomniała sobie nagle o tragicznej nocy sprzed siedemdziesięciu lat i o kobiecie z dziećmi w maleńkiej łupinie, zdanej na pastwę rozhukanych, spiętrzonych fal i ryczących porywów wichury.

– Całe lato czekałam na tę chwilę, kiedy będę musiała stawić czoło ojcu – zaczęła. – Aż wreszcie nadszedł ten moment. To było w środę, w środę po południu...

Ferris wychylił głowę z gabinetu, kiedy Dawn przechodziła korytarzem. Przedpołudnie spędziła w prowizorycznej ciemni, którą urządziła w jednej z łazienek dla gości, twierdząc, że w każdym ze swoich kolejnych mieszkań może nie mieć wanny, ale ciemnia jest obowiązkowa.

Cappy z entuzjazmem odnosiła się do fotograficznych zamiłowań córki. Towarzyszyła jej nawet tego ranka, przyglądając się ciekawie, jak Dawn przemienia celuloide w czarno-białe negatywy i pozytywy.

Teraz Ferris zatrzymał przechodzącą córkę, opasał ramieniem i pokierował do swojego gabinetu.

– Powiedz, co u ciebie słyhać – zagadnął. – Co porabiasz? Dawno nie rozmawialiśmy.

Rzeczywiście, od pamiętnego obiadu z Benem Townsendem nie rozmawiali ani razu, Ferris bowiem był wściekły, a jego córka przygnębiona i pełna pretensji do wszystkiego i wszystkich.

– Nic nie słyhać – odparła, zagłębiając się w skórzanym fotelu ze wzrokiem błędzącym apatycznie po ciemnych deskach boazerii i licznych dyplomach zdobiących ściany gabinetu. – Odkładałam na nowy aparat i wczoraj go kupiłam. Chcę skompletować potrzebny sprzęt i zacząć pracować na własny rachunek.

– Skąd ten pośpiech? Został ci jeszcze rok na uczelni.

– Zastanawiałam się, czy nie dałoby się połączyć zajęć ze stałą pracą. Muszę pracować. Chodzi o doświadczenie.

– Nie za wcześnie na wybór kariery? A nuż zmienisz zdanie? Najpierw zrób dyplom.

– Zrobię dyplom, obiecuję. Ale tyle rzeczy się teraz dzieje...

– A cóż takiego się dzieje?

W pytaniu więcej było chłodnej dociekliwości niż ojcowskiej troski o przyszłość córki. Zawahała się.

– Dzieją się ważne rzeczy, tato. Tutaj i w Plaquemines.

– A konkretnie? – Uniósł znacząco brew. – Mówisz zagadkami.

– Dobrze więc, chodzi mi o to, że Murzynom bezprawnie odmawia się swobód obywatelskich.

– Ach, masz na myśli kampanię agitacyjną prowadzoną przez twojego stryja?

Już żałowała, że dała się wciągnąć w tę rozmowę, ale brnęła dalej.

– Między innymi, ale nie tylko. Amerykańskich obywateli pozbawia się przysługujących im praw. Nie mogę spokojnie się temu przyglądać.

Wrogu pokoju stał obficie zaopatrzonej barek. Ferris napełnił szklaneczkę whisky i kostkami lodu.

– Powinnaś wiedzieć, że będę się ubiegał o wyższy urząd – zagaił.

– Od dawna się tego domyślam.

– Jeszcze nie wiem, o który, ale na pewno będę. Czy zdajesz sobie sprawę, że będę potrzebował poparcia pewnych kręgów z Plaquemines?

– Chyba nie mówimy o Murzynach.

– Nie. – Ferris roześmiał się, udając bez troskę. – Nie podejrzewałem cię o poczucie humoru.

– Co ma wspólnego moje zainteresowanie prawami Murzynów z twoimi ambicjami politycznymi?

– Zaraz ci powiem. Pamiętasz Largo Hainesa?

– Nie obawiaj się, nie będę robiła mu zdjęć.

– Prawo wyborcze dla Murzynów nie leży w jego interesie.

– Pewnie że nie. Daliby mu popalić. Wpięty by mu poszło.

– Nie rajcują mnie te twoje dowcipasy – zirytował się Ferris. – Próbowałem przemówić twojemu stryjowi do rozumu, że z fotela gubernatora czy senatora w Kongresie będę mógł więcej zdziałać dla ludzi, którzy tak leżą mu na sercu, ale on jest głuchy. Mam nadzieję, że ty nie jesteś. Rzeczywiście wszystko się zmienia, moje dziecko, i to w szybkim tempie. Ale wasi czarni pupile w Plaquemines muszą poczekać na prawa wyborcze. Na razie ma zostać wszystko po starym. Tego żąda Leander Perez i Largo. Najważniejsze, żeby decyzyjne stanowiska objęli odpowiedni ludzie, którzy mają dobre intencje.

– I ty jesteś tym odpowiednim człowiekiem?

– Zgadza się.

– Dlaczego? Przecież problem równouprawnienia w ogóle cię nie obchodzi.

– Obchodzi, i to bardziej niż przypuszczasz. Naprawdę masz mnie za drania pozbawionego ludzkich uczuć? Zdaje się, że wszystko ci się poplątało.

To prawda, miała w głowie kompletny zamęt. Pozornie słowa ojca brzmiały sensownie. Trudno prowincjonalną parafię Plaquemines porównywać z wielkomięjskim Nowym Orleanem. W dużym mieście zmiany zazwyczaj zachodzą o wiele szybciej, a ekstremalne ugrupowania z obu krańców sceny politycznej nie mają znaczącego wpływu na ewolucję społecznych procesów.

Natomiast w Plaquemines, z jego roponośnymi terenami o kapitalnym znaczeniu gospodarczym, górę brały interesy naftowych koncernów. Jakikolwiek perturbacje, zakłócenia ustalonego porządku, zagrażały owym interesom.

– Mówiłem ci już i powtarzam raz jeszcze: nie jestem zwolennikiem radykalnych zmian. Kiedyś sama się przekonasz, że nie należy wywracać świata do góry nogami, i przyznasz mi rację. To nie znaczy, że nie dostrzegam konieczności umiarkowanych reform.

Przyjdzie pora na reformy również w Plaquemines. Ale nic na łapu-capu. Na razie trzeba dopilnować, by nikomu nie stała się krzywda.

– Właśnie stała się krzywda! Przecież Bena pobito. Largo nasłał na niego swoich goryli, kiedy Ben jechał do nas na obiad. Wiedziałeś o tym? Nie o tym rozmawiamy?

– Nie.

Dawn nie była pewna, któremu z jej pytań zaprzeczył, jednak już inna, bardziej ważka wątpliwość cisnęła się na jej usta.

– Wiesz może, kto będzie następny?

– Z pewnością nie ty. W każdym razie chcę, żebyś trzymała się z daleka od Bonne Chance i Plaquemines, przynajmniej na razie.

Dawn zerwała się z fotela.

– Mówię poważnie – osadził ją z powrotem stanowczym głosem. – Jeśli nie posłuchasz, zmuszę cię do tego.

– Nie możesz mnie do niczego zmusić! Mam dwadzieścia dwa lata! Może tego nie zauważyłeś, ale jestem dorosła!

– Zrozum, Dawn, otwarty konflikt wisi na włosku. Nie dopuszczę, żebyś stała się kozłem ofiarnym.

– Chodzi ci o kampanię wyborczą, tak? Nie chcesz, żeby Largo dowiedział się, że twoja córka jest czarną owcą?

– Każdy głupiec w tym mieście wie, po czyjej stanęłaś stronie. Już raz odstawiłaś widowisko. Afera na szczęście ucichła, ale nie życzę sobie, żebyś znowu zaczęła rozrabiać, zrozumiano?

– A więc nie chodzi o moje bezpieczeństwo?

– Oczywiście, że o to też. – Odstawił szklaneczkę i podszedł bliżej. – Kolejna rozróbka może źle się dla ciebie skończyć. Nie brak błotnych szczurów, które z nikim nie będą się cackać i nikomu nie przepuszczą.

– A co ze stryjem? Co z Benem? Czy grozi im niebezpieczeństwo?

– Ostrzegalem twojego stryja. Dobrze wie, na co się zanosi.

Serce waliło jej jak dzwon na trwogę. Najbardziej bała się o Bena. Stryja chroniła duchowna szata. Nawet najbardziej zacietrzewieni fanatycy, łącznie z Largo, byli katolikami; nie podnieśliby przecież ręki na księdza. Ale Bena, zwykłego chłopaka z Bonne Chance, z pewnością nie będą oszczędzać.

– Czy stryj ostrzeże Bena? – zapytała. – Znasz ich i wiesz, że nie cofną się w obronie swoich przekonań.

Ojciec uśmiechnął się pogardliwie.

– Twój stryj miał zadatki na męczennika, jeszcze jak nosił krótkie majtki.

– Co przez to rozumiesz?

Uciął temat stanowczym gestem dłoni.

– Nieważne. Nie mówimy teraz ani o Hugh, ani o tym bubku. Mówimy o tobie. Masz mi tu, w tej chwili, przyrzec, że będziesz się trzymała z daleka od Bonne Chance.

– Nie możesz mi niczego zabronić, tato.

– Słuchaj no! – Ton Ferrisa stracił resztki uprzejmości i opanowania. – Nie wolno ci tam jechać nigdy więcej!

A już na pewno nie dziś wieczorem. Jak będziesz stawiać opór, to zwiążę cię tu po prostu i zamknę! Stać mnie na to!

– Dziś wieczorem? – zdjęła ją nagle trwoga. – A co się stanie dziś wieczorem?

Chwycił ją za ramiona i przeszył twardym, miazdzącym spojrzeniem.

– Naprawdę nie rozumiesz?

– Owszem, rozumiem, że natychmiast powinnam zadzwonić do Bonne Chance i wszystkich uprzedzić!

– Mowy nie ma! – Ferris rzucił ją na fotel. Jeszcze nigdy nie widziała go w takiej furii. – Do nikogo nie dzwoń i nie ruszaj się z domu!

– Tato, powiedz... Chcę wiedzieć, co się szykuje. Jeśli mi nie powiesz, natychmiast wychodzę i jadę do Bonne Chance.

Ferris założył ręce na piersi. Odgrażał się, ale nie był w stanie użyć fizycznej przemocy. Zmusił się, by zachować spokój, i zaczął wyjaśniać:

– Largo i jego kumple wiedzą o zebraniu u Murzynów. Mają donosiciela wśród zwolenników rejestracji. Largo ma zamiar nie dopuścić do zebrania. Otoczy budynek i wszystkich aresztuje.

– Nie!

– Tak mi powiedział dziś rano. Ma wobec mnie dług wdzięczności, więc uprzedził mnie, żebym zatrzymał cię w domu. Niestety wie, czym się zajmujesz. Wie, że pomagasz Hugh i że prowadzasz się z tym Townsendem. Nie ruszał cię dotąd ze względu na naszą przyjaźń.

– Trzeba ich ostrzec!

– Nie bądź naiwna! I tak ichnie powstrzymasz. Poza tym Hugh i reszta świadomie ryzykują. Chętnie dadzą się wsadzić do pudła, byle nagłośnić sprawę. Odgrywają męczenników, a pismaki smarują o nich w gazetach.

– Gdybyśmy im powiedzieli, mieliby przynajmniej wybór.

– Myślisz, że Largo nie dowie się, skąd poszedł przeciek? A jak się dowie, to koniec ze mną. Szansa na karierę, na pomoc dla kogokolwiek, rozwieje się z dymem.

– No i co z tego, tato? Czasem trzeba zaryzykować. Czasem jeden człowiek jest ważniejszy niż cały świat, nie rozumiesz tego? Przecież ktoś może zostać ranny, nawet zabity! Czy to nie jest ważniejsze od twojej kariery?

– Nie bój się, Largo zapewnił mnie, że nikomu się nic nie stanie. Szeryf i jego ludzie nie będą się patyczkować z tymi, którzy dobrowolnie nie opuszczają kościoła, ale nie użyją przemocy. W ten sposób ściągnęliby sobie na kark federalnych, a na tym nikomu nie zależy.

– A co będzie, jeśli tam pojedą i dam się aresztować?

– Co będzie z tobą? – W głosie Ferrisa usłyszała napięcie. – Już ci mówiłem.

– Ja też mówiłam – że jestem dorosła. Wybacz, tato, ale traktujesz mnie jak element dekoracji, jak pokój, który pomalowano na kolor, który ci się nie podoba.

Chcesz mu przywrócić poprzedni kolor, prawda? Niestety, to niemożliwe. Nie cofniesz czasu, już nigdy nie będę taka jak dawniej.

– Mylisz się. Nie jesteś elementem dekoracji – sięgnął po jej dłoń – ale mają jedyną córką, przyszłością rodziny, dziedziczką rodu. Niczym nie różnię się od innych ojców. Za wszelką cenę pragnę, żebyś zrozumiała moje motywy i przyznała mi rację. Choć zdaję sobie sprawę, że nie możesz. Przynajmniej nie zawsze.

– Jeśli to prawda, to chyba rozumiesz, dlaczego muszę tam pojechać.

– Różnice poglądów to jedno. Wcale nie wymagam, żebyś we wszystkim się ze mną zgadzała. Ale ojcowska troska to drugie. Jako ojciec proszę cię, trzymaj się z daleka od Plaquemines. Proszę, Dawn – powtórzył i wówczas po raz pierwszy od urodzenia posłyszała w głosie ojca nutę autentycznej rozpaczy.

– Chcę tam jechać – upierała się Dawn.

– Wiem. Mimo to proszę cię i zaklinam... Twoja obecność niczego nie wniesie, zebranie i tak się odbędzie, za to ja umrę z niepokoju.

– Czy tych aresztowanych wsadzą do obozu?

– Nie sądzę, ale nie dam za to głowy.

– Stryj Hugh jest twoim bratem. Czy jemu nie należy się taka sama troska, jak mnie?

– A czy on kiedykolwiek mnie słuchał? Prosiłem i przekonywałem nie raz – wszystko na nic.

Dawn wahała się, niepewna, jaką podjąć decyzję.

Gdyby groził i naciskał, znalazłaby siłę, by obstawać przy swoim. Ale jak tu nie usłuchać tego zatroskanego, nabrzmiałego uczuciem głosu? Jak odmówić tym zafrasowanym, pełnym niepokoju oczom? Już raz stała się przyczyną upokorzenia ojca. Ma go znowu poniżyć?

– Obiecałam Benowi, że przyjadę na zebranie – wyznała ze łzami w oczach.

– Nie możesz go uprzedzić, że nie przyjedziesz. Rozumiesz? Nie możesz!

Po raz kolejny stanęła wobec konieczności wyboru.

Nie potrafiła oprzeć się żelaznej logice Ferrisa. Stryj, Ben ani Lester Narrows za nic nie odstąpiliby od swoich planów, nawet w obliczu groźących im aresztowań. Ci silni, twardzi, niezłomni ludzie nie wystraszą się byle pogrożek. Prawdopodobnie liczyli się z serią nieuniknionych konfrontacji.

Jedyną osobą, którą mogła teraz ocalić, był więc ojciec. Narażał dla niej polityczną karierę. Ostrzegł ją, bo ją kochał, ryzykując, że ona zechce ostrzec innych.

Okazał jej dowód ojcowskiej miłości, więc teraz ona powinna odwzajemnić się podobnym uczuciem.

– Dobrze, tato. Nie pojadę.

- Co im powiesz?
- Nie wiem... że się źle poczułam albo że wysiadł mi samochód. Jeśli w ogóle będę miała okazję z nimi rozmawiać.
- Na pewno – ucieszył się. – Nikomu się nic nie stanie. Zaręczam. Dawn uwierzyła ojcu. Wyczułaby, gdyby kłamał.
- Oby – odparła. – A teraz wychodzę.
- Tylko wróć na kolację. Nie każ mi się zamartwiać, moja malutka.

Dawn odwróciła się od okna. Ben stał tuż za nią.

– Kolację zjedliśmy dość wcześnie – powiedziała – bo ojciec wieczorem miał umówione spotkanie. W jadalni wisiał stary zegar z wahadłem. Siedziałam jak na szpilkach, odliczałam sekundy i truchlałam ze strachu. Dzwoniłeś kilka razy po południu, ale nie mogłam z tobą rozmawiać. Powoli dojrzywało we mnie przekonanie, że popełniłam błąd, a wieczorem byłam już tego pewna. Setki razy miałam ochotę zerwać się od stołu, zadzwonić do ciebie i uprzedzić o niebezpieczeństwie.

– Ale nie zadzwoniłaś.

– Nie. Wciąż dźwięczały mi w uszach rzeczowe argumenty ojca. Przyznawałam mu rację. Byłam w kropce.

Nie miałam wpływu na bieg wydarzeń. Uznałam, że i tak nie zapobiegnę aresztowaniom i że jedyne, co mi zostało, to osłaniać ojca.

– I siedziałas tak sobie spokojnie cały wieczór? Siedziałas i czekałas?

– Nie, Ben, to nie tak. O mało nie oszalałam z napięcia i niepewności. Musiałam z kimś porozmawiać, więc poszłam do babci. Ona zawsze umiała podnieść mnie na duchu.

Aurore od jakiegoś czasu prawie nie opuszczała domu, kurując kolejne infekcje. Dawn znalazła babcię w gabinecie, który niegdyś zajmował Henry. Pokój obudowano półkami, na których rządem stały powieści i biografie. Kąt pokoju zajmował telewizor, lecz Aurore niemal nigdy go nie włączała.

– Co za niespodzianka! – ucieszyła się staruszka na widok ukochanej wnuczki. Otworzyła szeroko ramiona i Dawn grzała się chwilę w babcinym uścisku, który jednak nie był w stanie ukoić jej niepokoju.

Gawędziły kilka minut o błahych sprawach, wreszcie Dawn, targana sprzecznymi uczuciami, zapytała niepewnym głosem:

– Powiedz, Grandmére, czy pamiętasz, jak poszłam zapisać się do publicznej szkoły w czarnej dzielnicy?

– Jakby to było wczoraj.

– Nigdy nie powiedziałaś mi, czy byłaś ze mnie dumna.

– Owszem, byłaś dumna. Ale miałam też ochotę dać ci klapsa.

– Przecież to ty nakłaniałaś mnie do odwagi.

Aurore uśmiechnęła się blado i szczerzej otuliła wątłe ciało wełnianym kocem.

– Wykazałaś się odwagą, to prawda, ale jednocześnie wystąpiłaś przeciwko ojcu, a opowiedziałaś się po stronie stryja. Miałam nadzieję...

– Że co, Grandmère? – przerwała jej Dawn. – Że zadowolę ich obu? Jak mam tego dokonać?

– Postawiłaś ojca pod murem, kochanie. Zmusiłaś go, by jasno zadeklarował się przeciwko integracji i odciął od twojego postępcu, bo tego po nim oczekiwano. Winą obarczył niestety Hugh. W ten sposób bracia odsunęli się od siebie na dobre.

– Nie chodziło mi o nich, tylko o siebie. Uznałam, że powinnam zrobić to, co ja uważałam za słuszne.

– Wiem. Tak jednak bywa, że to, co robimy, w jakiejś mierze odbija się na innych. Niekiedy konsekwencje ponoszą nawet następne pokolenia.

– To znaczy, że nasza rodzina odczuje konsekwencje mojego uczynku za ileś tam lat? – spytała Dawn niepewnie.

– Chodź, kochanie, usiądź tutaj. – Aurore poklepała poduszkę kanapy, a kiedy wnuczka usiadła, powiedziała ze smutkiem w głosie: – Ty postąpiłaś zgodnie z własnym sumieniem i chwala ci za to. Tylko widzisz, jestem starą, samolubną kobietą – sięgnęła po rękę Dawn – i marzyłam o tym, żeby moi synowie pogodzili się, zanim umrę. Nasza rodzina... Ech – pokręciła głowę z rezygnacją – przez całe życie robiłam, co mogłam, żeby zostawić dzieciom i wnukom coś trwałego, ważnego.

– Udało ci się! Odniosłaś sukces, Gulf Coast kwitnie...

– Kiedyś, kiedyś wydawało mi się, że Gulf Coast ma nadrzędne znaczenie. Drogo za to zapłaciłam. Nie o takiej spuściznie marzyłam i zawsze pragnęłam zostawić po sobie więcej – zgodną, silną i pojednaną rodzinę. Teraz jest już za późno.

– I ja to zaprzepaściłam?

– Nie, kochanie, ty nie – Aurore uspokoiła ją szybko.

– Nie martw się, nie podrzucę ci kukulczego jaja.

Dawn, zdezorientowana, wysunęła rękę z babcinej dłoni.

– Nie rozumiem...

– Nic dziwnego. – Aurore przymknęła powieki.

– Jakżebyś mogła rozumieć?

– Wiem tylko tyle, że postąpiłam tak, jak uznałam za słuszne. Wcale nie miałam zamiaru siać niezgody między tatą a stryjem.

– Ja popełniłam wiele błędów, uważając, że postępuję słusznie. Nie martw się na razie, kochanie.

To się dopiero okaże, czy będziesz żałować tamtej decyzji.

Dawn czuła się zawiedziona. Szukała ukojenia, a tymczasem odnalazła zwątpienie i niepokój. Czyżby tego wieczoru, w rozmowie z ojcem, popełniła kolejny błąd, oparty na szlachetnych pobudkach?

Chciała zapytać babcię i o to, jednak Aurore poruszyła się nagle niespokojnie i otworzyła szeroko oczy, jakby przeszły ją jakiś gwałtowny ból. Zbladła, kurczowo pochwyciła Dawn za ramię i wyszeptwała strwożona:

– Coś mu się stało...

– Źle się czujesz, babciu? – Dawn pochyliła się nad nią troskliwie. – Mam wezwać lekarza?

– Hugh, synku...

Poczuła, jak po plecach przebiega jej lodowaty dreszcz.

– Babciu, tu nie ma Hugh – powiedziała. – Nic ci nie jest?

Aurore nie odpowiedziała ani słowem. Podniosła tylko na wnuczkę oczy, przepełnione bolesną trwogą, i rzewnie zapłakała.

Ben co chwila spoglądał na zegarek. Dawn nie pojawiła się i nie wiedział, czy przyjedzie. Zniecierpliwiony i niepewny dzwonił kilkakrotnie do Nowego Orleanu, lecz za każdym razem mówiono mu, że Dawn nie może podejść do telefonu.

Czyżby postanowiła zostać w domu?

Może ją wystraszył?

Ile razy pomyślał o niej w ciągu tygodnia, jaki minął od niefortunnego obiadu u Gerritsenów, wyobraźnia podsuwała mu najpierw obraz zdeptanej brudnym buciozem gardenii, a potem spokojnej, beztroskiej twarzy dziewczyny za suto zastawionym mahoniowym stołem, podtrzymującej zdawkową rozmowę wśród lilii i lwich paszczy.

Kochał Dawn Gerritsen. Zapadła mu w serce, o władnęła duszę. Pasowali do siebie i płynęła w nich ta sama krew. Gdy jednak zaczął wierzyć, że ich losy mają szansę połączyć się na zawsze, a zarzewie niepohamowanej namiętności nie spali ich na popiół, lecz roznieci w nich jasny płomień wspólnoty, bliskości i porozumienia – przyszło rozczarowanie.

W domu Gerritsenów pojął, że istnieją siły, które niszczą Dawn. Te same siły, które wstrząsały nim spazmatycznie po spotkaniu z Largo, póki sponiewierany, wściekły i upokorzony, nie zwymiotował z obrzydzenia, bólu i strachu na poboczu drogi numer 39.

Nie mógł dłużej na nią czekać. Zasłonił zegarek mankietem koszuli i poszedł w stronę schodów, prowadzących do kościoła Najświętszej Panny Pocieszycielki, gdzie miało odbyć się zebranie zwolenników równouprawnienia.

Przestępując próg katolickiej świątyni, czuł się trochę nieswojo. Wychował się na wyspie baptystów otoczonej morzem katolików i nie było dnia, żeby nie

słyszał tysiąca i jeden powodów, dla których sąsiedzi-papiści mieliby smażyć się w piekle, podczas gdy on z rodzicami pójdą prosto do nieba.

Choć dawno uwolnił się od brzemienia przesądów, jakie wpajali mu rodzice, katolicki kościół – z posągami w cierpiętnicznych pozach, pysznym złotym krucyfiksem, ostentacją i celebraw – wciąż jawił mu się niczym miejsce innego, jakby pogańskiego kultu. Ojciec nie na darmo powtarzał mu od dziecka, że takie kościoły są zbyt przeładowane ozdobami, by poczuć bliskość samego Boga.

A jednak tego dnia, w cichym półmroku dostojnego wnętrza, rozświetlonego jedynie nikłym poblaskiem świec i kaganka, wśród charakterystycznego zapachu wosku i pleśni, Ben poczuł wzruszenie, jakie nie ogarnęło go nigdy w protestanckim zborze. Łzy napłynęły mu do oczu. Patrzył ze skruszonym sercem, jak ojciec Hugh klęczy przy głównym ołtarzu, całkowicie zatopiony w modlitwie.

Ben przystanął. Poczul się jak intruz. Ruszył niepewnie w stronę ołtarza na chwiejnych nogach i zatrzymał się przy balustradzie, gdzie przyjmowano komunię. Nie śmiał przekraczać tej bariery, ukląkł więc i pochylił głowę.

Nie pamiętał już, kiedy ostatnio modlił się tak żarliwie. Stracił rachubę czasu, który zdawał się stać w miejscu i czekać, aż rozmodleni mężczyźni zrobią wreszcie znak krzyża i powstaną z kolan. Dopiero gdy poczuł na głowie ciepły dotyk, otworzył oczy i wrócił do rzeczywistości.

To ojciec Hugh go błogosławił.

Dawn cichutko płakała. Ben pohamował odruch, by ją pocieszyć i opowiadał dalej:

– Podnieśliśmy się i przeszliśmy do kaplicy. Kaplica była skromna i surowa, wyczuwało się jednak podniosły, uroczysty nastrój. Przyszło jakieś trzydzieści osób, nie zauważyłem żadnej obcej, nieprzyjaznej twarzy.

Lecz nie opuszczało mnie niejasne wrażenie, że coś wisi w powietrzu. Może dlatego się tak modliłem?

Dawn odwróciła się do okna. Nie protestował. Łatwiej było mu przywoływać te tragiczne wspomnienia, nie widząc jej twarzy.

– Pastor poprosił ojca Hugh, żeby otworzył zebranie modlitwą. Hugh stanął na stopniach ołtarza twarzą do nas. Było cicho jak makiem zasiał. Ojciec Hugh przemówił i wtedy z zewnątrz dobiegł nas harmider, jakieś nawoływania i stuk butów. Do tej pory słyszę czasem te głosy w nocnych koszmarach. Było ich kilkunastu. Otworzyli z trzaskiem drzwi i wpadli do środka.

W pierwszej chwili nie zorientowałem się, co to za jedni, spostrzegłem tylko, że nie mają na sobie mundurów, a więc nie są od szeryfa. Mieli za to kije i pałki.

Jeden z nich wycelował do nas z karabinu, inny wrzasnął, że mamy założyć ręce na kark. Uskoczyłem w boczną nawę i zobaczyłem, jak jeden z tych

drani okłada pałką Lestera. Rzuciłem się na pomoc, ale ktoś zastąpił mi drogę i mnie odepchnął.

Ben obserwował profil Dawn. Po każdym zdaniu bladła coraz bardziej, lecz nie przerywała mu ani słowem.

– Dostałem kopniaka, na szczęście nie na tyle silnego, żeby upaść. Bici pałkami ludzie krzyczeli przeraźliwie i w panice przepychali się do wyjścia. Kątem oka spostrzegłem, jak jeden z bandziorów zamierza się na Hugh, który wciąż tkwił nieporuszony w tym samym miejscu, nie stawiając oporu. Potem czyjeś plecy przesłoniły mi widok. Usłyszałem strzał. Odtrąciłem człowieka przede mną i zobaczyłem, że Hugh przyciska ręce do piersi. Rzuciłem się do przodu, chyba chciałem go zasłonić, powalić, byle zabrać z linii ognia... Nie wiem, działałem instynktownie. Wtedy poczułem szarpający ból w ramieniu. Myślałem, że to pałka, ale to była kula.

Ben odwrócił wzrok i zamilkł. Nie mógłby skończyć, patrząc na poszarzałą z trwogi twarz Dawn.

– Widziałem, jak ojciec Hugh powoli osuwa się na ziemię. Twarz miał spokojną. Wyciągnął rękę i dopiero wtedy udało mi się do niego przycisnąć. Klęknąłem przy nim, złapałem za dłoń. Zdałem sobie sprawę, że wokół zapadła nagle złowroga cisza, jakby wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Pochyliłem głowę, bo zdawało mi się, że Hugh coś mówi, ale on tylko przycisnął moją dłoń do policzka. Wtedy spostrzegłem, że przód jego szaty ubroczonej jest krwią. Uśmiechnął się, próbował coś wyszeptać. Błagałem go, żeby się trzymał, żeby żył, modliłem się, zaklinałem... Dopiero gdy usłyszałem zawodzenie jednej z kobiet, zorientowałem się, że ksiądz Hugh nie żyje.

– Grandmère wiedziała... – wykrztusiła Dawn przez ściśnięte gardło. – Tego wieczoru... byłem u niej... miała przecucie.

– To był jej syn.

– Ja też podświadomie przewidywałam, że coś się stanie. Od początku strasznie się bałam, zadreęzałam.

Staralam się zachować spokój, nie panikować, ale serce mówiło co innego. Na przekór sobie powtarzałam w kółko, że postąpiłam słusznie, że musiałam chronić ojca. Poszłam do babci, lecz ona tylko utwierdziła mnie w przekonaniu, że podjęłam błędną decyzję. Z minuty na minutę narastał we mnie śmiertelny strach.

Zdobyła się na odwagę, by zwrócić ku Benowi zalaną łzami twarz.

– Zasiadziałam się u Grandmère do późna. Była kompletnie rozstrojona, nigdy nie widziałam jej w takim stanie. Nie chciałam jej zostawiać samej, więc postanowiłam zanocować. Wieczorem zadzwoniła mama. Powiedziała, że przyjeżdża. Zdziwiłam się, bo rzadko odwiedzała Aurore. Pamiętam, że trzymałyśmy się z babcią za ręce w oczekiwaniu na najgorsze. No i przyszło

najgorsze – mama przywiozła wiadomość, że stryj Hugh nie żyje, a ty jesteś ranny.

Wyciągnął do niej rękę, lecz Dawn nie padła mu w ramiona. Potrząsnęła jedynie głową i mówiła dalej, jakby bała się, że to być może ostatnia szansa, by wyrzucić z siebie wszystkie straszliwe wspomnienia.

– Serce pękało mi z bólu – wyznała. – Wyzwaniałam do szpitala, ale pozwolono mi cię odwiedzić dopiero następnego dnia, i to po południu. Babcia siedziała ze mną całą noc. W południe nie wytrzymałam dręczącego czekania i pobiegłam do szpitala. Wymogłam na lekarzu, żeby pozwolił mi wejść do ciebie na kilka minut.

– Weszłaś.

– Tak. Spałeś i byłeś blady jak ściana. Chciałam ci wszystko wytłumaczyć, powiedzieć, co mną kierowało i dlaczego nie przyjechałam do Bonne Chance. Prośba ojca, żebym zachowała milczenie, przestała mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Hugh nie żył, ty otarłeś się o śmierć.

– A Ferris?

– Kiedy nadeszła tragiczna wiadomość, zamknął się w swoim gabinecie i pił na umór. Nigdy mu się to nie zdarzało, zawsze pił na mieście. Po kilku godzinach wykrztusił jedynie, że do samosądu doszło bez wiedzy i zgody władz, że Largo rzekomo zlecił szeryfowi, by zapobiegł zebraniu, lecz bez użycia siły, ale miejscowi bigoci sami postanowili je rozpuścić. Nim ludzie szeryfa dotarli na miejsce, było po wszystkim.

– Taką wersję przedstawił ci ojciec?

– Znam ojca i wierzę mu. Ale nie rękę, czy Largo Haines mówił prawdę. – Dawn otarła policzek z łez drżącą dłonią. – Rozumiesz mnie teraz choć trochę? Jak miałam ci wyjaśnić motywy swojego postępowania, skoro sama nie potrafiłam ich racjonalnie wytłumaczyć?

Prześadowała mnie uporczywa, złowieszcza myśl, że w jakiś sposób przyczyniłam się do tragedii, że gdybym uprzedziła stryja o planowanych aresztowaniach, być może uniknąłby śmierci, a ty nie zostałbyś ranny. Kiedy w końcu odzyskałeś przytomność, wciąż byłeś strasznie zmaltretowany. Nie wiedziałam, co powiedzieć, od czego zacząć. A ty nie dałeś mi dojść do głosu i bez wahania oskarżyłeś o tchórzostwo i zdradę.

– Dawn... – Ben delikatnie dotknął jej ramienia.

Wzdrygnęła się i zrobiła unik.

– Zabrało mi sił na wyjaśnienia, a tobie wyrozumiałości, żeby ich wysłuchać. Postanowiłam odczekać kilka dni, aż ból nieco złagodnieje, a potem spróbować jeszcze raz. Czepiałam się resztek nadziei, że nie straciłam cię na zawsze. Kiedy zaś wróciłam do domu, ogarnęła mnie czarna rozpacz. Nie mogłam się uwolnić od poczucia winy, czułam się tak, jakbym to ja zabiła stryja.

– Nie ty – powiedział Ben. – Tamtego ranka Annie Narrows z matką odwiedziły mnie w szpitalu, tuż przed tobą. Annie przyznała się, że to ona zawiadomiła Largo o zebraniu, że on wszystko ukartował i że samosądu dokonano za cichym przyzwoleniem szeryfa.

– Annie?

– Była wściekła na ojca, że przez niego straciła stypendium i musiała zostać w Bonne Chance. Dusila w sobie gniew, a Largo dowiedział się o tym od kobiety, u której Annie pracowała. Obiecał jej, że jeśli od czasu do czasu będzie mu donosiła o zamierzeniach Narrowsa, postara się o jakąś robotę dla niego, a ona będzie mogła wyjechać do szkoły. Przekazywała mu więc niektóre informacje, te, które uznała za mało istotne.

– Nie wiedziała, że może dojść do tragedii?

– Nikt nie wiedział. Nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji. W domu Narrowsów ciągle odbywały się jakieś zebrania, myślała więc, że tym razem po prostu zmienili miejsce. Kiedy dowiedziała się o śmierci księdza, wpadła w histerię. Wdarła się do gabinetu Largo i zażądała wyjaśnień, a ten z zimnym cynizmem wyjawiał jej prawdę. Czuł się bezkarny.

Uznał, że nic go to nie kosztuje, bowiem Annie ze strachu nie puścił pary z ust, skoro sama zawiadomiła go o dacie zebrania. Poza tym był pewien, że żaden sędzia nie dałby wiary słowom kolorowej dziewczyny.

– Więc się przyznał?

– Nie krył, że wszystko dokładnie zaplanował. Annie opowiedziała o tym matce, a potem przyjechały do mnie do szpitala. Powiedziała coś jeszcze... – Ben zawiesił głos, jednak wahał się tylko chwilę – że w przeddzień zbrodni twój ojciec spędził wiele godzin z Largo Hainesem na tajnej naradzie.

– Largo ostrzegł ojca, że szykują się aresztowania – potwierdziła Dawn. – Wiedział, że córka Ferrisa Gerritsena pakuje się w awantury i postanowił go uprzedzić. Ale ty... – teraz ona zawiesiła głos, jakby bała się dokończyć – ale ty wysłuchałeś Annie, po czym uznałeś, że jestem zamieszana w spisek, prawda?

Nie odpowiedział.

– Że z rozmysłem was nie ostrzegłam i z premedytacją dopuściłam do tragedii? No, powiedz. Jak w ogóle taka myśl mogła załęgnać się w twojej głowie?

Wciąż milczał, więc postanowiła sama udzielić mu odpowiedzi.

– Dobrze, powiem ci. Ponieważ ty nigdy mi nie ufałeś. Co z tego, że byłam bratanicą Hugh Gerritsena? Tobie wystarczył fakt, że byłam córką Ferrisa Gerritsena! Przyznaję, jestem. Tego nic nie zmieni, więc będę nią do końca życia. Oskarżyłeś mnie o współodpowiedzialność za śmierć stryja, zapominając, jak bardzo go kochałam!

Złapał ją kurczowo za rękę.

– Nie, Dawn, to nie tak! Nie mogłem patrzeć, jak się szarpiesz, bo sam nie mogłem dojść ze sobą do ładu.

– Ty? Taki niezłomny bojownik?

– Uwierz mi, Dawn, codziennie budziłem się złany zimnym potem ze strachu. Bałem się, że nie doczekam wieczoru, a jeszcze bardziej tego, że podkule ogon i ucieknę. Bałem się, że nie starczy mi odwagi, by bronić swoich przekonania. Tego dnia, kiedy ludzie Largo pobili mnie na szosie, byłem bliski decyzji, żeby dać sobie spokój. Nieustannie walczyłem z tchórzostwem i własną słabością. Nie mogłem znieść twoich rozterek, bo za bardzo przypominały mi moje własne. Przypisywałem ci słabość charakteru i uległość, bo nie potrafiłem uporać się ze swoją słabością.

Dawn milczała, jakby toczyła ze sobą zacięty bój.

– Jeszcze coś – Ben wykorzystał jej milczenie. – Po tym wypadku na szosie wiedziałem, że dojdzie do konfrontacji. W dniu zebrania byłem przekonany, że do starcia dojdzie tego właśnie wieczoru. Pamiętasz, dzwoniłem do ciebie. Chciałem ci o wszystkim powiedzieć. Bałem się o siebie, a co dopiero o ciebie.

– Dzwoniłeś, żebyś nie przyjeżdżała?

– Tak, ale powiedziano mi, że nie możesz podejść do telefonu. Niby na ciebie czekałem, ale poczułem ulgę, że w końcu się nie pojawiłaś.

– Powiedz mi, Ben, co ty byś zrobił, gdybyś wiedział o szykujących się aresztowaniach? – zapytała Dawn tonem, w którym był i żal, i udręka, i błaganie o miłosierdzie. – Nie poszedłbyś na zebranie? Stryj by je odwołał?

– Nie, nie zmienilibyśmy planów. Wszyscy stawiliby się w kaplicy bez względu na konsekwencje. Wszyscy się bali, ale nikt by nie skrewił.

– Dlaczego więc zrzuciłeś całą winę na mnie?

– Byłem w szoku. Kiedy minął, zrozumiałem, jak wielką wyrządziłem ci krzywdę.

– Nie wierzę ci.

– Po wyjściu ze szpitala dzwoniłem do ciebie wiele razy. Ciągle mnie zbywano.

– Bo natychmiast po pogrzebie stryja wyjechałam do Nowego Jorku. Nie doczekałam się telefonu od ciebie, więc byłam pewna, że już nigdy się nie odezwiesz.

– Potem opuściłaś kraj.

– A co mnie tu trzymało, skoro uwierzyłeś, że jestem potworem?

– Mylisz się. To ty uwierzyłaś, że jesteś potworem.

Chciała zaprzeczać, ale zabrakło jej sił. Ben miał rację. Nie uciekła przed jego oskarżeniami. Sama siebie oskarżyła i uciekła przed palącym poczuciem winy.

– Posłuchaj, Dawn, to nie ty zabiłaś swojego stryja – powiedział dobitnie. – Nikogo nie zabiłaś i nikogo nie zdradziłaś. Musisz wreszcie to zrozumieć.

Drżące wargi Dawn rozchyliły się w niemym proteście, jednak Ben był już przy niej, już całował je tkliwie, serdecznie, czule. Pragnął ukoić jej żal, uśmierzyć cierpienie. Pragnął wlać w jej serce wiarę, natchnąć ją otuchą i obdarzyć zaufaniem, którego wcześniej nie potrafił okazać.

– Przepraszam, Dawn, przepraszam – powtarzał.

– Nie przepraszaj. Nic już nie mów... już nic.

Przyłgnęła do niego mocno, a on otoczył ją ramieniem i odetchnął ciężko, głęboko. Miękkie ciepło jej ciała łagodziło bolesne napięcie, leczyło dawne lęki i dawne zwątpienia. Ulga, którą odczuwał, była tak wielka, że zdawało mu się, że życie nie musi toczyć się dalej, bowiem dobiegło właśnie szczęśliwego finału.

Przypomniał sobie o kluczach, które otrzymali od Aurore Gerritsen, i uśmiechnął się ze zrozumieniem.

Teraz już wiedział, co w jej zamyśle miały one otworzyć.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Kochali się na szorstkim dywanie, wśród bezładnego kłębowiska ubrań, porwani raptowną namiętnością i odurzeni nienasyconą żądzą, oczyszczeni nagle i wyzwoleni.

Kilkakrotnie dochodzili do finału, lecz rozpalone zmysły wciąż na nowo podejmowały miłosną grę, nie dając chwili wytchnienia. Nie potrafili zrozumieć, jak mogli obejść się bez siebie przez ten czas, kiedy ona tułała się po Europie, a on udawał, że żyje, w kolorowym San Francisco.

Na zewnątrz rozpętała się burza i deszcz tętnił teraz o dach miarowym, przyspieszonym rytmem, mieszając się z urywanym rytmem ich oddechów. Raz po raz nachodziły mocniejsze fale i wtedy chatka niemal trzęsła się od zmasowanych uderzeń grubych kropel.

– Nie rozumiem, co się stało – powtarzał Ben. – Jeszcze nigdy nikogo tak szaleńczo nie pragnąłem, jak ciebie.

Dawn mogłaby powtórzyć jego słowa. Ona też jeszcze nigdy nie pragnęła tak szaleńczo zespolić się z kimś, dać mu się całkowicie pochłonać, połączyć się z nim w jedno. I to nie na kilka chwil, lecz na zawsze.

To pragnienie ją przeraziło. Wyplątała się szybko z jego ramion, a on pomógł jej się ubrać pożądanymi, głodnymi jej ciała, lecz łagodnie pieszczotliwymi palcami.

- Żałujesz? – spytał stropiony, patrząc niepewnie w jej oczy.
- Że się kochaliśmy? Nie.
- Coś nie tak?

Wzruszyła ramionami. Deszcz bębnił o dach coraz gwałtowniej. Z każdą kolejną falą ogarniał ją coraz silniejszy niepokój; dziwny niepokój, niepojęty i narastający.

Nie była w stanie stwierdzić, jakie jest jego źródło, jak też znaleźć słów, którymi mogłaby opisać to uczucie.

- Minął rok. Oboje się zmieniliśmy. Teraz niby znowu jesteście razem, ale... – wzruszyła ramionami – mam wrażenie, że wciąż coś nas dzieli.
- Nie rozumiem – odparł Ben, przytulając jej dłoń do policzka.
- Jakie znaczenie ma dla ciebie to, że się kochaliśmy?
- Ogromne. Mam nadzieję, że wreszcie nam się ułożą.
- Tak myślisz? – Uwolniła dłoń i skończyła zapinać bluzkę. – A jednak tkwi we mnie jakaś wątpliwość.

– Niepotrzebnie. Od dawna wiedziałem, że nie masz nic wspólnego ze śmiercią stryja.

– Tak, ale ciągle podejrzewasz, że mój ojciec maczał w tym palce. To chyba to mi przeszkadza.

Ben długo milczał, wreszcie odezwał się, starannie dobierając słowa:

- Nie wymagam od ciebie, żebyś w to wierzyła.
- A czy naprawdę nie rozumiesz, że póki nie potępię ojca, nie zdobędę twojego zaufania? Te dwie rzeczy nie są dla ciebie niezależne, przyznaj.
- Nie żądam od ciebie, żebyś go potępiła. To, że nie ufam jemu, nie oznacza, że nie mogę zaufać tobie.
- Nie, Ben, to niemożliwe.

Rozpaczliwie szukał jakiegoś argumentu, którym mógłby przekonać Dawn, że senator Ferris Gerritsen nie ma nic do rzeczy wobec ich miłości. Nie znalazł.

Tymczasem Dawn wstała i drżącymi rękami wygładziła spódnice.

- Nie będę wybierać między tobą a ojcem. Już raz postawiono mnie wobec wyboru między tymi, których kochałam. Jeden z nich zginął.
- Jeśli wyjdiesz stąd beze mnie, właśnie dokonasz wyboru.
- Nie. Mam ochotę przez życie iść sama, a nie z jednym z was. To różnica.
- Dla mnie żadna.

Dawn trudno już było do czegokolwiek przekonać.

Zrozumiała wreszcie, co było źródłem jej niepokoju i dlaczego przeraziło ją to zapamiętanie w miłości z Benem. Zrozumiała, dlaczego Aurore postawiła ujawnić wszystkie swoje sekrety.

– Nie mam zamiaru być taka jak Grandmère – oznajmiła. – Jeśli będę musiała dokonać wyboru, dokonam go dlatego, że jest właściwy, a nie dlatego, że chcę, by kochał mnie tata albo ty.

– A chcesz, żebym cię kochał?

– W ogóle nie wiem, czy to jest możliwe – odparła nieco speszona. – A przynajmniej nie teraz. Może nigdy nie będzie.

– A jeśli powiem ci, że ja cię kocham?

– Nie mów mi tego. Będę się czuła jeszcze gorzej.

Wyciągnął ku niej ramiona, lecz usunęła się, dopadła do drzwi i wybiegła w deszcz.

Ben po raz pierwszy miał ochotę odszukać Spencera i błagać go, by doprowadził wreszcie ten koszmar do końca. Po południu skończył czytać dziennik Hugh Gerritsena. Wiedział teraz o wiele więcej niż w czasie niedawnej rozmowy z Dawn. Wiedział o rzeczach, które mogłyby w jednej chwili zburzyć na zawsze i tak już chwiejną równowagę klanu Gerritsenów. Jednocześnie wiedział, że to nie on miał ogłosić prawdę ostateczną.

Wszedł do domu przez kuchnię. Phillip siedział samotnie przy stole, jedząc resztki langusty.

– Zmokłeś? – zagadnął.

– Trochę. – Ben wiedział, że ma przed sobą jedyną osobę, do której mógłby zwrócić się o pomoc, zapytał więc bez zbędnych wstępów: – Powiedz mi, Phillip, czy ty wiesz więcej?

– Więcej niż kto?

– Przecież to się jeszcze nie skończyło, prawda?

– Nie, ale jutro mamy się spotkać ze Spencerem już po raz ostatni.

Ben zastanawiał się, czy nie zdradzić mu szczegółów, które poznał, czytając dziennik ojca Hugh, ale Phillip, jakby wyczuwając jego zamiary, lekko pokręcił głową i powiedział:

– Widzę, Townsend, że pchasz się przed orkiestrę. Poczekaj. Niech złe wieści oznajmi ktoś inny.

Odczuł ulgę. Phillip znał prawdę, może nawet wiedział więcej niż on, i to do niego należało dopowiedzenie zakończenia.

– Gdzie twoja matka? – zapytał Ben.

– Coś się stało? – Phillip zmarszczył brwi.

– Przeczytałem dziennik Hugh Gerritsena i mam jej coś ważnego do powiedzenia.

– Jest w swoim pokoju, odpoczywa.

Gdy Ben wszedł do urządzonej skromnie sypialni, Nicky stała przy oknie, patrząc na zatokę, która niepokojąco przybliżyła się do linii drzew.

– Mam ci coś do powiedzenia – zaczął z wahaniem.

Skinęła głową na znak, że słucha, lecz nie odwróciła się do niego. – Chodzi o coś, co wiedziałem od dawna, ale... czego nie rozumiałem.

– Ja również nie rozumiem wielu rzeczy – westchnęła.

– Przeczytałem dziennik ojca Hugh. Cały.

– W takim razie już wiesz.

– Wiem, że znałaś go w czasie wojny.

– Tak. Miałam również przyjemność poznać pana senatora.

– Mieszkałem u ojca Hugh zeszłego lata – powiedział Ben – niedługo przed jego śmiercią. Mogę powiedzieć, że poznałem go dobrze. Czasami rozmawialiśmy do późna w nocy, jak starzy przyjaciele. Był mi bliższy niż mój rodzony ojciec. Pewnego razu zapytałem go, dlaczego tak a nie inaczej pokierował swoim życiem.

Chciałem wiedzieć, czy to Bóg kazał mu włączyć się w ruch obrony praw człowieka, choć tak wielu ludzi Kościoła odwróciło się do tej idei plecami. A on odpowiedział, że... – zająknął się, niepewny, czy ma mówić dalej.

Nicky odwróciła się do niego i popatrzyła mu w oczy.

– No, co ci odpowiedział?

– Uśmiechnął się i wyznał, że to zasługa nie Boga, a pewnej kobiety.

Nicky stała w przeszklnych drzwiach, prowadzących na taras sypialni i zastanawiała się, ile razy matka stawała tak jak ona, wpatrując się w zamyśleniu w ten ponury pejzaż. Czy myślała wtedy o córce? Czy patrząc na synków, bawiących się pod powykręcany konarami dębów, widziała dziecko, które odrzuciła? Jej pierwsze dziecko?

Miała nadzieję, że tak.

– Czemu nie kładziesz się spać? – spytał Jake. – Robi się późno.

– Myślałam o matce.

– I jeszcze o kimś?

– Tak, o Hapie.

– Ach, o Hapie...

Odwróciła się. Jake nigdy nie był zazdrosny, choć mężczyźni na widowni dosłownie ślinili się do niej. Nie musiał. Wiedział, że Nicky pragnie tylko jego.

– Przez ostatnie dni przecierpiałam prawdziwe katusze – powiedziała zmęczonym tonem. – Ale dzięki temu zrozumiałam wiele. I wiem, że teraz znów mogę go kochać. Mogę pokochać Hapa tak, jak zawsze mogłam go kochać – jak brata. Rozumiesz?

Jake otworzył ramiona. Nicky przeszła przez pokój i wślizgnęła się obok niego do łóżka.

Spencer wstał wcześniej. W tym domu nie spało mu się dobrze, poza tym wolałby przybyć na Grand Isle w zupełnie innej chwili – wtedy, gdy Aurore nie była jeszcze żoną Henry’ego Gerritsena.

Wówczas nie była mu dana taka szansa, później zaś, kiedy ją poznał, było już za późno. Aurore zdążyła związać się z innymi mężczyznami – z jednym miłością, z drugim nienawiścią – on zaś mógł liczyć tylko na przyjaźń. Jednak to właśnie on znalazł się u jej łóża, gdy odchodziła na tamten świat. Ksiądz poszedł, udzieliwszy ostatniego namaszczenia, wyszli też Cappy oraz Ferris, bowiem nikt nie przypuszczał, że chora odzyska jeszcze przytomność.

Natomiast Aurore, zupełnie jakby czekała, by zostać ze Spencerem sam na sam, otworzyła wówczas oczy i uśmiechnęła się do niego.

Nie dostrzegął jej starości. Dla niego zawsze była młoda i piękna jak przed laty, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy. Nie miała siły mówić, on zaś nie miałby siły słuchać. Wiedział, że Aurore nie boi się śmierci, tak jak nie bała się życia. Z ulgą czekała na koniec.

Obiecał raz jeszcze, że wypełni wszystkie jej życzenia, a potem pochylił się nad łóżkiem i pocałował ją w czoło.

Teraz przyczesał przeredzone włosy i włożył garnitur.

Wiatr uderzał w dom z coraz większą siłą, a deszcz bębnił o szare stalowe żaluzje, zasłaniające widok na zatokę.

Na dole pozdrowił uprzejmie wszystkich, których napotkał, i zapowiedział, że spotkają się w ciągu najbliższych trzydziestu minut w salonie. Nicky i Jake kończyli jeszcze śniadanie w kuchni, a Ben z Phillipem rozmawiali na werandzie. Pelichere przyrządziła mu kawę, dokładnie taką, jaką lubił. Ze wszystkich tu obecnych tylko ona i Phillip znali sekrety Aurore, ale

Spencer obawiał się, że nawet Peli będzie zaskoczona dzisiejszymi rewelacjami. Na razie żartowała sobie, usiłując go rozruszać.

Odprężył się, słysząc jej głęboki, szczery śmiech, który przypomniawszy mu lepsze czasy. Uśmiech zniknął mu jednak z twarzy, gdy do kuchni wszedł Ferris Gerritsen.

Senator od początku uważał, że publiczne czytanie testamentu jego matki to farsa. W tym jednym, wyjątkowym przypadku Spencer musiał przyznać mu rację.

Dyskretnie zasięgnął porady kilku prawników, specjalizujących się w sprawach spadkowych, a ich opinia była jednoznaczna – żaden sąd nie uznałby psychodramy za metodę zmuszenia spadkobierców do wysłuchania i uznania testamentu. Spencer usiłował odwieść Aurore od tego dziwaczного pomysłu.

słu, uznał jednak, że to jej rodzina, a nie jego, i że ona wie lepiej, w jaki sposób rozegrać rodzinne sprawy. Aurore zaś twierdziła, że przyjadą wszyscy, bowiem każdego spośród tej ósemki dręczą pytania domagające się odpowiedzi. Albo kłamstwa, w których trzeba się utwierdzić.

– Chciałbym, żebyśmy jak najszybciej mieli to za sobą – powiedział Ferris.
– Czy zgadzasz się, żebym zwołał wszystkich?

– Oczywiście – przytaknął Spencer. – W salonie, za pięć minut.

– Z góry uprzedzam, że jeśli coś mi się nie będzie podobało, podważę ten testament.

– Jestem tylko adwokatem pańskiej matki, posłusznym wykonawcą jej woli. Ale powiem panu szczerze, senatorze – cieszę się, widząc, jak pan się denerwuje. Naprawdę.

Ferris wyszedł bez słowa. Spencer dopił kawę, lecz ta wcale go nie rozgrzała. Kiedy jednak po pięciu minutach wkraczał do salonu, wyprostował przygarbione plecy, a głowę trzymał dumnie i wysoko. Jak zwykle zajął miejsce z przodu. Przed sobą widział zmęczone, napięte twarze, z których każda poznała już swoją część prawdy. Teraz mieli poznać ją w całości.

– Za chwilę odczytam wam list od Aurore – oznajmił. – Później przejdziemy do szczegółów prawnych i wszyscy otrzymacie kopie testamentu.

– Czy potem będziemy mogli wreszcie się rozejść? – zapytał sarkastycznym tonem Ferris.

– Wiatr tak przybiera na sile, że byłoby nawet pożądane, abyście szybko stąd odjechali – odparł adwokat i wyciągnął zeszytymi z zimna palcami kopertę ze swojej teczki. Wyjął list, uśmiechnął się na widok eleganckich, lecz chwiejnych już liter. Aurore napisała ten list własnoręcznie, na miesiąc przed śmiercią.

– Nie ma pozdrowień – zaczął. – Aurore od razu przechodzi w swoim liście do rzeczy.

– Słuchamy – ponaglił go Ferris, a wówczas Spencer zaczął czytać.

– *Teraz wiecie już bardzo wiele o moim życiu, może nawet więcej, niż powinniście. Nie mogłam wyjawić wam tego przed śmiercią, gdyż bałam się skutków takiego kroku. Mam tylko tyle odwagi, by zdradzić swoje sekrety po śmierci. Najpierw postanowiłam napisać do ciebie, Nicky. Pamiętaj, że zawsze byłaś dla mnie moją malutką Nicolette, gdyż do końca nosiłam w sercu obraz dziecka, którego nie mogłam zatrzymać. Chciałabym ci powiedzieć, że bardzo cię kochałam i że zrobiłam dla ciebie wszystko, co mogłam. Wiedz, że dzień, w którym usłyszałam o twojej śmierci, był jednym z najgorszych dni w moim życiu. Ale muszę wyznać ci coś jeszcze. Moja miłość, Nicky, nie była na tyle mocna, bym podjęła się trudu wychowania ciebie. Wściekłość i żal, jakie czu-*

lam do twojego ojca, nie pozwoliły mi przewyciężyć obaw. Dlatego oddałam mu ciebie...

Spencer przerwał i spojrzał przelotnie na twarz Nicky. Domyślał się, że ta zimna maska, którą widział, jest tylko zasloną założoną na użytek świadków.

W istocie Nicky chłonęła słowa Aurore i miała je zapamiętać do końca życia. Być może któregoś dnia wybaczy matce, nawet jeśli Aurore nie oczekiwała przebaczenia.

Jake ujął Nicky za rękę, a Spencer czytał dalej:

– Wyznam ci, że w głębi serca zawsze byłam matką trójki dzieci. Kiedy ty i Hugh zakochaliście się w sobie, było mi żal was obojga. Mogę mieć tylko nadzieję, że teraz wybaczysz mi, że musiał odejść. Prosiłam go, by nie mówił ci, dlaczego. Uważałam, że prawda byłaby zbyt bolesna. Dziś ta sama prawda sprawia ci ból po latach. Umrę, córeczko, wiedząc, że pomimo moich błędów i braku matczynej opieki, znalazłaś szczęście w życiu. Ja nie znalazłam. W twoich żyłach płynie raczej krew ojca, mało masz ze mnie. I bądź za to wdzięczna losowi, moja kochana.

Spencer przerwał na chwilę, by wziąć oddech. Zwrócił się lekko w stronę Phillipa i podjął lekturę listu:

– Teraz ty, Phillipie... Powiedziałam ci tyle, że już niewiele zostało do powiedzenia. Może tylko to, że w dniu, w którym się spotkaliśmy, zobaczyłam, że masz wiele cech swojego dziadka. Najlepiej będzie, jeśli powtórzę to, co mówiłam już przedtem – Rafe byłby dumny z ciebie, podobnie jak ja.

Jeśli chodzi o ciebie, Cappy...

Przerwał i odnalazł ją wzrokiem. Cappy drgnęła i uniosła zwieszoną głowę, jakby zaskoczyły ją słowa teściowej, których wcale nie spodziewała się usłyszeć.

– Jeśli chodzi o ciebie, Cappy, to chciałam ci przede wszystkim przeprosić. Ukradłam ci córkę i wypchnęłam cię poza nawias swojego życia. Nie chciałam widzieć twojej siły, podkreślałam twoje słabości. Dlatego zostawiam ci w spadku to, co najważniejsze – mój żal za błędy, jakie popełniłam wobec ciebie. Teraz jeszcze zwracam ci Dawn, tak jak powinnam zrobić to od początku. Proszę, wybac mi, jeśli możesz.

Twąz Cappy złagodniała. Dawn chwyciła ją za rękę.

– Moja droga Pelichere... – odczytał z uśmiechem Spencer – ty i twoja mama byliście dla mnie prawdziwymi podporami. Uczylaś mnie lojalności, zaufania i odpowiedzialności za słowa. Jeśli zbyt rzadko powtarzałam ci, jak bardzo jestem wdzięczna, powtarzam to jeszcze raz.

Teraz słówko do ciebie, Ben... – Spencer wziął głęboki oddech. Był już taki zmęczony, a przed sobą miał najgorsze. – Przede wszystkim chciałabym poznać cię lepiej...

Kątem oka dostrzegł, jak Dawn gwałtownie uniosła głowę. Spojrzała na Bena, siedzącego w drugim końcu pokoju, on zaś patrzył na nią bez przerwy, od początku spotkania. Teraz ich spojrzenia spotkały się, jednak trudno z nich było cokolwiek wyczytać.

– Proszę cię też, byś przyjął mój dar i mądrze go spożytkował – czytał dalej Spencer. – Trzeba umieć oddzielać fakty od zmyśleń, prawdę od kłamstw. Myślę, że już tu potrafisz. Na koniec ty, kochana Dawn.

Kochałam cię za to, jaka jesteś, a nie za to, kim dla mnie byłaś. Ale muszę naprawić pewien błąd. Kiedyś powiedziałam ci, że trzeba mieć odwagę. Przed kilku laty ostrzegałam, żebyś nie wybierała pomiędzy tymi, których kochasz. Dopiero potem zrozumiałam, że żądałam niemożliwego. Dlatego proszę – zapomnij o moich słowach i dokonuj śmiałych wyborów. I nie trać wiary w swoją intuicję i wielkie możliwości. Kocham cię mocno, Aurore.

Spencer zobaczył, że blada twarz Dawn pobladła jeszcze bardziej. Z trudem zebrał siły do dalszego ciągu.

– To wszystko? – odezwał się Ferris.

– Tak, senatorze. Odczytałem cały list. Zostały jeszcze zapisy spadkowe.

Ferris speszył się. Widać było, że spodziewał się usłyszeć słowo do siebie. Cóż, kiedy matka nie uwzględniła go w liście.

Spencer sięgnął po kolejne papiery i odchrząknął.

– Nastąpią teraz ostatnie zapisy, dla reszty rodziny, przyjaciół i służby. Pelichere – zwrócił się do gospodyni

– Aurore zapisała ci dom na Grand Isle z całym wyposażeniem, oprócz pamiętek, które zechcą wziąć sobie Dawn i Cappy. Pozostawiła ci ponadto sumę pieniędzy wystarczającą na utrzymanie domu, która zabezpieczy ci również byt do końca życia. Aurore ma nadzieję, że inne dzieci Ti'Boo oraz jej wnuki będą mogły tu przejeżdżać.

– Kiedy tylko zechcą – powiedziała Pelichere, a oczy podejrzenie jej załśniły.

– Cappy, Aurore zostawiła ci całą swoją biżuterię, dom przy Prytania Street i wszystko, co się w nim znajduje.

Spencer uniósł głowę i odszukał wśród obecnych Nicky.

– Pani Reynolds, Aurore zostawiła pani dwie trzecie swoich udziałów w Gulf Coast Shipping, co czyni panią posiadaczką kontrolnego pakietu akcji. Pozostałe udziały mają przypaść po równo Dawn i Phillipowi.

Oczy Nicky rozszerzyły się gwałtownie, natomiast Ferris dosłownie wyskoczył z fotela i zakrzyknął:

– Co to za bzdura!? Wszystko jedno, czy moja matka urodziła ją, czy nie, Nicky Reynolds i tak nie jest jej ślubną córką! Według prawa dziecko z oficjalnego związku ma prawo do dziedziczenia jednej trzeciej majątku rodziców. A ty tu ogłaszasz, że żadne udziały w Gulf Coast nie należą się mnie, rodzonemu synowi Aurore Gerritsen?!

– Zgadza się – potwierdził Spencer, po czym kontynuował spokojnie: – Aurore ustanowiła również dwa identyczne fundusze dla Dawn i Phillipa, ale szczegóły omówię z zainteresowanymi przy innej okazji. Dodam tylko, że są zasobne i natychmiastowo dostępne.

Dawn z Phillipem spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

Phillip uśmiechał się, lekko oszołomiony.

Widocznie Aurore zaskoczyła go po raz kolejny.

– Benie Townsend, Aurore zostawia ci w spadku Gulf Coast Publishers, małe wydawnictwo związane z kompanią.

Dotąd wydawało jedynie katalogi i książki o tematyce marynistycznej, lecz Aurore ma nadzieję, że nadasz mu nowy impuls, współpracując z Dawn i z Phillipem.

Ben cicho gwizdnął przez zęby i pokiwał głową z wyraźnym zadowoleniem.

– I wreszcie pan, senatorze – oznajmił Spencer. – Pańska matka uporządkowała przed śmiercią sprawy majątkowe całej rodziny. Majątek ów jest ogromny, a większa jego część należała do pana ojca. Aurore zarządzała nim do swojej śmierci, a obecnie zostaje scedowany na pana. Podobnie jak cały majątek ruchomy pana Henry’ego Gerritsena oraz wszystkie zainicjowane przez niego inwestycje, czy też udziały w innych spółkach, jakie posiadał. Jest to dokładnie, co do grosza, jedna trzecia majątku pańskiej matki, o którą się pan tak dopominał.

Ferris stał nieruchomo. Zapewne zastanawiał się, czy wszczynać awanturę już teraz, czy poczekać z tym do powrotu do Nowego Orleanu. Spencer był pewien, że w głowie senatora już od dawna został ułożony plan przejęcia całości spadku po matce.

– Na tym zakończyłem odczytywanie formalnego zapisu ostatniej woli Aurore Gerritsen – oświadczył uroczyście. – Niestety, w części dotyczącej pańskiego udziału, senatorze, poczynione są zastrzeżenia. Mają one postać osobistej noty, którą mam panu przekazać, jak również pewnego drobnego daru, jaki za chwilę wręcę.

Spencer upił łyk wody i przystąpił do najtrudniejszej części swojego wystąpienia.

– Aurore postanowiła, że warunkiem otrzymania należnego panu udziału w spadku będzie założenie przez pana fundacji dobroczynnej dla potrzebujących mieszkańców Luizjany. Określenie jej kształtu i celów należy do pana, lecz konieczna będzie akceptacja moja lub moich następców na wypadek mojej śmierci. Gdyby uznał pan, że taka forma panu nie odpowiada, może pan podarować całą sumę na potrzeby jednego z murzyńskich college’ów w Nowym Orleanie, ale koniecznie pod własnym nazwiskiem. Ponadto pańska matka wymaga, by zrezygnował pan niezwłocznie z funkcji senatora i publicznie ogłosił, że nigdy nie będzie się ubiegać o jakikolwiek oficjalny urząd.

Spencer uważnie przyglądał się Ferrisowi, który wyglądał tak, jakby za chwilę miał eksplodować ze złości. Niespodziewanie zamiast gniewem senator wybuchnął szyderczym śmiechem.

– Mam traktować to jako żart?

Stary adwokat wyjął z kieszeni małe pudełeczko i podszedł do niego z niewinnym uśmiechem.

– Żaden żart, senatorze. Mało tego, jest jeszcze jeden warunek. Pańska matka wymaga, by znalazł pan sposób zwrócenia poszkodowanym zysków z dzierżawy pewnych terenów roponośnych, jakie Largo Haines, reprezentowany przez pana przy tej transakcji, uzyskał w nielegalny sposób. Jeśli pan tego nie uczyni, wszystkie okoliczności tej transakcji zostaną ujawnione nowoorleańskim mediom.

Ferris przestał się śmiać. Gwałtownie zerwał pokrywkę z pudełeczka, jak gdyby w środku spodziewał się znaleźć jakiś ważny dowód.

– Różaniec Hugh– szepnęła Cappy, która pochyliła się, by zobaczyć, co mąż trzyma w dłoni. – Dostał go w dniu święceń i nie rozstawał się z nim nigdy.

Ferris popatrzył na różaniec, a potem na Spencera.

– Co to ma być? – warknął. – Dlaczego mi go dałeś?

– Różaniec jest darem od matki, senatorze. Pański brat miał go przy sobie, gdy został zamordowany. Aurore uznała, że pan, jako odpowiedzialny za śmierć Hugh, powinien otrzymać tę pamiątkę po bracie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

– Spencer, o czym ty mówisz? – Dawn zerwała się gwałtownie z miejsca. Adwokat zignorował ją. Milczał, nie spuszczać wzroku z Ferrisa.

– Stary dureń! – skomentował z pogardą senator. – Dałeś się nabrać, frajerze.

Na moment Dawn prawie uwierzyła ojcu, ale w tej samej chwili wyczuła w jego głosie nieuchwytną, obcą nutę. Z początku nie rozpoznała jej natury i dopiero po chwili zrozumiała, że to strach.

Ferris Lee Gerritsen bał się!

– Spencer, wyjaśnij nam, proszę, o co chodzi – odezwała się do adwokata najbardziej spokojnym tonem, na jaki było ją stać.

– Czy raczy nam pan wreszcie powiedzieć prawdę, senatorze? – Spencer zwrócił się do jej ojca.

– To bzdura! – zachnął się Ferris. – Nie miałem powodu, by życzyć bratu śmierci. Oczywiście każdy wiedział, że ja i Hugh nie zgadzamy się w wielu sprawach, ale przecież nie jestem bratobójcą. Nigdy nie zleciłbym morderstwa! – Wyraźnie wzburzony, zwrócił się do córki. – Mam nadzieję, że przynajmniej ty mi wierzysz.

Dawn nie mogła się zdobyć na spojrzenie w jego świdrujące oczy. Zdążyła wyczuć jego strach, zanim zdołał nad nim zapanować, i wiedziała już, że to, co widzą, to spektakl grany po mistrzowsku przez zawodowego polityka. Ferris Gerritsen umiał pałać na zawołanie świętym oburzeniem i słusznym gniewem.

– Spencer, proszę – nalegała. – Powiedz, o co chodzi.

Zdawało się, że wiekowy adwokat postarzał się jeszcze bardziej. Wyciągnął ku niej drżącą dłoń, ona zaś ujęła ją w krzepiący uścisk, choć nie była pewna, które z nich bardziej potrzebuje wsparcia.

– Ojciec Hugh stał na pana drodze, senatorze – oświadczył Spencer, patrząc na Dawn. – Jego nieprzejednane poglądy były nie w smak Largo Hainesowi i narażały na szwank pańskie z nim układy, nie mówiąc już o tym, że podkopywały pana autorytet u wyborców w Plaquemines. Już samo to wystarczyłoby jako powód przy pana niepokonanych ambicjach, ale było coś jeszcze. Pewnego dnia ojciec Hugh zaczął zadawać niewygodne pytania, dotyczące korporacji Hainesa, która wydzierzawiła tysiące hektarów bezcennych terenów roponośnych od spółki portowej w Bonne Chance, a potem odnajęła je kompanii naftowej za słony procent udziału w zyskach.

– I co z tego? Wszyscy tak robią – burknął Ferris.

– Ale w tym przypadku gubernator Earl Long pod koniec swojej ostatniej kadencji zarządził śledztwo. Rozeszły się plotki, jakoby niektórzy członkowie spółki mieli wyrazić zgodę na tę transakcję pod wpływem szantażu. Zaczęły

po kolei wychodzić na jaw różne nieprawidłowości, ale po wyborze nowego gubernatora i władz stanowych śledztwo zostało umorzone.

– Co to wszystko ma wspólnego ze mną? – obruszył się Ferris.

– Ojciec Hugh został pewnego dnia wezwany do wypowiedziania umierającego ze swojej parafii – ciągnął niewzruszenie Spencer. – Ów człowiek na łożu śmierci wyznał mi, że należał do spisku, który miał doprowadzić do umorzenia śledztwa. Osobiście wręczył dużą sumę pieniędzy senatorowi z naszego stanu, który miał wpłynąć na władze śledcze w Baton Rouge. Tym senatorem był pan, panie Gerritsen.

– I co, mam być skazany na podstawie przedśmiertnego bełkotu sprzed wielu lat?

Spencer puścił dłoń Dawn i odwrócił się do Ferrisa.

– Ależ skąd. Pański brat nie był aż tak naiwny, jak można by sądzić. Zaczął poszukiwać dowodów na to, że pana związki z Largo Hainesem były nie tylko polityczne.

Wykrzył, że to pan był odpowiedzialny za organizację lewych interesów w korporacji Hainesa i otrzymywał pan z tego tytułu znaczne zyski. Ojciec Hugh miał dobrą orientację w interesach i wiedział, skąd uzyskać informacje. W krótkim czasie zdobył dowody, że był pan niejawnym pośrednikiem pomiędzy Largo a władzami śledczymi. Wszystko to jest panu doskonale znane, gdyż ojciec Hugh zjawił się kiedyś u pana, żądając wyjaśnień.

– To kłamstwo! Bezczelna próba zdyskredytowania mojego autorytetu!

Dawn dostrzegła pot, które wystąpił nagle ojcu na czoło. Ktoś cicho stanął u jej boku. Przez chwilę myślała, że to Ben, ale okazało się, że Phillip.

– Pozwolicie, że teraz ja opowiem, co było dalej – powiedział. – Otóż twoja matka dokonała własnego śledztwa po śmierci ojca Hugh. Odkryła, że kiedy dowiedziałeś się, co on wie, natychmiast spotkałeś się z Largo – zwrócił się do Ferrisa. – Ostrzegłeś go, że twój brat jest bliski ujawnienia prawdy o waszych wspólnych machinacjach. Wówczas Haines powiedział ci, że Hugh trzeba uciszyć i że nadarza się po temu doskonała okazja. Oczywiście nie byłem przy tej rozmowie i nie wiem, czy próbowałeś go odwozić od tego zamiaru, ale fakt pozostaje faktem. Hugh Gerritsen zginął następnego dnia, a ty nie zrobiłeś nic, by go ratować.

Dawn stanęła twarzą w twarz z Phillipem.

– Jakie masz na to dowody?

Spencer ubiegł go z odpowiedzią.

– Z początku Aurore nie podejrzewała, że twój ojciec, Dawn, może być zamieszany w tę sprawę. Wiedziała za to, że szeryf z Bonne Chance chodzi na pasku Largo Hainesa i że nigdy nie doszło do uczciwego śledztwa w sprawie śmierci twojego wuja. Skazano mordercę na podstawie odcisków palców, to wszystko. Czula jednak, że ktoś jeszcze musiał sterować tą zbrodnią.

– W porządku, przyznaję, że Hugh przyszedł wtedy do mnie – powiedział Ferris i w pokoju zapadła nagle głęboka cisza. Wszyscy wstrzymali oddech i słysząc było teraz jedynie potężniejące wycie wiatru za oknami.

– Przeszedł do mnie... – powtórzył Ferris lekko drżącym głosem. – Prosiłem, żeby mnie nie wydawał. Tłumaczyłem, że nie wie o różnych układach i że jeśli pójdzie z tym do prasy, to pograży mnie na zawsze. I nawet jeśli zdołam oczyścić się przed sądem z zarzutów, przylgnie do mnie etykieta skorpumpowanego polityka...

– Sądzisz, że twoi wyborcy przejmują się takimi drobiazgami? – prychnął sarkastycznie Phillip.

– To ma być dowcip? – Ferris spiorunował go spojrzeniem.

– Bynajmniej. Po prostu myślę, że już wtedy wiedziałeś, że twój brat musi zginąć.

– Nie wiedziałem! Hugh zawsze był pewien, że postępuje właściwie, w imię wyższego dobra. Nie miał ochoty słuchać moich wyjaśnień. Namawiał mnie, bym zrezygnował z urzędu, twierdząc, że jeśli tego nie zrobię, będzie zmuszony podać wszystko, co wie, dziennikarzom i zmusić władze do uczciwego dochodzenia.

– I wtedy kazałeś go zabić.

– Nie!

– Ale kwestia zabójstwa była dyskutowana w twojej obecności – naciskał bezlitośnie Phillip. – Wiem o tym, ponieważ pojechałem do Angoli, by spotkać się z człowiekiem, który został skazany za zastrzelenie twojego brata. Trzeba było zatrudnić zawodowca, senatorze, i zapłacić mu dobrze, a nie kombinować. Largo Haines przekombinował. Myślał, że pobyt w celi raz na zawsze uciszy tego głupka. Nie wiedział tylko, co więzienie robi z ludzi. Ten gość to był amator, który zmiękł i wyśpiewał mi wszystko. Był tak zdesperowany, że zgodził się na zwierzenia, nie zważając na kolor mojej skóry!

– Chwileczkę, Phillip – odezwała się Dawn i poczekała, aż na nią popatrzy. – Czy on, ten morderca, powiedział ci, że mój ojciec...

– Tak – Phillip z powagą skinął głową. – Przykro mi, Dawn...

Znów odwróciła się ku ojcu. W głowie kłębiło jej się tysiące pytań, cała nieskończoność pytań, lecz nie była w stanie zadać żadnego z nich.

– Wyżej stawiacie zeznania mordercy niż moje?! – uniósł się Ferris.

– Powiedz mi, że cię przy tym nie było – poprosiła. – Tylko tyle. Po prostu zapewnij mnie, że nie byłeś u Largo, kiedy ten postanowił zamordować stryja Hugh. Tylko patrz mi w oczy, tato. Niech zobaczę, że mówisz prawdę.

– Nie było mnie tam! – zapewnił Ferris i zgodnie z życzeniem spojrzął córce prosto w oczy. Przez chwilę nie widziała w nich nic poza świętym oburzeniem. Tak bardzo chciała mu uwierzyć, że była gotowa przyjąć owo oburzenie za słuszne i szczere. Nagle jednak, niemal w ułamku sekundy, siła woli narzu-

cająca mu fałsz przysła. Dawn zobaczyła to, co ojciec z takim mistrzostwem ukrywał przez długie miesiące, jakie upłynęły od śmierci Hugh. Gdy zaś pojęła, że jej ojciec jest kłamcą, targnęło nią narastające, niepowstrzymane łkanie.

– Twoja matka dowiedziała się prawdy, senatorze – mówił tymczasem Spencer. – I w ostatnim roku swojego życia musiała zadecydować, co zrobić z tą przerażającą wiedzą. W samym testamencie nie wspomina o majątku, z którego będziesz musiał zrezygnować, czy o twoim wycofaniu się z polityki. W spadku na resztę życia zostawia ci przymus przemyślenia swoich czynów i naprawienia krzywd, które wyrządziłeś. Jeśli jednak nic w nim nie zmienisz, jeśli będziesz usiłował zatrzymać majątek i kontynuować karierę polityczną, wiedz, że kolejne lata spędzisz w więzieniu.

– Perfidna pułapka – syknął Ferris.

– Dlaczego pułapka? Przecież pani Gerritsen zostawiła panu wyjście, senatorze. Zapewniła wybór między końcem a początkiem.

– Nic z tego – uciał Ferris. – Zostaję tutaj, żeby was pokonać. Wasze argumenty przeciwko mnie to stek łgarstw i posądzeń. Nie zmusicie mnie żadnym szantażem, abym przyznał się do niepopołnionych win.

– Nie trzeba szantażu. Po prostu ujawnimy prawdę.

– Cappy! – Ferris odwrócił się do żony. – Pakuj się, zaraz wyjeżdżamy.

– Nigdzie nie jadę – oświadczyła Cappy, a Dawn uświadomiła sobie nagle, że matka stoi u jej boku. – A w każdym razie nie z tobą. Przez całe lata milczałam, Ferris, ale tym razem miarka się przebrała.

– Chcesz powiedzieć, że wierzysz im, a nie mnie? Nie widzisz, jak ohydnie zostałem wmanewrowany?

– Sam się wmanewrowałeś. I nie masz już odwrotu.

– Dawn? – Ferris spojrzał z nadzieją na córkę. – Przynajmniej ty mnie nie zostawiaj, chodź ze mną – błagał. – Potrzebuję ciebie, córeczko. Na litość boską, chodź, przecież jestem twoim ojcem!

Za oknami słychać było potępieńcze wycie wichru, takie samo, jak owego dnia, gdy pradziadek Dawn jednym ruchem skazał na śmierć Marcelite i jej dzieci. Takie samo, jak innego dnia, gdy jej babka wyrzekła się mężczyzny, którego kochała i nienarodzonego dziecka.

W tym momencie wszystkie tragiczne wybory rodów Le Danois, Cantrelle i Gerritsen stały się dla niej przeraźliwie wyraziste, jakby skąpane w świetle błyskawicy.

Powoli pokręciła głową.

– Człowiek, który miał prawo nazywać się moim ojcem, został zamordowany rok temu.

Ferris wzdrygnął się, jakby trafił go cios. Twarz ściągnęła mu się gniewem.

– Niech was szlag! Wszystkich po kolei! – ryknął, po czym gwałtownie ruszył ku drzwiom. Pelichere szybko usunęła mu się z drogi i w chwilę później drzwi wejściowe załomotały, aż zatrzęsł się cały dom.

Cappy zaczęła płakać. Dawn wzięła matkę w ramiona i tuliła ją kurczowo, dopóki nie poczuła na ramieniu dotyku czyjejś dłoni.

– Usiądźmy – powiedziała miękko Nicky.

Przez moment Dawn zobaczyła w jej współczującym wzroku cień Aurore. Nicky powiodła obie kobiety ku kanapie.

Przez szum wiatru przedarło się nagle gwałtowne walenie do drzwi. Pelichere poszła sprawdzić, co się dzieje. W chwilę później Ben wpadł do salonu i rzucił pospiesznie:

– Posłuchaj, Dawn, musisz...

– Błagam cię, nic nie mów – poprosiła. Bała się, że jeśli zacznie ją pocieszać, rozklei się kompletnie.

– Porozmawiamy o tym później, dobrze?

– Przepraszam, ale wyszedłem za Ferrisem. Spotkałem policję, mówili, że ewakuują całą wyspę. Huragan... Musimy się zbierać, i to szybko.

– Nie odjadę stąd, dopóki nie zabezpieczę domu – stwierdziła twardo Pelichere, wchodząc do pokoju.

– Pomogę ci – ofiarował się Ben. – Ale najpierw odwiezę Dawn.

– Ja też zostanę z Peli – stwierdziła Dawn, podnosząc się z kanapy. – Znam tu każdy kąt, wiem, co gdzie leży. Poza tym babcia kochała ten dom i nie chcę, żeby coś mu się stało. Jestem jej to winna. Lepiej zabierz Spencera, Ben. Te przeżycia musiały podkopać jego siły.

– Jake i ja zabierzemy twoją matkę – wtrąciła Nicky.

– A ja zostanę i wam pomogę – dodał Phillip. – Potem wyjedziemy stąd razem.

– Dzięki – popatrzyła na niego z wdzięcznością.

Odwróciła się, by wyjść, ale Ben ujął ją za rękę.

Uśmiechnęła się, chcąc złagodzić jego napiętą minę.

– Będę uważać na siebie, nie martw się.

Odpowiedział smutnym uśmiechem i puścił ją wolno.

Z dala dobiegł głośny, ostrzegawczy głos kościelnego dzwonu.

Ferris jechał wolno w stronę Bonne Chance, klnąc na wzmagający się coraz bardziej ruch. Pieprzył ten cholerny huragan i wszystko, co nie pozwalało mu jak najszybciej znaleźć się u Largo. Stara rezydencja Hainesa od dwustu lat dzielnie znosiła wszystkie kłęski Luizjany.

Tam się zadołuje i przeczeka. Będą mieli czas, żeby obmyślić następne posunięcia.

Huragan martwił go najmniej. Słusznie nazywa się te klęski kobiecymi imionami. Betsy nie Betsy, każda baba jest taka sama. Niech się ciska i wyje! Kochana mamuśka zza grobu nie wygra z nim, ani tym bardziej

z Largo. On, Ferris, zachowa majątek i polityczną karierę, a martwa kobieta i byle wiaterek nie przeszkodzą mu w tym, o nie!

Przy Caminada Pass zrobił się korek. Ferris zerknął na wskaźnik poziomu gazu. Niewiele brakowało do rezerwy. Nic dziwnego, pomyślał, ostatnio tankowałem w Bonne Chance. Jeśli będzie sunął w korku przez całą drogę do Leeville, zbiornik może zrobić się pusty.

Nerwowo zabębnił palcami po kierownicy. Przez kwadrans przesunął się zaledwie o kilkadziesiąt metrów.

Włączył radio. Huragan nasilał się. Ferris zaczął kłać, wściekle, jednostajnie. W normalnych warunkach zdążyłby do BonneChance przed najsilniejszym uderzeniem wiatru, ale teraz na pewno zablokują drogę na południe.

Cholera, całkiem możliwe, że Largo wyjechał w tej sytuacji z Plaquemines. Miał jeszcze mieszkanie w Nowym Orleanie i służbowy dom w Baton Rouge, w którym Ferris miał swój pokój. W nagłym odruchu postanowił jechać właśnie tam. Mniejsza o Largo, tu chodziło o to, by ratować własny tyłek!

Wóz wjechał na most i aż się zachwiał pod uderzeniem wiatru. Ferris rozmyślał o Dawn, małej dziewczynce, która lekliwie zakrywała oczy, ilekroć tędy przejeżdżali. Denerwował go ten irracjonalny lęk przed wąskim paskiem wody. A później, gdy dorosła, już tylko rozczułał.

Dawn, jego córka, jego jedyna słabość. Córka, która bardziej kochała jego brata. On zaś kochał ją tak, jak kiedyś Hugh.

Hugh...

Cholera, jaka szkoda, że tak to wyszło. Tyle mogliby wspólnie działać. Mając takiego współnika, doprowadziłby Gulf Coast i interesy Gerritsenów do rozkwitu, jakiego nie widziano w Luizjanie. Powiedział mu to przy jednym z ich ostatnich spotkań. Ale nie przy ostatnim. I nie tamtego strasznego dnia, kiedy Hugh przyszedł do niego, by dowiedzieć się prawdy o przekrętach naftowych. Potem widział już brata tylko raz – w noc, kiedy został wydany na niego wyrok.

Tamtej nocy duszne powietrze Plaquemines przypominało mu piekło. Wcześniej pojeździł okrężnymi drogami, pragnąc zmylić trop na wypadek, gdyby był śledzony. Largo mógł wpaść na pomysł, by sprawdzić jego lojalność. Ferris był prawie pewien, że kiedy pierwszy raz wyjechał z parafii Hugh, kierując się do Nowego Orleanu, ktoś jechał za nim.

Tym razem nic się nie działo. Widać Largo uznał, że Ferris ma zbyt wiele do stracenia, by pokusić się o ostrzeżenie brata.

A jednak Haines nie rozumiał jednego – siły braterskich związków.

Ferris sam do końca tego nie pojmował – do momentu, kiedy wiedziony nagłym impulsem, zawrócił samochód. Widział pożytek ze śmierci Hugh, przyjął do wiadomości rzeczowe argumenty Largo.

I zgodził się na wszystko. Dopiero w drodze zrozumiał, że pozostawienie brata na pewną śmierć bynajmniej nie zakończy całej sprawy.

Dojeżdżając do magnoliowej alei wiodącej do plebanii, zgasił światła. Po-tem upewnił się, że nikt nie nadjeżdża, i zaparkował w ukryciu. Ostatni odcinek przeszedł pieszo, po czym zapukał cicho do kuchennych drzwi. Hugh był sam. Jeszcze nie spał. Wpuścił brata bez słowa. Popatrzył na Ferrisa z bezna-miętnym wzruszeniem ramion i zapytał:

– Więc powiedziałaś Largo, że wiem o przekrętach Nie było sensu pytać, skąd wie.

– On chce cię usunąć, Hugh. Szykuje się na ciebie w środę, na wieczorny wiec.

– A ty czego chcesz?

– Chcę, żebyś jak najszybciej się stąd zmył. Pakuj się i wyjeżdżaj z Luizja-ny. Jeśli chcesz, powiedz swojemu biskupowi, że coś ci grozi, ale nie wdawaj się w szczegóły. Poproś, żeby cię przeniósł do jakiejś małej

diecezji na drugim końcu Stanów, i nie wracaj tu więcej, Hap. Nigdy nie wracaj.

– Naprawdę myślisz, że ucieknę?

Ferris poczuł bolesny ucisk w sercu. Znał odpowiedź.

Czy jego brat kiedykolwiek przed czymś uciekał?

Nigdy. Nawet jeśli się bał, umiał wytrwać do końca.

Hugh otworzył przed nim drzwi.

– Nie chcę, żeby Dawn była na tym nabożeństwie – powiedział. – Nie chcę, żeby widziała, jak ginę.

Zadbaj o to. I uważaj, żeby Benowi i innym nic się nie stało.

– Samobójca!

– Możliwe.

– Chcę, żebyś żył!

– Więc zrób coś, żeby powstrzymać Largo. Zostawiam ci wybór.

– Ostrzegłem cię! Tyle mogę dla ciebie zrobić. I nic więcej!

Hugh otworzył drzwi szerzej i czekał. Ciemność za nimi zapraszała. Ferris minął go i zszedł po schodkach.

Zatrzymał się jeszcze i popatrzył na brata z dołu. Z dołu, bo Hugh zawsze nad nim górował.

– Przecież nie musiałem cię ostrzegać – powiedział.

– Ale jestem ci to winien, jako bratu. Niech to szlag, Hap, z tobą zrobiłbym wszystko! Czy zastanawiałaś się

kiedyś, ile moglibyśmy razem zdziałać?

Hugh zaczął zamykać drzwi.

– Chcesz umrzeć, co? Chcesz zostać męczennikiem?

– Chyba nie sądzisz, że uprzejmie przytaknę, żeby ci było łatwiej? – usłyszał jeszcze głos Hugh'a, a potem już tylko szcęk zatrzaskiwanych drzwi.

Nawet po tej ostatecznej rozmowie Ferris nie mógł jeszcze uwierzyć, że Hugh pójdzie na nabożeństwo. Do końca, dopóki Largo nie zadzwonił, że już po wszystkim, ludził się, że Hap jednak ucieknie.

Ściana deszczu gęstniała. Wycieraczki nie nadążały zbierać strug wody z przedniej szyby. Z najwyższego punktu na moście Ferris widział przed sobą rozmyte smugi tylnych świateł. Sznur wozów ciągnął się aż po horyzont, a on tkwił tu, uwięziony ze swoimi myślami, naglony potrzebą dotarcia do Hainesa. Powoli zaczęła go ogarniać panika. Byle dostać się do autostrady! Tam powinno się trochę rozluźnić.

W pewnym momencie zorientował się, że właśnie mija skrzyżowanie z boczną drogą, która biegła ku

bagnom, otaczającym Zatokę Caminada. Kiedyś, jako chłopaki, wykradali się tam z Hugh na ryby. O ile sobie przypominał, droga zbliżała się do krawędzi bagien, a potem odbijała na zachód, po niedługim czasie łącząc się z autostradą. Przez pół wieku ludzie unikali miejsca, gdzie niegdyś była osada, uważając je za nawiedzone.

Opowiadano, że wiatr przynosi rozpaczliwe głosy tych, których zabrał żywioł przed początkiem stulecia. Stopniowo jednak plotki ucichły, a na bagna zaczęli znów zapuszczać się myśliwi i wędkarze. Droga zatem musiała być używana.

Podjąwszy decyzję, Ferris wyrwał się z korka i skręcił w boczną szosę. Tak, dojedzie nią do autostrady, omijając zator. Od razu poczuł się pewniej. Czuł jeszcze lęk, ale trzymał go w ryzach. Ucichnie, przeczeka, aż sprawa przyschnie, a przez ten czas zastanowi się nad dalszą strategią. Odzyska wszystko, co stracił.

Hugh sam wybrał śmierć. Był ostrzegany. Sumienie Ferrisa było czyste.

Jednak z każdą milą czuł się mniej pewnie. Droga stała się węższa, pojawiło się błoto, koleiny i rozmyte pobocza. Co gorsza, zaczęło mu się zdawać, że wcale nie skręca na zachód. Szukał jakiegoś odgałęzienia, ale nie znalazł. Obawiał się, że nadal jedzie na północ.

Dokładnie w chwili, w której zdecydował się zawrócić, silnik zakrzuszył się i zgasł. Miał jeszcze rezerwę paliwa, ale bardzo niewielką. Przekręcił kluczyk i z ulgą usłyszał, że silnik znów pracuje. Powolutku dodał gazu, szukając miejsca do nawrotu. Po kilkunastu metrach wóz znowu stanął, tym razem na dobre.

Rozejrzał się niespokojnie. Droga błyskawicznie zamieniała się w grząskie bagno. Panika zawładnęła nim od nowa, z jeszcze większą siłą. Odruchowo poszukał na siedzeniu parasola, lecz po chwili uznał, że to śmieszne – szukać parasola w obliczu nadciągającej z furją Betsy.

Zaledwie uchylił drzwi, wściekły poryw wyszarpnął mu je z ręki. Wygramolił się z wozu i momentalnie przemókł. Rzut oka na samochód upewnił go, że zdarzyło się najgorsze – koła tonęły w błocie do pół osi.

Odruchowo rozejrzał się za gałęzmi, które mógłby pod nie podłożyć, ale wokół nie było żadnych drzew. Zajrzał do bagażnika. Był pusty.

Porywy wiatru siekącego ulewą były tak silne, że z trudnością mógł utrzymać się na nogach. Nie miał jednak wyjścia. Musiał iść z powrotem, aby dotrzeć do zabudowań, które widział na początku drogi.

Ścisnął pod szyją kłapy marynarki, pochylił głowę i zaczął mozolny marsz. Woda chlupotała pod nogami.

Wzdrygnął się ze wstrętem, kiedy drogę przeciął mu płynący wodny wąż. Moczary były stanowczo zbyt blisko. Usiłował iść szybciej, ale choć miał jeszcze niezłą kondycję, wiatr po chwili rzucił go na kolana.

Kiedy zarysy budynków pojawiły się wreszcie w oddali, poczuł krzepiący przypływ nadziei. Już zaczynał rozróżniać kształty – strome, wysokie dachy i wysokie, solidne kolumnady. Spuścił głowę, starając się szybciej brnąć ku nim, patrząc przy tym uważnie, co ma pod stopami. Nawet jeśli nikogo nie będzie w pierwszym z budynków, odpocznie na werandzie, a potem ruszy dalej.

Kiedy ponownie uniósł głowę, miał przed sobą kępę poskręcanych, błotnych dębów. Masa splątanych gałęzi przypominała dachy, a potężne pnie – kolumnady.

– Nie! – krzyknął rozpaczliwie, nie chcąc przyjąć do wiadomości tego, co zobaczył, lecz wiatr wtłoczył mu krzyk z powrotem do gardła. W którymś momencie musiał zboczyć z drogi i pomylić grząską nawierzchnię, skrytą pod warstwą mętnej wody, z bagnistym gruntem.

Nie miał pojęcia, gdzie jest. Poza pasmem drzew nie było żadnych znaków orientacyjnych. Każdy krok w niewłaściwą stronę groził zapadnięciem się w śmiertelnie niebezpieczne moczary. Spróbował się opanować i zmusić do myślenia. Dęby nie rosną na bagnie, muszą mieć twarde grunty. A w podmokłej Południowej Luizjanie każdy twardszy skrawek gruntu wykorzystuje się na osady lub drogi. Jeśli będzie się trzymał drzew, na pewno dojdzie do autostrady. Zaczął brnąć mozolnie ku drzewom. Ręce zgrabiały mu z zimna, wcisnął więc drżące dłonie w kieszenie spodni. Nagle w jednej z nich natrafił na coś twardego i gładkiego, o nieznanym kształcie. Powoli wyciągnął z kieszeni różaniec o paciorkach z drewna oliwnego z Ziemi Świętej. Różaniec Hugh.

W pierwszym odruchu chciał go cisnąć w wodę, ale nie był w stanie tego zrobić. Paciorki różańca były ciepłe i suche, jak gdyby przed chwilą dotykały ich ręce brata. Przyłożył je do policzka.

EPILOG

Dawn ujęła odzianą w czarną rękawiczkę dłoń matki i ścisnęła ją lekko. Mszę odprawiano po angielsku, a nie po łacinie, w której znajdowała ukojenie. Nie była wkościele od czasu pogrzebu wuja Hugh– teraz zjawiała się na pogrzeb ojca. Ten sam rytuał, dwaj zupełnie różni ludzie.

Wyłakała już wszystkie łzy. Pierwsze popłynęły, gdy policja stanowa zawiadomiła Cappy o znalezieniu samochodu Ferrisa, pogrążonego w wodzie po okna na terenie dawnej „Chéniere Caminada”. Później płakała, gdy po kilku dniach znaleziono jego ciało, o sto metrów dalej, obok dębu zwęglonego uderzeniem pioruna.

Nigdy nie miała się dowiedzieć, skąd ojciec znalazł się na tym pustkowiu, daleko od drogi. Ale los był dla niego szyderczo okrutny nawet w chwili śmierci.

Dęby rosły w miejscu, gdzie przed ponad siedemdziesięciu laty pochowano w masowym grobie ofiary innego strasznego huraganu. Wcześniej nie znano dokładnie miejsca ich pochówku i dopiero Betsy wyrwała z płytkich mogił strzępy całunów i resztki kości.

Być może kiedy Ferris Gerritsen wydawał ostatnie tchnienie, Marcelite i jej córeczka spoczywały w ziemi tuż pod nim.

Dawn po raz ostatni przyklękła przed trumną. Grabarze już czekali, by zabrać ją z katafalku. Kiedy Cappy ruszyła ku wyjściu, ujęła ją pod rękę. Wiedziała, że matka żałuje Ferrisa, ale, podobnie jak ona, płacze nie po człowieku, jakim był, lecz po tym, jakim mógł być.

Skinęła głową Nicky, Jake’owi i Phillipowi, którzy stali razem w bocznej nawie. Cappy zawahała się, lecz podeszła do nich, choć rękę wyciągnęła tylko do Nicky.

Przez moment rozmawiały ścisłym tonem, aż wreszcie Nicky pochyliła się i pocałowała Cappy w policzek.

Dawn zerknęła na Phillipa. Wzruszył tylko ramionami, a ona uśmiechnęła się pod zasłoną woalki.

Ceremonia na cmentarzu Saint Louis była na szczęście krótka. Tłum żałobników wił się w ogonku, by złożyć kondolencje, lecz większość z tych szepczących zdawkowe słowa osób Dawn widziała po raz pierwszy.

Miała szansę poznać tych ludzi na stypie. Ale nie od razu. Najpierw musiała jeszcze coś załatwić.

Spencer zjawił się, gdy kolejka dochodziła końca.

Serdecznie ujął jej dłonie i zapytał:

– Na pewno chcesz to zrobić dzisiaj?

– Na pewno.

– W takim razie przekażę urnę twojemu kierowcy.

Dawn uściśnęła jeszcze kilka dłoni, aż wreszcie tłum się rozplątał. Zostało tylko paru najbliższych przyjaciół matki.

– Może jednak pojedziesz z nami do domu? – zagadnęła

Cappy.

– Nie, chcę to zrobić dzisiaj.

– Może pojedę z tobą?

– Nie, ty zajmij się gośćmi. Zresztą myślę, że powinnam być sama.

– Wrócisz potem?

– Na pewno.

W czasie krótkiej jazdy nad brzeg Missisipi Dawn siedziała z przymkniętymi oczami. Zajechali, zanim w pełni uświadomiła sobie, co ma za chwilę zrobić – spełnić ostatnią prośbę swojej babci, którą prywatnie przekazał jej Spencer.

Miejsce zostało starannie wybrane. Był to jeden z terenów należących do Gulf Coast. Weszła przez przerdzewiałą bramę, gdzie na razie straszyły resztki starych magazynów i ramp, ale gdzie w przyszłości planowano urządzić piękny nadrzeczny park, poświęcony pamięci jej dziadków.

Babcia kochała rzekę. Dawn również, kiedyś. Potem się jej bała, a teraz patrzyła na toczące się rdzawe wody, myśląc, że nauczy się znowu ją kochać.

Wykonanie pośmiertnej prośby zajęło zaledwie chwilę. Dawn otworzyła metalową urnę, zbliżyła się do nabrzeża i jednym ruchem wysypała prochy Aurore Le Danois Gerritsen do Missisipi.

– Żegnaj, babciu. Niech Bóg da ci pokój, którego nie miałaś na świecie.

Przez chwilę patrzyła na wodę, a potem odwróciła się, by odejść.

Z tyłu stał Ben. Nie było go w kościele ani na pogrzebie. Nawet nie wiedziała, że jest w mieście.

Podeszła ku niemu. Był poważny. Gdy wyciągnęła do niego rękę, ujął ją w swoje.

– Przykro mi z powodu twojego ojca.

– Wiem.

– I z powodu twojej babki. Nie złożyłem ci dotąd kondolencji, a to była wspaniała kobieta.

– Poznałeś ją, prawda, Ben? Poznałeś, choć nie przedstawiłam jej tobie.

– Odwiedziłem ją w kilka dni po tym, jak wyszedłem ze szpitala. Wyjechałaś już wtedy z miasta i nikt nie potrafił mi powiedzieć, gdzie cię mogę znaleźć. Dlatego postanowiłem pomścić twoją babcie.

– Pomścić?

– Właściwie to ona mnie wymęczyła. Obiecała, że mi powie, ale pod warunkiem, że najpierw porozmawiamy. Maglowała mnie przez godzinę.

– I powiedziała ci, gdzie jestem?

– Nie. W końcu stwierdziła, że nadal nie pojmuje, dlaczego uważam, że twoją największą zbrodnią jest to, że za bardzo kochasz i ojca, i wuja. Dlatego nie dostąpię zaszczytu jej łaski.

– Zawsze lubiła podejmować decyzje za kogoś.

– Ale tym razem miała rację. Później przeanalizowałem sobie wszystko, co mi powiedziała, i uznałem, że ty kochałaś za bardzo, a ja – za mało. Dawn nie wiedziała, co powiedzieć. – Wreszcie wytropiłem cię w Anglii – ciągnął. – Kupiłem bilet, żeby za tobą pojechać, ale właśnie wtedy dotarła do mnie wiadomość o śmierci Aurore i zgromadzeniu na Grand Isle.

– I zjawiłeś się tam ze względu na mnie?

Ben uśmiechnął się.

– Zastanawiałem się, co sprawiło, że Grandmère postanowiła ujawnić rodzinne sekrety. Myślałem o śmierci Hughiego całej tej aferze, ale potem doszedłem do wniosku, że bardziej chodziło jej o prywatne sprawy, także nasze.

– Też o tym myślałam. Może ja sama jestem dowodem, że wszystkie kłamstwa i tajemnice przenoszą się na młodsze pokolenia. Może babcia chciała dać nam szansę, której nie miało pokolenie jej i twojego ojca.

– Start od nowa, z czystą kartą?

– Być może.

Dawn ruszyła wolnym krokiem. Ben szedł u jej boku.

– Dlaczego nadal jesteś w mieście? – zagadnęła.

– Co z „Mother Lode”?

– Zrezygnowałem. Wystarczy mi zajęć w Gulf Coast Publishing.

– Zostajesz w Nowym Orleanie?

– Na Południu brakuje ambitnego wydawnictwa, które publikowałoby książki na kontrowersyjne tematy.

Tego chyba oczekiwała od mnie twoja babcia. Chcę wydawać książki dla ludzi myślących, a potem, jeśli polepszy się atmosfera, umożliwić im współdziałanie.

– Aurore byłaby zachwycona.

– A jakie są twoje plany?

– Muszę skończyć staż w Anglii. A potem... sama nie wiem. Phillip był u mnie kilka dni temu. Nadal zbiera materiały na temat Largo Hainesa i sądzi, że niedługo będzie miał wystarczająco dużo dowodów, by je ujawnić publicznie. Rozmawialiśmy o wspólnym napisaniu książki o prawach obywatelskich w Luizjanie.

Jego tekst, moje zdjęcia. Myślę, że warto spróbować.

– Mam nadzieję, że Gulf Coast będzie pierwszym wydawcą, do jakiego się zwrócicie.

Dawn zatrzymała się przy bramie i zwróciła się do Bena twarzą w twarz.

– Ben...

– Tak?

– To co z nami będzie?

– Ciągle mam ten bilet do Londynu – powiedział cicho.

– Naprawdę?

– Jeśli zdecyduję się go wykorzystać i pojedę za tobą, czy pozwolisz mi zaprosić się dzisiaj na kolację?

Nie odpowiedziała. Ujęła tylko jego dłonie w swoje, a potem uniosła je do policzka.

Ben z westchnieniem wsunął palce w jej włosy i przyciągnął ją do siebie. Podała mu się bez oporu.

Wargi miała czułe i gorące.

Wreszcie odsunęli się od siebie. Ben otworzył bramę i na chodniku, już przy limuzynie, musnął wargami jej policzek.

Dawn patrzyła, jak odchodzi. Uwielbiała sposób, w jaki chodził – ze wzrokiem utkwionym w daleki horyzont, długim, pewnym krokiem. Był pewien, że tam, dokąd idzie, będzie chętnie witany.

Miał rację.

Dawn wsiadła do wozu i kazała kierowcy wieźć się do domu.